R G B WH GR BL Grey Scale #13 C M Y K

DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

DANES-PICTA.COM

Colour Chart #13

Inches Centimetres

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

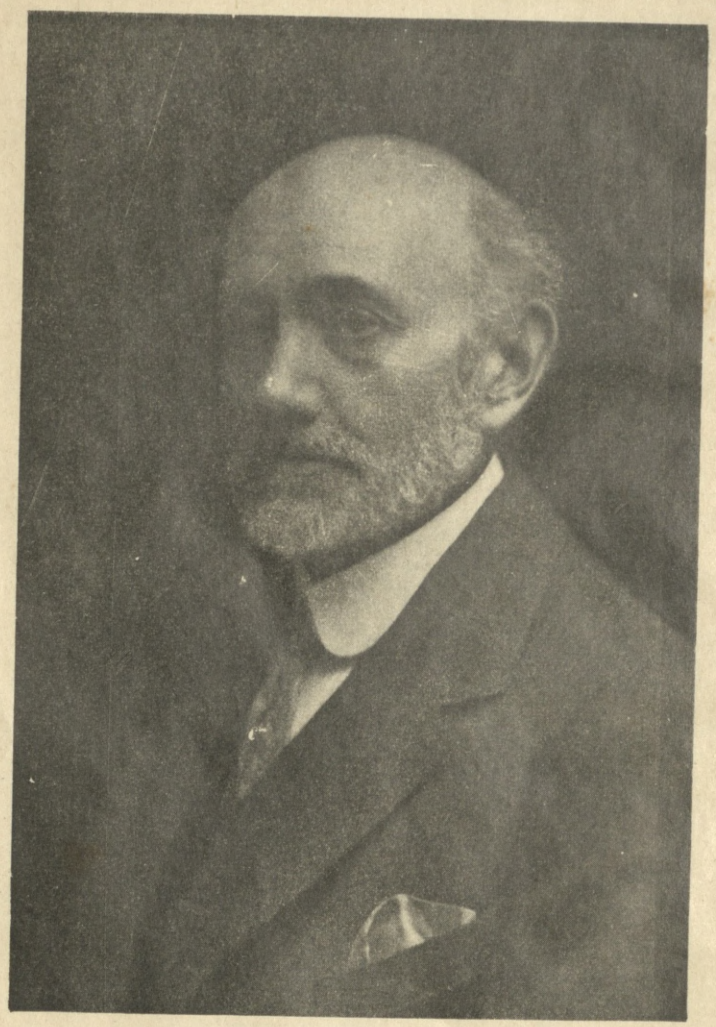

E. J. DILLON

Dr. E. J. DILLON

KONFERENCJA POKOJOWA

W PARYŻU 1919

Z ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO, Z UPOWAŻNIENIA AUTORA
PRZEŁ. M. L.

Z PORTRETEM

WYDANIE DRUGIE

NAKŁADEM KSIĘGARNI I SKŁADU NUT
PERZYŃSKI, NIKLEWICZ I S-KA.
WARSZAWA — NOWY ŚWIAT № 21.
1921

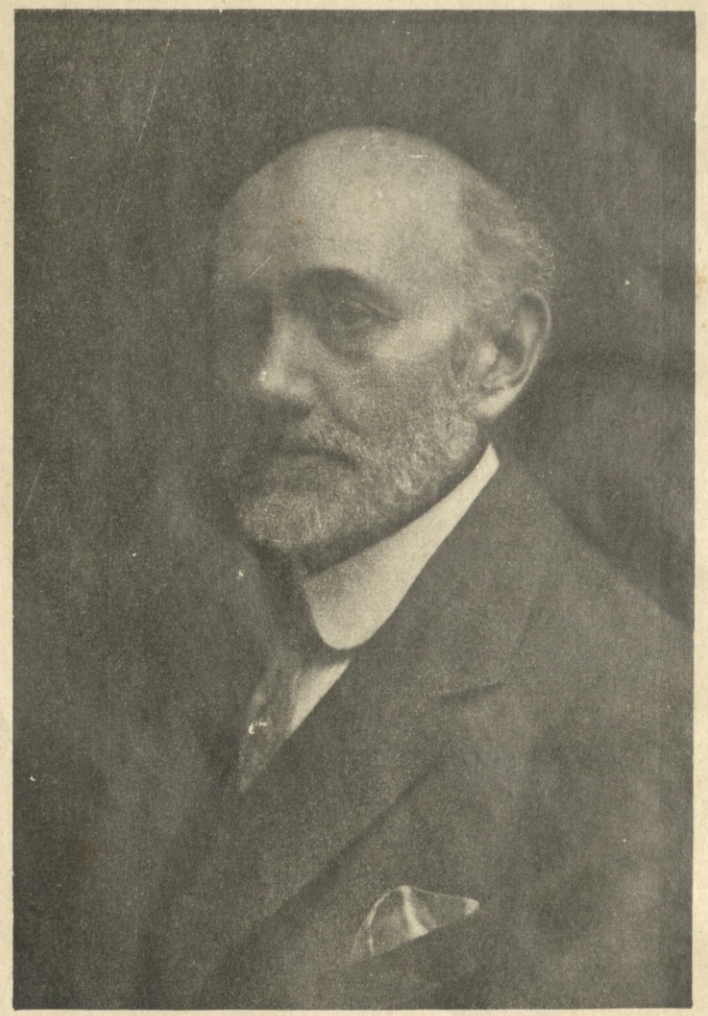

E. J. DILLON

Dr. E. J. DILLON

KONFERENCJA POKOJOWA

W PARYŻU 1919

Z ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO, Z UPOWAŻNIENIA AUTORA

PRZEŁ. M. L.

Z PORTRETEM

WYDANIE DRUGIE

NAKŁADEM KSIĘGARNI I SKŁADU NUT
PERZYŃSKI, NIKLEWICZ I S-KA.
WARSZAWA — NOWY ŚWIAT № 21.
1921

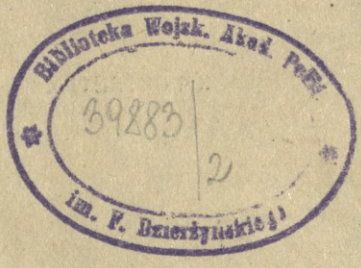

Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Zgoda 5.

Słowo wstępne autora.

Jest rzeczą prawie zbyteczną zaznaczać, że książka niniejsza nie rości sobie pretensji do tego, aby być historją choćby w zakresie tylko Konferencji Pokojowej; praca tego rodzaju została uniemożliwiona przez samych delegatów, którzy postanowili obchodzić się bez piśmiennych sprawozdań ze swoich rozmów i dyskusyj. Jestto tylko szkic. Szkic zagadnień, które wojna stworzyła lub uczyniła bardziej palącemi; warunków, w których one dojrzały; sposobów, w jakie zostały ujęte przez wybitnych polityków, którzy podjęli się ich rozwiązania; ograniczeń naturalnych i skrępowań wyborczych delegatów i tajemnych wpływów, które nimi rządziły; potrzeb i oczekiwań narodów; niezwykłej procedury, przyjętej przez Konferencję i fatalnych skutków jej decyzyj dla świata.

Omawiając te wszystkie tematy, dążyłem do bezstronności, która jest niedoścignionym ideałem, mam jednak nadzieję, że szczerość i bezinteresowność pozwoliły mi się doń zbliżyć. Nie mając własnych umiłowanych teoryj do bronienia, opierałem swój sąd na prawie przyczynowości. Najpewniejszym kamieniem próbnym zdolności i czynów prawodawców świata jest ich stosunek do Rosji w dziedzinie politycznej i do kwestji pracy w dziedzinie ekonomicznej. W żadnym z tych dwóch wypadków czyn ich lub brak czynu nie był wynikiem poglądów męża stanu lub jakichś wyższych względów, lecz tylko unikaniem decyzyj i przekazaniem zadania Lidze Narodów lub innemu ciału. Rezultaty są jasne dla wszystkich.

Ciągłość postępu ludzkiego zależy od pracy i staje się rzeczą coraz bardziej wątpliwą, czy cywilizowane rasy ludzkości będą mogły dawać tę pracę jeszcze długo na warunkach, podobnych do tych, które panowały w rozmaitych formach od czasu urządzeń starożytności. Jeśli to przewidywanie okaże się słusznem, powstaną dwie alternatywy: albo otwarte uznanie zasady, że pewne rasy niższe są przeznaczone do tego, by służyły sprawie ludzkości w charakterze, do którego są przysposobione, albo przystosowanie urządzeń społecznych do tej idei.

Tymczasem Konferencja przemieniła Europę we wrzącą masę wrogich względem siebie państw, bezsilnych w walce z konkurencją ekonomiczną swoich rywali z za morza, i wprowadziła zamieszanie we wszystkie części składowe społeczeństwa.

E.J. Dillon.

KONFERENCJA POKOJOWA.

ROZDZIAŁ I.

MIEJSCE KONFERENCJI.

WYBÓR Paryża, jako miejsca historycznej Konferencji Pokojowej, nastąpił nie odrazu. Rządy anglosaskie uważały z początku kraj neutralny za najodpowiedniejszy grunt, na którym się mieli spotkać twórcy pokoju świata. Wspomniano o Holandji, żeby odrzucić ten projekt bez dyskusji, tak oczywiste i decydujące były argumenty przeciw. Zatrzymano się wreszcie na Szwajcarji francuskiej i przez jakiś czas kwestja wydawała się zdecydowaną. Pierwszem miastem, które zapropowano i prawie wybrano, była Lozanna. Wiele można było powiedzieć o jej zaletach i przedmieścia jej Ouchy, gdzie został podpisany traktat po wojnie między Włochami i Turcją. Lecz powstały wątpliwości, czy zdoła ona przyjąć i utrzymać groźne armje pokojowe, bez których współdziałania trudno byłoby stworzyć aparat do stłumienia wszystkich wojen. Wreszcie wyznaczono Genewę i wpływowi delegaci byli tak pewni uznania ich wyboru przez wszystkich aljantów, że postanowiłem zatelegrafować do Genewy, by mi wynajęto na pół roku dom w tem malowniczem mieście.

Ale wpływowi delegaci decydowali bez Francji, która w tej dziedzinie była najbardziej wpływowa.

Czy nie w sali Lustrzanej Wersalu militaryzm teutoński zdobył najpotężniejszy impuls do rozwoju? — zapytała Francja. I czy pełna poezji sprawiedliwość, nigdy bardziej niezbędna, niż w tych ciężkich dniach, nie wskazywała, że uprzywilejowany niszczyciel, który ujrzał światło dzienne w tej sali, na tem samem miejscu powinien być unicestwiony? Czy to nie było w zgodzie z wieczną celowością rzeczy?

Na tej zasadzie trzeźwy umysł anglosaski, niezdolny do odparcia siły tego argumentu i przyzwyczajony do ustępowania w rzeczach drugorzędnych, zgodził się i za ogólną aprobatą wyznaczono Paryż...

„Paryż jest znowu sobą“ — zauważyli turyści, którzy nie widzieli go od fatalnego miesiąca, kiedy się rozpoczęły działania wojenne — w tem znaczeniu, że coś z bogactwa i zbytku dawnych dni odważyło się zajaśnieć na nowo, niby odblask epoki, której słońce zachodziło poza gęste, brzemienne burzą chmurą. I było ziarnko prawdy w tem spostrzeżeniu. „Miasto-światło“ było ludne, jak nigdy przedtem. Ale w murach jego byli przeważnie cudzoziemcy. W tłumie wojaków anglosaskich i międzynarodowych miłośników pokoju, idących szlakami kreślonemi przez los, z trudnością tu i tam można było odnaleźć paryżanina. Byli nieliczni i rozproszeni.

Oni i ich główni goście europejscy czynili pewne słabe wysiłki, aby dorównać Wiedniowi z r. 1814—1815 w elegancji i smaku, jeśli nie w pompie i przepychu. Ale efekt był zepsuty przez element nouveaux-riches i nouveaux-pauvres, który rzucał się w oczy, jeśli nie panował ostatecznie. Nieliczne wielkie i pseudo-wielkie damy prześcigały się w wysiłkach wznowienia zbytku i wskrzeszenia wdzięku przeszłości. Ale atmosfera była ciężka; wysiłki ich połowiczne, a uśmiechy młodości i piękności zimne, jak blask kry lodowej. Widmo śmierci wisiało nad instytucjami i przeżytkami różnych cywilizacyj i epok, które się roztapiały w jednym wspólnym kotle, i nawet przechodzień na ulicy czuł chłód jego oddziaływania. Życie w stolicy stawało się podniecone, gorączkowe, powierzchowne, niezadawalające. Jego wesołość była wymuszona—coś między rzuceniem wyzwania Niszczycielowi a smutnem pożegnaniem przeszłości i teraźniejszości. Ludzie czuli instyktownie pewność, że jutro jest pełne gorzkich niespodzianek i rozważnie przyjęli zasadę: Jedzmy i pijmy, gdyż jutro umrzemy.

Nikt z tych ludzi nie miał na twarzy dostojnego piętna dawnych czasów, z wyjątkiem nielicznych arystokratycznych postaci z Faubourg St. Germain, które wyglądały tak, jak gdyby im tylko brakowało peruk i strojów z 18 stulecia, żeby zasiąść przy stole z Wolterem i markizą du Châtelet.

Tu i owdzie jednak uczesanie, toaleta, postawa, ruch, szczególny wdzięk w noszeniu sukni przypomina, że ta lub inna piękna pani pochodziła z rodziny, której historja za dawnych czasów była cząstką szerokiego potoku historji europejskiej. Lecz przy bliższej znajomości, szczególnie w rozmowie, okazywało się, że Natura, stała w swych metodach, rozdaje więcej darów piękności, niż umysłu.

Świąteczne bankiety, wystawne kolacje, ciągnące się długo śniadania były równie częste, jak za Lukullusa i w czasach Regencji.

Zewnętrznych jaskrawych oznak zbytku pełno było we wspaniałych restauracjach, hotelach i pałacach prywatnych; lecz wyrafinowanie, wdzięk, wykwintna rozmowa nawet Paryża Trzeciego Cesarstwa wydawały się delikatnemi okruchami utraconej sztuki.

Ludzie Rozejmu byli znużeni i pełni obaw — znużeni wojną, znużeni polityką, znużeni przeżytemi ramami egzystencji i pełni niejasnego lęku przed czemś nieznanem. Bali się, że w chaotycznem bagnie, w które wpadli, nie dotknęli jeszcze dna. Tem niemniej, z wyjątkiem gorliwych katolików i kilku poważniejszych sekciarzy, było niewielu tych, którzy dążyli do czegoś istotnie lepszego.

Nie tylko ogólna atmosfera Paryża uległa radykalnej zmianie razem z jego ludnością, ale nawet wiele ulic oficjalnie zmieniło nazwę od czasu wybuchu wojny.

Paryż z dni Konferencji przestał być stolicą Francji. Stał się obszernym karawanserajem, pełnym nieznanych widoków życia i zamętu, ciekawych okazów ras, plemion i języków czterech kontynentów, ludzi, którzy przyszli przyglądać się i czekać na tajemnicze jutro. Intensywność życia była przytłaczająca: z gwałtownemi wysiłkami żywych łączyły się milczące wpływy zmarłych. Gdyż było to również miejsce spotkania dla duchów tronów i państw, militaryzmów i ambicyj rasowych, którym było wolno wędrować swobodnie, dopóki ich krótkiego ierzchu nie pochłonie noc.

Dostojny Turek namiętnie bronił Konstantynopola i rzucał błagalne spojrzenie na samotnego Ormianina, któremu wymordował rodzinę i który czekał na odrodzenie polityczne. Delegaci perscy wędrowali, jak dusze pokutujące, czekając, aż zostaną wpuszczeni przez wrota raju Konferencji. Żebrzący Krezus mijał na ulicy głodnego Lukullusa, a niegdyś potężni wezyrowie drżeli z zimna, pędząc w podartych ubraniach po śniegu. Ginące i powstające mocarstwa, wakujące trony, upadające panowania miały wszystkie swoich oskarżycieli, obrońców i sędziów, w tem tłumnem centrum świata, na które tragedja, romans i komedja rzucały z góry potężne zaklęcia. Albowiem miasto Konferencji było również domem rozrachunkowym Losu, gdzie miały być wyrównane i uregulowane rachunki całej epoki, czyny i występki wyczerpanej cywilizacji.

Tu obce a jednak znane postaci, przeżytki przeszłości pojawiały się na każdym kroku, witając uśmiechem lub westchnieniem. Ludzie, których widziałem po raz ostatni, kiedyśmy byli razem w szkole, jako młodzi chłopcy, grający ze mną w piłkę nożną lub odrabiający lekcje w szkolnym pokoju, zatrzymywali mnie na ulicy, idąc reprezentować swój naród

lub tworzyć nowe rzeczypospolite. Jednej twarzy nie zapomnę nigdy. Był to samorodny czasowy dyktator maleńkiego kraju, o którym historja stulecia wspomni najwyżej w odsyłaczu. Poznałem go osobiście w spokojnych dniach jego przemijającej sławy.

Podobnie jak jego malowniczy kraj, zdobył on jednodniową nieśmiertelność, był otoczony przychylnością i wspierany przez konkurujące z sobą państwa, wreszcie odrzucony, jak wyciśnięta cytryna. Wtedy spadł na dno nędzy. Był wymowny, pomysłowy, pełen wyobraźni, skrzył się poezją kłamstwa. Pewnego dnia wlókł się po asfaltowych chodnikach Paryża z procesją potępieńców, twarz miał znużoną, oczy zapadłe, ubranie tragicznie ubogie. A wkrótce potem dowiedziałem się, że się zapadł — przez nikogo nie opłakiwany — w wieczną niepamięć.

Tchnienie Nocy Arabskich przynieśli z sobą dziwni goście z Tatarji i Kurdystanu, Korei i Azerbejdżanu, Armenji, Persji i Hedżasu — ludzie o patrjarchalnych brodach i zakrzywionych nosach, i inni z pustyni i oaz, z Samarkandy i Buchary. Turbany i fezy, wysokie kapelusze podobne do infuł biskupich, stare mundury wojskowe, projektowane dla armij nowych państw, powstających w przeddzień wiecznego pokoju, śnieżnobiałe burnusy, rozwiewające się płaszcze i malownicze szaty, przypominające togi rzymskie: wszystko to tworzyło atmosferę fantastycznej bajki w mieście, gdzie miały zetrzeć się z sobą najstraszniejsze prawdy.

Dalej szli ludzie fortuny, intelektu, przedsiębiorstw przemysłowych, siewcy nowych kierunków etycznych, członkowie komitetów ekonomicznych ze Stanów Zjednoczonych, Rosji, Indyj i Japonji, przedstawiciele przemysłu naftowego i dalekich kopalni węgla, pielgrzymi, fanatycy i szarlatani ze wszystkich stref, kapłani wszystkich religij, kaznodzieje wszelkich doktryn, którzy mieszali się z książętami, marszałkami, mężami stanu, anarchistami, budowniczymi i niszczycielami. Wszyscy oni płonęli żądzą, aby być jak najbliżej kotła, w którym miały być przetopione i ukształtowane na nowo polityczne i społeczne systematy świata. Codziennie, na spacerach, w domu, w restauracjach spotykałem emisarjuszów z krajów i od ludów, których imiona rzadko były przedtem słyszane na Zachodzie. Odwiedziła mię delegacja Greków z nad morza Czarnego i mówiła o swych starożytnych miastach: Trebizondzie, Samsunie, Tripolisie, Kerasundzie, w których przed laty mieszkałem; informowała mię, że oni również pragną zlać się z niepodległą Rzeczapospolitą Grecką i przyszli tu żądać swych praw. Albańczycy byli reprezentowani z jednej strony przez mego dawnego przyjaciela Turchana-Paszę, z drugiej strony przez mego przy-

jaciela Essada-Paszę — pierwszy pragnął protektoratu Włoch, drugi żądał zupełnej niepodległości. Chińczycy, Japończycy, Koreańczycy, Indusi, Kirgizi, Lezgini, Mingrelczycy, Burjaci i Malajczycy, murzyni i metysi z Afryki i Ameryki byli pomiędzy plemionami zebranemi w Paryżu, aby się przyglądać odbudowywaniu systemu politycznego świata i dowiedzieć się, komu się dostaną.

Pewnego dnia miałem wizytę delegacji ormiańskiej; kierownik jej miał na swym bilecie wizytowym tytuł prezydenta Ormiańskiej Rzeczypospolitej Kaukazu. Gdy wszedł do mego mieszkania w hotelu Vendôme, rozpoznałem wśród towarzyszących mu członków delegacji paru starych znajomych, z którymi spotykałem się w Erzerumie, Kipri-Keni i innych miastach podczas rzezi Ormian w roku 1895. Od tego czasu nie widzieliśmy się. Oni wskrzesili dawne wspomnienia, opowiedzieli mi historję kilku wspólnych przyjaciół i znajomych, oraz ciekawe epizody z historji swego kraju. Poprosiwszy o moje współdziałanie, prezydent i jego towarzysze opuścili mię i znowu znikli z horyzontu mego życia.

Innym aktorem na wszechświatowej arenie, którego kilkakrotnie spotykałem poprzednio, był „bohaterski" król Czarnogóry. Często mijałem go na swej drodze podczas Konferencji i mimowoli medytowałem nad prawdziwemi wzlotami i upadkami egzystencji ludzkiej. Życie tego władcy przedstawia bogate pole dla badań psychologa. Obserwowałem je sam w różnych czasach i z ciekawemi rezultatami. Spotykałem go w różnych stolicach europejskich w ciągu ostatnich lat trzydziestu i przedtem, kiedy car Aleksander III mówił o nim publicznie, jako o jedynym przyjacielu Rosji. Król Nikita zawdzięcza swe powodzenie w życiu, na które może oglądać się z zadowoleniem, temu, że stosował zasadę św. Pawła, aby być wszystkiem dla wszystkich. A więc w Petersburgu był dobrym Rosjaninem, w Wiedniu patrjotycznym Austrjakiem, w Rzymie sentymentalnym Włochem. Był również wojownikiem, poetą sui generis, zdobywcą pieniędzy i spekulantem giełdowym. Jego pewne dzielne czyny i jego podstępne machinacje dyplomatyczne od czasu pierwszej wojny bałkańskiej są pełne niespodzianek i warte bliższego zbadania. Łatwość, z jaką Austrjacy zdobyli górę Łowczen i jego stolicę, wywarła niezatarte wrażenie na aljantów, znających historję, której skutków on nie mógł przewidzieć. Każdy, zdawało się, wiedział o tem, że w razie zwycięstwa Niemców nad Ententą, na miejsce ojca zasiadłby na tronie z protekcji Austrji syn króla Nikity, królewicz Mirko, który w tym celu osiadł w Wiedniu. Gdyby zwyciężyli aljanci, mądry monarcha zachowałby swoją koronę, jako ich zwolennik.

Lecz pięknie ukartowane plany zawiodły. Królewicz Mirko umarł i król Nikita został zdetronizowany. Przez pewien czas mieszkał w hotelu o parę kroków odemnie i spotykałem go od czasu do czasu, gdy chodził bronić swej przepadłej sprawy przed wybitnymi burzycielami tronów i ustrojów.

Zdawało się, że dla zapełnienia Paryża ludnością międzynarodową, świat pozbył się swoich władców, szczęśliwych i niefortunnych finansistów, wielkich i małych awanturników, poszukiwaczy szczęścia, przedsiębiorczych mężczyzn i kobiet wszelkiego rodzaju. Rezultatem stała się dziwna mieszanina klas i jednostek, godna być może nowej, demokratycznej ery, ale dotąd niewidziana. Przyjmowano za dobrą wróżbę, naprzykład, że we wspaniałym hotelu „Majestic", gdzie mieszkali przedstawiciele Imperjum Brytańskiego, na wieczornych tańcach widywano dyplomatów w monoklach razem ze żwawymi kancelistami, zgrabnemi sekretarkami, a nawet bystrookiemi pokojówkami[1]). Sam premjer Wielkiej Brytanji z widocznem zadowoleniem przyglądał się kiedyś temu budującemu widowisku. Samorodni mężowie stanu, latorośle upadłych dynastyj, eks-premjerzy i ministrowie, którzy niegdyś trwonili fortuny świata, o których można było powiedzieć, że są *capaces imperii nisi imperassent*, byli dziś niepozornymi gośćmi skromnych hoteli. Ambasadorowie, których najzwyklejsze powiedzenia były niegdyś słuchane ze wzmożoną uwagą, dniami i tygodniami starali się o audjencję u wielkich delegatów i niektórzy z nich starali się napróżno. Dyplomatom rosyjskim odmówiono pozwolenia na podróżowanie po Francji, narażono ich na niewygodę i zwłokę. Nieraz siedziałem przy śniadaniu lub obiedzie z wykwintnymi gośćmi, z których jeden zabił znaną osobistość, aby uwolnić państwo od złego administratora, drugi zaś w tajnym sądzie sprzysiężenia w Turcji skazał mego przyjaciela, który wtedy był jego przyjacielem — na śmierć.

W Paryżu, tej chwilowej stolicy świata, czuło się oddźwięk każdego wydarzenia, każdego wypadku chwili, gdziekolwiek się wydarzył. Mieszkać tam podczas posiedzeń Konferencji, było jakby zajmować wygodną lożę w najobszerniejszym teatrze, jaki mógł sobie wyobrazić umysł ludzki. Z tego osobliwego punktu można było obserwować wstrząsające dramaty historji ludzkiej, przyczem wydarzenia lat całych przeżywano w ciągu kilku dni. Rewolucja w Portugalji, rzezie ormiańskie, okrucieństwa Bułgarji, pogrom mieszkańców Saratowa i Odesy, powstanie w Korei—wszystko znajdowało oddźwięk w Paryżu, gdzie oficjalni i nieoficjalni rzecznicy dążeń i ambicyj, religij i interesów, łączących lub dzielących ród ludzki, przyjeżdżali

[1]) *Daily Mail* (wydanie paryskie) z dnia 11 marca 1919 r.

i wyjeżdżali, pracowali jawnie i tajnie. O parę mil od miejsca, gdzie, jak wspomniałem wyżej, obiadowałem w wykwitnem towarzystwie, kilka jednostek, należących do dwóch różnych narodowości, a jedna z nich nosząca, jak mówiono, znane imię, uknuło spisek, który wydał wyrok na prezydenta Portugalji Sidonia Paesa i pogrążył w głęboki zamęt ten nieszczęsny kraj. Plan został wykryty przez portugalskiego attaché, który ostrzegł samego prezydenta i ministra wojny. Ale Sidonio Paes, oryginał i nierozważny, nie chciał przedsięwziąć środków ostrożności. W parę tygodni później zabójca strzelił trzy razy, bezskutecznie. Przyczyna była ciekawa: konspiratorzy tak bardzo pragnęli mieć pewność powodzenia zamachu, że przepoili trucizną naboje, co uszkodziło mechanizm rewolweru.

Ale przeciwnicy ruchu reformy, zapoczątkowanego przez prezydenta, uplanowali inny zamach, i Sidonio Paes, nie nauczony ostrożności, został zastrzelony, a jego wspaniała praca zniszczona przez bandę półbolszewików[1]).

W niecałe pół roku później rozeszła się wieść, że z jednego z miast europejskich posłano do Moskwy pewną ilość specjalnie przyrządzonych bomb dla usunięcia Lenina. Ten ton przygodny, w którym omawiano podobne tematy, wskazywał miarę zmiany, jaka się dokonała w świecie od wybuchu wojny. Nie było już nikogo w Europie, czyja śmierć, gwałtowna czy spokojna, mogłaby wywrzeć wrażenie na przytępioną wrażliwość czytającej publiczności. Wszystkie wartości uległy zmianie, a wartość życia ludzkiego spadła nisko. Przyglądanie się tym szybko mijającym wydarzeniom, zaglądanie od czasu do czasu, podczas przerw między aktami, za kulisy, śledzenie rozwijającego się dramatu światowego było nad wszelki wyraz interesujące. Widzieć wątpliwe źródła, przypadkowe okoliczności olbrzymich planów polityki światowej, obserwować jej chwiejny bieg—była to rewelacja dla polityka i psychologa, i mimowoli przypominało się powiedzenie, błędnie przepisywane szwedzkiemu kanclerzowi Oxenstjerna: „*Quam parva sapientia regitur mundus*"[2]).

Kierownictwo nie zawsze leżało w ręku delegatów. Byli tam ludzie z zewnątrz, różnych rodzajów, czasem niezwykłych ambicyj, zwykle wolni od utartych przesądów i zbytnich skrupułów. Ponieważ przyjazd do Paryża był bardzo utrudniony, wielu z tych nieoficjalnych delegatów przybywało w innym zgoła charakterze, niż ten, w którym zamierzali działać. Muszę się przyznać, że niejeden z tych tajnych emisarjuszy podszedł mię

[1]) 12 grudnia 1918 r.
[2]) Jaka mała mądrość kieruje światem!

i mimowoli ułatwiłem mu zadanie. Dla jednego z nich zebrałem z trudem szereg danych o przedmiocie, który go wcale nie interesował, choć, jak twierdził, dla studjów nad nim jechał setki mil. Gorliwy prałat, który, zdawało się, interesował się przeszłością pewnego odłamu Kościoła na Wschodzie, miał w rzeczywistości cały szereg zupełnie odmiennych spraw do załatwienia na Zachodzie. Niektórzy z tych wysłańców mieli nadzieję, że wpłyną na decyzję Konferencji, i zdawało im się, że dopięli swego, jeżeli mieli sposobność zainteresowania swemi poglądami niektórych delegatów. Często zdumiewała mię łatwość, z jaką kręcili się wszędzie niektórzy z tych intruzów, choć wielu z nich nie mówiło żadnym innym językiem, oprócz własnego.

Stowarzyszenia i organizacje religijne i polityczne, nie wyłączając bolszewików, miały również swoich przedstawicieli w Paryżu podczas Konferencji. Poznałem jednego z bolszewików, zdolnego młodzieńca, który robił wrażenie apostoła. Zajmował stanowisko, które, choć pozornie nieznaczne, pozwoliło mu zdobyć tajne wiadomości, niezmiernie pożyteczne dla jego przyjaciół politycznych. Jego znajomość języków i wybitna inteligencja zwróciła prawdopodobnie uwagę jego zwierzchników, którzy mieli zupełne zaufanie do jego działalności. W każdym razie, wiedział on wiele o tem, co się działo na Konferencji, a od czasu do czasu wpadały mu w ręce ciekawe dokumenty. Był to widocznie uczciwy bolszewik-entuzjasta, który szerzył swą naukę z gorliwością apostolską, kierowaną ostrożną mądrością węża. Chętnie wypowiadał swe zdanie o wypadkach bieżących, ale nie poruszał bliskich swemu sercu tematów, dopóki nie osądził, że jego przeciwnik nie jest twierdzą nie do zdobycia — wtedy rozpoczynał atak. Nawet z pośród wtajemniczonych niewielu zdawało sobie sprawę z roli, jaką grał ten młody działacz, tak prosta i skromna była jego praca. Dodam jeszcze, że na szczęście nie miał on bezpośredniego dostępu do delegatów.

Ze wszystkich zbiorowości, których interesy wchodziły w grę na Konferencji, najbardziej pomysłowych i wpływowych przedstawicieli dostarczyli Żydzi. Byli tam Żydzi z Palestyny, Polski, Rosji, Ukrainy, Rumunji, Grecji, Anglji, Holandji, Belgji; ale największa i najwybitniejsza grupa była przysłana ze Stanów Zjednoczonych. Głównem ich zadaniem, które budziło sympatję w każdym zdrowo myślącym człowieku, było zapewnienie dla swych współwyznawców we wschodniej Europie praw równych z ludnością, wśród której mieszkają[1]).

[1]). P. Bernard Richards, sekretarz delegacji Amerykańskiego Kongresu Żydowskiego na Konferencję Pokojową, wyraził wielkie za-

I na pochwałę Polaków, Rumunów i Rosjan, którzy mieli być zmuszeni do usunięcia istniejących ograniczeń, należy powiedzieć, że dali prawa Żydom niezwłocznie. Ale Żydzi z Zachodu, popierając swych wschodnich braci, żądali dalszych ustępstw, które nawet przez ich współwyznawców były uważane za niebezpieczne—rodzaju autonomji, która według zdania rumuńskich, polskich i rosyjskich mężów stanu, zarówno jak i niektórych Żydów, równałaby się stworzeniu państwa w państwie. Czy ta opinja była słuszną czy nie, żądane ustępstwa były przyznane, ale traktaty dodatkowe, zabezpieczające prawa mniejszości, według ogólnego zdania mają mało danych do tego, aby były wprowadzone w życie, mogą natomiast wywołać wybuchy roznamiętnienia w krajach, gdzie mają być stosowane.

Codziennie, dwa razy—przed i po śniadaniu — widywano „autokratów", wszechświatowych mężów stanu, których imiona były na wszystkich ustach — ludzi mądrych, którzy byliby jeszcze mądrzejsi, gdyby chcieli z większą miarą roztropności politycznej ufać swym przyjaciołom i oponentom. Ci panowie w melonikach, mknący we wspaniałych samochodach, widywani pieszo równie rzadko, jak kardynałowie rzymscy, byli burzycielami tronów, rzeźbiarzami kontynentów, sędziami mocarstw, twórcami nowego nieba i nowej ziemi — jeżeli nie byli tylko muchami na kole okoliczności, dla których świat stawał się nierozwiązalną zagadką.

Mieszanina cywilizacyj i typów, zebranych w Paryżu wskutek szeregu niezwykłych okoliczności, była niezmiernie interesująca i pouczająca dla obserwatora, który miał sposobność przyjrzenia się im zbliska. Obserwator przeciętny jednak miał mało sposobności do rozmów z nimi, gdyż cudzoziemcy, nie mając wspólnego miejsca zebrań, przestawali głównie w swojem gronie. Tylko od czasu do czasu paru przedstawicieli różnych narodów, jeżeli mówiło jakimś wspólnym językiem, miało sposobność spędzenia wolnych chwil razem. Jeden z moich przyjaciół, wysoko uzdolniony Francuz pięknego, dawnego typu, potomek Talleyranda, urodzony o sto pięćdziesiąt lat zapóźno,

---

dowolenie z pracy, dokonanej w Paryżu dla zabezpieczenia praw żydowskich i obrony interesów innych mniejszości przy układaniu warunków pokojowych" *(New-York Herald,* 20 lipca 1910 r.). Jak skuteczny był wpływ gminy żydowskiej na Konferencji Pokojowej, można wnioskować z następującej notatki: „P. Henryk H. Rosenfeld, dyrektor Komitetu Amerykańskiego pomocy Żydom, oznajmia, że wszystkie organizacje Nowego Yorku, zajmujące się sprawą pomocy Żydom, mają się połączyć we wspólnej akcji zebrania w grudniu w N.-Yorku S. 7.500.000 (Ł 1.500.000) dla zaopatrzenia w odzież, żywność i lekarstwa 6 miljonów Żydów w Europie Wschodniej, *oraz dla wypracowania szerokiego programu ich pełnego równouprawnienia*". American Radio News Service—*Daily Mail,* 19 sierpnia 1919 r.

urządził w swoim gościnnym domu tygodniowe przyjęcia dla elity świata i w ten sposób częściowo mógł zaspokoić palącą potrzebę.

Dla zwykłego turysty „Miasto-Światło“ było olbrzymim jarmarkiem świata, z ogromnemi targowiskami, budami, wesołemi miejscami rozrywek, brudnemi jadłodajniami i olbrzymiemi oberżami. Każde miejsce rozrywki było przepełnione i całe tłumy cierpliwie czekały swojej kolei na ulicy, nie zrażone deszczczem, wiatrem i śniegiem, ofiarując bezmyślnie wielkie sumy za skromne ich obsłużenie i ze zniechęceniem przyjmując odmowę. Wyzysk był niezmierny, paskarstwo uchodziło bezkarnie. Cudzoziemcy, głównie Amerykanie i Anglicy, wędrowali z torbą podróżną w ręku od miejsca do miejsca, szukając schronienia, stroskani niepowodzeniami, znużeniem i zapadającą nocą. Koszty utrzymania, nękające większą część ludności, stały się wielką trudnością do pokonania dla rządów, a najpotężniejszą dźwignią dla rewolucjonistów. Szefowie armij pokojowych rezydowali we wspaniałych hotelach umeblowanych zbytkownie a z wątpliwym smakiem, zalanych jaskrawem światłem po zachodzie słońca, a w dzień pełnych gwaru pustych rozmów, odgłosu kroków, stukania drzwi i dzwonienia dzwonków. Muzyka i tańce rozweselały gości, kiedy praca dnia była ukończona i trzeba było zabić jakoś czas. W salach brzmiały rozmowy i gorące debaty bez pospolitego gwaru i hałaśliwej wesołości. „Los jest skrzypkiem, życie — tańcem”. Niewielu było gości, którym Paryż wydawał się tem, czem był — kolebką złotych marzeń, mgłą wspomnień, posiewem nadziei, składem pogróżek chwili.

KONFERENCJA POKOJOWA I KONGRES WIEDEŃSKI.

Uroczystych parad i wspaniałych ceremonij, jak te, które radowały serca wiedeńczyków w r. 1814 — 15, nie było aż do triumfalnego wejścia wojsk sprzymierzonych.

Wiedeń z dni Kongresu został zmieniony w raj pełen rozkoszy przez wspaniały Dwór, który swą gościnność posunął do ostatnich granic rozrzutności. W samym Burgu było dwóch cesarzy, dwie cesarzowe, czterech królów, jedna królowa, dwóch następców tronu, dwie arcyksiężne i trzech księciów. Dzienne utrzymanie cesarskiego stołu kosztowało 50.000 guldenów, dzień Kongresu kosztował dziesięć razy tyle. Całe grupy wybitnych osobistości zbierały się w Stolicy Austrji, biorąc z sobą swoich ministrów, sekretarzy, faworytów i „poufnych agentów“. Reformatorzy świata byli tak żądni zabawy, że Dwór nie włożył żałoby po królowej neapolitańskiej Marji-

Karolinie, ostatniej córce Marji-Teresy. Śmierć jej nie była ogłoszona oficjalnie, żeby nie przeszkodzić uroczystościom wesołych twórców pokoju.

Paryż z dni Konferencji był demokratyczny z mocną domieszką plutokracji. Nie dawał wspaniałych widowisk, jak te, które łechtały zmysły i zapalały wyobraźnię wiedeńczyków. W r. 1919 ludzkość była prostsza w swoich upodobaniach i może mniej potrzebowała piękna. Piana współczesnej wesołości utraciła swą iskrzącą się białość i stała się mętną. W Wiedniu bale, bankiety, przedstawienia teatralne, rewje wojskowe następowały po sobie z zawrotną szybkością i pozwalały politykom i awanturnikom prowadzić swoje intrygi bez zwrócenia uwagi wszystkich — z wyjątkiem tajnej policji. I ponieważ Kongres zamykał sobą krwawą kampanję i przygotowywał się do następnej, można go było określić jako przerwę między dwiema tragedjami. Przez chwilę zdawało się, że ten rys podobieństwa da się spostrzec i w Konferencji Paryskiej. Przechodząc od przyjemności do polityki, znajdujemy silne kontrasty i zdumiewające podobieństwa między temi dwoma budującemi pokój zgromadzeniami i — trzeba to stwierdzić — na korzyść Konferencji Paryskiej.

Członkowie Kongresu austrjackiego, pozornie zjednoczeni, przeciwstawiali się mocno jeden drugiemu, a każda jednostka czy grupa ciągnęła w swoją stronę. Mocarstwa, zmuszone koniecznością do połączenia się przeciwko wspólnemu wrogowi, pokonawszy go, pokłóciły się między sobą odrazu, gdy tylko przystąpiły do dzielenia łupu. Pod tym względem Paryż — tak się zdawało światu na początku — wzniósł się wysoko ponad swego historycznego poprzednika. Ludzie dobrze poinformowani stwierdzali wielokrotnie, że delegaci z Quai d'Orsay byli równie jednomyślni, bezinteresowni i szczerzy podczas rozejmu, jak byli podczas wojny. Rzecz bardzo możliwa, że byli takimi. Inny ciekawy punkt porównania to były osoby działające obydwóch sławnych zgromadzeń. Prawie wszyscy byli przedstawicielami starych państw, ale był jeden wyjątek.

PRZYWÓDCA KONGRESU,

który budził nieufność, strach, pobłażanie i uległość.

W debatach Kongresu Wiedeńskiego brało udział jedno, względnie nowe mocarstwo, które przez swe wzniosłe zamiary wprowadziło dysonans do koncertu narodów. Tym nowym przybyszem w radach europejskich była Rosja; istotnie jeszcze prawie nie uznawano jej za państwo europejskie. Jej utalentowany car, Aleksander I, był idealistą, który pragnął nie tyle pokoju

ze zwyciężonym wrogiem, co zupełnej reformy porządku świata, zniesienia wojen i dobrobytu ludzkości, pchniętego do rozwoju, niby pokojowe *perpetuum mobile*. Ta błogosławiona zmiana miała być osiągnięta nie przez ludy i ich przedstawicieli, ale przez rządy, kierowane przez niego i obradujące w tajemnicy. Podobnie było na Konferencji Paryskiej. Ten ciekawy typ działacza publicznego — mieszanina mistyka i człowieka praktycznego, był postrachem dla delegatów wiedeńskich. Każdemu wkładał kij między szprychy, zachowywał się, jak samowładny pan Kongresu, i czuł się tak zadowolonym z siebie, jak gdyby był świętym. Hrabina von Thurheim pisała o nim: „On nie dowierzał otoczeniu i pozwalał się prowadzić przez innych. Ale był rzetelnie dobry i szlachetny, i pragnął dobra nie tylko własnego kraju, ale całego świata. „*Son coeur eût embrassé le bonheur du monde*". Realizował w sobie marzenia filozofów o ukochaniu ludzkości, ale ich utopje o szczęściu ludzkiem oparte były na doskonałości zarówno poddanych, jak panujących; więc ponieważ Aleksander mógł wypełnić tylko połowę tych warunków, praca jego pozostawała nieskończoną i biedny cesarz zmarł, jako ofiara swych wzniosłych złudzeń [1]).

Inne osobistości, w szczególności Metternich, były przez obecność Aleksandra odsunięte na dalszy plan. Nazywano go szkodnikiem, który nie chce i nie może wniknąć w ducha ich gry, ale nie śmiano go obrazić. Bez jego walecznych wojsk nie byliby zwycięzcami, a nie wiedzieli, kiedy go mogą znów potrzebować — reprezentował bowiem naród liczny i potężny, któremu bogactwa ekonomiczne i militarne wróżyły hegemonję w świecie. W ten sposób, choć szczerze nie lubili głowy nowego wielkiego państwa, bali się go i dlatego byli dla niego pobłażliwi. Wszyscy czuli, że wróg, choć rozbity i upokorzony, nie był może pokonany na zawsze i mógłby w każdej chwili powstać, niby feniks z popiołów, i znowu wznieść się wysoko. Dlatego wielki marzyciel był honorowany, chwalony i stawiany na zawrotnym piedestale przez ludzi, którzy w głębi duszy go lekceważyli. Powtarzano z czcią jego słowa, notowano i pamiętano jego uśmiechy. Nikt też nie ośmielił się zwrócić uwagi, że ten mistyk-filozof w roli męża stanu miał w swym systemie uszczęśliwienia ludzkości szpetne braki. Przemawiając za równością, odmawiał jej uporczywie jednemu narodowi i nie chciał słyszeć o daniu mu wolności. Był to naród polski, z którym w ten zsposób obszedł się Kongres Wiedeński: dzięki Aleksandrowi słuszne żądania Polski zostały odrzucone, jej

[1]) Hrabina Lulu von Thurheim: „Moje życie" 1788—1852. Wydanie niemieckie, Monachjum 1913—1919 r.

niezaprzeczone prawa pogwałcone, a praca twórców pokoju poszła na marne...

Na szczęście, jak twierdzili optymiści, Konferencja Paryska była zorganizowana na zgoła innej podstawie. Członkowie jej uważali się za sługi publiczności, którzy będą musieli zdać sprawę ze swej służby i którzy dlatego chadzali w zbawiennej obawie przed swymi wyborcami. Tego skrupułu nie mieli delegaci wiedeńscy. Wszystko, co czynili delegaci paryscy, było dla dobra mas, choć większa część była zrobiona w tajemnicy i nieoceniona przez masy.

Znamienny dokument, który zostanie na zawsze związany z imieniem prezydenta Wilsona, był c l o u Konferencji. Program Ligi Narodów miał, zdawało się, zmienić gruntownie wzajemne stosunki narodów, a zmiany oczekiwano bezpośrednio po przegłosowaniu, podpisaniu i ratyfikacji statutu Ligi. Ale żaden z rządów poza Stanami Zjednoczonemi nie przyjął go chętnie, a delegaci dążyli do ustalenia takiego brzmienia statutu, któreby nie wiązało ich szkodliwemi zasadami, ani nie przymuszało ich wyborców do uciążliwych ofiar; z tego powodu odwlekał się traktat pokojowy z Niemcami i likwidacja wojny. Ta zwłoka wywołała głębokie niezadowolenie na kontynencie Europy, ale miała tę przypadkowo dobrą stronę, że odsłoniła przed zwycięskiemi ludami niezwykłe siły żywotne rasy germańskiej. Pozwoliła również na zaprojektowanie umowy, tak doskonale przystosowanej do ludzkiej słabości rywalizujących z sobą narodów, których namiętności były tylko przyciszone przez wyczerpanie, że wszyscy mężowie stanu poczuli się uprawnionymi do jej podpisania. Było coś niezmiernie orzeźwiającego w prostocie środków, któremi wybitny twórca statutu zamierzał zreformować narody świata. Ufał on w ich cnoty, które mogłyby uczynić Ligę zbędną, i był wyrozumiały na namiętności, mogące uniemożliwić jej szybką realizację; w ten sposób dał zbędną ilustrację dwu znanych prawd; jednej, że niebezpiecznem złem, którego powinni unikać ci, co pragną pozostać filantropami, jest gruntowna znajomość ludzi, i drugiej, że klęską dla męża stanu jest nadmierne umiłowanie zasad oderwanych.

Jedna z wyraźnych wyższości paryskiej Konferencji Pokojowej nad Kongresem Wiedeńskim polegała na zdumiewającej szybkości, z jaką były rozwiązywane od ręki najtrudniejsze zagadnienia, które kiedykolwiek stawały przed umysłem ludzkim. Jeden z dzienników paryskich zamieścił następującą znamienną wiadomość: „Czas, zużyty na ułożenie statutu Ligi Narodów, która według ogólnych nadziei będzie środkiem utrzymania pokoju powszechnego, wynosił trzydzieści godzin. Wydaje się

to niemożliwem, jest jednak prawdziwe[1]). Jak oburzająco wolno w porównaniu z tem poruszali się próżnujący panowie wiedeńscy, możemy wyczytać w kronikach tamtej epoki. Narody miały nadzieję i ufały, że Kongres wypełni swe zadanie szybko, ale dopiero po dziewięciu miesiącach ciężkiego trudu i bólu wydał on swój owoc — furę aktów, która rozsypała się w pył od pierwszej chwili.

Statut Wilsona, wiążący z sobą trzydzieści dwa państwa — liga nierównie potężniejsza od Świętego Przymierza — jest najpośpieszniejszą improwizacją tego rodzaju w historji dyplomacji.

Porównanie cech wspólnych tych dwóch ciał prawodawczych międzynarodowych uderzyło wielu obserwatorów jeszcze bardziej, niż kontrast ich różnic. Oba były w podobnych warunkach, w obliczu zawiłych a doniosłych zagadnień, które wysunęła skończona wyczerpująca wojna. Jeden z delegatów wiedeńskich pisał:

„Wszystko musi ulec przebudowie i odnowieniu, ma być ustalony los Niemiec, Włoch i Polski, trzeba zbudować mocne podwaliny dla przyszłości i zakreślić wytyczne polityki handlowej“ [2]). Czy tych samych słów nie można zastosować do poczynań Konferencji Paryskiej?

Albo następujący ustęp: Jakkolwiek subtelny umysł francuski łatwo i zręcznie obracał tematami dnia, ludzie czuli nieświadomie poza tem wszystkiem, że te nowe czasy były bardzo oddalone od przeżytej epoki i pod wielu względami różniły się od niej w wysokim stopniu“ [3]).

A sędziwy książę de Ligne powiedział hrabiemu de la Garde: „Ze wszystkich stron słychać okrzyki: Pokoju, sprawiedliwości, równowagi, odszkodowań. Któż doprowadzi do porządku ten chaos i położy tamę potokowi wymagań?“. Jakże często słyszano te same okrzyki i pytania w Paryżu.

Kiedy się zaczęły pierwsze narady poufne na Kongresie Wiedeńskim, powstały te same trudności, co przeszło w sto lat później w Paryżu — co do państw, które były uprawnione, aby tam mieć swoich przedstawicieli. Na początku czterej ministrowie Austrji, Rosji, Anglji i Prus obradowali sami, wykluczywszy zwyciężoną Francję i mniejsze państwa. Nieco później jednak Talleyrand, przedstawiciel pokonanego narodu, razem z ministrem portugalskim Labradorem zaprotestował gwałtownie prze-

[1]) *New York Herald* (wydanie paryskie) 23 lutego 1919 r.
[2]) Denkwürdigkeiten des bayrischen Staatsministers Maximilian Graf von Montgelas. Również: Dr. Karl Soll „Der Wiener Kongress“.
[3]) Varnhagen von Ense.

ciwko formie i rezultatom obrad. Na jednem z posiedzeń uniesienie doszło do najwyższego napięcia i Talleyrand zaczął mówić o opuszczeniu Kongresu, poczem doszło do kompromisu i osiem narodów otrzymało prawo reprezentacji. W ten sposób powstała Komisja Ośmiu[1]).

W Paryżu rozwinęła się gwałtowna dyskusja—i pierwszej soboty, kiedy przedstawiciele Belgji, Grecji, Polski i innych mniejszych państw wygłosili gorące mowy przeciwko stanowisku wielkich pięciu, Clemenceau odpowiedział im niezręcznie, wskazując jako na źródło, dające wyższe prawa Wielkim Mocarstwom, na dwanaście miljonów żołnierzy, wystawionych przez nie w polu. Wydawało się rzeczą niepomyślną, że właśnie siła miała stanowić o przywilejach na Konferencji Pokojowej, zwołanej, aby położyć koniec sile i przywilejom. W Wiedniu było inaczej, ale i czasy były inne. Wiele sprawozdań i komentarzy z kronik 1815 r. brzmi jakby ustępy z dzienników pierwszych trzech miesięcy 1919 r. „O Polskę walczę zaciekle i jak dotąd bez decydującego rezultatu“ — pisze hrabia Karol von Nostitz, sprawozdawca wojenny rosyjski. „Co się tyczy Niemiec i ich przyszłej konstytucji federacyjnej, nie zrobiono jeszcze nic, absolutnie nic”[2]). Hrabina Eliza von Bernstorff, żona ministra duńskiego, pisze: „Najzabawniejszą była mieszanina najróżnorodniejszych jednostek, którym się zdawało, że mają coś do roboty na Kongresie... Widziano arystokratów i uczonych, którzy nigdy dotąd nie załatwili żadnego interesu, a teraz pełni powagi przybierali rozkazujące tony. Profesorowie, którzy w myśli nie opuszczali swych katedr uniwersyteckich pośród narad Kongresu, raptem wpadali w rozdrażnienie i chodzili wokoło, skarżąc się, że zupełnie nie mogą zmiarkować, co się dzieje”. I znowu: „Wskrzeszenie Polski byłoby w dobrze zrozumianym własnym interesie Europy. Ta kwestja jest najważniejsza ze wszystkich. Żadna inna nie dotyka tak blisko polityki wszystkich reprezentowanych Mocarstw”[3]) — pisał premjer bawarski, hrabia von Montgelas. To samo pisała prasa Ententy w roku 1919.

Delegaci Konferencji Paryskiej mieli przez pewien krótki okres oddaną sobie prasę i surową cenzurę, która nie wykroczyła nigdy w kierunku zbytniej pobłażliwości, gdy członkowie Kongresu Wiedeńskiego byli krytykowani bez litości. Według słów głównego delegata Bawarji, lndność wiedeńska czuła się dotkniętą, kiedy prasa sądziła jak zwykłych śmiertelników tych, których chciano czcić, jak półbogów. „Stan

[1]) Friedrich von Gentz.
[2]) Hrabia Karol von Nostitz.
[3]) Dr. Karl Soll: „Der Wiener Kongres“.

spraw państwowych jest zły" — pisze von Gentz, jeden z najtęższych umysłów na Kongresie, — „lecz nie jak dawniej z powodu ciężarów, które spadną na nasze barki, lecz z powodu mierności i niedołęstwa większości naszych pracowników[1]). Skutkiem tego stanu rzeczy było ciągłe powstawanie nieprzewidzianych kwestyj, aż z czasem zdezorjentowani delegaci zostali kompletnie oszołomieni".—„Krzyżuje się tu tyle interesów",—tłumaczy hr. Karol von Nostitz — które narody chciałyby przedłożyć dawno upragnionej Lidze Narodów, że układają się one w najdziwaczniejsze kształty . . . . Gdziekolwiek się spojrzy — wszędzie nieporozumienia i zamęt . . . . Pretensje rosną z dnia na dzień, jakby coraz więcej złych duchów wychodziło z piekła na zawołanie czarownika, który zapomniał zaklęcia, mogącego je poskromić"[2]). Te słowa pisano o Kongresie Wiedeńskim.

Znamienne było podobieństwo dwóch zgromadzeń pokojowych i w drobniejszych szczegółach. Naprzykład, lord Castlereagh, który reprezentował Anglję w Wiedniu, musiał wrócić do Londynu na otwarcie Parlamentu, co wywołało pewne zamieszanie; z tym samym skutkiem musieli dla tego samego celu opuścić Paryż pp. Wilson i Lloyd George. Zanim Castlereagh wyjechał, dały się słyszeć surowe sądy, że daje pierwszeństwo interesom krajowym przed swą działalnością międzynarodową.

Losy Polski i Niemiec, mających właśnie stać się Rzeszą, były głównym przedmiotem zainteresowań zarówno na Kongresie, jak na Konferencji. Gdzie niegdzie spotykamy podobieństwo i co do ogólnego stanu Europy.

„Nieustalone położenie Europy"—pisze przyglądający się zbliska obserwator w r. 1815 — jest ciężarem dla wszystkich narodów: każdy kraj jest zmobilizowany . . . . nieszczęśni mieszkańcy przytłoczeni podatkami. Ze wszystkich stron ludzie skarżą się, że podobny pokój jest gorszy od wojny . . . . ci, którzy nienawidzili Napoleona, mówią że pod nim cierpienia nie były większe . . . . każdy kraj podminowuje własny dobrobyt, tak że warunki finansowe, zamiast się polepszyć po upadku Napoleona, wszędzie się pogarszają"[3]).

W r. 1815, jak i w 1919, pacyfiści świata mieli swoich nadwornych malarzy, i francuski portrecista Isabey był równie poszukiwany, jak sir William Orpen w r. 1919. Pod niektóremi względami była jednak różnica. "Isabey„ — mówił książe de Ligne—„stał się ulubionym malarzem Kongresu". Tak, ale jego

[1]) „Friedrich von Gentz", K. Soll.
[2]) „Hrabia Karol von Nostitz", Soll, str. 109.
[3]) Jean Gabriel Eynard, przedstawiciel Genewy.

rozmowa jest równie świetna, jak jego pendzel". Tymczasem sir William Orpen był tak pochłonięty swoją pracą, że podczas posiedzenia nie wymówił słowa. Współcześni Konferencji Paryskiej byli szczęśliwsi od swoich poprzedników z czasów Kongresu Wiedeńskiego—gdyż mogli oglądać żywe postaci swoich dobroczyńców w kinematografie. „Nie zapomniano naturalnie o konieczności utrwalenia podobizn osobistości i widoku posiedzeń Kongresu Pokojowego" — pisze jeden z dzienników paryskich. „Niezadługo ma być wykonana serja zdjęć kinematograficznych głównych delegatów i komisyj dla rządu angielskiego, tak że obok Traktatu Paryskiego przyszłe pokolenia będą miały możność studjowania „fizjognomij jego twórców" [1]). W każdym razie niepodobna byłoby o nich zapomnieć.

W ten sposób wielkie serce Paryża, jeszcze w większym stopniu, niż przeszło sto lat temu serce Wiednia, biło i pulsowało wedle wszechświatowej skali, gdy mózg jego pracował pilnie nad zagadnieniami narodowemi, lokalnemi i ekonomicznemi. Obok wesołej beztroski, która utrzymywała w swobodnem usposobieniu znakomitych prawodawców Kongresu Wiedeńskiego, wzrastał nieustannie — poza tem zaczarowanem kołem — koszt utrzymania wskutek stale rosnących cen. „Każdy artykuł żywności", pisze hrabia de la Garde, jeden z kronikarzy Kongresu Wiedeńskiego,—„szczególniej zaś opał, wzrósł w cenie do nieprawdopodobnej wysokości. Rząd austrjacki uznał z tego powodu za konieczne wyznaczenie swym urzędnikom dodatków do pensyj i odszkodowań". W Paryżu było gorzej. Chciwość i brak organizacji uczyniły stolicę francuską wielkiem polem wyzysku. Sumy pieniędzy, wydanych przez cudzoziemców we Francji w ciągu całego tego czasu, przewyższały, jak powiadają, dochód z handlu zagranicznego. Prawie nie było węgla, od czasu do czasu brakowało drzewa. Masło było nieznane. Wino—złe i ogromnie drogie. Lokomocja w mieście kosztowała dwa, trzy, cztery i pięć razy tyle, co wynosiła taksa oprócz napiwku. Zapotrzebowanie było wielkie i podaż czasami obfita, lecz władze stale starały się o to, aby jedno i drugie nigdy się nie zrównoważało.

KOSZTY UTRZYMANIA.

W żadnym kraju europejskim koszty utrzymania nie doszły do tej wysokości, którą osiągnęły we Francji w roku 1919. Nie tylko przedmioty zbytku, ale i pierwszej potrzeby były nie do zdobycia dla wracających do domu żołnierzy, a wszystko przypisywano stale chciwości kupców, dezorganizacji transpor-

[1]) *Daily Mail* (wydanie paryskie), 22 marca 1919 r.

tów, strejkom robotników i nieudolności władz, których główną troską było utrzymywanie ludności w spokoju przez tłumienie jednych wiadomości, rozszerzanie innych, a wreszcie ustępowanie wymaganiom, którym już dłużej niepodobna było odmawiać. Była jeszcze inna, bardziej istotna przyczyna: wojna pozbawiła świat dwunastu miljonów pracowników i majątku na sumę tysiąca miljardów franków. Ale tego ludzie nie brali pod uwagę. Zdemobilizowani żołnierze, którzy od lat kilku byli dobrze żywieni i wolni od troski o jutro, wrócili do domu, jaśniejący zwycięstwem, dumni z przodującego stanowiska, które uzyskali w państwie, i żądni nagrody za swą ofiarność. Spotkało ich gorzkie rozczarowanie. Spodziewali się, że kraj będzie przygotowany do przyjęcia bohaterów, tymczasem oczekiwało ich położenie, do jakiego można przymusić chyba tylko naród zwyciężony. Strawa, do której *poilu* był przyzwyczajony prawie przez pięć lat na froncie, stała się od czasu zawieszenia broni wyłącznym przywilejem kapitalisty lub *nouveau-riche*. Dla zdobycia kartki cukrowej żołnierz lub jego żona byli zmuszeni stać w ogonku przez całe godziny, a czasem pomimo tego odchodzili z pustemi rękoma i wracali następnego rana. Gdy zaś już uzyskał kartkę, stał na nowo przed drzwiami sklepu kolonjalnego i często, gdy przyszła nań kolej, dowiadywał się, że zapas został wyczerpany i na nowy trzeba czekać tydzień lub dłużej. Tymczasem gazety informowały go, że ładowanie wielkich lości cukru kolonjalnego wstrzymywane zostało przez władze francuskie. Widziałem wielu niezamożnych ludzi z prowincji, a niektórych i z Paryża, którzy przez cztery lata nie mieli w ustach odrobiny cukru, gdy zamożne warstwy spożywały go w obfitości.

W niektórych miejscach brakowało nawet chleba, gdy ciastka, pierniki i torty widniały w oknach cukierni; sprzedawano je po ogromnych cenach. Przedmioty nieposkromionego zbytku i jaskrawe przykłady niepohamowanej rozrzutności migały nieustannie przed oczami zbiedzonych ludzi, którzy uratowali naród i pragnęli, ażeby naród uznał ten fakt. Lukullusowe uczty, wystawne śniadania, całonocne bale, egzotyczne zabawy świadczyły o szczególnem usposobieniu i dobrobycie materjalnym biernych elementów w społeczeństwie i kłóły w oczy *poilus*. „Jaka może być sprawiedliwość na świecie", pytali, „jeżeli się tak prędko zapomina o bohaterskich czynach?". Pozostaje do całości obrazu jeszcze jeden szczegół, godzien Boccaccia. „Kiedy klasy bogate trwoniły pieniądze w stolicy, ciała wielu walecznych żołnierzy leżały niepogrzebane i nie przykryte na pooranych granatami polach bitwy pod Rheims, po drodze do Neuville-sur-Margival i w innych miejscach—widowisko, pokazywane podróżnikom, aby ich zaciekawić ponurem

obrazami wojny. Napróżno perswadowały jednostki i protestowała prasa. Nie dalej, niż w maju, osoby znane mi, a jedną z nich była moja sekretarka Angielka — patrzyły z uczuciem grozy na ciała ludzi, którzy byli za życia bohaterami. Leżały na tem samem miejscu, gdzie je śmierć zaskoczyła, a teraz ogrzane majowem słońcem, rozsypywały się w proch — o parę godzin drogi samochodem od Paryża... [1])

Żołnierze szemrali i narzekali. Od czasu wojny ulegli oni wielkiej przemianie duchowej. Ulokowani w głównym ośrodku hamowanego gwałtownego kryzysu, stracili uczucie zadowolenia z istniejącego porządku rzeczy i miejsca, które w nim zajmowała ich klasa. W obliczu śmierci byli poruszeni do głębi i czuli w sobie niszczący zapał. Rezygnacja ustąpiła miejsca uczuciu buntu, a bunt wszędzie znajdował poparcie. Zdemobilizowany *poilu* zachował swojego ducha wojennego, żył w atmosferze okopów. Pozbył się uczucia strachu, z którym razem znikła zdolność szanowania innych. Jego światopogląd zmienił się zupełnie, a jego umysł odwracał porządek społeczny, tak jak soczewka odwraca widziany przedmiot. Szacunek dla ludzi i instytucyj w niewielu przypadkach trwał dłużej po stracie szacunku dla życia i obawy śmierci. Pozatem był przejęty ważnem znaczeniem swojej klasy, na którą nauczył się patrzeć, jak na Atlasa, dźwigającego na swych ramionach Republikę i jej zamorskie posiadłości. Uratował państwo podczas wojny i pozostawał jego główną ostoją podczas pokoju. Z tą wartością własną, mierzoną swemi bezcennemi zasługami, porównywał niską ocenę, dawaną mu przez tych, co dotąd identyfikowali siebie z państwem — przekarmionych, leniwych, samolubnych zdobywców pieniędzy, którzy zagarniali dla siebie owoce jego ciężkiego trudu.

Można sobie wyobrazić — i sam rzeczywiście słyszałem coś podobnego — *poilus* tak rozumujących o swojej sprawie: „Dopóki wypełnialiśmy sobą przestrzeń, dzielącą naszych uprzywilejowanych rodaków od niosących śmierć Teutonów, byliśmy dobrze żywieni, ciepło ubrani, dobrze traktowani. Podczas wojny podniesiono nas do godności filarów państwa, wybawicieli narodu, sędziów losu świata. Nic nie było za dobre dla nas, póki stawialiśmy czoło nieprzyjacielskim armatom. Mieliśmy mięso, bułki, jaja, wino, cukier. A teraz, gdy skończyliśmy nasze zadanie—spadliśmy z tego wysokiego stanowiska i mamy

[1]) *Le Matin*, 31 maja 1919 r. Ciekawy przykład niedbalstwa władz opisuje ten sam dziennik. Do drewnianego krzyża z napisem, że grób zawiera zwłoki „nieznanego Francuza", przybito tablicę z nazwiskiem jego i nazwą pułku; gdzie niegdzie wśród trawy widniały czaszki bohaterów, gdy mogiły niemieckie były z czcią pielęgnowane przez niemieckich jeńców.

na nowo stać się parjasami. Mamyż pracować dla dawnej kliki, póki nas nie pogrąży w nową wojnę? Poco? Jaka jest nagroda za to, czegośmy dokonali, jaka jest zachęta do tego, co mamy zrobić? Nie możemy dziś pozwolić sobie na tyle strawy, ileśmy mieli przed wojną, ani na ten sam jej rodzaj. Brak nam najpotrzebniejszych rzeczy. Czy potośmy walczyli? Po tysiąc razy — nie. Jeżeli uratowaliśmy nasz naród, możemy także uratować naszą klasę. Mamy wolę i moc. Dlaczegóż ich nie użyć?".

Zamiary warstwy społecznej, z której w większości pochodzili ci demobilizowani żołnierze, stawały się coraz bardziej określone, w miarę tego jak rosła i nabierała otuchy ich siła zbiorowa. Przy sposobności ujawniła się otwarcie w kilku symptomatycznych wybuchach.

Pewnej nocy na wspaniałym balu prywatnym bawiło się wyborowe towarzystwo obu płci, należące do wyższego świata, gdy tymczasem szoferzy czekali na ulicy ciemnej i zimnej, snując gorzkie refleksje. Między godziną trzecią a czwartą w nocy urządzili zebranie i uchwalili rezolucję, która została niezwłocznie wykonana. Posłano do sali balowej delegację, która zakomunikowała lekkomyślnym gościom, że mają w ciągu dziesięciu minut być gotowi do powrotu do domu, inaczej nie zastaną swoich samochodów. Buntownicy byli w przeważającej większości prywatnymi szoferami osób, którym posłali to niedelikatne ultimatum. Pomysłowy gospodarz jednak zapobiegł niebezpieczeństwu i uspokoił wzburzonych szoferów, zaprosiwszy ich na improwizowaną ucztę z pasztetami z gęsiej wątróbki, wytrawnym szampanem i innemi przysmakami. Ogólny nastrój proletarjatu pozostał jednak bez zmiany. Opowiadania o zamieszkach, jeszcze bardziej niepokojące, kursowały po Paryżu — i prawdziwe czy fałszywe — pomagały ocenianiu sytuacji.

Podczas rozejmu rozwinęła się manja tańców, i to nie tylko w stolicy Francji. W Berlinie, Rzymie, Londynie wywołała oburzenie tych, którym zależy na rozwoju duchowego życia narodu. Wydawała się jednak naturalną reakcją po olbrzymiej klęsce narodowej, pod której ciężarem ugięła się główna sprężyna ducha zbiorowego i równowaga psychiczna została zachwiana. Rozczarowanie, smutek i pogarda dla niedawno odczuwanych namiętności pchnęła ludzi do szukania ulgi w rozrywkach, z których taniec jest może najbardziej niewinną. Tak samo było w Paryżu na schyłku długiego okresu niedoli, który się zakończył triumfami Napoleona. Tańczono wtedy wytrwale pomimo klęsk narodowwch i nędzy ogólnej. „Zbytek" —mówił Wiktor Hugo—„jest koniecznością w wielkich państwach i wielkich cywilizacjach, ale są chwile, w któ-

rych nie należy pokazywać go masom". Nie było nigdy warunków, w których niebezpieczeństwo takiego pokazu byłoby większe i groźniejsze, niż okres rozejmu na kontynencie, gdyż był to okres, w którym powoli dojrzewała najniebezpieczniejsza choroba społeczna państw cywilizowanych.

Uroczystości i zabawy wyższych warstw Paryża przypominają jaskrawe opisy gorączkowych dni stolicy austrjackiej podczas Kongresu Wiedeńskiego z przed stu lat. Tańce, często bezwstydne, stały się epidemją. W niektórych salonach przybierały odrażające formy. Jeden z moich przyjaciół, markiz X. zaproszony na bal do pewnego plutokraty, był tak zgorszony tem, co tam zobaczył, że po krótkiej chwili z uczuciem najwyższego niesmaku opuścił ten dom. Madame Machin, poszukiwana nauczycielka sztuki choreograficznej, dawała lekcje nowych rodzajów tańca i kazała sobie płacić po 300 franków za lekcję. Mówią, że w parę tygodni zebrała przeszło 100.000 franków.

Książę de Ligne mówił o Kongresie Wiedeńskim. *„Le Congrès danse, mais il ne marche pas"*. Prasa francuska wyrażała podobne sądy o Konferencji Paryskiej, kiedy delegaci zbierali od niechcenia informacje o krajach, o których losie mieli decydować. Następujący ustęp jednego z dzienników paryskich — jeden z wielu epizodów podobnych — opisuje charakterystyczną scenę:

„Domownicy hotelu Majestic, głównego miejsca zamieszkania Delegacji Wielkobrytańskiej na Kongres Pokojowy, urządzili w poniedziałek wieczorem wspaniałą zabawę tańcującą, w której wzięła udział Misja Brytańska i Sztab. W sali balowej była mieszanina delegatów i pokojówek, generałów i ordynansów, zagranicznych attachés i kelnerek. Widziano najmodniejsze rodzaje tańców, nie wyłączając *jazza i hésitation-walca;* według opinji znawców, taniec doszedł do niezwykłego stopnia doskonałości. Pomiędzy tancerzami był major Lloyd-George, jeden z synów prezydenta ministrów. P. G. H. Roberts, kontroler żywnościowy, wygłosił do personelu hotelowego doskonałą okolicznościową przemowę"[1]).

Następujący ustęp zasługuje również na przytoczenie:

„Wypełniony do ostatniego miejsca teatr oklaskiwał „Hallo Paris" od podniesienia kurtyny aż do końca w nowym Palace-Theatre (na rue Mogador) wczorajszego wieczora... Prezydent Wilson, pan A. J. Balfour i lord Derby pozostali do końca przedstawienia o godzinie 12 m. 15 i... byli gorąco oklaskiwani przez rozchodzącą się publiczność, gdy przechodzili wzdłuż szeregów straży municypalnej, która prezentowała broń przed dostojnymi gośćmi, zmierzającymi do swych samochodów"[2]).

W zestawieniu z troskami, niezadowoleniem i niedolą szerokich warstw ludności, które dostarczyły najwięcej ofiar Molochowi wojny, ostentacyjna wesołość garstki szczęśliwych mogła się wydawać wyzywającą. Tak też ją rozumieli obdarci bie-

[1]) *Daily Mail* (wydanie kontynentalne), 12 marca 1919 r.
[2]) Tamże, 23 kwietnia 1919 r.

dacy, wałęsający się po ulicach Paryża, mówiąc sobie nawzajem, że niedługo przyjdzie ich kolej.

Kiedy masy przyglądają się bogaczom wzrokiem, tak często spotykanym w pełne wydarzeń dni rozejmu, można z całą pewnością stwierdzić słowami Wiktora Hugo: „Nie myśli kryją się w tych mózgach, ale czyny".

Klasy pracujące przyglądały się ze źle ukrytą niechęcią szeregowi uroczystości, przedstawień teatralnych, rozmaitym tańcom murzyńskim, jak i innym, mniej wyrafinowanym przyjemnościom świetnej stolicy świata. Często widywano sznury samochodów, jadących ku teatrom, modnym restauracjom lub salom koncertowym; przez otwarte drzwi widać było jaskrawe światła, gdy o parę kroków stały sznury wynędzniałych kobiet i mężczyzn, czekających na wpuszczenie do sklepów, gdzie można było dostać mleka, jaj i opału za niższe ceny, ustanowione przez rząd. Urywki rozmów, dolatujące do uszu, były dalekie od tego, aby mogły nie wywoływać obaw.

Jednocześnie widywałem międzynarodowych odnowicieli świata, uśmiechniętych, zadowolonych z siebie lub zamyślonych, jak pędzili samochodami na Quai d'Orsay, i ludzi milczących a krzepkich, kroczących po śniegu i błocie na zebrania robotnicze, gdzie również mieli kreślić prawa dla nowej, osobliwej ery. Mimowoli zaczynałem mierzyć odległość, dzielącą te dwie sfery, zapytując sam siebie, które z powstających prawodawstw będzie ostatecznie przez świat przyjęte. Od tego czasu pytanie to doczekało się częściowej odpowiedzi. Wysokie koszty utrzymania były, jak widzieliśmy, tłumaczone powszechnie nienasyconą chciwością pośredników i niedołęstwem władz; ich nieumiejętność organizacji i niechęć ponoszenia odpowiedzialności rosła i źle wróżyła o przyszłości kraju, o ileby ster rządu nie przeszedł w ręce ludzi odmiennego typu. Faktycznie nie robiono nic, aby podnieść sprawność kolei, zużytkować drogi wodne, wyzyskać niezliczone platformy i samochody ciężarowe, stojące bez użytku, aby kupić, przewieźć i rozdzielić zapasy żywności, które były do rozporządzenia rządu. Rozmaite departamenty ministerjalne spierały się o to, do kogo należą zakupy mięsa i jarzyn, posyłano sobie wzajemnie raporty, zawiadomienia i odpowiedzi, a tymczasem mijały miesiące, w ciągu których zapasy żywności stawały się niezdatne do spożycia. Naprzykład w połowie maja w dokach Marsylji zgniło 2401 skrzyń słoniny i 1418 skrzyń solonego mięsa. W składach Murumas zepsuło się 6000 tonn solonego mięsa tylko dlatego, że nie wiedziano, kto ma je zabrać i rozdzielić. W czerwcu przybyło do Paryża z Hawru osiemnaście wozów-chłodni, naładowanych mrożonem mięsem. Kiedy je obejrzano na stacji, okazało się, że drzwi były przez niedbalstwo otwarte i cały

transport doszczętnie zepsuty [1]). Sprowadzono z Belgji 108.000 kilo kartofli, którym pozwolono leżeć tak długo na jednej ze stacyj, aż się zepsuły i trzeba było je wyrzucić. Kiedy zaczęto te fakty ogłaszać, władze, dotąd milczące, próbowały się bronić, ale pozostały bezczynne. Stosunki w innych krajach, choć mniej jaskrawe, były podobne.

Jeden z wybiegów, praktykowanych przez nieuczciwych handlarzy bezkarnie a z zyskiem, był szczególnie pomysłowy. Na rynku centralnym wszystkie produkty, uznane za zepsute, były zabierane przez urząd zdrowia publicznego, który wypłacał właścicielowi pełną ich wartość po bieżącej cenie rynkowej. Handlarze wyzyskiwali to sprawiedliwe zarządzenie w ten sposób, że przechowywali wielkie ilości wybornych warzyw, niezmiernie poszukiwanych przez ludność, a kiedy one zgniły i miały być wywiezione, dostawali za nie zapłatę w departamencie zdrowia publicznego; w ten sposób osiągali swój cel: zmniejszali podaż i podnosili cenę towaru, jaki im jeszcze pozostał do zbycia [2]). Skutkiem tego Paryż cierpiał nieustannie na brak jarzyn i owoców. Statystyki, wydane przez rząd Stanów Zjednoczonych, wskazują wzrost maksymalny kosztów utrzymania w czterech krajach, jak następuje: Francja — 235%, W. Brytanja — 135%, Kanada — 115%, Stany Zjednoczone — 107%. Ale od czasu ogłoszenia tych cyfr ceny wzrastały nieustannie, aż wreszcie na początku lipca doszły do tych rozmiarów, co i w Rosji w przeddzień rewolucji. W Paryżu, Lionie, Marsylji ceny ryb, raków, konfitur, jabłek doszły do 500%, kapusty — przeszło 900%, selerów — 2000%. Antracytu, który w r. 1914 kosztował 56 franków tonna, nie można było w r. 1919 kupić taniej niż 360 franków za tonnę. Restauracje i hotele wypowiedziały prawdziwą wojnę rabunkową swoim gościom, których większość poza niesłychanemi cenami, stojącemi poza jakimkolwiek rozsądnym stosunkiem do kosztów produkcji, musiała jeszcze płacić rządowi 10% i więcej podatku od zbytku. Znany korespondent jednego z dzienników zaprosił siedmiu przyjaciół na zwyczajny obiad w skromnej restauracji i zapłacił 500 franków, z których 90 franków policzono za kurę, a 28 za trzy porcje zupy. *Maitre d'hôtel* w odpowiedzi na reklamację zapewnił go, że z tej sumy nie zostaje dla właściciela prawie żadnego zysku. Ale przypadkiem dziennikarz badał koszty utrzymania i miał wszystkie dane w pamięci. Kiedy je wyłożył właścicielowi, a przytem wiedział, dokąd ma się udać z dalszą reklamacją, uzyskał 150 franków rabatu [3]).

---

[1]) *New York Herald* (wydanie paryskie), 8 czerwca 1919 r.
[2]) *New York Herald*, 2 czerwca 1919 r.
[3]) *Le Figaro*, 8 czerwca 1919 r.

Niezmiernie jaskrawy jest następujący ciekawy obraz, podany przez dziennik, którego przedstawiciel badał specjalnie całą kwestję kosztów utrzymania [1]). „Któregoś dnia jadłem obiad w restauracji lasku Bulońskiego. Długi sznur ludzi czekał pode drzwiami — było tam, jak mówiono, około sześćdziesięciu osób, przeważnie pań, które się cisnęły gwałtownie. Od czasu do czasu jakiś głos wołał: „Dwa miejsca!", poczem drzwi się otwierały, dwoje cierpliwych wchodziło, potem zatrzaskiwały się głośno, uderzając tych, co stali bliżej. Wreszcie przyszła moja kolej i wszedłem. Goście siedzieli tak ciasno przy sobie, że nie mogli poruszać łokciami; tylko dłonie i palce mieli swobodne. Siedziały tam półnagie kobiety i ludzie, których głos i strój ujawniały świeżo zdobyte bogactwo. Nikt z nich nie kwestjonował podawanych rachunków. A co za rachunki! *Hors d'oeuvre* 20 franków, ryba 90 fr., kura 150 fr., trzy cygara 45 fr. Najtańszy obiad wynosił 250 franków na osobę. Inny dziennikarz tak tłumaczył ten fakt: „Od końca czerwca" — mówi on — „445.000 kwintalów warzyw zostało zaofiarowanych Francji z Palatynatu po cenach nominalnych. A ceny warzyw w kraju były niepomiernie wysokie. Umowa została przyjęta przez kompetentną komisję w Paryżu. Wszystko było gotowe do jej wykonania. Potrzebne pociągi były przygotowane. Trzeba było tylko zezwolenia władz francuskich, które o tem zawiadomiono. Ale odpowiedź ich nie nadchodziła i warzywa gniły w składach". Władze broniły się niedostatecznością środków przewozowych, ale prasa odsłaniała płytkość takich argumentów i brak poczucia odpowiedzialności w tych, co je wysuwali, i wykazywała, że tysiące wozów, platform, samochodów ciężarowych stało bez użytku, niszczejąc na powietrzu. Naprzykład między Cognac a Jarnac kolej państwowa pozostawiła bez użytku około tysiąca wagonów, które szybko ulegały zniszczeniu [2]). A był to jeden z wielu podobnych faktów.

Trudno znaleźć w historji równe przykłady chciwości, połączonej z brakiem skrupułów i sprytem, jaką odznaczyły się w tej epoce nieuczciwe jednostki, pomimo tego nie ukarane przez państwo. Bez wątpienia Francja nie była jedynym krajem, gdzie chciwość była nienasycona, a objawy jej katastrofalne.

Z innych stron kontynentu dochodziły gorzkie narzekania na bezwzględność wyzyskiwaczy, a we Włoszech ich nielitościwy wampiryzm przyczynił się do wybuchu lipcowych zamieszek po całym kraju. Nawet W. Brytanja nie była wolna od klęski. Ale obecność *całych armij dobrze płatnych*

[1]) *L' Humanité*, 10 lipca 1919 r.
[2]) *La Démocratie Nouvelle*, 14 czerwca 1919 r.

zaopatrzonych we wszystko wojskowych i urzędników cudzoziemskich na francuskiej ziemi pomagała rozwijaniu się chciwości, a skargi cudzoziemców roznosiły wieści o niej po całym świecie. Niezmiernie silne wrażenie wywarł ten stan rzeczy na niektóre grupy wojsk amerykańskich. Kiedy żołnierze Stanów Zjednoczonych po długim pobycie w mieście francuskiem zostali przeniesieni do Niemiec, gdzie ceny były niskie, zwrot w uczuciach prostych, uczciwych yankesów był bardzo silny. I żeby zachować ich w granicach prawomyślności politycznej, powiedziano, że Niemcy sprzedają im towary po cenach niżej kosztu, aby ich zniechęcić do Francuzów; miała to być zdradziecka forma niemieckiej propagandy. Z drugiej strony, doświadczenia angielskich i amerykańskich wojaków we Francji bywały czasami tak niefortunne, że wielu z nich dawało wiarę bezmyślnej a złośliwej plotce, jakoby rządy ich miały płacić rentę za okopy, w których wojska ich walczyły i umierały, a nawet za mogiły, w których grzebano poległych.

Pewien mój znajomy, delegat amerykański, potrzebował mieszkania na czas Konferencji, a znalazłszy odpowiednie, za które komorne, w wysokości 15—25 tysięcy franków rocznie wydawało się zupełnie wystarczające, zapytał o cenę; właściciel, wiedząc, że ma do czynienia z bogatym Amerykaninem, odrzekł: „Ćwierć miljona franków", a gdy po pewnym czasie posłał, aby się dowiedzieć, czy mieszkanie będzie wynajęte, dostał odpowiedź: „Nie, na to mam za dużo szacunku dla samego siebie".

Ceny hotelów w Paryżu, zaczynając od grudnia 1918 r., były dostępne tylko dla bogaczy. Podniosły się jednak kilkakrotnie podczas Konferencji; później zaś pomimo wysokości, jaką osiągnęły na początku lipca, wzrosły w niektórych hotelach pięciokrotnie, a w wielu podwoiły się w ciągu tygodnia uroczystości pokojowych. Ceny mieszkań i domów podnosiły się w podobnym stosunku.

Charakterystyczna była jedna z przyczyn tego bajecznego wzrostu komornego. Podczas wojny i rozejmu rząd francuski— i nie tylko francuski—ogłosił moratorjum; przestano płacić komorne i wielu właścicieli domów zbiedniało, niektórzy wpadli w prawdziwą nędzę. Chcąc więc wynagrodzić sobie poniesione straty, zaczęli wyzyskiwać swoich lokatorów—rodaków i cudzoziemców, jak tylko nadarzyła się do tego sposobność. Ciekawe zdarzenie, wynikłe z moratorjum, wyszło na jaw w ciągu pewnego procesu. Pomysłowy lokator, gnany żądzą zysku, nie zadawalał się zajmowaniem mieszkania bez płacenia komornego i odnajął je za wysoką cenę komuś innemu. W mieszkaniu sublokatora wybuchnął pożar i sam on wkrótce umarł. Wtedy lokator zażądał i dostał znaczną sumę od towarzystwa, gdzie zmarły

miał ubezpieczone meble i sprzęty domowe. Potem wystąpił do sądu przeciwko właścicielowi domu o zwrot strat, spowodowanych przez pożar, i wygrał proces. Nieszczęsny właściciel musiał zapłacić przysądzoną sumę i koszty procesu [1]). Ale nie mógł wydostać komornego.

Dezorganizacja we Francji, szczególniej zaś w Paryżu, graniczyła z chaosem. Wszyscy czuli jej skutki, ale nikt tak dotkliwie, jak ludzie, którzy wygrali wojnę. Demobilizacja, rozpoczęta wkrótce po rozejmie i znów przerwana, posuwała się żółwim krokiem. Wracający do kraju żołnierze posyłali setki listów do gazet, skarżąc się na uciążliwe przerwy w podróży i dokuczliwe braki, które musieli znosić bez żadnej potrzeby. Naprzykład, chociaż w dwadzieścia osiem godzin odbyli drogę z Hanoweru do Kolonji koleją niemiecką, a więc względnie dobrze zorganizowaną—droga od Kolonji do Marsylji zajęła im całe dwa tygodnie [2]). W drodze przez Niemcy mieli wagony ogrzewane, dostawali dwa razy dziennie gorącą zupę i kawę; w drugiej połowie podróży, w ciągu czternastu dni nie dostali żadnych płynów, gorących ani zimnych. „O ludzi dbano znacznie mniej, niż o konie". Trudno się dziwić, że *poilus* zwrócili się w tych warunkach przeciwko rządowi i ludziom odpowiedzialnym za to karygodne niedbalstwo. Jeden z nich pisał: „Oni boją się bolszewizmu. Ale my bezdomi, oczekujemy jego przyjścia". Nie mówię tu naturalnie o prawdziwym bolszewizmie, ale o tym nawet, który oni malują odrażającemi barwami [3]). Stan komunikacji pocztowej i telegraficznej był na tym samym poziomie. Nie było żadnej gwarancji, że zapłacona depesza będzie wysłana, albo jeśli zostanie wstrzymana, że wysyłający będzie o tem powiadomiony. Zarządzenia wojenne trwały i podczas rozejmu. A były niesłychanie złe. Komisja, wyznaczona przez Izbę deputowanych dla urzędowego zbadania tej kwestji, stwierdziła, że w biurze telegraficznem paryskiem zatrzymywano 40.000 depesz dziennie—to znaczy 58.400.000 depesz w ciągu czterech lat! [4]). I to z samej stolicy. „Większość depesz nie była wcale dostarczona, inne z wielkiem opóźnieniem. Rzucano je przeważnie do kosza, a gdy był pełny, niszczono.

Sekcja kontroli nie wglądała w to, i ani wysyłający, ani adresanci nie byli zawiadamiani [5]). Ten sam los spotykał nawet ważne depesze ambasadorów neutralnych w Rzymie i Londynie.

---

[1]) *Le Figaro*, 6 marca 1919 r.
[2]) *L'Humanité*, 6 marca 1912 r.
[3]) Tamże.
[4]) *Le Gaulois*, 23 marca 1912 r.; *New York Herald* (wydanie paryskie), 22 marca 1619 r.; *L'Echo de Paris*, 12 czerwca 1919 r.
[5]) *New York Herald*, 22 marca 1919 r.

Niedbalstwo tych cenzorów, którzy nieraz niszczyli telegramy bez czytania, doszło do tego, że wstrzymali w ten sposób obstalunki rządowe dla wielkich fabryk amunicji i jedna z nich była zmuszona przerwać pracę z powodu braku materjałów. Ambasador francuski w Szwajcarji donosił, że z powodu tych całopaleń nie doszły nigdy miejsca swego przeznaczenia znaczne zamówienia na francuską pożyczkę narodową i wskutek tego naród francuski stracił dziesięć do dwudziestu miljonów franków. Listy i telegramy, które przeszły przez cenzurę, były dostarczane tak niedbale, że wiele ich ginęło w drodze, inne przychodziły z tak wielkiem opóźnieniem, że traciły swą wartość dla adresanta. Naprzykład oficjalny list ministra handlu do ministra finansów w Paryżu został wysłany do Kalkuty, skąd francuski konsul generalny skierował go z powrotem do Paryża. Korespondentowi *Echo de Paris*, wysłanemu do Szwajcarji, pozwolono przewieźć przez granicę tylko 1000 franków, a administracji dziennika wolno było wysyłać mu naraz, nie więcej niż 200 franków. Przekaz telegraficzny na 200 franków, wysłany przez dziennik, został wstrzymany przez cenzora. Minęło jedenaście dni bez zawiadomienia interesowanych osób. Kiedy administrator dziennika zainterpelował głównego cenzora, ten uchylił się od odpowiedzialności, wskazując na centralną kontrolę telegraficzną, jako na wydział kompetentny w tych sprawach. Tam jednak nikt nie był winien, nikt nie słyszał o zatrzymaniu telegramu. W ciągu następnego dnia dowiedziano się, że odpowiedzialny za to jest jedynie wydział ekonomiczny ministerjum wojny. Niezmordowany administrator *Echo de Paris* zgłosił się do owego wydziału, który nie wiedział nic o tym fakcie, ale obiecał zebrać informacje. Wkrótce potem zawiadomił gorliwego wydawcę, że rozkaz mógł być wydany tylko przez urząd wymiany ministerjum finansów. A przez cały ten czas korespondent był w Zurychu bez pieniędzy, nie mogąc nawet wysyłać depesz i płacić hotelowych rachunków [1]). Samo ministerjum spraw zagranicznych charakteryzuje w swem sprawozdaniu sekcję kontroli telegraficznej jako „organ zamieszania i nieładu, który przyczynił się do niezwykłych nadużyć i mógłby poważnie skompromitować rząd" [2]). Trzeba stwierdzić, że nie tylko mógłby, ale istotnie skompromitował i rząd, i klasę rządzącą.

Zdawało się, że kierownicy Francji nieświadomie powodowali się zasadą Richelieu'go, który w swym testamencie pisał: „Jeżeli narody posiędą zbyt wielki dobrobyt, trudno je będzie utrzymać w karbach obowiązków". Im potrzebniejsze były po-

[1]) *L'Echo de Paris*, 12 czerwca 1919 r.
[2]) *New York Herald*, 22 marca 1919 r.

mysłowość i kierownictwo, tembardziej wzmagały się niedbalstwo i zamieszanie. „Niema zgodności i jedności w postępowaniu departamentów wojny, robót publicznych, aprowizacji, transportów" — pisze organ prasowy mas. — „Wszystkie te urzędy wchodzą sobie wzajemnie w drogę, ścierają się i paraliżują swe działania. Niema metody. A więc, choć Francja ma na cały rok kawy, nie ma opału nawet na tydzień. Konieczne są skrupuły, nie tylko kary; wszędzie jest spekulant, który ofiaruje pieniądze, ale jest i urzędnik, zawiadowca albo pomocnik, który wyciąga rękę... Krótkowzroczność, nieład, rozrzutność, trwonienie grosza publicznego i brak odpowiedzialności: oto nasz bilans [1]). Widok kraju wpadającego w odmęt nie budził wiary w klasy przodujące. Ze wszystkich stron podnosiły się głosy nie przeciwko gabinetowi, którego członkowie kierowali się pobudkami patrjotycznemi, lecz przeciwko całej klasie, z której on wyszedł, i to nie tylko we Francji, ale w całej Europie. Trudno o większe klęski, mówiono, niż te, które spadły na kraj z winy jego kierowników, i niema odpowiedniejszego momentu dla zastąpienia burżuazji przez proletarjat.

W rzeczywistości burżuazja niecierpliwiła się z powodu ograniczeń i nadużyć równie często, jak wracający do kraju *poilus*. Klasy średnie były podczas rozejmu narażone na najbardziej dokuczliwe ograniczenia, jakie może usprawiedliwić tylko wojna. Były one pozbawione komunikacyj. Używanie telegrafu, poczty, telefonu było tylko wyrazem dziecinnej łatwowierności, gdyż kończyło się przeważnie stratą czasu i pieniędzy. Ten stan rzeczy wołał o niezwłoczną radykalną poprawę, gdyż drażnił ludzi, których imię było legjon. Była to też cząstka niedostrzegalnego procesu rewolucyjnego, podobnego do tego, który się odbywał w innych krajach, a polegał na przechodzeniu bogactw i praw od jednej klasy do drugiej i na podsycaniu buntu tych, którzy nie mieli nic do stracenia przy „gwałtownej zmianie ustroju polityczno-społecznego". Rząd, kierowany przez Clemenceau, miał mało czasu na zaradzenie tym biedom. Głównem zadaniem jego było przywrócenie pokoju. Nie orjentował się jednak co do powagi niebezpieczeństwa. Było rzeczą oczywistą, że to, co się zrobi dla dobra pokoju na Konferencji, może być unieważnione przez skutki niedopatrzeń i zaniedbania w kraju. Podczas rozejmu żadne z państw sprzymierzonych nie zajmowało się polityką odbudowy. Słyszano tylko retoryczne nawoływania do ograniczenia wydatków.

Strajki, zorganizowane przez związki rewolucyjne, których celem było zwalenie ustroju, pozwalającego na rozkwit tych potworności, wywołały wreszcie pewne wrażenie w parlamencie.

[1]) *L'Humanité*, 23 maja 1919 r.

Pewnego dnia, w lipcu, Izba francuska wyraziła gabinetowi votum nieufności w następującej rezolucji: „Izba, stwierdzając, że koszty utrzymania w Belgji od czasu rozejmu obniżyły się o połowę, w Anglji zaś czterokrotnie, gdy we Francji rosną od tej chwili nieustannie, ocenia politykę ekonomiczną rządu według osiągniętych rezultatów i przechodzi nad nią do porządku dziennego" [1]).

Wkrótce potem ta sama Izba odwołała rezolucję i uchwaliła votum zaufania dla rządu. W Wielkiej Brytanji również Izba Gmin wywarła presję na rząd i zmusiła go do działania.

Z drugiej strony, nieopatrzne zarządzenia władz prowadziły do nadużyć, a nieudolność ich przedstawicieli stawała się źródłem bezmyślnej rozrzutności. We Francji moratorjum i zwolnienie od podatków było podnietą do lekkomyślności. Ludzie, którzy przed wojną składali swe oszczędności, teraz zwolnieni od podatków, swobodnie wydawali pieniądze na zbytki, a potem strejkowali, aby uzyskać wyższe wynagrodzenie za pracę.

Nawet deputowani Izby, którzy nie zrobili nic dla polepszenia sytuacji, wyrazili życzenie, żeby ich diety — 600 funtów rocznie — zostały powiększone w stosunku do wzrostu kosztów utrzymania; ale wobec zwrotu opinji publicznej przeciwko parlamentaryzmowi rząd uznał za rzecz niepolityczną poruszanie tej kwestji w obecnej chwili.

Większa część wymagań robotniczych we Francji i Anglji została spełniona, ale ulga, jaką to przyniosło, była iluzoryczna, gdyż ceny wzrastały ciągle i stan zamożności w istocie nie poprawiał się wcale. A ponieważ wynagrodzenie za pracę ma swoje granice, ceny zaś mogą wzrastać do nieokreślonej wysokości, rozgoryczony robotnik doszedł do przekonania, że tylko przez zorganizowanie się los jego może się poprawić. Mówiono mu zresztą, że jedynem rozwiązaniem kwestji jest zapanowanie nad klasami panującemi i przebudowanie maszyny społecznej na zupełnie nowych podstawach [2]). I niektórzy z kierowników istotnie oświadczali, że nie widzą możności innego wyjścia z danej sytuacji.

---

[1]) 18 lipca 1919 r. *Matin, Echo de Paris, Figaro,* 10 lipca 1919 r.
[2]) *L'Humanité* (organ syndykalistów francuskich), 11 lipca 1919 r.

ROZDZIAŁ II.

OZNAKI CZASU.

SPOŁECZEŃSTWO uległo przez ostatnie lata okresu przejściowego zmianom, których rozległości i doniosłości nie jesteśmy jeszcze w możności ocenić. Najbardziej uderzającemi objawami ich są: stopniowy rozkład cesarstw i królestw, zmierzch ich bogów, wyschnięcie źródeł energji duchowej i zamęt psychiczny w jednostkach i zbiorowości, spowodowany długą i okropną wojną. Zasady polityczne, poszanowanie władzy i tradycji, uznanie dla wyższych wartości moralnych, nie mówiąc już o altruizmie i duchu obywatelskim, wszystko to znikło albo się stało rozwiewną ułudą. W historji współczesnej prądy i wiry powstały tak liczne i niespodziewane, że niełatwo określić kierunek najgłówniejszych. Tendencje przeciwspołeczne obok wysiłków zbiorowych służą za broń przeciwko zbiorowościom większym, a każdy z tych objawów bywa uważany za wyraz zasad demokratycznych. Świat przez swe wpływowe pierwiastki przeciwstawiał się każdemu rodzajowi władzy, a wybuchy namiętności klasowych i indywidualnych nigdy nie miały większej swobody.

Prądy konserwatywne, a później kierownicy ich na konferencji Pokojowej systematycznie prowadzili do tego celu za pomocą swych szlachetnych zamiarów i skutecznych środków.

Przeczyli oni stanowczo istnieniu w narodzie czy rasie, zarówno jak w jednostce, czegoś odmiennego, wrodzonego, trwałego, co możnaby określić jako duszę albo charakter, i działali, opierając się na tem zaprzeczeniu. Przeoczali oni fakt, że wszystkie narody i rasy są różnego wieku i posiadają różne właściwości; jedne z nich są młode i bezbronne, inne męskie i silne, a trzecia kategorja — starzejące się i niedołężne, i że są rasy, które sama natura uczyniła zupełnie i na zawsze niezdolnemi do tego, aby mogły stać się pionierami postępu. Stosownie do swych zapatrywań, które ośmielam się uważać za błędne, traktowali oni w jednakowy sposób wszystkie państwa.

Podobnie jak prezydent Wilson, który, starając się narzucić swe poglądy na demokrację i swe wzniosłe ideje o moralności

politycznej Meksykowi, wtrącił ten kraj w odmęt anarchji, tak samo dwa rządy anglosaskie, narzucając rozmaitym państwom Europy swoje teorje o prawach mniejszości i inne koncepcje polityczne, przyczyniły się do zwątlenia ich budowy polityczno-społecznej.

Temi i innemi kanałami trucizna przenikała do samego rdzenia organizmu społecznego. Nawet mowa, jako organ obcowania ludzi, została przystosowana do służenia niezdrowym ambicjom, egoistycznym interesom i do zamydlania oczu tym, którzy pragnęli prawdziwych reform i nieosłoniętej niczem prawdy. Podczas wojny nigdy nie mówiono wojskom, za co walczą; oficjalnie oznajmiano im, że walczą za sprawiedliwość, prawo, niezależność, świętość traktatów i inne pojęcia oderwane, o których bohaterscy żołnierze nie myśleli nigdy, a ludność cywilna tłumaczyła je sobie inaczej. Istotnie hasła te były tak mało rozumiane, nawet przez najinteligentniejszych z polityków, którzy je wysuwali, że połowa świata trudzi się jeszcze mniej lub więcej świadomie nad wypracowaniem postulatów przeciwnych im i wyklina drugą połowę za obronę niesprawiedliwości, gwałtu i chciwości przybranych w inne, fałszywe nazwy.

Anglosasi, obejmując kierownictwo ludzkością, naśladowali państwa katolickie ubiegłych czasów i zaczęli narzucać innym narodom własne ideje, praktyki i instytucje, jako najbardziej zdolne do rozbudzenia drzemiącej energji i przyczynienia się do odbudowy społecznej świata. Tymczasem mowa w zastosowaniu do historji, dziennikarstwa czy dyplomacji została zmieniona, słowa utraciły swój dawny stosunek do wyrażanych rzeczy i uroczyste obietnice były uroczyście łamane w imię prawdy, prawa lub sprawiedliwości. Nowa era dobrej woli, sprawiedliwości i moralności rozpoczynała się—choć się to wydaje dziwnem — od powszechnego niszczenia obowiązujących traktatów i gwałcenia najbardziej obowiązujących umów. Stało się to jednocześnie z ogólnem powstaniem przeciwko skrępowaniom moralnym i społecznym, które wywołała wojna, i w harmonji ze stałem gwałceniem prawa przez siłę, charakteryzującem obecną epokę, wraz z zanikiem poczucia prawa. Słowem, pod opieką samorzutnych reformatorów świata, rosło i rozszerzało się dążenie od bolszewizmu—pouczający przykład ludu, służącego czartu pod opieką najbardziej oddanych Bogu jednostek.

Jak w czasach despotów włoskich, ma dziś każda jednostka w wielu państwach możność zdobycia najwyższego stanowiska, niezależnie od swej przeszłości i plam, które ją skalały. Ani pochodzenie arystokratyczne, ani duch obywatelski, ani nawet nieskazitelna przszłość nie jest niezbędnym warunkiem powo-

dzenia i wyniesienia. W Niemczech głową rzeczypospolitej jest poczciwy stolarz. W Austrji kierownikiem rządu aż do czasów ostatnich był zabójca premjera. Szefem państwa ukraińskiego był wychowaniec przytułku. Trocki, jeden z duumwirów rosyjskich, ma w swej przeszłości wspomnienia, tłumaczące zmianę jego nazwiska, które brzmiało Bronstein. Bela Kuhn, semicki dyktator Węgier, miał opinję złodzieja, zanim wzniósł się na stanowisko wielkorządcy Madjarów.

Słowem, ideał Napoleona został wreszcie zrealizowany: „*La carrière est ouverte aux talents*".

Pomiędzy charakterystycznemi rysami ginącej epoki należy wymienić nieumiejętność uczenia się z faktów, które sprzeciwiają się umiłowanym przesądom, celom i interesom. Ludzie wyciągają z faktów, którym nie mogą zaprzeczyć, tylko takie wnioski, jakie im dogadzają. Ciekawy tego przykład zdarzył się w Paryżu, gdzie organ syndykalistów [1]) opublikował interesujące a prawdziwe sprawozdanie z chaotycznego zamieszania, nędzy i niezadowolenia, panującego w Rosji, oraz dzikiego okrucieństwa i lisiej przebiegłości Lenina. Ponury obraz mówił o drożyznie, dezorganizacji transportu, strasznej śmiertelności, spowodowanej skutkami wojny, przepełnionych więzieniach, teatrach, kinematografach i salach tańca, przedsiębiorcach, używających do robót jeńców wojennych, gdy tysiące zdemobilizowanych żołnierzy wałęsało się po miastach i wsiach w próżnem poszukiwaniu pracy, o braku wolności osobistej, o licznych aresztach i o względnej popularności dyktatora. Tę popularność miała, jak mówiono, popierać prasa, szczególniej od czasu zamachu na jego życie, kiedy pisma twierdziły, że Lenin był niezastąpiony dla kraju.

Sam on był opisany jako okrutny despota, bezlitosny jak tygrys, napełniający przerażeniem całe otoczenie. „Ale nie ma żadnych złudzeń co do istotnych uczuć członków Sowietu, którzy stoją za nim, ani też sam on nie dba o ukrywanie swojego do nich stosunku... Gdy sprawa dotyczy Lenina, wymiar sprawiedliwości jest szybki. Niektórzy ludzie są uwalniani z więzień po wielu latach aresztu prewencyjnego bez sprawy sądowej; inni, którzy strzelali do Kiereńskiego, są więzieni przez czas nieokreślony, a dzielny patrjota rosyjski, który wymierzył rewolwer do Lenina i którego słusznie oklaskiwała prasa francuska, czekał tylko trzy tygodnie na wyrok śmierci".

Artykuł ten, drukowany w organie syndykalistów, wywarł wrażenie. Niektóre pisma streszczały go i komentowały z uznaniem, dopóki nie wyjaśniono, że jest to humoreska na temat

[1]) *L'Humanité* 6 i 18 marca 1919 r.

obecnych stosunków we Francji, a przeto „exposé oparte na przekonywających wnioskach" i „ważkie argumenty" straciły swą całkowitą wartość [1]).

Dwa procesy polityczne, odbywające się w Paryżu podczas Konferencji, były lekcją poglądową, która wyjaśniła trudność tworzenia praw na sposób anglosaski dla państw obcych i zrozumienie ich psychologji. Procesy te pozwoliły delegatom ocenić odległość, jaka dzieli Anglosasa od kontynentalnego sposobu myślenia i działania w tak zasadniczej kwestji, jak wymiar sprawiedliwości.

Raul Tillain, morderca Jana Jaurèsa, najwybitniejszego statysty Francji, był trzymany w więzieniu prawie przez pięć lat bez rozprawy sądowej. Zamordował swą ofiarę z zimną krwią. Wyznał i usprawiedliwił swój czyn. Wszyscy świadkowie byli zgodni w zeznaniach. Przed trybunałem jednak przeszła cała procesja ministrów, historyków i profesorów, opowiadając szczegółowo biografję, poglądy i dążenia ofiary, która w oczach cudzoziemca, nieobeznanego z temi metodami, mogła wydać się prawdziwym złoczyńcą. Sąd uniewinnił mordercę.

Drugim oskarżonym był lekkomyślny młodzieniec, który strzelał do francuskiego prezydenta ministrów i zranił go. Ten jednak nie czekał długo na proces. Stawiono go przed trybunałem po trzech tygodniach więzienia i szybko skazano na śmierć [2]). Tak więc morderca został uniewinniony, a niedoszły zabójca otrzymał wyrok śmierci. „Wyobraźmy sobie, że te sądy odbywały się w moim kraju" — zauważył delegat jednego z państw wschodnich—„i że jeden z osądzonych był członkiem uprzywilejowanej mniejszości: co za hałas byłby z tego powodu w Stanach Zjednoczonych i w Anglji! Ale ponieważ to się stało w Europie Zachodniej, więc przeszło bez wrażenia".

Jak bardzo różnią się narody kontynentalne od Anglosasów w swoich poglądach i w traktowaniu innych kategoryj zagadnień społecznych, możemy osądzić z faktu, że Wielka Rada w Bazylei przyjęła projekt prawa, wniesiony przez socjalistę Welti, dozwalający na sztuczne poronienie przed 3-im miesiącem ciąży, za zgodą męża i żony, a w wypadkach, gdzie niema małżeństwa, na żądanie kobiety—z warunkiem, ażeby operacja była robiona przez fachowego lekarza [3]).

Inny uderzający przykład różnicy pojęć narodów anglosaskich i kontynentalnych przedstawia następujący wstrętny dokument, którego nie może ominąć historyk, zmuszony do rzucenia światła krytyki na ciemne zakamarki cywilizacji. Jest to znamienne rozporządzenie sztabu generalnego 256-ej brygady

[1]) *L' Humanité*, 10 kwietnia 1919 r.
[2]) Wyrok został później zmieniony.
[3]) *La Gazette de Lausanne*, 26 maja 1919 r.

armji okupacyjnej dla 12 dywizji z dnia 21 czerwca 1919 r., wydrukowane w organie syndykalistów francuskich, L'Humanité, dnia 7 lipca 1919 r. [1]).

Co najważniejsza, dokument ten został wydany, jako zwykły regulamin, wydrukowany w szeroko rozpowszechnionym dzienniku stołecznym bez wywołania jakichkolwiek komentarzy; rzuca to mocne światło na najciemniejsze zakątki cywilizacji, tak często i tak wymownie chwalonej.

Prądy nowego życia moralnego, którym konferencja miała dać początek, są jeszcze nieco słabe: nowe ideały — dotychczas odległe, a zwiastuny szlachetniejszej przyszłości—nikłe. O innym objawie przemiany, która się dokonywa w świecie, donoszą z Dalekiego Wschodu, ale pozostał on prawie niedostrzeżonym,

Chińskie ministerjum oświaty rozporządzeniem z dnia 3 listopada 1919 r. wprowadziło do szkół średnich fonetyczny sposób pisania zamiast dotąd używanych znaków. Jest to niewąt-

---

[1]) *Exploitation et police de la maison publique de München-Gladbach.*

[1] Les deux femmes composant l'unique personel de la maison publique de Gladbach (2, Gasthausstrasse), sont venues en délegation déclarer qu'elles ne pouvaient suffire à la nombreuse clientèle qui envahit leur maison, devant laquelle stationneraient en permanence de nombreux groupes de clients affamés.

Elles déclarent que défalcation faite du service qu'elles doivent assurer à leurs abonnés belges et allemands, elles ne peuvent fournir à la division qu'un total de vingt entrées par jours (10 pour chacune d'elles).

L'établissement d'ailleurs ne travaille pas la nuit et observe strictement le repos dominical. D'autre part les ressources de la ville ne permettent pas, paraît-il, d'augmenter le personnel. Dans ces conditions, en vue d'éviter tout désordre et de ne pas demander à ces femmes un travail au-dessus de leurs forces, les mesures suivantes seront prises:

[2] Jours de travail: tous les jours de la semaine, sauf le dimanche. Redement maximum: chaque jour chaque femme reçoit 10 hommes, soit 20 pour les deux personnes, 120 par semaine.

Heures d'ouverture: 17 heures à 21 heures. Aucune réception n'aura lieu en dehors de ces heures.

Tarif: pour un séjour d'un quart d'heure (entrée et sortie de l'établissement comprises)... 5 marks.

[3] Répartition: les 6 jours de la semaine sont donnés:

Le lundi — 1er bat. du 164 et C. H. K.
Le mardi — 1er bat. du 169 et C. H. K.
Le mercredi—2e bat. du 164 et C. H. K.
Le jeudi—2e bat. du 169 et C. H. K.
Le vendredi—3e bat. du 164.
Le semedi—3e bat. du 169.

[4] Dans chaque bataillon il sera établi le jour qui leur est fixé, 20 tickets déposés aux bureaux des sergents—majeur à raison de 5 par compagnie. Les hommes qui désirent de rendre visite à l'établissement, réclameront au bureau de leur sergent-majeur, 1 ticket qui leur donnera droit de priorité.

pliwie wypadek ogromnej doniosłości w historji kultury, choć w obecnej chwili mało zainteresował świat Zachodu. Jednocześnie, jako filolog z zawodu, zgadzam się z jedną z powag kontynentalnych [1]), która utrzymuje, że z powodu monosylabowości języka chińskiego, jak również częściowego lub całkowitego braku niektórych spółgłosek [2]), będzie rzeczą niemożliwą, jak to już osądzili Japończycy, zastosowanie nowego alfabetu do tradycyjnego języka literackiego. Nie może on być również zastosowany do potrzeb wychowania, dziennikarstwa, administracji i telegrafu. Będzie miał jednak wielką wartość dla nauczania elementarnego i korespondencji pocztowej. Jest również rzeczą pewną, że rozwinie się i rozszerzy. Ale główne znaczenie jego jest dwojakie: jako objawu przebudzenia się Chin i nowatorstwa, które może osłabić jedność narodową i rozszerzyć na jej szkodę odrębności dzielnicowe. Z tego względu reforma jest przy swej doniosłości rzeczą niebezpieczną.

Inną oznaką nowych czasów, o której należy wspomnieć, jest rozszerzanie się i bojowość ruchu robotniczego, któremu wojna i towarzyszące jej zjawiska dały bodźca potężnego. Różni się on od wszelkich poprzednich fermentów tem, że stanowi tylko epizod w powszechnem wzburzeniu mas, które przebijają się przez cienką powłokę społeczną, utworzoną przez warstwy wyższe, i wyłaniają się szybko na powierzchnię. Najjaskrawszą ilustracją tego powszechnego zjawiska jest wzrost płac, który w Paryżu postawił miejskich zamiataczy ulic ponad profesorów uniwersytetu: tamci zarabiają 7600—8000 franków rocznie, gdy pensja drugich wynosi około 500 franków mniej [3]).

Ten zamęt powszechny jest wynikiem wielu przyczyn: przeludnienia świata, rozpowszechnienia wykształcenia i równych możliwości, bezimienności przedsiębiorstw przemysłowych, teoryj naukowych i nienaukowych, specjalizacji pracy i jej przytłaczającego wpływu [4]). Te czynniki stworzyły organizację robotniczą, którą koleje, dzienniki i telegrafy pomogły udoskonalić i przekształcić w ligę proletarjuszów, i dziś cała krocząca ku postępowi ludzkość dąży stale i z trudem do tego, aby stać się obszerną gminą, produkującą i dzielącą środki do życia na zasadach bardziej sprawiedliwych. Ta przemiana odbywa się z fatalizmem prawa naturalnego, a najwyżej to, co mogą zrobić najmądrzejsze z rządów, jest pokierowanie nią w sposób pokojowy i usunięcie przed nią sztucznych przeszkód.

---

[1]) R. de Saussur. *Journal de Genève*, 18 sierpnia i 26 maja 1919 r.
[2]) *d, r, t, l, g,* (częściowo) i *p* (z wyjątkiem początku wyrazów).
[3]) Pisma francuskie z maja, *Bousoir*, 26 lipca 1919 r.
[4]) Walther Rathenau omawia tę kwestję w kilku ostatnich swych broszurach, których nie mam pod ręką w tej chwili.

Jedną z pierwszych reform, do której dąży z bardziej lub mniej świadomym wysiłkiem praca, jest zniesienie zasady dziedziczenia bogactw i wpływów, tudzież środków ich zdobywania. Podział pracy w przeszłości spowodował oddzielenie tak zwanych zawodów wolnych od pracy ręcznej i stopniowo ci, co mieli wyższe zadania, utworzyli rodzaj kasty dziedzicznej, która chroniła ich od najgorszych trudności o byt i stanowiła klasę rządzącą. Dziś masy mają w ręku dźwignię, która może zrzucić tę warstwę górną budowy społecznej i zdaje się, że są zdecydowane do korzystania z tej dźwigni.

Kwestja, o której rozwiązanie groźnie się one dopominają, jest ustanowienie sprawiedliwej zasady podziału bogactw: ziemi, kapitału, przemysłu, monopolów, kopalni, transportów i kolonij. Czy socjalizacja — ulubiony ich przepis — jest najskuteczniejszym środkiem osiągnięcia tego celu—można wątpić, ale trzeba ją zbadać i przedyskutować; pożądanym celem jest, aby ludzkość stała się jedną olbrzymią żywą całością, obdarzoną zmysłami, nerwami, sercem, tętnicami i wszelkiemi organami, niezbędnemi do rozwinięaia i użycia sił i bogactw planety. Proces ten będzie zawiły, gdyż składa się z licznych różnorodnych czynników, i dlatego wielu myślicieli politycznych uważa, że rozmaite jego fazy są tylko stronami jednego zjawiska. To nam częściowo tłumaczy, dlaczego na konferencji kwestje polityczne były oddzielane od ekonomicznych i rozważane przez polityków jako najważniejsze; inne zaś były odsuwane na plan dalszy. Prawodawstwo, dotyczące pracy, ograniczyło się w Paryżu na zachęcie do udoskonalenia.

Że konferencja była niezdolna do rozwiązania zagadnienia tej miary — było rzeczą oczywistą. Ale delegaci mogli i powinni byli przekazać je parlamentowi międzynarodowemu, któryby reprezentował zupełniej wszelkie wchodzące w grę interesy. Najlepszy sposób podziału przedmiotów codziennego użytku, zdobytych lub wytworzonych pracą ręczną, jest zagadnieniem, którego nie wolno pominąć lub je odepchnąć. Dopóki pozostaje nierozwiązane, będzie ono źródłem niepokoju i nieładu w całym świecie cywilizowanym. Tytuły posiadania, dotychczas będące w ręku klasy uprzywilejowanej, zdobywają robotnicy, mający w dodatku siłę w postaci organizacji, liczebnie i determinacji. Jednocześnie podniety, zachęcające do przedsiębiorczości indywidualnej, są stale osłabiane przez prawodawstwo, które trudno jest potępić, a niebezpiecznie uważać za rzecz stałą. Tymczasem produkcyjność upada, gdy zapotrzebowanie na przedmioty pracy wzrasta proporcjonalnie do wzrostu ludności i kultury.

Dotychczas prawa podziału były dyktowane przez silnych, którzy byli nieliczni a użytkowali z pracy wielu. Dziś ich pozy-

cje się zmieniły: ci „liczni" wzmocnili się i nie mają zamiaru służyć dłużej za narzędzie w ręku klasy dziedzicznej czy wybranej. Ale podział ludzkości na producentów i spożywców był zawsze trwałą i mocną podstawą tego typu cywilizacji, od którego narody postępowe oddalają się w obecnej chwili; prawa i obyczaje, przeciwko którym walczy proletarjat, są tylko jego organicznym wyrazem.

Od dni budowania piramid do przekopania kanału panamskiego pozostaje między dwiema warstwami społecznemi otwarta przepaść. Zniesienie niewolnictwa zmieniło niewiele, oddziałało raczej na życie ekonomiczne, niż na dziedzinę uczuć religijnych i moralnych. W istocie obyczaje dawne trwały w formie lepiej przystosowanej do zmienionych okoliczności. Ale zasypanie tej przepaści, które się dziś odbywa, zmusza bądź do odrzucenia dzisiejszego porządku w całości i do konieczności wytworzenia całkowicie nowej budowy, której konturów nie mogą jeszcze rozróżnić najbystrzejsi w swych przewidywaniach ludzie, bądź do przebudowy dawnego systemu na zupełnie nowej podstawie. Jedyna zaś dziś możliwa podstawa wynikałaby z założenia, że są rasy ludzkie pozbawione zdolności wzięcia pożyteczniejszego udziału w postępie ludzkości, niż ten, który w nim brał proletarjat. Nie można zaprzeczyć, że są rasy na kuli ziemskiej niezdolne do przyjęcia wyższych form cywilizacji, które jednak mogą oddać cenne usługi w jej formach niższych, nie będąc przez to pokrzywdzone, ani nie demoralizując innych. Wydaje się zupełnie możliwem, że pewnego dnia będą zmobilizowane i użyte w myśl zasady, że dobro wielkiej zbiorowości wymaga takiego podziału zajęć, by każdy organ wypełniał te czynności, do których jest najbardziej uzdolniony.

Od końca wojny internacjonalizm był w powietrzu, a ruch robotniczy wzmocnił go jeszcze. Pobudzał on myśli i zagrzewał wyobraźnie zarówno wyzyskiwaczy, jak i wyzyskiwanych. Reformatorzy i pacyfiści pragnęli go jako sposobu utworzenia mocno spojonej społeczności postępowych a pokojowo usposobionych narodów i położenia kresu krwawym wojnom. Niektórzy finansiści mogli tęsknić do niego w duchu podobnym do tego, w jakim Neron pragnął, aby Rzym miał tylko jedną głowę. A kierownicy Konferencji marzyli o nim — o ile wogóle roztrząsali taki oderwany temat, w formie *pax anglo-saxonica*, którego rysem charakterystycznym byłoby oddanie zwierzchnictwa dwóm głównym narodom, nie zaś ciału, reprezentującemu wszystkie narody. Z tych trzech prądów, które prowadzą do internacjonalizmu, tylko jeden, ten finansowy, zdaje się dziś osiągać swój cel...

ROZDZIAŁ III.

DELEGACI.

DELEGACI, którzy chwilowo stali się wszechświatowymi arbitrami, istotnie mieli dane do reprezentacji. Ale byli odbiciem nie tyle dusz swoich narodów, ile powierzchownego ducha, który się unosi nad ginącą epoką. Uosabiali wielkość narodową, ekspansję terytorjalną, interesy partyj, nawet ideje oderwane. Wyraziciele szczupłego działu dawnego ustroju w dobie jego upadku, nie byli w żadnym sensie zwiastunami nowego. Wśród labiryntu ruin nie mieli nici przewodniej do kierowania krokami narodów świata. Tylko prawdziwe zdolności polityczne, szerokość poglądów, rzetelne opanowanie szczegółów położenia, instynkt odróżniania głównych celów, wzgląd na wyższe zasady kierownictwa i rzadka odwaga moralna, która gardzi popularnością, jako główną sprężyną działania—mogłaby każdej grupie prawodawców dać możność opanowania skomplikowanych i najeżonych trudnościami zagadnień, dopraszających się rozwiązania i dać możność nakreślenia niezbędnych wstępnych reform. Że delegatom głównych mocarstw brakło wielu tych właściwości — nie można im z tego robić zarzutu. Był to przypadek. Ale był on równie niefortunny, jak i ich szczere przekonanie, że mogą dokonać olbrzymej pracy przekształcenia społeczności świata bez wejrzenia w ich interesy, zapoznania się z ich potrzebami, a nawet bez znajomości stosunków.

Niepowodzenie ich, które było nieuniknione, stało się tragiczne nie tylko dla ich ambicji przejścia do historji, jako twórcy nowej, odrodzonej epoki, ale i dla losów narodów i ras, które z ufnością spoglądały na nich, czekając na warunki przyszłego pokojowego rozwoju, nawet poprostu zwykłej egzystencji.

Podczas Konferencji weszło w zwyczaj w wielu krajach europejskich kwestjonować zasady kierujące i zmiejszać kwalifikacje delegatów. Dziś, gdy namiętności polityczne się uciszyły i atmosfera stała się lżejszą i jaśniejszą, można bez wywołania protestu oddać należną dań ich szczerości, wzniosłym zamiarom i szybkiemu zadosyćuczynieniu wymaganiom obowiązku

publicznego i poczucia moralnego. Byli ożywieni najlepszemi intencjami, nie tylko w stosunku do własnych krajów, ale do całej ludzkości. Niejeden płonął pragnieniem uczynienia wszystkiego, co jest tylko możliwe, dla zakończenia ery niszczycielskich wojen. Stały, nieprzerywany rozwój pokojowy był ich wspólnym ideałem, i gotowi byli wyrzec się wielu rzeczy, by go osiągnąć. Wierzę, naprzykład, że gdyby Wilson trwał w obronie swego projektu Ligi, jako kamienia węgielnego nowej budowy świata, i w stosowaniu swoich zasad, które nie znalazły uznania, Włosi przyjęliby je prawie bez dyskusji, a inne państwa poszłyby za ich przykładem. Wszyscy delegaci musieli czuć, że dawny porządek rzeczy, wstrząśnięty do podstaw przez wojnę i towarzyszące jej zjawiska nie będzie mógł istnieć, i pragnęli utrzymać w karbach ewolucji proces przejścia do nowego ustroju, doprowadzając swoją politykę do celu, który rewolucja pragnęła osiągnąć przez gwałt. Gdy jednak doszli do określenia tej polityki, jednomyślność prysnęła i delegaci rozdzielili się na dwa obozy: pacyfistów i militarystów, demokratów i imperjalistów, jak ich powierzchownie określono. Tu również każdy z członków zgromadzenia pracował z chwalebną szczerością i w poczuciu wysokiej odpowiedzialności dla rozwiązania zagadnienia, które wydawało mu się najdonioślejszem dla ogólnego dobra. Walczyli więc bohatersko jeden z drugim o to, co uważali za sprawiedliwe i słuszne względnie do panujących stosunków. Okoliczność, że przyczyna i skutki tego starcia się zdań i nastrojów rozchodziły się tak szeroko z dawnemi założeniami, miała swe podstawy częściowo w ciasnym poglądzie na skomplikowaną kwestję, częściowo również w jej olbrzymiej rozległości, która prawie uniemożliwiała jej opracowanie.

Delegaci, którzy dążyli do powszechnego rozbrojenia, rozumieli rzecz równie dobrze,—jeżeli przyjmiemy ich przesłanki—jak ci, którzy upierali się przy gwarancjach ekonomicznych i terytorjalnych. Wszystko zależało: w teorji — od szerokości poglądów jednostki, w urzeczywistnieniu jej—od charakteru narodów i ich sąsiadów. Ponieważ w istniejących warunkach każde rozwiązanie natrafiłoby na ogromną opozycję, której tylko bardzo mężny duch mógłby się przeciwstawić, przyjęto skwapliwie kompromis, który otwiera boczne wyjście wątpliwościom. W ten sposób mądrość zbiorowa, pracując nad materjałami, których istota była mało przez nich rozumiana, wydała dziwne owoce. Niektóre niewłaściwości w szczegółach, jak naprzykład anonimowo wysłane zaproszenie do Principo, czasem przewyższają satyrę, ale ich oszołomieni twórcy zasługują na uznanie ze względu na okoliczności łagodzące.

Co się tyczy doniosłości trwałego pokoju, opartego na pojęciu

Ligi Narodów Wilsona, i w myśl surowych zasad, stosowanych jednakowo do wszystkich państw, nie było dyskusji. Innemi słowy—zgodzono się w milczeniu na to, że czternaście punktów nie powinno tworzyć przeszkody dla żywotnych postulatów któregokolwiek z Wielkich Mocarstw. Tylko na temat mniejszych państw i równości narodów debaty były żywe, długie i przez dłuższy czas bezowocne. Chwilami spory dochodziły do niebezpiecznego napięcia. Miesiącami rozwiązanie kwestyj Adrjatyku, Austrji, Turcji i Tracji było w groźnem zawieszeniu a publiczność patrzała na to ze słabnącem zainteresowaniem i rosnącem niezadowoleniem. Zwykłe optymistyczne zapewnienia, że wszystko pójdzie gładko i szybko, nie znajdowały posłuchu. Wiara w Konferencję topniała.

Położenie Rady Najwyższej i próżne zaklęcia o wiarę w skuteczność jej pracy przypomniały mi następującą historję.

Pewien proboszcz francuski uspakajał raz jednego ze swoich parafjan, dręczonego wątpliwościami co do dobroci Bożej, gdy się przyglądał niedoskonałościom Jego stworzenia. Wysłuchawszy żywego wyznania starganej duszy o ogromnych nadziejach, pokładanych w Stwórcy, i o głębokiem rozczarowaniu, które budzą Jego dzieła, pobożny stary *curé* rzekł: „Tak, moje dziecko. Świat jest istotnie zły, jak to mówisz, i masz słuszność, że się tem martwisz. Ale czy nie wydaje ci się, że sobie wytworzyłeś przesadzone wyobrażenie o Panu Bogu?". Podobne rozumowanie może się przypomnieć, kiedy mamy na myśli Konferencję, która przyswoiła sobie najwyższe atrybucje bóstwa i przez to pogłębiła kontrast między zapowiedzią a dziełem. Istotnie ludzie wymagali od niej więcej, niż ona dać mogła. Ale nadzieje te były budzone przez samych delegatów, którzy zwiastowali przyjście nowej epoki na ich zawołanie. Lloyd George i jego towarzysze mówili publicznie o tem, że wojna 1914—18 będzie ostatnią. Jego słowa „Nigdy więcej" stały się skrzydlatem hasłem, a bardziej niepowściągliwi optymiści widzieli w marzeniach na pałacu trybunału rozjemczego, który miał zastąpić pole bitwy, natchniony napis: „*A la dernière des guerres l'humanité reconnaissante*"[1]). Szeroki projekt Wilsona był jeszcze bardziej pociągający.

Lloyd George, jako parlamentarzysta angielski jest zbyt dobrze znany, by go trzeba było charakteryzować. Ogromne zasługi, które oddał Imperjum Brytańskiemu w czasie wojny, gdy nawet błędy jego przygodnie okazywały się pożytecznemi, pozostaną niezapomniane. Będąc wcieleniem nie tylko celów,

[1]) *Le Temps*, 23 maja 1919 r. Jestto trawestacja napisu na Panteonie: „Aux grands hommes la Patrie reconnaissante".

ale i metod narodu angielskiego, nigdy nie traci wiary w swe własne przekonania, skądkolwiekby płynęły, ani nie braknie mu odwagi, by je zmienić w mgnieniu oka. Budził ducha narodu w najcięższej chwili i dzielił z nim własną płomienną wiarę w jego gwiazdę. Podczas trudności walki światowej był on człowiekiem odpowiednim na odpowiedzialnem stanowisku, i jestem dumny, że byłem jednym z pierwszych, którzy w swój własny skromny sposób przyczynili się do tego, że na niem stanął. Ale dobry kierownik wojny może być lichym negocjatorem pokoju, i istotnie niewiele jest zadań, związanych z dobrobytem narodu, do których mógłby się Lloyd George zabrać z nieporównanie lepszemi szansami powodzenia, niż do przekształcenia świata. Jego brak przygotowania przeszkadzał mu, a nawet wrodzone uzdolnienia okazywały się nieodpowiednie. Nie należy przypisywać zbyt wiele znaczenia złośliwym jego kolegom, co go obniżają, jako chwiejnego krasomówcę, którego myśli i słowa nie pozostają w organicznym związku, który nie chce dać inicjatywy, dopóki nie czuje stojącej za sobą siły, któremu brak odwagi moralnej, będącej spadochronem przy traceniu popularności, ale który ma jej dosyć, aby poddać się rosnącej fali przypływu, unoszącej, jak balon, odważnego wysoko ponad jego towarzyszów. Sądząc go w świetle wydarzeń historycznych, w których odegrał wybitną rolę, nie można nie odrzucić tych krytyk, jako nie mających uzasadnienia.

Oportunizm jest zasadniczym pierwiastkiem sztuki rządzenia, która jest sztuką możliwości. Ale jest granica, poza którą staje się ona zmiennością i byłoby rzeczą zbyt pośpieszną twierdzić, że Lloyd George zawsze stoi po właściwej stronie. Na Konferencji postępowanie jego wydawało się poważnym obserwatorom powodowanem głównie przez wpływy zewnętrzne, a ponieważ te były różnorodne i zmienne, rezultatem była linja zygzakowata. Jednego dnia przedstawiał jakąś propozycję jako dogmat, który nie może ulec zmianie, a nim minął tydzień, wysuwał wręcz przeciwny projekt i popierał go z równym zapałem i bez wątpienia z jednakowo silnem przekonaniem. Bez kierunku rzetelnej wiedzy i pozbawiony balastu zasad, był popychany i pędzony w różne strony, niby rozbitek na oceanie. P. Melville Stone, weteran dziennikarzy amerykańskich, tak opisuje swym rodakom wrażenie, które wywarł na nim pierwszy delegat angielski. „P. Lloyd George" — mówi on — „ma wielkie poczucie honoru i wielki wpływ na masy, ale okazuje uderzającą obojętność — jeśli nie ignorację — w wielkich sprawach narodów". W ciągu spaceru Lloyd George wyraził zdziwienie, gdy się dowiedział, że w Stanach Zjednoczonych prawo wypowiadania wojny jest atrybucją Kongresu. Jakto! — zawołał premjer—„pan chce powiedzieć, że prezydent Stanów Zje-

dnoczonych nie może wypowiedzieć wojny? Nigdy o tem przedtem nie słyszałem". Później, w dyskusji na temat ambicyj narodowych, Lloyd George zapytał: „Co to za miejscowość, której tak pragnie Rumunja"? A był to Siedmiogród [1]). Opowiadania, krążące o jego zainteresowaniu się krajami, które rozdawał narodom, kując ich losy, byłyby niezmiernie zabawne, gdyby dotyczyły jednostki prywatnej, celem zaś jego było tylko zdobycie pożytecznych wiadomości; ale na przedstawiciela wielkiego mocarstwa rzucają one światło, w którem cierpi godność jego kraju i maleje w sposób opłakany jego własny autorytet. A przecież autorytet moralny był główną podporą delegatów. Nie mając programu, Lloyd George miał, zdawało się, instynktowne poczucie, jeśli nie wyrozumowane przekonanie, że w sprawach polityki ogólnej najbezpieczniejszą dla niego drogą będzie dotrzymywanie kroku prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Przyjmował bowiem za pewnik, że poglądy Wilsona są identyczne z poglądami narodu amerykańskiego. Jeden z jego kolegów, pragnąc rozwiać to złudzenie, powiedział: „Pański kraj zajmuje stanowisko kierownicze na Konferencji. Pańscy koledzy i Wilson z nimi, pójdą za panem. Pan masz za sobą Imperjum. Niech pan da wyraz jego aspiracjom. Są one wspólne z aspiracjami wszystkich, mówiących po angielsku ludów. Wilson przegrał wybory, niema więc takiej powagi, jak pan sobie wyobraża. Pan zwyciężył na wyborach, jesteś pan przedstawicielem wielkiego kraju i rzecznikiem dobrej sprawy. Może pan ukształtować Konferencję według swojej woli. Niech pan wyrazi swoją wolę. Nawet, jeżeli pan jest zdecydowany działać w zgodzie ze Stanami Zjednoczonemi, nie znaczy to przystosowywać interesy W. Brytanji do poglądów prezydenta, które nie są poglądami większości jego narodu". Ale Lloyd George, ciągle skromny — jeśli to jest skromność — wzdrygał się przed samotną drogą i w pewnych ważnych kwestjach Wilson zwyciężył.

Pewnego dnia w mroku paryskiego konklawe toczyła się ożywiona dyskusja, gdy prasa chwaliła delegatów za ich budującą jednomyślność. Dyskusja była między Stanami Zjednoczonemi w osobie Wilsona i Wielką Brytanją, reprezentowaną przez Lloyd George'a. Na drugi dzień, nim wznowiono rozprawy, jeden z kolegów zaklinał premjera angielskiego, żeby trzymał się mocno, albowiem stanowisko jego z dnia poprzedniego było słuszne w zasadzie i dobroczynne dla Anglji. Lloyd George ulegał mocy tych wywodów, ale poddawał się większej sile decyzji Wilsona. „Spróbuj!" — namawiał kolega. — „Nie śmiem",— była odpowiedź —„Wilson na to się nie zgodzi. Dziś

[1]) *The Daily Mail* (wydanie paryskie), 26 kwietnia 1919 r.

już grozi, że jeśli to zrobimy, opuści Konferencję i wróci do domu". „Dobrze więc, niech to zrobi. Poradzimy sobie bez niego. Ale jeśli reszta jest pewna, on nie odjedzie. Nie będzie mógł wrócić do kraju z pustemi rękoma po swoich wspaniałych obietnicach, danych rodakom i światu". Lloyd George upierał się jednak: „Ale zabierze z sobą także swoją armję".—„Co!"— wykrzyknął kusiciel — „swoją armję! Dobrze, ja tylko"... ale niema celu przytaczać dobitnej odpowiedzi w całości.

Ta dziwna mieszanina wygórowanej ufności w siebie, złej oceny sił i uległość wpływom zewnętrznym była zabójcza dla kierownika zgromadzenia, składającego się, jak na Konferencji Paryskiej, z ludzi, z których każdy miał swój własny sposób widzenia i był wrażliwy na wysoki autorytet moralny lub na przewagę siły zbrojnej. Nie można zaprzeczyć, że nikt, nawet najbliżsi, nie mógł przewidzieć następnego posunięcia w polityce Lloyd Gerge'a, a nawet jasną jest rzeczą, że w wielu wypadkach on sam był tak mało świadomy tego, co zrobi, że nieraz bronił jako rzeczy niezbędnej, czegoś wprost przeciwnego temu, co proponował, motywował i wnosił w parę tygodni później. Rozmowa, która się odbyła między nim i jednym z jego towarzyszy, daje miarę jego niezdecydowania i zmienności. „Niech mi pan powie", — zapytał jego współpracownik, — „dla czego wy, członkowie Rady Najwyższej, tak szybko zmieniacie dziś postanowienia, do których doszliście po pięciomiesięcznych trudach, o których pan powiada, że były czasem dobrze spędzonym?"—„Z powodu nowych wiadomości, które przez ten czas zebraliśmy; wiemy teraz więcej, niż wiedzieliśmy wtedy, a odmienne fakty wymagają odmiennego traktowania". — „Tak, ale warunki nie zmieniły się od czasu otwarcia Konferencji. Były te same w styczniu, co w czerwcu. Nieprawdaż?"—„Niewątpliwie, niewątpliwie, ale nie stwierdziliśmy ich przed czerwcem, więc nie mogliśmy do dziś dnia wziąć ich pod uwagę".

Kiedy główni delegaci tak ulegali prądom zewnętrznym, a figury na szachownicy politycznej były ustawione w najdziwniejszy sposób, obserwatorzy z zewnątrz zaczęli patrzeć na Konferencję, jak na loterję. Na nieszczęście, była to loterja, w której nie było pustych biletów, tylko wygrane albo ciężkie straty.

Streśćmy się. Pierwszy delegat W. Brytanji w zasadzie człowiek odpowiedni i użyteczny, był niezdolny do ogarnięcia naraz więcej, niż jednego łuku koła politycznego. Ujęcie sytuacji skomplikowanej przechodziło granicę jego możliwości. Polegał na wyobraźni i intuicji, która mu zastępowała dokładną wiedzę i umiejętność techniczną. Przytem sam nigdy nie był pewien, czy jego opinja, choćby najlepiej obmyślana, będzie już

ostateczna; jak widzimy, mogły w czerwcu dojść do jego świadomości fakty, których nie poznał w ciągu pięciomiesięcznych badań. Ta niepewność co do szczegółów kwestyj bardziej jeszcze powiększała chwiejność, charakteryzującą całą jego działalność publiczną i wpływała na zmianę jego opinji. Jedyną myślą, zbliżoną do zasady, kierującej jego pracą na Konferencji, była luźna maksyma, że najlepszą polityką W. Brytanji jest popieranie we wszystkich ważniejszych sprawach Stanów Zjednoczonych i utożsamianie Wilsona ze Stanami Zjednoczonemi. W tych granicach Lloyd George był nieugięty w wierności sprawie Francji, z którą utożsamiał sprawę cywilizacji.

Clemenceau jest wcieleniem niezmordowanego ducha zniszczenia. Obalać—było zawsze jego rozkoszą, i właśnie powodzeniu w burzeniu niedoskonałej pracy rywalów—a każda praca ludzka jest niedoskonała — zawdzięcza on swoje wysokie stanowisko odpowiedzialności pełne, na które parlament wyniósł go podczas ostatniej fazy wojennej. Fizycznie silny pomimo sędziwego wieku, ma on umysł błyskotliwy z upodobaniem do paradoksów, epigramatów i żywej, niebanalnej frazeologji; działa impulsywnie. W czasach Dreyfussa widywałem często Clemenceau w jego redakcji, wywnętrzającego się przed p. Vaughanem, poetą Quillardem i innymi. Później, gdy stał na czele rządu, zbliżyłem się do niego, dla pomówienia —z polecenia rządu zaprzyjaźnionego—w drażliwej kwestji międzynarodowej, związanej z polityką narodową i zauważyłem, że jest, pomimo rozwiniętego i otrzeźwiającego poczucia odpowiedzialności, kapryśnym, impulsywnym i łatwowiernym, jak dawniej. Kiedy z nim rozmawiałem następnym razem, był buntowniczym wydawcą *L'Homme Enchaîné*, którego zjadliwe krytyki na temat rządu były postrachem ministrów i cenzorów. Wkrótce potem został kierownikiem wielkiej machiny państwowej, a surowością w manipulowaniu nią przeszedł, jak twierdzą jego rodacy, rząd Trzeciego Cesarstwa. Jego *alter ego* Jerzy Maudel jest obdarzony zdolnościami, które uzupełniają i równoważą zdolności jego czcigodnego szefa. Jego ujmowanie szczegółów jest szerokie i jasne, pamięć—rozległa, sąd—śmiały i rozważny. Uderzający przykład śmiałości jego decyzji daje nam początek 1918 roku. Marszałek Jofre wysłał do Waszyngtonu telegram do prezydenta Wilsona, a ponieważ zaniedbał uczynić to przez ministerjum wojny, Maudel, wielki rygorzysta zaproponował aresztowanie Marszałka. I tylko z trudnością udało się skłonić go do pobłażliwości.

Clemenceau, burzyciel zawodowy, który mógłby się pochwalić obaleniem osiemnastu gabinetów, albo też dziewiętnastu, jeśli policzymy jego własny, był niewątpliwie człowiekiem

odpowiednim do dźwigania brzemienia wojny. Wywiązał się z zadania znakomicie. Wiara jego w zwycięstwo aljantów była niezachwiana. Nie wątpił nigdy, nie upadał na duchu, nie lękał się nigdy przeszkód, ani nie dał się ująć pochlebstwami. Raz podczas rozejmu, w maju czy czerwcu, kiedy marszałek Foch wyraził niezadowolenie, że premjer wydał rozkaz wojenny do jego wojsk [1]) bez poradzenia się z nim, był zdecydowany dać Marszałkowi dymisję i nominował generała Pétaina jego następcą [2]). Czy te przymioty, które mu służyły tak dobrze podczas walki światowej, mogły mieć równe znaczenie podczas ogólnej pracy konstrukcyjnej, dla której zebrała się Konferencja, jest to kwestja, podlegająca dyskusji. W sprawach zapewnienia Francji korzyści, wpływ Clemenceau na delegatów był stanowczy. Będąc przed wojną bliskim przyjacielem dziennikarzy austrjackich, powziął dla nieprzyjaciół swego kraju niczem nie ugaszoną nienawiść. Francję kochał namiętnie! Pamiętam znamienne jego słowa, wypowiedziane w roku 1899 do przedsiębiorczego młodzieńca, który zamierzał wydawać w Monachjum francusko-niemieckie czasopismo i prosił go o poparcie moralne. „Czyż to możliwe!" zawołał, „czyż już do tego doszło? Naród nie jest pobity, dopóki nie pogodzi się z klęską. Jeżeli Francja kiedykolwiek ustąpi, zasłuży na upokorzenie".

Na konferencji Clemenceau starał się wszelkiemi sposobami zabezpieczyć swój kraj po wszystkie czasy od niebezpieczeństwa ponownych inwazyj. Jako realista, liczył tylko na gwarancje militarne. Ligę Narodów wykpiwał, dopóki sam się nie przekonał, że można z niej ukuć skuteczne narzędzie obrony narodowej. Wtedy włączył ją do litanji abstrakcyjnych frazesów o prawie, sprawiedliwości i samostanowieniu narodów, które stawiano według panującej mody na niebotycznej wysokości i uwielbiano, ale nie wcielano w życie. Publiczność nie brała jego nawrócenia się na wilsonizm poważnie, nie czynili tego i jego przyjaciele polityczni, dopóki Liga nie okazała się użyteczną w rękach kierowników jego kraju. Clemenceau lepiej się znał na polityce międzynarodowej, niż premjer W. Brytanji, lecz ta znajomość była jednocześnie bardzo powierzchowna; za to jego program na Konferencji był jednolity i prosty, gdyż nie zależał od geografji i etnografji: Francja powinna zająć w świecie kierownicze stanowisko Niemiec, stworzyć potężne i oddane jej państwa Europy Wschodniej, na których współdziałaniu powinna się oprzeć. Sprzymierzeńcy zaś winni jej przyjść z pomocą finansową i ekonomiczną, aby wypełnić mogła zadania kulturalne, związane z jej nową rolą.

[1]) W Niemczech.
[2]) Generał Pétain podobno sprzeciwił się temu.

I zrobił wszystko, co mu się wydawało niezbędne dla osiągnięcia tego celu. W stosunku do Wilsona manewrował w sposób, który jego doradcy, p. Tardieu wydawał się niemożliwy, a jedna ze śmielszych prób w tym kierunku miała miejsce podczas podróży prezydenta do Stanów Zjednoczonych. Clemenceau i jego koledzy europejscy powzięli wówczas zamiar niektóre sprawy załatwić według własnego programu i przedłożyć je Wilsonowi po jego powrocie do zatwierdzenia. Ale plan nie był jasny; mówiono o nim głośno zagranicą z niedyskretnemi szczegółami, wskutek czego pierwszy delegat amerykański oparł się projektowi, jednym z punktów którego było wyłączenie z Traktatu Statutu Ligi; stronnicy tego projektu byli zmuszeni wrócić do pracy nanowo. Sprawiedliwość jednakże wymaga, by zaznaczyć, że Clemenceau nie był zwolennikiem ani zawojowania lewego brzegu Renu, ani zdobyczy kolonjalnych. Te dążności miały swe źródło gdzieindziej. „Nie potrzebujemy protestujących posłów w parlamencie francuskim", zauważył kiedyś w obecności francuskiego ministra spraw zagranicznych [1]). Gdy mu zaproponowano wybór pomiędzy pewną ilością przyczółków mostowych na prawym brzegu Rénu, a pomocą militarną narodów anglosaskich: bez wahania wybrał to ostatnie, co mu zaofiarował prezydent Wilson po odrzuceniu granicy Renu.

Clemenceau, którego niezwykła żywość umysłowa, pewność siebie i dar bystrych a dowcipnych odpowiedzi zniewalały od czasu do czasu do nietaktownych wycieczek i sarkazmu, głęboko zranił dumę niejednego delegata państw mniejszych w sposób, który im się wydawał niezgodny ze względami należnemi mężom stanu i z przysłowiową gościnnością francuską. Był on niezdolny do opanowania pokusy, gdy chodziło o jakieś *bon mot*, choćby nawet zjadliwe. Nie należy jednak przywiązywać do tych prędko zapominanych dowcipków większej wagi, niż im nadawał sam ich autor. Sposób, w jaki Clemenceau traktował przedstawicieli Anglji i Francji, był tak samo chakterystyczny i łagodzić powinien obrażliwość delegatów państw mniejszych.

Pewnego ranka [2]) Clemenceau zjawił się na Konferencję, a spostrzegłszy wiele nieznanych twarzy i postaci obok Balfoura, zwrócił się do niego ostro z gburowatem zapytaniem: „Kto są ci ludzie za Panem? Czy to Anglicy?" „Tak, Anglicy", była odpowiedź. „Ano dobrze, czegoż oni tu chcą?" „Przyszli w tej samej sprawie, jak ci, którzy teraz idą za Panem". Premjer francuski, obróciwszy się raptownie, zauważył ze zdumieniem

[1]) „Bulletin des Droits de l'Homme" 19-ème année, str. 461.
[2]) Było to albo w piątek 4-go, albo w sobotę 5-go lipca.

i nieukontentowaniem gromadkę Francuzów, zbliżających się ku niemu z p. Pichonem, ministrem spraw zagranicznych, na czele. Z odpowiedzi na pytanie o przyczynę ich przyjścia dowiedział się, że to są eksperci, zaproszeni na Konferencję, by dali opinję o zaopatrzeniu w żywność Węgier. „Wynoście się stąd wszyscy, nie jesteście potrzebni", zawołał rozkazującym głosem. I wszyscy wyszli pokornie, wyprowadzeni przez samego p. Pichona. Usługi ich okazały się zbyteczne, gdyż Konferencja nie zajmowała się rozstrząsaniem powyższej kwestji.

Pana Tardieu nie można odłączyć od jego szefa, z którym pracował niezmordowanie, oddając do jego dyspozycji swą gruntowną znajomość tajników i zakątków fachowej i niefachowej dyplomacji. Jest to jeden z najnowszych i najbardziej przedsiębiorczych pracowników w zakresie polityki starego świata, ceni metody amerykańskie i mówi po angielsku. Przez kilka lat był kierownikiem politycznym *Temps'a*, miał dostęp do archiwów państwowych, napisał przychylnie przyjętą książkę o Agadirze i monografję o księciu Bülow'ie, został posłem, sięgał po tekę ministerjalną, wreszcie wyznaczono go na Komisarza Głównego na Stany Zjednoczone. Spotkał się tam z pewnemi trudnościami, które wynikały z jego dawnych twierdzeń, przypominanych przez przeciwników jego Niemców; miał więc działalność z początku utrudnioną. Zarzucano mu, że pochwalał sposoby okrucieństwa—szczególniej walkę łodzi podwodnych, którą później zastosowali Niemcy, ponieważ w r. 1912, kiedy pisał o tej sprawie, Francja sądziła, że sama posiada najlepsze łodzie podwodne i miała zamiar ich używać. Zmuszono go również do zaprzeczenia, że w sierpniu r. 1912 napisał, że podczas wojny kościoły i pomniki sztuki muszą ucierpieć i że żadna armja jakiejkolwiek byłaby narodowości nie może postępować inaczej. Zarzucano mu również, że zbyt żywo interesuje się wojną powietrzną i rzucaniem bomb; miał przytem twierdzić, że byłoby lekkomyślnością „pozbawiać tej przewagi ludzi, co przyczynili się najwięcej do udoskonalenia tego przyrządu". Ale p. Tardieu skutecznie potrafił odeprzeć te i inne zarzuty. Powróciwszy ze Stanów Zjednoczonych, zorganizował własne biuro prasowe, dla dostarczania dziennikarzom amerykańskim materjału do ich kablogramów, a jednocześnie pracował razem z Clemenceau nad przebudową związków politycznych świata. Tylko w Izbie posłów, w której należy do wybitnych członków, nie potrafił zapewnić sobie powodzenia. Nikt nie jest prorokiem w swoim własnym kraju, i p. Tardieu nie stanowi w tym względzie wyjątku. W późniejszym okresie Konferencji wypadało mu często być w opozycji przeciw szefowi delegacji włoskiej Tittoniemu. Jedną z wielu spraw, w których się nie zgadzali, był los Austrji Niemieckiej, budowa polityczna i organizacja nieza-

leżnych państw, które miały powstać na ruinach podwójnej monarchji P. Tardieu popierał taki plan, któryby pozwalał tym narodom zjednoczyć się pod hasłem anty-teutońskiem Jeżeli nie można rozbić Niemiec na szereg pojedynczych państw, jak to było ongi w dniach ich niemocy, wszystkie inne narody europejskie na terytorjach sąsiednich powinny się połączyć przeciwko nim, a co najmniej należy im uniemożliwić wejście w porozumienie z Niemcami. Zjednoczenie Niemiec uważał on za groźne niebezpieczeństwo i starał się zbudować mu przeciwwagę.

Wykonanie tego projektu natrafiało na znaczne trudności. Przedewszystkiem żaden z tych narodów nie był wyraźnie antyniemiecki. Każdy żył dla siebie. Pozatem nie pałali nadmierną miłością wzajemnie ku sobie, ani ich interesy nie były zawsze zgodne, a zmuszenie ich do jedności siłą nie zapobiegłoby przyszłym wojnom, lecz przeciwnie, mogłoby je wywołać. Federacja naddunajska, jako twór konkretny, projektowany dla obrony pokoju europejskiego —nie podobała się Włochom, którzy mieli swoje powody do opozycji, poza samą doktryną Wilsona. Jeżeli to prawda, tłumaczył p. Tittoni, że Austrja nie pragnie zlać się z Niemcami, dlaczegóż nie dać jej prawa samostanowienia o sobie, przyznanego innym narodom? P. Tardieu, któremu nie wystarczał zakaz, aby Niemcy nie łączyli się z Austrją, proponował wtedy [1]), ażeby w traktacie z Austrją zmusić to państwo do tłumienia ruchu pangermańskiego wśród ludności. Ta poprawka była odrzucona przez delegację włoską w imię zasad wyznawanych i gwałconych przez mocarstwa pracujące nad odbudową świata. Nawet z punktu interesów Francji Tardieu uważał to za zgubne, tembardziej, że nie było i nie mogło być żadnej gwarancji, że konfederacja państw naddunajskich nie stanie się narzędziem w ręku Niemiec.

Dwie rzeczy uderzyły mnie w głównych delegatach, jako niezmiernie charakterystyczne: stale unikali współpracownictwa wybitniejszych ludzi, woląc się trzymać, jako formuły, jednostki z szeregiem zer, i nieliczyli się z tem, że czas mija; robili projekty, jak gdyby czekała na nich wieczność, a potem nagle decydowali się śpiesznie, jakby bojąc się spóźnić na pociąg lub na statek. Ta manjera była niezmiernie szkodliwa.

Państwa mniejsze były reprezentowane przeważnie przez pierwszorzędnych ludzi, jak gdyby w imię prawa równowagi i kompensaty, skoro wielkie mocarstwa reprezentowane były przez liczne miernoty. Pierwsi byli również najgorliwszymi pracownikami, gdyż zadania ich jeżyły się trudnościami i obfi-

[1]) W końcu sierpnia r. 1919.

towały w przykre niespodzianki, skoro decyzja zależała od woli innych. Wracali oni ustawicznie do spraw z wielką zabiegliwością, licząc i mierząc przeszkody, projektując sposoby ich przezwyciężenia i zawczasu przygotowując się do nowych wysiłków. Tak ciężkie zadanie postawiono psychice ludzkiej, tak głęboko sięgające skutki wynikły z nieznajomości duszy ludzkiej u Niemców, że delegaci z największym wysiłkiem osobistym musieli się oddać tej stronie sprawy.

Poza rysowaniem wielkich map prowincyj i szczegółowych map[1]) państw, które miały być wznowione, poza szperaniem w historji, w celu wyszukania argumentów i dowodów, stwierdzali oni sumiennie niechęci swoich sędziów, gdy usiłowali wynaleźć najskuteczniejsze sposoby zjednania ich sobie lub przekonania. I było niezmiernie pouczającem patrzeć, jak próbują swych sił w grze coraz nowej.

Wyrobiło się przekonanie, że umiarkowanie sprawia na arbitrów lepsze wrażenie, niż chciwość; lecz nie wszyscy delegaci potrafili tak zapanować nad sobą, by mogli postępować według tej zasady. Bardziej pomysłowi, dla których wszakże osiągnięcie celu było szczególnie trudne, gdyż żądali wielkich prowincyj, do których pretendowali inni, przygotowywali grunt zawczasu, odwiedzając osobiście bardziej wpływowych arbitrów, przyczem wyjaśniali im swoją sprawę i prosili o radę. W rzeczywistości starali się nauczyć ich elementarnej geografji, historji i polityki. Odyseusz Konferencji Venizelos przedewszystkiem powędrował do Londynu, mówiąc: „Jeżeli tamtejsze ministerjum spraw zagranicznych będzie za Grecją, nic nie znaczy, jeśli ktoś będzie przeciwko niej". Nie omieszkał również odwiedzić prezydenta Wilsona, gdy ten mąż stanu przybył do Europy i ku zdziwieniu wielu obaj mieli długą poufną naradę. „O czem mówiliście?" zapytał premjera greckiego jeden z kolegów. „Jak się Panu udało zainteresować Wilsona waszemi żądaniami narodowemi przez czas tak długi? Musiał pan..." „O nie", przerwał skromny mąż stanu. „Wyłożyłem nasze pretensje króciutko; było to kwestją dwóch minut. Nie dłużej. Prosiłem, aby mnie zwolnił od zajmowania mu czasu takiemi skomplikowanemi sprawami, z któremi on i jego koledzy będą mieli sposobność się zapoznać. Przez resztę czasu mówił mi o Lidze Narodów. Był tak uprzejmy, że wyliczył powody, dla których ten projekt powinien być zrealizowany i sposób, w jaki go należy przeprowadzić. To, co powiedział, zrobiło na mnie ogromne wrażenie". „Zabawne!" zawołał kolega, „stracić tyle czasu

[1]) Jeden z delegatów ubogiego i nie mającego przyjaciół kraju musiał używać mapy rywalizującego z nim państwa i przerabiać ją według danych etnograficznych, które uważał za jedynie słuszne.

na mówienie o programie, z którego nigdy nic nie będzie!" Ale Venizelos wiedział, że czas nie był źle spędzony. Prezydent Wilson nie był z początku usposobiony do życzliwego wysłuchiwania pretensyj Grecji, które mu się wydawały wygórowane i do ostatnich chwil podtrzymywał przeciwko niej Bułgarję. Mąż stanu z wyspy Krety przeżył niejedną godzinę zwątpienia i zniechęcenia, zanim swój cel osiągnął. Ale udało mu się pozyskać Prezydenta dla swego sposobu pojmowania wielu kwestyj wschodnich. Jest on mistrzem w psychologji praktycznej.

Pierwsze doświadczenia Venizelosa nie były jednak zachęcające. Cały trud, przezeń zużyty na przekonywanie luminarzy Konferencji, uzupełnił raczej braki ich wykształcenia w zakresie geografji, historji, językoznawstwa, etnologji i polityki, ale nie wywołał konkretnych decyzyj, które pozostawiono „Komisjom rzeczoznawców". Długo wszakże pielęgnowany owoc dojrzał wreszcie i wiele żądań Grecji zostało zaspokojonych. W ten sposób w przebudowywaniu państw świata czynnik osobisty grał dominującą rolę. Venizelos był jakby gwiazdą stałą na firmamencie, której światło rzucało jasne promienie przez każdą chmur szczelinę. Jego umiarkowanie zdumiewało przyjaciół i przeciwników. Każdy zachwycał się jego *exposé*, jak arcydziełem. Jego umiejętność łączenia kwestji narodowej ze sprawami międzynarodowemi i gotowość, z jaką stawał na stanowisku przeciwnika i proponował kompromis, zjednały mu przychylność wielu i wywoływały pochwały dlań na usta wszystkich. Najbardziej drażliwą dla niego sprawą, która ciągnęła się przez kilka miesięcy, była walka z prezydentem Stanów Zjednoczonych, który odmawiał Grecji prawa do wybrzeża Tracji, a oddawał je Bułgarji. Ale o tem mówię na innem miejscu.

Z przedstawicieli Włoch przez pierwsze pięć miesięcy jeden p. Orlando był najzręczniejszym, drugi baron Sonnino najbardziej nieugiętym w gronie ich mężów stanu. Jeżeli sprawa Włoch była popierana z mniejszą siłą, niż było można oczekiwać, przyczyny tego są jasne. Delegaci włoscy mieli traktat formalny, na którym się opierali; możliwość zwycięstwa Aljantów słusznie przypisywali stanowisku swego rządu od początku do końca wojny i spodziewali się, że ta zasługa zostanie w praktyce uznana; umiarkowanie i miękkość Orlando były neutralizowane przez dalekie od kompromisu stanowisko barona Sonnino; wreszcie zaś wzrok obu tych mężów stanu był skierowany na kwestje terytorjalne i na aspiracje uczuciowe z pominięciem żywotnych dla państwa interesów ekonomicznych; innemi słowy—patrzyli na rzeczy z fałszywego punktu widzenia. Jedną z najpopularniejszych postaci między delegatami był Orlando, którego wymowa i wyobraźnia dawały mu wielkie fory; wzrosłyby one jednak stokrotnie, gdyby mógł przemawiać na zebra-

niach w języku ojczystym. Istotnie, był pomysłowy, miał humor, czucie historyczne i dar urabiania woli innych. Ale przeszkadzano mu w tem bardzo. Niektórzy z jego rodaków utrzymywali, że baron Sonnino był jego złym duchem. Jedno z wielu powiedzeń, przypisywanych mu podczas Konferencji dotyczyło wzajemnych kłótni między sobą małych narodów. „Są oni podobni", powiedział premjer, „do gromadki kur, które się niesie za nogi na jarmark. Choć jednakowy los je czeka, potrafią się jeszcze czubić ze sobą w jego oczekiwaniu".

Po upadku gabinetu Orlanda, zjawił się w Paryżu p. Tittoni w charakterze delegata głównego. Miał już ustaloną opinję, jako jeden z wybitnych mężów stanu Europy; spędził kilka lat w Paryżu, jako ambasador, i razem z di San Giuliano i Giolitti'm był za zerwaniem sojuszu z państwami centralnemi, gdy postanowiły rozpocząć wojnę światową. W francuskich kołach nacjonalistycznych Tittoni długo był źle widziany, jako człowiek o skłonnościach filoniemieckich. Było to podejrzenie zupełnie nieuzasadnione. Wprost przeciwnie, Tittoni był znany, jako idący wraz z Koalicją tak daleko, jak mu na to pozwalały obowiązki względem własnego kraju. Wiem o tem, że pewnego razu dał radę, której dziś jego koledzy—włosi, tudzież polityczni przyjaciele i przeciwnicy gorzko żałują, że nie została wysłuchana. Przyjdzie chwila, kiedy się dowiemy o jej treści i będziemy mogli ocenić jej doniosłość.

O delegatach Japonji, markizie Saionyi i baronie Makino można mówić niewiele, gdyż ich kwalifikacje zostały usprawiedliwione rezultatami ich zabiegów. Powodzenie swe na Konferencji paryskiej Japonja zawdzięcza głównie talentom tych mężów stanu i umiejętnemu ich postępowaniu; sprawa jej została przez Lloyd George'a i Clemenceau oddana do rozstrzygnięcia Wilsonowi. Postępowanie jej przedstawicieli jest doskonałą lekcją poglądową, wykazującą wartość taktyki psychologicznej w polityce praktycznej. Prawie wcale nie występowali na arenę, milczeli i obserwowali, będąc niemal ignorowani przez prasę. Ale celu swego nie tracili z oczu. Program ich był prosty. W kalejdoskopie wypadków politycznych kroczyli razem z Aljantami, dopóki ci nie zaczynali się różnić w zdaniach, wtedy głosowali razem z Anglją i Stanami Zjednoczonemi. Czasami szli dalej i stawiali wnioski, dotyczące państw mniejszych, które Anglja uważała za pożądane, ale z któremi nie chciała występować sama. Japonja była na Konferencji wytrwałym współpracownikiem dwu mówiących po angielsku szefów, dopóki nie przyszła kolej na nią; wtedy wystąpiła w swojej sprawie z całym długo gromadzonym zapasem energji i zajęciem zdecydowanego stanowiska uniemożliwiła wszelką opozycję ze strony Wilsona. Jednym z najciekawszych epizodów

Konferencji była zręczna, cicha i udana kampanja, w której Japonja zawarła tajną umowę z Chinami, i przypieczętowanie jej przez purytańskiego prezydenta Stanów Zjednoczonych, chociaż jego poczucie moralne wzdrygało się przed tajemnemi umowami, zawieranemi przez Włochy i Rumunję z większemi i największemi potęgami Europy. Pozatem z przenikliwością godną wytrawnych mężów stanu ocenili Japończycy sytuację Rosji i wyzyskali ją odpowiednio — pierwszy raz niezadługo przed zaproszeniem do Prinkipo, i później przed przedłożeniem admirałowi Kołczakowi słynnych ośmiu pytań. Mnie uderzył szczególnie wypadek, pozornie zwykły, który wskazywał doniosłość, słusznie przez nich cenionej psychologicznej strony polityki. Każdy w Paryżu zauważył, a wielu uskarżało się napróżno na obojętność, a nawet niechęć, której niewinnemi ofiarami byli Rosjanie. Pomiędzy wojskami sprzymierzonemi, przechodzącemi pod Arc de Triomphe w dniu 14 lipca, byli Rumuni, Grecy, Portugalczycy i Indusi, ale nie było ani jednego Rosjanina. Pewien generał rosyjski szedł przez las chorągwi i sztandarów, szukając gorliwie symbolów swego kraju, lecz przez szereg godzin jego poszukiwania były bezowocne; nareszcie przechodząc obok ambasady japońskiej, dojrzał z radością olbrzymią chorągiew rosyjską, powiewającą majestatycznie obok japońskiej. „Wylewałem łzy radości", mówił tego wieczora swoim przyjaciołom „i przysięgałem, że ani ja, ani mój kraj nie zapomnimy nigdy tego wzruszającego dowodu przyjaźni".

Japońska opinja publiczna krytykowała surowo niepowodzenie delegatów w sprawie uznania równości ras i narodów. Ten sąd wydaje się niesprawiedliwym, gdyż cokolwiek mogliby powiedzieć lub zrobić, nie udałoby się im zmusić Wilsona i Hughesa do uznania tej doktryny; gdyby zaś skłoniono ich do zgody, nie mogłaby zastosowana być w praktyce.

Naogół największem powodzeniem w bronieniu spraw cieszyli się prawnicy, chociaż jeden z delegatów mniejszych krajów, który zrobił największe wrażenie na przedstawicieli mocarstw większych nie należał do palestry. Kierownik delegacji polskiej Roman Dmowski, obrazowy, przekonywający mówca, zwięzły polemista i pomysłowy obrońca, któremu nigdy nie brakło słów, porównania, argumentu *ad hominem* lub szybkiej i ciętej odpowiedzi, zjednał sobie arbitrów, pomimo że z początku zaliczali się do jego przeciwników — fakt znamienny, jeśli zważymy, że działo się to w zgromadzeniu, gdzie potężne wpływy sprzeciwiały się niektórym żądaniom zmartwychwstającej Polski. Wrześniowa mowa Dmowskiego o przyszłości Galicji Wschodniej była prawdziwem arcydziełem.

Na Konferencji wystąpił w warunkach niekorzystnych, wywołanych niechęcią najpotężniejszej zbiorowości międzynarodowej naszych czasów: wystąpili przeciwko niemu Żydzi całego świata. Jego przyjaciele Polacy tłumaczą ten wrogi stosunek w sposób następujący. Gorące uczucia narodowe zniewalały Dmowskiego powstać przeciwko każdemu ruchowi, który przeszkadzał rozwojowi kraju w kierunku narodowym, boć przedewszystkiem jest on Polakiem i patrjotą; ponieważ zaś ludność żydowska w Polsce, nie wierząc w jej odbudowanie, oddawna zawarła serdeczne porozumienie z państwami, które ją podbiły, utalentowany autor książki o „podstawach narodowości", która doczekała się czterech wydań, był przez żywioły żydowskie uważany za nieprzejednanego wroga, gdy istotnie był tylko kierownikiem ruchu, uważanego za konieczność historyczną. Jednym z nieuniknionych warunków tej pracy było pielęgnowanie w Polsce uczuć antyniemieckich, jako jedynej przeciwwagi truciźnie teutońskiej, sączonej z Berlina drogami ekonomicznemi i innemi. A ponieważ Żydzi polscy, których język jest zepsutym dialektem niemieckim i których sympatje często są po stronie Niemiec, czuli, że napaść na całość jest napaścią i na część, wyklęli autora i nazwisko jego wśród nich bardzo jest niepopularne. Od tego czasu nie doszło do porozumienia. W Stanach Zjednoczonych, gdzie Żydów jest dużo i gdzie posiadają wpływy, Dmowski na każdym kroku spotykał przeszkody i trudności podczas swej podróży; w Paryżu również trafił na silną opozycję jawną i tajną. Roman Dmowski bez względu na to, jaki sąd mogą wydać bezstronni ludzie o jego poglądach i niechęci do Niemców i ich ajentów, cieszy się zasłużenie opinją szczerego i prawego bojownika za sprawę swej ojczyzny, człowieka, który gardzi podziemnemi knowaniami i głosi otwarcie — może zbyt szczerze — zasady, za które walczy. Żydzi polscy, którzy się zjawili w Paryżu, niektórzy z nich najgorętsi jego przeciwnicy, przyznawali, że w rycerski sposób prowadził swe walki wyborcze i inne. Wśród delegatów jego praktyczna znajomość polityki wschodnio-europejskiej wysunęła go na pierwsze miejsce. Zna on świat lepiej, niż wszyscy inni mężowie stanu, gdyż zjeździł całą Europę, Azję i Amerykę. Podjął się i z powodzeniem wypełnił pewną drażliwą misję na dalekim Wschodzie w roku 1905 i przez to oddał cenne usługi własnej ojczyznie i sprawie cywilizacji.

„Działalność Dmowskiego", stwierdzają dalej jego przyjaciele, „jest spokojna i bezinteresowna. Ambicja, która go podnieca i pobudza, nie ma charakteru osobistego, a jego patrjotyzm nie jest drogą, prowadzącą do stanowiska i władzy. Patrjotyzm polski stanowi kategorję odmienną od patrjotyzmu

innych narodów europejskich i Dmowski wciela go w sobie z rzadką wiernością i pełnią. Gdyby wilsonizm został wprowadzony w życie, patrjotyzm polski stałby się anachronizmem. Dziś jest on poważnym czynnikiem w polityce europejskiej, zbyt mało rozumianym na Zachodzie. Dmowski żyje dla ojczyzny. Jej interesy pochłaniają wszystkie jego siły. Prawdopodobnie zgodziłby się z historykiem Pawłem Sarpi, który mówił: „Bądźmy przedewszystkiem Wenecjanami, a potem chrześcijanami". Z dwóch szeroko rozbieżnych prądów, na które dziś dzieli się główny tok myśli dążeń politycznych, Dmowski razem z narodowym oddala się od międzynarodowego, popieranego przez Wilsona. Fakt, że często kierownicy bolszewizmu byli Żydami—ku oburzeniu większości ich własnych współrodaków, i pomysłowość, z jaką zastawiali swe zdradzieckie sieci w Polsce, nie pozostała bez wpływu na stosunek Dmowskiego do żądania Żydów polskich, by im dać uprzywilejowane stanowisko wśród Ligi Narodów. Ale zasadę uprzywilejowania mniejszości — żydowskiej czy pogańskiej — można zwalczać na podstawach nie mających nic wspólnego z rasą i religją. Polski mąż stanu był główną osobą działającą w kilku najbardziej interesujących i charakterystycznych momentach Konferencji i jemu zawdzięcza Polska najważniejsze i najtrwalsze zdobycze, które na niej osiągnęła.

Inne usposobienie ma p. Paderewski, który się zjawił w Paryżu, by bronić sprawy swego kraju w późniejszym okresie prac Konferencji. Cechy charakteru wybitnego artysty tworzyły tak harmonijną całość, że jego spotkania z wielkimi delegatami nie zmąciła nigdy nuta dysonansu. Jak tylko mu się wydało, że ich postanowienia były tak nieodwołalne, jak wyroki losu, uchylał przed niemi czoła i autorów ich uważał jako bogów Olimpu, którzy musieli wypowiedzieć swe groźne „stań się". Nawet wezwany do przyjęcia drażliwego artykułu o obronie mniejszości religijnych i narodowych, przeciwko któremu napróżno walczył jego kolega, Paderewski podporządkował namiętność polityczną rozsądkowi i dostroił się do pożytecznej roli pojednawcy. Uważał, że postąpić inaczej byłoby więcej, niż bezużytecznie. Cierpiał nad tem, że jego kraj musi się poddać temu wyrokowi, żałował niezmiernie, że konieczność zmusiła takich wypróbowanych przyjaciół Polski, jak „Czterej", do wydania tak surowego sądu; ale godził się wdzięcznie z rzeczą nieuniknioną i dziękował wykonawcom losu za ich sympatję osobistą. To zachowanie się wywołało pochwały i zachwyt p.p. Lloyd George'a i Wilsona, a atmosfera conclave wydawała się przepojona nastrojem spokojnego zadowolenia i radością wzniosłych idej. Paderewski wywarł głębokie i dodatnie wrażenie na Radę Najwyższą.

Belgja wysłała, jako pierwszego delegata na Konferencję, wybitnego parlamentarzystę p. Hymansa. Towarzyszyli mu kierownik partji socjalistycznej p. Vandervelde i wybitna powaga w zakresie prawa międzynarodowego p. van den Heuvel. Lecz z przyczyn trudnych do zbadania żaden z trzech delegatów nie miał powodzenia u duumwiratu, który prządł nici światowych przeznaczeń. P. Hymans jednakże swoją szczerością, uczuciem i odwagą zrobił wrażenie na przedstawicielach mniejszych państw, zdobył ich zaufanie, stał się ich rzecznikiem i walczył ze wszelkiemi próbami — a tych było wiele — ignorowania ich bytu. On to swym prostym a wymownym protestem wystąpił przeciwko p. Clemenceau i obalił niesłychaną tezę, że przyrodzonymi sędziami świata są mocarstwa, które mogły wystawić dwanaście miljonów żołnierzy na polu walki. W ten sposób oczyścił atmosferę od niezdrowej mgły, zawiłych pojęć i słów niejasnych. Jak wielką rolę w wyznaczeniu delegatów na Konferencję grała polityka wewnętrzna, wyszło na jaw z wyjątkową jasnością, gdy szło o Rumunję. Kraj ten nie miał ciała prawodawczego. Po Konstytuancie, rozwiązanej z powodu inwazji niemieckiej, nie było nowych wyborów. Król, do którego należała inicjatywa, nominował znowu Bratiano kierownikiem rządu i Bratiano pragnął związać swe historyczne nazwisko z rozszerzeniem granic własnego kraju. Pragnął jednak również zapewnić sobie pomoc swego rywala politycznego p. Take Jonescu, uchodzącego w całym świecie za daleko-widzącego męża stanu i zdolnego negocjatora. Specjalnością jego była znajomość krajów europejskich i ich spraw, tudzież rzadka umiejętność żądania i ustępowania, co jest najważniejszym czynnikiem w polityce międzynarodowej. Potrafił też niepostrzeżenie podjąć inicjatywę w czasie narad, sformułować możliwe do przyjęcia propozycje, ugłaskać swoich przeciwników, wykazując im, jak rzetelnie rozumie i uznaje ich punkt widzenia; w ten sposób nieraz udało mu się doprowadzić do skutku beznadziejne na pozór pertraktacje. Clemenceau pisał o nim: „C'est un grand Européen“ [1]).

Wezwanie Bratiano o pomoc tak wybitnego oponenta zeszło się z ofiarowaniem kilku tek ministerjalnych Jonescu i grupie jego przyjaciół politycznych. Gdy pertraktacje o tem prowadzono powoli drogą telegraficzną, Jonescu, który już osiadł w Paryżu, wziął się pilnie do wykonania swoich planów. Zaczął od stwierdzenia tego, co każdemu było wiadome, że mocarstwa odmówią uznania tajemnej umowy zawartej z Francją, Anglją i Rosją, o ustąpieniu Rumunji wszystkich żądanych przez nią terytorjów, i zaproponował kompromis z innemi mającemi

[1]) *L Homme Enchaîné*, 14 grudnia 1914 roku.

w tem interes państwami, przez utworzenie bloku składającego się z Rumunji, Jugosławji, Polski, Czechosłowacji i Grecji, żądając od mocarstw uznania i zatwierdzenia tej nowej ligi. Istotnie była to genjalna koncepcja, godna szerokiego umysłu męża stanu. Celem jej był trwały pokój, oparty na zaspokojeniu żądań narodowych; wątpić wszakże można, czy mogłyby przeprowadzić ten program narady, niepokojone namiętnościami przy współudziale takich przedstawicieli, którzy nieraz bali się wypowiedzieć swe żądania, jakie sami uważali za zbyt wygórowane.

Projekt ten nie był przedmiotem obrad. Dwaj mężowie stanu poróżnili się w sprawie gabinetu; p. Jonescu porzucił urząd i stanowisko drugiego delegata przypadło największemu dyplomacie i filologowi Rumunji p. Mishu, który przez szereg lat z powodzeniem reprezentował swój kraj w charakterze ministra w stolicy Anglji. Na początku położenie Bratiano było nie do pozazdroszczenia, gdyż opierał żądania swego kraju na tajnej umowie, a dla Wilsona każdy układ tajny, przeciwko któremu mógł skutecznie protestować, był obciążony klątwą. Pomiędzy tymi dwoma ludźmi zamiast porozumienia zapanowała silna niechęć wzajemna, która trzymała ich stale zdaleka od siebie. Obaj mieli różne plany, mówili innemi językami i Rumunja w osobie swych delegatów była traktowana jak kopciuszek przez macochę. Rada Trzech trzymała ich stale w niewiadomości tego, co ich dotyczyło, pertraktowała ponad ich głowami, posyłała do Bukaresztu rozkazy, do których przyjęcia oni tylko upoważnieni byli, nalegała wreszcie, by się zobowiązali poddać przyszłym wyrokom Konferencji bez szemrania i zgodzili na to, by obca instytucja—Liga Narodów—interwenjować mogła na rzecz mniejszości przeciwko legalnie ukonstytuowanemu rządowi kraju. Bratiano w ostrej mowie wystąpił przeciwko dążeniom wielkich mocarstw do zagarnięcia w swe ręce rządów w Europie, opuścił Konferencję i złożył swą dymisję w ręce króla.

Jednym z wybitniejszych mówców w tym osobliwym parlamencie, gdzie tak trudno było poruszać zadowoloną z siebie ignorancję i rozjaśnić ciemne umysły, był młody jeszcze wysłaniec Czechosłowaków, p. Benesz. Pod koniec Konferencji powołano go do zaszczytnej misji utworzenia gabinetu, gdy ujawnił mistrzowskie zrozumienie polityki kontynentalnej i rzadką umiejętność łączenia aspiracyj swego kraju z postulatami trwałego pokoju. Rozumując logicznie, nie zaczynał od wysunięcia swej sprawy na plan pierwszy: zaczął swoje *exposé*, z pominięciem wszelkich spraw narodowych, od ogólnych założeń, uznawanych przez Olimpijczyków, ale doprowadził swoich słuchaczy do wniosków, które pragnął wyciągnąć z swych własnych prze-

słanek. Niektórzy z nich, mało sympatyzujący z jego tezą, zapewniali mnie, że nie mogli odnaleźć w jego rozumowaniach żadnego logicznego błędu. Umiarkowanie i szczerość były to cnoty, które ujawniał najchętniej i które były niewątpliwie najlepszemi atutami w grze, jaką prowadził. Posiadał on nie tylko dar umiejętnego grupowania faktów i argumentów, ale też wielkie poczucie miary i umysł otwarty, który pozwalał mu zjednywać dla swych poglądów umysły słuchaczy.

Sprawa Armenji znalazła dzielnego i umiejętnego obrońcę w osobie Boghos-Paszy, który wzniecał zachwyt swoją gorliwością w zbieraniu argumentów na korzyść sprawy, mającej wielu niechętnych. Ormianie żądali obszernego pasma ziemi z wylotem na morze Czarne i Śródziemne, ale spotkali się z zarzutem, że liczba ich jest tam bardzo nieznaczna, że tylko w jednej prowincji stanowią większość i że ich pretensje do Cylicji sprzeczne są z tem, co zagwarantowano Francji. Lód był więc miejscami cienki, ale Boghos-Pasza ślizgał się po nim zgrabnie. Jego opis rzezi ormiańskich był wstrząsający. Jednem słowem jego *exposé* było arcydziełem i spotkało się z uznaniem Wilsona i Clemenceau.

Delegaci Jugosławji pp. Wesnicz i Trumbicz, wytrwali, i przeciwni kompromisom patrjoci, wcześnie znaleźli sposobność do wykazania, jakiego są typu. Kiedy im powiedziano, że Jugosławja nie jest jeszcze uznana i królestwo Serbskie musi się zadowolić dwoma delegatami, założyli pełen oburzenia protest przeciwko obydwom decyzjom i nie pokazywali się na Konferencji, dopókiby nie pozwolono im mieć odpowiedniej liczby przedstawicieli, a gdy Wielkie Mocarstwa zgodziły się na trzech, z hamowaną wściekłością pogodzili się z odmową uznania ich państwa. Nie słyszano też o nich aż do chwili, gdy zaproponowali, by ich spór z Włochami o Fiume i o wybrzeże Dalmacji został oddany do rozstrzygnięcia prezydentowi Wilsonowi. Sprawa była niezwykła. Wszyscy pamiętali, że prezydent Wilson miał na ten temat ożywioną rozmowę z premjerem włoskim Orlando i wiedzieli, że był przeciwny żądaniu Włoch i tajnej umowie, na podstawie której Włosi opierali się temu żądaniu. Wskutek tego Serbowie mogli bez żadnego ryzyka wezwać Orlando do wyłożenia sprawy przed delegatem amerykańskim. Czy wobec powyższego był to krok rozumny?'— można o tem wątpić. W każdym razie delegacja włoska odrzuciła tę propozycję, na zasadzie szeregu argumentów, uznanych przez wielu delegatów za przekonywające. Podnoszono, że Konferencja była zwołana właśnie dla wysłuchiwania i rozwiązywania takich sporów, jak ten, i że dlatego składała się nie z jednego, ale z wielu delegatów, którzy zbiorowo byli bardziej uzdolnieni do rozstrzygania podobnych zagadnień, niż każdy pojedyn-

czy człowiek. Nadto zaś Europejczycy mogli lepiej ocenić argumenty i atmosferę, w której należało rozpatrywać tę sprawę, niż wybitny idealista amerykański, który zmuszony był niejednokrotnie zmieniać swój sąd o sprawach europejskich. Pozatem usunięcie tej dyskusji z sądu międzynarodowego mogłoby być zrozumiane jako lekceważenie ludzi, z których się ten sąd składał; wreszcie zaś, dlaczegóż wyrok tego sądu posiadałby większą wartość, niż wyrok prezydenta Stanów Zjednoczonych? Prawda, delegaci Włoch byli sami sędziami w tym trybunale, ale sprawa ta nie dotyczyła tylko tych dwóch krajów, stawiała natomiast doniosłe pytanie: jakie granice młodego państwa Jugosławji będą najbardziej sprzyjały ogólnemu pokojowi? I nikt, jak mówili, nie dałby na to bardziej wyczerpującej i rzetelnej odpowiedzi, niż oni i ich koledzy europejscy, obznajmieni ze wszystkiemi szczegółami tej kwestji. Pozatem, choć tego zarzutu nie formułowano, czyż Wilson już nie wypowiedział się przeciwko Włochom? Z tego i innych powodów zdecydowali się oddać tę sprawę samej Konferencji. Była to kwestja drażliwa i nieliczni z uczestników uważali za stosowne wypowiedzieć o niej swe zdanie.

Albanję reprezentował mój dawny przyjaciel, czcigodny Turchan-Pasza, który pracował w dyplomacji stale od czasu kongresu Berlińskiego, czyli końca ósmego dziesięciolecia ubiegłego wieku i wyglądał jak zmodernizowany Nestor. Poznałem go przed wielu laty, kiedy był ambasadorem tureckim w Petersburgu. Był on wtedy lubiany powszechnie w stolicy rosyjskiej, jako sumienny poseł, czarujący w rozmowie, miłujący pokój i wszystkim dobrze życzący człowiek. Młodoturcy odwołali go z Petersburga i wkrótce potem został wielkim wezyrem przy księciu Albanji. Ważne wydarzenia usunęły księcia z tronu, Turchana-Paszę z wezyratu, a Albanję ze społeczności narodów; spotkałem wtedy mego przyjaciela w Szwajcarji, chorego, skazanego na gorzki chleb wygnańca, chwilowo oddalonego od świata politycznego i czekającego na jakiś zwrot nowy. Po paru latach Aljanci odnieśli niespodziewanie na terytorjach rozległych zwycięstwo i Turchan-Pasza powrócił do dyplomacji i polityki; zjawił się niespodziewanie na Konferencji Paryskiej, jąko przedstawiciel Albanji i przyjaciel Włoch.

Inny mój przyjaciel Albańczyk, Essad-Pasza, którego plany odrodzenia kraju różniły się znacznie od planów Turchana, został na dłuższy czas zatrzymany w Salonikach. Na skutek energicznych żądań i protestów nareszcie dostał pozwolenie przyjazdu do Paryża i wyłożenia swoich poglądów przed Konferencją; miał wówczas ciekawy interview z Wilsonem. Prezydent dostał od Albańczyków, mieszkających w Stanach Zjednoczonych, wiele nieproszonych opinji o charakterze i po-

stępowaniu Essada-Paszy i nie miał wiary w jego zdolności co do wprowadzenia i spopularyzowania instytucyj demokratycznych w Albanji. Wątpliwości swoje wypowiedział przed przyjaciółmi, od których wieści rozeszły się dalej. Pasza poprosił o audjencję i po cierpliwych i wytrwałych zabiegach prośba jego została wysłuchana. Na pięć minut przed wyznaczoną godziną zjawił się w domu prezydenta w towarzystwie tłumacza, młodego Albańczyka, nazwiskiem Stavro, który oprócz swego rodowitego języka, mówił płynnie po francusku, grecku i turecku. W przedpokoju Essad przypomniał sobie, że prezydent Amerykański mówi tylko po angielsku, chciał więc posłać Stavro do hotelu Grillon po tłumacza angielskiego. Ale jeden z sekretarzy wstrzymał go, mówiąc: „Prezydent, choć nie mówi po francusku, ale rozumie, więc drugi tłumacz jest zbyteczny". Essad więc przemawiał do Wilsona po albańsku, Stavro tłumaczył jego słowa na francuski, a Prezydent słuchał w milczeniu. Obecni w tym pokoju mieli wrażenie, że Wilson zrozumiał i ocenił podstawę ostrej krytyki, której Pasza poddał stanowisko Włoch. Chcąc być dokładnym, trzeba dodać, że Prezydent poprosił swego gościa, by w wolnej chwili zechciał wyłożyć na piśmie i przesłać mu wszystko to, co powiedział ustnie.

PREZYDENT WILSON.

Prezydent Wilson nim podjął śmiałą rolę wszechświatowego arbitra, był mało znany w Europie i nie uchodził za wytrawnego męża stanu. Jego objekcje moralne przeciwko rządom Huerty w Meksyku, dążenia do przeprowadzenia tam zasad demokratycznych, anarchja, która wyniknęła z tego powodu, przejdą do historji. Lecz prezydent narodu, dla którego bezmiernej hojności i altruizmu cały świat żywi dług wdzięczności, jaką tylko czuć można, ale nigdy się za nią należycie odwdzięczyć, cieszył się wysokim szacunkiem swych towarzyszów; nadto zaś, jako autor projektu, który miał połączyć wszystkie narody węzłami powinowactwa moralnego, był uwielbiany przez masy. Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć człowieka, tak entuzjastycznie i z takiem wylaniem witanego przez przygnębione ludy świata. Jego najzwyczajniejsze przemówienia były chwytane, jak słowa wyroczni. Stał na takiej wyżynie, że nie dotykały go zmienne koleje codziennego życia i polityki. Wierzono zarówno w rzadką bezinteresowność jego pomysłów i czynów, jak i sprawiedliwość sądu, której nie zakłóci żadna burza namiętności. Sądząc z niezliczonych objawów, prezydent Wilson miał możność czynienia dobrze w daleko szerszych granicach, niż to kiedykolwiek było w mocy ludzkiej.

Wkrótce po otwarciu Konferencji niejasne kontury jego portretu duchowego zaczęły się zarysowywać lepiej i nie mi-

nęło trzech miesięcy, jak stanął, przed publicznością prawie w pełnem świetle swych naturalnych barw i cieni. Nigdy jaśniej nie wychodzi na jaw wartość czynnego polityka, jak wówczas, gdy zająwszy wysokie stanowisko, bierze się do trudnego dzieła wobec mas. Dzieło Wilsona harmonizowało z nim, jako jego własny pomysł, a streszczało jedno z największych zagadnień, jakie kiedykolwiek poruszył człowiek. Środki, za pomocą których wziął się do rozwiązywania go, były bardzo proste; odrodzenie rasy ludzkiej miało być osiągnięte za pomocą bezwzględnych nakazów, wypracowanych w tajemnicy i narzuconych z góry zainteresowanym narodom, razem z nową i niezupełnie ścisłą nomenklaturą.

We własnym kraju, gdzie ma zarówno zawziętych wrogów, jak oddanych przyjaciół, uważają Wilsona za konglomerat kaznodziei, nauczyciela i polityka. Te trzy różne pierwiastki złożyły się wedle zdania Amerykanów, na jego zapał i namaszczenia, ton dogmatyczny i mądrość praktyczną, jakie cechowały jego słowa i czyny. Niezależna opinja amerykańska wątpiła o jego kwalifikacjach na kierownika. Jako polityk, mówiono, szedł zawsze z tłumem. Płynął zwykle z prądem uczuć ogółu w sprawach ważnych, zamiast ujmować go w karby i nim kierować. Niezdolny do śmiałej inicjatywy, zadawalał się czynami bezpośredniemi. Z imieniem jego nie łączyła się nowa idea, lub odmienna polityka. Jego szczególny stosunek do afery Meksykańskiej wywołał ostrą krytykę przyjaciół i potępienie przeciwników politycznych. Jego opinje, wyrażane podczas pierwszych okresów wojny światowej, jak naprzykład twierdzenie, że naród amerykański jest za dumny, by walczyć i nic go nie łączy z przyczynami i celami wojny [1]), były wprost przeciwne poglądom, które propagował później, co wytłumaczono jako szybką ewolucję polityczną, a nie jako objaw niewyrobionego umysłu. Uchodził za pacyfistę, gdyż jego duma burzyła się na myśl rozwiązania jakiejś trudnej kwestji przez użycie siły, i za pół-militarystę, gdyż utworzywszy w swem mniemaniu bezpieczną i bezkrwawą gwarancję pokoju w postaci Ligi Narodów, zgadzał się na podtrzymanie jej przez umowę wojenną, która podrywała jej podstawy. Swój wybór ponowny na prezydenta zawdzięczał, jak mówiono, ogólnemu przekonaniu, że uchronił swój kraj od wojny, pomimo starań wielu wybitnych działaczy, którzy udziału w niej pragnęli; ale zatrzymawszy ponownie wzmocnione swe stanowisko, poszedł za tymi, którym się przeciwstawiał, i zmusił naród do walki.

---

[1]) Z jej przyczynami i celami nic nas nie łączy. Mowa Wilsona w Lidze Popierania Pokoju w Waszyngtonie, 24 maja 1916 r.

Jako stojący na czele wielkiego państwa, dodają jego domowi krytycy, które przeważyło szalę zwycięstwa na korzyść Aljantów, Wilson znalazł świetną sposobność wzniesienia się wysoko, i wtedy po raz pierwszy w sposób zdecydowany sięgnął po kierownictwo światem. Wtedy też się okazało, że jest idealistą w całej pełni. Przygotowując się do podjętej roli, prosił naród, o głosowanie przeciwko jego antagonistom politycznym, pomimo, iż ci popierali lojalnie jego politykę i ludzi jego własnej partji, a dla uspokojenia wątpliwości dodał, że wybieranie senatorów z partji republikańskiej byłoby potępieniem działalności prezydenta Stanów Zjednoczonych podczas niebezpiecznego kryzysu. Wytknięto mu to, jako grzech nieprzebaczalny. Wyborcy jednak posłali do senatu jego przeciwników politycznych, a potem Prezydent zorganizował swą historyczną wycieczkę do Europy. Byłby to może punkt zwrotny w historji świata, gdyby był Wilson potrafił przemienić swój autorytet i urok w siłę kierującą, zdolną do wykonania jego zbawiennego planu. Ale stracił tę sposobność przez brak odwagi moralnej. Tyle krytyka amerykańska.

Narody Europy nie znały jednak opinji o Prezydencie jego rodaków, którym jako takim, można wybaczyć, że nie potrafili ocenić jego apostolstwa, ani wartości jego dążeń humanitarnych. Masy znużone wojną, sądziły go nie z tego, czego dokonał lub próbował dokonać przedtem, ale z tego, co zamierzał na przyszłość, i ta miara, którą przykładano do jego indywidualności duchowej, zrobiła zeń postać legendarną.

Europa, gdy Prezydent dotknął stopą jej brzegów, była jak glina, czekająca na twórczego garncarza. Nigdy przedtem narody nie byłyby poszły tak chętnie za Mojżeszem, któryby je prowadził do dawno obiecanej ziemi. I tylko on według ich mniemania, mógł być tym wielkim przodownikiem. We Francji ludzie kłaniali mu się z uwielbieniem i przywiązaniem. Kierownicy partyj robotniczych we Francji mówili mi, że płakali z radości, widząc go, a towarzysze ich gotowi byli iść w ogień i w wodę za nim, by mu pomóc w urzeczywistnieniu jego szlachetnych planów [1]). Dla klas robotniczych we Włoszech nazwisko jego było głosem trąby niebieskiej, który odrodzi

[1]) Warto tu przytoczyć świadectwo jednego z kierowniczych organów prasy francuskiej: „La situation du Président Wilson dans nos démocraties est magnifique, souveraine et extrêmement périlleuse. On ne connaît pas d'hommes, dans les temps contemporains, ayant en plus d'autorité et de puissance; la popularité lui a donné ce que le droit divin ne conférait pas toujours aux monarques héréditaires. En revanche et par le fait du choc en retour, sa responsabilité est supérieure à celle du prince le plus absolu. S'il réussit d'organiser le monde d'après ses rêves, sa gloire dominera les plus hautes gloires; mais il

ziemię. Niemcy patrzyli na niego i jego humanitarną doktrynę, jako na kotwicę bezpieczeństwa. Nieustraszony p. Muehlon powiedział: „Gdyby prezydent Wilson zwrócił się do Niemców i wygłosił na nich surowy wyrok, przyjęliby go z rezygnacją, bez szemrania i wzięliby się zaraz do roboty". W Austrji niemieckiej miał sławę wybawiciela; samo nazwisko jego było balsamem dla cierpiących i łagodziło smutek przygnębionych. Wzruszający wypadek, który się zdarzył w stolicy Austrji, opowiedziany prezydentowi, rozrzewnił go do łez. W szpitalach Wiednia było pięć do sześciu tysięcy dzieci, które przy zbliżających się świętach Bożego Narodzenia potrzebowały lekarstw i wielu innych rzeczy. Kierownik Amerykańskiego Czerwonego Krzyża przejął się ich losem i namówił Amerykanów we Francji do wysłania do Wiednia lekarstw za dwa miljony dolarów. Lekarstwa zostały wysłane i doszły do Bernu, kiedy władze francuskie, dowiedziawszy się o tej sprawie, zaprotestowały przeciwko przedwczesnej pomocy młodocianym wrogom w imię zasad, które inni Aljanci musieli uznać jako uprawnione, i lekarstwa zostały z Bernu skierowane z powrotem do Francji. Dr. Ferries z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, z pełnem oburzeniem, zdał o tem relację rządowi Szwajcarskiemu, który się podjął przesłania dzieciom pewnej ilości lekarstw, Amerykanie zaś starali się wpłynąć na Francuzów, żeby pozwolili przesłać choć część lekarstw. Gdy powiedziano dzieciom w szpitalach, że muszą jeszcze zaczekać, przyjęły to pogodnie i z ufnością. „Nic nie szkodzi", zawołały niektóre z nich, „niedługo przyjedzie Wilson i wszystko nam przywiezie".

W ten sposób Wilson stał się niejako ludzkim bohaterem dla proletarjuszy europejskich, którzy w jego właściwościach umysłowych i moralnych widzieli ideał mesjasza najnowszych czasów. Jego legendarna postać pół-świętego, pół-rewolucjonisty wyłaniała się z jasnej mgły wiary, tęsknot i nieświadomości, jakby w jakiejś ekstatycznej wizji. Pomimo sprawozdań z jego czynów i słów legendotwórcze zdolności narodów znalazły sobie wolne ujście i stworzyły mesjanistycznego demokratę, powołanego do uwolnienia niższych warstw społeczeństwa z więzów kapitalizmu, uprawnionego niewolnictwa i uciążliwego opodatkowania, a wszystkich ludów od krwawych wojen. Zaprawdę, żadna istota ludzka od najwcześniejszych czasów historycznych nie zaznała dotąd tak wspaniałego powodzenia. Wilson mógł zrobić bohaterski wysiłek dla wydobycia społeczeństwa z głę-

faut dire hardiment que s'il échouait, il plongerait le monde dans un chaos, dont le bolchevisme russe ne nous offre qu'une faible image; et sa responsabilité devant la conscience humaine dépasserait ce que peut supporter un simple mortel. Redoutable alternative!". *Le Figaro*, 10 lutego 1919 r.

bokich czeluści, w które się zapadło i usunięcia wiekowych przeszkód na drodze do oswobodzenia i rozwoju całej ludzkości. Co najmniej miał drogę otwartą do tego, by stać się bóstwem niezliczonych mas, duszą ich duszy, wcieleniem ich najszlachetniejszych myśli, pod warunkiem, by wzgardził ostrożnemi metodami polityków, przełamał barjery starego porządku i użył wszystkich władz swego umysłu i pełnej siły woli w walce przeciwko poziomym interesom i zakorzenionym głęboko przesądom. Niestety wszakże zniechęcił się przeszkodami; zabrakło mu siły do ich przezwyciężenia ideałami ludzkości i natchnioną śmiałością własnej wzniosłej natury i odwołania się wprost do ludów, pomijając ich kierowników; widział się zmuszonym dla dobra sprawy do układania się i targowania z uczonymi w Piśmie i faryzeuszami, i skończył na ułożeniu suchej odpowiedzi na najdonioślejsze zagadnienia, ubranej w zubożałą frazelogję partji politycznej.

Wielu z przyjaciół politycznych Prezydenta radziło mu nie jechać do Europy, by wielki urok jego i wpływ, wywierany zdaleka, nie rozwiały się bezużytecznie w zetknięciu się z tłumem realistów. Nawet bóg wojny Mars, gdy zstąpił w szeregi walczących Trojan, został zraniony przez greka i jęcząc z bólu, wrócił śpiesznie na Olimp z przyćmioną aureolą. Ale Wilson postanowił przewodniczyć i pokierować wykonaniem rzuconego przez siebie projektu, służąc Europie radą bezpośrednią i tłumaczył Kongresowi, że jest wyrazicielem ideałów kraju, za który świadomie walczyli jego żołnierze, że zostały one przyjęte przez polityków rządów sprzymierzonych jako „treść istotna ich myśli i celów", i zakończył słowami: „Moim obowiązkiem jest dopilnować, by nie zostały źle lub fałszywie zrozumiane i żeby nie pominięto żadnego możliwego wysiłku dla wcielenia ich w życie. Dziś powinienem zrealizować dobro, za które oni oddali swe życie i swą krew. Nie znam powołania do wyższej służby, niż ta." [1]) Trudno o bardziej chwalebne zamiary.

Wkrótce potem, jak *George Washington*, pod flagą Prezydenta, wypłynął z portu w kierunku Europy, prasa Stanów Zjednoczonych otrzymała od korespondenta, będącego przy osobie Wilsona, wiadomość, która ożywiła nadzieje świata i wywołała gorące wynurzenia wdzięczności zgnębionej duszy ludzkiej dla tego, który jej wiózł balsam.

Zaczynało się to tak: „Prezydent płynie do Europy dla poparcia ideałów amerykańskich i dla walki o ścisłe wykonanie swoich czternastu punktów. Prezydent będzie bronił za

[1]) Z mowy Wilsona na Kongresie w dniu 2 grudnia 1918 r. „The Times", 4 grudnia 1918 r.

stołem obrad pokojowych wolności mórz i ogólnego rozbrojenia... Nadzór nad morzami, twierdzi on, powinien należeć do całego świata".

Od tego czasu świat wie, co myśleć o prawdziwej walce za stołem obrad pokojowych. O wolności mórz nie wspomniano przy nim, gdyż zapowiedź wojowniczej obrony Wilsona przyniosła mu telegram z Londynu, że tę propozycję w każdym razie musi wykreślić ze swego programu, jeżeli nie chce mieć do czynienia z Anglją. I bez walki lub protestu Prezydent ją cofnął. Czternaście punktów nie były roztrząsane na Konferencji. [1]) Można ubolewać, ale nie można nie rozumieć tego, co się stało. Wilson miał również swój własny, określony cel: pragnąc złączyć swe nazwisko z olbrzymim pomnikiem humanitarnym, postanowił nie wrócić do kraju bez pewnego rodzaju statutu nowego życia międzynarodowego. Nie mógł wrócić do domu z pustemi rękoma. To była jego słaba strona i źródło jego przegranej, albowiem zawsze jego stosunek do wielkich mocarstw w tem się wyrażał: „Dopóki nie zgodzicie się na mój Statut, nie będziecie mieli waszego Traktatu", na co miano odpowiedź gotową: „Bez naszego Traktatu nie będzie Statutu".

Jak Dejoces, pierwszy król Medów, który, zbudowawszy pałac w Ekbatanie, otoczył go siedmioma murami i stale usuwał się z przed oczu swoich poddanych: Wilson w Paryżu przyjmował tylko uznanych przedstawicieli państw i spraw, a i to nie wszystkich.

Odmawiał przyjęcia osób, które sądziły, że mają do tego prawo, ale przyjmował innych, którzy, zdawało się, że tego prawa mieć nie powinni. Podczas swego pobytu w Paryżu zajął się wielu ważnemi sprawami rosyjskiemi po stwierdzeniu publicznem, że żaden pokój nic może być stały dopóty, dopóki Rosja jest szarpana wewnętrznemi walkami. A ponieważ nie posiadał gruntowniejszej znajomości stosunków rosyjskich, potrzebował, jakby się zdawało, rady i pomocy od tych, którzy byli z niemi obznajmieni. Znaczna liczba rosjan, reprezentujących wszystkie partje polityczne i cztery rządy, była w Paryżu i czekała na wezwanie. Ale od stycznia do maja nikt z nich nie był wezwany dla udzielenia informacji lub rady. Nawet tym, którzy uniżenie zabiegali o audjencję, kazano czekać. Tymczasem ludzie, nie znający ani kraju, ani narodu, byli posłani przez Wilsona, by zdać sprawozdanie z położenia i wydostać możliwe warunki pokoju od rządu bolszewickiego.

[1]) Oświadczenie sekretarza Lansinga w Komisji do spraw zagranicznych Senatu. *Chicago Tribune*, 27 sierpnia 1919 r.

Pierwszemu delegatowi jednego z ważniejszych państw mniejszych miesiącami odmawiano audjencji ku wielkiej radości jego przeciwników politycznych, którzy starali się wyzyskać tę okoliczność u siebie w kraju. Wybitny dyplomata, który miał wszelkie prawa, by uzyskać audjencję, musiał czekać na nią z tygodnia na tydzień, aż wreszcie na skutek, jak mu się zdawało, jego wielkiej wytrwałości, Prezydent zgodził się go przyjąć. Dyplomata, rad z powodzenia, zawiadomił przyjaciela, że tym pamiętnym dniem będzie następna środa. „Ale czy nie wiesz", zapytał przyjaciel, „że tego dnia Prezydent będzie w powrotnej drodze do Stanów Zjednoczonych"? Nie wiedział o tem. Ale kiedy dowiedział się, że audjencja była umyślnie wyznaczona na dzień, kiedy Wilson miał być już poza granicami Francji, bardzo był zmartwiony.

Podróż prezydenta po Włoszech była prawdziwym triumfem. Cesarze i królowie nie wywoływali takiego entuzjazmu. Można wyobrazić go sobie, jako bóstwo, odkryte nagle pod postacią śmiertelnika i czczone przez pełnych uwielbienia hołdowników. Wszystko, co robił, było dobrze zrobione, wszystko co mówił, szlachetnie pomyślane i warte zapamiętania. Ten nastrój wszakże ogromnie się zmienił w ciągu kilku miesięcy.

Pouczające porównanie w tym względzie można przeprowadzić pomiędzy cesarzem Aleksandrem na Kongresie Wiedeńskim, a prezydentem Stanów Zjednoczonych na Konferencji Paryskiej. Monarcha rosyjski przybył do stolicy austrjackiej z aureolą Mojżesza, skupiającego w sobie nadzieje wszystkich narodów Europy.

Sława jego prawości, ducha społecznego i wzniosłych aspiracyj zjednała mu zaufanie i naprzód już ofiarowane błogosławieństwo znużonych wojną narodów. I on był mistykiem— wierzył mocno w tajemnicze wpływy, tak mocno, że poddał się kierownictwu pewnej natchnionej kobiety, o której intuicji mówiono, że prześciga mądrość fachowych mężów stanu. A jednak Święte Przymierze stało się najwyższym wykwitem jego dążeń, tak samo jak Liga Narodów—Wilsona. Zamiast powszechnego pokoju cała Europa Wschodnia walczyła i buntowała się we wrześniu i ogólna sytuacja była niepokojąca. Przygnębiające wrażenie kontrastu pomiędzy obietnicą amerykańskiego męża stanu, a jej wykonaniem dało się odczuwać w całym świecie. Ale Wilson na pociechę wiedział, że ludzie prawie nigdy nie osiągają celu — choć czasem zbliżają się do niego bardzo blisko; albo umierają po drodze, albo zmienia się cel lub oni sami. Niewątpliwie była szlachetną ambicja, która kierowała premjerami Wielkich Mocarstw i głową Północno-Amerykańskiej Republiki, pracującymi na Konferencji na czele swych poselstw.

Uważali siebie za najlepiej przygotowanych do tego celu i istotnie byli wolni od uprzedzeń, które wytwarza rutyna zawodowa i nadmierne uwzględnianie szczegółów. Ale prawie pod każdym względem było to i wielkim błędem, i źródłem wielu innych błędów, jeszcze większych. Istotnie, każdy w swoim zakresie dokonał tego, co dziś się określa jako rzecz wielka. Jako kierownika wojny, Lloyd George'a stawiano na równi z Marlboroughiem i Chathamem, Clemenceau porównywano z Dantonem, Wilson zaś stanowił osobną kategorję, sam w sobie. Nie kwestjonując tych dziennikarskich patentów na sławę, należy przyznać, że wszyscy trzej delegaci byli prawdziwymi politykami, wytrawnymi parlamentarzystami, ale te najwyższe kwalifikacje w ich fachu stały się przeszkodą, która im utrudniała podjętą przez nich misję. Wiadomości ich o świecie konkretnym, którzy postanowili przekształcić, były zdumiewająco ograniczone. „Żaby w stawie", mówi przysłowie japońskie, „nie wiedzą nic o oceanie". Nie było nic nagannego w ich nieznajomości punktów wyjścia, ale naganną była lekkomyślność, z jaką sobie lekceważyli jej następstwa. Gdyby byli lepiej obznajmieni z przedmiotem, albo obdarzeni większą przenikliwością, wiele rzeczy, które im się wydawały szczególniej jasne, uderzyłyby ich, jako zupełnie niewytłumaczone, a do takich należało może i ich własne kierownictwo parlamentem świata. To, czego im brakowało, mogłoby być do pewnego stopnia uzupełnione przez ich bardziej utalentowanych pomocników. Ale delegaci z zupełną świadomością wybierali na pomocników miernoty. Cechą umysłów wyższych jest to niewątpliwie, że łatwo wynajdują sobie odpowiednich pomocników.

Inaczej było z delegatami Konferencji. Niektórzy z nich mieli gdzieś bliskich lub przypadkowych suflerów, których rad podobało się im słuchać; liczni wszakże doradcy, występujący na tej wszechświatowej arenie, nie wielką przedstawiali wartość i siłę.

Kierownicy głównych państw żądali, by ich uznawano za przedstawicieli ludzkości, obdarzonych nieograniczoną władzą, ale te pretensje były energicznie zwalczane przez organy prasy ludowej. Prawie wszystkie dzienniki popularne od początku powstawały przeciwko dyktaturze grupy premjerów, z wyjątkiem Wilsona. „Współczesnym pasorzytem" pisał poważny dziennik demokratyczny [1]), jest polityk.

Ze wszystkich uprzywilejowanych istot, które nami kiedykolwiek rządziły, jest on najgorszą. W tem niema zresztą nic dziwnego... jest on nie tylko niemoralny, ale i niekompetentny.

[1]) *La Démocratie Nouvelle*, 27 maja 1919 r.

I oto takiemu pustogłowemu osobnikowi powierzone jest rozwiązanie zagadnień, których podstaw wcale nie rozumie.

Inny dziennik francuski [1]) pisał: „W istocie jest nieszczęściem, że kierownicy Konferencji są szefami gabinetów, gdyż każdego z nich pochłania troska o politykę swego kraju. Pozatem Konferencja Paryska robi się podobną do dramatu lirycznego, w którym występują sami tenorzy. Czy najpiękniejsze dzieło na świecie przeżyje ten nadmiar piękności".

W biegu wydarzeń ujawniło się, że każdy z delegatów, uważając powodzenie w pracy parlamentarnej za źródło swej siły, zajęty był własnemi zagadnieniami politycznemi i ożywiony własnemi bezpośredniemi celami. A ponieważ te cele, choć często trudne do pogodzenia, wydawały się drogą do wspólnego celu, pracował gorliwie dla ich osiągnięcia. Skutki są znane. Clemenceau robił Francję osią wszechświata, Lloyd George wypracował projekty, które identyfikowały dobrobyt ludzkości z hegemonją narodów mówiących po angielsku, Orlando był natchniony „świętym egoizmem", właściwym wszystkim gabinetom włoskim od czasu, gdy Włochy przystąpiły do Koalicji, prezydent zaś Wilson płonął życzeniem, by połączyć nazwisko swoje i swego kraju z najszerszem i najszlachetniejszem przedsięwzięciem, jakie było kiedykolwiek zapisane w rocznikach historji. I każdy z nich szedł własną umiłowaną drogą ku własnemu celowi. Była to trafna ilustracja bajki rosyjskiej o łabędziu, raku i szczupaku, zaprzężonych razem do jednego wozu. Łabędź leciał w górę, rak cofał się, szczupak śpieszył do wody — a wóz stał w miejscu.

Mniejszą, ale równie ważną wadą delegacji był sposób prowadzenia obrad. Niekorzystną zwłokę wywoływała często ciągła nieobecność głównych delegatów, których polityka własnego kraju powoływała do ich stolic; i towarzysze ich koszystali z ich nieobecności, by prowadzić sprawy na własną rękę. Cały Paryż, jak widzieliśmy, wiedział o tem, że kierownicy rządów europejskich, których wiara w prawomyślność Wilsona była w tym czasie jeszcze słaba, pragnęli wykorzystać wyjazd Prezydenta do Waszyngtonu, by decydować sprawy według swego rozumienia, a gdy wróci, postawić go wobec faktów dokonanych. Ale, gdy wrócił, przekreślił wszystko, z czego wyniknęła nowa i znaczna strata czasu, za którą świat musiał grubo zapłacić. I znów, gdy premjer Orlando był w Rzymie, po odezwie Wilsona do narodu włoskiego, delegaci w Paryżu przeprowadzili szereg postanowień, dotyczących Włoch, a ograniczających wpływ ich na Konferencji i zmieniających przyjętą przedtem interpretację traktatu londyńskiego. Niektóre z tych decyzyj

[1]) *Le Figaro*, 26 marca 1919 r.

miały być zatwierdzone po powrocie Włochów; bądź co bądź, takie machinacje wywarły na nich wcale niepożądane wrażenie.

Do większych braków, charakteryzujących premjerów, i ten zaliczyć trzeba, że byli przeważnie nowicjuszami w sprawach międzynarodowych. Geografja, etnografja, psychologja i historja polityczna były dla nich zamkniętemi księgami. Jak rektor uniwersytetu w Louvain, chwalił się przed Oliwerem Goldsmithem, że stanął na czele tej instytucji, nie umiejąc po grecku i nie rozumie, dlaczego ten język ma być tam wykładany: tak kierownicy państw, doszedłszy w swym kraju do najwyższego stanowiska, bez głębszej znajomości spraw międzynarodowych, nie rozumieli ani doniosłości poznania ich, ani konieczności uzupełnienia tych braków podczas samego roztrząsania spraw.

Wyrażali się z pogardą o dyplomacji fachowej i w tem potakiwało im wielu innych, ale niesłusznie rozszerzali ten pogląd i na inne wymagania dyplomatyczne, których niepodobna się wyrzekać, gdyż są wspólne wszystkim zawodom. Jednym z nich jest znajomość warunków i zadań, które mają być rozwiązane, gdyż sprzeczny z tem eksperyment nie może być uważany za udatny. Położenie ogólne wymagało od delegatów specjalnej wiedzy i doświadczenia, gdy tymczasem premjerzy i Prezydent, choć nie byli specjalistami, musieli postępować we wszystkich sprawach, jako specjaliści. Dyplomacja tradycyjna wykazałaby pewien szacunek dla prawa przyczynowości. Wysłałaby na Konferencję dyplomatów mniej więcej obznajmionych z propozycjami, które miały być roztrząsane, oraz z umysłowością innych członków Konferencji, wyznaczyłaby im też pewną liczbę ekspertów, jako doradców. Byłby to plan podobny do proponowanego przez Francuzów, ale odrzuconego przez Anglików. W ten sposób przynajmniej techniczna strona zadania byłaby ujęta we właściwe karby, wojna byłaby zlikwidowana, a pomiędzy wojującemi państwami ustaliłyby się szybko normalne stosunki. Można powiedzieć, że byłby to nikły przyczynek do nowego tworu polityczno-społecznego. Istotnie; ale choć nikły, byłby czemś pozytywnem. Pierwszy kamień nowego porządku świata może być położony wówczas, gdy zostaną usunięte ruiny dawnego. Ale nawet to skromne dzieło nie może być wykonane przez amatorów, pracujących w sposób bezładny i kierowanych przez ich partje polityczne w kraju. Wypadkowa ich pozornego współdziałania stanowiła jakby formułę algebraiczną, ponieważ ich wysiłki wzajemnie się unieważniały.

Oglądane w świetle ich czynów, czy też przez pryzmat opinji ludzkiej, postaci delegatów Wielkich Mocarstw były dosyć godne pożałowania. Olbrzymi w życiu parlamentarnem, kurczyli

się do rozmiarów karłów w sprawach międzynarodowych. W dziedzinie geografji, etnografji, historji i polityki międzynarodowej czuli się bezbronni, jak tonący na morzu, a szczegóły opowiadane o ich wysiłkach, by utrzymać głowę nad wodą, z zachowaniem pozorów godności, byłyby zabawne, gdyby się nie odnosiły do spraw mniej doniosłych. „Czy ci chciwi Polacy chcą Górnego, czy Dolnego Śląska", zapytywał jeden z premjerów w parę miesięcy potem, jak delegacja polska wyłożyła i uzasadniła swe żądania, a miał dosyć czasu, żeby się z niemi bliżej zapoznać. „Proszę mi pokazać na mapie Dalmację", brzmiała inna charakterystyczna prośba „i powiedzieć mi, co za związek jest między nią a Fiume". Jeden z głównych delegatów zwrócił się do znajomego mego w sposób następujący: „Nie mogę zrozumieć przedstawicieli mniejszych państw. Mnie się wydają zupełnymi warjatami. Wybierają sobie skrawek terytorjum i bez zrozumiałego powodu krążą nad nim, niby ptaki drapieżne nad trupem na polu bitwy. Proszę wziąć, naprzykład, Śląsk. Polacy robią o niego taki hałas, jakby od przyłączenia go zależało samo istnienie ich kraju. Niemcy pragną go jeszcze bardziej, lecz ich pożądliwość jest, jak przypuszczam, gruntownie uzasadniona. Ale jaką drogą, na miłość Boską, przyszli do tego Ormianie, by go żądać? Proszę pomyśleć tylko, Ormianie! Świat zwarjował. Nic dziwnego, że wmieszała się w to Francja. Ale czego chce tam Francja? Jaki jest klucz od tej tajemnicy?'

Mój znajomy zaznaczył tak oględnie, jak potrafił, że Polacy i Niemcy spierają się o Śląsk (Silesia), tymczasem Ormianie pragną zdobyć Cylicję [1]), która leży dalej na Wschód i dlatego natrafiają na opozycję ze strony Francuzów, którzy uważają, że mają tam zadania cywilizacyjne i dosyć ludzi do ich wykonania.

Jest rzeczą charakterystyczną dla naszej epoki, więc godną uwagi historyka, że nie tylko członkowie Konferencji, ale i inni wybitni mężowie stanu krajów anglosaskich posiadali bardzo słabą znajomość ludów i krajów. Następujące dwa przykłady zapoznają czytelnika z tym objawem i umiarkują jego zdumienie z powodu ignorancji, jaką się odznaczali dyktatorowie świata w Paryżu. Jeden z mężów stanu, którego językiem ojczystym jest angielski, pertraktując z rządem włoskim [2]) i szukając skutecznego sposobu wyprowadzenia narodu włoskiego z jego fatalnego położenia ekonomicznego, wpadł na następujący szczęśliwy pomysł: „Obiecuję wam, że jeżeli rozszerzycie plantację bananów, mój kraj zakupi wszystko, co wyproduku-

[1]) Po angielsku wyrazy Silesia i Cilicia wymawiają się jednakowo.

[2]) Działo się to przed rozejmem, podczas wojny.

jecie. Rynek nasz pochłonie wszystko, każdą ilość, a to może stanowić znaczną pozycję dochodową w waszym bilansie. Z początku Włosi sądzili, że to żart. Ale gdy się okazało, że poważnie myślał o tem, co mówił, ogłosili jego pomysł bez zastrzeżeń swemu narodowi pod nagłówkiem: „Banany włoskie!“ A teraz drugi przykład. Podczas wojny naród polski znosił niewypowiedziane ciężary. Klasy uboższe ginęły z głodu. Komisja Polska została wysłana do pewnego kraju, którego językiem ojczystym jest angielski, by zainteresować rząd i naród położeniem cierpiących i uzyskać pomoc. Wysłannicy mieli rozmowę z sekretarzem stanu, który zapytał ich, do jakiego portu należy dostarczyć środki żywności, przeznaczone do podziału między ludność Polski. Ci odpowiedzieli: „Chcielibyśmy je posłać do Gdańska. Innej drogi niema”. Mąż stanu pomyślał chwilę i rzekł: „Panowie mogą mieć trudności. Jeżeli chcecie mieć żywność w Gdańsku, trzeba przedewszystkiem uzyskać pozwolenie Włoch. Czy je macie? „Nie. Nie myśleliśmy o tem. Właściwie, nie rozumiemy, co to może obchodzić Włochy?” „Przecież Włosi rządzą na morzu Śródziemnem, więc jeżeli panowie chcecie skierować transporty do Gdańska, musicie uzyskać pozwolenie rządu włoskiego!” [1]).

Delegaci zbierali dużo rozmaitych wiadomości o krajach, których przyszłość urządzali i trzeba na ich korzyść zaznaczyć, że zadawali pytania bez cienia fałszywej dumy. Jeden z dwóch głównych delegatów, wracając do domu z posiedzenia, na którem Juljusz Cambon mówił wiele o prowincjach polskich, z prawa należących się Polsce, pomimo większości niemieckiej, zapytał go, dlaczego tyle razy wymieniał Fryderyka Wielkiego. „Co ma Fryderyk do Polski“ pytał. Odpowiedziano mu, że obecna większość niemiecka składa się z kolonistów, którzy na tych ziemiach osiedli od czasów Fryderyka Wielkiego i rozbiorów Polski. „Tak, rozumiem“, zawołał mąż stanu, „ale co za stosunek Fryderyka Wielkiego do rozbiorów Polski?“... W dziedzinie etnografji było także wiele ciekawych niespodzianek. Podczas oficjalnego *exposé* w sprawie wschodniej przed Radą Najwyższą, jeden z Wielkich Czterech, przysłuchując się opowiadaniom o niegodziwościach Turków, dowiedział się, że Kurdowie poddawali torturom i zabijali bezbronne kobiety, dzieci i starców. Wtedy przerwał odrazu mówcy pytaniem: „Teraz Pan ich nazywa Kurdami. Parę minut temu powiedział Pan, że to byli Turcy. Czy to znaczy, że Kurdowie i Turcy to jeden i ten sam naród”. Nie chcąc zmieszać jednego z arbitrów światowych,

[1]) Za ścisłość tych dwóch opowiadań ręczę w zupełności. Znam nazwiska osób, miejsc i władz, o których tu z porządku rzeczy byłoby zbyteczne wspominać.

delegat odrzekł z szacunkiem: „Tak panie, to mniej więcej to samo, ale Kurdowie są to gorsi Turcy"[1]).

Pierwszy delegat Wielkiej Brytanji z wdzięczną szczerością chciał rozbroić krytykę, wyznając otwarcie w Izbie Gmin, że nigdy przedtem nie słyszał o Cieszynie, o który powstał taki niezwykły hałas, i rzucił zapytanie: „Ilu członków Izby słyszało już cokolwiek o Cieszynie". „A jednak", dodał znacząco, „Cieszyn gotów był wywołać groźny konflikt pomiędzy dwoma sprzymierzonemi państwami"[2]).

Można wybaczyć wybitnemu parlamentarzyście, że nigdy nie słyszał o kwestjach, niepokojących narody kontynentalne. Trudniej już wszakże wybaczyć mu było można postanowienie rozwiązania takich zagadnień samodzielnie przy zupełnej ich nieznajomości i pomimo pełnej świadomości, że od jego decyzji zależały losy całych narodów. Nie usprawiedliwia go okoliczność, że mógł się opierać na pracy specjalnych komisyj, których nie brakowało na Konferencji. Nie posiadając określonego kryterjum, dla oceny wartości wniosków komisyj, decydował o sprawach sam z zupełną bezwzględnością. I delegaci, nie posiadając sami kryterjum, wygłaszali najbardziej arbitralne sądy w doniosłych sprawach. W jednym wypadku chodziło o pretensje Polski do niektórych ziem, wcielonych do Niemiec, co zostało oddane do rozpatrzenia specjalnej komisji pod przewodnictwem Cambona. Członkowie komisji byli wysłani dla zbadania sprawy na miejscu, gdzie mieli wszelkie ułatwienia do zapoznania się z przedmiotem. Po kilku tygodniach komisja wypowiedziała się jednogłośnie za żądaniami Polski. Ale Lloyd George odrzucił jej wnioski i uparł się, by sprawozdanie zostało odesłane z powrotem do ponownego rozważania. Członkowie komisji zajęli się sprawą ponownie, ale mogli tylko powtórzyć swe poprzednie wnioski. Jednak premjer angielski upierał się i był tak stanowczy, że pomimo opozycji Wilsona ostateczna decyzja Konferencji obaliła wnioski komisji i nie zadowoliła Polaków. Jaką drogą, pytano wtedy, doszedł delegat angielski do tego postanowienia? Trudno przypuszczać, by wiedział o tej sprawie więcej, niż komisja sprzymierzeńców. Istotnie, nikt nie uważał, żeby był w tej kwestji lepiej poinformowany, niż w sprawie Cieszyna.

Wyjaśnienie, podawane przez osoby zainteresowane, głosiło, że Sokrates tak samo miał za doradcę własnego złego

[1]) Kurdowie są członkami wielkiej rodziny Indo-Europejskiej, do której należą Grecy, Włosi, Celtowie, Niemcy, Słowianie, Indusi, Persowie i mieszkańcy Afganistanu; tymczasem Turcy stanowią gałąź zupełnie odmiennej grupy uralsko-ałtajskiej, do której należą Mongoły, Tatarzy, Finnowie i Madziarzy.

[2]) 16 kwietnia 1919 r.

ducha, który jak wszystkie duchy, wolał pozostać w cieniu, niby fiołek. Stronnicy premjera twierdzili, że przyjdzie chwila, kiedy wpływ tego natchnienia okaże się zbawienny dla ludów, których losy decydowano w tajemnicy i napozór przypadkowo. Być może, ale tymczasem urządzano narody wbrew ich chęci i gwałcono obietnicę „jawnych umów, do których się dochodzi jawną drogą". Prasa zapytywała, dlaczego wiadomości potrzebne do pracy nie były gromadzone zawczasu, by uniknąć tych nawpół tajemniczych sposobów zdobywania takich, które nie budziły zaufania. Zupełnie tajemnicze były także metody, postępowania niektórych ludzi, przygotowujących nadejście nowej ery. Przesądami też rozmaitych rodzajów kierowano się tak dobrze na Konferencji Paryskiej, jak i na Kongresie Wiedeńskim. Charakterystyczną była powaga, z jaką skądinąd zrównoważone jednostki wysilały swą pomysłowość na odnajdywanie związku między pokojem świata a pewnemi szczęśliwemi liczbami. Dla niektórych spraw, związanych z Konferencją, świadomie wybierano trzynasty dzień miesiąca i — na szczęście — dodają okultyści. Zauważono również, że delegaci robili starania, by odpowiedź aljantów na kontrpropozycje niemieckie była doręczona w piątek, 13 czewca. Kiedy to zawiodło, w kółku wtajemniczonych powstał niepokój. Niepowodzenie było uznane za zły omen i wielu z tego powodu podupadło na duchu. Zasięgnięto rady w tym względzie sławnej jasnowidzącej Paryża, pani N., która uważała się za pośredniczkę pomiędzy losem a niektórymi z jego ziemskich wykonawców,—niewiadomo tylko z jakim rezultatem [1]). Powtarzano, jako uroczyste słowo wyroczni, że na przedsięwzięciu Wilsona cięży grzech pierworodny; przed przyjazdem do Europy zrobił fałszywy krok i to zepsuło wszystko: ułożeniem czternastu przykazań zaprzeczył magicznemu urokowi szczęśliwej trzynastki. Jedno z czternastu, mówiono, musi być wyrzucone, naprzykład dotyczące jawnych umów albo wolności mórz, słowem jedno jakiekolwiek, aby w zupełności ocalić mistyczną liczbę trzynastki. Gdyby to wszakże było niemożliwe ze względu, że czternaście punktów rozpowszechniło się we wszystkich krajach i wśród wszystkich narodów, uważano, że Prezydent powinien oznaczyć ostatni ze swoich zbawiennych punktów liczbą 13a [2]).

Ta dziwna mieszanina rzeczy realnych z fantastycznemi, objaw, jak twierdzili wtajemniczeni wzniosłej egzaltacji ducho-

[1]) Pani N. pokazywała jednemu z moich przyjaciół list, który miała otrzymać od jednego ze swoich klientów „sławnego na cały świat". Zapraszano mię kilkakrotnie, abym obejrzał ten list u niej, lub, jeśli wolę, u mnie.

[2]) Artykuły na ten temat zjawiały się w prasie francuskiej. O ile pamiętam jeden był drukowany w *Bonsoir*.

wej, spotykała się z niewielkiem uznaniem niecierpliwych mas, dla których walka o byt codzienny stawała się coraz bardziej zażarta. W świecie przemysłowym panował zastój, ceny wzrastały do nieprawdopodobnej wysokości po części z powodu opieszałości światowego conclave; głód zaglądał do zrujnowanych wiosek północnych departamentów Francji, w Europie Wschodniej nie ustawały niszczycielskie walki, a tysiące chrześcijan umierało z głodu w Besarabji [1]). Ironiczne uwagi i skrzydlate słowa, przepojone gryzącą satyrą, były wyrazem uczuć wielu ludzi. Pozostaje faktem, że błyski mistycyzmu, ożywiającego Aleksandra I na Kongresie Wiedeńskim i Mikołaja II podczas pierwszego parlamentu wszechświatowego w Hadze, można było od czasu do czasu zauważyć w otoczeniu Konferencji Paryskiej. Ujawnianie tych przesądów było wyraźnie szkodliwe, ale łatwo byłoby mu zapobiec przez zachowanie tajemnicy obrad i cenzurę, która ukrywała skutecznie sprawy o wiele mniej szkodliwe.

Położenie delegatów było co najmniej nie do pozazdroszczenia i zasługiwali stanowczo na przyznanie im okoliczności łagodzących. Nawet genjusz nie może skutecznie opanować zadania, z którem jest mało obeznany, olbrzymia zaś ilość faktów, z któremi delegaci mieli do czynienia, trudną była do opanowania. Przygnębiającym był widok ich, gdy w ciągu tych miesięcy szli poomacku i potykali się w labiryncie przeszkód, nie mając nici Arjadny, któraby ich wiodła po krętej drodze; musieli dojść do przekonania, że zadanie ich było o wiele bardziej skomplikowane, niż to sobie wyobrażali. Złośliwa przewaga temperamentu i okoliczności kierujące gorliwemi wysiłkami ludzi, walczących z trudnościami fałszywego położenia, prowadziły do wielu niedorzeczności, nad któremi byłoby niemiłosiernie zastanawiać się dłużej. Jedna z nich ilustruje położenie w sposób prawie nieprawdopodobny. Mówią, że zdarzyło się to w styczniu. Według zgodnie powtarzanej wersji, wkrótce po przyjeździe do Paryża prezydent Wilson otrzymał od dziennikarza francuskiego p. M. B. długi i ciekawy memorjał o wyspie Korsyce, opisujący historję, potrzeby i aspiracje ludności zarówno jak i różne starania, jakie robiła w celu odzyskania niepodległości; w końcu autor prosił o poparcie, by na Konferencji uzyskała zupełną autonomję. Na tę prośbę p. M. B. dostał podobno odpowiedź [2]), że Prezydent jest przekonany, że ta sprawa będzie przedmiotem gruntownych rozważań przez

[1]) Czerwony Krzyż Amerykański pogrzebał ich 1600 w sierpniu 1919 r. *Chicago Tribune* (wydanie paryskie), z 30 sierpnia 1919 r.

[2]) Odpowiedź, której kopję posiadam, jest datowana z Paryża 9 stycznia 1919 r. i zredagowana w języku francuskim.

kompetentne władze Konferencji". Korsyka, miejsce urodzenia Napoleona, będąca częścią Francji w tym samym stopniu, jak wyspa Man — Anglji, pragnąca zerwania więzów, łączących ją z Rzecząpospolitą i otrzymująca obietnicę, że jej sprawa zostanie starannie rozważona przez delegatów — to coś gorszego, niż mistyfikacja lub proste stwierdzenie faktu. Opis incydensu posłano dla ogłoszenia w pismach, lecz cenzor bardzo go przezornie wykreślił.

Te i tym podobne wydarzenia pozwalają lepiej zrozumieć pobudki, które skłoniły delegatów do okrycia ich rozmów i próbnych decyzyj odpowiednią zasłoną tajemności.

Należy powiedzieć, że przedsięwzięcie, które ujęli w swe ręce, było największe, jakie kiedykolwiek nęciło wzniosłe ambicje od czasu, gdy budowniczowie wieży Babel, próbowali zbliżyć niebo do ziemi. Przechodziło to możność największych ludzi współczesnego świata, [1]) boć to była praca do wykonania chyba dla cudotwórcy z czasów bohaterów bajecznych. Gdy rozwiązanie choćby tylko głównych zagadnień przewyższało siły najwybitniejszych przedstawicieli współczesnej umiejętności politycznej, należało tylko jasno uprzystępnić sobie zrozumienie głównych zadań i właściwe użycie dla ich osiągnięcia odpowiednich środków, by rozpocząć pracę w określonym kierunku i dać jej rozmach, który mógłby może z czasem doprowadzić do całkowitego wykonania planu.

Ale tym wymaganiom nie uczyniono zadosyć. Wybitni parlamentarzyści nie wznieśli się nawet ponad średnią miarę przeciętnego męża stanu. Wystąpili na scenę w nowym i ma-

---

[1]) Proszę sobie wyobrazić naprzykład stan umysłu, do jakiego może doprowadzić następująca praca dzienna amerykańskiego męża stanu, mającego własne sprawy polityczne. Wyjątek jest wzięty z *Daily Mail*, 19 kwietnia 1919 r. (wydanie paryskie).

„Prezydent Wilson miał wczoraj pracowity dzień, jak dowodzi następujący wykaz zajęć:

11 godzina rano: Dr. Wellington Koo na czele delegacji chińskiej na Kongres Pokojowy.

11 godz. 10 minut: Markiz de Vogué z delegacją siedmiu innych reprezentantów Kongresu Narodowego Francuskiego w sprawie poglądów na zarządzenia, dotyczące lewego brzegu Renu.

11 godz. 30 min.: Delegacja asyryjska i chaldejska z poleceniami od narodu asyryjsko-chaldejskiego.

11 godz. 45 min.: Delegacja dalmacka dla przedłożenia Prezydentowi rezultatów plebiscytu w części Dalmacji zajętej przez Włochów.

12 godz.: P. Bucquet, charge d'affaires z San Marino, dla przedłożenia postanowienia Wielkiej Rady San Marino, ofiarowującej Prezydentowi honorowe obywatelstwo republiki San Marino.

12 godz. 10 min.: P. Colonder, szwajcarski minister spraw zagranicznych.

jestatycznym charakterze reformatorów świata, ale wszystkiemi korzeniami tkwili w tym rodzimym terenie wybranym, z którego pochodzili. Tylko słowa ich miały tchnienie idealizmu, czyny często były zniekształcone przez poziome kompromisy lub dziecinne błędy; twórcze były ich słowa, ale niszczycielskie czyny. Nie mieli nie tylko ustalonej metody pracy, ale brak im było nawet wspólnego bezpośredniego celu. Gdyż, pomimo że używali tej samej frazeologji, opisując cele, za które walczyły ich kraje i dla których sami pracowali publicznie: nie było dwóch delegatów, którzyby przywiązywali te same pojęcia do używanych przez siebie wyrazów. Zamiast uznać otwarcie ten kardynalny błąd i zaradzić mu, chętnie używali łagodnych terminów, dopóki one były w stanie ukrywać rozbieżne pojęcia, a były miłe dla uszu każdego ze słuchaczów. W ten sposób „jawne umowy zawierane w sposób jawny“ zaczęły oznaczać despotyczne dekrety, wydawane przez tajne conclave a „samostanowienie narodów“ oznaczało posłuszeństwo dyktatorskim rozkazom. Rezultatem tego była oszałamiająca fantasmagorja.

A jednak wyraźnie dla ominięcia tych nieporozumień Wilson przybył z tamtej strony Atlantyku. Wyraziwszy w prostych słowach ideały, za które walczyli amerykańscy żołnierze, i które były treścią myśli zamierzeń sprzymierzonych mężów stanu, powiedział: „Winienem im, o ile tylko będzie w mojej mocy, czuwać nad tem, by ich ideały nie zostały źle lub fałszywie zrozumiane i by nie ominięto żadnego możliwego wysiłku dla wcielenia ich w życie“. I to był osiągnięty rezultat.

Podobnej gry słów, jak ją uprawiano na Konferencji, nie znano od czasu średniowiecznej kazuistyki.

---

12 godz. 20 min.: P. Róża Schneiderman i p. Marja Anderson, delegatki Narodowej Ligi Kobiet Związków Zawodowych w Stanach Zjednoczonych.

12 godż. 30 min.: Patrjarcha Konstantynopolitański, głowa wschodniego kościoła prawosławnego.

12 godz. 45 min.: Essad Pasza, delegat Albanji, dla przedłożenia żądań Albanji.

1 g.: M. L. Coromilas, minister grecki w Rzymie, dla złożenia swego uszanowania.

Śniadanie: P. Newton, D. Baker, sekretarz wojny.

4 godz. po południu: P. Herbert Hoover.

4 godz. 15 min.: K. Bratiano z delegacji rumuńskiej.

4 godz. 30 min.: Dr. Alfons Costa, poprzednio minister Portugalji, delegat portugalski na konferencję pokojową.

4 godz. 45 min.: Boghos Nubar Pasza, prezydent ormiańskiej delegacji narodowej, w towarzystwie p.p. M. A. Aharomana i profesora A. Des. Hagopiana z Robert College.

5 godz. 15 min.: P. Pasicz z delegacji serbskiej.

5 godz. 30 min.: P. Frank Walsh z delegacji irlandzko-amerykańskiej.

Starym terminom nadawano nowe znaczenia, co wymagało niezbędnych komentarzy. Wyrażenia w rodzaju „równowaga terytorjalna“ i „granice strategiczne“ były surowo zakazane i twierdzą, że prezydent Wilson wzdrygał się i wyraz twarzy mu się zmieniał na samą wzmiankę o tych nienawistnych symbolach przeżytego ustroju, który miał być przez niego usunięty na zawsze. A jednak rzeczy, oznaczane temi wyrazami, zostały utrzymane tylko pod inną nazwą. I nie mogło być inaczej. Trudno sobie wyobrazić stały porządek w Europie przy rządach nowych lub dawnych bez czegoś, co odpowiada równowadze.

Budowniczy, który zuchwale odrzuci prawo ciężkości na korzyść innej teorji, ma niewiele danych na to, by mu powierzono budowę pałacu pokoju. Podobnie mąż stanu, który, głosząc, że epoka wojen jeszcze nie minęła, pozbawi granic strategicznych państwa Europy najbardziej na napady narażone, znajdzie niewielu uczniów i adeptów. Jednak do tego dążył Wilson, a niektórzy z jego przyjaciół twierdzą, że tego dokonał. Zagraniczni koledzy Prezydenta powtarzali jego dogmaty, odjąwszy im wartość. Niezmiernie pouczającem, choć mało budującem było obserwować, jak każdy z delegatów, kiedy przychodziła kolej na jego kraj, zmieniał taktykę, i poświęcając pozory dla istoty rzeczy, wymagał zapewnienia bezpieczeństwa, powoływał się na prawa historyczne, stawiał żądania ekonomiczne i odwoływał się do rozsądku, jednocześnie z całą lojalnością wyrzekając się „równowagi terytorjalnej“ i „gwarancji strategicznych“. Stąd ostre walki, jakie staczać musieli p.p. Orlando, Dmowski, Bratiano, Venizelos i Makino z szefem państwa, które było najmniej zainteresowane w sprawach europejskich, by utrzymać całość lub część ziem, uważanych przez nich za niezbędne dla bezpieczeństwa i dobrobytu krajów.

Z początku Wilson walczył o idealną Europę nowego, nieokreślonego typu, któraby nie potrzebowała granic strategicznych. Kontury jej były niejasne, gdyż nie miał sam on jasnego obrazu Europy konkretnej, z której ideał jego miał być ukształtowany. Mówił i działał, jakby stary kontynent był rzadko zaludnioną prowincją północno-amerykańską z przed pięćdziesięciu lat, nie obarczoną tradycjami przeszłości i uległą każdej sile kierowniczej. Zdawało się, że nie brał pod uwagę jej historji, narodów, ich interesów i dążeń. Historja dzieliła losy z rządami Kołczaka i z Ukrainą, gdyż nie została uznana przez delegatów. Wilson przywiózł z sobą z Ameryki do Europy ideę oderwaną, starą i europejską, i z początku jego zagraniczni koledzy uważali ją za taką; niektórzy z nich wyraźnie sarkali na nią, inni lekceważyli ją nikłemi pochwałami; ale wszyscy starali się bronić żywotnych interesów swoich krajów od jej

niszczącego wpływu, a pomagali w stosowaniu jej do sąsiadów. Anglja, która w tym czasie nie miała żadnych żądań terytorjalnych, była zainteresowana w sprawie mórz i trzymała się tego w sposób stanowczy. Jeszcze przed przybyciem do Europy, Prezydent dowiedział się, że jego zasada wolności mórz nie będzie popierana, ani roztrząsana, i wyrzekł się jej bez protestu; wytłumaczono ten fakt, jako nieporozumienie dziennikarskie. Było to pierwsze myto, zapłacone przez reformatora amerykańskiego w Europie, i stało się ono początkiem upadku całego projektu, który był jednolity i niepodzielny. Mnie przypadło w udziale zanotowanie opłaty tego podatku i wymazania jednego z czternastu przykazań. Mistyczna trzynastka utrzymała się; ale wkrótce potem wyrzucono jeszcze jedno przykazanie; zostało ich dwanaście, ale i ta liczba stopniowo malała.

Takie godzenie się z twardą rzeczywistością było gorzkiem rozczarowaniem dla wszystkich przyjaciół duchowego i społecznego odrodzenia świata. Było to widowisko dla cyników. Otwarty powrót do dawnego systemu stał się nieuniknionym i był wodą na młyn ekwilibrystów. A jednak unikano ostatecznego wywodu, chociaż nawet twardą rzeczywistość można było zwalczyć i narzucić jej znośne warunki pokojowe, jeśliby się jej spojrzało prosto w oczy. Skoro nie można było zrealizować odrazu nowego planu, należało wrócić tymczasowo do dawnego, dopóki się nie położy szerszych podstaw; ale trzeba było wybrać albo jedno, albo drugie. Z politycznego punktu widzenia, na którym stanęli delegaci europejscy, był dopuszczalny jedynie dawny, „starego świata" sposób traktowania różnych kwestyj. Program tych delegatów był zwięzły, a rozumowanie ściśle logiczne. Mówił on o granicach strategicznych i o równowadze terytorjalnej. Niewątpliwie kąt ich widzenia był ciasny, otwierał widoki niekompletne, a możliwe do zdobycia rezultaty były narażone na to, że zostaną odrzucone przez oburzone narody, skoro zagadnienie światowe nie było całkowicie, a tylko przeważnie polityczne. Jednak metoda była zrozumiała i wyniki jej stanowiłyby całość. Zadowoliłyby one tych, a było ich wielu — którzy wierzyli, że drugie dziesięciolecie dwudziestego wieku nie różni się zasadniczo niczem od pierwszego i że dzisiejsze zagadnienia światowe mogą być rozwiązane przez ponowny podział ziem. Nie trzymano się wszakże ściśle nawet tego pojęcia. Tu i owdzie były wyjątki, ale mówiono o nich miękko, jak o ofiarach, spadających na państwa mniejsze z powodu czternastu punktów; delegaci bowiem pragnęli niezmiernie uchodzić za logicznych i konsekwentnych. Ze wszystkich zarzutów, robionych Konferencji, najbardziej bolał Wilsona zarzut niekonsekwencji. Przez dłuższy czas twierdził, że tak trwał przy swoich czternastu punktach, jak igła magnesowa przy biegunie.

I dopiero po swoim powrocie do Waszyngtonu, w lecie przyznał, że były perturbacje, wywołane przez prądy magnetyczne, które określił, jako sympatję dla Francji.

Wysiłek wyobraźni, niezbędny dla wyszukania konsekwencji w decyzjach Rady, tak dalece przewyższał zdolności przeciętnego obserwatora, że niebawem zaczęto mówić o konieczności „zabezpieczenia świata od hipokryzji" i zdanie to rozpowszechniano wszędzie.

ROZDZIAŁ IV.

CENZURA I TAJEMNOŚĆ.

NIGDY prawdomówność w polityce europejskiej nie stała niżej, niż podczas Konferencji Pokojowej. Oślepiający pył pół prawd, sprytnie pomieszanych z fałszem, rozmyślnie sypany hojną ręką, zaciemniał wzrok ludzi, którzy mieli uznać i zadowolić się sądem swych kierowników wrozmaitych kwestjach, jakie powstawały. Cztery i pół lata stałego i rozmyślnego kłamstwa dla osiągnięcia zwycięstwa osłabiło ducha prawdy i uczciwości w świecie polityki. Fakty były uważane za materjał, który można było kształtować w ten lub inny sposób, zależnie od celu mówcy, czy pisarza.

Dawano obietnice, nie dlatego, żeby obiecywane rzeczy były uważane za niezbędne lub pożądane, ale głównie, żeby usposobić przychylnie publiczność dla polityki lub stworzyć i podtrzymać pewien nastrój w stosunku do wrogów albo sprzymierzeńców. Przy wyborach i podczas rozpraw parlamentarnych mówiono o postanowieniach, o których wiedziano, że są niemożliwe do wykonania.

W ten sposób ministrowie niektórych państw sprzymierzonych zobowiązywali się zmusić Niemców nie tylko do zapłacenia odszkodowań za straty, zrobione rozmyślnie, ale i do pokrycia wszystkich kosztów wojny.

Mniemanie, że wróg wynagrodzi wszystkie straty, było oczywistym nierozsądkiem. Dług taki nie mógłby być wyrównany w ciągu całego stulecia, gdyby nawet naród niemiecki wziął się do ciągłej bezpłatnej pracy dla tego celu. Wytwórczość niemiecka straciłaby wiele, gdyby zwycięzcy nie dopuścili jej produktów na swoje rynki. Dla tej sprawy nie tylko rządy były niechętne, ale niektóre narody wypowiadały chęć bojkotowania towarów niemieckich z własnej inicjatywy. Pomimo tego narody w ciągu całych miesięcy poddawały się zgubnemu złudzeniu, że wszystkie koszty wojenne zostaną zwrócone przez

wroga [1]). Jednakże nie tylko rządy, które przez cztery lata upiększały i przekształcały prawdę, w dalszym ciągu przekręcały i komponowały „fakty". Pomagała im, a nawet wyprzedzała je w tej sztuce prasa, z nielicznemi szanownemi wyjątkami. Kłamstwo z pozorami prawdy stało się czynem patrjotycznym i wypróbowanym środkiem politycznym. Partje i rządy używały go swobodnie. Fikcja uchodziła za prawdę, a fantastyczne urojenia podawano, jako fakty. Politycy, których uroczystym twierdzeniom zaprzeczyły fakty, wypierali się, żeby je kiedykolwiek wypowiadali. Nigdy przedtem nie stosowano tak rozległe zgubnej teorji, że fałsz jest pożyteczny, jak podczas wojny i rozejmu. Gdyby można było zebrać w jeden tom i opublikować wszystkie głoszone fałsze a przemilczane fakty prawdziwe, dopiero ocenilibyśmy, o ile się obniżył poziom uczciwości w dziedzinie umysłowej i moralnej [2]). Cenzura została przez Wielkie Mocarstwa zachowana na czas trwania Konferencji, jako rodzaj miękkiej poduszki, na której wypoczywali wygodnie samowładni szafarze losu. W Paryżu, gdzie była szczególniej surowa i nierozważna, chroniła tajne conclave od ostrych krytyk z zewnątrz, ukrywając przed publicznością nie tylko niedorzeczności Konferencji, ale wiele ostrzeżeń współczesnej historji. W opinji bezstronnych Francuzów od czasu Trzeciego Cesarstwa nie było równie surowej, systematycznej i krótkowzrocznej represji wolności prasy, jak pod rządami Wielkiego Trybunału, którego działalność publiczna była stałą kampanją przeciwko wszelkim formom przymusu. Ta podwójna polityka, zachowywania tajemności przez delegatów i cenzura praktykowana przez władze, okazała się równie niedorzeczną, jak niebezpieczną, gdyż popierana przez wybitnych mężów stanu, którzy uważali za nową ewangelję zasadę „jawnych umów w sposób jawny zawieranych", dostarczyła w ten sposób światu niezbitych danych do oceny frazeologji tych nowoczesnych reformatorów. Fakty wykazały, że tylko biorąc tę okoliczność pod uwagę, można słusznie ocenić wartość ich świadectw i obietnic. Stało się też wkrótce jasnem, że większą część ich twierdzeń, jakoteż jawnych umów, należy tak samo tłumaczyć, jak owo przysłowie: *lucus a non lucendo.*

[1]) Francuski minister finansów oparł na tem mniemaniu swoją politykę i oznajmił, że odszkodowanie, wypłacone przez zwyciężonych Teutonów, pozwoli mu postawić finanse Francji na mocnej, zdrowej podstawie. W oczekiwaniu tego zaniechano uchwalenia nowych podatków.

[2]) Wybór kłamstw, podawanych przez prasę francuską podczas wojny, był opublikowany przez dziennik Paryski *Bonsoir*. Zawiera on obfity pokarm dla cynika i cenne dane dla psychologa. Należałoby ten przykład naśladować w Anglji. Tytuł jest: „Anthologie du bourrage de crâne". Zaczęło się to w lipcu r. 1919.

Wielce charakterystycznym dla oceny tego systemu był fakt, że do odczytywania kablogramów, nadchodzących ze Stanów Zjednoczonych, zaangażowano dwóch obywateli amerykańskich. Chodziło bowiem o nieprzepuszczanie wiadomości, które mogłyby rzucić cień wątpliwości na pożyteczne mniemanie, że naród wielkiej republiki amerykańskiej stoi przy swoim Prezydencie, że gotów jest poprzeć jego decyzje i czyny i że jego umiłowany Statut, którego zatwierdzenia był pewny, stanie się niezłomną gwarancją dla wszystkich państw, którym przy zastosowaniu jego różnorodnych zasad mogłoby zagrażać niebezpieczeństwo strategiczne. W ten sposób wiele wiadomości ze Stanów Zjednoczonych nie dostało się do dzienników; inne zostały zmienione, a prawie wszystkie opóźnione. Protesty nie odnosiły skutku. Minęło kilka miesięcy, zanim publiczność francuska przekonała się o istnieniu silnego prądu opinji amerykańskiej, który zachowywał się krytycznie w stosunku do polityki Wilsona i usprawiedliwiał wątpliwości co do niewzruszoności jego postanowień. Był to środek pożałowania godny i bezskuteczny.

W innym wypadku robiono wielkie wysiłki na życzenie Wilsona, by opóźnić ogłoszenie pewnego kablogramu w dziennikach Stanów Zjednoczonych, dopóki premjer angielski nie wygłosi swej mowy w Izbie Gmin. Wypadek przeszkodził tym zabiegom i wiadomość ukazała się.

Pomimo tego delegaci w swych przemówieniach i pismach mocno bronili jawności. Byli podobni do drogowskazów, znaczących kierunek dróg, któremi sami iść byli niezdolni; według ich własnych oświadczeń, byli zdecydowanymi wrogami tajemności i cenzury. Prezydent Stanów Zjednoczonych wypowiedział się publicznie, że „nie może sobie wyobrazić niczego bardziej szkodliwego, niż wytworzenie systemu cenzury, który mógłby pozbawić wolną, jak nasza, rzeczpospolitę jej niezaprzeczonego prawa krytyki urzędników". Clemenceau, który cierpiał bardziej niż inni publicyści z powodu systematycznych represyj, zmienił nazwę swego czasopisma z *L'Homme Libre* na *L'Homme Enchaîné* i wypowiedział surowy sąd o „tych przyjaciołach wolności" (rząd), którzy tłumili wolność za pomocą represyj, odpowiadających panującemu nastrojowi chwili [1]). Ale gdy sam stanął na czele rządu, zmienił swoją taktykę i nazwał swe pismo znowu „*L'Homme Libre*". W Izbie ogłosił, że „jawność obrad Konferencji była ogólnie popierana", a w praktyce uczynił system zatykania ust prasie przysłowiowym w Europie. Kreśląc własną linję demarkacyjną pomiędzy tem, co uważał za dopuszczalne a bezprawne, oznajmiał Izbie, że dopóki Kon-

[1]) *New York Herald* (wydanie paryskie), 2-go czerwca 1919 r.

ferencja jest zajęta wytężoną pracą „nie należy mówić, że kierownik jednego rządu wystąpił z propozycją, której sprzeciwił się kierownik drugiego rządu [1]). Tak jak gdyby można było na długo ukryć nieporozumienia, starcia i poważne kłótnie między kierownikami rządów przed narodami, których byli przedstawicielami.

Każdy bezstronny obserwator przyzna, że należało informować świat o zatargach Konferencji, gdyż z ukrywania ich wynikały osobliwe skutki. Sekretarz Stanu Lansing wyznał przed Komisją spraw zagranicznych w Waszyngtonie, że kiedy po podpisaniu Traktatu senat francuski zażądał protokółów posiedzeń Komisji Ligi Narodów, prezydent Wilson telegrafował z Waszyngtonu do Komisji Pokojowej, żeby ich nie wydawać. Stwierdził dalej, że jedyne sprawozdanie na piśmie z tych obrad pozostało w Paryżu poza jurysdykcją senatu Stanów Zjednoczonych. Na pytanie, czy wobec tego systemu tajemności można mówić o dotrzymaniu przez Prezydenta obietnicy „jawnych umów, jawnie zawieranych?" Lansing odpowiedział: „Ja uważam, że ta obietnica została spełniona" [2]). Wydaje się wielce prawdopodobnem, że tylko w tym samym sensie zostanie wykonany Traktat i Statut Ligi.

Podczas doniosłych dni Konferencji cenzura prewencyjna była wykonywana tak surowo, że przekraczała granice bezmyślności. Jeszcze w czerwcu kolumny dzienników świeciły białemi niezadrukowanemi miejscami. „Niema pisma w Paryżu, któregoby nie cenzurowano", pisał jeden z organów prasy. „Niektóre dzienniki protestują, ale napróżno" [3]). „Faktycznie w dzisiejszych dziennikach francuskich niema ani słowa o warunkach pokoju, które Francja uważa za bardzo doniosłe z punktu widzenia swej egzystencji", skarżył się jeden dziennik, gdy tymczasem nawet Niemcy byli dokładnie informowani o tem, co się działo. Dziennik *Bonsoir* został pociągnięty do odpowiedzialności raz za wyrażenie poglądu, że traktat oznacza pokój anglo-saski [4]); drugi raz za wydrukowanie interview'u z marszałkiem Fochem, drukowanego już poprzednio w innym szeroko rozpowszechnionym dzienniku paryskim [5]). W ostatnim wypadku cenzor francuski zarzucił pismu, że w jednym z artykułów wypowiedziało niekorzystny sąd o Lloyd-George'u. Redaktor odpowiedział listem do premjera angielskiego, twierdząc, że w artykule nie było nic, z czego Lloyd George nie mógłby

[1]) *The Daily Mail* (wydanie paryskie), 17 stycznia 1919 r.
[2]) *Chicago Tribune*, 27 sierpnia 1919 r.
[3]) *Chicago Tribune*, 27 sierpnia 1919 r.
[4]) *Bonsoir*, 20 czerwca 1919 r.
[5]) *Bonsoir*, 27 kwietnia.

być dumny. Faktycznie artykuł przedstawiał go jako „chwalebnie pracującego dla dobra swego kraju i oddającego pierwszeństwo jego interesom przed wszystkiemi innemi". List kończył się następującemi słowami: „Uważamy, że w całej sprawie jest tylko jedna rzecz istotnie niepochlebna, a mianowicie to, że cenzura francuska dla powściągnięcia prasy francuskiej używa Pańskiego nazwiska, to jest nazwiska tego, który przed wielu tygodniami zniósł cenzurę" [1]).

Nawet kiedy dziennikarze angielscy opisywali wydarzenia historyczne w Wersalu, dalekie od tego, aby wywołać niepokój w czasie wręczenia Niemcom Traktatu Pokojowego, cenzor zatrzymał ich komunikaty od piątku po południu do trzeciej rano następnego dnia [2]). Dziwnem się wydaje, że pierwotnie postanowiono nie pozwolić korespondentom pism być obecnymi przy formalnem wręczeniu traktatu nieprzyjacielskim delegatom! Sądzono, że dla dobra świata nawet ta uroczystość powinna pozostać tajemną [3]). Te osobliwe metody były doskonale zilustrowane w karykaturze, przedstawiającej Wilsona, jako walczącego atletę, zwyciężającego swego przeciwnika prasę, której szaty, sklejone z gazet, poszarpane na strzępy, zostały rozrzucone po podłodze. Pod obrazkiem napis:

„Nie wolno drukować tego, co mówi marszałek Foch. Nie wolno drukować tego, co myśli Lloyd George. Nie wolno drukować Traktatu Pokojowego z Niemcami Nie wolno drukować tego, co się zdarzyło w... a dla pewności, że nic innego nie będzie drukowane, cenzor systematycznie przetrzymuje każdy telegram" [4]).

W izbie wzywano rząd do zniesienia cenzury od chwili, gdy Traktat został podpisany przez Niemców, a ministrom przypomniano ich mowy wygłaszane przeciwko cenzurze w czasach, gdy rozpoczynali swoją karjerę. Napróżno deputowani gadali i biadali nad demoralizacją, której sprzyjały metody rządu. „Na prowincji, jak i w stolicy, dzienniki, które się nie podobają, są pociągane do odpowiedzialności, rozmowy telefoniczne są podsłuchiwane, tajemnica listów prywatnych jest pogwałcona. Używa się środków dla celowego opóźnienia pewnych telegramów, wysyła się szpiegów na najbardziej prywatne zebrania. Na zgromadzeniu członków Prasy Narodowej ujawniono dwóch szpiegów, inny został przyłapany na Federacji Komitetów Radykalnych departamentu Oise'y" [5]), Ani podpisanie Trak-

[1]) *Bonsoir*, 21 czerwca 1919 r.
[2]) *New York Herald*, 15 maja 1919 r.
[3]) *New York Herald* (wydanie paryskie), 3 maja 1919 r.
[4]) *New York Herald*, 6 czerwca 1919 r.
[5]) *Le Matin*, 9 lipca 1919 r. Głównymi mówcami byli tam p.p. Renaudel, Deshayes, Lafont, Paul Meunier, Vandame.

tatu, ani ratyfikacja tegoż przez Niemcy nie wprowadziła najlżejszej zmiany w tym systemie ograniczeń. Paryż pozostał w dalszym ciągu w stanie obiężenia, a cenzorzy byli najpracowitszymi biurokratami w stolicy.

Jednym z niepożądanych skutków tego systemu trzymania ogółu w nieświadomości i podawania mu wiadomości w szczupłym zakresie, a czasem w sposób przewrotny, było to, że niedorzeczności, pojawiające się za pozwoleniem cenzury, były często uważane za pochodzące wprost od rządu. Anglicy i Amerykanie obeznani z księgami Nowego Testamentu byli zgorszeni albo ubawieni, gdy im powiedziano, że cenzor pozwolił na umieszczenie następującego ustępu mowy, wygłoszonej przez eks-premjera p. Painlevé: „Mówiąc słowami Hall Caine'a, wielkiego poety amerykańskiego: O śmierci, gdzie jest twe żądło? O mogiło, gdzie jest twoje zwycięstwo?“ [1]).

Zabezpieczano się we wszelki możliwy sposób, ażeby wiadomości o tem, co się dzieje w Radzie Dziesięciu, nie przedostawały się na zewnątrz. Niezależnie od tego dzienniki francuskie podawały w pierwszych miesiącach okruchy wiadomości, by dać publiczności choć słabe pojęcie o pracach Konferencji, aż dopóki pewnego dnia organ nacjonalistyczny nie ogłosił śmiało, że premjer angielski nie zgodził się z komisją rzeczoznawców i z własnymi kolegami w sprawie Gdańska i nie chce ustąpić. Ten ustęp rozgniewał angielskiego męża stanu, który na następnem posiedzeniu Rady zrobił scenę. „Jest tu ktoś między nami“, zawołał podobno, „kto nie wypełnia swoich [zobowiązań“ i wyrzuciwszy te i inne dobitniejsze słowa, przyglądał się surowo pewnemu łagodnemu osobnikowi, który drżał przez cały czas tej filipiki. Wypowiedział również gwałtowną mowę przeciwko dziennikom francuskim, które krytykowały jego poglądy na Polskę i sposoby przeprowadzania ich w Radzie, i zaszedł w tem tak daleko, że groził przeniesieniem Konferencji do kraju neutralnego. W końcu zażądał zbadania źródła, skąd się przedostały wiadomości i surowego wystąpienia dyscyplinarnego przeciwko dziennikarzom, którzy je ogłosili [2]).

Od tego czasu Rada Dziesięciu została zawieszona i miejsce jej zajęło mniejsze, bardziej tajemne conclave z Pięciu, Czterech i Trzech, zależnie od tego, kiedy stan zdrowia delegatów, wymagania ich polityki krajowej i ich stosunki wzajemne zmuszały jednego lub dwóch do opuszczenia na pewien czas Paryża.

Ten sposób zapewnił względną tajemność, budził niepokoje i plotki i uniemożliwiał krytykę. Pogrążał również w zupełnej nieświadomości te państwa sprzymierzone, których interesy

[1]) *New York Herald* (Wydanie Paryskie), 29 kwietnia 1919 r.
[2]) Cytowane w *Temps* paryskim, z 28 marca 1919 r.

były uznane za ograniczone, tak jak gdyby np. interesy Włoch, których delegat należał nominalnie do pięciu uprzywilejowanych, nie były traktowane, jako jeszcze bardziej ograniczone. Lecz ten ostatni punkt krytyki upada, jeżeli, jak twierdzili niektórzy badacze francuscy i włoscy, świadomym celem „przedstawicieli dwunastu miljonów żołnierzy" było zawarcie pokoju i urządzenie świata według pojęć i w związku z interesami narodów anglosaskich. Ale to przypuszczenie jest dowolne. Nie było podobnego rozmyślnego planu. Po utworzeniu Rady Pięciu, Lloyd George i Wilson przerywali pracę komisji rzeczoznawców, kiedy te wypowiadały poglądy, różniące się od ich własnych. Jednem słowem stali się najwyższymi i tajemnymi arbitrami świata, nie przestając być oficjalnymi bojownikami o wolność państw mniejszych i „jawne umowy, zawierane jawnie". Tworzyli oni, jeżeli się tak wyrazić wolno, wcielone syntezy sprzeczności.

Rada Pięciu była wtedy ciałem najbardziej tajemnem. Nie dopuszczano na zebrania sekretarzy i nie prowadzono oficjalnych protokułów posiedzeń. Nie ogłaszano nigdy komunikatów w prasie. Była to jakby gromadka dobrotliwych konspiratorów, których narady i postanowienia osłonięte były ciemnością i tajemnicą. Nawet najskromniejsze zebranie prowincjonalnego stowarzyszenia prowadzi protokół swych obrad. Parlament świata tego nie robił. Zrywając z tradycyjnym zwyczajem, jako naiwni twórcy nowego świata, Pięciu, Czterej lub Trzej zamykali się w pokoju, prowadzili luźne rozmowy, bez wyraźnego programu, metody czy wspólnej myśli kierowniczej i rozstawali się, zanim doszli do jakiegokolwiek wniosku. Opowiadano, że kiedy jeden rozwijał swoją myśl, drugi ją komentował, trzeci wahał się; czasem odwoływano się do geografji, historji lub etnografji, a ponieważ dane nie były bezpośrednio do zdobycia, posyłano po kompetentnych specjalistów, albo rozmowa wchodziła na inne tory. Było bardzo naturalne, że nie chcieli, by ogłaszano sprawozdania z tych bezładnych obrad, i jedynem ustępstwem, zrobionem ciekawości przyszłych pokoleń, było utrwalenie ich własnych rysów w fotografjach lub portretach. Gdy posiedzenie się skończyło, nikt nie czuł się odpowiedzialny za to, co powiedział; nie było niczego, coby zobowiązywało pojedynczych delegatów do wyrażonych poglądów, ani też niczego do zaznaczenia linji, po której posuwa się praca Rady, jako całości. Każdy mógł dyktować swemu sekretarzowi swoje wspomnienia o tem, co się działo, ale te dane z pamięci musiały się różnić jedne od drugich w wielu ważnych punktach. Na drugi dzień, albo w kilka dni później budowniczowie świata zbierali się znowu i albo zaczynali nanowo wędrówkę po tym samym znanym terenie, albo obierali sobie

inny, nowy temat. W ten sposób w ciągu jednego dnia poruszyli, jak mówiono, kwestję Spitzbergu, Marokka, Gdańska i żywienia ludności krajów nieprzyjacielskich, pozostawiając każdą kwestję w tem samem stadjum, w jakiem była poprzednio. W chwili, gdy dyskusja o spornej kwestji dochodziła do wysokiego napięcia, widmo niezgody odciągało ich od doprowadzenia jej do ostatecznego wniosku i wtedy prędko przechodzili do innej. Kiedy zaś po miesiącach tej pracy Penelopy trzeba było powziąć ostateczne decyzje w sprawie pokoju, gdyż inaczej niecierpliwe narody mogły powstać i chwycić sprawę we własne ręce, delegaci powierzali zagadnienia, których nie potrafili sami rozwiązać, mądrości i taktowi przyszłej Ligi Narodów.

Gdy wynikały nieporozumienia co do tego, co było powiedziane lub zrobione, decydował oficjalny tłumacz p. Paweł Mantoux, jeden z najświetniejszych przedstawicieli żydostwa na Konferencji, którego pamięć była uważana za wybitnie doskonałą. W ten sposób spotkało go wyróżnienie, z którego są słusznie dumni jego przyjaciele, że jest żywem sprawozdaniem, istotnie jedynem wartościowem sprawozdaniem — z tego, co się działo na historycznej radzie. Był on odbiorcą, a jest obecnie jedynym składem tajemnic, o które byli tak zazdrośni delegaci, z obawy, żeby nie zostały użyte do jakiegoś wątpliwego celu. Ale p. Mantoux cieszył się szacunkiem i zaufaniem nie tylko Wilsona, ale i premjera angielskiego, który, jak mniemano powszechnie, czerpał z jego interesujących opowiadań i trafnych określeń wszystkie wiadomości, jakie posiadał o polityce francuskiej i o jej przedstawicielach. Twierdzono powszechnie, że będąc człowiekiem systematycznym i przewidującym p. Mantoux zbierał wiadomośoi, by je zapisywać dla własnej korzyści. Powstawały jednak i były wyrażane publicznie wątpliwości, czy sprawy tej miary, dotyczące losów całego świata, powinny być roztrząsane w takiej tajemnicy i w sposób tak prywatny. Lecz biorąc pod uwagę, że ogólnem dążeniem, jeżeli nie z góry powziętym celem, delegatów anglosaskich było poddanie narodów swej dobroczynnej hegemonji, wydawało się, że w sposobach pracy, niema realnego niebezpieczeństwa. Narody zjednoczone nie potrzebują się bać niczego.

Choć tłumaczenia były robione szybko, wykwintnie i jasno, wypowiadano nieraz zdanie, że traciły cokolwiek przez zbytnie streszczenie, a nawet wygładzenie, które autentyczny tekst pozbawiało niezbyt uchwytnych odcieni. Pewna określona liczba kwestyj była traktowana na Konferencji z oględnością. Wadliwe tłumaczenie wywarło pewnego razu silne wrażenie na słuchaczy, gdy jeden z delegatów powiedział: „Kraj mój, niestety, jest położony wśród państw, które są dalekie od umiłowania pokoju — główne niebezpieczeństwo dla pokoju europejskiego

od nich pochodzi". Tłumaczenie p. Mantoux brzmiało, jak następuje: „Kraj, reprezentowany przez p. X., jest niebezpieczny dla pokoju europejskiego".

W kilku wypadkach ustępy mów delegatów uległy pewnej przemianie w dobrze poinformowanym umyśle p. Mantoux, zanim zostały wypowiedziane w innym języku. Zanurzyły się jak gdyby w potoku historji, zanim się wyłoniły na światło dzienne. Miało to miejsce szczególnie przy uwagach delegatów, dla których język angielski był ojczystym i niektórzy z nich korzystali w szerokim zakresie ze swobody, na jaką pozwalał sobie ich wielki poeta narodowy, w dziedzinie geografji i historji. Jeden z nich, naprzykład, mówiąc o eks-cesarzu Franciszku-Józefie i jego następcy, rzekł: „Byłoby niesprawiedliwością zwalać grzechy ojca na głowę niewinnego syna. Nie należy kazać cierpieć Karolowi I za winy Franciszka-Józefa". P. Mantoux przetłumaczył to zdanie: „Byłoby niesprawiedliwością zwalać grzechy stryja na niewinnego bratanka", a Clemenceau, mrugnąwszy wesoło okiem, zauważył pod adresem zręcznego tłumacza: „Pan straci posadę, jeśli będzie robił fałszywe tłumaczenia". Lecz te szczegóły są ciekawe tylko jako sposoby rzucania na płótno szkicu, który nie będzie mógł nigdy stać się pełnym i wiernym obrazem. Życzeniem wybitnych prawodawców było, by źródło najdobroczynniejszych reform, notowanych w historji, było ukryte równie dobrze, jak źródła największych łask, zlewanych na człowieka przez Opatrzność. I ich pobudki wydają się rozsądne.

Zabiegi, by wytworzyć mgliste obłoki pomiędzy delegatami a narodami, o których zaufanie dobijali się ustawicznie, należą do najbardziej uderzających zjawisk etyczno-psychologicznych w przebiegu Konferencji.

Delegaci wymagali bezkrytycznej wiary i ślepego posłuszeństwa. Każde ich twierdzenie, nawet najbardziej nieoczekiwane, powinno było spotkać się z uznaniem, z chwilą, gdy otrzymało stempel oficjalny. Proszę wziąć dla przykładu wymaganie Najwyższych Czterech, postawione Beli Kuhnowi, by zaprzestał ofensywy przeciwko Słowakom. Prasa wyraziła zdziwienie i oburzenie, że on, bolszewik, może być wezwany przez „śmiertelnych wrogów bolszewizmu" do wysłania przedstawicieli na Konferencję Paryską, z której wyłączono przywódców destrukcyjnych żywiołów rosyjskich. Poczem Najwyżsi Czterej, którzy działali w tajemnicy, zaprzeczyli kategorycznie wysłaniu podobnego zaproszenia. Prasa zmuszona została stwierdzić, że Rada, daleka od stawiania tak niegodnej propozycji, użyła swej władzy i wezwała w sposób stanowczy zbrodniczego Kuhna do niezwłocznego wycofania wojsk ze Słowacji pod grozą ciężkich kar i odpowiedzialności.

Później jednak oficjalna korespondencja została ogłoszona i okazało się, że zaproszenie zostało istotnie wysłane, a więc zaprzeczenie było niezgodne z prawdą. To wyjaśnienie zmieszało nieco Radę Czterech, która ciągle wymagała zupełnego zaufania od swoich narodów.

Zamieszanie nie uspokoiło się, kiedy ogłoszono wyjaśnienie akcji i rozpowszechniano je prywatnie przez grupę ludzi, uważających się za wtajemniczonych. Brzmiało ono w sposób następujący: „Izraelita, Bela Kuhn, wiodący Węgry do zguby, został wzruszony łagodnem wezwaniem Rady Najwyższej. Ludzie są zdumieni i nie mogą zrozumieć, dlaczego, jeśli Konferencja wierzy, jak to twierdziła, że bolszewizm jest największą plagą ludzkości, kazała wojskom rumuńskim, zbliżającym się do Budapesztu dla obalenia tam bolszewizmu, z początku „zatrzymać się, a potem się cofnąć“ [1]). Klucz od tej tajemnicy odnalazł się wreszcie w tajnej umowie, zawartej między Kuhnem a pewną grupą finansistów w sprawie Banatu, o czem jeszcze raz będzie mowa niżej. W jednym ze swoich kablogramów do Stanów Zjednoczonyeh pisałem; „Ludzie wszędzie szemrzą i szepczą, że pod powierzchnią widoczną płyną potężne prądy ukryte, które niewidocznie kierują polityką Rady Najwyższej i ogół sądzi, że stąd pochodzą karygodna chwiejność i zwłoka, na które się wszyscy skarżą“ [2]).

Dorywcze wynurzenia rządów i ich organów prasy nie znajdowały najlżejszej wiary. Świadectwa ich nie uznawano z góry, z racyj, przeciwko którym nic nie można było powiedzieć. Następnjący przykład jest jednocześnie zabawny i pouczający.

Francuska Komisja Budżetowa Parlamentarna prosiła rząd o zakomunikowanie jej części Traktatu Pokojowego, dotyczącej finansów i dostała odpowiedź, że to żądanie zaspokojone być nie może, gdyż każda klauzula Traktatu stanowi tajemnicę stanu. Komisja Spraw Zagranicznych wyraziła podobne żądanie, z tym samym rezultatem. Wkrótce potem cała Izba wystąpiła z żądaniem, które się spotkało ze stanowczą odmową. Premjer francuski przytoczył uzasadnienie, które wydało się prawdopodobnem. „Chciałbym“, rzekł, „zakomunikować wam tekst, o który prosicie; ale nie mogę, dopóki nie zostanie podpisany przez prezydenta Republiki, gdyż takie jest prawo, zawarte w art. 8 konstytucji“.

Nikt nie uwierzył, żeby to była istotna przyczyna odmowy. Jej wytłumaczenie było jednak ułożone jako uprzejmy

[1]) To wyjaśnienie dotyczy wyłącznie pierwszego wkroczenia armji rumuńskiej do Węgier.

[2]) Telegram w *Public Ledger* w Filadelfji, 20 kwietnia 1919 r.

komunał i jako taki zostało przyjęte. Ale raz wypowiedziane, zmyślone twierdzenie powinno było być uszanowane przynajmniej przez jego autorów. Gdzież tam! W kilka tygodni później, premjer kazał ogłosić tekst Traktatu, choć w międzyczasie nie został on podpisany przez Poincaré'go. „Wyjaśnienie, oparte na art. 8 było więc tylko humbugiem", pisał swobodnie jeden z wpływowych dzienników [1]).

Wkrótce potem spłatano zabawnego figla, którym się ubawił cały Paryż. Wydawca *Bonsoir'u* przywiózł sześćset egzemplarzy zabronionego Traktatu ze Szwajcarji i posłał je w prezencie deputowanym Izby, poczem władze parlamentarne wywiesiły notatkę, zawiadamiającą, że deputowani, pragnący dostać egrzemplarz, powinni się zgłaszać do biura kwestora, gdzie dostaną go bezpłatnie jako prezent od *Bonsoir'u*. Deputowani w ich liczbie i Deschanel, pośpieszyli tłumnie do biura. Nawet poważni ministrowie dostali po grubym tomie, który i ja posiadałem od pierwszego dnia, kiedy został wydany.

Inny jaskrawy przykład braku prawości, który kalał stosunki Konferencji z publicznością, dotyczył misji Bullitt'a do Rosji. Wilson, który w głębi duszy żywił nieokreśloną sympatję dla bolszewików i wypowiadał ją na posiedzeniach, ku wielkiemu zdumieniu cudzoziemców, posłał kilku swoich rodaków do Moskwy z propozycjami pokojowemi skreślonemi według zapewnienia rządu moskiewskiego, przez niego, House'a i Lansinga, a dostarczonemi Leninowi przez p.p. Bullitt'a, Steffens'a i Petit'a. P. Bullitt zresztą twierdzi, że projekt był napisany przez samego Lloyd George'a i przez Filipa Kerra, jego sekretarza. Gdyby warunki tej propozycji zostały uznane za możliwe do przyjęcia, wysłańcy amerykańscy byli uprawnieni do przyrzeczenia, że zostanie wysłane urzędowe zaproszenie na nową konferencję pokojową zarówno do bolszewików, jak i do ich przeciwników, około 15 kwietnia. Warunki w liczbie jedenastu z paru nieznacznemi zmianami, na które Amerykanie się zgodzili, zostały przyjęte przez Dyktatora, który też zobowiązał się do utrzymania ich w tajemnicy. Fakty te pozostały w ukryciu, dopóki p. Bullitt, gdy Wilson cofnął się przed ostatecznym, decydującym krokiem, nie podał się do dymisji i w liście, ogłoszonym w prasie, nie przytoczył powodów swojej decyzji [2]). Niejasne pogłoski o misji ukazały się w dziennikach paryskich względnie wcześnie, ale odrazu urzędownie im zaprzeczono. Zapewniano publiczność, że pogłoski pozbawione były wszelkiej podstawy. I ogół uwierzył zapewnieniom, gdy te zostały powtórzone przez władze angielskie. Sir Samuel Hoare interpelował w Izbie

[1]) *Bonsoir*, 27 czerwca 1919 r.
[2]) *The Daily News*, 5 lipca 1919 r.; *L'Humanité*, 8 lipca 1919 r.

Gmin w sprawie „dwóch amerykanów, którzy świeżo powrócili z Rosji, przywożąc warunki pokojowe od Lenina", i dostał od p. Bonar Law znamienną odpowiedź: „Mówiłem już, że ta wiadomość nie ma ani cienia prawdy, inaczej wiedziałbym coś o tem; informowałem się nadto w Paryżu u p. Lloyd George'a, który również twierdzi, że nic o tej sprawie nie wie" [1]). *E pur si muove.* Lloyd George nie wiedział nic o zamiarze Wilsona umieszczenia Statutu Ligi w Traktacie Pokojowym, nawet gdy Agencja Havasa ogłosiła o tem światu i lord Robert Cecil potwierdził to wobec przedstawicieli prasy. System milczenia i ukrywania w połączeniu z obojętnością, z jaką ta lub inna delegacja traktowała kwestje, które jej nie interesowały, prowadził do zgubnego ich zasklepiania.

Na bujnym gruncie tajemności, represji i kłamstwa wyrastały trujące chwasty. Fałszywe sprawozdania i kłamliwe insynuacje zjawiały się i rozszerzały, budząc wiarę, którą jeszcze podtrzymywała Konferencja, gdy tymczasem dorywcze wyjaśnienia, dawane od czasu do czasu przez delegatów dla własnej obrony, były przyjmowane, jako „mydlenie oczu" publiczności.

Przez pewien czas ogół nie spostrzegał rozdźwięku między słowami a czynami, był zbudowany słowami, a nie wiedział o czynach. Powoli jednak brak jędrności w polityce, męskiej konsekwencji i jednolitości w postępowaniu stał się jasnym dla wszystkich i wywołał niepożądane skutki. Wilsonowi, którego autorytet i wpływ był uważany za najwyższy, dostała się lwia część krytyki, z wyjątkiem zachowania się Konferencji w sprawie polskiej, które przypisywano Lloyd George'owi i jego nieoficjalnym doradcom. Prasa amerykańska była najsurowsza. Pewne pismo amerykańskie, wychodzące w Paryżu, umieściło następujące uwagi, dotyczące roli Prezydenta [2]).

„Prezydent Wilson jest świadomy swej umiejętności przekonywania. Ta zdolność pozwala mu mówić jedną rzecz, robić inną, opisywać czyn jako zgodny z ideą, a gdy czyn i idea stają ze sobą w zupełnej sprzeczności, przekonywać ludzi, że nie tylko był konsekwentnym, ale że jego postępowanie nie może ulec zmianie bez zguby dla narodu i bezpieczeństwa dla świata.

Nie wiemy, za którym Wilsonem mamy iść — czy za tym, który twierdzi, że nie robi jakiejś rzeczy, czy też za tym, który własnie ją robi.

Wielu Amerykanów ma jedno mocno ugruntowane przeświadczenie. Tem przeświadczeniem jest, że prezydent jest jedynym wspaniałomyślnym, jasnowidzącym, myślącym mężem

[1]) *The New York Herald* (wydanie paryskie), 4 kwietnia 1919 r.
[2]) *The Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 31 lipca 1919 r.

stanu w Stanach Zjednoczonych, a może i na całym świecie, do prowadzenia każdej sprawy.

Kiedy używa swej umiejętności przekonywania, Amerykanie stają się, jak dzieci. Kiedy Wilson słowa i Wilson czynu stają się dwiema różnemi osobowościami, niektórzy z najbardziej entuzjastycznych zwolenników Ligi Narodów, na nieszczęście obdarzeni pamięcią i zrozumieniem rzeczy, tracą głowę z rozpaczy".

A jednak sam Wilson stał się ofiarą polityki milczenia i tajemności, na którą były skazane Wielkie Mocarstwa. W czasach, gdy te mocarstwa poruszały niebo i ziemię, by doprowadzić go do zerwania z Niemcami i wzięcia udziału w wojnie, ukrywały przed nim istnienie ich tajnych umów. Nie należy może sądzić ze zbytnią surowością moralną ich metody przeciągania Stanów Zjednoczonych na swoją stronę, ani ich obawy przed ryzykiem zrażenia Prezydenta. Ale zdaje się, że aż do końca wojny tajemnica pozostała nienaruszona, i dopiero, gdy Wilson znalazł się na lądzie europejskim, by wcielać w życie swój projekt, wyrosły przed nim olbrzymie przeszkody, wynikające z tych daleko idących zobowiązań. Trudności praktyczne Wilsona rozpoczęły się z chwilą, gdy zdał sobie z tego sprawę, oraz od angielskiego *non possumus* w odpowiedzi na jego żądanie wolności mórz. Prawdopodobnie przy tej sposobności, widząc, że nie może osiągnąć wszystkiego, zdecydował się poprzestać na najlepszem, co mógł uzyskać; było zaś tem najlepszem nie zrzeszenie narodów, lecz tylko hegemonja w mniejszym lub większym stopniu narodów anglo-saskich.

ROZDZIAŁ V.

CELE I METODY.

POLITYKA delegatów anglosaskich nigdy nie była wielomówna, Z tego powodu należy ją sądzić po czynach, pomimo że motywy ich zmieniały się rozmaicie w różnych czasach i często nie wypływały z podstawowych zasad. Z tych czynów niewiele można wyprowadzić wniosków, któreby ułatwiały odtworzenie polityki takiej, jaką była. Jednym z takich wniosków był ten, że żadna z ofiar, wymaganych od członków Ligi Narodów, nie obowiązuje ludów anglo-saskich. Stały one poza obrębem nowych praw, które mogłyby szkodzić ich interesom lub stanąć na drodze ich aspiracjom. Same były rozdawcami i kustoszami zbawiennych praw raczej, niż ich wykonawcami. Wolno im było władać tem, co do nich należało, choć tytuł własności mógł być wątpliwy; mogły jeszcze więcej zagarnąć przy systemie, ukształtowanym według ich własnych metod panowania. Uważano za pewnik, że budowniczowie powinni wyrazić w nowej budowli tylko swoje ideje, i że im tylko wolno zatrzymać wszystkie swe posiadłości, choćby najciemniejsze było ich pochodzenie lub choćby to zatrzymanie było sprzeczne z dążeniami zamieszkującej w nich ludności. Przez wzgląd na tę zasadę przezydent Wilson cofnął bez dyskusji i protestu swoje żądanie wolności mórz, na które chciał położyć taki mocny nacisk. Inny sposób zapatrywania się na tę kwestję jest następujący. Głównym celem Konferencji było stworzenie warunków postępu cywilizacji na nowych podstawach. A ponieważ siewcami prawdziwej cywilizacji i kultury w odróżnieniu od fałszywej byli anglo-sasi, najodpowiedniejszym środkiem, któryby doprowadził do zamierzonego celu stała się realizacja ich szerokich pomysłów, poparcie ich dobroczynnych dążeń. Ludzie tej rasy w najszerszem znaczeniu tego wyrazu są jakby celem sami dla siebie, gdy tymczasem inne narody są zużytkowywane przez nich jako środki. I stąd powstały dwie kategorje. Do drugiej zaliczono Włochy i Rosję. Nie ulega wątpliwości, że wpływ kultury anglo-saskiej jest niezmiernie dobroczynny:

podnosi zarówno prawa i godność, jak i obowiązki ludzkości; im bardziej rozpowszechnia się drogą naturalną, tem lepiej dla rodu ludzkiego. Anglo-saski sposób rządzenia kolonjami, naprzykład, jest wzorowy i został uznany przez Konferencję, jako jedna z instytucyj przyszłej Ligi. Ale nawet dobrodziejstwa mogą stać się złem, gdy są narzucone siłą.

To krótkie objaśnienie można uważać za wskazówkę, trudno bowiem mówić o jakimś systematycznym planie wobec bezładnych improwizacyj i niedorzecznych decyzyj, jakie zapadły na Konferencji.

Nie zamierzam tu roztrząsać, czy ta niesformułowana maksyma, mająca mocne oparcie, nie zawsze uznawane świadomie, godna jest uznania, jako droga do postępu etyczno-politycznego, czy też oznacza ograniczenie celów, stawianych przez Wilsona.

Można wskazać przyczyny, dla których dwaj anglosascy mężowie stanu bezwiednie postępowali według tych mianowicie, nie zaś innych zasad. Sprawę można było postawić na wyższym poziomie, ale delegaci nie byli do tego przygotowani. Co musimy podkreślić w obecnej chwili, to orjentację Rady Najwyższej, o ile stanowi ona względną całość, choć składającą się z różnorodnych napozór czynników. W ten sposób, chociaż warunki Traktatu Pokojowego w wielu wypadkach przeczyły punktom Statutu, to jednakże obydwa te akty dążyły do spotkania się w oddalonym punkcie, którym jest kierownictwo moralne światem przez potęgę anglosaską, reprezentowaną przynajmniej w okresie początkowym przez oba te akty. Dlatego spory członków Konferencji nie dotyczyły jedynie abstrakcyj. Pod wyniośle brzmiącemi hasłami i szeroko zamierzonemi reformami, które projektowano, a których nie wprowadzono w życie, kryły się konkretne dążenia rasy, które uczucia patrjotyczne i mocna wiara mogły łatwo identyfikować z najwyższemi interesami ludzkości.

Jeżeli przyszły historyk określi, jako główny wynik prac Konferencji, dążenie do oddania duchowego i politycznego kierownictwa światem w ręce rasy anglosaskiej, to by utrzymać prawidłowy pogląd na rzecz, nie powinien uważać tego dążenia za wynik świadomie prowadzonej polityki. Nie miało to wcale miejsca. Ktokolwiek rozmawiał z mężami stanu przed Konferencją i podczas niej, nie spostrzegł, by świadomi byli tych ostatecznych celów; nie pojmowali też należycie mniej ważnych zadań, które miały być rozwiązane. Przypadek rządził, a mężowie stanu szli za nim. Historyk może powiedzieć o tym objawie, że był nieunikniony, a miłośnik ludzkości żałować będzie, że sprawy tak niezmiernej doniosłości zostały powierzone

źle poinformowanym politykom, nie mającym styczności z narodami, dla których tworzyli prawa. Pierwszem najpilniejszem zadaniem powinno było być zlikwidowanie wojny. Ale zostało ono powikłane, odłożone, w końcu zaś wrócono do niego, by je wpleść w plan kompletnego przegrupowania sił polityczno-społecznych naszej planety. Rezultatem był skłębiony splot zagadnień, z których większość jest dotąd nierozwiązana, a inne niemożliwe do rozwiązania przez same rządy.

Z zamętu zmagających się sił wyłoniły się dwa kierownicze mocarstwa, które rządzą ekonomicznemi zasobami świata i których instytucje demokratyczne i porządki wewnętrzne są niewątpliwie bardziej dostosowane do szerokich celów humanitarnych, niż w innych krajach, więc stopniowo panowanie ich nad światem poczęło się ustalać. Ale ta tendencja nie była wykwitem rozmyślnych starań. Każdy z przedstawicieli tych rozległych państw dbał przedewszystkiem o przyszłość własnego kraju i dopiero później o odrodzenie ludzkości. Chciałoby się móc dodać, że wszyscy byli zupełnie niedostępni podszeptom partyj i ambicyj osobistych.

Występy delegatów anglosaskich cechowała od początku do końca bezplanowość. Jest to cecha rasy. Gospodarze Kongresu, biegli w zwyczajach dyplomatycznych, przed jego otwarciem przygotowali plan, który mógłby był znakomicie poprawić nieporządny tryb obrad. Francuzi prononowali podział całej pracy przygotowawczej na osiemnaście komisyj, dając przez to głównym delegatom czas niezbędny do przygotowania prac wstępnych i zapoznania się z treścią zagadnień. Ale Wilson i Lloyd George woleli swoje rozmowy, trwające przez trzy i pół miesiąca, podczas których w Paryżu nie doszło do żadnych rezultatów, a zamęt, przelew krwi i głód szerzyły tłumiony ogień niezadowolenia po całym świecie.

Premjer angielski, podobnie jak jego kolega francuski, dbał głównie o zawarcie pokoju z wrogiem i spełnienie, o ile to było możliwe, obietnic wyborczych, danych swym stronnikom. Wszystko inne było podporządkowane temu celowi. Zarówno Lloyd George, jak Clemenceau, nominalnie przyjmowali ambitny projekt reformy świata, ale przez długi czas nie wiedzieli o tem, że Wilson zamierza złączyć razem warunki pokojowe ze Statutem Ligi.

Obaj dalecy będąc od tego, wyraźnie zaprzeczyli i pozwolili na umieszczenie w prasie tego zaprzeczenia, jakoby oba te dokumenty były z sobą w bliskim związku. Pichon zapewnił grupę dziennikarzy, że podobny zamiar nie istnieje [1]). Lloyd

[1]) W marcu.

George poszedł dalej i pytał, w jakim stopniu może być obowiązującym Statut Ligi dla narodu, który zawiera Traktat, a jednocześnie nie został dopuszczony do tego zrzeszenia. Jak widzieliśmy, tak się tem mało zainteresował, że nie czytał sprawozdania z działalności swego kolegi amerykańskiego nawet wtedy, kiedy je ogłosiła ajencja Havasa.

Z drugiej strony, dla prezydenta Wilsona Liga była *magnum opus* całego życia. Miało być koroną jego karjery politycznej to osiągnięcie celu, ku któremu przez wieki świadomie czy nieświadomie zwracało się wszystko, co było najlepszego w ludzkości, co jednakże widocznie nie mogło do tego celu się zbliżyć. Czuł on instynktownie, że ta na wzór Laodycei okazywana mu przez kolegów pomoc, nie zaprowadzi go daleko i że gorliwość ich szybko ochłodnie z chwilą, gdy Konferencja się skończy i ich własne cele będą osiągnięte lub pominięte.

Z bystrością doświadczonego polityka zdał sobie odrazu sprawę z tego, że jeżeli kiedykolwiek mógł narzucić swój Statut światu, jako przedstawiciel jednego z najpotężniejszych państw, to właśnie teraz nadeszła odpowiednia chwila. Po Konferencji byłoby zapóźno; jedynym zaś sposobem zabezpieczenia powodzenia było włączenie Statutu do Traktatu Pokojowego i zniewolenie swych towarzyszów do jednoczesnego opracowania jednego i drugiego.

Miał on jeszcze inny powód do takiego sposobu postępowania, wywołany zachowaniem się pewnego odłamu jego współrodaków. Przed wyjazdem do Paryża wezwał wyborców, aby wybierano do izb prawodawczych tylko kandydatów jego własnej partji z wykluczeniem republikanów; tymczasem rezultat wypadł wprost przeciwny jego oczekiwaniom. W następstwie tego elementy opozycyjne wzrosły liczebnie i zaczęły się nastrajać wyraźnie bojowo. Nawet umiarkowani republikanie skarżyli się niemal temi samemi słowami, których użył senator Taft, mówiąc o Wilsonie, że „w stronniczy sposób wyłączył republikanów z niezmiernie doniosłej sprawy uregulowania rezultatów wojny; powołał Komisję, w której republikanie nie mają przedstawicieli i w której niema wybitnych Amerykanów, ludzi prawdziwie doświadczonych, mających wpływ na opinję publiczną“ [1]).

Kierownicy opozycji bacznie czuwali nad polityką Prezydenta na Konferencji i nie ukrywali swego zamiaru zużytkowania pierwszego poważniejszego niepowodzenia, jako pretekstu do poddania rewizji lub nawet odrzucenia wyników jego pracy. Widząc, że umiłowana przezeń sprawa zaczyna się chwiać w po-

[1]) Cytowane w *Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 10 sierpnia 1919 r.

sadach, Wilson postanowił połączyć Statut z Traktatem Pokojowym i zrobić z nich nierozdzielną całość. Oznajmił swoje postanowienie w silnej mowie [1]) do swoich rodaków, w której mówił: „Gdy wyjdzie Traktat, panowie z opozycji nie tylko znajdą w nim Statut, ale wiele szczegółów Traktatu związanych ze Statutem tak ściśle, że nie będzie można oddzielić Statutu od Traktatu, bez naruszenia całej organicznej budowy". Przeciwnicy Wilsona uznali ten plan za wybieg, ale historyk powinien go zapamiętać, jako manewr, który niezależnie od tego, czy jego pobudki były szlachetne, czy godne nagany, doprowadził do opłakanych skutków dla wszystkich narodów, o których interesy Prezydent dbał szczerze. Proszę uwzględnić jeden przykład. Wątpliwości, wywołane przez Statut, opóźniły ratyfikację Traktatu Pokojowego przez senat Stanów Zjednoczonych, wskutek czego kwestja turecka była w zawieszeniu, dopókiby rząd waszyngtoński nie przyjął lub nie odrzucił mandatu zajęcia posiadłości Sułtana; a przez ten czas organizowano na nowo masowe rzezie Greków i Ormian.

Znaczna część prasy i większość delegatów surowo potępiała włączenie Statutu do Traktatu Pokojowego. Żądano przedewszystkiem trwałego pokoju, a dopiero później wytworzenia odpowiednich gwarancyj międzynarodowych. By utrzymać pokój, należało go przedewszystkiem stworzyć! „Zbroja bez wojownika jest tylko bezużyteczną ozdobą", pisał jeden z dzienników amerykańskich [2]).

Polityka, prowadzona przez Wilsona, miała jeszcze jedną wybitną słabą stronę. Pokój pomiędzy wiodącymi wojnę przeciwnikami był w tych warunkach możliwy tylko przy utrzymaniu dawnej zasady co do granic strategicznych i gwarancyj militarnych. Rada Najwyższa przyznała to samo, gdyż w urzędowej odpowiedzi austrjackiej delegacji w sprawie narzuconych tej ostatniej warunków, stwierdziła, że nowe granice północne Włoch zostały ustanowione z uwzględnieniem wymagań strategicznych, chociaż z drugiej strony zamiar rządzenia światem za pomocą ligi pokojowych narodów wymagał usunięcia wszelkich przygotowań wojennych, nie wyłączając granic strategicznych. Z tego wynika, że im więcej Traktat zadowoliłby strony, tem mniej korzystne musiałyby być perspektywy moralnej odbudowy rodziny narodów, i odwrotnie. Obie te zasady można było godzić z sobą tylko przy pomocy kompromisu, który z konieczności musiał być sprzeczny jak z jedną, tak i z drugą.

[1]) Wygłoszonej w Metropolitan Opera House w Nowym Yorku 4 marca 1919 r.

[2]) *New York Herald*, 19 marca 1919 r. (wydanie paryskie).

W rzeczywistości rozbieżność celów i interesów doprowadziła delegatów do milczącego porozumienia na zasadzie wzajemnych ustępstw; Francuzi i Anglicy zgodzili się na sposób opracowania przez Wilsona Statutu, którego szkic był dostarczony przez Anglików, Prezydent zaś ustąpił im w sprawach, które dotyczyły żywotnych interesów ich krajów. Jak gładko zastosowywano taką metodę, kiedy nie chodziło o ważne kwestje, widać z tego, że jakby od niechcenia postanowiono, że sąd nad Wilhelmem II odbędzie się w Londynie. Na parę dni przed podpisaniem Traktatu na posiedzeniu Rady Najwyższej podczas przerwy sekretarz szukał zagubionego dokumentu. Lloyd George, niby od niechcenia i nie zwracając się do nikogo w szczególności, zauważył: „Przypuszczam, że nikt nie ma nic przeciwko temu, ażeby Kaiser był sądzony w Londynie?“ Clemenceau wzruszył ramionami, Wilson podniósł rękę i kwestja została uznana za załatwioną. Nic więcej nie powiedziano, ani napisano w tej kwestji. Ale kiedy ta wiadomość została opublikowana po wyjeździe Prezydenta z Francji, wywołała zdumienie innych delegatów amerykańskich, którzy o niczem nie wiedzieli. Później dowiedzieli się, że istotnie miejsce sądu zostało wybrane tak naprędce.

Wilson miał z początku trudne zadanie, chcąc skłonić Francję do przyjęcia swych źle sformułowanych dogmatów, gdyż nie chciała zadowolić się opieką Ligi Narodów, lecz uzyskać granice strategiczne i gwarancje militarne. Nieprzezwyciężone przeszkody stawały mu na drodze. Rząd i naród francuski, powodując się uznaniem dla dobroczyńców amerykańskich [1]) zgadzali się na Ligę, ale stanowczo odmawiali poddania się pod jej opiekę w razie najścia Niemców; gotowi byli wszakże pomóc Wilsonowi w nakłanianiu innych państw, żeby się zadowoliły gwarancjami, dawanemi przez Ligę, byle tylko ich własny kraj został zabezpieczony według dawnego systemu. Równowaga terytorjalna i opieka miltarna były to żądania kategoryczne, od których nie chcieli odstąpić. A ponieważ Francja cieszyła się szczególnemi względami Wilsona, które niekiedy nawet brały górę nad jego doktryną, a przytem wydawała się narodom anglosaskim niezbędną, jako wykonawczyni ich postanowień na kontynencie, nie miała więc trudności w zapewnieniu sobie ich pomocy. W tym punkcie Prezydent również musiał ustąpił, i nie tylko wyrzekł się swych intencyj humanitarnych i pozwolić na obalenie swych najsilniejszych argumentów, ale nawet cofnął

[1]) Dzienniki półurzędowe ujawniały stałą dążność do popierania opozycji republikańskiej w Stanach Zjednoczonych aż do sierpnia, kiedy poprawki proponowane przez różnych senatorów dążyły do zachwiania Traktatu i obiecana pomoc wojenna stawała się wątpliwą.

się do obozu swych przeciwników tak dalece, że zgodził się na trudny do obronienia paragraf Traktatu, oddający Francji ludność niemiecką Saary, jako ekwiwalent za pewną sumę płatną w złocie! Zgodził się na to reformator świata, gromiący bezlitośnie tych, co handlowali istotami ludzkiemi, jak inwentarzem. Czyż ten zdumiewający kompromis nie oznaczał dziwnego upadku? który niszczył tę wiarę w ducha, ożywiającego krucjatę światową Wilsona, i przekonywał również bezstronnych obserwatorów, że jedyną osnową idei, w łączności z którą Wilson rozpatrywał każdy projekt i każdą nową krytykę, było to, co ogniskowało się w jego własnym celu: ustanowienie jeśli nie Ligi Narodów, połączonych węzłami braterstwa i koleżeństwa, to przynajmniej czegoś najbardziej zbliżonego do niej, choćby nawet dalekiego od pierwotnego planu. Takie były pierwsze owoce, łączenia razem Statutu i Traktatu.

Z powodu tej łatwości godzenia różnic i poświęcania zasad celom praktycznym, stało się niemożliwem nawet dla najmniej wrażliwych stronników Wilsona w Europie wytrwać w tem przekonaniu, że jego polityka światowa była natchniona silnem przywiązaniem do wzniosłych idej, których był wymownym rzecznikiem, a miał nadzieję stać się bezwzględnym obrońcą. W każdej takiej uległości Wielkim Mocarstwom, i w każdem surowem zmuszaniu do swych zasad państw mniejszych ujawniał się ten sam duch praktyczny zawodowego polityka. Z trudnością można mu wybaczyć brak odwagi moralnej do zlekceważenia protestu zainteresowanych mężów stanu i rządów, a odwołania się bezpośredniego do narodów, skutkiem czego było ciągłe zmienianie Statutu, który wreszcie zgodził się zaaprobować w zmienionej formie, zamiast tego, żeby zupełnie zapewnić narodom ich prawa i salwować ich godność.

Ogólny kierunek prac Konferencji stosował się więc do dwóch zasad praktycznych; niezależności narodów anglosaskich i ich sojusznika francuskiego od wszelkich ograniczeń, wynikających z nowego ustroju polityczno-społecznego, o ile te były sprzeczne z ich interesami narodowemi, i—postanowienia Prezydenta Amerykańskiego przyjęcia takiej Ligi Narodów, jaka była możliwa do utworzenia w tak wielce niepomyślnych warunkach i do zadowolenia się nią. Co do tego określenia można zrobić tylko jedno zastrzeżenie, że ono nie docenia wysiłku, jaki się okazał niewystarczający, chociaż był dobrze pomyślany, i że ono w każdym razie wskazuje drogę do słusznego ujęcia tych światowych zagadnień, które wojna uczyniła palącemi, pomijając już kwestję, że nie liczy się ono z przeszkodami, które należało przezwyciężyć. Na to odpowiedzieć jednakże można, że podobne wysiłki robili już nieraz poprzednio kierownicy ludzi, których wola była uważana za wystarczającą do osiągnię-

cia celu, a tymczasem nie doprowadziły one do niczego. Pouczającym przykładem są dwaj cesarze: Aleksander I na Kongresie Wiedeńskim i Mikołaj II na Pierwszej Konferencji Haskiej. Oni również, tak samo jak i Wilson, radzi byli zapoczątkować złoty wiek prawa międzynarodowego i braterstwa moralnego, ale myśleli, że będzie można to zrobić słownemi tylko wynurzeniami i argumentami. Jedynym rodzajem nowej próby, po upadku tych dwóch doświadczeń poprzednich, który mógł ubiegać się o powszechną sympatję, byłby ten, któryby potrafił wyprowadzić proponowany plan przebudowy polityczno-społecznej z dziedziny retoryki i znachorstwa i podać rzetelne reformy systematyczne, jakieby dotyczyły wszystkich stron obcowania międzynarodowego, obejmowały wszystkie cywilizowane narody świata, uzgadniały ich najistotniejsze interesy, oraz tworzyły odpowiednie organizacje w celu zaspakajania potrzeb tak rozszerzonego i ujednostajnionego systemu państw. Byłoby bezowocnem szukać czegoś podobnego w projekcie Wilsona. Istotnie, nie będzie przesadą, gdy powiemy, że brak systematycznej wiedzy i oportunizm były głównemi cechami charakterystycznemi jego polityki w Paryżu, a rezultatem było to, co być musiało.

Dysputy i zwłoka były nieuniknione i dlatego Konferencja, rozpocząwszy pracę spokojnie, była zmuszona kończyć ją z niezmiernym pośpiechem. Spędziwszy całe miesiące na targowaniu się, robieniu i odrabianiu kompromisów, wówczas gdy narody świata trwały w bolesnem zawieszeniu, zmuszone do rujnujących wydatków, a niektóre z nich do krwawych wojen, przy zupełnym zastoju przemysłu i handlu, delegaci, zagrożeni wybuchami niezadowolenia i buntów, zaczęli po wielu straconych miesiącach śpieszyć się i pędzić ze swą pracą bez należytego zastanowienia. Wyobrażali sobie, że błędy, wynikające z wahania i nieświadomości, mogą być naprawione przez chwile błyskawicznej improwizacji. Improwizowanie i przypadkowe wnioski były to ich chroniczne błędy. Nawet w pierwszych dniach Konferencji ogłaszali postanowienia, których znaczenia nie rozumieli i, jeżeli to było możliwe, odwoływali je. Czasami jednak popełniony błąd był nie do naprawienia. Takim był los Austrji. Wskutek jakiegoś dziwnego sposobu rozumowania nie uznano za niezgodne z doktryną Wilsona zabronić Austrji Niemieckiej połączenia się z rzecząpospolitą Niemiecką; zakaz leżał w interesie Francji, która nie mogła dopuścić do utworzenia się potężnego zjednoczonego Państwa Niemieckiego. Pragnienia Austrjaków niemieckich i zasada samostanowienia zostały uznane za nic. Oświadczenia Włoch, które popierały tę zasadę, zostały również zlekceważone.

Delegaci wszakże wyraźnie przeoczyli ważną okoliczność, że „ze względów strategicznych" oddali Włochom linję Brenneru

razem z 220.000 Tyrolczyków rasy germańskiej, mieszkających tam zwartą masą, chociaż znacznie mniej liczny element cudzoziemski przeszkodził podobnej aneksji, gdy szło o Polskę. Nadto zaś taki podział pozbawiał Tyrol podstawy do samodzielnej egzystencji ekonomicznej, gdyż odcinał go od doliny południowej i uzależniał od Bawarji. Ogół dowiedział się, że Wilson „powziął tę ważną decyzję bez gruntownego zbadania kwestji i gorzko tego żałuje, cofnąć się wszakże niepodobna" [1]).

Podobnie jak strata Botzenu i Meranu uzależniła Tyrol od Bawarji, oderwanie Wiednia od Morawji Południowej, źródła jego dostaw zbożowych, odległego tylko o 36 mil angielskich, zrobiło ze stolicy austrjackiej głowę bez ciała. Ale i ten fakt na znakomitych prosektorów, którzy mieli wykonać jeszcze szereg niesłychanych operacyj na innych państwach, nie wywarł odstraszającego wrażenia.

Jeżeli kiedykolwiek przychodziła pod obrady kwestja, której nie można było rozwiązać od ręki, przekazywano ją komisji, a w wielu wypadkach komisji pomagała misja, która wyjeżdżała do kraju, którego dana kwestja dotyczyła, i po kilku tygodniach wracała z danemi, dostarczającemi materjałów do decyzji; lecz przytem większość jej członków nie znała języka narodu, którego położenie badała. Jak niezwykle szybko musieli się orjentować ci wysłannicy, widać z zadania, którem obarczono misję amerykańską pod przewodnictwem generała Harborda, oraz z długości czasu, wyznaczonego jej na dokonanie pracy. Członkowie tej misji wyjechali z Brest w końcu sierpnia na Kiaukaz, mieli zatrzymać się po drodze w Konstantynopolu i wrócić do Paryża w początkach października. W ciągu tych kilku tygodni misja, mówił generał Harbord, „zbada każdą dziedzinę polityczną, narodową, ekonomiczną, finansową i handlową; zbada również drogi, porty, warunki rolne i górnicze, kwestję powstania armji ormiańskiej, kwestję policji i surowców jakie posiada Armenja" [2]). Tylko specjaliści, znający Kaukaz, jego stosunki, ludy, języki i zagadnienia, mogą ocenić herkulesowy wysiłek, niezbędny do opanowania każdej z tych kwestyj, które improwizowana komisja pod wodzą generała wojskowego miała przestudjować w ciągu czterech tygodni. Nigdy świat nie był porządkowany i reformowany w tak oszałamiającem tempie.

Wiele krwi napsuło wyznaczanie miejsca w rozmaitych komisjach. Delegaci narodów mniejszych uważając, że są źle traktowani, protestowali gwałtownie i namiętności się burzyły.

---

[1]) *Journal de Genève*, 18 maja 1919 r.
[2]) *New York Herald* (wydanie paryskie), 14 sierpnia 1919 r.

Kłótnie w tej sprawie, zaostrzone gwałtownemi dyskusjami w samej Radzie, o których wiadomości dochodziły do uszu publiczności, w przygnębiający sposób działały na tych, którym leżało na sercu przywrócenie normalnych stosunków w świecie, gdzie wszystko ulegało szybkiemu rozkładowi. Optymizm jednakże trzech głównych delegatów nie poddawał się wpływowi najbardziej przygnębiających niepowodzeń i przeciwności. Ich pogodne usposobienie widać ze słów Balfoura, przytoczonych w prasie: „Prawda, że toczy się często dyskusja, ale niema istotnej niezgodności co do zasad lub faktów. Zgadzamy się w sprawach zasadniczych i idzie tylko o wynalezienie słów, któreby wyrażały ugodę" [1]). Te wiadomości były pożądane, gdyż jakiekolwiek wady przypisywali krytycy znakomitym mężom stanu Konferencji, żadnemu z pomiędzy nich nie zarzucili napewno braku wymowy. Te pogodne widoki na przyszłość przypomniały mi bardziej uzasadniony spokój papieża Piusa IX podczas burzliwych posiedzień Soboru Watykańskiego. Gdy ktoś ze świeckich wyraził swój niepokój i niezadowolenie z nieodpowiedniego postępowania prałatów, papież odpowiedział, że zawsze się tak działo na naradach duchowieństwa. „Z początku", tłumaczył on, „członkowie zachowują się, jak ludzie, walczą i kłócą się, a to, co mówią, nie jest wiele warte. Jest to akt pierwszy. W drugim akcie działa Czart, który wzmaga nieład i mąci sprawy w sposób oszałamiający. Ale na szczęście jest jeszcze zawsze akt trzeci, podczas którego zstępuje Duch Święty i kieruje wszystkiem ku lepszemu".

Pierwsze dwa okresy posiedzeń Konferencji podobne były niezmiernie do opisu papieskiego, ale ponieważ nie miały, jak sobór powszechny, pretensji do nieomylności, nie miały dlatego trzeciego aktu, skutki czego dla świata były opłakane. Rada Najwyższa nie wiedziała nigdy, jak postąpić w okolicznościach niespodziewanych, a co tydzień nieoczekiwane wydarzenia w świecie wołały o szybką akcję. Często przeczyła sobie po upływie kilku dni, a nieraz jednocześnie główni delegaci byli między sobą w sprzeczności. Dajmy choć jeden przykład: w kwietniu zapytano Clemenceau, czy pochwala projekt wspomożenia cierpiącej głód Rosji. Odpowiedź jego była twierdząca i podpisał dokument zezwalający na pośpieszanie z pomocą. Koledzy jego Wilson, Lloyd George i Orlando poszli za nim i zdawało się, że sprawa została załatwiona. Ale jednocześnie p. Hover, który był gorącym zwolennikiem projektu, odebrał oficjalny list francuskiego ministra spraw zagranicznych, wyrażający odmowę Rzą-

[1]) Listy paryskie z lutego 1919 r. i *Public Ledger* (Filadelfja), 4 lutego 1919 r.

du Francuskiego, który się na to nie zgadzał [1]). W innym wypadku [2]) Rada Najwyższa uznała za potrzebne wysłać do Azji Mniejszej misję dla zapoznania się z poglądami ludności Syrji i Mezopotamji na najbardziej dla nich odpowiednią formę rządu. Francja, której stosunki z Syrją, gdzie utrzymuje świetne zakłady wychowawcze, spopularyzowały jej imię wśród ludności, sprzeciwiała się temu projektowi, uważając go za zbyteczny i szkodliwy. Zbyteczny, gdyż uczucia frankofilskie narodu były uważane za nieulegające wątpliwości, a za szkodliwy, gdyż plebiscyty lub coś zastępującego je mogły mieć wpływ bolszewizujący na ludzi Wschodu. Pozornie ulegając tym względom, Rada Najwyższa zaniechała projektu i członkowie misji wzięli się do robienia innych planów [3]). Po kilkotygodniowym jednakże dalszym namyśle przyprowadzono do skutku zamiar pierwotny i misja udała się na Wschód.

Czytelnik pragnąłby może wzrok zapuścić choćby na krótko do wnętrza zebrania historycznego, co mogliby mu ułatwić uprzywilejowani mający prawo uczestniczenia w niem, zanim je nie zamieniono na tajne conclave z pięciu, czterech i trzech osób. W pokojach, skąd wychodziły doniosłe wyroki na wszystkie cztery strony świata, siedzieli delegaci, przeważnie według rodzimych języków, a przy nich mówcy, referujący im specjalne kwestje. Główne miejsce za stołem obrad zajmował Clemenceau; miał przed sobą delegata, broniącego sprawy naprzykład Grecji, Polski, Serbji lub Czechosłowacji. Delegat, stojący przed poważnym, ale ruchliwym premjerem i otoczony innymi, mniej lub więcej uważnymi delegatami, wyglądał jak nerwowy uczeń, stojący przed wymagającymi egzaminatorami, walczący z trudnościami odpowiedzi i starający się dać odpowiedź zadawalającą. Przypuśćmy, że pierwszy język, którym się mówi, jest francuski. Ponieważ wielu delegatów go nie rozumie, nie można im mieć za złe, że stają się nieuważni i zaczynają prowadzić między sobą przygodną rozmowę po angielsku, która tworzy jakby basowy akompanjament do pięknie nieraz modulowanego głosu mówcy. Z powodu tych niedogodnych trudności językowych, jak tylko delegat milknie, aby wypocząć na chwilę, jego argumenty i wezwania zostają tłumaczone na język angielski przez p. Mantoux i wtedy przychodzi kolej spokojnej pogawędki na delegatów francuskich, dopóki nie zostanie postawione pytanie po angielsku, które się tłumaczy na francuski, poczem znowu francuska odpowiedź tłumaczy się na angielski, i tak

[1]) *L'Echo de Paris*, 19 kwietnia 1919 r.
[2]) W kwietniu 1919 r.
[3]) Około 10 kwietnia 1919 r.

dalej bez końca, przy czem każda grupa wraca na zmianę do swych przerwanych rozmów.

Jeden z delegatów, który przechodził przez tę próbę w ciągu kilku godzin, mówił, że czuł się w rozdźwięku z atmosferą sali Konferencji. „Przekonywując albo wzywając arbitrów mego kraju, czułem, że zwracam się tylko do mniejszości wybitnych sędziów, tymczasem gdy myśli innych są nieobecne. A kiedy tłumacz oddawał szybko, mechanicznie i w skróceniu moje myśli bez cienia tej wybuchowej namiętności, która je wydobywała z mojej duszy, czułem się przygnębiony. Lecz nagle zaświtało mi w myśli, że na zasadzie tego, co powiedziałem lub opuściłem, nie zostanie wydany żaden ostateczny wyrok. Przypomniałem sobie, że wszystko zostanie przekazane komisji, potem podkomisji, wreszcie wróci do szanownych delegatów.

Inny delegat zauważył: „Wiele lat minęło od czasu, gdy zdawałem swój ostatni egzamin, ale stanął przedemną w całej swej jaskrawości, kiedy podszedłem do premjera Clemenceau i spojrzałem w jego niespokojne, iskrzące się oczy. Powiedziałem do siebie: kiedy ostatni raz byłem egzaminowany, miałem bolesną świadomość, że moi profesorowie wiedzą o przedmiocie o wiele więcej, niż ja wiedziałem, a dziś jestem równie boleśnie świadomy, że nie wiedzą prawie nic i że gorąco pragnę ich nauczyć. Zadanie jest trudne. Można byłoby zaoszczędzić czasu i pracy, gdyby delegaci otrzymali nasze referaty, przeczytali je spokojnie w mieszkaniu swojem i postarali się wyrobić sobie sąd na zasadzie danych, które w nich znajdą. Jeśli to się nie uda, chciałbym przynajmniej udzielić im kryterjum prawdy, gdyż po mnie przyjdzie oponent, który mi będzie przeczył, jakże więc będą mogli odróżnić prawdę od fałszu, nie mając do tego podstaw? Ciężko jest być w obecności wielkich satrapów losu, ale uczyniłem akt wiary w możliwość genjalnych cech, ukrywających się poza temi codziennemi twarzami i w rodzaj magicznej siły, powołującej do życia nowe stosunki pokojowe i przyjacielskie pomiędzy stanami i ludami. Był to akt wiary".

Jeżeli członkowie Rady Najwyższej nie potrafili zjednać sobie swych skromniejszych kolegów i byli niezdolni do chętnego przyjęcia mniej lub więcej rewolucyjnych idej, krążących w powietrzu, byli również najzupełniej bezsilni wobec poważnej opozycji, którą napotykały ich rozkazy w Europie Wschodniej. W ten sposób, pomimo, że mieli wielu sprzymierzeńców w Niemczech, nie umieli ich przymusić do wykonywania swoich żądań, pomimo tego, że Niemcy były zdezorganizowane, prawie rozbrojone i szarpane zamieszkami wewnętrznemi. Konferencja ustąpiła, gdy Niemcy odmówiły lądowania armji polskiej w Gdańsku, choć poprzednio ogłosiła swoją decyzję co do użycia w tym

celu wspomnianego portu. Pozwoliła na ewakuację Odessy i na zdziesiątkowanie jej mieszkańców przez żądnych krwi bolszewików. Rozkazała Ukraińcom i Polakom wstrzymać się od działań wojennych [1]), ale działania te trwały po tem jeszcze przez całe miesiące. Generał amerykański został wysłany do walczących narodów, by położyć koniec wojnie, ale wrócił przygnębiony, pozostawiwszy sprawy w tym stanie, jak je zastał. Generał Smuts był posłany do Budapesztu dla zawarcia umowy z Kuhnem i bolszewikami węgierskimi, ale wrócił również z niczem po bezowocnej rozmowie. Nigdzie nie słuchano rozkazów Rady Najwyższej.

Około 19 marca komisja sprzymierzeńców dała Erzbergerowi dwadzieścia cztery godziny na ratyfikację umowy pomiędzy Niemcami a Polską i wypełnienie warunków rozejmu. Erzberger wszakże odmówił ratyfikacji i aljanci nie mogli, czy nie nie chcieli narzucić mu swej woli. Delegaci rumuńscy wyprowadzili z tego stanu rzeczy naturalny wniosek. Zrospaczeni traktowaniem, jakie ich spotkało, opuścili Konferencję i kierując się własną polityką, zajęli Budapeszt, przedłożyli własne warunki pokojowe Węgrom, z uprzejmemi frazesami i grzecznym ukłonem pod adresem Rady, usuwając w dziedzinę pobożnych życzeń opracowane dla nich przez tęż Radę wskazówki, jakiemi się kierować mieli.

W ten sposób stale marnowały się dobrze obmyślane i szeroko zalecane starania zastąpienia stosunkiem moralnym wśród narodów stanu utajonej wojny, zwanego równowagą polityczną. Z jednej strony, subtelna sztuka dyplomatyczna starego świata pracowała ciężko a skutecznie nad tem, by powołać do życia nanowo pod ponętnemi nazwami stracone i przegrane sprawy, gdy tymczasem, z drugiej strony, polityka nowego świata, naiwnie ignorując siły historyczne i tradycje, dążyła śmiało do szablonowego rozstrzygania zagadnień, nie biorąc pod uwagę konkretnych okoliczności. Szlachetni idealiści potykali się w ten sposób w wytrawnymi graczami dyplomatycznymi, a jedni i drudzy dążyli w sekrecie do zawarcia śpiesznego kompromisu ze swymi oponentami poza salą obrad. W pierwszych dniach stycznia byłem obecny na kilku zebraniach informacyjnych, gdzie omawiano podobne tranzakcje, i wypowiedziałem moje wrażenia w sposób następujący: „jeżeli sprawy pójdą tak, jak są prowadzone dzisiaj, rezultat będzie daleki od rozumnych oczekiwań. Pierwsza uderzająca różnica pomiędzy zaatlantyckimi idealistami i politykami starego świata leży w ich różnych sposobach oceniania pośpiechu z jednej strony, a podstaw systemu państwowego europejskiego z drugiej

[1]) 19 marca 1919 r.

strony. Mąż stanu, mając do czynienia z nagłemi, w szczególności rewolucyjnemi wydarzeniami, nie powinien odrywać wzroku od zegara. Politycy w Paryżu prawie się nie liczą z czasem i okolicznościami. Reformatorzy z za oceanu dążą do obalenia terytorjalnej i politycznej równowagi sił na korzyść Ligi Narodów, a dyplomaci utrzymują, że zasada równowagi, daleka od wyczerpania, dotąd stanowi jedyną podstawę stałości międzynarodowej i powinna być jeszcze bardziej wzmocniona" [1]).

Żyjąc w samem centrum pracowitego świata tych twórców losu, którzy ofiarnie choć bezskutecznie poświęcali czas i trud na budowanie maszynerji do dobrego rządzenia całą rasą ludzką—maszynerji budowanej z niedostatecznych i niezupełnie odpowiednich materjałów, historyk wobec różnorodnych i rozbieżnych sił działających uznałby za trudne ich zbadanie i ustawienie wydarzeń codziennych i kwestyj poszczególnych we właściwej perspektywie. Powaga i dobra wola delegatów zasługiwała w najwyższym stopniu na pochwałę i sami też oni, jak widzieliśmy, byli pełni nadziei. Prawie wszyscy delegaci odznaczali się skłonnością do kompromisu, cennego w polityce pospolitej, ale zgubnego przy wcielaniu w życie ideałów. Dążąc do jednomyślnych decyzyj, nawet wówczas kiedy nie było jednomyślności, główni mężowie stanu uciekali się śmiało do pomysłowych formuł i prowizorycznych umów, które każda partja mogła komentować na swój sposób, i zwracali niewiele uwagi na to, co się działo poza nimi. Pisałem wtedy [2]): „Równoległe z Konferencją i codziennemi wykładami, których słuchają jej członkowie—z dziedziny geografji, etnografji i historji, pracują jeszcze inne rady, jedne publicznie, drugie prywatnie, które reprezentują szerokie masy, pragnące prędzej, niż świat polityczny, zaspokoić swe palące potrzeby. Są to miljony mieszkańców Europy, niezbyt dbających o granice strategiczne, natomiast wiele zabiegających o środki, niezbędne do życia, które stały się coraz trudniejszemi do zdobycia. Tylko gość z odległej planety mógłby ocenić znaczenie zdumiewających zjawisk, na które tu dziś każdy patrzy bez zdziwienia... Bystrzejsze umysły świata polityczno-społecznego... skłonne są do dowcipnych określeń i sarkazmu, kiedy charakteryzują dążenia Konferencji Pokojowej, jako chęć rozwiązania kwadratury koła; delegaci przeciwstawiają szlachetne dążenia surowej rzeczywistości dzisiejszego świata, który wydaje się kpić z ich chwalebnych wysiłków. Mówią, że nigdy nie było tyle wojen, jak podczas obrad tych znakomitych twórców pokoju. Ciężka

[1]) Mój kablogram drukowany w *Public Ledger* (Filadelfja), 12 stycznia 1919 r.

[2]) *The Public Ledger* (Filadelfja), 5 lutego 1919 r.

walka trwa na Syberji; z Kaukazu donosza o zwycięstwach i porażkach; bitwy między bolszewikami a miłośnikami pokoju srożą się w Estonji; krew płynie strumieniami na Ukrainie; Polacy i Czesi dopiero teraz podpisali umowę zawieszenia broni, dopóki Konferencja nie ogłosi swego postanowienia; Polacy i Niemcy, Polacy i Ukraińcy, Polacy i bolszewicy dotąd jeszcze dziesiątkują sobie wzajemnie wojska na skrawkach terytorjów, które były niegdyś Rosją, Niemcami i Austrją".

Niepomyślne wieści rozchodziły się po Paryżu, Londynie i w innych miejscach, które podkopywały zaufanie ogółu nietylko do stosunku Rady Najwyższej do krajów mniejszych, ale także do istoty tajnych wpływów, które, jak sądzono, krzywiły od czasu do czasu jej linję postępowania. I wieściom tym wierzono nawet w kołach konferencji. Od czasu do czasu odwiedzali mnie delegaci, skarżący się na to, że ta lub owa decyzja była powzięta nie na żądanie krajowych rządów, lecz bogatych kapitalistów lub wybitnych przedsiębiorców przemysłowych. „Wie Pan, dlaczego tyle się mówi o niezależnem państewku naokoło Klagenfurtu?" zapytał mnie jeden z nich. „Powiem Panu: z powodu kilku chciwych kapitalistów. Są już robione przygotowania do założenia banku, którego większość akcyj należy do X." Inny mówił: „Gdańsk jest potrzebny ze względów polityczno-handlowych. Dlatego nie można go przyłączyć do Polski [1]). Mówi się już o przejściu składów i różnych zyskownych koncesyj w ręce mówiących po angielsku pionierów przemysłu. Gdyby miasto było polskie, podobne zobowiązania byłyby niemożliwe, gdyż rząd dostarczyłby wszystkiego, co jest niezbędne i eksploatowałby sam miejscowe zasoby". Na innem miejscu jest opisana rola, jaką odegrały względy pieniężne w sprawie republiki Banatu.

Przyjaciel i doradca prezydenta Wilsona oświadczał publicznie, że kwestja Fiume dwukrotnie już miała być rozstrzygnięta pomyślnie, zgodnie z wolą wszystkich partyj, ale przedstawiciele interesów handlowych użyli zręcznie swoich wpływów i projekt nie przeszedł przez Konferencję. Poznałem kilku ludzi, przysłanych w tajnej misji dla skłonienia Konferencji, by wzięła pod uwagę niektóre sprawy; zapoznano mnie również z człowiekiem, którego celem było uzyskanie przez Konferencję zmian prawodawstwa finansowego, dotyczącego spłaty długów przez pewną rzeczpospolitę amerykańską. Ten optymista jednak wrócił z tem, z czem przyjechał, gdyż nie miał czem po-

[1]) Dr. Bunke, radca sądowy w Gdańsku, usiłuje dowieść w *Danzig Neueste Nachrichten*, że kwestja Gdańska została rozwiązana wyłącznie w interesie potęg morskich, Ameryki i Anglji, które potrzebują punktu dla handlu z Polską, Rosją i Niemcami; to samo czytamy w *Le Temps* z 23 sierpnia 1919 r.

przeć swych planów. W poważnym dzienniku amerykańskim, wychodzącym w Paryżu [1]) ukazał się następujący znamienny ustęp artykułu wstępnego w sprawie projektu Prinkipo i odłożenia jego wykonania:

„Z innych źródeł dowiadujemy się, że zwłoka i wątpliwości w tej sprawie pochodzą nie tylko z powodu uchylania się *(sic)* kilku grup rosyjskich od wzięcia udziału w konferencji razem z bolszewikami, ale też z powodu zcierania się interesów, reprezentowanych przez sprzymierzeńców. Pomiędzy Amerykanami istnieje pewna bardzo wpływowa grupa, popierana przez potężne sfery finansowe, która obejmie olbrzymie i bogate koncesje naftowe, górnicze, kolejowe i drzewne, otrzymane od dawnego rządu i która, pragnąc koncesyj dalszych, wyraźnie oświadcza się za uznaniem bolszewików za rząd *de facto*. Dla uzyskania ponownego zatwierdzenia tych dawnych koncesyj przez Lenina i Trockiego, oraz zdobycia nowych praw eksploatacji bogatych okręgów górniczych, ta grupa gotowa przyjść bolszewikom z pomocą finansową w rozmiarze czterdziestu czy pięćdziesięciu miljonów dolarów. Bolszewicy napewno potrzebują pieniędzy. Prezydent Wilson i jego zwolennicy są, jak stwierdzono, wyraźnie wrogo usposobieni dla tak pięknego projektu".

Że prezydent Wilson był przeciwny podobnemu rozmyślnemu kompromisowi pomiędzy Mamoną a wzniosłemi ideałami — zbyteczna jest dowodzić. Ubiegał się o rozległe i dobroczynne reformy i chciał pobudzić świat do wcielenia i w instytucjach tych myśli i uczuć, które długo mogłyby jeszcze pozostać w uśpieniu, a które osłabione w jednostkach, zaczęły się już budzić w masach. Lecz nie szedł dalej poza to. Jego dążenia, były raczej zachciankami, ale niczem więcej; były godne pochwały, ale niestety nie stworzył on mechanizmu, któryby je zmienił w instytucje, i pod naciskiem przeciwników, sam je porzucał.

Wybitny ekonomista francuski, którego [2]) przekonania demokratyczne są dobrze znane, zapoznał ogół z treścią kilku posiadanych przez niego interesujących dokumentów. Rzucają one niekorzystne światło na pewnych łapigroszów, krążących dookoła mieszkań wielkich rzeźbiarzy kontynentu i prawodawców w Paryżu. Artykuł jego nosi następujący wstrętny tytuł: „Czy prawdą jest, że finansiści angielscy i amerykańscy prowadzili podczas wojny pertraktacje z bolszewikami o zy-

[1]) *New York Herald* (wydanie paryskie) z 1 marca 1919 r.
[2]) Lysis, autor „Demain" i wielu innych wybitnych szkiców z dziedziny zagadnień ekonomicznych i wydawca *Démocratie Nouvelle*, 30 maja 1919 r.

skowne koncesje? Czy prawdą jest, że te koncesje zostały im przyznane 4 lutego 1919 r.? Czy prawdą jest, że rządy sprzymierzone popierały je swym wpływem?“ [1]).

Fakty, wyjaśniające te pytania, są w krótkości następujące. Dnia 4 lutego r. 1919 Rada komisarzy ludowych w Moskwie głosowała za udzieleniem koncesji na kolej, łączącą miejscowości Ob—Kotlass — Saroka i Kotlass—Swanka i przyjęła rezolucję, stwierdzającą, że „1) projekt jest wykonalny, 2) oddanie koncesji przedstawicielom kapitału zagranicznego jest możliwe, jeżeli przez to zwiększy się produkcja, 3) wykonanie projektu jest niezbędne, 4) w celu przyspieszenia rozwiązania tej kwestji osoby, pragnące uzyskać koncesję, powinny *złożyć dowody swego porozumienia ze sprzymierzonymi* i neutralnymi przedsiębiorcami, tudzież możności sfinansowania przedsięwzięcia i dostarczenia materjałów, niezbędnych do budowy rzeczonej linji“. Z drugiej strony, okazuje się z urzędowego dokumentu, datowanego 26 czerwca r. 1918, że podanie o koncesję na te linje zostało złożone przez dwie osoby: malarza A. A. Borisowa (któremu przed wielu laty dałem list polecający do prezydenta Roosevelta, prosząc go o patronat nad wystawą obrazów tego pana w Stanach Zjednoczonych) i p. Edwarda Hanneviga.

Pragnąc stwierdzić, czy ubiegający się o koncesję, mają wymagane kwalifikacje, władze bolszewickie zaczęły zbierać o nich wiadomości i otrzymały z królewskiego konsulatu norweskiego w Moskwie zaświadczenie [2]), stwierdzające, że „obywatel Hannevig jest wspólnikiem wielkich banków Hanneviga, znajdujących się w Londynie i w Ameryce“. Z tego wynikało, że pertraktacje mogły toczyć się w dalszym ciągu. Dokument dodaje: „w październiku Borisow i Hannevig ponowili swoje żądanie, poczem dzienniki *Prawda*, *Izwiestja* i *Ekonomiczeskaja Ziźń* z ożywieniem omawiały sprawę. Na posiedzeniu 12 października projekt był przyjęty z pewnemi poprawkami, a 1 lutego 1919 r. *Wyższyj Sowiet Narodnago Choziajstwa* zatwierdził go ponownie“.

Rozmiary koncesji można ocenić z tego, że jeden z paragrafów odstępuje *„eksploatację ośmiu miljonów dziesięcin lasu*, który nawet dziś, *pomimo niepomyślnych warunków*, *może dać trzysta miljonów rubli rocznego dochodu“*.

Wynika stąd, zważywszy, iż te urzędowe dokumenty opierają się na faktach, że przed d. 26 czerwca, to jest podczas wojny, zwracano się do rządu bolszewickiego o ważną koncesję kolejową, oraz o eksploatację lasu, mogącego dać trzysta mi-

[1]) Sprawozdanie z podobnych układów z Belą Kuhnem znajduje się w rozdziale, gdzie mowa o Rumunji.

[2]) Oznaczone numerem 3882.

ljonów rubli rocznie i wystąpił z tem obywatel rosyjski, który oświadczył, że działa w imieniu kapitalistów angielskich i amerykańskich; gdy zaś Edward Hannevig dowiódł, że jest istotnie przedstawicielem wielkich finansistów sprzymierzonych, koncesja została z początku zatwierdzona przez dwie kolejne komisje [1]), wreszcie zaś ostatecznie udzielona przez Radę Komisarzy Ludowych [2]).

Wybitny autor artykułu zapytuje, czy to istotnie może być możliwe, czy kapitaliści angielscy i amerykańscy prosili bolszewików o rozległe koncesje podczas wojny, czy otrzymali je od nich czasu Konferencji, i wówczas gdy żołnierze tych krajów walczyli w Rosji przeciwko bolszewikom. „Czy prawdą jest", zapytuje śmiało dalej, „że tem należy objaśnić niezrozumiałą uprzejmość, okazywaną przez rządy sprzymierzone bandytom bolszewickim, z którymi chciały one zawrzeć kompromis, i których zdecydowane były uznać, organizując konferencję na Wyspach Książęcych?... Wielokrotnie już zalatywały nas cuchnące wyziewy; nasuwały one myśl, że poza Konferencją Pokojową kryje się coś gorszego jeszcze, niż się spodziewano: olbrzymia Panama polityczna. Jeśli to nie jest prawdą, panowie, zaprzeczcie temu, gdyż w przeciwnym razie, pewnego dnia może nastąpić wybuch" [3]). Czy te poważne rewelacje, wraz z twierdzeniem p. Jerzego Herron'a [4]), incydent z republiką Banatu i ultimatum, dotyczące terenów naftowych, przedłożone nieoficjalnie Rumunom, wystarczą do wyrobienia sobie pojęcia o rzeczy, można to śmiało pozostawić uznaniu publiczności. Sumienny i bezstronny historyk, pomimo silnej wiary w uczci-

---

[1]) 12 października 1918 r. i 1 lutego 1919 r.

[2]) 4 lutego 1919 r.

[3]) *La Démocratie Nouvelle*, 30 maja 1919 r.

[4]) Patrz jego świetny artykuł w *New York Herald* (wydanie paryskie) z 21 maja 1919 r., z którego warto przytoczyć następujący wyjątek: „Mówiłem, że pewne wielkie siły pracowały stale i tajemnie dla pokoju niemieckiego. Ale mam na myśli właściwie jedną siłę — finanse międzynarodowe, którym podlegają wszystkie inne siły, wrogie wolności narodów i duszy indywidualnej. Wpływ tych finansów przeniknął Konferencję, odkładając decyzję jej na metę tak daleką, jak to było możliwe, pogłębiając rozdział pomiędzy narodem a narodem, stanem a stanem, twórcami pokoju a twórcami pokoju, wszystko zaś dla osiągnięcia dwóch ostatecznych celów, które właściwie są jednem i tem samem. Pierwszem celem było takie ukształtowanie umysłów twórców pokoju, tłumu ich pomocników i ekspertów, by doprowadzić, o ile to możliwe, do pokoju, który nie byłby zgubny dla przemysłowych Niemiec. Drugim celem było odsunięcie kwestji rosyjskiej, takie komplikowanie i zagmatwanie każdego proponowanego jej rozwiązania, żeby wreszcie, podczas lub po Konferencji Pokojowej uznanie władzy bolszewickiej, jako faktycznego rządu rosyjskiego, stało się jedynem możliwem rozwiązaniem.

wość ludzi, reprezentujących potęgę, zarówno nieograniczonych, jak ograniczonych interesów, nie będzie mógł pominąć tych faktów milczeniem.

Jeden z bystrzejszych delegatów w Paryżu, człowiek, przejęty dawnym duchem nacjonalizmu, ale zarazem zdolny do zrozumienia namiętnego entuzjazmu innych dla bardziej altruistycznych teoryj, powiedział mi pewnego wieczora: „Niech Pan mówi, co chce, Rada Tajna jest Radą Dwóch, a Statut — przywilejami, danemi mówiącym po angielsku narodom, dla tego by rządziły światem. Projekt — jeśli to jest projektem, może być doskonały, ale nie podoba się innym narodom. Jest to mniej nienawistna hegemonja, niżby nią były imperjalistyczne Niemcy, ale jest to i hegemonja, i nienawistna.“ Istotnie, w tego rodzaiu poszukiwaniach najskuteczniejszych sposobów przezwyciężenia trudności i uniknięcia niebezpieczeństw w stosunkach międzynarodowych, bardziej nawet, niż w wyborze ustroju politycznego, należałoby uwzględniać zasadę samostanowienia. Czyż to nie było jednym z najważniejszych owoców zwycięstwa? Bynajmniej. Puszczono w ruch siłę, rzekomo dla dobra wszystkich, ale tylko tak, jak to dobro jest rozumiane przez „wszechpotężnych Dwóch“. Lecz dla wszystkich innych jest to siła i nic więcej. Czyż można się dziwić, że jest tylu niezadowolonych ludzi, albo że niektórzy z nich knują już coś, co będzie przeciwstawieniem hegemonji anglo-saskiej, kryjącej się pod nazwą Ligi Narodów?“

Nie można zaprzeczyć, że dwaj uprzywilejowani partnerzy zachowywali się jak dobrotliwi despoci, którym wszakże despotyzm przychodził łatwiej, niż dobrotliwość, Jak widzieliśmy, utrzymywali oni swoich kolegów z państw mniejszych w takiej samej nieświadomości, jak zwykłą publiczność, i żądali od nich bezwzględnego posłuszeństwa wszystkim swoim rozkazom. Szli nawet dalej i domagali się zgody na decyzje, które miały być powzięte w przyszłości, tudzież obietnicy przyjęcia ich nakazów, co dotąd nieznane było poza obrębem Kościoła Katolickiego, który w każdym wypadku uważa się za nieomylny. Ów delegat zapytany, dlaczego nie wywalczył więcej dla jednego z państw Europy Wschodniej, dowcipnie odpowiedział: „Czegóżby Pan mógł oczekiwać więcej, kiedy miałem przeciwko sobie jednego kolegę, który uważa siebie za Napoleona, i drugiego, który wierzy, że jest Mesjaszem”.

Pomiędzy wielu dowcipami krążącemi w Paryżu na temat Konferencji, najbardziej oryginalny przypisywany jest Emirowi Faissalowi, synowi króla Hedżasu. Zapytany, co sądzi o areopagu świata, miał odpowiedzieć: „Przypomina mi cokolwiek jeden z widoków mego kraju. Kraj mój, jak Pan wie,

jest pustynią. Przechodzą przezeń karawany, które można porównać z armją delegatów i rzeczoznawców Konferencji — karawany wielkich wielbłądów, uroczyście kroczących jeden za drugim, każdy, dźwigający swój ciężar. Idą nie tam, dokąd chcą, ale tam, dokąd są prowadzone, gdyż nie mają wyboru. Ale jest i różnica: gdy duża karawana na pustyni ma tylko jednego kierownika, małego osiołka, Konferencję w Paryżu prowadzi dwóch delegatów, którzy są Wielkimi tej ziemi". Istotnie, kierowników było dwóch i nikt nie mógł powiedzieć, który z nich miał przewagę. Czasem zdawało się, że premjer angielski, czasem, że prezydent amerykański. Pierwszy odniósł pierwsze zwycięstwo—wolność mórz, zanim Konferencja została otwarta. Ostatni zdobył następne, kiedy nalegał natarczywie na wcielenie Statutu do Traktatu i ostatecznie zwalczył opór Lloyd George'a i Clemenceau, którzy odrzucali tę myśl, gdyż według nich zmniejszała wartość obydwóch umów. Była chwila, kiedy obaj poważnie się poróżnili i Lloyd George, który opuścił Paryż i schronił się w wiejskim zaciszu, został porównany do Achillesa, dąsającego się w swoim namiocie. Ale jeden z nich zwykle w końcu ustępował, tak jak na początku obaj ustąpili Clemenceau. Kiedy, naprzykład, powstało nieporozumienie między Japonją a Chinami, inni delegaci wybrali sobie za mówcę Wilsona. Pomimo propozycji Clemenceau, który chciał, żeby publiczność „nie wiedziała, że kierownik jednego rządu wystąpił z propozycją, której sprzeciwiał się kierownik drugiego rządu", stało się wiadomem, że nieraz się nie zgadzali między sobą, więcej niż raz jeden mieli się rozejść, w najlepszych wypadkach ich jednomyślność istniała tylko w słowach i pozbawiona była tych podstaw, jakie stanowią jednakowe poglądy. Dla tych, którzy chcieliby stwierdzić takt polityczny lub mądrość stanu tych ludzi, co się podjęli oparcia postępu ludzkości na nowej podstawie moralnej, historja tych kłótni, pośpiesznych improwizacyj i zdumiewających kompromisów, jest przygnębiająca. Niepewność i powstrzymywanie sprawy, które z tego wynikały, wprowadzały zamęt. Nikt nie wiedział, co się miało stać. Podkomisja mogła wypowiedzieć uzasadnioną opinję w kwestji, którą jej polecono zbadać, mogła to nawet jednomyślnie potwierdzić, ale Czterej, czy Trzej, Dwaj, czy nawet Jeden mógł nie tylko obalić cały wynik pracy, ale nawet odwrócić konsekwencje praktyczne, które z niego wynikały. I działo się to wielokrotnie.

Były też inne zjawiska, jeszcze bardziej zdumiewające. Kiedy, naprzykład, kwestja Polska stała się tak palącą, że nie można jej było dłużej odkładać, pierwsi delegaci nie wiedzieli, jak mają postąpić. Nie mogąc się zgodzić na żadne z proponowanych rozwiązań, postanowili postarać się o nowe dane i wska-

zanie kierunku przez specjalną komisję. Komisja została zgodnie wyznaczona. Pomiędzy jej członkami byli sir Esmé Howard, który potem został ambasadorem w Rzymie, generał amerykański Kernan i p. Noulens, eks-ambasador francuski w Piotrogrodzie. Ci wysłańcy i ich koledzy wyruszyli do Polski dla zbadania kwestji na miejscu. Nie szczędzili wysiłków w celu zebrania danych do gruntownej opinji i wrócili do Paryża po dwumiesięcznym pobycie, słusznie będąc dumni z obfitych i poważnych rezultatów swoich poszukiwań. I czekali. Mijały dni i tygodnie, ale nikt się nie zainteresował wysłańcami. Ignorowano ich. Nareszcie kierownik komisji p. Noulens zrobił pierwszy krok i napisał wprost do Clemenceau, zawiadamiając go, że zadanie powierzone jemu i jego kolegom zostało wykonane, wobec czego prosi o pozwolenie złożenia sprawozdania przed Konferencją. W odpowiedzi na to wydano polecenie rozwiązania komisji bez jej wysłuchania.

Pewnego razu, kiedy stosunki pomiędzy Wilsonem a Lloyd George'm były nieco zaostrzone przez antagonizm celów i rozbieżność metod, przyjaciel polityczny tego ostatniego namawiał go, by stał mocno na swem stanowisku. Lecz premjer angielski, czując może, że sprawa opiera się na niezbyt pewnych podstawach i utożsamiając Prezydenta ze Stanami Zjednoczonemi, cofnął się. Nieraz również, gdy jakiś delegat bronił swej sprawy z zapałem i zaciętością, Wilson, słuchając z uwagą i w milczeniu, pytał nagle: „Czy to jest ultimatum?" Sam wszakże nie wahał się stawiać ultimatum, kiedy był pewien gruntu pod nogami i moralnie przekonany o zwycięstwie. W jednym z takich wypadków zrobiono propozycję Lloyd-George'owi, bardzo przychylnie przezeń przyjętą, ale nie zaaprobowaną przez amerykańskiego męża stanu. Zachęcano bardzo premjera angielskiego, ażeby nie ustępował, on jednakże się cofnął, mówiąc, że jego amerykański kolega wystąpił z ultimatum, grożąc, że opuści Francję, wycofa wojska amerykańskie, jeżeli mu nie ustąpią w tej sprawie. I zwyciężył. Można byłoby myśleć, że to powodzenie zachęci Prezydenta do innych, większych dzieł. Ale kierownik, który wcielał w swojej osobie najwyższe dążenia wieku i który wydawał się powołanym do zajęcia najwyższego stanowiska w odrodzonym świecie, nie miał dosyć energji, ażeby wytrwać przy swem zdaniu, chociaż szło o sprawy większej wagi i o wyższe zasady.

Walki, staczane w ścianach pałacu na Quai d'Orsay, były omawiane nazewnątrz przez zaciekawioną i uważną publiczność i panowało ogólne przeświadczenie głębokie i szeroko rozpowszechnione, że Prezydent, uroczyście i publicznie przyłożywszy rękę do pługa i obiecawszy żniwo daleko idących reform, nie cofnie się, pomimo tego, że trafi na grunt oporny, a uro-

dzaj nikły. Nic z tego: natknąwszy się na poważne przeszkody, uchylał się od swego zadania i na tem według mnie polegała jego słabość. Gdyby zjechał przygotowany do przyjęcia odpowiedzialności osobistej, należytego rozwinięcia planu, poddania go szerokiej dyskusji publicznej, odrzucenia małodusznych kompromisów, powołania narodów świata do pomocy w jego przeprowadzeniu: ostatnia faza jego polityki byłaby warta pierwszej i mogłaby doprowadzić do triumfu zasad, które ludzie słabi i małej wiary odrzucali, jako nie mające widoków realizacji. Oprócz tej trudnej drogi, na której poparłyby go wszystkie najlepsze żywioły, pozostawała jeszcze tylko inna: Wilson mógł wyznać, że się mylił, że ludzkość nie była jeszcze przygotowana do przyjęcia dogmatów nowej wiary, że pierwszym i najpilniejszym obowiązkiem jest natychmiastowy pokój z nieprzyjacielem i że należy zwołać parlament świata później w celu przygotowania ludów do przyjęcia nowego ustroju. Wilson nie wybrał żadnej z tych alternatyw; z początku walczył mężnie w mroku sali konferencyjnej o zasady, które rozwijał, jako podstawę nowego porządku polityczno-społecznego, lecz gdy się natknął na niepokonany antagonizm kolegów z Francji i Anglji, z niechęcią porzucił zajęte stanowisko i postanowił tembardziej nieugiętym być w stosunku do wysłańców państw mniejszych. Ale to przypuszczenie odrzuca sekretarz stanu Lansing, który przed Komisją Spraw Zagranicznych Senatu oświadczył, że czternaście punktów, które Wilson postanowił przeprowadzić, nie były nawet roztrząsane na Konferencji. Wynikiem takiego zachowania się—boć trudno nazwać to polityką,—było porzucenie najpiękniejszych zasad, o które mu chodziło, rozgoryczenie wszystkich sprzymierzeńców poza Fzancją i Anglją i rozsianie materjałów wybuchowych po całym świecie.

Lloyd-George padł również ofiarą tego karłowatego sposobu prowadzenia polityki światowej. Jego błąd wszakże nie był tak jaskrawy. Dla ścisłości należy pamiętać, że to nie on zaczął głosić nadejście nowej ery; dał jej tylko spóźnioną i chłodną aprobatę, okraszoną od czasu do czasu wybrykiem dowcipnego żartu. Nie wiedział aż do ostatniej chwili, jak widzieliśmy, że Statut zostanie włączony do Traktatu Pokojowego, i był tego zdania, podobnie jak Pichon i inni, że te dwa akty bardzo trudno godzą się ze sobą. Skłaniał się również widocznie do przekonania, że czynniki duchowe i moralne, jeżeli nie okażą się zupełnie bezskuteczne dla przeprowadzenia żądanych zmian w świecie polityczno-społecznym, to w każdym razie nie prędko będą mogły użyte być w tym celu; tymczasem zaś rządy wrócą do dawnego systemu, tak zwanej równowagi, który po upadku Niemiec oznacza panowanie anglo-saskie nad światem i *pax Britannica* w Europie. Co się tyczy jego działal-

ności na Konferencji, o ile ta działalność nie dotyczyła dobrobytu Imperjum Brytańskiego, które było pierwszą i główną jego troską, można ją określić jako opartą na ogólnej zgodzie z Wilsonem. On sam ją sformułował, mówiąc, że o ile na to pozwalają interesy Anglji, chciałby być w zgodzie ze Stanami Zjednoczonemi. Wówczas to właśnie zwrócono mu uwagę, żeby nie identyfikował Prezydenta z ludem Stanów Zjednoczonych.

W samej rzeczy trudno było dotrzymać kroku wybitnemu idealiście amerykańskiemu, gdyż rzadko można było wiedzieć, dokąd zmierza. Zdawało się, że nieraz on sam o tem nie wie. Niektórzy z jego rodaków w Paryżu utrzymywali, że był zawsze przyzwyczajony iść za kimś, a nie kierować innymi. Na Konferencji miał zwyczaj pertraktowania z najsilniejszymi swymi przeciwnikami na ich gruncie i zawierania z nimi umowy, dla zdobycia choć części tego, co zamierzał i co przyjmował nawet wówczas, gdy ofiarowywana mu część była uważana za definitywne załatwienie sprawy. Sądząc z jego wystąpień publicznych i ze słów sekretarza stanu Lansinga, nie rozważył gruntownie sposobu walki o realizację swych czternastu punktów. Sposób, w jaki postąpił ze swym Statutem, z żądaniem Francji konkretnych gwarancyj militarnych i z umowami tajnemi dostarcza uderzających przykładów łagodności jego usposobienia. Przed wyjazdem z Paryża do Waszyngtonu utrzymywał, że Statut był skreślony w sposób zadawalający, a nawet twierdził, że „ani jeden punkt nie może być zmieniony w umowie". Doktryna Monroego, którą wyznawał, nie potrzebowała według niego żadnej umowy specjalnej. Ale jak tylko senator Lodge i inni pragnęli zakończyć z nim tę kwestję, zmienił swoje stanowisko i uzupełnił tę doktrynę zastrzeżeniami, które wyłączyły cały kontynent z zakresu działania Ligi; ta zaś będzie niczem, jeśli nie obejmie całego świata [1]). Pozatem miało nie być przymierzy. Premjer francuski przepowiadał, że tylko jedno powstanie. Wilson, który był wtedy w Anglji, odpowiedział mu mową, oświadczającą, że Stany Zjednoczone nie zawrą nigdy przymierza, które nie obejmie całego świata: „żadnego połączenia władzy, które nie jest połączeniem nas wszystkich". Odtąd stał się jedną ze stron potrójnego przymierza, które według opinji wielu badaczy, stanowi główny rezultat Konferencji. Według słów jednego z organów prasy amerykańskiej: „Clemenceau dostał wszystko, czego żądał. Prezydent Wilson w istocie wy-

[1]) Jakież zaufanie mogą budzić ludzie, którzy twierdzą, że można zawrzeć najwyższą mądrość ludzkości w jednym dokumencie, a w tydzień później mówią, że ten dokument ulec może zniszczeniu? Któreż ich zdanie uważać za ostateczne? *Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 23 sierpnia 1919 r.

rzekł się własnego programu, a przyjął francuski i angielski, oba imperjalistyczne" [1]).

I znowu, kiedy pierwsza komisja rzeczoznawców składała sprawozdanie, dotyczące granic Polski, premjer angielski sprzeciwił się tworzeniu „korytarza" na tej zasadzie, że pewne okręgi zawierały większość niemiecką, przyłączenie więc ich byłoby niebezpieczeństwem dla przyszłego pokoju i dla samej Polski, sprzeciwiałoby się również jednemu z zasadniczych punktów Wilsona. Prezydent, który był w tym czasie w niezgodzie z Lloyd-George'm wstał i zauważył, że nie należy brać jego zasad zbyt dosłownie. „Kiedy mówiłem, że Polska powinna być odbudowana, miałem na myśli, że należy się zgodzić na wszystko, co jest dla jej odbudowy niezbędne. Dlatego, jeżeli to wymaga wcielenia pewnej liczby Niemców, mieszkających na ziemiach polskich, trzeba się z tem zgodzić, gdyż to do odbudowy należy. Polska musi mieć dostęp do morza, najkrótszą drogą i wszystko inne, co zatem idzie".

Pomimo tego, premjer angielski, którego stosunek do żądań Polaków odznaczał się niezmierną jasnością i stałością, nieoczekiwaną wcale u człowieka, który przed 1916 r. nie słyszał nigdy o Cieszynie, sprzeciwiał się temu z takim zapałem i uporem, że Wilson i Clemenceau ustąpili.

Przypatrzmy się sposobom postępowania prezydenta z temi państwami, które nie prowadziły wojny. Przed wyjazdem z Paryża do Waszyngtonu, Wilson, zapytany oficjalnie przez jednego z kolegów na urzędowem posiedzeniu, czy neutralni będą również podpisywali Statut, odpowiedział, że tylko państwa sprzymierzone będą dopuszczone do położenia swoich podpisów. „Czy pan nie sądzi, że byłoby w interesie Ligi, gdyby już dziś przyłączyli się do niej neutralni?" pytał delegat. „Nie sądzę", odparł Prezydent. „Byłby to dla nich za wielki zaszczyt, na który nie zasługują". Na delegata ta odpowiedź wywarła bardzo niekorzystne wrażenie. Wydała mu się ograniczoną; można jednak było zadowolić się nią z punktu widzenia formalnego. Delegat wszakże nie mógł strawić tego pośpiechu, z jakim Wilson po powrocie z Waszyngtonu wyrzekł się tej myśli i stanął na wprost przeciwnym punkcie widzenia rzeczy. Przy końcu kwietnia delegaci i świat dowiedzieli się ze zdziwieniem, że Hiszpanja nie tylko zostanie dopuszczona do grona prawomyślnych, ale będzie miała głos decydujący i miejsce w Radzie. Szef delegacji portugalskiej [2]) założył odrazu gwałtowny protest przeciwko tak nagłemu pogwałceniu zasady i ja-

[1]) *Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 31 lipca 1919 r.
[2]) Alfons Costa, który niezadługo przedtem został następcą Monas Egiz'a, ministra spraw zagranicznych.

ko doradca prawny stwierdził, że udzielenie Hiszpanji głosu w Radzie byłoby bezprawne; później wszakże cofnął się w wielkiem podrażnieniu.

Nie można oszczędzić Wilsonowi ciężkiego zarzutu, że był słaby, chwiejny i niezgodny z samym sobą. Uznał siebie za najwyższego sędziego szeregu zawiłych spraw, dotyczących organizacji i spokoju kontynentu europejskiego, jak poprzednio w sprawie Meksyku, z wiadomym już wynikiem. Ta władza była mu dana—z pewnemi zastrzeżeniami—z uwagi na wysoką pozycję, jaką zajmował w państwie, posiadającem olbrzymie zasoby finansowe i ekonomiczne, wolnem od niebezpieczeństw, jakie nieustannie zagrażały narodom europejskim, i zabezpieczonem od bezpośrednich konsekwencyj błędów, które mógł popełnić w polityce międzynarodowej. Każdy naród kontynentalny w Europie jest do pewnego stopnia zależny od dobrej woli Stanów Zjednoczonych i dlatego stara się zasłużyć na nią, pielęgnując najbardziej przyjazne stosunki z ich kierownikiem. To przychylne usposobienie dla Prezydenta otaczających go było jakby zastawem, który należało wziąć pod uwagę. Była to zarazem gwarancja powodzenia, które zadowoliłoby szlachetną ambicję, pozwoliłoby mu osiągnąć za pomocą rozumnej polityki to, co rewolucja chciała zdobyć drogą gwałtu, przyczyniłoby się także do uporządkowania i wzmocnienia nowych sił wśród mas proletarjackich.

Przymus współpracy z innymi prowadzi często do jej udoskonalenia; pomaga w uświadomieniu konieczności przystosowania środków do potrzeb ludzi. Wilson wszakże rozmyślnie stronił od narodów, dla których pracował, i od niektórych uprawnionych ich przedstawicieli. Aspiracje i pojęcia znacznego odłamu ogółu różniły się bardzo silnie od poglądów tych dwóch mężów stanu, z którymi ściśle współpracował. Jego własne cele stały na przeciwnym biegunie w stosunku do jego kolegów. Pogodzenie internacjonalizmu z nacjonalizmem jest z gruntu niemożliwe. Jednak zamiast utrzymania swoich poglądów, pozyskania zaufania narodów i siania dobrych ziarn, któreby napewno z czasem wykiełkowały, począł razem ze swymi kolegami łączyć sprzeczności, pomagać w tworzeniu syntezy z bezcielesnych idej, powaśnionych gmin, rozgoryczonych narodów, walczących państw, rozwścieczonych klas, i przyczynił się do zalania świata wrzącą lawą niezadowolenia.

Wilson nie miał szczęścia do krytyków, którzy, chcąc sobie wyjaśnić zmienność jego postępowania, szukali jej przyczyn, jak się to często zdarza przeciętnym politykom, w mniej szlachetnych rysach natury ludzkiej. W tym wypadku zrażało ich jego wyniosłe trzymanie się zdaleka, tajemność jego pertraktacyj, despotyczny ton jego wyroków, nawet wówczas

gdy były w rażący sposób rozbieżne. Do cech, ogólnie mu przepisywanych dołączano również upór. W istocie umiał on słuchać, zadawać inteligentne pytania i był dostępny argumentom, kiedy czuł, że nie jest skrępowany w wyciąganiu z nich praktycznych wniosków. Kiedy to nie miało miejsca, argumenty nie znajdowały uznania i w tych wypadkach względy celowości wpływały na jego decyzję. Lecz jak i inni jego wybitni koledzy, tak i on musiał polegać na radzie, dawanej mu z zewnątrz i jak innych tak i jego doradca urzędowy nie zawsze był w zgodzie z doradcą faktycznym. On również, jak widzieliśmy, odsuwał na bok wyniki prac komisyj, o ile nie zgadzały się z jego poglądami. Jednem słowem, fatalnym krokiem Wilsona było poświęcenie rzeczy istotnych dla zapewnienia sobie zdobyczy drugorzędnych: zdobył potwierdzenie Statutu przez delegatów w Paryżu i pochwalił się tym rezultatem w Waszyngtonie, lecz wysunęło mu się z rąk kierownictwo światem. Jaką stratę dla ludzkości wywołała ta pożałowania godna słabość, można ocenić, tylko podsumowawszy i oszacowawszy jej najgorsze skutki.

W sprawach, dotyczących losu państw mniejszych, Wilson był niewzruszony, jak skała. Nic nie mogło go zepchnąć z raz zajętego stanowiska. Ich zależność ekonomiczna od jego kraju odbierała wartość ich argumentom, a dodawała nieprzezwyciężonej siły jego rozkazom. Klasycznym przykładem był spór Grecji z Bułgarją. Bułgarzy przybyli do Paryża bardziej w roli domagających się praw niezaprzeczonych, aniżeli w roli zwyciężonych wrogów, których sprowadzono po to, by im podyktować warunki, podane przez narody, oszukiwane i atakowane przez nich. Zwycięstwo mogło usprawiedliwić ich pretensje terytorjalne; porażka czyniła je śmiesznemi. Nagle rozeszła się wieść, że prezydent Wilson wystąpił w sprawie Bułgarji jako pośrednik, poparł niektóre z jej nadmiernych żądań.

Jedne z nich dotyczyły przyłączenia części wybrzeża Zachodniej Tracji razem z portem morskim na niekorzyść Greków, którzy posiadali ten brzeg w ciągu dwóch tysięcy pięciuset lat. Venizelos ofiarowywał im wzamian inny punkt handlowy [1]) i szczególne przywileje w drugim, i delegaci Wielkiej Brytanji, Francji i Japonji uznali propozycję za słuszną, lecz Wilson się wahał. Droga handlowa przez terytorjum obce, twierdził, może być równie dobra, jak przez własne, ale tylko w czasie pokoju; trzeba zaś mieć na względzie potrzeby kraju i podczas działań wojennych. W ustach bojownika pokoju powszechnego był to argument nieoczekiwany. Użyli go też Włosi w obronie swych pretensyj do Fiume. Wilson natknął się na ten argu-

[1]) Dedeagacz.

ment przy żądaniach ekonomicznych Jugosławji i twierdził wówczas, że traktat był ułożony dla pokoju, nie dla wojny, że Liga Narodów uniemożliwi wojny i zadowoli życzenia tych państw, które poświęciły pozycje strategiczne dla celów humanitarnych. Lecz w sprawie Bułgarji zajął sprzeczne z tem stanowisko i pogwałcił własną zasadę narodowości, pragnąc ją podtrzymać.

Wilson, szukając dalszych argumentów, wskazał na to, że Rada Najwyższa nie uznała za wystarczające dla Polski wyjście na morze przez terytorjum niemieckie, ale ustanowiła wolne miasto Gdańsk dla większego zabezpieczenia rzeczypospolitej Polskiej. Na to Venizelos odpowiedział, że pomiędzy temi dwoma faktami niema żadnej analogji. Polska nie ma wyjścia na morze poza Gdańskiem i dlatego nie można pozwolić na pozostawienie go w rękach narodu nieprzyjaznego, gdy tymczasem Bułgarja już posiada dwa bardzo dogodne porty: Warnę i Burgas na morzu Czarnem, które w myśl umiędzynarodowienia cieśnin staje się wolnem morzem. Posiadanie trzeciego wyjścia na morze Egejskie nie może więc stanowić niezbędnego warunku istnienia dla protegowanego przez Wilsona kraju. W ten sposób porównanie z Polską zostało uznane za bezpodstawne.

Jeżeli Polska, będąca o wiele większem państwem, niż Bułgarja, może żyć i rozwijać się, posiadając jeden port, nawet nienależący do niej w zupełności,—jeżeli Rumunja, która liczy więcej ludności i jest potężnem państwem, może egzystować przy jednem wyjściu na morze, w jakiż sposób, pytał Venizelos, można dowieść, że mała Bułgarja potrzebuje trzech czy czterech portów, i że ta jej potrzeba usprawiedliwia pozostawienie na jej tkliwej opiece 750,000 Greków z pogwałceniem jednej z podstawowych zasad, na których się opiera nowy porządek normalny?

Ustąpienie żądaniu Bułgarji nie pozwoliłoby Grecji przyłączyć trzech ćwierci miljona Greków, którzy mieszkali w Tracji przez dwadzieścia pięć stuleci, zachowując swą narodowość nietkniętą pomimo niezliczonych klęsk i ogromnych przewrotów. Dalej premjer grecki, przechodząc do argumentacji Wilsona, zwrócił uwagę na okoliczności, jakie nasuwa roztrząsana kwestja na wypadek wojny. Bułgarja, twierdził, jest państwem kontynentalnem, którego obrona nie polega na sile morskiej, gdy tymczasem Grecja posiada prawie półtora miljona ludności wyspiarskiej i dla jej obrony potrzebuje głównie sił morskich. W razie wojny Bułgarja, o ileby jej żądanie wyjścia na morze Egejskie zostało zaspokojone, mogłaby za pomocą swoich łodzi podwodnych przeszkodzić koncentrowaniu w Macedonji sił greckich

z wysp i w ten sposób postawiłaby Grecję w położeniu bardzo niebezpiecznem.

Wreszcie, jeżeli żądania Grecji co do Tracji zostaną odrzucone, będzie miała 1,790,000 ludzi poza granicami państwa, to znaczy przeszło jedną trzecią część tej ludności, która dziś mieszka w obrębie państwa. Czyby to było słuszne? W całej ludności Tracji bułgarskiej i tureckiej Turcy i Grecy stanowią razem 85%, Bułgarzy zaś tylko 6%, i ci ostatni nie mieszkają nigdzie w zwartej masie. Pozatem—i to powinno zdecydować kwestję—ludność grecka stanowiła tam zarówno absolutną, jak względną większość w roku 1919.

Te argumenty i różne inne względy dotyczące niepomiernych ambicyj, dzikiego okrucieństwa [1]) i wiarołomstwa Bułgarów przekonały delegatów angielskich, francuskich i japońskich o słuszności żądań greckich; stanęli też po stronie Venizelosa. Lecz Wilson trwał uporczywie przy swojem zdaniu, którego nie można było usprawiedliwić i które tłumaczono powszechnie względami, nie mającemi nic wspólnego z meritum sprawy. Czy upór ten powstał pod wpływem bułgarofilskich misjonarzy amerykańskich i powodował się względami religijnemi, jak mniemano powszechnie, czy też działały tu inne czynniki, jest to rzeczą obojętną. Warto jednak zaznaczyć, że jeden z dzienników bułgarskich [2]) ogłosił, za pozwoleniem rządowego cenzora, że misjonarze amerykańcy w Bułgarji i profesorowie Robert College w Konstantynopolu tak przygotowali delegatów amerykańskich na Konferencji w sprawie Francji i wogóle w kwestji bułgarskiej, że wszystkie wysiłki Venizelosa, by dowieść słuszności swoich żądań, pozostaną daremną pracą [3]).

Bądź co bądź, stanowisko Wilsona stało się przedmiotem sprzecznych komentarzy w całej Europie. Jego pretensje do dyktowania praw światu i do moralnego nim kierownictwa zjednały mu epitet „Dyktatora“ i wywołały ze strony jego rodaków i Francuzów dowcipne uwagi w rodzaju następujących: „Ludwik XIV mówił: „Państwo, to ja!“ Wilson zaś, chcąc go wyprzedzić, woła: „Wszystkie państwa, to ja“.

---

[1]) Patrz „Rapports et Enquêtes de la Commission Interalliee sur les violations du droit des gens commises eu Macédoine Orientale par les armées bulgares“... Wnioski tego sprawozdania są jednym z najstraszniejszych wyroków, wydanych kiedykolwiek przez bezstronnych badaczy przeciwko całemu narodowi.

[2]) *Zora*, 11 sierpnia; *Le Temps*, 28 sierpnia 1919 r.

[3]) P. Charles House ogłosił w prasie salonickiej oświadczenie w sprawie Urzędu Komisarzy dla Misji cudzoziemskich, który zabrania misjonarzom przyjmowania czynnego udziału w polityce. Dodał, że jeśli ten zakaz zostanie przekroczony—a opinja powszechna w Paryżu twierdziła, że tak było—nie będzie to tolerowane przez Urząd Misyjny, ani też uznane przez rząd amerykański.

Konieczność zjednywania opornych kolegów dla swego wielkiego planu przebudowy świata i zaspokojenia ich wymagań, które często godziły w ten plan, była najpotężniejszym czynnikiem, osłabiającym energję Wilsona i paraliżującym jego zamiary. Z tego widać, i jest to niewątpliwie faktem, że ów plan był tworem mechanicznym. Artykuły jego nie były tak ułożone, by bezpośrednio wpływały na masy, dawały im życzliwe wskazówki i urabiały ich uczucia w tym kierunku, żeby aspiracje i dążenia ich głównie natury materjalistycznej przepojone były względami społecznemi i prowadziły do przemiany duchowej na podstawie społecznej. Istotnie, nie mamy dowodów, że potrzeba tej przemiany podstaw myśli politycznej, na których dotąd opiera się dawny ustrój, była rozumiana przez tych, którzy przyłożyli swą rękę do prawodawczej strony pracy.

Te niekorzystne wrażenia były powszechne. Prawie każdy krok Konferencji potwierdzał je tylko i na długo przedtem, nim Traktat został przedłożony Niemcom, znikła wiara ogółu w to, żeby Rada Najwyższa mogła osiągnąć zwycięstwo moralne nad militaryzmem, niechęcią rasową i tajnemi intrygami, których świat oczekiwał.

„Kierownicy Konferencji", pisał wpływowy organ prasy [1]) „budzą nieufność. Mogą o tem nie wiedzieć, ale tak jest istotnie. To, co istnieje, jest faktem, a ludzie, którzy ignorują fakty, nie są mężami stanu. Jedyny sposób zachowania się wobec faktów jest spojrzeć im prosto w oczy. Im są przykrzejsze, tem prędzej należy to uczynić.

Niektórzy z kierowników Konferencji są podejrzywani, że w różnym czasie i różnych okolicznościach, myśleli więcej o własnej pozycji i ambicjach osobistych i politycznych, niż o szybkiem i praktycznem ustaleniu pokoju. Podejrzywani są jednem słowem, o tendencję podporządkowania polityki polityk owaniu. W stosunku do niektórych ważnych spraw zarzuca się im brak określonej polityki. Podejrzywani są o niechęć słuchania własnych kompetentnych doradców, którzy doradzają im politykę trafną. Niektórych z nich podejrzywają nawet o to, że są pod działaniem pewnych odurzających wpływów, które paraliżują ich wolę i otumaniają ich umysły wówczas, gdy niezbędne są śmiałość decyzji i jasny pogląd na rzeczy".

Inn podobne oskarżeniz było sformułowane w sposób następujący: „W rozmaitym stopniu [2]) i z rozmaitemi odcieniami winy kierownicy sprzymierzeńców marudzili ze swą pracą. Głosząc, że nie pragną niczego poza dobrem ludzkości, taili na

[1]) *Daily Mail* (wydanie paryskie), 31 marca 1919 r.
[2]) *Daily Mail* (wydanie paryskie), 6 kwietnia 1919 r.

dnie duszy myśli samolubne. Rezultatem zaś to było, że stopniowo traciły w nich wiarę ich własne narody, oraz narody sprzymierzone, zaprzyjaźnione i neutralne. Skala publicznego zaufania do nich spadła do najniższego poziomu".

Na Konferencji, jak widzieliśmy, prezydent Stanów Zjednoczonych, posiadał prawo veta prawie we wszystkich sprawach, które nie dotyczyły żywotnych interesów Anglji i Francji. I często korzystał z tego prawa. W ten sposób spór o kwestję Tracji istniał nie pomiędzy Bułgarją a Grecją, ani między Grecją a Radą Najwyższą, ale między Grecją a Wilsonem. W sporze o Fiume i wybrzeże Dalmacji było to samo. Kiedy weszła na porządek dzienny kwestja Szantungu, zajął się nią Wilson; koledzy jego, choć związani obietnicą popierania Japonji, zrobili go swoim mówcą. Surowość, którą wykazywał w stosunku do niektórych mniejszych krajów, była w odwrotnym stosunku do pobłażliwości, jaką miał dla Wielkich Mocarstw. Pierwszym nie tylko kazał słuchać bez dyskusji wyroków, które były im komunikowane, ale, jak widzieliśmy, zobowiązywano je do wypełniania tych rozkazów, które mogły być wydane w przyszłości przez Radę Najwyższą w pewnych kwestjach, co do których szczegóły z natury rzeczy nie mogły być jeszcze ustalone.

By uniemożliwić wszelkie próby oporu ze strony ich rządów, oznajmiono im, że pomoc ekonomiczna Ameryki, której bardzo potrzebowały, będzie zależała od ich posłuszeństwa. Ważną jest rzeczą pamiętać, że ten argument był wypowiadany tak jasno, że przymuszał ich do formalnej zgody na politykę, której się sprzeciwiali. Pewien polityk rosyjski określił położenie temi słowami: „Jest to ilustracja jednego z naszych przysłów: „Czyj chleb jem, tego piosnkę śpiewam". Pisano, naprzykład, w lipcu o umowie grupy finansowej Morgana z syndykatem włoskim w sprawie znacznej zaliczki dla Włoch na zakupy w Ameryce żywności i surowców; miała być zawieszona, dopóki delegacja włoska nie zgodzi się na rozwiązanie kwestji Adrjatyku, w myśl propozycji Wilsona. Rosyjscy przeciwnicy bolszewików byli w podobny sposób zmuszeni do przyjęcia dogmatów i praktyk demokratycznych. Trzeba jednak mieć na względzie, że cokolwiekby można myśleć o mądrości polityki, prowadzonej przez Prezydenta w stosunku do tych narodów, pobudki, pod któremi działał, były niewątpliwie szlachetne, a celem był dobrobyt narodów, tak jak on go rozumiał. Tem bardziej należy żałować, że ani argumenty, ani przykład samowładnych delegatów nie były obliczone na to, by wywrzeć najlżejszy wpływ na myśl lub nieskrępowaną działalność ich niechętnych pupilów. Postanowienia były wykonywane machinalnie.

Z biegiem czasu, kiedy załatwiono najważniejsze sprawy Anglji, Francji i Japonji i pozostały tylko sprawy „mniejszych państw", prezydent Wilson ujawnił swą najwyższą władzę; sprawując ją ze stanowczością i nie natrafiając na opór. A więc pokój pomiędzy Włochami i Austrją był odkładany z miesiąca na miesiąc, dlatego, że on — i tylko on jeden z członków Rady Najwyższej odrzucał rozmaite projekty w tym kierunku. W szczegóły tej dysputy wchodzić nie warto; wieleby można powiedzieć o postępowaniu Wilsona z punktu widzenia Ligi Narodów, oraz z punktu widzenia Jugosłowian. Włosi utrzymywali, że ważniejsze argumenty, któremi popierał swoje żądania w ich sprawach, były osłabiane przez ustępstwa, jakie robił innym krajom. I nie można odmówić słuszności temu poglądowi.

W końcu Wilson zdecydował się na krok, który zwrócił uwagę i zaniepokoił jego przyjaciół. Wysłał notę [1]) do Turcji, ostrzegając ją, że jeżeli nie ustaną rzezie Ormian, cofnie dwunasty z czternastu swych punktów, który uznaje panowanie Turków nad terytorjami niezaprzeczenie tureckiemi. Intencje były dobre, lecz skutki wręcz przeciwne temu, co zamierzał Prezydent. Nie poradził się Konferencji w sprawie doniosłej zmiany, którą miał sprowadzić, dotyczącej podstaw nowego ustroju. Było to z punktu widzenia Konferencji ważną decyzją, którą można było powziąć tylko z zezwolenia Rady Najwyższej. Nawet, jako pogróżka, nie miało to wartości, z chwilą, gdy nie stała za tem świadoma wola ciała, z którem Prezydent uznał za zbyteczne się naradzać. Gdy się to działo, władze angielskie organizowały właśnie żandarmerję dla ziem tureckich, o których mowa, i zajęte były tem z wiedzą i zezwoleniem Rady Najwyższej. Oświadczenie Wilsona mogło więc było być uważane — i było uważane istotnie — za akt władzy wyższej, niż Rada [2]). Turcy, którzy są bystrymi obserwatorami, powinni byli wyprowadzić z tych rozbieżnych kroków oczywisty wniosek, dotyczący stopnia harmonji, panującej pomiędzy sprzymierzonemi i zaprzyjaźnionemi mocarstwami.

Clemenceau miał w tej sprawie rozmowę z p. Polk, który wyjaśnił, że nota była nie formalna, dana ustnie i wyrażała opinję tylko jednego narodu w związku z położeniem Ormian. To wyjaśnienie jednakże, przyjęte przez rząd francuski, nie uspokoiło opinji publicznej, ani we Francji, ani gdzieindziej. Francuzów zastanowiła jeszcze inna strona tego despotycznego użycia najwyższej władzy.

[1]) Pomiędzy 17-ym a 20 sierpnia 1919 r. Została ona wręczona przez admirała Bristol, członka amerykańskiego Inkwizycyjnej Misji aljantów w Smyrnie.

[2]) *L'Echo de Paris*, 28 sierpnia 1919 r., artykuł Pertinax'a.

„Prezydent Wilson", pisał wybitny publicysta francuski, „występuje w roli męża, który może spoić lub rozwiązać Cesarstwo Tureckie, i to w chwili, gdy senat wydaje się przeciwnym przyjęciu mandatu europejskiego czy azjatyckiego, w chwili gdy p. Lansing oświadcza wobec Kongresu, że rząd, którego jest członkiem, nie życzy sobie przyjąć żadnego mandatu. Czyż to nie jest oczywistem, że jeżeli p. Wilson decyduje, jak władca najwyższy, o losie Turcji, winien jednocześnie podjąć się pewnych obowiązków? Często wyrażaliśmy żal, że aljanci nie prowadzą polityki wspólnej. Ale czy każdy z nich z osobna hołduje przynajmniej polityce własnej? Czy nie postępuje tylko od przypadku, ulegając wpływom generała, konsula czy misjonarza?" [1]).

Wkrótce stało się jasnem nawet dla najmniej uświadomionych, że kiedykolwiek Rada Najwyższa, idąc za swymi kierownikami i pracując według ich zasad, ukończy swe prace, węzły pomiędzy związkami politycznemi Europy będą równie luźne, jak za dawnych dni tajnej dyplomacji, tajnych umów i intryg, o ileby same narody nie postarały się w międzyczasie o ich wzmocnienie i utrwalenie. Byłoby jednak wysoką niesprawiedliwością wyłącznie na Wilsona zrzucać odpowiedzialność za tak nieodpowiedni koniec rozgłośnego początku. Prasa wielu krajów oskarżała go o ukrywanie ambicji osobistej pod ponętną osłoną bezinteresowności i altruizmu, podobnie jak o cudzoziemskich jego kolegach mówiono, że boją się „choroby utraconej władzy". Lecz oskarżenia tego rodzaju przechodzą granice dozwolonej krytyki. Pobudki rzadko są dostrzegalne, ani też nie dadzą się często wyprowadzić ze świadomego postępowania. Gdyby naprzykład z rozległych zdobyczy terytorjalnych i jeszcze rozleglejszych żądań rozmaitych państw, spierających się na Konferencji, wnioskować o pobudkach, które skłoniły je do rozpoczęcia wojny, wnioski — wyjąwszy naród amekański, którego bezinteresowność nie ulega wątpliwości — byłyby naprawdę niezmiernie smutne. Prezydent Stanów Zjednoczonych miał wielką zasługę wobec narodów „stawiając im przed oczy ideał; samo oświadczenie, że pragnie dla niego pracować było cenną choć niekompletną zachętą dla ludzi dobrej woli. Zadanie było jednak tak olbrzymie, że nie mógł zmierzyć jego wielkości, rozróżnić niedoskonałości narzędzi, ani ocenić trafnie siły przeszkód przed wzięciem świata na świadka, że tego zadania dokona. Nawet przy serdecznym współudziale kolegów i zastosowaniu odpowiedniej metody mógł z trudnością zrobić więcej, niż przygotować grunt, może położyć fundament budowy, o której marzył. Ale, mając przypadkowych partne-

[1]) *Echo de Paris*, 26 sierpnia 1919 r. Artykuł Pertinax'a.

rów i przeciwników, których zwrócił przeciwko sobie we własnym kraju, nie mógł się ustrzec niepowodzenia. Cele, do których dążyła większość rządów europejskich, były nie do pogodzenia z jego własnym celem. Bezwątpienia zależało im wszystkim na dobru ogólnem, ale ich miłość dobra była tak ogólna i tak rozcieńczona przywiązaniem do innych dóbr, że ją trudno było dostrzec. Nie łatwo jednak oszczędzić Wilsonowi zarzutu małoduszności. Gdyby jego wiara w głoszone przezeń zasady kierownictwa narodami była równie mocna, jak jego wymowne słowa, odrzuciłby z pogardą propozycję zastąpienia przebudowy świata pięknie brzmiącemi frazesami. I jego odezwa do narodów możeby została wysłuchana; sygnałowi, zapalonemu w Paryżu. odpowiedzianoby może prawie w każdej stolicy świata. Jednej tylko obietnicy dopełnił święcie: nie wrócił do Waszyngtonu bez Statutu papierowego. Cóż więcej? Może to będzie parodoksem, gdy powiemy, że jeżeli wojna była prowadzona w tym celu, by uniemożliwić wojny, to pokój był zrobiony na to, by uniemożliwić pokój.

ROZDZIAŁ VI.

MNIEJSZE PAŃSTWA.

ZANIM mężowie stanu anglosascy wzięli się do reorganizacji zawiłego skłębienia interesów, sił, polityk, narodowości, praw i pretensyj, które zajmowały świat polityczno-społeczny r. 1919, oczekiwano od nich, że będą się obchodzili jednakowo z narodami sprzymierzonemi i zaprzyjaźnionemi, bez wyróżnień czy uprzedzeń, jak z członkami jednej rodziny. Lecz ta nadzieja zawiodła i nie można było być pewnym, że się urzeczywistni. Z rozmaitych dyskusyj i postanowień, o których mamy wiadomości, pewna liczba delegatów wyciągnęła wniosek, że Francja była przeznaczona do zajęcia kierowniczego stanowiska w Europie kontynentalnej pod ochroną państw anglo-saskich; że stan uprzywilejowany osiągnęli Żydzi w Europie Wschodniej i w Palestynie, gdy tymczasem inne państwa miały być zależne od tych czterech potęg. Pogląd ten nie był pozbawiony słuszności i można go było częściowo poprzeć faktami. Główni delegaci zgadzali się na utworzenie tej brutalnej hierarchji państw, choć każdy z innych pobudek. Był tylko jeden głos sprzeciwu—głos Francji, która występowała przeciwko różnym ograniczeniom powiększenia Polski i oprócz tego przeciwko paragrafowi, który brał Żydów pod bezpośrednią opiekę Ligi Narodów i nadawał im przywileje, z jakich nie miały korzystać te narody, wśród których Żydzi mieszkają. Bułgarja tylko znalazła się w wyjątkowem położeniu: była szczęśliwszą od innych państw, mając po swojej stronie delegację amerykańską i Wilsona, jako głównego doradcę i obrońcę jej pretensyj do wyjścia na morze Egejskie.

Na Konferencji z każdem państwem obchodzono się stosownie do jego stanowiska. Zupełnie ponad nowem prawem stali, jak widzieliśmy, tylko twórcy tego prawa Anglo-sasi. Do innych, nie wyłączając Francuzów, stosowano doktrynę Wilsona w stopniu, odpowiadającym głównemu celowi jej autora, mianowicie: wypracowaniu orędzia, które mógłby zabrać z sobą do Stanów Zjednoczonych, jako wielką ustawę świata.

W tych granicach Prezydent pragnął gorliwie przeprowadzać czternaście punktów, ale nie więcej. W ten sposób, mógłby może nalegać na to, żeby W. Brytanja wyrzekła się panowania nad morzami albo zgodziła się na radykalną zmianę położenia międzynarodowego Egiptu i Irlandji, i na wiele innych rzeczy, o ile te zmiany byłyby do pogodzenia z jego własnym specjalnym celem. Lecz to nie miało miejsca. Zdawało się, że chciał zbadać grunt, oznajmiając swoją decyzję poruszenia kwestji wolności mórz; lecz kiedy rząd angielski zakomunikował mu, że nie dopuści nawet do wzmianki o tem, ustąpił odrazu i prawdopodobnie, wyciągając jasny wniosek z tej stanowczej odmowy, nie poruszał też kwestji Irlandzkiej, Egipskiej i innych, które w ten sposób zostały wyłączone z kategorji otwartych czyli międzynarodowych zagadnień. Ale z drugiej wszakże strony, natarczywe żądanie Francji co do granic Renu spotkało się ze stanowczą odmową.

Reformator społeczny byłby zgorszony, widząc w jak jednostronny i nieugięty sposób ograniczono stosowanie zasad ogłoszonych za uniwersalne, gdy szło o narody drugorzędne.

Sprawa Rosji obfituje w przykłady tego despotycznego, niesprawiedliwego i niepolitycznego gwałtu. Rosjanie byli naszymi sprzymierzeńcami. Walczyli bohatersko w czasach, kiedy naród Stanów Zjednoczonych, według słów ich Prezydenta, był „zbyt dumny, by walczyć". Przyczynili się w znacznej mierze do zwycięstwa Aljantów i z tego powodu mieli prawo do przywilejów i odszkodowania, z których korzystały mocarstwa zachodnie. W każdym razie nie powinni byli być stawiani na tym samym poziomie, co nasi wrogowie, i zamiast być wynagrodzeni, skazani zostali na karę. Ten ostatni jednak pogląd na ich zasługi nie był zupełnie nowy. Wkrótce po ich odstępstwie, kiedy Aljantów ogarnęło silne przygnębienie, w pewnych kołach narodów sprzymierzonych zjawił się prąd, zmierzający do zawarcia pokoju na podstawie kompensaty Niemiec przez ustąpienie terytorjów rosyjskich. Ten projekt był popierany przez niejednego męża stanu i upadł wówczas, gdy wystąpiły na scenę nowe czynniki, które go czyniły zbędnym. Na Konferencji Paryskiej ślady tej koncepcji jeszcze się ujawniały w wielu sprawach, które bądź załatwiono, bądź zaniechano. Rosja była otoczona chmurami. Nie uznawano jej za wroga i nie okazywano względów, któremi się cieszyli aljanci i neutralni. Jej całość nie obchodziła dawnych jej przyjaciół, gdy tymczasem prawie każdy naród w Państwie Rosyjskiem, który żądał niepodległości, chętnie był słuchany przez Radę Najwyższą, a niektóre z nich, zanim nawet wypowiedziały swe żądania, zachę-

[1]) W lutym r. 1919.

cano, żeby nie traciły czasu i domagały się odłączenia od Rosji. W jednym wypadku wydano wielką sumę pieniędzy i wysłano misję, by „stworzyć niezależne Państwo Ukraińskie". Tak niecierpliwie pragnęły narody sprzymierzone zastąpić nowym utraconego na Wschodzie sprzymierzeńca rosyjskiego, i wielka była ich konsternacja, gdy protegowani wzięli od nich pieniądze, a weszli w porozumienie z Niemcami.

Zdezorganizowana Rosja była pod pewnemi względami pożądaną gratką dla organizatorów świata w Paryżu. Dla zwolenników przymierzy, równowagi terytorjalnej i dawnego porządku rzeczy łatwym była ośrodkiem do wynajdywania nowych wspólników na Wschodzie przez wyzwalanie jej narodów w imię prawa i sprawiedliwości. Dla kapitalistów, którzy biadali nad stratą swoich miljardów, była też bogatem źródłem, z którego można było sobie wynagrodzić część strat [1]). Dla gorliwych zwolenników Ligi Narodów była powolnem ciałem, na którem, bez używania środków znieczulających, można było wykonywać wszelkie operacje, od amputacji do trepanacji. Rozmaite państwa, graniczące z Rosją, były poprostu oddzielane, bez uprzedzenia, nie mówiąc już o zgodzie pacjenta, i bez uciekania się do plebiscytów. Finlandja, Estonja, Łotwa, Gruzja zostały wyodrębnione z chaotycznego państwa słowiańskiego odrazu, na zasadzie doktryny głoszonej przez prezydenta Wilsona, że każdy naród może wybierać własny sposób życia i pracy. Każdy naród? Oczywiście, że nie, mówili bezstronni obserwatorzy. Egipcjanie, Irlandczycy, Austrjacy, Persowie—jeśli wymienimy tylko te cztery zpośród wielu, jako pozbawione korzystania z tych praw niezaprzeczonych. Może słusznie? W takim razie należy zmienić zasadę. Dlaczego taka różnica w traktowaniu? pytano. Czy nie dlatego, że sędzia najwyższy wie dobrze, że W. Brytanja nie dopuści do dyskusji nad kwestją egipską i irlandzką i że Francja, chcąc być zabezpieczoną, musi przeszkodzić Niemcom austrjackim połączyć się z ich braćmi z Rzeszy? Ale jeżeli Anglja i Francja mają prawa veta w sprawach, które grożą ich całości albo wymagają ofiary, dlaczego Rosja jest pozbawiona tego prawa? Jeżeli zasada ma wogóle jakąkolwiek wartość, zastosowanie jej powinno być ogólne. Poza sprawiedliwym, powszechnym rozdziałem ofiar może istnieć tylko przemoc, użyta przez rząd despotyczny. I do tej przemocy uciekała się Rada Najwyższa. Jedyne wypadki, w których poważnie dopominała się o prawa narodów uciskanych czy niezadowolonych, wbrew woli narodu panującego, były te, w których ów naród nie miał siły się opierać. Jeżeli zaś w jakimkolwiek

[1]) Francuski minister spraw zagranicznych p. Pichon uznał niepodległość Estonji, o ile Estonja przejmie część długów rosyjskich.

wypadku interesy Anglji lub Francji wydawały się zagrożone przez którykolwiek z czternastu punktów, Wilson odstępował od jego wykonania. W ten sposób stało się, że Rosję postawiono na tej samej płaszczyznie, co Niemcy, i potraktowano w podobny, a pod niektóremi względami nawet w bardziej surowy sposób. Niemcom pozwolono przynajmniej protestować przeciwko narzuconym im warunkom i wykazywać błędy w projektowanych zamierzeniach, i wywody ich osiągały czasem swój cel. Inaczej było z Rosjanami. Nie radzono się ich nigdy. Kiedy zaś przedstawiciele ich w Paryżu skromnie zwrócili uwagę, że wszelkie zmiany, uchwalone przez Wielkie Mocarstwa podczas upadku politycznego kraju, muszą być uważane za prowizoryczne i zdecydowane ostatecznie zostaną dopiero przez przyszłą konstytuantę: żądanie ich pominięto milczeniem.

Wątpliwości Wilsona, czy narody, które chciał wyzwolić, stoją na odpowiednim poziomie, by mogły same się rządzić, są ciekawe ze względów psychologicznych raczej, niż politycznych. Jak to stwierdziliśmy na innem miejscu, pierwszym jego impulsem było wyznaczenie mandatarjuszów, którzyby rządzili terytorjami oddzielonemi od Rosji. System mandatów pod kierownictwem wszechwładnej Ligi był, jak mówią, jego własnym pomysłem. Później doszedł do przekonania, że można zaniechać tego systemu w niektórych państwach, graniczących z Rosją, gdyż wkrótce potem dano im obietnicę niepodległości i pomocy przeciwko przyszłym inwazjom zmartwychwstałej Rosji. W związku z tem warto powtórzyć scenę, która się rozegrała przy stole obrad pokojowych, zanim został opracowany system rządzenia niektóremi ziemiami za pomocą pośredników. Na jednem z posiedzeń delegaci zajmowali się określeniem, które kraje mają być w ten sposób rządzone [1]) i zgodzono się, że należy zachować system mandatów dla kolonij niemieckich i niektórych prowincyj Cesarstwa Tureckiego. Podczas dyskusji, Wilson użył nagle wyrażenia: „kolonje niemieckie, terytorja Cesarstwa Tureckiego i inne terytorja". Jeden z delegatów szybko rzucił pytanie: „Jakie inne?". Na co Prezydent bez wahania odpowiedział: „dawnego Cesarstwa Rosyjskiego", i dodał dla wytłumaczenia: „otrzymujemy nieustannie petycje od ludów, które dotąd żyły pod berłem carów — mieszkańców Kaukazu, Azji Środkowej i innych, które nie chcą być dłużej pod rządami Rosjan, a jednak są niezdolne do stworzenia własnych państw niezależnych. Należy zaspokoić żądania tych narodów".

Na to delegat czeski dr. Kramarz zawołał z oburzeniem: „Rosja? Krajać Rosję? A całość jej? Czy ją trzeba poświęcić?"

[1]) W pierwszem brzmieniu Statutu mówi się o tym przedmiocie w artykule XIX; w późniejszej poprawionej osnowie w artykule XXI.

Słowa te jednakże zginęły w przestrzeni bez wywołania odpowiedzi. „Czy nie było tam nikogo", pytał później pewien Rosjanin, „ktoby przypomniał wielkim mocarstwom ich słuszne oburzenie na Niemcy, po ogłoszeniu traktatu Brzeskiego?"

W stosunku do Włoch, które nie były traktowane, jak wróg, ale zaliczone do kategorji państw mniejszych, zachowanie się prezydenta Wilsona było wyjątkowo stanowcze i dalekie od kompromisów. W sprawie Fiume i Dalmacji nie chciał ustąpić ani na włos. Napróżno delegacja włoska tłumaczyła, apelowała i ograniczała swe żądania. Wilson był nieubłagany. Trzeba przyznać, że w inny sposób nie osiągnąłby niczego, co byłoby podobieństwem Ligi. Gdyby słabe państwa nie zostały zmuszone do ofiar dla wielkiego celu, który był jego własnym, wróciłby do Waszyngtonu, jako bojownik przegranej sprawy. Z drugiej strony, nie można zaprzeczyć, że jego teza nie była pozbawiona uzasadnień. Niezdecydowane położenie trwało całe miesiące, dopóki nie upadł gabinet włoski, a narodowi nie uprzykrzyły się kwestje adrjatyckie.

Polska była również tym krajem, który musiał ugiąć się przed wolą anglo-saską, wygłaszaną w tym razie głównie przez Lloyd-George'a, nie bez pewnego poparcia jednak ze strony jego kolegi z Waszyngtonu. Dla historyka i badacza politycznego ważnym jest fakt, że ponieważ premjer angielski nie miał żadnych głębszych, ani oryginalnych poglądów na podział czy połączenie ziem wschodnio-europejskich, inicjatywa potężnej i skutecznej opozycji przeciwko przyłączeniu Gdańska do Polski była słusznie lub nie przypisywana nie jemu, ale temu, co się delikatnie nazywa „finansami międzynarodowemi", ukrywającemi się w cieniu, których interesy w Polsce były poważne, a wpływy w Radzie Najwyższej, choć mniej widoczne, wydawały się rozległe. Tak samo wytłumaczoną została stanowcza decyzja Lloyd George'a, żeby nie oddać Polsce Górnego Śląska bez plebiscytu. Uważał on, że choć mieszkańcy Śląska są Polakami i jest ich dwóch na jednego Niemca, jednakże można przypuszczać, że będą chcieli połączyć swój los z losem Niemiec. Kiedy się porówna ten szacunek dla gustu mieszkańców Górnego Śląska z krótką odmową, daną przez tych samych ludzi Austrjakom, pragnącym gorąco połączyć się z Niemcami, lub z ustanowieniem plebiscytu w Fiume i w Cieszynie — nie można wyjść ze zdziwienia. Życzeniu premjera angielskiego sprzeciwiło się urzędowe zgromadzenie rzeczoznawców, wyznaczonych dla zbadania sprawy. Członkowie jego nie mieli żadnych wątpliwości. Stwierdzili, że ziemia z prawa należała do Polski, że znaczna większość ludności była bezsprzecznie polską, i przyszła do wniosku, że należy ją w najkrótszym czasie oddać rządowi polskiemu. Potem skład komisji został zmienio-

ny i na miejsce dawnych wybrano nowych członków [1]). Lecz nie dosyć na tem. Premjer angielski, pomimo że natknął się na tak silną opozycję swoich kolegów, odniósł zwycięstwo tylko po zaciętej walce i dzięki wytrwałemu uporowi. Delegat angielski żądał, by w ciągu dwóch tygodni po ratyfikacji Traktatu Pokojowego wojska niemieckie i polskie opuściły okręgi, gdzie miał się odbyć plebiscyt, żeby rady robotnicze zostały rozwiązane i Liga narodów przejęła zarząd okręgu i umożliwiła ludności wyrażenie swojej woli. Ale Liga Narodów nie istniała i nie mogła być jeszcze przez długi czas zorganizowana. Zadecydowano więc [2]), że należy niezwłocznie utworzyć instytucję, mogącą zastąpić przez pewien czas Ligę i Rada Najwyższa postanowiła, że wojska sprzymierzone powinny zająć okręgi plebiscytowe. Była to pierwsza nagroda za szczególne upodobanie premjera angielskiego do plebiscytów, które komisje rzeczoznawców odrzuciły jako zbędne, a które, jak dowiodły wypadki, były szkodliwe.

Tymczasem agenci bolszewików, a jak twierdzą niektórzy — Niemców, wzięli się do podjudzania ludności za pomocą agitacji i terroru, dopóki nie zaczęła się burzyć. Tysiące robotników usłuchały podniecających głosów, porzuciły narzędzia pracy i rozpoczęły strejk. W ten sposób kopalnie górnośląskie, których produkcja spadła już od listopada do 50%, zaprzestały wogóle produkcji. Rada Najwyższa, zgnębiona tym faktem, zwróciła się o pomoc do armji sprzymierzonych. Kopalnie śląskie dostarczały jedną trzecią całej produkcji węgla w Niemczech; Francja i Włochy spodziewały się, że Niemcy pokryją część ich zapotrzebowania opału. Prasa francuska zapytywała ustawicznie, czy nie byłoby taniej, bezpieczniej i skuteczniej wyrzec się plebiscytu i odrazu oprzeć się na armji polskiej [3]). Jakkolwiek idealne mogły być pobudki Lloyd-George'a, bezpośrednim skutkiem jego upierania się przy plebiscycie było to, że dawny sprzedawca gazet imieniem Hoersing, by nie dopuścić do oderwania Górnego Śląska od Niemiec, rozpoczął dobrze zorganizowaną agitację i wywołał ogólne rozruchy w górniczych okręgach Śląska i Dąbrowy. Kiedy strejk został ogłoszony, robotnicy-Polacy co do jednego, odrzucili wszelkie namowy, żeby oddali swoje sprawy w ręce sądów rozjemczych, gdyż kierownikami tych sądów wyłącznie byli Niemcy. Następstwem tak natchnionej interwencji Lloyd-George'a było, według słów bezstronnego obserwatora, „podniesienie berła głodu", zimna i bolszewizmu w Europie Wschodniej" przed zbliżającą się zi-

[1]) *L'Echo de Paris*, 19 sierpnia 1919 r.
[2]) W marcu 1919 r.
[3]) *L'Echo de Paris*, 19 sierpnia 1919 r.

mą—cena zbyt wielka za pedantyczne upieranie się przy literze bezcelowego prawa w chwili, gdy pozwolono się ulotnić duchowi podstawowych zasad.

Rumunja była strofowana i traktowana surowo w zrzeszeniu narodów, zanim zniechęceni jej delegaci nie opuścili Konferencji i nie rozpoczęli polityki na własną rękę, ignorując Wielkie Mocarstwa. Wtedy Rada Najwyższa zmieniła ton i porzuciła stanowisko, zajęte w sprawie rozejmu z Węgrami, aby wkrótce potem zająć je ponownie [1]). Radość państw mniejszych, wywołana przez ten wybuch rewolucji, była złym prognostykiem. Niechęć ich do Rady Najwyższej już dawno przedtem stała się uczuciem bardzo wyraźnem i każdy sposób był dobry do poderwania władzy samozwańczych wielkorządców świata.

Konkretnym rezultatem tego klecenia i łataniny mogłaby być tylko tandetna budowla, wzniesiona bez żadnego liczenia się z zasadami budownictwa politycznego. Nie były dla niej wzorami kształtowania ani czternaście punktów, ani zasady równowagi politycznej i terytorjalnej. Była to jedynie nieudana próba zrobienia syntezy ze wspomnianych dwóch pierwiastków. Stworzona siła mogłaby istnieć tylko przy pomocy siły; lecz jeżeli wierzyć przewidywaniom, prawdopodobniejsze byłoby przypuszczenie, że zostanie zniszczona siłą. Pewien organ prasy amerykańskiej pisał w sierpniu: „Rada Pięciu skarży się, że nikt obecnie nie chce uznać Ligi Narodów. Nawet małe narody kupują materjały wojenne, zapominając o tem, że już nie ma być wojen. Teraz, kiedy Liga Narodów ma im zapobiec, Szwecja kupuje wielkie zapasy w Niemczech, Hiszpanja wysyła komisję do Paryża, by pertraktować o nabycie części materjałów wojennych francuskich" [2]).

Belgja była również traktowana niedosyć względnie. Pochwały, któremi obsypywano waleczną jej ludność podczas wojny, wydawały się jakby wystarczającą nagrodą za ofiary, które poniosła, i straty, na które ją narażono. Aż do maja nie robiono wcale przygotowań dyplomatycznych do rewizji umów z 1839 r., tak ważnych dla rozwoju ekonomicznego kraju, a wśród paragrafów Traktatu sprawa Belgji była poruszona tak powierzchownie i niewystarczająco, że prasa bezstronna musiała krytykować ostro brak pamięci i egoizm Rady Najwyższej. „Ta odrobina wiadomości, która dotyczy postanowień, obchodzących Belgję, pisał pewien dziennik, wywołała nie tylko gorzkie roz-

[1]) Rozejm zawarty z Węgrami został pogwałcony przez nich i stracił swe znaczenie. Rumuni, zająwszy kraj, zażądali nowego rozejmu i przedłożyli warunki. Rada Najwyższa z początku wahała się, wreszcie zrzekła się dyktowania warunków. Ale później zmieniła stanowisko.

[2]) *New York Herald*, 20 sierpnia 1919 r. (wydanie paryskie).

czarowanie w Belgji, lecz i oburzenie powszechne..." Aljanci zdecydowali się odmówić satysfakcji moralnej Belgji (wybrali Genewę, jako stolicę Ligi Narodów); można więc oczekiwać, że nie dadzą jej odszkodowań materjalnych. I te oczekiwania się sprawdzają. Prowincja Limburska, przyłączona do Holandji w roku 1839, prowincja, która w r. 1918 dała wrogowi bezprawne schronienie, co było wyraźnem naruszeniem neutralności Holandji, ma nie być zwrócona Belgji. Nawet niezmiernie ważne dla bezpieczeństwa i dobrobytu Belgji prawo swobodnej żeglugi po Skaldzie, pomiędzy Antwerpją a morzem, jeszcze nie jest przyznane. Odmówiono jej też surowców, niezbędnych do wskrzeszenia przemysłu belgijskiego, natomiast aljanci gotowi są zalać kraj swemi wyrobami przemysłowemi [1]).

A jednak żądania Belgji były nader skromne [2]). Były sformułowane, nie jako nagroda za bohaterską obronę cywilizacji, lecz jako zwykłe wnioski, wypływające z uznanych przez przywódców Konferencji zasad prawa, narodowości, gwarancyj prawnych i potrzeb ekonomicznych. Wszystkie żądania były słuszne i proste, zgadzały się też z przyjętemi zasadami, wydawały się zaś niezbędne dla trwałości nowej budowy świata, którą mężowie stanu usiłowali wznieść na ruinach starej. Fatalne położenie Belgji polityczne i terytorjalne najlepiej ujawniało złe wady dawnego systemu równowagi, napiętnowanego przez prezydenta Wilsona: rozćwiartowanie kraju, narzucony podział ludności między obcych, oddanie pojedynczych fragmentów etnicznych obcym państwom i dynastjom, kontrola dróg wodnych w rękach konkurentów handlowych, położenie miast i okręgów, które zamiast być źródłem dobrobytu narodowego i centrami kultury, są martwemi punktami, które paraliżują wszelkie wysiłki i przeszkadzają rozwojowi kraju. Jednem słowem, Belgja nie posiadała samoistnej egzystencji politycznej, nie była jednostką organiczną w związku narodów, tylko małym czynnikiem w mechanizmie równowagi europejskiej. Zrujnowana przez wojnę Belgja w dotkliwy sposób była obrażana przez Konferencję Pokojową. Skarżyła się na dwie otwarte rany, zatruwające jej istnienie, przeszkadzające jej rozwojowi ekonomicznemu i uniemożliwiające jej samoobronę: otwarty obszar Limburga na wschodzie i blokadę Skaldy na zachodzie. Wielki zakątek narodowy Antwerpja, odcięta od morza, niedostępna dla pomocy w razie wojny, z jednej strony, i Limburg, otwierający armjom niemieckim drogę przez Belgję środkową z drugiej strony — były to dwa niebezpie-

[1]) *New York Herald*, 4 maja 1919 r. (wydanie paryskie).
[2]) Omawiałem żądania Belgji w serji specjalnych artykułów, drukowanych w *London Daily Telegraph i w Philadelphia Public Ledder* w miesiącach styczniu, lutym i marcu 1919 r.

czeństwa, które miano nadzieję usunąć. Wypadki dowiodły, w jak wielkim stopniu są one niebezpieczne.

Antwerpja padła w październiku 1914 r., ponieważ Holandja zamknęła Skaldę i zabroniła wejścia statkom wojennym i transportom, a w listopadzie 1918 r., armja niemiecka, licząca przeszło 700,000 ludzi uniknęła pościgów aljantów, przechodząc przez Limburg holenderski, przy czem przewiozła znaczną ilość materjałów wojennych i zdobyczy. Pod względem militarnym Belgja jest narażona na śmiertelne niebezpieczeństwa na tak długo, jak długo uznawane będą traktaty, które ustaliły ten zgubny podział kraju.

Pod względem ekonomicznym położenie jest również niekorzystne, szczególniej Skaldy. Dla Holandji rzeka ta jest właściwie bezużyteczna, gdyż jedynym zyskiem, jaki dać może, jest przeszkodzenie rozwojowi i wzbogaceniu się Antwerpji na korzyść jej rywala Rotterdamu. Belgijczycy żądali tylko całości panowania nad narodową rzeką z prawem wykonania robót niezbędnych dla jej regulacji. Takie samo żądanie zgłoszono co do kanału Terneuzen, który łączy miasto Gandawę ze Skaldą, oraz zniesienia przeszkód swobodnej komunikacji Belgji z basenami Mozy i Renu. Z każdego punktu widzenia, nie wyłączając prawa międzynarodowego, żądania były skromne i uzasadnione. Ale Rada Najwyższa nie miała czasu na zajmowanie się takiemi podrzędnemi kwestjami i—jak wiele innych ważniejszych, zostały odroczone.

Delegacja Belgijska nie żądała zmniejszenia terytorjum Holandji. Przeciwnie, powitałaby z zadowoleniem powiększenie go przez dodanie ziem zamieszkałych przez Holendrów pod panowaniem niemieckiem [1]). Ale Holandja wahała się, jak i Danja, co do trzeciego pasa Szlezwigu, z obawy narażenia się Niemcom. I Rada Najwyższa zgodziła się na odmowę. Kiedy omawiano sprawy, dotyczące krajów nadreńskich, i godzono w interesy Belgji, nie radzono się nigdy jej delegatów.

Na Konferencji stale byli ignorowani. Kiedy wybierano stolicę Ligi Narodów, nadzieje ich, że honor ten spadnie na Bruksellę, zostały rozwiane przez samego prezydenta Wilsona. Jeden z delegatów amerykańskich objaśniał swego zagranicznego kolegę, „że stolica Ligi musi być położona w spokojnym kraju, musi mieć stateczną osiadłą ludność i dobry klimat". „Dobry klimat?" zapytał kontynentalny mąż stanu. „A więc dlaczego nie wybrać Monte Carlo?" Decyzja na korzyść Genewy została przez kurjera wysłana Szwajcarji przez prezydenta Wilsona. Główne powody dowodzące, że względy religijne odgrywały w tej decyzji Konferencji większą rolę, niż się zdawa-

[1]) We Fryzji w Ghelderlandzie.

ło, były następujące. W Genewie narodził się duch wolności religijnej i politycznej, stamtąd się przedostał do różnych narodów świata. Prezbiterjanie szkoccy i purytanie angielscy bliżsi są Jana Kalwina, niż Marcina Lutra, i dlatego Genewa jest jakby rodzicielką Nowej Anglji. Również Rousseau - prawe dziecko Kalwina, był autorem amerykańskiej deklaracji niepodległości. Wreszcie jeden z pierwszych pacyfistów i rzeczników międzynarodowego pośrednictwa urodził się w Genewie. John Knox siedział w ciągu dwóch lat u stóp Kalwina. Dla tych przyczyn rewolucja purytańska, rewolucja francuska i rewolucja amerykańska mają swe źródło w Genewie.

Takie względy skłoniły prezydenta Wilsona do odrzucenia Brukselli. Napróżno prosili i tłumaczyli Belgijczycy, że gdyby Konferencja głosowała za Londynem, Waszyngtonem lub Paryżem, zgodziliby się na tę decyzję z uznaniem, ale w szeregu państw mniejszych ich prawa są najbardziej uzasadnione i Amerykanom, którzy uważali, że góry i jeziora Szwajcarji wolne od nienawistnych wspomnień wojny, są odpowiedniejszem otoczeniem dla stolicy Ligi Pokoju, niż Bruksella, gdzie jeszcze długo będą widoczne ślady zawziętej walki, odpowiadali, że mogą jedynie żałować, iż opór stawiany przez Belgję bezprawnemu najeźdźcy, może się przyczynić do pozbawienia jej tego zaszczytnego prawa.

Idźmy dalej. Kiedy wkrótce potem Rada Związkowa w Bernie zachęcała [1]) naród do przystąpienia do Ligi, która gwarantuje Szwajcarji neutralność [2]), powstała wymowna dyskusja. Wyjaśniło się z niej, że ponieważ Liga zobowiązuje wszystkie należące do niej państwa do pomocy w przymuszaniu opornych państw-członków do posłuszeństwa jej postanowieniom, więc i Szwajcarja byłaby zmuszona wystąpić czynnie w walce pomiędzy Ligą a buntującem się państwem. Wprawdzie Szwajcarja byłaby zwolniona od wystąpień wojennych, ale musiałaby popierać ekonomiczne środki walki i tem samem wyrzec się swej neutralności. Naród oporny uznałby ten sposób postępowania za krok nieprzyjacielski i wyciągnąłby z niego należyte konsekwencje. Ponieważ następnie Szwajcarja jest zwolniona od współdziałania wojennego, Liga nie mogłaby ulokować głównej kwatery swojej komendy wojskowej w jej stolicy Genewie, gdyż to byłoby pogwałceniem neutralności szwajcarskiej; ale gdyby to nastapiło, Szwajcarja musiałaby przystąpić do samoobrony, co sprzeciwiałoby się poprzedniej uchwale.

Belgijczycy byli zgnębieni lekceważącem traktowaniem i niechętnem stanowiskiem Rady Najwyższej, podrażnieni arbi-

[1]) W sierpniu 1919 r.
[2]) Na zasadzie 21-go artykułu Statutu i 435-go artykułu Traktatu

tralnością jej wyroków i dowolnością, z jaką stosowała zasady, głoszone przez nią za nienaruszalne. Naprzykład, zanim oddano Belgji maleńkie kantony Eupen i Malmedy, Wilson nalegał na konieczność upewnienia się o woli ludności za pomocą plebiscytu. Sam w sobie sposób był racjonalny, ale nie wytrzymywał krytyki w zestawieniu z Alzacją i Lotaryngją, które zostały oddane Francji bez żadnej podobnej próby. W Fiume również wola mieszkańców nic nie znaczyła, gdyż Wilson nie chciał się ich radzić. Dalej Austrja, o której wiedziano, że pragnie sojuszu z Niemcami, była stale przymuszana do zgubnej dla niej izolacji. „Jakże w świetle tych sprzecznych poglądów przedstawia się właściwe znaczenie zasady samostanowienia?" pytali Belgijczycy. Jedyną odpowiedzią, którą otrzymali było, że p. Wilson miał słuszność, gdy mówił swym rodakom, że zasady jego wymagają tłumaczenia, a ponieważ był jedynym powołanym do tego komentatorem, obecność jego w Europie była niezbędna.

W sprawach pieniężnych również trudno uwolnić głównych delegatów od zarzutu czegoś bardzo zbliżonego do skąpstwa w stosunku do kraju, który ich ojczyzny uratował od katastrofy. Do maja r. 1921 dwa i pół miljarda franków były największą sumą, przyznaną Belgji przez Radę Najwyższą, chociaż do odbudowania zniszczonego kraju, do czego Wielkie Mocarstwa dobrowolnie się zobowiązały, suma powyższa została uznana przez rzeczoznawców za zupełnie niewystarczającą. Inne trudności finansowe były narazie pomijane. Dalej zadecydowano, że Niemcy muszą oddać swoje kolonje afrykańskie wielkim mocarstwom; jednak Belgja, która się przyczyniła do zawojowania owych kolonij, nie miała należeć do ich grona.

Podrażniona tą niesprawiedliwością, delegacja belgijska po naradzie z p. Renkin'em, do którego opinji w tych kwestjach przywiązywano szczególną wagę, postanowiła wystąpić stanowczo i odmówić podpisania Traktatu, o ile nie zostaną uwzględnione przynajmniej niektóre skromne finansowe, ekonomiczne i kolonjalne pretensje, jakie powinny być załatwione odrazu. I Rada Najwyższa, nie chcąc być oskarżoną przed światem o niesprawiedliwy lub nieszlachetny stosunek do Belgji, ustąpiła wreszcie, pozostawiając jednak wspomnienie głębokie i nieprzemijające... Przewaga głównych mocarstw nad mniejszemi państwami niekiedy doprowadzała do nieoczekiwanych rezultatów, z których nie zdawali sobie sprawy ci, co je wywoływali. Pomiędzy mniej doniosłemi, lecz pomimo tego bardzo realnemi sprawami była jedna, dotycząca Belgji. Dotąd istniała w bohaterskim kraju kwestja językowa, która, będąc sprawą czysto wewnętrzną, mogła być załatwiona bez większych trudności z dobrej woli Walończyków i Flamandów. Niebezpie-

czeństwo, które według wszelkich nadziei zostanie zażegnane, polega na przeniesieniu sporu między nimi na forum międzynarodowe, co wywołałoby następstwa militarnej i ekonomicznej natury. Przedmiot jest zbyt drażliwy, by o nim decydował cudzoziemiec, a naród belgijski jest tak praktyczny i lojalny, że potrafi uniknąć nieostrożnych kroków, które mogłyby ze sprawy językowej zrobić kwestję narodowościową.

Na Radę Najwyższą zaczęto wkrótce patrzeć, jak na prototyp przyszłej Ligi i z tego punktu widzenia działalność jej ulegała ostrej krytyce ze strony tych wszystkich, których dotyczyła Liga. Pomiędzy nimi byli przeważnie przedstawiciele państw mniejszych, czyli jak je nazywano „państw o interesach ograniczonych". Ta gromadka patrjotów przywędrowała do Paryża pełna nadziei, upojona nieumiarkowanemi pochwałami i obietnicami, któremi ich karmiono za przywiązanie do sprawy Koalicji podczas wojny. Złudzenia ich wszakże były krótkotrwałe. Na jednem z pierwszych posiedzeń z wielkiemi mocarstwami wybuchnęła burza, która rozwiała ich nadzieje. Gdy się niebo rozjaśniło, ujrzano, że z równych towarzyszów pracy, przemienili się w karłowatych pupilów, w jednostki niższej kategorji, którym się będzie rozkazywało i wymagało od nich zupełnego posłuszeństwa.

Na historycznem posiedzeniu 26 stycznia, delegaci państw mniejszych protestowali energicznie przeciwko czysto dekoracyjnej roli, jaką im wyznaczyła Konferencja w sprawach bardzo obchodzących narody, których byli reprezentantami. Ministra kanadyjskiego, który się wyraził o „propozycji" wielkich mocarstw, powstrzymał odrazu Clemenceau, który zaznaczył w sposób nieco brutalny, że tu nie chodzi o żadną propozycję, tylko o decyzję, która jest ostateczna i nieodwołalna. Poczem delegat belgijski, p. Hymans, wygłosił świetną mowę w obronie swobodnej dyskusji, mogącej wyświetlić sprawy tak blisko wszystkich obchodzące i zażądał od Konferencji, ażeby mniejsze państwa, które uczestniczyły w wojnie, miały więcej, niż dwóch delegatów. To wymaganie zostało odrzucone przez premjera francuskiego, który objaśnił słuchaczy, że Konferencja jest zebraniem delegatów wielkich mocarstw, zmierzających trzymać ster jej prac we własnych rękach; dodał przytem znacząco, że przedstawicieli narodów mniejszych możeby nawet nie zaproszono wcale, gdyby nie to, że będzie roztrząsana sprawa Ligi Narodów. Nie należy zapominać, dodał Clemenceau, że pięć wielkich mocarstw reprezentuje nie mniej, niż dwanaście miljonów walczących ludzi... Na zakończenie radził, żeby delegaci państw mniejszych zechcieli wziąć udział w dalszej pracy, zamiast tracić czas na wygłaszanie mów. Te słowa wy-

wołały głębokie i trwałe wrażenie, dalekie wszakże od tego, co pragnął osiągnąć francuski mąż stanu.

„Caryzm Konferencyjny“ był to termin, w który ujął tę despotyczną metodę jeden z urażonych delegatów. Powiedział mi na drugi dzień: „Moja odpowiedź na przemówienie Clemenceau była gotowa, i tylko obawa przed obniżeniem wpływu Konferencji wstrzymała mię od jej wypowiedzenia. Pragnąłem podkreślić potrzebę jednomyślności wobec czujnego wroga, który gotów skorzystać z piewszej szczeliny, by podważyć gmach przez nas budowany. Mogłem zaznaczyć, że jeżeli jesteśmy zgromadzeniem narodów, które zdecydowało się wspólnie na wojnę, niema dobrej racji, by dopuszczać do udziału w niem państwa, które nie wyjęły miecza z pochwy.

Mogłem zapytać, co się stało z wygłaszaną przed zwycięstwem zasadą, by oprzeć ligę narodów na swobodnej umowie wszystkich państw niepodległych; wreszcie zapytałbym, jak to się stało, że główny budowniczy zrzeszenia narodów, który miał ustanowić stały pokój wśród ludzkości, może używać argumentu siły i militaryzmu przeciwko pokojowo usposobionym narodom, które dobrowolnie poniosły najwyższą ofiarę dla sprawy ludzkości, a obecnie żądają tylko, by zostały wysłuchane. Dwanaście miljonów walczących żołnierzy—to argument, którego można użyć przeciwko Teutonom, ale nie przeciwko miłującym pokój i posłusznym prawu ludom Europy. Premjer Clemenceau stawia nam zarzut straty czasu, lecz w rzeczywistości aż do dnia wczorajszego nie byliśmy dopuszczeni do obrad, choć upłynęło już dwa i pół miesiąca od czasu zawarcia rozejmu, a zakres pracy, dokonany przez tych naczelnych mężów stanu był dosyć ograniczony; wypomniał nam jednak czterdzieści pięć minut, użytych na wyłożenie naszych poglądów i pragnień“.

„Tygrys francuski był wspaniały, gdy gnębił wrogów cywilizacji swemi dwunastu miljonami walczących żołnierzy; ale czyny i gesty, odpowiednie na polu walki, stają się źródłami dysonansu i niezgody, gdy się ktoś do nich ucieka na koncercie narodów“.

Wiele goryczy wywołała ta taktyka przemocy; zrobiono potem nieznaczne ustępstwa dla uspokojenia urażonych delegatów; ale robiono je tak niezręcznie, że nie wywarły oczekiwanego skutku. Belgja dostała trzech delegatów zamiast dwóch, Jugosławja—trzech; ale Rumunji, której ludność wynosi czternaście miljonów, pozwolono mieć tylko dwóch. Ta niewytłomaczona decyzja wywołała nową urazę, która powodowała nieustanne tarcia, chociaż można ich było z łatwością uniknąć. Objawem jej był też osobliwszy stosunek Rumunji do Rady Najwyższej przed i po upadku Kuhna na Węgrzech.

Lecz nawet te ryzykowne metody mogłyby być uprawnione, gdyby sprzyjały istotnie dobrobytowi narodów, którym zostały narzucone. Ale ponieważ były improwizowane naprędce przez jednego czy paru ludzi, którzy nie mogli pretendować do doskonałej, a nawet przeciętnej znajomości przedmiotu i którzy nieustannie popełniali wielkie i zgubne błędy: było nieuniknionem, że interwencję ich uważali za despotyczną i szkodliwą kierownicy narodów zainteresowanych, którzy gruntownie i dokładnie znali owe kwestje i wynikające z nich następstwa.

Rozgoryczenie mogłoby było być ułagodzone, gdyby duch, przenikający samozwańczą działalność Duumwiratu, wolny był od wyniosłości i łagodzony skromnością. Lecz niestety, despotyczny ton decyzyj, nagłość, z jaką były ogłaszane, i pogróżki, które im towarzyszyły, musiały w odrażający sposób działać nawet w tym wypadku, gdyby ich autorów można było uważać za nieomylnych.

Jeden z delegatów, który wywnętrzał się przedemną w tej kwestji, wkrótce po podpisaniu Traktatu zauważył: „Wielcy Trzej są w najwyższym stopniu nieprzychylnie usposobieni dla większości delegatów państw mniejszych, które uczestniczyły w wojnie. I byłoby dziwnem, gdyby było inaczej, gdyż nie ukrywają swej dla nas pogardy. Właściwie jestto lekceważenie. Nigdy się nas nie radzą. Kiedy zbliżamy się do nich, zbywają nas, jak natarczywych intruzów. Wydają decyzje nam nieznane i wykonywują je w tajemnicy, jak gdybyśmy byli wrogami lub szpiegami. Jeżeli protestujemy lub oponujemy, nazywają nas albo imperjalistami, albo niewdzięcznikami. Często dowiadujemy się dopiero z pism o ciężarach lub ograniczeniach, jakim nas poddają,

Parę dni przedtem Clemenceau w nieoficjalnej odpowiedzi na pytanie postawione przez delegację rumuńską, poradził jej zapoznanie się z warunkami finansowemi traktatu z Austrją, zapominając, że delegatom państw mniejszych nie wolno było czytać tych warunków. Zakomunikowano je Austrjakom, ale starannie je ukrywano przed Rumunami, których także dotyczyły. Jednocześnie rząd rumuński był wezwany do wypowiedzenia swej opinji na podstawie znajomości tych warunków, więc premjer rumuński telegrafował z Bukaresztu do Paryża, by mu je przysłano; ale jego zastępca nie posiadał tego egzemplarza i nie miał prawa o niego poprosić [1]). Niedorzeczności tego rodzaju były częste.

Jeden z mężów stanu w Paryżu, cieszący się światowym rozgłosem nie zgadzał się z tymi, którzy popierali państwa mniejsze. Patrzał na ich protesty i taktykę z punktu widzenia, którego nie może pominąć bezstronny historyk, pomimo tego,

[1]) Miałem pełną jego kopję.

że może się z nim wcale nie zgadzać. Mówił on: „Wszystkie państwa mniejsze są chciwe i nienasycone. Gdyby kierownicy wielkich mocarstw rozumieli ich usposobienie i zdawali sobie sprawę z ich aspiracyj w r. 1914, wiele z tego, co od tego czasu przeszło do historji, nie miałoby miejsca. Podczas wojny dogadzano i pochlebiano małym kraikom, obiecywano im gwiazdy na niebie. A teraz, kiedy obietnice nie mogą być spełnione, państwa te wpadają w rozpacz i z oburzeniem grożą wielkim mocarstwom nieposłuszeństwem i buntem. Nie mogłyby tego uczynić, gdyby te ostatnie nie utraciły nieco ze swego nimbu i powagi wskutek wewnętrznych różnic, wahań, sprzeczności i żalów. Dziś wszyscy wiedzą, że wielkie mocarstwa ulegały bardzo pierwotnym pobudkom i obawom. Gdyby były one od początku zgodne i powiedziały swym młodszym braciom: „Oto są wasze granice, oto są wasze zobowiązania“, młodsi bracia pochyliliby głowy i zgodzili się z wdzięcznością. W ten sposób kwestje granic mogły były być rozwiązane ku ogólnemu zadowoleniu, gdyż każde nowe albo rozszerzone państwo uważałoby, że otrzymuje dary od mocarstw wielkich. Lecz delegaci ostatnich pojęli swoje zadanie w odmienny i mniej praktyczny sposób. Zaczęli od uznania nowych państw i dali im przedstawicieli na Konferencji. Zrobili to na tej zasadzie, że przedewszystkiem należy utworzyć Ligę Narodów i że wszyscy zasłużeni sojusznicy aljantów mają prawo do uczestnictwa w niej. Wreszcie, zamiast, trzymając się swego programu, likwidować wojnę, pomieszali warunki pokojowe z zastrzeżeniami Ligi i rozpoczęli debaty nad jednemi i drugiemi. W tych debatach ujawniły się własne ich różnice wewnętrzne, chwiejność i słabość woli, a państwa mniejsze skorzystały z tego, następstwem czego odroczenie pokoju, wyczerpanie fizyczne mocarstw centralnych i wzrost bolszewizmu“.

Nie należy zapominać, że tej mieszaninie dawnego i nowego porządku rzeczy sprzeciwiano się z innych stron. Włosi, naprzykład, twierdzili, że w ten sposób wielka liczba ich przeciwników stawała się bardzo uprzywilejowanymi sprzymierzeńcami. Podczas wojny byli wrogami, przebaczono im, zanim się rozpoczęły obrady pokojowe, i należeli potem do Konferencji już jako protegowani przyjaciele. Włosi walczyli bohatersko przeciwko Austrjakom, od których ponieśli ciężkie straty. Kto byli ci Austrjacy? Składali się z różnych narodowości, tworzących monarchję Habsburską, a w przeważnej większości Słowianie. Ci żołnierze, poza niektóremi wyjątkami, sumiennie spełniali swój obowiązek wobec austrjackiego cesarza i państwa, stosownie do warunków przysięgi. Stosunek ich do Włochów nie był ani odrobiny mniej wrogi, niż stosunek zwykłego Niemca do Francuza lub Anglika. Dlaczegóż, pytali Włosi, dawać

im przywileje większe, niż sprzymierzeńcowi, który przeciwko nim ponosił ciężary wojny? Dlaczego traktować tych dwóch nawet jako równych? Można odpowiedzieć, że masa narodu była bierna i tylko wykonywała rozkazy. To samo można powiedzieć o przeciętnym Niemcu, a jednak jego nie psuły zwycięskie potęgi świata, gdy Kroaci i inni stali się raptem ulubionemi dziećmi Konferencji, Niemcy zaś i Austrjacy niemieccy, którzy przyjęli i spełnili warunki prezydenta Wilsona co do należenia do Ligi, nietylko są ciężko karani, co jest zupełnie słuszne, ale niedopuszczeni do zrzeszenia ludów, co już nie wytrzymuje krytyki.

Źródło niekonsekwencji leżało w braku wszelkiego programu i metody w kierownikach wielkich mocarstw; projekt Wilsona pozwalał mu traktować dzielnych Serbów i ich braci z Koalicji tak, jak tego pragnął. Ale nie umiał jednak zachować tego samego sposobu w stosunku do opozycji. Z drugiej strony, dawna zasada równowagi politycznej mogła była pozwolić na zaspokojenie słusznych żądań Włoch, ale Wilson w części sam zniszczył tę zasadę. Nie pozostało nic innego, jak uciec się do *tertium quid*, co rozjątrzyło głęboko obie strony i naraziło na niebezpieczeństwo pokój świata. Gdy pierwsi delegaci nie mogli załatwić sami nawet tymczasowego rozwiązania spraw, oddawali je misjom, komisjom i podkomisjom, wszakże postępowanie ich często było sprzeczne z opinją tych ciał wspomnianych. Żadne z nich nie otrzymywało wystarczających wskazówek. Weźmy konkretny przykład: została wyznaczona komisja centralna dla opracowania kwestji granic Polski; druga komisja pod kierownictwem Juljusza Cambon'a miała zbadać również kwestję granic, ale choć się jej często radzono, słuchano niezmiernie rzadko. Wreszcie była trzecia komisja, która pracowała doskonale, ale prawie bez celu. Kwestje, będące przedmiotem ich badań, mogły być ujmowane z rozmaitych stron. Były granice historyczne, etnograficzne, polityczne, strategiczne i lingwistyczne. I to jeszcze nie wyczerpuje wszystkich szczegółów w tym zakresie. Członkowie komisyj mogli wybierać pole badań sami według własnych upodobań, bez wskazówek ze strony Rady Najwyższej, która widocznie sama nie wiedziała, czego chce.

Jako przykład braku metody w obradach Rady i jej niedbałego traktowania poważnej pracy, warto dać następujący krótki szkic dyskusji, która miała być ostateczną i decydującą, a skończyła się tylko na stracie czasu. Przedmiotem jej było rozbrojenie. Delegaci angielscy, czując, że powinni byli ulżyć ciężarom wojennym swoich narodów i zmniejszyć przez to pokusy do gwałtu, byli za tem, żeby ograniczyć siły zbrojne. Delegaci włoscy postawili wniosek, który został ostatecznie

przyjęty; według niego, jeżeli Austrji, naprzykład, zabroniono trzymać pewną liczbę wojska pod bronią, zakaz powinien być rozszerzony na wszystkie państwa, z których się składała Austrja i we wszystkich tych wypadkach stosunek pomiędzy ludnością a armją powinien być jednakowy. Zgodnie z tem wezwano przedstawicieli różnych krajów interesowanych, by przyjęli decyzję i stwierdzili swą gotowość do jej wykonania.

P. Paderewski wysłuchał wyroku z uszanowaniem i zauważył: „Według sprawozdań, otrzymanych od francuskich władz wojskowych, Niemcy mają dotychczas 350,000 żołnierzy na Śląsku". „Nie — poprawił Clemenceau — tylko 300,000". „Przyjmuję poprawkę—odrzekł premjer polski. Różnica ta jednak niema znaczenia; jestem przekonania, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, my, Polacy, możemy być zmuszeni do walki z Niemcami i prowadzenia jej sami. A, jak panowie wiedzą, mamy jeszcze inne zadania wojenne, że tylko wspomnę o naszej walce z bolszewikami. Jeżeli zostaniemy pozbawieni skutecznych środków samoobrony z jednej strony, a nie będziemy mogli oczekiwać pomocy od aljantów z drugiej strony, skutki łatwo będzie mógł przewidzieć każdy inteligentny obserwator. 300,000 Niemców to nie drobiazg do zwalczenia. Jeżeli wystąpimy przeciwko nim z niewystarczającemi siłami i zostaniemy pobici, co będzie dalej?" „Niewątpliwie—wykrzyknął Clemenceau—gdyby Niemcy zwyciężyli na wschodzie Europy, aljanci przegraliby wojnę. Do tego nie należy dopuścić".

Następnie mówił p. Bratiano. „My również — rzekł—musimy walczyć z bolszewikami, więcej niż na jednym froncie. Jest to walka na śmierć i życie. Ale dotyczy ona, choć w mniejszym stopniu całej Europy i przez ponoszone przez nas ofiary oddajemy usługi wielkim mocarstwom. Czyż jest pożądane polityczne ograniczenie naszych sił bez uwzględnienia ogromnych zadań, które nas czekają? Czy mocarstwa nie powinny pozwolić tym państwom rosnąć do rozmiarów, potrzebnych do wypełnienia ich funkcji?" „To, co Pan twierdzi, jest zupełnie słuszne na obecną chwilę—zauważył Clemenceau—ale Pan zapomina, że nasze ograniczenia nie będą stosowane odrazu. Wyznaczamy termin, po upływie którego siły wojskowe muszą być zredukowane. Wzięliśmy pod uwagę wszelkie okoliczności". „Czy Pan może twierdzić—zapytał minister rumuński — że jest w stanie dokładnie określić czas, kiedy egzystencja naszego kraju będzie według pańskich przewidywań już zabezpieczona?"—„Do stycznia 1921 wszelkie niebezpieczeństwo przestanie istnieć" — nalegał premjer francuski. „Jestem niezmiernie rad z tego zapewnienia—odrzekł Bratiano—gdyż nie wątpię, że nie chciałby Pan narażać losu swych wschodnich sprzymierzeńców. Ale my, którzy nie znamy podstaw, na których Pan opiera swe obliczenia,

jesteśmy wzywani, by wierzyć w nie z narażeniem się na najcięższe możliwe niebezpieczeństwa; czyż będzie zawiele, jeżeli zażądamy, by wielkie mocarstwa dowiodły ufności we własne przewidywania przez zagwarantowanie nam szybkiej i dostatecznej pomocy wojennej, w razie, gdyby z powodu wypadków nieoczekiwanych okazało się, że się myliły i Rumunja została napadnięta?" Na to wezwanie nie było odpowiedzi twierdzącej; poczem Bratiano zakończył: „Ograniczenie sił zbrojnych jest wysoce pożądane. Żaden naród nie pragnie tego więcej, niż nasz. Ale jest pewne ograniczenie, które, jak sądzę, musi być uszanowane. Dopóki się ma niesfornego lub niepewnego sąsiada, którego siły wojenne nie podlegają ograniczeniu, ani kontroli, niepodobna pozbawiać się własnych środków samoobrony. Taki jest nasz pogląd na tę kwestję".

W kilka miesięcy później wypłynęła znów ta sama trudność, tym razem w konkretnej formie i została potraktowana przez Radę Najwyższą w charakterystyczny dla niej sposób. Pod koniec sierpnia akcja Rumunji na Węgrzech i jej zamiary, dotyczące Banatu, zaniepokoiły i rozgniewały delegatów, których autorytet został bezkarnie zlekceważony; dla zakończenia skandalu i uprzedzenia wszelkich nieprzyjemnych niespodzianek, Clemenceau zaproponował, by przerwać dostarczanie broni Rumunji. Wtedy główny przedstawiciel Włoch, Tittoni, zgłosił poprawkę. Był on przeciwny każdemu środkowi, stosowanemu specjalnie przeciwko Rumunji, tembardziej, że istniało już postanowienie dawnej Rady czterech, ograniczające siły zbrojne wszystkich państw mniejszych. Rada Wojenna Wersalska, której polecono zbadanie tej kwestji, doszła do wniosku, że wielkie mocarstwa nie powinny zaopatrywać żadnych rządów w materjały wojenne. Tittoni był zdania, że należy wykonać te postanowienia.

Rada zgodziła się ze zdaniem delegata włoskiego i wydała rezolucję, żeby żadnemu z państw mniejszych nie dostarczać materjałów wojennych; lecz w kilka minut później przeszła inna rezolucja, pozwalająca Niemcom na ustąpienie części amunicji i materjałów wojennych Czecho-Słowakom i generałowi Judeniczowi [1])!

Kiedy po raz pierwszy utworzono komisje, którym oddano do rozpatrzenia wszystkie zawiłe kwestje, państwom mniejszym pozwolono tylko na pięciu przedstawicieli w komisjach finansowej i ekonomicznej, i polecono im ich wybrać. Dziewiętnastu delegatów tych państw protestowało na tej zasadzie, że podobny układ nie da im dostatecznego wpływu w zebraniach, które będą omawiały ich interesy. Na czele malkonten-

[1]) *Corriere della Sera,* 24 sierpnia 1919 r.

tów stał p. Epistacio Pessoa, prezydent Stanów Zjednoczonych Brazylijskich. Delegat Polski, p. Dmowski wystąpił z propozycją, by nie robić wyborów, których rezultaty nie mogą stać w żadnym stosunku do interesów, jakie państwa reprezentowane mają w finansach europejskich, należy natomiast prosić wielkie mocarstwa o wyznaczenie delegatów. Prezydent Brazylijski nie poparł tej propozycji, uważając, że nie odpowiada godności państw mniejszych, by większe same wybierały ich mówców. Poczem wybrano pięciu delegatów z krajów południowo-amerykańskich do spraw, dotyczących finansów europejskich i pozostawiono Europejczykom wybór drugich pięciu z ich grona. Wyniosło to razem dziesięciu dla państw, których interesy były uznane za ograniczone; było to afrontem w stosunku do wielkich mocarstw.

Komedja została surowo osądzona i autorzy jej dostali burę od kierowników Konferencji, która, unieważniwszy wybory, zmiękła później tak dalece, że obiecała wyznaczyć ekstra-delegatów państw mniejszych. Faktycznie ilość komisyj nie miała realnego znaczenia, gdyż we wszystkich ważniejszych kwestjach wyniki ich prac były zazwyczaj ignorowane, o ile nie zgadzały się z postanowieniami głównych delegatów.

Ciekawy stosunek Rady Najwyższej do Rumunji można rozpatrywać z różnych punktów widzenia; najpewniejszym wszakże jest ten, którego dostarczają same fakty.

Rumunja miała wielkie kłopoty, a rozpoczęły się one od chwili otwarcia Konferencji, kiedy pozwolono jej tylko na dwóch delegatów przy pięciu, jakich miało każde z wielkich mocarstw, i po trzech z Serbji i z Belgji, chociaż ludność tych państw była mniej liczna, niż ludność Rumunji. Pozatem jej umowa z Anglją, Francją i Rosją, na zasadzie której wzięła udział w wojnie, uległa zmianom, jak tylko podniesiono na Konferencji kwestję granic. Dalej Rada Najwyższa naogół zupełnie ignorowała delegację rumuńską. Traktat z Niemcami przedłożony hrabiemu von Brockdorff-Rantzau, znany był w kopji zwykłemu dziennikarzowi,[1]) a delegacja rumuńska wraz z prezydentem ministrów Bratiano na czele miała tylko pobieżne jego streszczenie. Kiedy ułożono traktat dla Austrji, delegacja rumuńska zapoznała się z jego tekstem dopiero wieczorem w przedzień wręczenia i, dostrzegłszy paragrafy, których nie mogła przyjąć, sformułowała swoje zastrzeżenie, na które pozornie przystali członkowie Rady Najwyższej. Takie przynajmniej mieli wrażenie pp. Bratiano i Mishu. Ale następnego dnia, rzuciwszy okiem na tekst traktatu, spostrzegli, że niepożądane warunki pozostały

[1]) Por. rozdział: „Cenzura i tajemność". Dziennikarzem tym był autor niniejszego dzieła.

niezmienione. Wtedy wyłożyli swoje zastrzeżenie na piśmie, ale i teraz bez rezultatu. Jednem z zobowiązań, narzuconych Rumunji przez mocarstwa, była obietnica przyjęcia w przyszłości każdego rozporządzenia, którem Rada Najwyższa zapragnie zabezpieczyć prawa mniejszości w kraju, oraz zgoda na ograniczenie władzy państwa w sprawach przewozu towarów państw sprzymierzonych. W końcu Rumuni uskarżali się, że polityka Rady Najwyższej tworzy niebezpieczny ferment w Dobrudży, a nawet w Siedmiogrodzie, gdzie saska mniejszość, która przyjęła dobrowolnie panowanie rumuńskie, zaczyna się przeciwko niemu burzyć. W Besarabji żywioły nie rumuńskie pośród ludności powstały przeciwko Rumunom i wzywały pomocy Konferencji Pokojowej. Ważnym faktem, który, według opinji Rumunów, należycie charakteryzował położenie, było quasi-ultimatum, przedłożone im na wiosnę, [1]) kiedy wezwano ich nieoficjalnie i prywatnie do udzielenia koncesji przemysłowych gronu finansistów, i w razie odmowy, grożono rozmaitemi następstwami, z których jednem miała być utrata czynnej pomocy Ameryki. Rumuni postanowili narazić się na grożącą im karę, po dokładnem rozważeniu korzyści i strat, jakie może wywołać przedstawienie sprawy samemu prezydentowi Wilsonowi i oficjalne zapytanie go, czy wspomniana wyżej akcja nie jest, jak oni uważali, w sprzeczności z polityką wschodnio-europejską Prezydenta. Smutno pomyśleć, że obfite źródła nafty mogły były zmyć wiele udręczeń, które czekały Rumunów, a pożyczka, przyjęta na ciężkich warunkach, zmiękczyłaby serca tych, od których zależało osłodzenie lub pogorszenie losu narodu. [2]) „Zobaczy Pan", mówił do mnie pewien Rumun, „odtrącą nas z pogardą, jak Laodyceuszów lub gorzej jeszcze, nim się Konferencja skończy. Położenie zewnętrzne Rumunji było jeszcze bardziej niebezpieczne, niż jej klęska wewnętrzna. Położona pomiędzy Rosją a Węgrami, stała się podobną do kawałka żelaza między młotem a kowadłem. Dobrze pomyślana napaść dwóch państw anarchicznych mogłaby ją obrócić w perzynę, Świadomi niebezpieczeństw, przedstawiciele jej w Paryżu pragnęli obrony, i jedyną nadzieję pokładali w wielkich mocarstwach, których delegaci na Konferencji pełnili obowiązki przyszłej Ligi Narodów, zanim jeszcze została zorganizowana. Ale obejście się, jakiego doznali ze strony wielkich mocarstw, nie budziło wielkiego zaufania. Wielkie mocarstwa przymusiły Rumunję dla własnej korzyści i bez żadnego względu na jej interesy do wypowiedzenia wojny mocarstwom centralnym [3]) i obiecywały

[1]) Por. ten sam rozdział niżej.
[2]) *Temps*, 7 lipca 1919 r.
[3]) W końcu sierpnia 1916 r.

znaczną pomoc w postaci wojsk rosyjskich, materjałów wojennych, oficerów i ciężkiej artylerji. Nie spełniono obietnic pomocy, ani też dano zapewnienia, że armja niemiecka nie zostanie dopuszczona do inwazji. To ostatnie się nie sprawdziło, obietnic zaś, jak dziś można już o tem sądzić, nie należało dawać. Bo to, co się stało — zajęcie kraju przez pierwszorzędne wojska niemieckie pod wodzą Mackensena, mogło było być z łatwością przewidziane i było istotne przepowiadane [1]). Wszystkie bogactwa kraju zostały spakowane i co tylko można było wywieźć, zostało wysłane do Węgier, Niemiec lub Austrji. Aljanci obsypali nieszczęsny naród wyrazami współczucia, ale zrobili niewiele więcej, by pomóc, i bieda, nędza i choroby zaczęły siać wśród niego swe zniszczenie.

Po rozejmie położenie, zamiast się poprawić, pogorszyło się jeszcze. Pozwolono Węgrom pogwałcić warunki i trzymać olbrzymią armję, nieproporcjonalną do terytorjum, które mieli zatrzymać, a ponieważ aljanci nie posiadali znaczniejszych sił w Europie Wschodniej, gabinet budapeszteński kpił sobie z ich rozkazów. Na wiosnę roku 1919 bolszewicy węgierscy uderzyli w surmy wojownicze i poczęli zagrażać pokojowi Rumunji; jej mężowie stanu wystąpili z prośbą o zajęcie pewnych punktów strategicznych, które mogłyby umożliwić ich wojskom obronę kraju od zalewu nieprzyjacielskiego; lecz duumirowie paryscy nie zgodzili się na to żądanie. Zdawało im się, że rozumieją położenie lepiej, niż ludzie, co byli na miejscu. Gdy bolszewicy, zawsze radzi skorzystać ze sposobności, napadli na Rumunów i zajęli ich ziemie, dwaj anglo-sascy mężowie stanu, nie zmieszani tem, pocieszali p. Bratiano i jego towarzyszów wyrazami swego współczucia i obietnicą, że na drugi raz nic nie zakłóci spokoju. Rada Najwyższa tego dopilnuje. Ale i tej obietnicy nie dotrzymano, tak samo jak poprzedniej.

Rumuni przypuszczali, że Rada Najwyższa albo żywiła sympatje bolszewickie, albo uległa może nieświadomie tajnym wpływom, których istotę trudno było zbadać. Jako dowód, przytoczono, że kiedy Rumuni byli już na drodze do zniszczenia czerwonych wojsk Kuhna, Rada Najwyższa użyła swojej władzy, by je uratować i uczyniła to skutecznie, kiedy na inną pomoc liczyć nie mogli. Wiadomo było powszechnie, że Kuhn był u schyłku władzy. Radjotelegram wysłany z Budapesztu przez jednego z jego adjutantów, zawierał następujące znamien-

[1]) Byłem jednym z tych, którzy uważali, że Rumunja nie powinna brać udziału, w wojnie nawet z punktu widzenia interesów aljantów, a jedną z przyczyn, przezemnie przytoczonych, było przewidywanie inwazji.

ne wyznanie: „Dają mu (Kuhnowi) znać, że wojska węgierskie uciekają. Oddziały, zajmujące korzystne położenie na przyczółku mostowym przy Gomi, opuściły je, zabierając ze sobą ludzi, będących na służbie. W Budapeszcie robione są przygotowania do wyekwipowania piętnastu bataljonów robotników". Innemi słowy, upadek bolszewizmu się rozpoczął. Rumuni byli gotowi do ostatecznego pokonania go. Ich wojska na brzegu rzeki Cisy gotowe były do marszu na Budapeszt. I w tym krytycznym momencie arbitrzy światowi na Konferencji, która wyklinała bolszewików, jako plagę cywilizacji, użyli swej władzy i wstrzymali pochód. Jeżeli mieli poważne powody do interwencji, to nie wyjawili ich. Clemenceau posłał po Bratiano i zabronił dalszego pochodu wojsk w kategoryczny sposób, który nie uwzględniał oddanych usług i ofiar, poniesionych przez państwo rumuńskie. Szeptano, że między agentami mocarstw a Kuhnem nastąpiło tajne porozumienie. Tymczasem nikt nie mógł zrozumieć przyczyn nagłej zmiany stosunku aljantów do bolszewików węgierskich. Przypuszczano bowiem, że uważali jeszcze kierowników bolszewizmu za wyjętych z pod opieki prawa. Jedną z przyczyn zakazu była niechęć, by armja rumuńska sama zajęła stolicę węgierską. Ale to nie tłumaczyło jeszcze zaniedbania w wysłaniu wojsk sprzymierzonych dla przywrócenia ładu w stolicy i w kraju. Zachowywali się biernie, gdy zwolennicy Kuhna zbierali i organizowali rozproszone i zdemoralizowane wojska; a Rumunom nie pozwolili przeszkodzić bolszewikom, by nie przygotowywali nowego ataku. Jak zauważył jeden z krytyków francuskich[1]) działano przeważnie negatywnie, następstwa czego były czasami zgubne, gdy konieczną była polityka dodatnia. Do odbudowania narodu, nie mówiąc już o zrujnowanym świecie, nie wystarczy szereg sprzecznych zakazów. Dawano też inne tłumaczenie ich stosunku i to zostało powszechnie przyjęte. Zajmiemy się niem obecnie.

Rozproszona armja bolszewicka, osłonięta w ten sposób, szybko odzyskała werwę i, czując się bezpieczną na froncie rumuńskim, gdzie aljańci unieruchomili idące naprzód wojska, napadła na Słowaków i zajęła ich kraj. Bolszewizm jest bowiem z natury swej zachłanny. Gabinet Praski upadł na duchu. Nowo narodzone państwo Czecho-Słowackie zatrzęsło się w posadach. Zdawało się, że lada chwila nastąpi katastrofa. Wojska rumuńskie czekały na hasło, by wyruszyć w pole, ale hasła nie dawano. Czecho-słowacy błagali o nie. Lękliwi wszakże delegaci w Paryżu, jeżeli wogóle mieli zamiar walczyć, to bronią z innego arsenału. Zamiast kazać wojskom rumuńskim maszerować na Budapeszt, zwrócili się sami do wodza bolszewików

[1]) *Le Temps*, 28 lipca 1919 r.

Kuhna, wezwali go do opuszczenia kraju Słowaków i obiecali, że każą Rumunom się cofnąć. Ta dziwna linja postępowania była zadecydowana na tajnem posiedzeniu Trzech bez zgody i uprzedzenia narodu, o którego interesy chodziło, pomimo że codziennie spotykali się ci delegaci z kierownikiem tegoż rządu; lecz o istnieniu p. Bratiano i jego kolegi-delegata stale zapominano. Trudno zgłębić pobudki, które wywoływały to wyniosłe traktowanie kierownika narodu, co poświęcał swych synów dla dobra zarówno aljantów, jak własnego. Trudno to wytłumaczyć jedynie antypatją osobistą. Kolegę, boć jednocześnie był on prezydentem ministrów zaprzyjaźnionego państwa, traktowano bardziej niż pogardliwie. Jeżeli miał być wydany rozkaz rządowi rumuńskiemu, by odwołał swe wojsko z zajmowanego frontu, elementarna uprzejmość i takt polityczny, zarówno jak prosty rozsądek wymagały, żeby zakomunikować to przedewszystkiem temu kierownikowi rządu, który przebywał w Paryżu, jako szef delegacji swego kraju na Konferencję. Nie postąpiono jednak w ten sposób. Politycy Tajnej Rady uciekli się do radio i bez porozumienia się z Bratiano, wysłali do „rządu w Bukareszcie" polecenie wycofania armji rumuńskiej. Nie trzeba być dyplomatą, by zrozumieć zdziwienie „rządu rumuńskiego", który otrzymał ten krótki rozkaz. Można sobie również łatwo wyobrazić uczucia premjera, któremu zakomunikowano o tem, co zaszło. I nie jest tajemnicą, że usposobienie znacznego odłamu narodu rumuńskiego po tak dziwnych wybrykach zaczęło żywić uczucia nie wróżące nic dobrego sprawie, dla której mieli pracować aljanci. We wrześniu pisano, że Bratiano napiętnował politykę, przyjętą przez Konferencję w stosunku do Rumunji, jako „złośliwą i niebezpieczną" [1]).

Granica, do której kazano się cofnąć wojskom, była, jak widzieliśmy, wskazana Rumunji [2]) bez zgody jej rządu poufnie i z arbitralnością, która głęboko uraziła nie tylko jej oficjalnych przedstawicieli, ale i tych członków parlamentu i polityków, którzy z rzetelnego przywiązania lub z zamiłowania pokoju pragnęli iść ręka w rękę z Ententą. „Jeżeli można poznać drzewo po jego owocach", wykrzyknął w mej obecności pewien rumuński mąż stanu, „wielcy trzej są bezwiednymi bolszewikami. Podminowują poszanowanie dla powagi, tradycji, jasnego, szczerego postępowania, a w sprawie Rumunji postępują tak, jakby ich głównym celem było oderwanie naszego narodu od Francji i od Ententy. I ten cel może być osiągnięty. Naród rumuński jest całem sercem oddany Francji, ale węzły jeszcze niedawno mocne, zostały we wpływowym odłamie na-

[1]) *Dait Mail* (wydanie paryskie) 5-go września 1913 r.
[2]) 13 czerwca 1919 r.

rodu silnie poderwane, z ubolewaniem wszystkich patrjotów rumuńskich".

Odpowiedzią, daną przez „Rząd Rumuński w Bukareszcie" na kategoryczny rozkaz Rady Tajnej była umotywowana odmowa. Rumunja, nauczona strasznem doświadczeniem, sprzeciwiła się prowadzeniu jej do zguby wbrew własnej słusznej opinji. Jej mężowie stanu, znający Węgry bliżej, niż Lloyd George, Wilson i Clemenceau, żądali gwarancyj, których mogły dostarczyć tylko siły wojskowe, rumuńskie lub sprzymierzone. Dopóki nie powstanie na Węgrzech rząd, wybrany przez swobodną wolę ludu, godny zaufania, wojska muszą pozostać na miejscu; linja, którą wtedy zajmowały, mogła być broniona przez cztery dywizje, gdy tymczasem na nowej trzebaby mieć siedem lub osiem dywizyj. Rada mogła więc popełnić nowy fatalny błąd, którego skutki spadłyby na barki uległego narodu; kierownicy Rumunji protestować musieli.

Wróćmy do sporu pomiędzy Bukaresztem a Paryżem: rząd rumuński chętnie uległby żądaniu Rady Najwyższej i wycofałby swoje wojska, o ile Rada Najwyższa zabezpieczyłaby Rumunję od przyszłego napadu Węgrów. Warunek był słuszny, a jako środek samoobrony—niezbędny. Żądaną gwarancją była załoga wojsk sprzymierzonych. Ale dwaj najwyżsi radcy w Paryżu pracowali tylko przy biurku. Mogli zaofiarować p. Bratiano jedynie swoje rady przed walką i wyrazy współczucia po porażce—ale to premjerowi nie wystarczało. W tym wypadku jednak, jak i w sprawie polskiej, przedstawiciele mocarstw „sprzymierzonych i zaprzyjaźnionych" wciąż nalegali. Nie szczędzili obietnic, rad, namów, zanim przeszli do pogróżek; o gwarancjach nie mówili wcale i premjer rumuński, głuchy na pochlebstwa i próby zastraszenia, pozostał nieugięty. Był bowiem przekonany, że rady ich często cechowała wielka ignoracja, a nie zawsze inspirowała bezinteresowność: wydawane rozkazy były odbiciem zachcianek ludzi o dobrych intencjach, ale idących w ciemnościach poomacku i nie mających sposobów dopilnowania, żeby zostały wykonane. Pierwsi delegaci, zlekceważeni w ten sposób przez małe państewko, zaczęli się zastanawiać nad przytrudnem położeniem. We wszystkich podobnych wypadkach mieli zwyczaj godzenia się z warunkami, o ile nie mogli nagiąć ich do swoich planów. W ten sposób postąpił prezydent Wilson, kiedy angielscy mężowie stanu nie chcieli słuchać o wolności mórz, kiedy Clemenceau odmówił przyjęcia pokoju, który nie dawał doliny Saary i pomocy wojennej Francji, i kiedy Japonja nalegała na ustąpienie Szantungu. Stosunek do Włoch był nacechowany stanowczością, gdyż z powodu zależności ekonomicznej od Anglji i Stanów Zjednoczonych, Włochy nie mogły sobie pozwolić na przywilej odrębnego zdania. Dla-

tego delegaci, a w szczególności Wilson, wypowiadając, że ich żądania są nieodwołalne, byli przykro zdziwieni, gdy jedno z państw mniejszych miało odwagę im się sprzeciwić.

Publiczne zlekceważenie pełnomocników światowych przez państewko Wschodniej Europy po triumfie nad Włochami było gorzkie i trudne do zniesienia. Było również groźbą dla sprawy, z którą delegaci się identyfikowali. Na razie wszakże pogodzili się z tem, co było nieuniknione, nastroili głosy na ton niższy i postanowili przyjąć żądanie Rumunji, że nie należy dłużej popierać [1]) neobolszewizmu na Węgrzech, lecz zgnieść go trzeba. Zaprosili przedstawicieli trzech małych państw do rozważenia sprawy humanitarnej wojny na anarchicznym wschodzie Europy i zbadania, o ile państwa mniejsze są do niej przygotowane i jaką w przybliżeniu mogą wystawić ilość żołnierza.

P. Bratiano obiecał osiem dywizyj; Czechosłowakom projekt się nie podobał, ale po pewnem wahaniu zgodzili się dostarczyć pewną ilość wojsk; Jugosłowianie odmówili stanowczo, lecz następnie zgodzili się, gdy Rada obiecała im, że powstrzyma Włochów od wojny z nimi. Faktycznie jednak tylko Rumuni walczyli z Czerwoną Armją węgierską. Tymczasem członkowie misji amerykańskiej, angielskiej i włoskiej usiłowali zawrzeć przyjazną ugodę ze zbrodniczą bandą w Budapeszcie.

Plan kampanji był opracowany przez marszałka Focha. Był więc praktyczny. Żądał on ćwierci miliona żołnierzy [2]), z których Rumunja miała dostarczyć 120,000, Jugosławja 50,000 i Czechosłowacja tylu, ilu będzie mogła. Ale w przeddzień działań wojennych [3]) Bela Kuhn rzucił swe wojska [4]) na Rumunów, z początku z powodzeniem, odparł ich za Cisę ze znacznemi stratami, zajął dominujące pozycje i wywołał wielką trwogę wśród członków Rady Najwyższej. Semicki Dyktator groźnie wyjaśnił zaaferowanym prawodawcom, którzy znowu tym razem zawinili, że obcą mu była myśl zerwania pokoju, że przeciwnie zasługiwał na najwyższą pochwałę, gdyż zmusił opornych Rumunów do posłuszeństwa rozkazom Konferencji i cofnięcia się po za ich granice. Delegaci zachowali się z godnością wobec tych kpin i postanowili odwołać się raz jeszcze do swego faworyta za pomocą jedynego sposobu — wysłania depeszy z namowami i radami. Skuteczniejszych środków nie posiadali. Tym razem depesza ich, nie mająca dokładnego adresu, została skierowana do anty-bolszewickiej ludności Węgier, którą zachę-

[1]) 11 lipca 1919 r.; w kilka dni później zawieszono decyzję ze względu na opinję generała Blissa, który się nie zgodził z Fochem.
[2]) 17 lipca 1918 r.
[3]) 20 lipca.
[4]) W liczbie 85,000.

cała pośrednio do obalenia gabinetu Kuhna i otrzymania za to obiecanej nagrody, w formie przywileju uprawnionych stosunków z Ententą i podpisania wyroku śmierci na państwo węgierskie. Niełatwo zrozumieć, w jaki sposób to rozwiązanie mogłoby pomóc Radzie Najwyższej do utrwalenia warunków normalnych i spokoju w kraju. Lecz Duumwirat widać zupełnie był niezdolny do prowadzenia konsekwentnej polityki w Centralnej lub Wschodniej Europie. Nawet kiedy Węgry miały rząd zaprzyjaźniony z Ententą, nie umiała ona z tego korzystać. Nie potrafiła użyć hrabiego Karolyi. Pozwoliła wypadkom toczyć się swobodnie, a nawet pomogła rozwinąć się bolszewizmowi, choć go napiętnowała, jako niebezpieczną epidemję, którą należy energicznie zwalczać. Usposobienie, wykształcenie i wychowanie nie przygotowało ich do umiejętnego korzystania z okoliczności i użycia środków, jakie mieli pod ręką. Wskutek takiej chwiejności dwóch kierowników, którzy rzadko potrafili silnie zwalczać przeszkody, członkowie drapieżnej bandy, ukrywający swe pochodzenie obce pod narodowością węgierską, a swe kryminalne cechy [1]) pod maską polityczną, pozwolili sobie na odgrywanie ohydnej komedji, która wywołała obrzydzenie w ludziach rozsądnych i zaszkodziła nowym i powiększonym państwom Europy. Słabość Rady Najwyższej opłacono krwią, choć zdawało się, że dwaj delegaci nie są tego świadomi. Trudnoby uwierzyć, jak dalece zgubny był podobny stan rzeczy, gdyby nie to, że go stwierdzały fakty historyczne i dokumenty.

Stali agenci wielkich mocarstw na Węgrzech [2]), woleli działać namową, niż siłą; przekonali Węgrów, by się pozbyli Kuhna i obiecywali wypędzić znowu Rumunów z ziem węgierskich i rozpocząć blokadę. W końcu lipca kilku Węgrów z Austrji spotkało Kuhna na stacji pogranicznej [3]) i starało się przekonać go, by się usunął dobrowolnie, lecz on, wierząc w politykę aljantów i własną gwiazdę, nie poddał się namowom. W tym krytycznym momencie Rumuni, nacierając na Budapeszt, postanowili, cokolwiek się stanie, wyjść z tak niemożebnej sytuacji i rozprawić się z przeciwnikami ostatecznie. I udało

---

[1]) Moryc Kuhn, który zmienił swe imię na Bela Kuhn był zwyczajnym kryminalistą. Wyrzucony ze szkoły za kradzież, był więziony kilkakrotnie i okradł swego towarzysza więzienia. Nawet złodziejom honor czasami nie dopisuje.

[2]) Włochy były reprezentowane przez podpułkownika Romanelli, który mieszkał w Budapeszcie; Anglja — przez pułkownika Tomasza Cunningham, który przebywał w Wiedniu, jak i książę Livio Borghese, później mocarstwa delegowały generałów na członków misji wojskowej w stolicy Węgier.

[3]) W Bruck.

się im. Pierwsze niepowodzenie wojenne [1]) Rumunji było rezultatem nagłego ataku osiemdziesięciu tysięcy ludzi; lecz wojska jej odzyskały szybko ducha wojennego, przeszły rzekę Cisę, obaliły rządy bolszewickie i dotarły do Budapesztu. Około 1 sierpnia zbrodnicza banda, co rujnowała kraj, wypuściła z rąk ster rządów: dostał się z początku gabinetowi socjalistycznemu, o którym wpływowy organ prasy francuskiej pisał: „Nazwiska nowych... komisarzy ludowych nic nam nie mówią, bo nie znamy ich właścicieli, lecz kończówki tych nazwisk dowodzą, że większość ich, jak i rządu poprzedniego, jest pochodzenia żydowskiego. Od czasu wprowadzenia oficjalnego komunizmu Budapeszt nigdy bardziej nie zasługiwał na nazwę Judapesztu, którą mu dał p. Lueger, przywódca chrześcijańskich socjalistów w Wiedniu. Jest to jedna więcej cecha wspólna z sowietami rosyjskiemi" [2]).

Rumuni postawili nowemu gabinetowi węgierskiemu ciężkie ultimatum. Byli zdecydowani zabezpieczyć kraj i sąsiadów od powtórnego niebezpieczeństwa i ofiar, do których byli zmuszeni, innemi słowy, podyktowali nowe warunki rozejmu. Mocarstwa wahały się i kazały im zadowolić się warunkami dawnego rozejmu, zawartego przez wojewodę serbskiego Miszicza i generała Henrys'a w listopadzie poprzedniego roku i pogwałconego przez Węgrów. Argumenty przeciw temu żądaniu mocarstw były liczne i nieodparte. W istocie były one przeważnie identyczne z temi, które podała sama Rada Najwyższa przed rozejmem Polsko-Ukraińskim. Lecz oprócz tych były jeszcze inne. Naprzykład, Rumuni nie brali udziału w zawieraniu dawnego rozejmu, który już nie odpowiadał rezultatom nowej kampanji, podjętej i ukończonej w dziewięć miesięcy potem. Doświadczenie wykazało, że nie gwarantował bezpieczeństwa publicznego, skoro nie powstrzymał napaści Węgrów na Rumunów i Czecho-Słowaków. Rumuni po rozbiciu wroga postanowili go rozbroić i zapewnić prawdziwy pokój. Zdecydowali się zostawić mu piętnaście tysięcy wojska dla utrzymania porządku wewnętrznego [3]). Żądanie Rumunji co do dostarczenia bydła, zboża, maszyn rolniczych i środków przewozowych było motywowane potrzebą i odpowiadało wymaganiom słuszności, gdyż było jedynie częściowem wynagrodzeniem olbrzymich strat, spowodowanych w Rumunji przez Węgrów i ich sprzymierzeńców. Dotąd nie wspomniano nawet o odszkodowaniach. Austrjacy, Węgrzy i Niemcy podczas dwuletniej okupacji Rumunji wywieźli z niej 2500000 ton pszenicy i setki tysięcy

[1]) 20 lipca.
[2]) *Le Journal des Dèbats,* 4 sierpnia 1919 r.
[3]) Jest to wyższy stosunek, niż przyznany Niemcom przez Traktat Wersalski.

sztuk bydła, oprócz ogromnych ilości ubrań, wełny, skór i innych surowców, nadto tysiące domów rumuńskich zostało zrabowanych, a zawartość ich wywieziona i sprzedana w państwach centralnych. Z fabryk zabrano maszyny, z kolei lokomotywy i wagony. Po wyjściu Mackensena zostało w Rumunji 50 lokomotyw z 1200, jakie posiadano przed wojną. Więc zapasy, zabrane z Węgier przez Rumunję przez pierwsze tygodnie okupacji, stanowiły tylko drobną cząstkę tego, co straciła podczas wojny.

Podnoszono dalej, że na początku delegaci rumuńscy zadowoliliby się odszkodowaniem za straty i oddaniem własności bezprawnie zabranej przez wrogów na tych samych warunkach, na jakich odzyskała ją Francja. Prosili o to, ale powiedziano im, że prośba nie zostanie uwzględniona. Nie pozwolono im nawet wysłać do Niemiec delegata, któryby mógł wskazać władzom sprzymierzonym przedmioty, zrabowane w Rumunji, żeby choć pozór istniał, że rabusie chcieli dobrowolnie oddać skradzione zapasy. Po części z powodów przytoczonych władze rumuńskie zdecydowały się, żeby bez wielkiego hałasu zabrać to, co do nich należało. Nie mogli, jak mówili, czekać dłużej, gdyż spodziewali się napaści bolszewików rosyjskich; należało więc skończyć z jednym wrogiem, zanim się zacznie z drugim. To tłumaczenie zamiast uspokoić, rozdrażniło tylko Radę Najwyższą.

„Rzecz możliwa", pisał dobrze poinformowany *Temps*, „że Rumunja byłaby lepiej traktowana, gdyby się była zgodziła na pewne propozycje, dotyczące pożyczek lub na pewne żądania, dotyczące koncesyj naftowych" [1]). Być może. Lecz zaprawdę nie należy nigdy sprawy słuszności, sprawiedliwości i prawa mieszać z interesami handlowemi i przemysłowemi, i nie powinni byli tego robić czy przez nieświadomość, czy też przez niedbalstwo członkowie rozległego trustu, który musiał mieć nieograniczone zaufanie, ale powinien był sobie na nie zasłużyć. Niełatwo ocenić rozmiary szkody, jaką mogą pociągnąć za sobą tego rodzaju tranzakcje, zawarte czy tylko zainicjonowane, dla szerokiego społeczeństwa, dla którego niby dobra zarówno moralnego, jak materjalnego, Rada Najwyższa walczyła poomacku z przeszkodami, stwarzanemi przez nią samą. Czyż można się dziwić, że państwa, które ucierpiały najbardziej z powodu tych błędów wszechwładnych delegatów, czuły się dotknięte i próbowały pomóc sobie same według własnego pojmowania rzeczy? Można takie postępowanie nazwać niespołecznem, chociaż jest ono, niestety, naturalnem i prawie nieuniknionem. Należy szczerze żałować, że sposób zachęcania

[1]) *Le Temps*, 8 lipca 1919 r.

narodów do entuzjastycznego uznania Rady, „jako moralnej kierowniczki świata"—o co delegaci ubiegali się gorliwie, był tak wielce niezgrabny.

Rada Najwyższa, zmuszona do podkreślania swej godności w stosunku do niesfornego małego narodu, postanowiła ignorować zarówno pożytek, jak szkodę akcji Rumunji. W postępowaniu swojem zgodnie nie wzięła pod uwagę ostatnich wydarzeń, z wyjątkiem zniknięcia bandy bolszewickiej. Czterem generałom polecono wziąć w swe ręce kierownictwo spraw na Węgrzech, pomimo że nie znali warunków miejscowych [1]). Kazano im rozbroić Węgrów, dostarczyć ich materjały wojenne aljantom, chociaż z pomiędzy nich tylko Rumuni i Czecho-Słowacy wystąpili przeciwko wrogowi od zawarcia rozejmu w roku poprzednim; tym generałom również polecono sprawować władzę nad zwycięskimi Rumunami i Serbami, którzy zajęli terytorjum węgierskie. *Temps* zauważył znacząco, że Rada Najwyższa, nie chcąc mieć do czynienia z żadnym innym rządem na Węgrzech, jak tylko z takim, który jest wyrazem opinji kraju, „gorąco pragnie wznowienia importu obcych towarów do Węgier. Niektórzy obawiają się, że Rumunja, zabrawszy wagony i lokomotywy węgierskie, może przeszkodzić wznowieniu tego ruchu" [2]).

Skończyło się na tem, że wielkie mocarstwa, które zostawiły Rumunję jej własnemu losowi, gdy została napadnięta przez Węgrów, interwenjowały potem dla własnej korzyści, wreszcie postanowiły pozbawić ją owoców zwycięstwa i gwarancyj, które pragnęła stworzyć na przyszłość. Zaufać raz jeszcze Radzie Najwyższej—było to chwytać za źdźbło. Nie można zaprzeczyć, że mocarstwa były w stanie umotywować swoją interwencję. Podnosiły słusznie, że Rumunja nie była jedynym wierzycielem Węgier. Sąsiedzi jej mieli również pretensje, które powinny były być w miarę możności zaspokojone, a sprawiedliwość wymagała wyzyskania wszelkich dostępnych źródeł. Tego argumentu nie można było obalić. Ale zaufanie narodu rumuńskiego do delegatów było tak gruntownie podkopane przez wypadki poprzedzające, że nie zważano już na ich rozumowania, perswazje i obietnice.

W ten sposób Rumunja, rekwirując własność węgierską, ze strony formalnej nie była w porządku, ale z drugiej strony, trzeba wziąć pod uwagę, że została tak samo, jak i inne narody, doprowadzona do rozpaczy polityką przemocy, prowadzoną przez wielkie mocarstwa, które postępowały w ten sposób, jak

[1]) Konferencja miała zwyczaj polecania misyj zagranicznych generałom, którzy nie znali zupełnie krajów, dokąd byli wysyłani.

[2]) *Le Temps*, 8 sierpnia 1919 r.

gdyby jej dobra wola i lojalność nie przyczyniły się wcale do zaprowadzenia pokoju w Europie Wschodniej.

Po pewnym namyśle Rada Najwyższa sformułowała wzywające do zgody pismo, które skierowała do Węgrów, nie do Rumunów i wysłała na ręce podpułkownika Romanelli. Główną treścią jego była dawna piosnka: „jeżeli wypełnicie warunki rozejmu [1]) i uszanujecie granice, zakreślone przez Radę Najwyższą [2]), obronimy was od Rumunów, którzy działają bez naszego upoważnienia. Wysyłamy sprzymierzoną komisję [3]) wojskową dla dopilnowania rozbrojenia i cofnięcia wojsk rumuńskich".

Nie można zaprzeczyć, że warunki rumuńskie były śmiałe, lecz należy też pamiętać, że prowokacja zmuszała ich do obrony. Ciężar zbrodni nieposłuszeństwa spadał w znacznej części na ramiona prawodawców w Paryżu, których wyroki, głoszone z wysokości Olimpu, bez uwzględnienia miejscowych lub innych konkretnych okoliczności, naraziły na ciężkie straty krwi i mienia nieszczęsny naród rumuński. Co gorsza, oficjalni przedstawiciele Rumunji na Konferencji byli nie tylko ignorowani, ale strofowani, jak niegrzeczne dzieci przez surowych wychowawców, a przy sposobności upakarzani przez ludzi, których jedynem tłumaczeniem było wyczerpanie nerwowe z powodu przepracowania, oraz chorobliwa niecierpliwość, gdy im przeczono w kwestjach, których nie rozumieli. Inne państwa nieraz rozważały możliwość otwartej walki przeciwko narzucanemu jarzmu i niejednokrotnie zamierzały rozpocząć strejk, o ile nie dostaną żądanych ustępstw. Tylko Rumuni dotrzymali słowa.

Twórcy losów świata w Paryżu byli pełni lęku, że Rumuni zakończą wojnę na swój sposób. Wysłali więc trzy noty jedną po drugiej do rządu w Bukareszcie, i jedna [4]) z nich brzmi jak gniewny wyrok, pośpiesznie skreślony, zanim sprawa została zbadana dokładnie. Wyliczano w niej szereg dawnych oskarżeń, robionych Rumunom, oskarżano ich o nieposłuszeństwo i nie czekając na odpowiedź, — w przypuszczeniu że niema na to odpowiedzi słusznej — wzywano ich publicznie do stwierdzenia czynem, że ustąpią i zastosują się dobrowolnie do polityki, zalecanej im przez Konferencję.

Nota była zaczepna i podziałała na Rumunów jak potężny środek drażniący [5]), naraziła na ostrą krytykę czynnych człon-

[1]) Rozejm z 13 listopada 1918 r., którego warunki nie zostały dopełnione.

[2]) 13 czerwca 1919 r.

[3]) Składała się z czterech członków, delegowanych przez Anglję, Stany Zjednoczone, Francję i Włochy.

[4]) Z 20 lipca.

[5]) Dzienniki paryskie przypisywały ją Balfourowi, choć nie ma ona cech pióra tego dyplomaty.

ków Rady Najwyższej. Rumuni zapytywali prywatnie swych przyjaciół z Ententy, na czem polegała ta polityka, o której zwalczanie byli oskarżani i dostali odpowiedź, że najzdolniejszy, najbardziej przenikliwy badacz nie potrafiłby jej opisać, ani określić. „Co się tyczy nas", pisał jeden z najgorliwszych zwolenników Ententy w publicystyce francuskiej, „którzy śledziliśmy z uwagą prace i wynurzenia piśmienne i ustne Czterech, Pięciu, Dziesięciu, Najwyższej i Wyższej Rady, nie potrafiliśmy wykryć, czem była „polityka przyjęta przez Konferencję". Słyszeliśmy wprawdzie i czytaliśmy niezliczone mowy, wygłaszane przez przywódców jej. Obfitowały one w szlachetne myśli, wymowne wywody, protesty i obietnice. Ale nie znaleźliśmy nawet śladu czegoś, co można nazwać polityką" [1]). Wyrok ten podpisze historyk.

Rumuni nie śpieszyli się z odpowiedzią na trzy noty Rady. Byli zanadto zajęci tem, co uważali za ostrą i zasłużoną przez wroga karę, i zniecierpliwieni interwencją swoich „przyjaciół". Zabierali wagony i lokomotywy, bydło, maszyny rolnicze i inne przedmioty tego samego rodzaju, co te, które ukradziono ich samym i bez wielkiego hałasu wysyłali zdobycz do kraju. Czynność tego rodzaju nie mogła się obejść bez nadużyć i Konferencja dostawała liczne protesty krzywdzonych mieszkańców. Ale naogół Rumunja, przynajmniej przez pierwsze tygodnie okupacji, miała za sobą prawdziwą sympatję największego i najbardziej wpływowego odłamu prasy wszechświatowej. Ludzie twierdzili, że patrzą z radością, na powiew zdrowego egoizmu, rozpraszający mgłę despotycznej samowoli i ucisku. Z artykułów najbardziej rozpowszechnionych dzienników Francji i Anglji dyktatorowie paryscy, oburzeni lekceważeniem przez Europę Wschodnią ich rad doniosłych, mogli się zapoznać z wrażeniem, jakie ich próby prawodawstwa światowego wywarły na zdrowsze żywioły ludności.

Prawie w każdym języku można było czytać słowa zachęty dla buntujących się Rumunów, którzy śmiało zerwali ciężkie więzy, krępujące narody świata. „Według naszego zdania", pisał pewien stanowczy zwolennik Ententy, „koalicja, skoro okazała się niezdolną do obronienia Rumunów w godzinie niebezpieczeństwa, nie może pozbawiać ich sposobów zabezpieczenia kraju, które sami sobie zdobyli" [2]). Gdyby wolność miała swoje dawne prawa", czytaliśmy w innym poczytnym dzienniku [3]), „wielkie mocarstwa nie wywierałyby nacisku na Rumunję dla wybawienia Węgier od dobrze zasłużonej kary". „Zamiast ła-

[1]) *Journal des Débats*, 13 sierpnia 1919 t.
[2]) Pertinax w *Echo de Paris*, 10 sierpnia 1919 r.
[3]) *The New York Herald* (wydanie paryskie), 10 sierpnia 1919 r.

jać Rumunów", pisał wybitny publicysta francuski, „lepiej byłoby powstrzymać Turków. Jeżeli zrozpaczeni Turcy dla uzyskania sympatji Ameryki nazwą się socjalistami lub syndykalistami, czy prezydent Wilson pozwoli im odnowić Armenję i inne miejscowości według metod Dżingis-Chana? [1]).

Bardziej dotkliwą od potępienia prasy, była dla Rady Najwyższej jej własna bezsilność, prowadząca do uszczerbku godności i szkoda, wyrządzona przyszłej Lidze Narodów przez bezkarność, z jaką jedno z państw mniejszych zlekceważyło postanowienie jej twórców i traktowało ich prawie z równym brakiem poszanowania, z jakim oni sami zachowali się wobec delegatów rumuńskich w Paryżu. Wiedzieli, że z chwilą, gdy ich energiczne namowy były ignorowane przez rząd rumuński, zostali już pozbawieni wszelkich innych środków wpływu, skoro zmuszenie do posłuszeństwa siłą było tymczasem wykluczone. W tych warunkach nie było innego wyjścia, jak tylko pogodzić się z koniecznością i skromnie przyjąć dla przetrwania kryzysu rumuński punkt widzenia. I na ten sposób zdecydowano się ostatecznie.

Sprawa doszła wkrótce do swego punktu kulminacyjnego. Członkowie sprzymierzonej misji wojskowej otrzymali pełnomocnictwo do zmuszenia dowódców wojsk okupacyjnych do usłuchania rozkazów Konferencji, a gdy ich przedstawiono p. Diamandi eks-ministrowi w Piotrogrodzie i wygłosili otrzymane rozkazy w imieniu Rady Najwyższej. „Przyjmujemy rozkazy tylko od własnego rządu w Bukareszcie", była odpowiedź, którą otrzymali.

Rumuni mają przysłowie: „Nawet osioł nie wpadnie dwa razy w tę samą pułapkę", i mogli byli je zacytować generałowi Gortonowi, nie chcąc usłuchać aljantów po poprzedniem bolesnem doświadczeniu. Wtedy misja zatelegrafowała do Paryża po dalsze instrukcje [2]). Tymczasem rząd rumuński wysłał swoją odpowiedź na trzy noty Rady. Ton jej był stanowczy. Nieustraszony pogróżkami, p. Bratiano utrzymywał, że postąpił słusznie, wysyłając wojska do Budapesztu, narzucając warunki Węgrom i zaprowadzając porządek. W istocie oddał on nieocenioną usługę całej Europie, nie wyłączając Francji i Anglji. Gdyż, jeżeliby Kuhnowi i jego towarzyszom udało się zająć Rumunję, wielkie mocarstwa byłyby moralnie zobowiązane pośpieszyć na pomoc rozgromionemu sprzymierzeńcowi. Prasie pozwolono ogłosić, że Rada Pięciu ma zamiar zgodzić się na postępowanie Rumunów. Członkom sprzymierzonej Misji Wojennej oznajmiono, że nie mają prawa wydawać rozka-

[1]) *Journal des Débats*, 13 sierpnia 1919.r. Artykuł Augusta Gauvain.
[2]) Twierdzą że telegram wysłał generał Gorton.

zów Rumunom, tylko radzić im i pertraktować z nimi, co wymaga względności i taktu. Lecz paljatywy, zalecane przez delegatów, nie mogły naprawić stosunków. Po krótkim czasie Rada, nie mając odpowiedzi na swe pilne noty, postanowiła wysłać Rumunji ultimatum, wzywając ją do oddania zabranych wagonów i lokomotyw i do ewakuacji stolicy węgierskiej. Forma tego dokumentu była uznana za ostrą [1]). Na szczęście, zanim została wysłana, Rada dowiedziała się, że rząd rumuński nie dostał jej zawiadomień ani siedemdziesięciu innych not, wysłanych telegrafem bez drutu. Raz jeszcze powzięła decyzję bez zapoznania się z faktami. Poczem specjalny delegat[2]) pojechał do Bukaresztu z notą „zredagowaną w ostrych słowach", która była jednak „łagodniejsza w tonie", niż ultimatum. Wróćmy na chwilę do kwestji motywów, która była nie bez wpływu na postępowanie Rumunji. Czy bierność lub czynność delegatów była rezultatem braku związku między ich poglądami? Czy też myśleli głównie o bieżących zadaniach chwili i nie chcieli wyrazić swoich pomysłów na przyszłość co do formy budownictwa politycznego? Historyk pozostawi te motywy do rozstrzygnięcia innemu trybunałowi, a sam ograniczy się do faktów, które, chociażby nawet zrobić wybór między niemi staranny, są liczne i dosyć znaczące.

W biegu naszkicowanych powyżej wypadków wyłoniły się ciekawe sprawozdania z tego, co się działo za kulisami, miało wszakże świadków tak bezstronnych i dobrze poinformowanych, że kronikarz Konferencji nie może ich relacji pominąć milczeniem. Twierdziły one, że na dnie postępowania Tajnej Rady z Rumunją leżały dwa różne czynniki. Jednym z nich był wstręt do systemu rządów Rumunji z przeżytkami feodalizmu, antysemityzmem i konserwatyzmem. W związku z tem istniało życzenie wywołania radykalnej i, jak myślano, zbawiennej zmiany w całym ustroju przez pozbycie się stojących u steru kierowników kraju. Podobnego planu użyto skutecznie przeciwko p. p. Orlando i Sonnino we Włoszech. Dążenie do tego celu podniecał jeszcze osobisty brak sympatji dla delegatów rumuńskich, z którymi delegaci angielscy prawie nie rozmawiali. Nie było tajemnicą, że premjerowi rumuńskiemu było niezmiernie trudno dostać audjencję u swego kolegi prezydenta Wilsona, z którym wreszcie rozstał się prawie jak obcy.

Należałoby może przytoczyć jeszcze jeden przykład metod używanych przez Radę Najwyższą, gdyż stawiając siebie w położeniu premjera rumuńskiego, czytelnik może jaśniej zrozu-

[1]) Na początku września 1919 r.
[2]) Kiedy rząd francuski odmówił wysłania swego przedstawiciela, rząd angielski wydelegował Jerzego Clerk'a.

mieć jego usposobnienie dla tego zgromadzenia. W czerwcu wojska Moryca (vulgo Beli) Kuhna zadały ciężką klęskę Czecho-Słowakom. Poczem Rada Tajna Czterech lub Pięciu, na których krótkowzroczną politykę spadła odpowiedzialność za katastrofę, postanowiła go surowo skarcić. Kazano mu zaprzestać ofensywy. Lecz wówczas przyszło im znowu na myśl, że jeżeli Kuhn miał cofnąć swe wojska w granice własne, należy mu powiedzieć, gdzie są te granice. Były one już wyznaczone w tajemnicy przez trzech wielkich mężów stanu, którzy ukrywali je starannie nie tylko przed ciekawą publicznością, ale i przed państwami zainteresowanemi. Delegaci rumuńscy, jugosłowiańscy i czechosłowaccy nie byli poinformowani o tej kwestji tak samo, jak ludzie stojący na uboczu i wrogowie. Z chwilą jednakże, gdy okoliczności tego wymagały, tajemnica delegatów została wyjawiona wszystkim[1]). Dyktator węgierski bronił się tem, że jeżeli jego wojska poszły za daleko, było to dlatego, że nie wiedział nic o granicach. Czecho-słowacy zatrzymali się przy jednej z granic, wzdłuż rzeki Ipol, trudnej do uzasadnienia, a łatwej do poprawienia. Ale delegacja rumuńska, spojrzawszy na mapę, otwarcie zaprotestowała przeciwko postanowieniu Rady, które pociągało za sobą wyrzeczenie się trzech zasadniczych, nieodwołalnych żądań, jakich niepodobna było się wyrzec. Z tego powodu delegaci nie mogli wyrazić swej zgody. Ale Rada Najwyższa nie ustępowała. Drugi delegat p. Mishu musiał natychmiast jechać do Bukaresztu dla naradzenia się z Królem i Gabinetem i rozważenia, jaką akcję należy podjąć. Tymczasem cała sprawa i wynikające z niej konsekwencje faktycznie zostały w zawieszeniu.

Kiedy pewne artykuły traktatu pokojowego, dotyczące interesów Rumunji, a pomimo to opracowane bez wiedzy jej delegatów były gotowe, wezwano premjera rumuńskiego, aby się z niemi zapoznał. Brzmienie ich zdziwiło go i rozgniewało. Ponieważ nie mógł był na nie się zgodzić, a dokument miał w ciągu paru dni być wręczony wrogowi, uznał za swój obowiązek odrazu wystąpić ze swoim protestem. Ledwie jednak zaczął mówić, kiedy Clemenceau wstał i zawołał: „Panie Bratiano, pan tu jest po to, by słuchać, nie po to, by tłumaczyć". Surowe środki mogły być uważane za pożyteczne, a metody dyktatorskie — za niezbędne w braku możliwości rozumowania i perswazji, ale stanowczo ci, którzy ich żywali, powinni byli użyć formy, pozbawionej zjadliwości i mniej dotkliwej. Bez względu na zdanie, jakie ktokolwiek mieć może o mądrości polityki, przyjętej przez Radę Najwyższą w stosunku do państw nieuprzywilejowanych, trudno usprawiedliwić sposób, w jaki była

[1]) 10 czerwca 1919 r.

im narzuczona. Cierpliwość, takt i umiejętność przekonywania powinny cechować ludzi, którzy występują jako przywódcy i kierownicy, a uważają, że jedynie siły wojenne mogą ukształtować przyszłość według ich wyobrażeń. Delegaci mogli liczyć jedynie na siłę moralną przy wykonaniu swych daleko idących planów, jednak odrzucili środki jej zdobycia. Niszczyli treść dla formy. Opierając stosunki Europy na sile, Rada stwarzała i sankcjonowała zasadę, że powinny być utrzymane siłą.

Znieważone narody nie poprzestały na łagodnej krytyce. Zaatakowały samą politykę, rzuciły podejrzenie co do bezinteresowności motywów, które inspirowały Radę i przyczyniły się w ten sposób do stworzenia atmosfery nieufności, w jakiej nie mógł rozwijać się delikatny organizm, świeżo powołany do życia. W tem świetle część delegatów była uważana za dążących do imperjalizmu, druga była oskarżana o wielką nieszczerość. Tylko idealizmu i wzniosłych celów prezydenta Stanów Zjednoczonych nie śmiał zakwestjonować najliberalniejszy Tersytes. Najcięższemi zarzutami, wysuwanemi przeciwko niemu, była słabość woli, przesadzona opinja o samym sobie, niecierpliwość, z jaką znosił opozycję, i naiwne pragnienie zabrania z sobą do ojczyzny czegoś konkretnego w rodzaju statutu narodów.

Krążące w stolicy francuskiej wersje o wielkich przedsiębiorstwach handlowych, w których mówiącym po angielsku narodom pomóc miały rządy zainteresowanych państw, podkopywały szacunek, należny mężom stanu, których przywiązanie do wzniosłych ideałów powinno było pochłonąć każdy inny motyw ich działalności etyczno-politycznej. Odpowiedzialni politycy twierdzili, że pewien oficjalny przedstawiciel kraju z językiem rodzimym angielskim wyraził pogląd, który przypisał również swemu rządowi, że odtąd jego kraj będzie grał o wiele większą rolę w życiu ekonomicznem Europy Wschodniej, niż każdy inny naród. Było to, dodał, świadomym celem, do którego stale dążono; wyraził również nadzieję, że politycy i naród cały przyczynią się do jego osiągnięcia. Jak dotąd, wszystko było najzupełnej zgodne z prawem.

Ale twierdzono dalej, i to ze strony poważnej, że jeden z wybitniejszych ludzi w Rumunji dostał wiadomość, że Rumunja może liczyć na dobry stosunek i pomoc pieniężną Stanów Zjednoczonych tylko wtedy, jeżeli jej premjer da zapewnienie, że poza specjalnemi przywilejami udzielonemi mniejszości żydowskiej w kraju, odda koncesje przemysłowe i handlowe pewnym grupom i firmom żydowskim, mieszkającym i działającym w Stanach Zjednoczonych. Chcąc wyzyskać okoliczności, niektóre firmy wysłały już swych przedstawicieli do Rumunji dla zapoznania się i, o ile się da, zapewnienia sobie źródeł nafty, które miano zamiar eksploatować.

Rozwój krajowego handlu jest usprawiedliwionem dążeniem i można byłoby zgodzić się z tem, że firmy żydowskie są najodpowiedniejsze do wyzyskania bogactw Rumunji. Ale mieszanie planów handlowych z odrodzeniem etycznem Europy było co najmniej niepolityczne. Przy najbardziej niewinnych motywach twórca podobnego projektu z pewnością skrzywdziłby obydwie sprawy, które go interesują zarówno. Lecz opinja twierdzi dalej, że istniała kategoryczna propozycja, w rodzaju ultimatum, dająca Rumunom po wyboru dwie alternatywy: albo żądane koncesje i za nie pomoc finansowa Stanów Zjednoczonych, albo bez koncesji, — żadnej pomocy!

Na Konferencji, której celem było podwyższenie poziomu życia narodów ponad zgniliznę nieczystych ambicyj, popieranych przez brutalną siłę, do celów idealnych i stosunków moralnych, takie targowanie się i handlowanie wydawało się zupełnie nie na miejscu. Przypominało ono „handlarzy wołów, owiec i gołębi, i wekslarzy pieniędzy", siedzących w świątyni Jerozolimskiej i pewnego dnia wypędzonych. Rumuni spodziewali się, że handlarze ze współczesnej świątyni pokoju zostaną wygnani w sposób podobny; jeden z nich śmiało wystąpił, żądając od prezydenta Wilsona, by wyjawił swoją opinję o polityce, dyktującej kompromitującą propozycję...

Druga strona stosunku Rady Najwyższej nie wymaga usprawiedliwienia. Tajemnica, osłaniająca rozkazy Konferencji, które wstrzymały pochód wojsk rumuńskich i sprzymierzonych, zbliżających się do Budapesztu dla obalenia rządów Beli Kuhna, nigdy nie dziwiła tych, co posiadali wiarogodne informacje o porozumieniu pomiędzy niektórymi przedsiębiorczymi oficerami, należącymi do sprzymierzonej armji okupacyjnej, a oficerami wojsk węgierskich. Jedna z tranzakcyj miała miejsce pomiędzy samym Kuhnem, który jest z natury bystrym obserwatorem i dobrym handlarzem, a pewną grupą finansową, która dla zrozumiałych powodów pozostała bezimienną. Przedmiotem umowy było odstąpienie szeregu koncesyj w Banacie wzamian za pozostawienie u władzy dyktatora bolszewickiego i zaszczycenie go zaproszeniem na Konferencję. Rozkaz delegatów, wstrzymujący pochód wojsk przeciwko Kuhnowi i ich warunkowa obietnica wezwania go na Konferencję łączy się ściśle z tą umową. Ten niezaprzeczony zbieg okoliczności jest upakarzający. Związek między niemi został odkryty i ujawniony, zanim umowa została zawarta.

Banat był kością niezgody od chwili ustania wojny. Kraj, zamieszkały głównie przez Rumunów, ze znaczną przymieszką żywiołów węgierskich i saskich, jest jednym z najbogatszych a niewyzyskanych krajów w Europie. Jego kopalnie złota, cynku, ołowiu, węgla i żelaza są nieposkromioną pokusą dla przed-

siębiorczych kapitalistów i ich rządów; pociąga ich również perspektywa bogactw naftowych, dosyć wielkich, by opłacić eksploatację. W celu zawładnięcia temi obfitemi bogactwami i stworzenia faktu dokonanego Serbja wystąpiła z pretensjami do Banatu i próbowała wziąć go w administrację. Lecz eksperyment się nie powiódł. Jugosłowianie nie potrafili się tam utrzymać i została zawarta wspomniana wyżej umowa pomiędzy oficerami armji węgierskiej i sprzymierzonej. Łowcy koncesyj mało dbają o narodowość lub charakter tych, którzy mogą dostarczyć tego, co im jest potrzebne.

Ten krok miał swe konsekwencje polityczne. Było to nieuniknione. Gdyż dopóki Banat pozostawał w rękach Rumunów lub Serbów, nie mógł być oddany żadnej obcej grupie. Usunięcie obydwóch tych państw było warunkiem wstępnym. Z zadaniem poradzono sobie żwawo. Do państw Europy dodano nagle jeszcze jedną „niezależną rzeczpospolitę". Ta przedziwna kreacja, która się zjawiła jednocześnie z kwestją bałkańską, była dziełem kilku macherów, w którem mieszkańcy kraju nie brali żadnego udziału. Istotnie zaledwie że zdawali sobie sprawę z ogłoszenia republiki Banatu. Dyletantami budowniczymi tego państwa byli usłużni oficerowie dwóch armij, a poza nimi spekulanci i łowcy koncesyj. Oczywista, że nowe państwo, mające, jak na kraj samodzielny, zbyt nieliczną ludność, potrzebowało protektora. Przewidzieli to jego twórcy i przeznaczyli humanitarną rolę protektorki republiki Banatu demokratycznej Francji. Agenci Francji gotowi byli przyjąć tę umowę. Tyle mówi historja, którą starałem się opowiedzieć w pobieżnym szkicu [1]).

W ten kompromitujący sposób Bela Kuhn był pozostawiony przez pewien czas u władzy i żaden z jego przyjaciół nie wątpił, że nie zostanie strącony przez aljantów, dopóki mu się będzie udawało radzić sobie z Węgrami. Gdyby się od niego odwrócili finansiści międzynarodowi, których zasadniczą cnotą jest układność i umiejętność przystosowywania się, chętniej pracowaliby z jego następcą, ktokolwiekby nim był. Nieliczni, którzy wiedzieli o tem łączeniu wysokich ideałów z niską intrygą, byli zgorszeni tym lekkomyślnym sposobem, w jaki za wiedzą Konferencji zawarto kompromitujący pakt z „wrogiem rodu ludzkiego", narzucono prostodusznemu narodowi groteskowe rządy bez uwzględnienia zasady samostanowienia, zagrażając samemu istnieniu Rzeczypospolitej Czecho-Słowackiej. Przez krótki czas wydawało się, że siły bolszewickie Ukrainy i Rosji połączą się

[1]) Osobami działającemi w tym epizodzie byli nie tylko oficerowie i urzędnicy cywilni. Byli tam również ludzie, zajmujący wysokie stanowiska.

z wojskami Beli Kuhna i zniszczą doszczętnie Europę Wschodnią. Do tych niebezpiecznych rezultatów prowadziła pośrednio Rada Najwyższa, zwracając bolszewików przeciwko sprzymierzeńcom rumuńskim i czecho-słowackim.

W tym okresie znajomy mi Rumun zrobił następującą uwagę: „Obawy, które wyrażali panu nasi mężowie parę miesięcy temu, kiedy były odrzucone żądania koncesji, obecnie zostały potwierdzone przez wypadki. Niech pan o tem pamięta, pisząc sprawozdanie o przebiegu wydarzeń".

Nie należy tracić z oczu faktu, że w obozie aljantów istniał poważny rozłam. Zwolennicy Rady Najwyższej oskarżali rząd w Bukareszcie o secesję, a sami byli oskarżeni o wprowadzenie na manowce swoich partnerów rumuńskich, o zamiar wyzyskania ich pod względem ekonomicznym, o pobłażanie najeźdźcom bolszewickim i prowadzenie polityki wykupu. Istotę moralną tej kłótni należy pozostawić innemu trybunałowi. Nie można zaprzeczyć, że naogół Rumuni — i nie tylko oni — byli uznani za naród drugiej kategorji, który powinien dla swego własnego dobra iść drogą, wskazywaną przez przedstawicieli kultury w Paryżu, w tem mniemaniu, że wszystkie narody są wcieleniem anachronizmów, pozostałością dawnych wieków, które dążyły do epoki demokracji i wolności i powinny do niej się dostosować. Ich instytucje należy zmodernizować, a im samym rozstać się z dawnemi pojęciami o świecie i nauczyć się naśladować postępowe narody Zachodu. Nie należało kierować się tem, co myślała i czuła w tym względzie sama ludność, mniej kompetentna do osądzenia tego, co było dla niej dobre, niż jej samozwańczy kierownicy i opiekunowie. Gniewne głosy przywódców ludności nie zasługiwały rówież na uwzględnienie, a bierny opór mógł być zwalczony przymusem. Ta nieco zmieniona wersja doktryny Carlyle'a była podstawą stosunku Rady Najwyższej do mniejszych narodów, w szczególności zaś do Rumunji.

POLSKA I RADA NAJWYŻSZA.

Częste błędy w kierownictwie, popełnione przez Radę Najwyższą, jakkolwiek moglibyśmy je wytłumaczyć, wytworzyły atmosferę polityczną, pełną napięcia wśród wszystkich narodów, których interesy zostały zapoznane lub uznane za „ograniczone", i, jak widzieliśmy, więcej niż jeden z tych narodów rozważał konieczność polityki biernego oporu. Istotnie niektóre z nich stosowały ją nieśmiało, ale więcej, niż jednokrotnie, prawie zawsze z powodzeniem i zawsze bezkarnie. W ten sposób Czecho-Słowacy — najposłuszniejsi ze wszystkich — nie

dbając o postanowienie Konferencji, zawładnęli spornem terytorjum [1]) i rządzili niem przez kilka miesięcy; Jugosłowianie zajęli część okręgu Klagenfurtu i przez długi czas nie zwracali najmniejszej uwagi na rozkaz Rady Najwyższej, by opuścili zajęte tereny na korzyść Austrjaków; Polacy przyjęli podobną taktykę co do Galicji Wschodniej. Historja tego ostatniego konfliktu jest charakterystyczna dla ignoracji i słabości mocarstw, które wzięły na siebie obowiązek administratorów świata. Podczas zatargów wojennych pomiędzy Rusinami galicyjskimi a Polakami, Rada, której ostro wyrzucano w prasie liczne wojny, prowadzone wówczas, gdy twórcy pokoju światowego gawędzili o polityce w mroku Konferencji Paryskiej, wydała kategoryczny rozkaz natychmiastowego zawarcia rozejmu. Polacy wszakże odwołali się do wypadków, które z niezmierną szybkością potwierdziły ich przewidywania. Ani Rada Najwyższa, ani jej agenci nie mieli prawdziwego pojęcia o sytuacji Wschodnio-Europejskiej, ani o roli rozmyślnie wyznaczonej Polsce przez jej opiekunów francuskich — zastąpienia Rosji, jako fortecy przeciwko Niemcom na Wschodzie, ani o warunkach miejscowych. Akcja ich, co w tych warunkach było naturalne, polegała na szeregu niepewnych kroków w ciemności, rozbieżnych rozkazów, namów i zakazów, które dyskredytowały ich w oczach tych, od których zaufania i posłuszeństwa zależało powodzenie ich działalności.

Świadomość tych braków wymagała ścisłej tajemnicy, którą się otaczali delegaci, zanim ich bezładne rozmowy nie dojrzały do poziomu obrad. W sprawie Polski, jak i Rumunji zasłona była gęsta i nie podnoszono jej nigdy dobrowolnie. Pewnego dnia [2]) członkowie delegacji polskiej, pragnąc mieć jakąś wiadomość o tem, co Rada Czterech uradziła w sprawie Gdańska, prosili Clemenceau o zapoznanie ich przynajmniej z wynikiem, jeśli nie ze szczegółami narad. Premjer francuski, który miał żartobliwy sposób mówienia i wielkie poczucie humoru, odrzekł: „26-go dowiecie się panowie dokładnie o warunkach". Ale gdy przedstawiciel Polski nalegał i przekonywająco prosił choć o krótkie streszczenie tego, co postanowiono. Premjer wreszcie ustąpił i odpowiedział: „Proszę powiedzieć sekretarzowi Konferencji p. Dutasta w mojem imieniu, że może panom udzielić żądanych wiadomości". Delegat udał się do p. Dutasta i dostał od niego następującą odpowiedź: „P. Clemenceau może mówić, co mu się podoba. Słowa jego nie obowiązują Konferencji. Zanim będę się czuł zwolnionym z tajemnicy, muszę mieć zgodę wszystkich jego kolegów. Jeżeli Pan przy-

[1]) W Cieszynie.
[2]) W piątek 18 kwietnia 1919 r.

niesie mi ich upoważnienie, z chęcią udzielę żądanych wiadomości". Na tem się skończył incydent.

Kiedy wreszcie Rada powzięła decyzję, zwołano delegatów, żeby ich z nią zapoznać i przyjąć od nich obietnicę zgody. W pierwszym okresie Konferencji przedstawicielom państw mniejszych pozwalano czasem zadawać pytania i robić zarzuty. Ale później pozbawiono ich tego przywileju. Następujące wydarzenie może być ilustracją sposobu postępowania Rady. Pewnego dnia wezwano delegację polską przed Komisję Specjalną na obrady w sprawie rozejmu między Rusinami Galicyjskimi a Rzecząpospolitą Polską. Generał Botha, bystry obserwator, którego cenne doświadczenie w sprawach politycznych, ograniczające się do kraju, który miał niewiele wspólnego z Europą Wschodnią, mało mogło mu pomóc w rozwiązywaniu zawiłych kwestyj, z jakiemi się stykał, słabo się orjentował w jej sprawach od samego początku. Nie znając innych języków prócz angielskiego i holenderskiego, generał miał do przezwyciężenia jeszcze dodatkową trudność prowadzenia rozmowy przez tłumacza. Przedstawiało się to mniej więcej w sposób następujący:

„Życzeniem Rady Najwyższej jest", zaczął przewodniczący, „żeby Polska zawarła rozejm z Rusinami na nowych warunkach, gdyż dawne utraciły już swą siłę [1]). Czy panowie są gotowi przyjąć nasze propozycje?" „Jest to sprawa natury wojskowej", odrzekł delegat polski, „i powinna być rozstrzygnięta przez rzeczoznawców. Jeden z naszych najbardziej kompetentnych przedstawicieli władz wojskowych przybędzie wkrótce do Paryża z pełnomocnictwem do pertraktowania z panami w tej sprawie. Tymczasem zauważę również, że dawne warunki się przeżyły i powinny być zmienione. Muszę tu wymienić trzy zastrzeżenia, bez których rozejm jest niemożliwy: 1. Polakom należy udostępnić stały kontakt z Rumunją, do czego niezbędną jest okupacja Galicji Wschodniej. Główną podstawą tego żądania jest fakt, że nasze granice obejmowały to terytorjum i że Rumuni są lojalnym, pokojowo usposobionym narodem, którego interesy nie sprzeciwiały się nigdy naszym i którego główny wróg — bolszewizm — jest również naszym wrogiem. 2. Aljanci oczyszczą armję ukraińską od bolszewików, Niemców i innych żywiołów niebezpiecznych, które ją obecnie zalewają i uniemożliwiają pokój. 3. Polacy muszą posiadać kopalnie nafty, choćby dlatego, że obecnie są one uważane za materjał wojenny; przytem Niemcy dostają z Galicji, która posiada jedyne dostępne dla nich źródła, całą naftę, jakiej potrzebują i dają wzamian Rusinom amunicję, podtrzymując przez to stan

[1]) Rumunom przeciwnie kazano stosować się do dawnych warunków, choć te również utraciły swoją siłę.

wojenny. Panowie zrozumieją, że nie chcemy, żeby nasze własne kopalnie nafty dostarczały naszemu wrogowi materjałów wojennych przeciwko nam samym". Generał Botha zapytał: „Czy panowie byliby zadowoleni, gdyby zamiast okupacji całej Wschodniej Galicji w celu połączenia się z Rumunami, Rumuni ruszyli naprzód na wasze spotkanie". „Najzupełniej. Zadowoliłoby to nas, jako środek tymczasowy". „Ale teraz przypuśćmy, że Rada Najwyższa odrzuci te wasze trzy warunki — wypadek zupełnie możliwy—jak panowie zamierzają wtedy postąpić?"—„W tym razie akcją naszą pokierują wypadki, a z tych jednym będą kroki wojenne Rusinów, które będą wymagały samoobrony i użycia naszej armji, co doprowadzi sprawę do tego samego punktu, na którym stoi w chwili obecnej" [1]). Na propozycję delegata polskiego, by sprawę rozejmu przedstawić marszałkowi Foch'owi odpowiedziano, że poglądy marszałka nie mają wpływu na postanowienia Rady Najwyższej. Następnie generał Botha uderzył w ton uczuciowy i powiedział: Chcę odwołać się do was jeszcze ostatni raz. Polska powinna patrzeć na tę kwestję nie z punktu widzenia chwilowych okoliczności, lecz dostosować się do szerszej skali wymagań wszechświatowych. Pragniemy obalenia militaryzmu i zaprzestania rozlewu krwi. Jako naród cywilizowany, Polska powinna razem z Radą Najwyższą uznawać obowiązek aljantów położenia kresu nędzy, którą ciągnie za sobą wojna i która gnębi obecnie ludność Polski i Galicji Wschodniej. „Słusznie", odrzekł delegat polski, „i rozumie ona to tak gruntownie, że odrzuca z oburzeniem fałszywy pokój, który byłby tylko pauzą, podczas której zorganizowanoby jeszcze bardziej krwawą wojnę. Chcemy takiego załatwienia sprawy, które zapewnia pokój, i nasza znajomość warunków pozwala nam odróżnić prawdziwy pokój od chwilowej przerwy w działaniach wojennych. I to jest powód naszej stanowczości".

„Proszę sobie uprzytomnić", twierdził generał Burów, „przyjazny stosunek wielkich aljantów do waszego kraju w krytycznym okresie jego historji. Wskrzesili go. Chcieli i chcą okazać pomoc w utrzymaniu jego całości. Polacy powinni swojego uznania dla przychylności aljantów dowieść czynem, wypełniając ich życzenia. Wszystko, co rozkazują, jest dla waszego dobra. Zrozumiejcie „to i postępujcie według ich propozycji". „Za ich pomoc jesteśmy i pozostaniemy im wdzięczni", była odpowiedź, „i postaramy się uwzględnić ich życzenia, o ile to będzie wykonalne bez narażania na niebezpieczeństwo istnienia naszego państwa. Fakty wykazały, że ich poglądy bywają czasem mylne, a możność urzeczywistnienia ich często fikcyjna,

[1]) Tak się właśnie stało; lecz delegaci nie wierzyli temu, dopóki się nie natknęli na fakt dokonany.

Aljanci popełnili szereg dotkliwych błędów, do których się dziś otwarcie przyznają. Gdyby upierali się przy swym obecnym planie, popełniliby jeszcze jeden błąd więcej. Co do ich możności okazania nam pomocy—jest ona żadną. Zaniechali wysłania znacznych sił do Polski z samego początku i to było błędem nie do naprawienia, gdyż pozbawili się przez to możności egzekutywy w Europie Wschodniej, gdzie dziś nie są w stanie przyjść z pomocą żadnemu ze swych protegowanych przeciwko wrogom. Polacy, Rumuni, Jugosłowianie są pozostawieni samym sobie. Od aljantów mogą oczekiwać tylko dodających ducha depesz, ale niewiele więcej. W rzeczywistości wszystko, co aljanci mogą zrobić — to wydawać wyroki, które mogą być lub nie być wykonane. Przykładów jest wiele. Zdobyli dla nas prawo lądowania wojsk w Gdańsku i jesteśmy im za to niewymownie wdzięczni. Ale nie potrafili zmusić Niemców do uszanowania tego prawa i byliśmy zmuszeni się go wyrzec. Kazali Ukraińcom zaprzestać niezliczonych napaści na nas i oceniliśmy tę ich troskliwość. Ale rozkaz ich pozostał bez skutku: zostaliśmy napadnięci i sami o sobie byliśmy zmuszeni myśleć. Mimo to jesteśmy im niezmiernie wdzięczni za wszystko, co mogli zrobić. Ale, gdybyśmy zawarli rozejm, na który nas namawiacie, oto coby się stało: mielibyśmy przeciwko sobie Rusinów z jednej strony, a Niemców z drugiej. Jeżeli Rusini będą mądrzy, to napadną na nas jednocześnie z Niemcami. To jest mądra taktyka. Ale jeżeli siła ich istnieje tylko na papierze, to puszczą do nas bolszewików. Jest to podwójne niebezpieczeństwo, które się wali na nas dzięki waszemu postępowaniu w imieniu wielkich mocarstw. Jeżeli Pan zrozumie, że jest ono realne, nie będzie Pan nas ganił, że nie chcemy się na nie narazić, i przeciwnie, jeżeli niebezpieczeństwo wydaje się Panu urojonem, niech Pan wyciągnie z tego odpowiednie wnioski i zechce zapewnić nam w razie potrzeby pomoc wojskową wielkich mocarstw".

Gdyby dbano o jasny sąd i bezpośredni czyn, sprawa byłaby załatwiona pomyślnie: lecz wielkie mocarstwa działały mniej za pomocą argumentów, a używały silniejszych pobudek. Mając w swem ręku ekonomiczne i finansowe bogactwa świata, czasem obracały w żart rozumowania i uciekały się do przymusu tam, gdzie nie działały namowy lub perswazje. Pewnego dnia główny delegat jednego z państw „o interesach ograniczonych" powiedział do mnie: „Faktycznie jesteśmy gwałceni. Niema łagodniejszego terminu na określenie tego postępowania. Mówią nam, że o ile nie uznamy wyroków mocarstw, których interesy są równie nieograniczone, jak ich pewność siebie, wstrzymają nam dostarczanie żywności, surowców i pieniędzy, bez których nie można sobie wyobrazić naszej egzystencji narodo-

wej. Naturalnie musimy ustępować, przynajmniej do pewnego czasu". Te słowa charakteryzują stosunek mniejszych państw do większych.

W sprawie polskiej rozmowa skończyła się w sposób następujący: generał Botha zwrócił się do delegata i rzekł: „Jeżeli zlekceważycie rozkazy Wielkich Czterech, którzy nie zawsze mogą wyjawić wam podstawy swej polityki, ryzykujecie, że będziecie zostawieni własnemu losowi. A pan wie, co to znaczy. Proszę się dobrze namyśleć przed powzięciem decyzji!" Właśnie wtedy tylko część wojsk generała Hallera została przewieziona do kraju [1]) i Polacy byli w śmiertelnym strachu, że przewożenie pozostałych może być wstrzymane. Było to więc wezwanie, którego nie można było lekceważyć. „Czegóż żądają od nas Wielcy Czterej?"—zapytał delegat. „Zawarcia rozejmu z Rusinami, a nadto, żeby Polska, jako jedno z nowoutworzonych państw — zezwoliła na swobodny przewóz wszystkich towarów państw sprzymierzonych przez jej terytorjum". Delegat poprosił o wytłumaczenie, dlaczego podobne wymaganie ma się stosować do państw nowo-utworzonych? Odpowiedziano mu, że chodzi o próbę, której nie można robić w zbyt wielkich rozmiarach. „Jest jeszcze jedno małe zobowiązanie, o które prosimy, mianowicie, żeby panowie zastosowali się do przyszłych decyzji Komisji, jakiekolwiek będą".—„Nie wiedząc o tem, jakie będą?" — „Jeżeli panowie nam ufają, nie powinni mieć żadnych wątpliwości". Pomimo pogróżek delegacja polska odpowiedziała tym razem na wszystkie jej żądania stanowczem *non possumus*, zatrzymała trzy warunki rozejmu, odrzuciła propozycję wolnego przewozu towarów i sprzeciwiła się żądaniu poddania się wszystkim przyszłym postanowieniom skłonnej do popełniania błędów Komisji. „Kiedy spór polski z Czecho-Słowakami został oddany do załatwienia Komisji, nie żądano od nas, byśmy naprzód przyjęli jej wyrok. Dlaczego ma być wprowadzane nowe prawo?"—zapytywali polscy delegaci. I na tem stanęła sprawa na czas pewien.

Przerwa trwała jednakże tylko kilka dni, po upływie których u członków delegacji polskiej zjawił się pewien wysłaniec i rozpoczął dyskusję z innego końca. Stwierdził, że przemawia w imieniu Wielkich Czterech, których poglądów i dążeń był upoważnionym przedstawicielem. I niewątpliwie tak było; faktycznie jednak rząd francuski nie wiedział o jego wizycie czy misji, ani o rozmowach, które prowadził. Wojował zresztą argumentami, nie uciekając się do pogróżek. Położenie Polski, mówił, wymaga rozsądnego postępowania. Zaklętym wrogiem jej są Niemcy, z którymi będzie trudno, a może i niemożliwie

[1]) Około 25,000 już wyjechało z Francji.

wytworzyć takie stosunki, któreby stale pogodziły te dwa państwa, więcej zatem jest powodów do ustalenia stosunków przyjaznych z innymi sąsiadami, w szczególności zaś z Rusinami. Delegat polski odpowiedział na to w swój zwykły sposób, poczem wysłaniec zawołał: „A więc, krótko mówiąc, jestem tu po to, by powiedzieć, że linja postępowania pańskiego kraju jest nakreślona przez niezłomną wolę Wielkich Mocarstw. Musicie się przed nią ugiąć. Jeżeli doprowadzi ona do działań wojennych ze strony waszych sąsiadów, możecie, naturalnie, liczyć na pomoc waszych protektorów. Czy to pana nie zadawala?“ „Zadowoliłoby, gdyby pomoc była realną. Ale gdzie ona jest? Czy była ona pewną choć na chwilę od czasu rozejmu? Czy rządy sprzymierzone posiadają egzekutywę w Europie Wschodniej? Czy są skłonne do wysłania swych wojsk na pomoc swoim protegowanym? A gdyby wydali podobny rozkaz, czy znajdzie posłuch? Nie mogą nas obronić. Oto dlatego, we własnym i w ich — interesie jesteśmy gotowi bronić się sami“.

Ta znamienna rozmowa skończyła się pogróżką kary za nieposłuszeństwo. „Jeżeli trwać będziecie w uporze przeciw propozycjom, które wam przedłożyłem, zmuszony będę powiedzieć, że Wielkie Mocarstwa odmówią wam swej pomocy, a nawet będą uważały za swój obowiązek zmienić korzystne położenie, które zdecydowały się wam przyznać“. Odpowiedź była następująca: „Za pomoc, którą dostajemy, jesteśmy i będziemy zawsze szczerze wdzięczni. Ale by z niej skorzystać, naród polski musi być żywym organizmem, a wasze propozycje usiłują wprowadzić nas w stan znieczulenia i oddają nas również na łaskę naszym licznym wrogom, z których największym są Niemcy.

Nawet jasny umysł, wsparty niezłomną wolą jest wszakże bezsilny wobec widma głodu. Polacy musieli ustąpić. P. Paderewski dał słowo Lloyd George'owi i Wilsonowi, że zawrze rozejm z Rusinami w Galicji Wschodniej i duumwirowie słusznie zaufali zarówno słowu jego, jak i pewności moralnej. Poczuwali się wobec niego do wdzięczności, że ułatwił im trudne zadanie, godzić się z rzeczą nieuniknioną. O ile wiem, prezydent Wilson napisał do niego w końcu kwietnia, dziękując mu serdecznie za współdziałanie z Radą Najwyższą w wysiłkach ku odbudowaniu jego ojczyzny na trwałej podstawie. Prawdopodobnie żaden z przedstawicieli państw „o ograniczonych interesach“ nie otrzymał tak wysokiego dowodu uznania.

P. Paderewski wyjechał z Paryża do Warszawy, by wpłynąć na Gabinet. Ale w Polsce, gdzie władze stały wobec konkretnych zagadnień, premjer nie znalazł uznania. Ani Gabinet, ani Sejm, ani Naczelnik Państwa, nie uznali za możliwe dotrzymać obietnicy, danej w ich imieniu. Okoliczności są silniej-

sze od woli ludzkiej. P. Paderewski podał się do dymisji. Rusini zaatakowali Polaków, którzy kontratakiem zdobyli miasta: Stryj, Tarnopol, Stanisławów i zajęli kraj aż do granic Rumunji, z którą pragnęli być w stałym kontakcie. Część armji ruskiej przeszła granicę czeską i została rozbrojona, reszta stopniała i nie pozostało już wroga, z którym możnaby było zawrzeć rozejm.

„Dla Wielkich Czterech" ten przebieg wypadków był pewnego rodzaju upokorzeniem. Armja ruska, której interesy tak bardzo wzięli do serca, przestała nagle istnieć, i przyszłe niebezpieczeństwo, jakiem miała być dla Polski, okazało się fikcją. Opinja ich okazała się błędna, a ich potęga — bezskuteczna. Obruszali się niezmiernie na bezsilność Paderewskiego. Ustąpił przed ich decyzją i wyjechał do Warszawy, by dopilnować jej wykonania, tymczasem warunki były takie, że jego słowa przyjęto jako puste dźwięki. Premjer polski zgłosił coprawda swoją dymisję, ale jej nie przyjęto, a zresztą cóż znaczy ustąpienie ministra w porównaniu z nieposzanowaniem prawodawców świata, którzy reprezentowali potęgę i interesy w jednakowej mierze nieograniczone? Gniewne telegramy szły z Paryża do Warszawy i premjer polski został wezwany, by się niezwłocznie stawił w Paryżu. Wrócił, ale żadnego już ni robiono nowego planu. Kości były rzucone.

Znamienne wydarzenie we współczesnej historji polskiej nastąpiło po zwycięstwie wojennem nad Rusinami w Galicji Wschodniej.

Minister Ukraiński[1]) w Wiedniu był wezwany, żeby zażądał od Polaków podpisania jednostronnej umowy z nimi według wzoru tej, którą przeprowadziły dwa państwa anglosaskie na korzyść Francji. Propozycja polegała na tem, że rząd ukraiński miał zrzec się pretensji do Galicji Wschodniej i oddać swoje wojska pod dowództwo polskiego naczelnego wodza, wzamian za co Polacy mieli się zobowiązać do obrony Ukraińców przeciwko ich wszystkim wrogom. Umowa była roztrząsana w Warszawie i odrzucona została przez delegatów polskich w Paryżu, którzy nie widzieli korzyści w tem, żeby zobowiązać się do walczenia pewnego dnia z Rosją o niepodległość Ukrainy. Inne nowo powstałe państwo Estonja — zaproponowała Polsce podobny sojusz, lecz i ten został odrzucony z tych samych względów. Okazało się, że przy nowym ustroju sojusze cieszyły się jeszcze

[1]) Rusini, Ukraińcy, Białorusini są ludami należącemi do jednego szczepu, tak samo jak ludy, mówiące po niemiecku w północno-zachodnich Niemczech, Danji i Holandji i po flamandzku w Belgji są spowinowacone rasowo. Główne różnice między odłamami każdej gałęzi są polityczne.

większą wziętością, niż przy dawnym, choć miały być zupełnie z niego usunięte.

Podczas wszystkich rokowań o przyszłem położeniu i granicach Polski, premjer angielski niezmiennie sprzeciwiał się żądaniom polskim, podobnie jak prezydent Stanów Zjednoczonych występował przeciwko wymaganiom Włoch, obaj zaś łączyli się przeciwko Rumunji. Cokolwiekby można sądzić o treści tych wystąpień — a wiele opinij było w tej mierze wypowiedzianych z wielką szczerością o duchu, który niemi kierował, — można mieć tylko jedno zdanie, że był to duch dyktatorski, nie znoszący nie tylko opozycji, ale nawet wytrawnej i pouczającej krytyki. Według przedstawicieli krajów interesowanych składały się na ten duch gorzkie uprzedzenia i uporczywa stronniczość pochodzące, jak mówiono, z tych niewidocznych źródeł, z których potężne a szkodliwe prądy nieustannie owiewały Konferencję. Gdy żaden ze znieważonych delegatów nie ufał znajomości spraw ani Lloyd George'a, który nigdy nie słyszał o Cieszynie, ani Wilsona, którego korsykańscy politycy wciągnąć chcieli w pułapkę: to jednak do działalności ludzi zajętych sprawami niebywałej przedtem doniosłości byłoby niesprawiedliwie stosować zwykłą miarę technicznych wymagań, skoro stanowisko przedstawicieli największych państw świata, choć brak im było wyobraźni politycznej, wiedzy i doświadczenia, wymagało wyższych względów, które zwykle były im przyznawane. Ale nie można było oczekiwać, żeby to ich stanowisko olśniło swym blaskiem aż do zaślepienia oczy ludzi wyższych i delegaci państw mniejszych Venizelos, Dmowski i Benesz byli niewątpliwie wyższymi, większe mając atrybucje na mężów stanu.

Byli jednak często strofowani i dawano każdemu z nich odczuć, że jest piątem kołem u wozu Konferencji. Najbardziej uświęcony autorytet nie zmusi nas do poddawania się pogardzie, mówi Goethe, oni zaś musieli jej się poddawać. Wielcy Trzej nie umieli załatwić spraw z taktem dyplomatycznym i w sposób delikatny, a skutkiem tego nie tylko nie ufano ich argumentom, ale, jak widzieliśmy, poddawano nawet wątpliwości ich dobrą wolę. „Gorzkie uprzedzenie, wściekła antypatja" mówiono o dwóch anglo-saskich mężach stanu, którzy zostali oskarżeni o to, że za pomocą krętych dróg pozbawić chcieli Francję jej nowego sprzymierzeńca słowiańskiego w Europie Wschodniej. Ulotne oskarżenia tego rodzaju zasługują na uwagę, tylko jako oznaki ducha niezgody—żeby nie użyć silniejszego wyrażenia, panującego na Konferencji, która w zasadzie usiłowała złączyć narody świata w zrzeszenie, oparte na przyjaźni.

Delegaci państw mniejszych, od których nie należy oczekiwać bezpartyjnych sądów, utworzyli oryginalne teorje dla wytłumaczenia polityki aljantów i mieli usposobienie, niezbyt

sprzyjające osiągnięciu widomych celów Konferencji. Jeden z delegatów mówił mi: „Nie mam już najmniejszej wątpliwości, że wyraźnym celem „Wielkich Dwóch“ jest utworzenie hegemonji narodów anglo-saskich, która z biegiem czasu może się przemienić w hegemonję Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nawet Francja jest pod niektóremi względami na ich usługi. Jest już nierozerwalnie z niemi złączona. Nie potrafiłaby dopiąć celu bez ich pomocy; stanie się jeszcze bardziej od nich zależną, kiedy z biegiem lat Niemcy, uporządkowawszy swój kraj, zdobędą nanowo przewagę ekonomiczną na kontynencie. Ten upadek jest wynikiem prawa naturalnego, którego działanie dyplomacja może opóźnić, ale nie może mu przeszkodzić. W przyszłości liczby będą brane w rachubę, a wtedy Francja będzie grała mniejszą rolę. Z tego powodu jest w jej interesie, żeby jej nowi sprzymierzeńcy w Europie Wschodniej byli zaopatrzeni we wszystkie środki, któreby im pozwoliły rozwijać się i wzrastać w siłę, zamiast żeby byli ciągle prowadzeni na pasku przez swoich opiekunów. Ale być może ta opieka jest uważana za jeden z tych środków?“

Dla Anglji, jak widzieliśmy, byli szczególniej źle usposobieni Polacy. Skarżyli się, że jeżeli kiedykolwiek występowali z jakiemś żądaniem, mieli zawsze przeciwko sobie pierwszego delegata Anglji, a jeżeli trafiło się, że był przytem Wilson, premjer angielski starał się nam narzucić swój sposób myślenia lub głosowania. Walka o sprawę Galicji Wschodniej w każdej fazie była walką przeciwko Lloyd-George'owi. Z początku premjer angielski odmówił Polsce Galicji kategorycznie i zamierzał utworzyć z niej zupełnie niezależne państwo pod zwierzchnictwem Ligi Narodów. Ten zamiar, z którego Lloyd George nie robił tajemnicy, był przyczyną tej uporczywości, z jaką nalegano na zawarcie rozejmu z Rusinami w Galicji.

Delegaci polscy, jeden z nich szczególniej stanowczy w mowie, nie szczędzili zabiegów, by obalić tę część planu angielskiego i wreszcie osiągnęli swój cel; przeciwnikom ich jednakże udało się wlać łyżkę dziegciu do beczki miodu przez uchwalenie plebiscytu w Galicji Wschodniej w ciągu dziesięciu czy piętnastu lat. Następnie przyszła pod obrady sprawa konstytucji galicyjskiej. Polacy zamierzali udzielić Rusinom autonomji w ograniczonym zakresie, z prawem samodzielnej decyzji w sprawach religijnych i oświatowych, miejscowych komunikacyj i środków popierania przemysłu i rolnictwa, oprócz tego mieli im dać proporcjonalną liczbę miejsc w ciałach prawodawczych państwowych w Warszawie. Wówczas znowu delegaci angielscy — doświadczeni w sprawach autonomji, wyrazili swe niezadowolenie i nalegali na parlament czy sejm dla Ukrainy, z szerokiemi kompetencjami w sprawach prowincjonalnych

Wtedy Polacy wystąpili z projektem osobnego gubernatora dla Galicji Wschodniej, mianowanego przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, wraz z przyboczną radą. Anglicy znowu chcieli poprawić projekt i zażądali, żeby gubernator był odpowiedzialny przed sejmem galicyjskim, ale temu Polacy oparli się stanowczo; ustalono wreszcie, że tylko członkowie rady będą odpowiedzialni przed władzą prawodawczą prowincjonalną. Polacy chcieli, by pobór wojskowy odbył się w Galicji Wschodniej na tych samych warunkach, jak w całym kraju; Anglicy i na to się nie zgodzili, lecz zażądali, żeby w tej prowincji poboru wojskowego nie urządzać wcale. Wynikiem sporu po długiej walce było wreszcie to, że Komisja Angielska ustąpiła Polakom, ale postawiła warunek, żeby wojska nie były używane poza obrębem prowincji. Na to Polacy odpowiedzieli, że masowe gromadzenie wojsk przy granicy rumuńskiej może być słusznie źle widziane przez Rumunów — ta powolna utarczka słowna o to ciągnęła się dalej w podkomisji. Jednem słowem, w sprawie Galicji Wschodniej Lloyd George grał rolę gorącego zwolennika całkowitego samorządu.

W ostatecznym wyniku Konferencja połączyła Galicję Wschodnią z Polską, ale tak delikatnemi węzłami, że można je było rozerwać w każdej chwili bez wywołania wielkich zmian w każdym z tych krajów, a przez takie urządzenie, wprowadzające środki tymczasowe, jako ostateczne, otwierało się szerokie pole dla agitacji politycznej i przygotowywało się grunt dla rewolucji.

Polacy zażądali Górnego Śląska z racyj, które uważali za przekonywające; lecz mówiono, że Lloyd George nie uznaje ich za wystarczające. Kwestja została poruszona pewnego dnia w czerwcu, kiedy delegaci polscy byli wezwani przed swych wszechpotężnych kolegów dla przyjęcia do wiadomości zmian świeżo wprowadzonych do Traktatu, które ich obchodziły. Stawili się przed Radą Pięciu [1]). Prezydent Wilson, zwracając się do dwóch delegatów, przemówił mniej więcej w ten sposób: „Panowie żądacie Śląska na tej zasadzie, że jego mieszkańcy są Polakami i to wasze żądanie gruntownie rozważyliśmy. Niemcy wszakże nam mówią, że mieszkańcy, chociaż Polacy z pochodzenia, pragną pozostać pod rządem niemieckim, jak poprzednio. Jest to poważny wzgląd, jeżeli jest oparty na faktach. W obecnej chwili nie możemy dać na to odpowiedzi. W istocie nikt nie może dać ostatecznej odpowiedzi, jak tylko sami mieszkańcy. Dlatego musimy zarządzić tam plebiscyt". Jeden z pol-

[1]) Wilson, Lloyd George, Clemenceau, baronowie Makino i Sonnino. Nominalnym prezesem był Clemenceau, obradami kierował prezydent Wilson.

skich delegatów zauważył: „Gdyby podobne pytanie zostało zadane mieszkańcom pięćdziesiąt lat temu, odpowiedzieliby, że pragną pozostać z Niemcami, gdyż w tym czasie byli zupełnie nieuświadomieni i uczucia narodowe drzemały w nich. Dziś jest inaczej. Od tego czasu wielu z nich wykształciło się i większość, uznając doniosłość chwili, wypowie się za Polską. I jeżeli jakiś okrąg dziś będzie wolał rządy niemieckie, niż polskie i przez to na zasadzie plebiscytu stanie się niemieckim, proces uświadomienia, który dziś już odbył tak szybką drogę, pójdzie dalej i dzieci, świadome swej straty, przeklną swych ojców, którzy ją im wyrządzili. I to może być przyczyną zamętu". Wilson odpowiedział: „Pan wybiega myślą za daleko. Granice, które zakreślamy, są tymczasowe, nie zaś ostateczne. Jest to wzgląd, który Pan powinien wziąć pod uwagę. Pozatem Liga Narodów będzie się starała poprawić to, co jest niedoskonałe". „O, Ligo Narodów, jakież głupstwa robi się w twoje imię"! mógł mruknąć do siebie delegat, słuchając słów, które miały pocieszyć jego i jego rodaków.

Wiele można było powiedzieć przeciwko temu proponowanemu źródłu wszelkiej pociechy, gdyby delegaci byli skłonni do wynajdywania błędów. Liga Narodów dotąd jeszcze nie istniała. Jeżeli jej wola, inteligencja i władza miały budzić takie zaufanie, dla czegóż twórcy jej Anglja i Stany Zjednoczone uważały je widać za dosyć problematyczne, skoro się zgodziły zabezpieczyć obronę Francji przez formalną umowę. Jeżeli ten środek zabezpieczenia, który narusza cały system wilsonowski, był niezbędny dla jednego sprzymierzeńca, to co najmniej równie niezbędny powinien być i dla drugiego; w sprawie Polski nawet był on niezbędniejszy, niż w sprawie Francji, gdyż o ileby Niemcy podjęły nanowo wojnę zaborczą minimalne było prawdopodobieństwo, że napadną na Belgję albo się posuną na froncie zachodnim. Linja najmniejszego oporu, jaką była granica z Polską, okazałaby się dla nich bez porównania bardziej pociągającą. Cóż wtedy? Nieobecność wojsk sprzymierzonych w Europie Wschodniej była jedną z głównych przyczyn wojen, zamętu i chaotycznych zamieszek, które ludziom nerwowym kazały drżeć o losy cywilizacji w przerwie pomiędzy zawarciem rozejmu a ratyfikacją Traktatu. W przyszłości brak silnych sprzymierzeńców w razie nowej wojny z Niemcami byłby jeszcze bardziej fatalny i państwo polskie mogłoby przestać istnieć, zanim nadeszłaby pomoc wojenna rządów sprzymierzonych. Dlaczegoż bezpieczeństwo Polski, a do pewnego stopnia i Europy, ma zależeć od tego, co w najlepszym razie tylko grą nazwać można?

Nie wystąpiono wszakże z kontr-propozycjami. Przeciwnie nawet, p. Paderewski dał łagodną odpowiedź, która rozproszyła

gniew. Głęboko żałował, że zapadła taka decyzja ze strony prawodawców, ale widząc, że była nie wzruszona, uchylił przed nią czoła w imieniu swego kraju. Wiedział, jak mówił, że delegaci byli ożywieni niezmiernie przyjaznemi uczuciami dla jego kraju i dziękował im za ich pomoc. Kolega p. Paderewskiego, mniej uległy Dmowski miał powiedzieć: „Pragnę być, panowie, z wami zupełnie szczery. Dlatego ośmielam się przypuścić, że chociaż panowie twierdzą, że oparliście rzecz na przekonaniu, nie zastosowaliście się jednak do tego ściśle. Niewątpliwie przez nieuwagę: są, naprzykład, miejscowości, zamieszkałe przez przeważającą większość polską, które przyznaliście Niemcom na zasadzie, że są zamieszkałe przez Niemców. To jest brak konsekwencji". Na to Lloyd George zerwał się z miejsca i zapytał: „Czy Pan może nazwać jakiekolwiek z tych miejscowości. Dmowski wymienił kilka nazw. „Niech Pan mi je wskaże na mapie" prosił dalej premjer angielski. Wskazano mu je na mapie. Prezydent Wilson prosił dwukrotnie delegata, by mu powiedział, jak się pisze Babimost [1]). Lloyd George odezwał się wtedy: „Dobrze, te niedopatrzenia mogą być poprawione"- „O, tak", dodał Wilson, „dopilnujemy tego" [2]). Dmowski zapytał jeszcze Prezydenta o plebiscyt i to, pod czyim dozorem będzie się odbywało głosowanie i dowiedział się, że zarządzi je administracja sprzymierzona, która będzie dbała o zupełną swobodę głosowania. „W jaki sposób będzie rządziła ta administracja? Czy przy pomocy urzędników?—„Oczywiście", odrzekł Wilson. „Pan niewątpliwie zdaje sobie sprawę z tego, że to są Niemcy?" „Tak, ale administracja będzie miała prawo dawania dymisji tym, którzy się okażą niegodnymi jej zaufania".—„Czy nie sądzi Pan", nalegał Dmowski, „że byłoby słuszniej wycofać połowę urzędników Niemców i oddać ich miejsca Polakom?" Na co Prezydent odpowiedział: „Administracja będzie zupełnie bezpartyjna i zastosuje wszelkie możliwe środki, ażeby zapewnić wolność głosowania". Na tem rozmowa się skończyła.

Dwaj potentaci Rady, budując przyszłość Litwy, załatwili ją odrazu i w sposób szczególny, który w każdym razie świadczył o ich dobrych intencjach. Zasada samostanowienia, którą żartobliwie nazywano bałkanizacją Europy, była przedewszystkiem zastosowana do tej prowincji: zostało stworzone nawpół niezależne państwo *in petto*, które miało mieć osiem miljonów mieszkańców i graniczyć z Polską. Wkrótce potem zjawiły się nieprzewidziane przeszkody. Jedną z nich była ta, że Litwinów jest tylko dwa miljony lub najwyżej dwa miljony sto tysięcy,

[1]) Babimost jest stolicą powiatu dawnej prowincji Poznańskiej mającego około 60000 ludności.

[2]) Istnieją protokóły tej rozmowy.

Z tego Rada Najwyższa nie mogła zrobić ośmiu miljonów. Na Litwie mieszka dwa i pół miljona Polaków, półtora miljona Żydów, resztę zaś stanowią Białorusini [1]). Zgodzono się, że ludność, składająca się z takich różnorodnych elementów, w obecnem położeniu nie mogłaby żyć i rozwijać się jako niepodległe państwo. Żydzi litewscy jednak myśleli inaczej i przeciwstawili się żądaniom polskim z taką stanowczością i mocą, że urazili dumę narodową Polaków i przyczynili się do długotrwałego rozdrażnienia.

Należy zauważyć, że przedstawiciele Rosji, którzy, jak przypuszczano, mogli z trudem utrzymać wszystkie państwa, jakie należały niegdyś do caratu, ujawniali w sprawie Litwy obojętność, która dla wielu była przyjemną niespodzianką. Ambasador rosyjski w Paryżu p. Makłakow, w interesującym odczycie, na uczonem zgromadzeniu [2]) w stolicy francuskiej, oznajmił, że Rosja odtąd wyrzeka się na przyszłość swoich praw do Litwy.

Podczas Konferencji stało się jasnem, że Polacy zamierzali postąpić z Litwinami bardzo szlachetnie. Generał Piłsudski odwiedził z własnej inicjatywy Wilno i wydał odezwę do Litwinów, oznajmiając im, że będą przeprowadzone wybory, i zapytując o ich życzenia, które miały być uwzględnione przez rząd Warszawski. Jednym z najciekawszych dokumentów Konferencji jest urzędowy list, podpisany przez głównego sekretarza p. Dutasta i adresowany do pierwszego polskiego delegata, wzywający go do nakłonienia rządu, by wszedł w stosunki z rządem litewskim, jak przystoi dwóm sąsiadującym państwom. Niestety, nie było wtedy ani uznanego państwa litewskiego, ani rządu, z którymby można było wejść w stosunki.

Jak już często wykazywaliśmy, czyny i słowa dwóch reformatorów świata były tak niefortunne, że sprzyjały utrwaleniu się mniemania — podzielanego przez przedstawicieli całego szeregu upokorzonych narodów, że żądza pozyskania nowych rynków leżała często na dnie tego, co nazywano polityką czystego humanitaryzmu. Niektórych delegatów podejrzywano o to, że byli nieświadomemi narzędziami nieuchwytnych wpływów kapitalistycznych. Może byliby niezmiernie zdziwieni, gdyby im powiedziano rzecz następującą: Anglja była podejrzywana o dążenie do opanowania morza Baltyckiego i jego brzegu, by

[1]) Pewien znany Rosjanin twierdzi, że zamieszkują głównie gubernie Mińską i Grodzieńską, z wyjątkiem jej południowej części, niewielką część Suwalskiej, Wileńskiej z wyjątkiem zakątka północno-zachodniego, całe gubernie Witebską i Mohilowską, zachodnią część Smoleńskiej i niektóre powiaty Czernihowskiej.

[2]) La Société des Etudes Politiques. Przemówienie to zostało wydrukowane i ogłoszone.

wyprzeć Niemców z rynku tego terytorjum, oraz mieć mocne podstawy dla swej akcji w Polsce, Niemczech i Rosji. Osiągnięcie tego celu byłoby panowaniem nad Baltykiem, który był dotąd Niemieckiem jeziorem[1]). Cel ten obejmował oderwanie Gdańska od Polski i wciągnięcie Finnów, Estończyków, Łotyszów i Litwinów, oderwanych od Niemiec, w sferę wpływu Wielkiej Brytanji. Napróżno przyjaciele delegatów tłumaczyli, że interesy ekonomiczne nie były główną sprężyną ich działalności i że nic nie było dalszego od ich zamiarów, niż łowienie mandatów na te kraje. W wielu umysłach głęboko tkwiło przeświadczenie, że każde z wielkich mocarstw prowadziło grę na własną rękę. Trudno zaprzeczyć, żeby to twierdzenie nie było pozbawione pewnych podstaw. Komentowano obszernie a niepochlebnie, gdy wśród żaru dyskusji na Konferencji wystąpił mąż zaufania aljantów i zadał delegatom znaczące, a niepolityczne pytanie: „Jakbyście się panowie zapatrywali na to, gdyby Anglja otrzymała mandat co do Litwy?“

„Wielkie mocarstwa“, zauważył jeden z najbardziej wymownych delegatów państw mniejszych, „to są bandyci, ale ponieważ operują na szerszą skalę, więc zasługują na inną, bardziej elegancką nazwę. Wzrok ich nęcą rynki, koncesje, monopole. Teraz robią przygotowania do wielkich łowów. Politycy nie powinni tem się gorszyć. Nie było nigdy inaczej, odkąd ludzie zaczęli żyć, jako unormowane społeczeństwo. Co jest jednak irytujące i wstrętne — to ten zapach altruizmu i filantropji, towarzyszący procesowi rozkładu. Dowiadujemy się, że już kupują składy w Gdańsku, przygotowują się do wielkich obrotów w Libawie, Rydze i Rewlu, zakładają bank w Klagenfurcie i pertraktują o źródła naftowe w Rumunji. Głęboko pochłonięci etyką w polityce, nie utracili jednak z oczu dóbr ziemskich, które można zebrać i przywłaszczyć sobie podczas trudnej wędrówki do celów idealnych. Atmosfera, jaką w ten sposób stwarzali, jest bardzo podatna do rozwoju hipokryzji i przyczynia się do przyśpieszenia procesu moralnego i społecznego rozkładu. A skutki tych trujących wyziewów mogą się okazać trwalszemi, niż udział ich twórców w politycznej reorganizacji Europy. Jeżeli porównamy wysokie funkcje, które mogli byli wypełnić w stosunku do rozległych potrzeb i nieznanych dotąd dążeń nowego wieku — z temi, które wykonieświadomie i rozmyślnie, jako sofiści sentymentalnej moralności i niszczyciele pszenicy razem z kąkolem, musimy żało-

[1]) W ten sposób tłumaczono sobie w Niemczech i w Rosji motywy, kierujące polityką narodów anglo-saskich. Najgruntowniejszą próbą dowodzenia słuszności tej tezy jest artykuł Dr. Bunke'go w *Dantziger Neueste Nachrichten*, już cytowany w tej książce.

wać, że jedna z najrzadszych sposobności została bezpowrotnie zmarnowana."

W tej krytyce jest ziarno prawdy. Prądy etyczno-społeczne, które wywołała wojna, mają głęboką podstawę moralną i, odpowiednio uregulowane, mogłyby wzbogacić wiele krajów i doprowadzić do nowego i zdrowego systemu państwowego. Niezbędnym warunkiem było jednak to, żeby narody świata były same bezpośrednio zainteresowane w procesie, żeby się ich radzono, dawano im posłuch i prowadzono je nowemi drogami myśli i czynu. Zamiast tego delegaci zadawalali się dawaniem nowych nazw starym instytucjom i dążeniom, które zostały potępione, oraz zastosowaniem bezprawnego lekceważenia każdej przeszkody i ograniczenia, z wyjątkiem tych, które chciało się im uznać. Byli potężnymi obrońcami prawa i sprawiedliwości, demokracji i jawności, ale ich definicje tych pojęć abstrakcyjnych wywoływały zdumienie w ludziach uczciwie myślących. Egoizm i potęga materjalna — były to bożki, które postanowiono obalić, ale bóstwa, postanowione na ich miejsca miały ten sam znany wygląd bożków, zostały jedynie pomalowane na inny kolor.

ROZDZIAŁ VII.

PRZYSZŁOŚĆ POLSKI.

RZUCAJĄC pożegnalne spojrzenie na Polskę w chwili, gdy się wyłaniała na Konferencji, prowadzona na pasku wielkich mocarstw zachodnich, po wyrwaniu się z niebezpieczeństw bolszewickich, otaczających ją dookoła, widzimy, że rozpoczyna swe istnienie jako naród nawpół-niezależny, otoczony przez wrogów domowych i obcych. Byłoby nadużywaniem właściwego znaczenia wyrazu, gdybyśmy twierdzili, że Polska lub którekolwiek z mniejszych państw jest całkowicie niezależne w dawnem znaczeniu tego terminu. Umowa specjalna, narzucona Polsce przez Wielkich Trzech, zmusza ją do udzielenia wolnego przewozu towarów sprzymierzeńców i pewnych przywilejów mniejszościom żydowskim i innym, do poddania się nadzorowi i interwencji Ligi Narodów, z którą Polacy walczyli jako z organizacją anglo-sasko-żydowską; wreszcie przynajmniej z początku w każdym razie zmusza do uznania naczelnego wodza francuskiego za głównego dowódcę jej wojsk.

Granice Polski i jej położenie ogólne powinny być, według planu jej francuskich protektorów, przystosowane do szczególnych funkcyj, do których wypełnienia przeznaczano ją w Nowej Europie. Zamiarem Francji było stworzenie z Polski wału ochronnego pomiędzy Rosją a Niemcami. Wyraźną tendencją dwóch pozostałych kierowników Konferencji było zrobienie z niej mostu pomiędzy temi dwoma krajami. A wynikiem kompromisu tych dwóch dążności było coś, co nie będąc ani jednem, ani drugiem, skupiło złe strony obydwóch, tworząc most dla Niemiec i wał dla Rosji bolszewickiej. Takie jest zdanie wielu Polaków. Choć Europa przyszłości ma być pokojem i etycznie skonsolidowanem zrzeszeniem narodów, ktorego członkowie będą załatwiali swe spory i nieporozumienia w sądach rozjemczych i w innych trybunałach; to jednakże wojna i skuteczne przygotowania do niej zajmowały gorąco umysły ostrożnych prawodawców. Stąd wyniknęła anglo-saska ugoda dla obrony Francji w wypadku niesprowokowanego najazdu; stąd też

troska Francji, by Państwo Polskie, które ma być jej ostoją w Europie Wschodniej, było zaopatrzone w terytorjalne i wszelkie inne gwarancje, któreby je uzdolniły do wypełniania jego obowiązków. Lecz tego, co się udało rządowi francuskiemu zdobyć dla siebie, nie udało mu się zapewnić jej nowemu sprzymierzeńcowi słowiańskiemu. Francja głosowała razem z delegatami anglo-saskimi za oddaniem wszystkich państw mniejszych pod opiekę Ligi Narodów. Duumwirowie, po zrobieniu niezbędnych ustępstw Francji, zdecydowali się w sprawie Polski nie robić dalszych ustępstw w kierunku potępionych form dawnego systemu równowagi. Stąd rozmaite plebiscyty, samorządy, podziały terytorjów i inne dowody walki o linję najmniejszego oporu, jak gdyby w przyszłym nieuniknionym konflikcie pomiędzy nieśmiało głoszonemi teorjami a siłami polityczno - społecznemi te pierwsze miały jakiekolwiek poważne widoki osiągnięcia przewagi. W polityce, jak w sprawach pieniężnych, mniej wartościowy metal usuwa z obiegu złoto.

Położenie Polski jest trudne; niektórzy nazwaliby je niepewnem. Jest otoczona potężnymi wrogami zewnętrznymi i ma ich też wewnątrz; są to Niemcy, Rosjanie, Ukraińcy, Węgrzy i Żydzi. Znaczna ilość Niemców jest dziś wcielona do jej rzeczypospolitej, zarówno jak znaczna liczba ludności pochodzenia rosyjskiego. Rosja i Niemcy, nawet jeżeli wyrzekną się zamiarów zawojowania nanowo terytorjum, którem władały przez taki długi przeciąg czasu, mogą zapragnąć pewnego dnia odebrania swoich dawnych poddanych i tego, co uważają za własną ziemię. Irrydentyzm jest jedną z najgorszych plag politycznych dla tych wszystkich trzech partyj, które zwykle nań cierpiały. Gdyby więc Niemcy i Rosja, porozumiawszy się, napadły na Polskę, skutki mogłyby być poważne. Wydaje się nieprawdopodobnem, by demokratyczne Niemcy odważyły się na taką ryzykowną awanturę w bliskiej przyszłości; historja wszakże działa na długie okresy czasu, więc i mądrość stanu musi się do niej przystosować.

Polski mąż stanu mógł wychodzić z założenia, że ponieważ Rosja i Niemcy przestały na pewien czas być wpływowemi członkami europejskiego systemu państwowego, można wejść w porozumienie z obydwoma temi państwami, a z jednem z nich zawrzeć bliski stosunek. Dla osiągnięcia tego celu niezbędną jest pomysłowość i mądrość stanu. Niektórzy Rosjanie są dotąd jeszcze niezbyt skłonni do kompromisu i pragnęliby odebrać część tego, co fala rewolucji oderwała z pod ich władzy; okoliczności wszakże zniewalają do uznania nowej wpływowej siły, a jest nią co do najbliższej przyszłości — umiarkowanie. Już dziś jest ona wcielona w mężów stanu nowego typu. W związku z tem, ciekawem jest wyśledzić te tajemnicze

sposoby, za pomocą których uznanie niepodległości Polski zostało, jeśli się tak można wyrazić, wymuszone na rosyjskim ministrze, który miał w tym czasie opinję demokraty nad demokratami. Ponieważ niektóre rządy stają się dziś gorącymi zwolennikami jawności, mam nadzieję, że odsłonięcie tej sprawy będzie tak samo pożyteczne dla interesowanych, jakiem było systematyczne wstrzymywznie moich artykułów i depesz w ciągu lat czterech [1]).

Po wybuchu rewolucji rosyjskiej przedstawiciele Polski w Anglji, pracujący nieustannie nad odrodzeniem ojczyzny, udali się do rządu angielskiego z prośbą, by korzystając z okoliczności, zażądał od nowego demokratycznego gabinetu w Piotrogrodzie wydania odezwy, uznającej niepodległość Polski. Motywy tego kroku były omówione szczegółowo, ustnie i na piśmie, i sekretarz do spraw zagranicznych wysłał niezwłocznie telegram do ambasadora w stolicy rosyjskiej, wzywając go do wyłożenia sprawy rosyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych i zachęcenia go, by, nie tracąc czasu, zadosyć uczynił żądaniu polskiego rządu tymczasowego i naprawił krzywdy, wyrządzone przez Rosję. Sir George Buchanan odwiedził profesora Milukowa, ówczesnego ministra spraw zagranicznych i kierownika partji demokratów konstytucyjnych, i wyłożył mu poglądy rządu angielskiego, które zgadzały się z poglądami Francji i Włoch; wypowiedział też nadzieję, że Milukow potrafi znaleźć sposób skorzystania z okoliczności. Odpowiedź była szybka i stanowcza, i nadeszła do ministerjum spraw zagranicznych w Londynie w czterdzieści osiem godzin po wysłaniu depeszy Balfoura. Rosyjski minister spraw zagranicznych ubolewał nad tem, że w obecnych warunkach nie może się zająć tą kwestją z powodu zbyt wielkiej jej zawiłości i różnych innych względów, oraz z tego powodu, że według jego zdania, Polacy mogliby zażądać wcielenia ziem rosyjskich do swego odbudowanego państwa. Z tej odpowiedzi można wyprowadzić wiele wniosków, dotyczących osobistości, partyj i przekonań ujawnionych za Rosji rewolucyjnej. Balfour nie uznał tej odpowiedzi za ostateczną. Telegrafował na nowo do ambasadora angielskiego, polecając mu, żeby żądał stanowczo uznania Polski, gdyż sprawa była pilna, i wezwał Rząd Tymczasowy do dania przez to niezbędnego dowodu prawdziwego demokratyzmu, który zbawi Rosję. Sir George Buchanan wywiązał się z zadania doskonale. Milu-

[1]) Większa część moich artykułów, w ciągu drugiej połowy wojny i niektóre z czasów rozejmu były wstrzymywane z powodów uważanych za patrjotyczne. Podzielam z tymi, którzy byli pośrednikami w ukrywaniu ich przed publicznością, część moralnej nagrody, jaką jest przekonanie, że w ten sposób przysłużono się jakiemuś wielkiemu celowi.

kow uległ i wydał odezwę. Bonar Law powitał ją stosowną mową w Izbie Gmin [1]), a prasa Ententy podnosiła do niebios szlachetnego ducha nowego rządu rosyjskiego. Naród rosyjski i jego kierownicy zrobili wielki krok naprzód i uwolnili się przez to od wielkiego a zbytecznego ciężaru.

Jako Słowianie, Polacy mogliby mieć skłonność naturalną do przyjaznego współżycia z Rosjanami, gdyby nie stało pomiędzy nimi widmo przeszłości. Dziś wszakże, kiedy Rosja jest demokratyczną w samej rzeczy, zarówno jak i z nazwy, jest to o wiele łatwiej osiągnąć, niż przedtem; jest to niezbędne i dla Rosjan. Przedewszystkiem jest możliwe, że Polska uporządkuje swe siły, zanim jej potężny sąsiad zajmie stanowisko odpowiadające jego liczebności i bogactwu. Jeżeli dzisiejsze przewidywania są trafne, i definitywnie zakreślone granice zrobią z Polski rzeczpospolitę z trzydziestoma pięcioma miljonami ludności, jej niezwykle wysoka liczba urodzeń i swobodna do rozwoju przestrzeń terytorjalna w niedalekiej przyszłości doprowadzą do tego, że jej ludność liczniejsza będzie niż ludność Francji. Jeżeli wojsko i inne środki obrony narodowej będą znaczyły w polityce tyleż, co dotychczas, szczególne znaczenie Polski wzrośnie jeszcze bardziej. Stanie się ona nie tylko potęgą światową (dziś jest ich tylko dwie), ale wielkiem mocarstwem europejskiem, o którego przyjaźń dbać będzie warto. Tymczasem polscy mężowie stanu — Polacy mają jednego w Romanie Dmowskim—mogą zawrzeć przyjazną umowę z Rosją, porzucając ostatecznie wszelkie pretensje do tak zwanej Polski historycznej, przestając się interesować kwestjami Baltyku, tak blisko obchodzącemi Rosję, i ujmując kwestję Ukrainy z punktu widzenia, zgodnego z jej własnym. I jeżeli te dwa narody znajdą w ten sposób wspólną podstawę do przyjaznego związku, Polska rozwiąże przynajmniej jedną ze swych sfinksowych zagadek.

Co się tyczy wewnętrznego rozwoju narodu, zdaje się, że jest skrępowany takąż masą przeszkód, jak międzynarodowy. Można go przyrównać do świata po stworzeniu, noszącego ślady wczorajszego chaosu. Polacy z pod zaboru niemieckiego różnią się znacznie od swych rodaków z zaboru austrjackiego, Polacy zaś z pod zaboru rosyjskiego są zupełnie odmienni od rodaków swych z dwóch innych zaborów. Ci ostatni noszą jeszcze świeże ślady niewoli w zakresie swej codziennej pracy. Brak im rozpędu i energji w dążeniu do celu, tak dziś niezbędnej w walce o byt. Polacy z pod zaboru austrjackiego są uważani również za uległych, słabych, bardziej błyskotliwych, niż gruntownych, a ich zdolności administracyjne są, jak powiadają, nieco podobne do

[1]) 26 kwietnia 1917 r.

wschodnich metod prowadzenia interesów. Polacy mieszkający w prowincjach, które były pod panowaniem niemieckiem, są ludźmi odmiennego pokroju. Przyswoili sobie niektóre z lepszych właściwości Teutonów, nie wyrzekając się tych, które cechują ludzi ich rasy. Gruntowne ujmowanie szczegółów i dar organizacyjny charakteryzuje ich pracę, a metody ich odznaczają się dokładnością, rzetelnością i sumiennością. Jeżeli jest prawdą, że pierwszą niezbędną reformą w nowej rzeczypospolitej powinno być oczyszczenie administracji, może to być najpomyślniej dokonane przy rozległem współdziałaniu Wielkopolanów, którym wyższe wykształcenie ułatwia przystosowanie projektów do najbardziej palących potrzeb narodu i epoki.

Drugim środkiem powinna być kolonizacja wewnętrzna. Są znaczne pasma ziemi w dawnym zaborze rosyjskim, gdzie z powodu spustoszeń wojennych ludność jest bardzo nieliczna. Niektóre przestrzenie, naprzykład błota nad Prypecią, które w najlepszych czasach liczyły pięciu ludzi na kilometr, są prawie pustyniami. Armja rosyjska, cofając się przed Niemcami, pędziła przed sobą ogromną ludność, dochodzącą do ośmiu miljonów, mieszkającą na przestrzeni na wschód od Brześcia Litewskiego i na północ pomiędzy Lidą a Mińskiem. Z tych ośmiu miljonów wiele zginęło w drodze. Znaczny procent tych, co ocaleli, wcale nie wrócił [1]). Ogólnie biorąc, parę miljonów (przeważnie Polacy i Żydzi) wróciło do swych zrujnowanych domostw. Polacy, będący jedną z najbardziej płodnych ras w Europie, mogą być zachęcani do osiedlania się w tych słabo zaludnionych okręgach, które w ten sposób w stosunkowo krótkim przeciągu czasu mogą się zamienić na etnograficznie polskie. To są jednak tylko poglądy przyjaźnie usposobionego obserwatora, którego opinja nie może pretendować do tego, żeby miarodajną była.

Dziś nadzieją Polski nie jest, jak był dotąd, szlachcic, profesor i dziennikarz, ale chłop. Przedstawiciele tego stanu są jądrem nowego narodu. Z ich grona wyjdą przyszli przedstawiciele Polski w polityce, sztuce i nauce. Już dziś chłopi kształcą swych synów w szkołach wyższych i uniwersytetach, których Rzeczpospolita ma pokaźną ilość i w których wykładają wykwalifikowani nauczyciele [2]); ci nowi ludzie są zdecydowanymi przeciwnikami każdego ruchu, zabarwionego bolszewizmem.

---

[1]) Głównie Białorusini.

[2]) Polacy mają uniwersytety w Krakowie, Warszawie, Lwowie Lublinie, wkrótce zaś ma być otworzony uniwersytet w Poznaniu. Pewien polski mąż stanu powziął nową i pożyteczną myśl, która zapewne zostanie zastosowana w uniwersytecie poznańskim. Zważywszy, że ciągłe postępy umiejętności technicznych, pomimo, że odpowiadają pilnej potrzebie nowych czasów, za mało są popularyzowane w porównaniu z umiejętnościami humanitarnemi: ten mąż stanu proponuje stwo-

Trudności i niebezpieczeństwa, z któremi będzie musiała walczyć nowa Polska, są ogromne. Ale posiada ona warunki do ich przezwyciężenia i osiągnięcia celu, którym jest odegranie wybitnej roli w zreorganizowanej Europie. Niezbędnym warunkiem powodzenia jest, by mężowie stanu odrodzonego państwa znaleźli oparcie w opinji i uczuciach kraju. Obowiązkiem ich jest nie tylko rozumieć wymagania nowej epoki i umieć czujnie wyrozumiewać opinję publiczną, ale i mieć odwagę swojem życiem i działalnością wskazać innym wysokie cele społeczne. Mężowie stanu tego typu trafiają się dziś rzadko, ale Polska posiada przynajmniej jednego z takich. Jej bogactwa pozwalają żywić przekonanie, wypowiadane stanowczo przez jej kierowników, że w niedługiej przyszłości Polska obejmie kierownictwo ekonomiczne w Europie Wschodniej, a co do ludności, siłą wojskową i rozległością dorówna Francji.

Mimochodem możemy zauważyć, że entuzjazm Polaków dla instytucyj angielskich i zapał do bliskich stosunków z Anglją znacznie ochłódł.

W ograniczeniach, którym Polska musi tymczasem podlegać, jej bardziej optymistyczni kierownicy widzą chwilowy nieunikniony warunek zbawiennego procesu, dążącego ku lepszemu. Wiara narodu, która wzniesie pewnego dnia kraj ponad najwyższe szczyty jego dawnego rozwoju historycznego, jeżeli nie pogodzi go z rzeczywistością, podnieci do wysiłku, który zrealizuje te najwyższe pragnienia w przyszłości.

---

rzenie nowego typu uniwersytetu, który dzieliłby się na dwa główne wydziały: jeden dla studjowania nauk przyrodniczych i matematycznych i drugi dla studjów humanitarnych, do których należałyby: biologja, psychologja, etnografja, socjologja, filologja, historja i t. d.

ROZDZIAŁ VIII.

WŁOCHY.

ZE wszystkich zagadnień, które Konferencja miała rozstrzygnąć, słusznie uważano za najłatwiejsze te, jakie poruszone zostały przez Włochy. Zarówno w świetle czternastu punktów, jak i dawnego systemu praw zwycięzców, mogły być rozstrzygnięte niemal automatycznie. Kryterja pokojowe wszakże, dalekie były od tych dwóch rodzajów zasad; składały się z kilku rozbieżnych maksym, stosowanych na zmianę według decyzji Wilsona w każdym poszczególnym wypadku. Od jego zaś wyroku nie było odwołania.

Mądrością stanu jest umieć się znaleźć na miejscu– chciałoby się powiedzieć w skórze— cudzoziemskich narodów i rządów, z któremi ma się do czynienia. Zadanie to jest trudne i wymaga szeregu warunków, których Prezydent nie mógł wypełnić. Jego pojęcie o Europie było zbyt proste. Można je trafnie porównać do powiedzenia ekonomisty amerykańskiego, który kiedyś odezwał się do dyrektora jednej z angielskich kolei: „Wy, anglicy, macie się spyszna, kiedy musicie budować koleje przez miasta; my się zabieramy do pracy inaczej: przedewszystkiem robimy drogę, a potem budujemy miasta".

Wilson był właśnie w poszukiwaniu punktu oparcia dla swej idealistycznej dźwigni. Był już właśnie wyrzucony przez egoistyczne rządy z kilku swych głównych pozycyj i ludzie zapytywali z ironją, czy nowa ewangelja polityczna była głoszona tylko dla upiększenia odstępstw. W ten sposób wyrzekł się on wolności mórz... przy której tak się upierał z początku. Choć odmówił Francji granicy Renu, ustąpił wbrew własnemu zdaniu Clemenceau w sprawie zagłębia Saary, zgadzając się na potworną ugodę, według której niemieccy mieszkańcy tego okręgu zostali oddani Rzeczypospolitej Francuskiej, wbrew ich woli, jako zastaw za sumę płatną złotem, której Niemcy nie byłyby w stanie za-

płacić [1]). Przewidywał również niewątpliwie, że ustąpi w sprawie Szantungu i tajnej umowy chińsko-japońskiej. Jednem słowem, niektóre z jego najważniejszych abstrakcyjnych doktryn, wypowiedzianych w słowach, porzucano, gdy szło o czyny; położenie więc jego było naprawdę nie do pozazdroszczenia. Dlatego to chwycił się pierwszej sprzyjającej okoliczności, żeby móc zastosować je energicznie i bezwzględnie. Powód ku temu dał spór pomiędzy Włochami a Jugosławją, państwami, które Wilson trzymał poprostu w ręku.

Jugosławja, państwo świeżo powstające, zależała w sprawie swych granic wyłącznie od „stań się" Prezydenta amerykańskiego, popartego przez premjerów Anglji i Francji; tego zaś poparcia Wilson był pewny. Włochy, choć militarnie o wiele potężniejsze od Jugosławji, były również zależne ekonomicznie od dobrej woli dwóch państw anglo-saskich, które były z góry pewne poparcia republiki francuskiej. Jeżeliby więc nie było można rozumowaniem lub namową skłonić ich do usłuchania Rady Najwyższej, z łatwością można było wpłynąć na nie innemi sposobami. W takiej sytuacji Wilson mógł bez obawy, zastosować swe poglądy etyczne. Ze spokojnego, stanowczego tonu Prezydenta w stosunku do delegacji włoskiej widać było, że ta myśl jest podstawą jego polityki. W tym wypadku należy pamiętać, że niema ważniejszej różnicy pomiędzy poprzedniemi układami pokojowemi a umową na Konferencji Paryskiej, poza tym nieuznawanym, ale niewątpliwym faktem, że Konferencja polega na hegemonji państw anglo-saskich, gdy tymczasem umowy poprzednie były oparte na równowadze sił. Taka ogromna zmiana nie mogła być dokonana bez wyrzucenia, jako bezużytecznego balastu, niektórych wysoko cenionych dogmatów uznanych wierzeń politycznych, choćby nawet kosztem naruszenia solidarności narodów rasy łacińskiej. To się stało przygodnie. W istocie Francuzi nie należą w ścisłem znaczeniu słowa do rasy łacińskiej, ani też ich solidarność z Włochami i Hiszpanją nie była w ostatnich czasach siłą politycznie czynną. Odmowa Włoch, które nie chciały walczyć przy boku swych teutońskich sprzymierzeńców przeciwko Francji i jej sojusznikom mogłaby być wywołana pokrewieństwem rasowem, ale nie była chyba nigdy objaśniana temi względami uczuciowemi. Sentyment w polityce jest mitem. W każdym razie Clemenceau nie widział racji do robienia ciężkich wysiłków w celu wzmocnienia związku łacińskiego, gdyż dbałość o interesy narodowe powstrzymywała go od robienia większych ustępstw w tym kierunku.

[1]) Ten paragraf w Traktacie po przedłożeniu go Niemcom wywołał takie gorące protesty ze wszystkich stron, że musiano zmienić jego redakcję.

Naturalnie kardynalna inowacja, której to było wynikiem, nie była nigdy podawana jako przyczyna wyjątkowych sposobów, do których uciekała się Konferencja. A jednak była powodem wielu z nich i chociaż nie zrobiono nigdy nawet najmniejszej wzmianki o hegemonji państw anglosaskich, tkwiła ona niejako w podświadomości dwóch delegatów. Mając na widoku wszechwładztwo tych dwóch narodów, poświęcali chwilowo istotę rzeczy dla taktyki, zapewne bez wyrzutów sumienia i napewno bez wahań politycznych. Ta hegemonja może być częściowem wytłumaczeniem granic, w których Konferencja robiła ustępstwa imperjalistycznym żądaniom wielkich mocarstw. Francja żądała uznania i traktowania siebie, jako uosobienia tej cywilizacji, za którą walczyły narody sprzymierzone. I dla wielu przyczyn, których rozważanie byłoby na tem miejscu zbyteczne, większa część jej żądań została zaspokojona. Te ustępstwa były krytykowane przez wielu, jako uchylenie się od zasad, ale to uchylenie było tylko pozorne, gdyż poza wszystkiemi osłonami haseł idealistycznych utrzymała się dawna doktryna siły. Jedyną istotną różnicę pomiędzy dawnym systemem a nowym można było wyczuć pomiędzy sprawującymi władzę a celami, do których zamierzali ją stosować. Siła pozostaje murowaną podstawą nowego porządku, tak jak była podstawą dawnego; mniemano tylko, że użytek z niej w przyszłości będzie odmienny od tego, jaki był w przeszłości. Zogniskowana w ręku ludów anglo-saskich, stanie się narzędziem tak potężnem, że nie będzie istotnej potrzeby jej używania. Rozporządzanie tak przeważającą ogromną siłą wystarczy do wymuszenia posłuszeństwa wyrokom jej posiadaczy, które, jak twierdzono, będą zawsze natchnione sprawiedliwością. Wszelka próba oparcia się tej sile zostanie uniemożliwiona przynajmniej tak długo, dopóki warunki militarne i ekonomiczne państw świata nie ulegną widocznej zmianie. Do tej chwili widmo wojny się nie zjawi, i wszelkie krzyczące nadużycia będą usuwane.

Nie jest prawdopodobnem, żeby te poglądy były wyraźnie sformułowane i ujęte w jakieś paragrafy tajnego programu. Ale można to zauważyć, że ogólne zarysy tej polityki zostały określone i postanowione w milczącej zgodzie. Te linje wytyczne kierowały akcją dwóch arbitrów świata, nie tylko w dyktatorskich wyrokach, które wydawano w imię idealizmu politycznego i jego czternastu punktów i których nacisk odczuły tak gorzko Włochy, Rumunja, Jugosławja, Polska i Grecja: ale również w innych ustępstwach, które zgorszyły purytanów politycznych, a uradowały serca Francuzów, Japończyków, Jugosłowian i Żydów. Wyroki dyktatorskie były inspirowane delegatom przez zasadnicze ich cele, ustępstwa—przez potrze-

by ich taktyki, stąd pierwsze uważali za stałe, drugie — za przemijające.

Wszelkie inne objaśnienia kryzysu włoskiego, chociaż nie są sprzeczne z niektóremi jego fazami, z punktu widzenia istoty kwestji są niewystarczające. Nawet gdyby było prawdą to, co pisał dramaturg Benelli, że „prezydent Wilson widocznie uważa nasz naród, jakby za jakąś kolonję afrykańską, kierowaną wolą kilku ambitnych ludzi", to nie wystarczyłoby to jednakże do wytłumaczenia uporczywej stanowczości, z jaką prezydent trzymał się swej słabej teorji.

Położenie Włoch w Europie było pod wielu względami szczególne. Jeszcze dziś żyjący ludzie pamiętają czasy, kiedy termin Włochy znaczył niewiele więcej, niż nazwę geograficzną, która dopiero stopniowo, z biegiem ostatnich sześćdziesięciu lat, zaczęła oznaczać ciężko pracujący, trzeźwy i patrjotyczny naród. Stopniowo i powoli Włochy zawładnęły nanowo najpiękniejszemi swemi prowincjami i stolicą, lecz nawet i wtedy zjednoczenie ich nie zostało jeszcze ostatecznie dokonane. Austrja dotąd trzymała pod swą władzą wielu z ich synów, nie tylko w Trydencie, ale i na drugim brzegu Adrjatyku; przez lat trzydzieści ich pragnienie odzyskania straconych dzieci było paraliżowane przez stosunki międzynarodowe. W ich własnym interesie, zarówno jak w interesie pokoju, stały się one trzecim członkiem Przymierza, które zmuszało je do opanowania uczuć patrjotycznych i zużywania całej energji na zapobieżenie konfliktowi europejskiemu.

Kiedy wybuchnęła wojna, stanowisko rządu włoskiego było sprawą niezmiernej doniosłości dla Francji i Ententy. Wiele, może cały los Europy, zależał od tego, czy Włosi pozostaną neutralni, czy wystąpią po stronie Teutonów. Wybrali tę pierwszą alternatywę i dosłownie uratowali sytuację. Kwestja motywów zupełnie nie wchodzi w rachubę. Później zachęcano ich do następnego kroku i podjęcia czynnej akcji przeciwko swoim poprzednim sprzymierzeńcom. Wszakże potężny odłam opinji i nastrój kraju był i wówczas przeciwny współdziałaniu wojennemu na tej zasadzie, że ogólna suma korzyści uzyskanych przez neutralność, przewyższyłaby nagrodę za zwycięstwo, zdobyte przy boku Ententy. Słuszność tego zdania zależała od wielu czynników nieobliczalnych, pomiędzy któremi była i długość trwania walki. Opinja mniemała, że walka będzie krótka i w tym wypadku warunki, któremi nęciła oczy Włoch Ententa byłyby według zdania rządu, o wiele korzystniejsze od tych, jakie gotowe były ofiarować mocarstwa centralne. W każdym razie zostały one przyjęte i umowa została zawarta, podpisana i ratyfikowana przez ludzi, których idealizm uległ w sporze ze zmysłem praktycznym i których polityka uświęconego egoizmu,

stanowczego w słowach, a słabego w czynie, poniżała dobre imię rządu, nie dając wystarczającego zadosyćuczynienia krajowi. Walka światowa trwała o wiele dłużej, niż ośmielali się przypuścić mężowie stanu; zobowiązania Włoch musiały się znacznie zwiększyć przez zdradę Rosji; musiały one zwalczać napór wszystkich zamiast części wojsk austrjackich, przez co wymagane od nich ofiary stały się w odpowiednim stosunku cięższe. Należy przyznać, że trudności i ciężary, które musiał ponosić naród włoski, przed osiągnięciem swego celu, były dotąd tylko bardzo niewystarczająco oceniane przez aljantów. Przeszkody były olbrzymie, wysiłki bohaterskie; tylko rezultaty skurczały się do pożałowania godnych rozmiarów.

Gdy wojna minęła, mężowie stanu włoscy wierzyli z ufnością, że te nadaremne wysiłki zostaną należycie ocenione przez aljantów. Ich oczekiwania skrystalizowały się odrazu w formie żądań terytorjalnych. Prasa, podtrzymująca je, oburzyła nadmiernemi żądaniami opinję anglo-saską i podnieciła naród własny złudnemi nadziejami, których niewypełnienie z pewnością wywołałoby ogólne niezadowolenie. Rzecz ciekawa, że rząd i prasa kładły główny nacisk na ekspansję terytorjalną, nie licząc prawie wcale na korzyści ekonomiczne.

W owej właśnie chwili wystąpił Wilson i pomieszał wszystkie figury na szachownicy politycznej. „Wy", mówił z efektem, „walczyliście o pokonanie swego odwiecznego wroga—Austrji. Obecnie Austrja się rozpadła, — więc macie zupełne zadowolenie. Wasze granice zostaną na jej rachunek rozszerzone, lecz nie na niekorzyść nowych państw, które powstaną na jej ruinach. Przeciwnie nawet, wobec ich praw, musicie ograniczyć wasze pretensje i wasz wzrost terytorjalny. Nie tylko nie możecie mieć całego dodatkowego terytorjum, którego pragniecie, ale muszę wam odmówić nawet tego, co wam było obiecane w tajnej umowie. Sprzeciwiam się jej uznaniu, gdyż Stany Zjednoczone nie miały w niej udziału, i faktycznie do ostatniej chwili nie wiedziały nawet o niej. Nowe warunki zamieniły ją w skrawek papieru".

Takiego języka naród włoski nie zrozumiał. Dla niego świętość umów była nienaruszalnym dogmatem, który chyba najmniej mógł być kwestjonowany przez bojownika, walczącego za prawo, sprawiedliwość i dobrą wolę. Witali z uznaniem nowy porządek, zwiastowany przez amerykańskiego męża stanu, ale nie mogli pogodzić go z unicestwieniem istniejących umów, odrzuceniem uznanych praw i rozwiązywaniem przymierzy. W szczególności ich umowa z Francją, Anglją i Rosją przyczyniła się w wielkim stopniu do zwycięstwa nad wspólnym wrogiem, a nawet uratowała aljantów. „Wystąpienie Włoch", mówił szef austrjackiego sztabu gene-

ralnego Konrad von Hoetzendorff, „sprowadziło klęskę. Gdyby nie to, mocarstwa centralne niewątpliwie wygrałyby wojnę" [1]). I niema racji wątpić o słuszności tego twierdzenia. Istotnie, Włochy dopełniły wszystkiego, co obiecały Entencie—i więcej jeszcze: przyczyniły się znacznie do uratowania Francji — zupełnie bezinteresownie. Oprócz tego neutralność ich, którą mogły przehandlować, ale tego nie uczyniły, [2]) w Bukareszcie przeważyła szalę przeciwko zbrojnemu wystąpieniu Rumunji po stronie Teutonów [3]). Bez neutralności tych dwóch krajów na początku działań wojennych przebieg walk i historji Europy byłby zupełnie odmienny od tego, jakim był. I dziś, gdy aljanci osiągnęli swój cel, mieliżby odmówić wypełnienia każdy swej części umowy w myśl zasady moralnej, od stosowania której czuły się zwolnione trzy wielkie mocarstwa. W takiem oświetleniu sprawa się przedstawiała nieuprzedzonemu umysłowi przeciętnego Włocha—i nie tylko jego. Inni, przyzwyczajeni do abstrakcyjnego myślenia, zapytywali, czy jest najlepszem przygotowaniem do przyszłego panowania prawa i sprawiedliwości przekraczanie istniejących praw i pogwałcenie zwykłej sprawiedliwości, oraz jaka jest różnica pomiędzy demoralizującym wpływem tej procedury, a postępowaniem zawodowych bolszewików? Była tylko jedna odpowiedź na to pytanie, a polegała ona na całkowitem i ścisłem zastosowaniu zasad Wilsona do wszystkich bez wyjątku narodów. Wszakże nie odważył się dać jej nawet sam twórca tych zasad.

Istota kwestji terytorjalnej polegała na losach wschodniego brzegu Adrjatyku [4]). Jugosłowianie żądali całej Istrji i Dalmacji i opierali swe żądanie częściowo na zasadzie narodowościowej, częściowo na istotnej konieczności posiadania portów na tem morzu, a w szczególności Fiume, najważniejszego z nich, który jest uważany za kroacki i z położenia swego niezbędny Kroacji, jako port. Delegaci włoscy, mając wymagania podobne do Jugosłowian, żądali części brzegu morskiego z Fiume; twierdzili, że większa część wschodniego brzegu Adrjatyku pozo-

[1]) Z interwiewu z Konradem von Hoetzendorffem, podanego przez biuro korespondencyjne Wiedeńskie. Por. *Le Temps* z 19 lipca 1919 r.

[2]) Premjer Salandra oświadczył, że uznanie neutralności za przedmiot paktów ubliżałoby Włochom.

[3]) Król Karol prezydował wówczas na radzie koronnej, Bratiano przemawiał przeciwko propozycji króla, by związać losy kraju z Niemcami. Carp był za utrzymaniem zobowiązań Rumunji według umowy. Inni wahali się, ale zanim doszło do głosowania, nadszedł telegram oznajmiający o decyzji Włoch zachowania neutralności. Rezultatem była odmowa pójścia ze sprzymierzeńcami, dana przez Rumunję.

[4]) Traktat Londyński przyznawał Włochom na Adrjatyku Wschodnim półwysep Istrji bez miasta Fiume, większą część Dalmacji, z wyjątkiem Spalato, i główne wyspy dalmackie.

stanie w ręku Kroacji, razem ze wszystkiemi portami brzegu kroackiego i innemi w Dalmacji południowej, jednem słowem, dwanaście innych portów, włączając w to Spalato i Raguzę, i tysiąc kilometrów brzegu morskiego. Jugosłowianie odpowiedzieli na to, że wymienione porty są niedostępne z wyjątkiem Fiume i Metkowicz. Co do Fiume[1]), delegaci włoscy dowodzili, że choć nie jest obiecane Włochom w Traktacie Londyńskim, historycznie jest ich własnością, gdyż będąc przez wieki jednostką autonomiczną, zachowało święcie swój charakter włoski, a mieszkańcy jego wyrazili w plebiscycie swe żądanie przyłączenia się do ojczyzny. Przeczyli dalej stanowczo, by port ten był niezbędny dla Jugosłowian, gdyż ci mieli dostać dwanaście innych portów, a nadto ruch pomiędzy Kroacją a Fiume stanowił zaledwie 7% całości, z wliczeniem Kroacji, Sławonji i Dalmacji ogółem tylko 13%. Zresztą Włochy mogłyby dać Jugosłowianom w Fiume wszelkie ułatwienia eksportowe. Jugosłowianie odrzucali większość dowodzeń, a w szczególności przeczyli temu, jakoby Fiume było specjalną jednostką autonomiczną i jakoby z istoty swej było miastem włoskiem. Obie strony zaczęły przerzucać archiwa, przedkładać dokumenty starożytne, analizować je, odrzucać jedne, jako fałszywe, powoływać się na inne, jako autentyczne. Przypadkowe oświadczenia pisarzy dawnych czasów były przedstawiane jako dowody przez obie strony. Spór zaognił się. Rozognił się jeszcze bardziej, dzięki stanowisku sprzymierzeńców włoskich, którzy, jak się zdawało, po cichu postępują nieprzyjaźnie, a w najlepszym razie zachowują się obojętnie.

Clemenceau, noszący podczas rokowań pokojowych miano „Tygrysa", na które zasłużył sobie już dawniej, miał powiedzieć w ciągu jednej z rozmów, które były niesłusznie nazywane prywatnemi: „Jeżeli Włochy żądają Fiume, to tak jakby chciały księżyca" [2]). Oficjalnie stanął po stronie Wilsona, tak samo, jak i premjer angielski, i dwaj sprzymierzeńcy Włoch wyrazili tylko chłodną zgodę na inne wymagania, które zawierała zawarta między nimi umowa. Wcale jednak nie ukrywali życzenia, aby cały ten akt można było unieważnić. Na odstąpienie Fiume swemu sprzymierzeńcowi nie zgadzali się, chyba pod warunkiem ofiarowania za to ekwiwalentu Jugosłowianom i zadowolenia prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Ta obrona interesów Jugosłowian była gorzko odczuta przez Włochów. Przez wieki całe te dwa narody były rywa-

[1]) Obecna ludność Fiume wynosi 45,227 dusz, z których jest 33,000 Włochów, 10,927 Słowian i 1,300 Węgrów.

[2]) Inny delegat podobno odpowiedział: „Ponieważ potrzebujemy przyjaźni Włoch, powinniśmy zapłacić umiarkowaną cenę, której żądają, i poprzeć ich żądanie co do księżyca".

lami albo wrogami, a podczas wojny Jugosłowianie walczyli z zaciekłością przeciwko Włochom. Głównym wrogiem Włoch była zawsze Austrja, ta zaś miała przeważającą większość ludności słowiańskiej. „Austrja — mówili Włosi — był to urzędowy termin, dawany okrutnemu wrogowi, przeciwko któremu walczyliśmy, ale nasi dzielni żołnierze mieli zazwyczaj przeciwko sobie Kroatów, tudzież innych Słowian, ci więc to zadawali klęski, które spadały na nasze armje". Dowodzą tego oficjalne dokumenty [1]). Rozkazy dzienne, wydawane przez Dowództwo Austrjackie wychwalają „bataljony serbsko-kroackie, które na równi z żołnierzami austrjacko-niemieckimi i węgierskimi, opierały się zabiegom wroga, by je zachwiać w wierności i namówić do zdrady" [2]). W ostatniej bitwie, w której zakończyła żywot monarchja austro-węgierska, szereg wybornych wojsk kroackich mężnie walczył z armjami włoskiemi.

We Włoszech opowiadają przejmującą historję, która dowodzi, jak się odbywa przemiana wczorajszego wroga na dzisiejszego sprzymierzeńca. Syn pewnego obywatela włoskiego, który walczył jako lotnik, został pod koniec wojny zabity w pojedynku powietrznym przez lotnika austrjackiego. Wkrótce po podpisaniu zawieszenia broni zbolały ojciec udał się na to miejsce, gdzie poległ syn jego. Znalazł tam oficera eks-austrjackiego, szczęśliwego zwycięzcę i zabójcę jego syna, z barwami jugosłowiańskiemi w butonierce, który wyszedł na jego spotkanie z wyciągniętą dłonią i słowami powitania: „Jesteśmy teraz sprzymierzeńcami" [3]). Historyk może się uśmiechnąć nad naiwnością tej anegdoty, ale mąż stanu uzna, że jest ona charakterystyczną dla stosunków mieszkańców nowego państwa i Włoch. Można się domyśleć ich uczuć, kiedy się im każe uważać swoich eks-wrogów za przyjaciół i sprzymierzeńców.

„Czyż to jest dziwne", twierdzili Włosi, „że nie możemy raptem zapałać gorącem przywiązaniem do bezlitośnych Austrjaków, na których okrucieństwa gorzko skarżyliśmy się parę miesięcy temu? Czyż to jest dziwne, że nie możemy zdobyć się na odcięcie skrawka terytorjum włoskiego i oddanie go, jako jednego z owoców naszego nad nimi zwycięstwa? Gdyby Włochy nie zachowały neutralności na początku wojny, a potem nie uczestniczyły w niej razem z aljantami, nie byłoby dziś Jugosławji. Czy dziś musimy płacić za swój altruizm, poświęcając ziemię i ludność włoską dla korzyści odwiecznych wrogów naszej rasy?" Jednem słowem, rozejm zmienił wroga Włoch

[1]) Obrońcy sprawy włoskiej na Konfereucji przytaczali szereg rozkazów dziennych, wyróżniających pojedynczych słowiańskich oficerów i jednostki bojowe.

[2]) Urzędowy komunikat z 17 czerwca 1918 r,

[3]) *Journal de Genève*, 25 kwietnia 1919 r.

w ich przyjaciela i sprzymierzeńca, na którego korzyść miały się wyrzec niektórych owoców ciężko zdobytego zwycięstwa i części swych odwiecznych aspiracyj. „Co zrobiłaby Francja", zapytywali delegaci włoscy, „gdyby powiedziano jej, że musi odtąd patrzeć na Prusaków, rozbitych przez jej niezrównane wojska, jako na przyjaciół, i oddać im niektóre nowe kolonje, które w innym razie mogłyby do niej należeć?" Dramaturg włoski Benelli postawił kwestję jasno: „Upadek Austrji zmienia ten wyraz w czczą nazwę; lud nasz dokładniej to rozumie, gdyż chociaż cierpiał pod austrjackiem jarzmem i pod austrjackim batem, nigdy nie nazywa Austrjaków tym wyrazem; nazywa ich zwykle Kroatami, wiedząc dobrze, że Kroaci i Słowianie, którzy tworzyli Austrję, byli naszymi groźnymi władcami i najokrutniejszymi katami. Naiwnością byłoby mniemać, że głęboko zakorzenione właściwości i skłonności narodów mogą się zmienić wskutek zmiany nazwiska i sztandaru".

Istniał wszędzie pozatem odmienny punkt widzenia i aljanci razem z Jugosłowianami stali na tym punkcie. Zaznaczano charakter słowiański spornego terytorjum, mówiono o zasadzie narodowościowej i wskazywano na niebezpieczeństwo wcielenia nieprzyjaźnie usposobionych, obcych żywiołów, które nie mogą być zasymilowane. Lecz gdzie działa uczucie, rozum jest zwykle bezsilny. Polityka rządu włoskiego, jak wszystkich rządów, była otwarcie nacjonalistyczna; czy była również zgodna z mądrością stanu—można było wątpić—a nawet na pytanie to odpowiedziały już niektóre z głównych organów prasy włoskiej w sposób przeczący [1]). Obwiniają one gabinet o rozmyślne rozbudzanie namiętności wśród ludu, które później starał się napróżno uspokoić, i faktom, które przytoczone zostały na dowód prawdziwości tego oskarżenia, nigdy nie zaprzeczono.

W interesie Włoch było zawarcie przyjaznej umowy z nowem państwem, o ile to było możliwe i niektórzy z ludzi, trzymający w ręku losy państwa, czując swą odpowiedzialność, robili chwalebne wysiłki, by dojść do porozumienia. P. Orlando, którego przenikliwość równała się jego pomysłowości, był jednym z nich. W Londynie omawiał tę sprawę z leaderem kroackim p. Trumbiczem i sprzyjał dążeniom wzajemnego porozumienia się [2]), które kolega jego, baron Sonnino, uważał stanowczo za możliwe. Odbył się w Rzymie zjazd [3]) i ugoda została postanowiona. Stosunki wzajemne stały się przyjazne. Komitet jugosłowiański w stolicy włoskiej winszował p. Orlan-

[1]) *Il Corriere della Sera* i *Il Secolo* z 26 maja 1919 r.

[2]) W senacie bronił swego stanowiska w dniu 4 marca 1919 i wyraził życzenie załagodzenia nieporozumienia między dwoma narodami.

[3]) W kwietniu 1919 r.

do zwycięstwa nad Piave. Z różnych jednakże powodów, głównie zaś opozycji ze strony barona Sonnino, świeże uczucia sąsiedzkie szybko zaczęły chłodnąć i wreszcie zanikły zupełnie. Nie pozostało z nich nawet śladu na Konferencji Paryskiej, gdzie delegaci obydwóch państw nie rozmawiali ze sobą, ani nawet nie kłaniali się sobie.

Wizyta prezydenta Wilsona w Rzymie, gdzie według świadectwa Włochów witał go szał entuzjazmu, zdawało się, że rozjaśniła Włochom widoki na przyszłość. Wrogowie Prezydenta podkreślali później zmianę, jaka nastąpiła w stosunku do niego w uczuciach narodu włoskiego. Przypisywano ją jego nieumiejętności usprawiedliwienia nadziei, które budziły jego słowa i jego stanowisko. Było to wprowadzeniem w błąd. Stosunek Wilsona do żądań Włoch był niezmienny; nie powiedział on, ani nie uczynił niczego, coby mogło budzić w tym względzie wątpliwości. W Rzymie przemawiał do ministrów w tych samych słowach, jak w Paryżu na Konferencji. W styczniu oznajmił im, co miał zamiar uczynić w kwietniu, a nawet zastanawiał się nad ogłoszeniem odrazu swego planu polityki włoskiej. Ministrowie wszakże uprosili go, ażeby zachował swe rady dla siebie i nie robił żadnych aluzyj do nich publicznie podczas swego pobytu we Włoszech [1]). Nie było więc jego winą, jeśli naród włoski pielęgnował złudne nadzieje. W Paryżu p. Orlando miał poważne starcia z Wilsonem [2]), który mu wprost oświadczył, że umowa co do granic północnych, zapewnionych Włochom przez traktat Londyński zostanie utrzymana, ale część jej odnosząca się do wschodnich pobrzeży Adrjatyku, zostanie unieważniona. Podział resztek Austrji, dodał musi być zrobiony według mapy, którą wręczył premjerowi włoskiemu. Okazała się ona identyczną z już ogłoszoną w *New Europe* [3]). P. Orlando rzucił okiem na mapę, i w uprzejmem przemówieniu rozwinął powody, dla których nie mógł poprzeć proponowanej umowy. Dodał, że nie mógłby jej ratyfikować żaden parlament włoski. Prezydent skierował rozmowę na temat polityczno-etyczny, wskazał na szkodę, którą mogłaby pociągnąć za sobą aneksja obcych i nieprzyjaznych żywiołów, na wielkie korzyści, jakie mogłyby Włochom dać serdeczne stosunki z sąsiadem słowiańskim i łatwość,

[1]) Fakt ten został ujawniony przez Henryka Ferri w jego uwagi godnej mowie, wygłoszonej w parlamencie rzymskim (9 lipca 1919 r.). Przeciwko wypowiedzeniu się Wilsona w sprawie włoskiej wystąpił baron Sonnino. *La Stampa*, 10 lipca 1919 r.

[2]) 10 stycznia 1919 r.

[3]) Według niej oddawano Włochom na wschodzie Friuli z Gorycją; Istrja była podzielona na dwie części; Triest i Pola miały należeć do Włoch, ale przy takich warunkach terytorjalnych, że oba te miasta w razie wojny byłyby wystawione na pociski nieprzyjacielskie.

z jaką Włochy mogłyby opanować rynki nowego państwa. Młody i mały naród, jak Jugosłowianie, byłby wdzięczny za ten akt hojności i wynagrodziłby go trwałą przyjaźnią — ten zysk wart wiele więcej, niż sporne terytorja. „Ach! Pan nie zna Jugosłowian, panie prezydencie", zawołał Orlando. Gdyby Włochy ustąpiły im Dalmację, Fiume i wschodnią Istrję, zażądaliby Triestu i Poli, a po Trieście i Poli—Friuli i Gorycji".

Po dłuższej dyskusji Wilson rzekł: „Nie jestem w stanie pogodzić moich zasad z uznaniem tajnych umów, a ponieważ te dwie rzeczy nie dadzą się pogodzić, pozostaję przy moich zasadach". — „Ja również, odrzekł premjer włoski, „potępiam tajne umowy w przyszłości, kiedy nowe zasady zaczną rządzić polityką międzynarodową. Co się tyczy umów, zawartych podczas wojny, to wszystkie były tajne, nie wyłączając tej, do której należały Stany Zjednoczone". Prezydent pozostał przy swem zastrzeżeniu. Ujął i wyłożył swoje poglądy w sposób następujący. Włochy, jak i ich sprzymierzeńcy, mogą przyjąć czternaście punktów, odrzucić je lub zrobić zastrzeżenia. Anglja i Francja wyłączyły te paragrafy, które były zdecydowane odrzucić, gdy tymczasem Włochy zaznaczyły swą zgodę na wszystkie punkty. Przez to zostały związane zasadami, na których te punkty się opierają i straciły prawo zawierania tajnych umów. Załatwienie sprawy Dalmacji, Istrji, Fiume i Wysp musi więc odbyć się bez powoływania się na paragrafy tajnej umowy. Pretensje Włoch, widziane w świetle nowych postanowień, są nie do poparcia. Byłoby niesprawiedliwością wobec Jugosłowian, którzy zamieszkują cały kraj, odsuwać ich od ich własnego brzegu morskiego. Podobne postanowienie nie byłoby pożyteczne dla samych Włoch, w których interesie leży utworzenie jednolitej całości, wzmocnienie swych posiadłości i przygotowanie się do przyszłej walki ekonomicznej w interesie dobrobytu narodowego. Trzeba więc w całej rozciągłości uznać zasadę narodowościową. Co do Fiume, gdyby miasto było niezależną jednostką, pragnącą wcielenia do Włoch, trzeba byłoby jednak przeciwstawić temu faktowi niezbędną potrzebę Jugosławji wyjścia na morze. Tu zasada konieczności ekonomicznej bierze przewagę nad zasadą narodowości i samostanowienia. Kraj musi żyć i dlatego należy mu dać wszystko, co jest potrzebne do podtrzymania życia. Z tych powodów wyrok powinien wypaść na korzyść Jugosłowian.

Odpowiedź premjera włoskiego była równie jasna, choć nie mógł wypowiedzieć się całkowicie. Rząd włoski istotnie przyjął czternaście punktów bez zastrzeżeń. Ale uważał, że nie powinny one unieważniać zawartych poprzednio umów, tylko obowiązywać na przyszłość; a gdyby się stało inaczej, powinny znaleźć zastosowanie w sprawie włoskiej o tyle tylko, o ile by-

łyby zastosowane bezstronnie co do wszystkich państw, a cała praca reorganizacyjna byłaby oparta na tej podstawie moralnej. Uznawanie wyjątków, narodów uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych czyni ten program bezskutecznym i niemożliwym do przyjęcia. Jednak w rzeczywistości wprowadzono ten system. Jeżeli umowy tajne mają być zniesione, trzeba również rozwiązać umowę między Japonją a Chinami i rozstrzygnąć spór między niemi. Jeżeli czternaście punktów obowiązuje, należy odrzucić doktrynę Monroego. Jeżeli rozbrojenie ma stać się faktem, niech Anglja i Ameryka przestaną budować okręty wojenne. Wyobraźmy sobie na chwilę, że jutro Brazylja albo Chili zacznie się skarżyć na postępowanie Stanów Zjednoczonych, Liga Narodów, w której imieniu przemawia Wilson, nie będzie mogła intenwenjować przez wzgląd na doktrynę Monroego, gdy tymczasem Anglja i Stany Zjednoczone mogą w podobnych okolicznościach wtrącić się do spraw każdego z państw mniejszych. Jeżeli Irlandja, Egipt lub Indje podniosą swój głos przeciwko Anglji będzie to tylko głos w pustyni, który przejdzie bez echa. Gdyby Fiume było zamieszkałe przez obywateli amerykańskich, którzy pragnęliby być uznanymi za odrębną całość i żyć pod sztandarem amerykańskim, jakie byłoby w tym wypadku stanowisko prezydenta Wilsona? Czy pozostałby głuchym na ich prośby. Napewno nie! Dlaczegoż w sprawie Włoch nie postępuje tak, jak pragnąłby, żeby z nim postąpiono? Wszystko sprowadza się do tego, że nowy ustrój pod sztandarem równości ma składać się z narodów wyższych i niższych, z których pierwsze, mówiące po angielsku, mają posiadać nieograniczoną władzę nad innemi, rozstrzygać, co jest dla nich dobre, a co złe, co dozwolone, a co zabronione, i od ich wyroków niema być odwołania. Jednem słowem, ma powstać hegemonja rasy anglo-saskiej.

Warto zwrócić uwagę na to, że argumenty p. Orlando dotyczyły istoty sprawy, nie opierając się na artykułach lub prawomocności Traktatu Londyńskiego. Twierdził, że Fiume pragnęło wcielenia do Włoch i postawiło to żądanie przed rozejmem w chwili, kiedy było ryzykownem zgłaszanie swej przynależności do Królestwa [1]). Mieszkańcy użyli własnych słów Wilsona: „Należy uszanować aspiracje narodowe... samostanowienie nie jest frazesem". „Ludy i prowincje nie mogą być przerzucane od jednej władzy do drugiej, jak gdyby były bydłem lub pionkami w grze. Każda umowa terytorjalna, zawierana w tej wojnie, powinna być robiona w interesie i dla

[1]) Rada Narodowa w Fiume wydała swą odezwę, zanim stało się wiadomem, że rozpoczęła się bitwa pod Vittorio Veneto, t. j. 30 października 1918 r.

dobra ludności, której dotyczy, nie powinna zaś nigdy być wynikiem kompromisu dla zaspokojenia pretensyj rywalizujących ze sobą państw". W swem przemówieniu w Mount Vernon Prezydent bronił doktryny, która szczególniej w zastosowaniu do Fiume polegała na tem, że należy — „rozstrzygać wszystkie kwestje, dotyczące terytorjów, zwierzchniej władzy, umów ekonomicznych, czy stosunków politycznych na podstawie dobrowolnego przyjęcia umowy przez naród bezpośrednio zainteresowany, nie zaś na zasadzie interesu materjalnego czy przywileju innego narodu, który pragnie odmiennego rozwiązania kwestji w celu pozyskania własnych wpływów zewnętrznych lub panowania" [1]). Według tej zasady, wyłożonej przez Wilsona, Fiume powinno być bezsprzecznie przyznane Włochom.

Wreszcie na zarzut, że wymagania Włoch prowadziłyby do wcielenia znacznej liczby Słowian, można odpowiedzieć, że procent ich tam jest nikły w porównaniu z liczbą żywiołów obcych, przyłączonych do innych państw. Polacy będą mieli według obliczeń około 30% cudzoziemców, Czesi nie mniej, Rumunja 17%, Jugosławja 11%, Francja 4%, a Włochy tylko 3%.

W lutym Jugosłowianie wykonali manewr strategiczny, który jedni chwalili, jako zręczny, drudzy potępiali, jako nierozsądny. Zaproponowali, ażeby wszystkie spory pomiędzy nimi a Włochami zostały oddane do rozstrzygnięcia Wilsonowi. Zważywszy, że opinja Prezydenta w tej sprawie była ustalona od początku, a skierowana przeciwko Włochom, było jasnem, że delegacja, na której korzyść skłaniała się jego decyzja, będzie się starała usilnie o to, żeby propozycja była przyjęta przez jej rywali. Ponieważ każda strona wiedziała, jaki byłby rezultat pośrednictwa, tylko jedna z nich mogłaby się na nie zgodzić, a właściwie, czyniąc to, pragnęła co najwyżej wywołać zamieszanie wśród drugiej strony. Odpowiedź Włoch była sprytna. Powiedziały, że spór był nie z Serbją, która miała przedstawicieli na Konferencji, ale dotyczył Kroacji, która nie miała urzędowego reprezentanta, i której granice dotąd nie zostały określone, ale będą w odpowiednim czasie wskazane przez Konferencję, której Włochy były członkiem. Decyzja nastąpi po wyczerpującem zbadaniu sprawy i jej ewentualne skutki dla pokoju europejskiego zostaną gruntownie rozważone. Ponieważ dla sformułowania wyroku niezbędną jest niezmierna ostrożność i rozwaga, wydaje się, że pięciu delegatów będzie bardziej odpowiadało zadaniu, niż którykolwiek jeden z nich, choćby najmądrzejszy z grupy. Usu-

[1]) Mowa, wygłoszona w Mount Vernon 4 lipca 1918 r.

nięcie kwestji z pod kompetencji Konferencji, która została specjalnie dla takich spraw zwołana, i oddanie jej jednostce byłoby ubliżaniem Radzie Najwyższej. W ten sposób sprawa upadła.

Orlando wiedział, że gdyby przyjął propozycję i uznał Wilsona za arbitra, nadzieje Włoch zostałyby szybko pogrzebane w imię czternastu punktów i ten przykład byłby podawany do naśladowania wszystkim państwom mniejszym. Prezydent był jednak przekonany, że naród włoski zgodziłby się skwapliwie na przyjęcie tej propozycji. Warto tu wspomnieć, że był tak pewny swego wpływu na masy włoskie, że, namawiając Orlanda na odstąpienie od żądań co do Fiume i wybrzeża Dalmacji, chciał dać mu napisane przez siebie orędzie, którem premjer miałby się usprawiedliwić. Orlando miał odczytać ten dokument w parlamencie, żeby wyjaśnić narodowi, że wyrzeczenia się Fiume zażądała Ameryka, że ono odpowiada najlepiej zrozumianym interesom Włoch i z tego powodu należy się chętnie na nie zgodzić. Orlando jednak nie przyjął orędzia i sprawy poszły swoją koleją.

W Paryżu praca delegacji włoskiej posuwała się powoli. Każdy chwalił, szanował i miał sympatję dla pierwszego delegata, który, pozostawiony samemu sobie, może potrafiłby zapewnić swemu krajowi korzystne warunki, nawet gdyby nie mógł dołączyć Fiume do tego, co mu oddawała tajna umowa; sam jednakże nie mógł powziąć decyzji: musiał się porozumiewać ze swym ministrem spraw zagranicznych, który był niemy, jak ostryga, i niemal w tym samym stopniu nietowarzyski. Baron Sonnino miał własną politykę, która była niezmienną a prawie niemożliwą do określenia. Na Konferencji rozwijał ją niechętnie, tem mniej chętnie dyskutował o niej nawet z tymi kolegami, od których współdziałania czy przychylnej opinji zależało wprowadzenie jej w życie. Wyraźnie unikał delegatów, którzy chętnieby porozmawiali o wspólnych sprawach w sposób przyjacielski i których zadaniem było opracowanie umowy. Rezultaty, możliwe do zdobycia tylko przez przekonywanie ludzi obojętnych lub wrogich i wpływanie na ich dobrą wolę, zamierzał osiągnąć, trzymając się zdaleka od nich wszystkich i wiodąc życie pustelnika, a nawet mizantropa. Można sobie wyobrazić uczucia, jeżeli nie można powtórzyć wynurzeń osobistości, mówiących językiem angielskim, których słuszne życzenie swobodnej wymiany zdań z urzędowym przedstawicielem Włoch nie było zaspokojone z powodu niechęci osobistych włoskiego ministra spraw zagranicznych. W kołach sprzymierzonych Sonnino widocznie był niepopularny, i ta niepopularność wywierała wpływ na samą sprawę, na której mu zależało. Nie miał zupełnie przyjaciół, a coprawda tylko dwóch wrogów, byli zaś nimi on sam i cudzoziemcy, którzy musieli

z nim pracować. W ten sposób sprawa Włoch nie była należycie popierana.

Kilkomiesięczna próba dowiodła, że stanowisko barona Sonnino nie było słuszne, gdyż podkopywało jego własną politykę. Aljanci płacili Włochom tą samą monetą i odosobnieniem za odosobnienie. Po odrzuceniu przez Włochy pomysłowej propozycji Jugosłowian oddania ich sporu do rozstrzygnięcia Wilsonowi, trzej delegaci [1]) zgodzili się pomiędzy sobą na odłożenie sprawy Włoch do chwili podpisania pokoju przez Niemcy. Orlando, dowiedziawszy się o tem, poruszył wszystkie sprężyny, żeby ich roztrząsanie przyśpieszyć. Nawet tak daleko zaszedł, że powiedział, że nie podpisze Traktatu, jeżeli nie zostaną zaspokojone wymagania jego kraju; gdyż skoro Traktat stwarza Ligę Narodów, Włochy jako członek Ligi, musiałyby gwarantować terytorja innych narodów, nie mając same określonych terytorjów do zagwarantowania przez innych. Nie podejmą się bronienia całości państw, do których utworzenia się przyczyniły, dopóki ich własne granice nie są jeszcze określone. Triumwirat był wszakże mistrzem w sztuce odwlekania spraw, i kiedy zbliżał się czas wręczenia Traktatu Niemcom, ani kwestja Adrjatyku i kolonij, ani sprawy ekonomiczne i finansowe, od których zależała przyszłość Włoch, nie zostały nie tylko zdecydowane, ale ich prawie nie poruszono. Tymczasem delegaci na posiedzeniu tajnem, na którem czterej czy pięciu mogli dysputować, a dwaj decydować, pokłócili się w sprawie Fiume. Wilson był nieubłagany w swej odmowie ustąpienia miasta Włochom, a rozmaite kompromisy, proponowane przez pomysłowych pośredników w sprawach spornych, nie mogły zadowolić delegatów włoskich, kierowanych przez milczącego barona Sonnino. Prasa włoska, nalegając, by Fiume było warunkiem *sine qua non* uznania przez Włochy traktatu pokojowego, i twierdząc, że zostanie ono niewątpliwie przyznane, faktycznie uniemożliwiała delegatom wszelkie ustępstwa. Prezydent Wilson, któremu mówiono często, że jedno słowo, powiedziane przez niego ludom Europy, wznieci ich entuzjazm i zaprowadzi je, gdzie on zechce, nawet wrew własnym rządom, zamierzał właśnie użyć tej wyjątkowej siły przeciwko delegatom Włoch. Jak widzieliśmy, chciał to zrobić podczas swego pobytu w Rzymie, ale odradził mu to baron Sonnino. Miał wtedy zamiar zmusić delegatów do pojechania na miejsce i przekonania się, czy ich nieugięte stanowisko odpowiada pragnieniom narodu, który chciał wciągnąć do obozu „idealistów". Przyznał to podczas swej rozmowy z Orlando. Ale przeoczył fakt, że każda polityka ma swe granice czasu, i że tylko po-

[1]) Stanów Zjednoczonych, Francji i Anglji.

dobne przyczyny mogą wywołać podobne skutki. Nazwisko prezydenta we Włoszech miało w kwietniu dźwięk zgoła odmienny od głośno brzmiących tonów, któremi dźwięczało w styczniu: tajemnicą jego ówczesnej popularności była powszechna wiara w jego stanowcze postanowienie stworzenia sprawiedliwego pokoju, niezależnego od poszczególnych interesów, nie zaś pokoju pobłażliwego dla silnych, a surowego dla słabych. Czas, kiedy Wilson mógł wzywać do pójścia za sobą narody Europy, minął bezpowrotnie. Należy zauważyć, że poglądy amerykańskiego męża stanu na niektóre żądania Włoch, choć wygłaszane ze zwykłą emfazą, jako niezmienne, uległy znacznym zmianom, co nie posłużyło do wzmocnienia jego autorytetu. Z początku wygłaszał konieczność podzielenia Istrji pomiędzy dwa żądne jej narody, ale po dłuższym namyśle odstąpił ją Włochom w całości, co dało sposobność p. Orlando do zrobienia uwagi, że nawet decyzje Prezydenta wymagają czasem korekty. Jest również faktem, że kiedy premjer włoski upierał się przy konieczności rozstrzygnięcia kwestji Adrjatyku przed wręczeniem Traktatu Niemcom [1]), jego koledzy z Francji i Anglji zapewniali go, że to rozsądne żądanie będzie zaspokojone. Okoliczność, że ta obietnica została zlekceważona, nie przyczyniła się do złagodzenia stosunków w Radzie Pięciu.

Ostateczny pojedynek pomiędzy Orlando a Wilsonem odbył się w kwietniu, a publiczne akty, które zaznaczały ich naprężone stosunki, były tylko praktycznemi skutkami tego pojedynku. W historycznym dniu każdy wyłożył swój program z dodatkiem *ne varietur* i prezydent Stanów Zjednoczonych wyraził zdanie o opinji publicznej włoskiej, które zdziwiło i zmartwiło premjera włoskiego, uważającego siebie za bardziej kompetentnego sędziego w tym względzie, niż jego znakomity interlokutor. Wilson nie tylko, że nie chciał zmienić swego zdania, ale oznajmił zamiar wydania odezwy do narodu włoskiego. Treść dokumentu była wiadoma Lloyd George'owi i Clemenceau. Twierdzono, co wydaje się wysoce prawdopodobnem, że premjer angielski gorąco pragnął zawarcia kompromisu. Dlatego postawiono propozycje co do Fiume i Dalmacji, niektóre z nich możliwe do przyjęcia przez Włochów; Włosi ze swej strony wystąpili z kontrpropozycjami w innych punktach. Wszystko zależało od losu tych kontrpropozycyj.

23-go kwietnia byłem w Hôtel Edouard VII—siedzibie delegacji włoskiej, rozprawiałem o sytuacji i miałem nadzieję dowiedzenia się, że już doszło do jakiejś ugody. W przyległym pokoju członkowie delegacji odbywali naradę w tej palącej

[1]) Pomiędzy 5-ym a 12-ym kwietnia.

kwestji, z boleścią świadomi będąc tego, że czas naglił, że miecz Damoklesowy deklaracji Wilsona wisiał nad ich głowami, a konieczność kompromisu wydawała się nieunikniona. O godzinie 3-ej sekretarz Lloyd-George'a przyniósł odpowiedź Rady Trzech, zawierającą maximum zrobionych ustępstw. Jeden punkt pozostawał sporny, jak mi mówiono, i ten punkt dotyczący Fiume, nie był wymieniony w odpowiedzi wręczonej przez sekretarza. Delegacja włoska zatelefonowała niezwłocznie do premjera angielskiego, prosząc go, by przyjął markiza Imperiali, któremu też powiedział zaraz, że Fiume ma być wolnem miastem, wyjętem z pod obcej kontroli. Po powrocie markiza pożegnałem moich gospodarzy i dostałem obietnicę, że zostanę zawiadomiony o dalszym rezultacie. Po upływie pół godziny pośpieszyłem znowu do siedziby delegacji włoskiej, gdzie zapanowała zupełna konsternacja. Dowiedziałem się, że zaledwie delegaci rozpoczęli debaty nad punktem spornym, gdy przyniesiono numer *Temps'a* zawierający odezwę Wilsona do narodu włoskiego, wydaną „ponad głowami rządu włoskiego".

Odezwa podziałała, jak potężny środek wybuchowy. Publiczność nie wiedziała, jak pogodzić niesłychany postępek Wilsona z postępowaniem jego angielskich i francuskich kolegów. Zapytywano, dlaczego posławszy rano swą odezwę do dzienników, pozwolił swym włoskim kolegom zastanawiać się nad propozycją, do której omawiania, jak oświadczył publicznie, przestali już być kompetentni? Uzasadnione dążenie do rozstrzygnięcia granic adrjatyckich Włoch nie powinno było osłabić jego dbałości o sprawy większej wagi, które musiał wywołać jego niesłychany sposób postępowania. Jedną z tych spraw był szacunek dla władzy, którego brak jest głównym pierwiastkiem bolszewizmu. Orlando odpowiedział na odezwę ostrym listem, który był rozumowanym protestem przeciwko narzucaniu nieomylności jednostki, szczególniej takiej, która już kilkakrotnie pomyliła się w swych sądach. Premjer włoski nie zwrócił uwagi jeszcze na jedną rzecz, mianowicie na poczucie nieokiełznanej potęgi i chęci skorzystania z niej, co nadawało całej sprawie specyficzny charakter. Gdyby zauważył ten czynnik, jego dalsza taktyka byłaby może nieco inną.

Pośpiech, z jakim Prezydent wykonał swój zamiar, był później tłumaczony jako objaw mylnych informacyj. Doniesiono mu, że w rozmaitych miastach włoskich zjawiły się na ulicach odezwy oznajmiające o aneksji Fiume. Dodawano, że są podstawy do mniemania, że gabinet włoski miał zamiar wydać dekret, oficjalnie wcielający Fiume, wskutek czego sprawa powikłała się jeszcze bardziej. Niektóre dzienniki francuskie uwierzyły tym pogłoskom i być może, że Wilson, wierząc im również i pragnąc uprzedzić wypadki, zaczął działać bez zwłoki.

Takie objaśnienie nie wystarcza jednak, by usprawiedliwić pośpiech, który dowodził nadto, że chciano przedstawić ogółowi delegatów włoskich, jako niezdolnych do reprezentowania narodu. Bliższe zbadanie kwestji wykazało, że wieści, które zaniepokoiły Prezydenta, były pozbawione podstaw. Na źródłach informacyj Wilsona, dotyczących krajów, których losy decydował, często można było polegać równie mało, jak na postanowieniach komisyj specjalnych, które on wraz z Lloyd George'm potrafił odrzucać z taką łatwością.

Następnego ranka Orlando i Sonnino stawili się u premjera angielskiego na jego nagłe zaproszenie. Ku wielkiemu swemu zdumieniu znaleźli tam również czekających na nich Wilsona i Clemenceau, gotowych, jak się zdawało, do rozpoczęcia dyskusji nanowo, zaciekawionych efektem, jaki wywołała deklaracja. Ale premjer włoski wystąpił śmiało, bez wahania. „Rzucił Pan wyzwanie rządowi włoskiemu, rzekł, i odwołał się do narodu włoskiego. Niech tak będzie. Dziś stało się moim obowiązkiem zwrócić się do przedstawicieli mojego narodu w parlamencie i wezwać ich, by wybrali pomiędzy p. Wilsonem a mną". Prezydent dał jedyną możliwą w tych warunkach odpowiedź: „Niewątpliwie jestto pańskim obowiązkiem". „Zawiadomię parlament, że mamy sprzymierzeńców, którzy nie są w stanie postępować zgodnie w sprawach, niezmiernie dla nas ważnych". Zaniepokojony wojowniczym tonem ministra, Lloyd George starał się go pohamować i wyraził nadzieję, że w swej mowie w Izbie włoskiej Orlando nie zapomni powiedzieć, że pomimo wszystko zadawalające rozwiązanie sprawy jest możliwe, że z pewnością nie zaniecha sposobności pożądanego zakończenia tego zatargu". — „Wezwę naród, by wystąpił jako arbiter w tej sprawie" oznajmił premjer, „żeby zaś mógł ją osądzić, musi mieć wszystkie dane, dlatego proszę o pozwolenie zakomunikowania mu mego ostatniego memorjału, złożonego Radzie Czterech. Zawiera on najbardziej istotne fakty, o których parlament powinien wiedzieć; tymczasem zaś rząd włoski wycofuje się z Konferencji Pokojowej". Tem się zakończyło przykre posiedzenie i główni delegaci włoscy wrócili do Rzymu.

We Francji pewien odłam prasy sympatyzował z Włochami, gdy rząd, w szczególności zaś Clemenceau, pomagał Wilsonowi, który obiecywał wznowić świętość umów [1]), namawiając jednocześnie Orlando do zrzeczenia się traktatu Londyńskiego. Starcie pomiędzy Wilsonem a Orlando i wyjazd delegatów

[1]) W samym przemówieniu do przedstawicieli zorganizowanej pracy w styczniu 1918 r.

włoskich wypadły jednocześnie z przybyciem Niemiec do Wersalu, i wobec aljantów, stanęły dwie alternatywy: albo uporządkować swe luźne rozmowy i wynaleźć odrazu ostateczne rozwiązanie, albo odrzucić wszelkie pozory jednomyślności wobec wroga. Jeden z poważniejszych dzienników paryskich krytykował Wilsona i jego „encyklikę"; protestował gwałtownie przeciwko jego metodzie wtrącania się we wszelkie sprawy Ligi Narodów. „Czy możemy jeszcze pielęgnować jakiekolwiek złudzenia co do istotnej wartości Ligi Narodów, skoro po rewizji statutu pozostał z niej tylko cień jakiś niezdolny do myśli, woli, czynu lub sprawiedliwości?... Zbyt już wiele złożyliśmy ofiar na doktryny Wilsona"...[1]). Inny organ prasy porównywał Fiume do zagłębia Saary i zgadzał się z Włochami, które, opierając się na solidarności swych sprzymierzeńców, pragnęły zapewnić sobie to miasto[2]).

Tymczasem, gdy te nużące walki na słowa, w których czynnik osobisty grał wybitną rolę, toczyły się w zmierzchu zamkniętej Walhalli, Wyższa Rada Ekonomiczna postanowiła, że należy rozdzielić pomiędzy sprzymierzeńców zdobyte okręty austrjackie. Kiedy Włosi i Jugosłowianie zrozumieli następstwa tego postanowienia, rozłam pomiędzy nimi wydał się szkodliwym dla obydwóch stron, a korzystnym dla trzeciej; gdyż jeżeliby okręty austrjackie rozdzielono pomiędzy wszystkie narody sprzymierzone, część przypadająca na te dwa narody byłaby znikoma. Po raz pierwszy przeciwnicy wzięli się gorączkowo do pracy, chociaż inicjatywę dali nie dyplomaci. Pragnąc zabezpieczyć dla siebie część łupu wojennego, fachowcy obydwóch stron zebrali się[3]) na naradę i opracowali słuszną umowę, oddając cztery piąte tonażu Włochom, a resztę Jugosłowianom, którzy inaczej nie dostaliby ani jednego okrętu[4]); zażądali też odwołania postanowienia Rady Ekonomicznej i prowadzili dalej swe obrady[5]). Delegacja amerykańska była usposobiona przyjaźnie, obiecywała poprzeć odwołanie i dodała, że „gdyby ugoda rozszerzona została i na kwestję Adrjatyku, p. Wilson byłby uszczęśliwiony i podjąłby się ratyfikować ją *nawet bez upoważnienia Konferencji*"[6]). Zachęceni tą obietnicą, delegaci gorliwie zabrali się do rzeczy, ale ponieważ premjer włoski z nieznanego powodu ograniczył pertraktacje do jednego

[1]) *Echo de Paris*, 29 kwietnia 1919 r.
[2]) *Le Gaulois*, 29 kwietnia 1919 r.
[3]) Posiedzenia te odbywały się pomiędzy 28 marca a 23 kwietnia 1919 r.
[4]) Patrz artykuł w *Secolo*, z 18 czerwca 1919 r., oraz *Corriere della Sera*, z 19 czerwca 1919 r.
[5]) od 5-go do 16-go maja 1919 r.
[6]) *Il Secolo*, 19 czerwca 1919 r.

dnia, po którego upływie przerwał obrady,[1]) porozumienie nie doszło do skutku. W dwa czy trzy dni później wzmiankowani delegaci opuścili Paryż.

Ta wymiana zdań przekonała Włochów, że Jugosłowianie, którzy nie tylko wśród przeciwników, ale nawet wśród przyjaciół należeli do bardziej upartych, mogą być jednak dostępni argumentom i perswazji. Premjer włoski, opuściwszy Konferencję, miał powody przypuszczać, że pokój nie będzie podpisany w jego nieobecności, i wielu też myślało, że odjeżdżając dawał Wilsonowi Rolanda wzamian za Olivera. Ten taktyczny efekt nie był jednakże wynikiem z góry obmyślanego przez Orlanda planu. Chciał tylko skorzystać ze zbiegu okoliczności, nic więcej. Wilson nie pozostawił mu innego wyjścia ponad wyjazd z Francji, w celu zażądania decyzji od swoich rodaków. Koledzy Wilsona byli wszakże przerażeni na myśl, żo traktat Londyński, na zasadzie którego żaden ze sprzymierzeńców nie może zawrzeć oddzielnego pokoju, wymaga podpisu, a w każdym razie zgody buntujących się delegatów włoskich. Co do tego punktu umowy nie było najmniejszej wątpliwości. Stąd każdy obawiał się, że podpisanie Traktatu Pokojowego odwlecze się w nieskończoność z powodu nieobecności delegatów włoskich na Konferencji. Takie było niewątpliwie przekonanie pozostałych delegatów. Nie było cienia wątpliwości, że obecność lub wyraźna zgoda Włoch jest warunkiem *sine qua non* prawomocności Traktatu. Takie też było zdanie prasy francuskiej, podzielane przez najwybitniejszych prawników całego świata[2]). Uważano za pewne, że delegaci włoscy mogą odmówić podpisu, jak groził Orlando, dopóki sprawy Włoch nie zostaną załatwione stosownie do ich życzenia: pozostali jednakże członkowie Rady Najwyższej starali się uniknąć następstwa tego postępku Włochów i obejść się bez ich współdziałania. Ten cel został osiągnięty w nieobecności delegacji włoskiej w postanowieniu, że podpis każdych trzech sprzymierzonych i zaprzyjaźnionych rządów będzie uważany za wystarczający. Prawomocność, a nawet etyka tego zarządzenia była kwestjonowana przez wielu.

[1]) 23 kwietnia 1919 r.

[2]) Czy sprzymierzeńcy nasi będą traktowali naszą nieobecność, jako rzecz bez znaczenia? Czy mogą i zechcą naruszyć obowiązującą umowę, która zabrania uczestnikom wojny zawarcia pokoju dyplomatycznego?.. Umowa Londyńska zabrania stanowczo zawarcia oddzielnego pokoju z wrogiem państwem. Francja i Anglja nie mogą podpisać pokoju z Niemcami, jeżeli Włochy go nie podpiszą. Sytuacja jest cięższa i nienormalna, gdyż sprzymierzeńcy nasi są również ciężcy i nienormalni. Włochy są osamotnione, a narody Europy Kontynentalnej, które nie są zanadto bogate, boją się osamotnienia, jak przyroda boi się próżni. *Corriere della Sera*, 26 kwietnia 1919 r. I dalej: „Traktat Londyński powstrzymuje Francję i Anglję od zawarcia pokoju, zanim nie uzyskają zadosyćuczynienia". *Journal de Genève*, 25 kwietnia 1919 r.

Doniosłość zadań, dla których Konferencja została zwołana, wymagała projektu, opartego na ideach i zasadach zgoła odmiennych od tych, które kierowały dyplomacją dawnego świata, i poszanowanie dla litery umowy powinno było przeszkodzić zniszczeniu jej ducha. Wiele można powiedzieć o tym sporze, który był zresztą potępiony przez prawników włoskich, jako gwałcący świętość umów. Oni też zaznaczali, że gdyby nawet było dozwolone usuwać przeszkody formalne dla ułatwiania drogi dobrej sprawie, niezbędnie starać się należy o dobre rezultaty możliwie z najmniejszem poświęcaniem zasad. Delegaci włoscy mieli nadzieję, że po ich powrocie do Paryża będzie zrobiona co najmniej formalna deklaracja, że podpis Włoch jest niezbędny dla prawomocności Traktatu; lecz i te nadzieje nie ziściły się w istniejących stosunkach.

Skorzystano i w innych kierunkach z wycofania się przedstawicieli Włoch z Konferencji. Naprzykład, paragraf traktatu z Niemcami, dotyczący odszkodowań, został zmieniony ze szkodą Włoch. Inny, który traktował o stosunkach austrjacko-niemieckich został również zmodyfikowany. Przed wyjazdem delegatów do Rzymu postanowiono, że Niemcy zostaną zobowiązane, do uznania niezależności Austrji. To zobowiązanie było albo zbyteczne, gdyż każde państwo powinno uszanować niezależność innego państwa, albo miało ukryte znaczenie, które mogłoby się ujawnić dopiero przy wykonaniu odpowiedniego paragrafu. Jak tylko Konferencja uwolniła się od obecności Włochów, zmieniono formułę i zabroniono otwarcie Niemcom połączyć się z Austrją, choćby nawet wyraźnie pragnęła zlania się z Niemcami. Ponieważ takie postanowienie sprzeczne jest z zasadą samostanowienia, minister włoski Crespi wniół energiczny protest przeciwko tej zmianie i zmianom w sprawach finansowych [1]). Wówczas triumwirowie, ustępując w ostatnim punkcie, zgodzili się przywrócić tekst pierwotny warunków finansowych [2]). Niemcy są obowiązane do dostarczenia Francji siedmiu miljonów ton węgla rocznie, jako odszkodowanie za straty, wyrządzone podczas wojny. Przy cenie 50-ciu franków za tonnę, wartość węgla wyniosłaby trzysta pięćdziesiąt miljonów franków, z czego Włochy miały dostać trzydzieści procent. Podczas nieobecności przedstawicieli Włoch włączono [3]) do Traktatu paragraf dodatkowy, który część, należną Włochom, sprowadził prawie do zera. Według niego, Niemcy mają dostarczyć Francji rocznie ilość węgla, równającą się różnicy między produkcją przedwojenną kopalni Pas de Calais i Pół-

[1]) 6 maja 1919 r. w Wersalu.
[2]) *Corriere della Sera*, 10 maja 1919 r.
[3]) Aneks W. do Traktatu poprawionego.

nocnej, zniszczonych przez wroga, a produkcją kopalni tego samego terenu w ciągu każdego z następnych lat, do maksymalnej granicy dwudziestu miljonów ton. Ponieważ to zobowiązanie ma pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi, a Niemcy z braku środków transportowych i z innych powodów nie będą prawdopodobnie w możności całkowicie się z niego wywiązać, prawa Włoch faktycznie tracą swą wartość.

Przyjęcie delegatów w Rzymie było triumfem, powrót ich do Paryża—upokorzeniem. Wypadki tymczasem mknęły szybko, i w kierunku rozbieżnym z celami Włoch. Opinja publiczna w kraju również zaczęła się zmieniać; ludzie zapytywali siebie samych, czy przyjęta przez delegatów taktyka była rozumna, czy wreszcie odpowiedzieli obowiązkom przedstawicieli kraju w tak krytycznej chwili jego dziejów. Nie można zaprzeczyć, że Włochy były zupełnie osamotnione na Konferencji, poświęciły wiele, a zyskały stosunkowo mało. Jugosłowianie zaproponowali im sojusz, pomimo, że ten rodzaj związku był niezgodny z doktryną Wilsona; propozycja została odrzucona; Włochy mogły więc być pewne wrogiego zachowania się swych sąsiadów. Venizelos również proponował baronowi Sonnino porozumienie, ale nie dostał na to odpowiedzi, przez co stosunki Włoch z Grecją straciły na serdeczności, jaka była możliwa. Węzły przyjaźni pomiędzy Włochami a Francją, które mogły były być wzmocnione przez braterstwo broni, zostały przeciągnięte niemal aż do zerwania. Co zaś najgorsza, delegaci włoscy uznali paragraf, zabraniający Niemcom połączenia się z Austrją.

Jasnem było, że przyczyna błędu nie leżała wyłącznie po stronie aljantów. Brak metody u delegatów włoskich, można powiedzieć, brak jedności był niewątpliwie jeszcze jedną przyczyną więcej, że nie udało się im odegrać wybitniejszej roli na Konferencji.

Ciekawy i charakterystyczny przykład niedbalstwa zdarzył się w związku z rozrządzeniem pałacem Weneckim w Rzymie, który należał do Austrji, a został wywłaszczony przez rząd włoski wkrótce po wypowiedzeniu wojny. Sukcesorowie korony Habsburgów wnieśli skargę o naruszenie praw własności przez rząd włoski. Ponieważ spór miał być przedstawiony Konferencji, gabinet rzymski wysłał radcę prawnego, obeznanego ze sprawą, dla obrony interesów Włoch. Ten wystąpił na Konferencji, wyłożył swe żądania w związku z poglądami rządu; lecz nagle przerwał, widząc zdumienie na twarzach delegatów. Okazało się, że poprzedniego dnia inny delegat na Konferencji Ekonomicznej, również Włoch, rozwijał i bronił wprost przeciwnej tezy, mianowicie, że

spadkobiercy Austrji odziedziczyli prawa do pałacu Weneckiego [1]).

Przechodząc do spraw większej wagi, można zapytać, czy delegacja włoska nie kładła zbyt wiele nacisku na stronę narodową i uczuciową interesów włoskich, a zbyt mało na inne strony. Z wielkich mocarstw Włochy najbardziej potrzebują surowców. Brak im węgla, żelaza, bawełny i nafty. Większą część surowców można zdobyć w Azji Mniejszej. Są one niezbędnemi warunkami współczesnego życia i postępu. Zażądać ich dostawy, jako nagrody za uratowanie Europy i postawić swe żądanie w chwili, gdy Europa się przekształca, nie byłoby objawem imperjalizmu. Inni sprzymierzeńcy posiadali większą część niezbędnych surowców w obfitości jeszcze przed wojną. Dziś je powiększali jeszcze owocami zwycięstwa, które umożliwiło poświęcenie się Włoch. Dlaczegóż te ostatnie mają być niezadowolone? Naród był gorzko rozczarowany, że nie zaspokojono jego żądań terytorjalnych, ale się poczuł jeszcze bardziej zgnębionym, gdy zdał sobie sprawę, że mógłby był sobie zapewnić jeszcze ważniejsze przywileje, gdyby je postawił na czele swych żądań. Tereny emigracyjne dla nadwyżki szybko wzrastającej ludności Włoch, węgiel i żelazo dla przemysłu — wszystko to zapewne mogłoby być zdobyte, gdyby plan kampanji Włoch na Konferencji był dobrze obmyślany i umiejętnie przeprowadzony. Lecz ta realna strona interesów włoskich była prawie zupełnie lekceważona podczas gorących i nieprodukcyjnych sporów o posiadanie miast i portów, które choć są uświęconemi symbolami italizmu, nie mogą powiększyć bogactw ekonomicznych, jakie będą grały dominującą rolę w przyszłej walce o dobrobyt materjalny między państwami nowemi i dawnemi. Kierownicy Włoch w kraju i w Paryżu ujawniali wyraźną skłonność do zajmowania się każdem z tych zagadnień oddzielnie, zamiast traktować położenie Włoch ekonomiczne, finansowe i militarne po wojnie, jako jedno niepodzielne zagadnienie i dowieść, że aljanci powinni w interesie pokoju europejskiego rozwiązać je zadawalająco i zapewnić kompensatę w jednym kierunku za niewypełnione braki w drugim. Był to, według mego zdania, zasadniczy błąd włoskich i sprzymierzonych mężów stanu, z powodu którego Europa może ponieść straty. Trudno zaprzeczyć, że polityka Włoch nie będzie mogła w bliskiej przyszłości powrócić do tego kierunku, w którym szła od czasu ich zjednoczenia narodowego. Interesy są decydującemi czynnikami polityki zagranicznej, akcja zaś wielkich mocarstw nakreśliła warunki dla orjentacji włoskiej.

[1]) Zdarzenie to opowiedział Henryk Ferri w swej godnej uwagi mowie w parlamencie włoskim, mianej 9 lipca 1919 r. Porówn. *La Stampa*, 10 lipca 1919, str. 2.

Włochy zdobyły niewątpliwie wiele przez wojnę, do której się wmieszały głównie dla zakończenia procesu zjednoczenia kraju i zapewnienia sobie bezpiecznych granic; lecz podpisały traktat pokojowy z przekonaniem, że nie osiągnęły rezultatu w żadnym z tych dwóch kierunków i że sprzymierzeńcy są winowajcami ich niepowodzenia. Istotnie, zamiarem aljantów było utworzenie silnego państwa u granic włoskich z narodu, który Włochy uważają za swego przeciwnika, a który miał posiadać niektóre z ich punktów strategicznych. Rozkazujący ton, którego często przytem używano, pozostawiał tyleż rozgoryczenia, co i sam ten cel wspomniany. Mówią, że delegaci włoscy byli traktowani z minimalną względnością, a nawet jeszcze gorzej, wysuwane zaś urzędowo przeciwko nim argumenty wydawały się im gorzkiemi sarkazmami. Skarżyli się, że kiedy Japonja zażądała Szantungu, prezydent Wilson zapomniał o swej rozgłośnej zasadzie samostanowienia, ale odmówił odstąpienia od niej, kiedy Włochy upomniały się o swe prawa do Dalmacji, zagwarantowane w umowie; kiedy zaś mieszkańcy Fiume głosowali za połączeniem się z krajem rodzinnym, Prezydent znowu się wyrzekł swej zasady i, opierając się na innej podstawie, zdecydował sprawę na korzyść Jugosłowian. Miał słuszność, ale nie czynią mu zaszczytu słowa, powiedziane do własnych rodaków, że jego obecność w Europie jest niezbędna dla wyjaśnienia jego koncepcyj, gdyż żadna inna rozumna istota nie mogłaby ich złożyć w ten sposób.

Usunięcie się delegacji włoskiej zostało uznane za akt nieposłuszeństwa i ukarane jako taki. Markiz de Viti de Varche wykrył fakt, że rządy sprzymierzone zmniejszyły odtąd kredyty, przyznane Włochom podczas wojny, wskutek czego ciężkie położenie pogorszyło się jeszcze bardziej, i wieśniacy na znacznej przestrzeni kraju zaczęli cierpieć dotkliwą nędzę [1]). Włochy stały się bardziej zależne od sprzymierzeńców, niż kiedykolwiek z powodu ofiar, które poniosły podczas wojny, i dano im boleśnie odczuć tę zależność. Pomoc wojenna, dana aljantom przez Włochy, pociągnęła za sobą cały szereg następstw finansowych i ekonomicznych, z których nieszczęsny naród jeszcze sobie nie zdawał sprawy. Włochy pod koniec wojny miały dwadzieścia miljardów lir długów zagranicznych, dług wewnętrzny w sumie pięćdziesięciu miljonów i czterokrotnie większy obieg pieniędzy papierowych, niż w czasach przedwojennych [2]) surowce zostały wyczerpane, handel i przemysł

[1]) *Morning Post*, 9 lipca 1919 r.

[2]) 10 lipca włoski minister finansów w swem sprawozdaniu finansowem oznajmił, że ogólny koszt wojny wynosi dla Włoch sto miljardów lir. Dodał jednak, że udział w odszkodowaniu niemieckiem pokryje ich długi zagraniczne, a podatek progresyjny od majątku pokryje pożyczki wewnętrzne. *Corriere della Sera*, 11 i 12 lipca 1919 r.

w upadku, żegluga prawie ustała, a wydatki państwowe doszły do jedenastu miljardów rocznie [1]).

Zgodnie z cyframi, opublikowanemi przez Towarzystwo Statystyczne w Bernie, ogólna drożyzna dawała się we znaki Włochom o wiele więcej, niż każdemu z jej sprzymierzeńców [2]). Skutki tych i innych zmian były zgubne i nie kazały długo na siebie czekać. Naród, pozbawiony tego, co uważał za swoje prawo, upokorzony w osobach swych kierowników, skazany na obcy kierunek, źle odziany, niedokarmiony, nie mający nadziei na szybkie polepszenie stosunków, zaczął okazywać niezadowolenie. Częste strejki pogarszały położenie ogólne, ogólne cierpienia prowadziły wreszcie do zamieszek, buntów i przelewu krwi. Kryzys ekonomiczny, polityczny i moralny był niesłychany. Ludzie, którzy wciągnęli Włochy do wojny, byli piętnowani publicznie, gdyż w pojęciach ludu, zwycięstwo kosztowało naród więcej, a dało mu mniej, niż neutralność. Jeden z głównych mówców opozycji w swej ostrej mowie w parlamencie włoskim powiedział: „Gabinet Salandra-Sonnino wciągnął Włochy do wojny z zamkniętemi oczami [3]).

Po powrocie delegacji włoskiej do Paryża powstały rozmaite nowe kombinacje dla rozwiązania kwestji Adrjatyku. Jedna z nich wydawała się Włochom możliwą podstawą do dyskusji i w zasadzie została przyjęta. Oświadczenie w tym względzie opracował Orlando, Clemenceau zapoznał się z niem i obiecał przedłożyć je Wilsonowi, jedynemu arbitrowi w sprawach włoskich. Grał on tam rolę fatum. Mijały mnogie dni bez żadnego znaku, że Triumwirat zajmuje się sprawą Adrjatyku. Wreszcie premjer włoski przypomniał swemu francuskiemu koledze, że jego ostatnia propozycja została w zasadzie przyjęta i że delegaci włoscy oczekują w tej kwestji na opinję Wilsona. Clemenceau postanowił, nie zwlekając, zwrócić się do amerykańskiego męża stanu. Odpowiedź była dana prędko, lecz zgnębiła Włochów. Dano ją w formie jednego z tych wyjaśnień, które związane z imieniem Wilsona, podrywały ufność ogółu w pewne umiejętności męża stanu, które były mu przypisywane na początku. Sposób, w jaki chciał przeprowadzić głosowanie w Fiume przez włączenie tego miasta do okręgu z większością jugosłowiańską, nadawał projektowi zupełnie inny charakter, niż tego oczekiwali Włosi. Uznali go za niemożliwy do przyjęcia. Premjer włoski nie miał już nic do roboty w Paryżu i wyjechał; wkrótce potem poko-

[1]) *Avanti*, 19 lipca 1919 r.

[2]) Wyrażone w procentach, podrożenie kosztów utrzymania wynosiło dla Stanów Zjednoczonych 220%, dla Anglji 240 %, dla Szwajcarji 257%, dla Fracji 368%, dla Włoch 481%.

[3]) Henryk Ferri, 9 lipca 1919 r. *La Stampa*, 10 lipca 1919 r.

nany został w parlamencie i podał się do dymisji z całym swoim gabinetem. Głos parlamentu włoskiego, który ukazał się prasie kontynentalnej w formie protestu narodu przeciwko celom i metodom Konferencji, zamknął na pewien czas okres dążenia Włoch do zakończenia swego zjednoczenia, zdobycia bezpiecznych granic, tudzież ustalenia swego wspólnictwa politycznego z Francją i bliskich stosunków z Ententą. Od tego czasu państwa anglosaskie mają wpływać decydująco na ich wystąpienia, mogą je zmuszać do uległości swym rozkazom i wogóle sprawować rodzaj opieki nad niemi, gdyż są rozdawcami dóbr ekonomicznych; ale za to niema między niemi jedności serc, ufności wzajemnej i łączności, które są cementem wspólnych celów.

Jednym z najwymowniejszych argumentów użytych przez prezydenta Wilsona, dla zniechęcenia państw, by się nie domagały punktów strategicznych, a w szczególności Włoch, by się nie upierały przy aneksji Fiume i wybrzeża Dalmacji, była skuteczna opieka, jaką zapewni im Liga Narodów [1]). Mówiono, że względy strategiczne utracą z nadejściem nowej ery całą swą wartość, a gwarancje terytorjalne staną się bezteŕeściwemi i nieuciążliwemi przeżytkami martwej epoki. Był to główny oręż, którym starał się odparować zapędy Clemenceau, i kamień próbny, którym badał szczerość wszystkich wyznań wiary dla umiłowanego projektu swego złączenia narodów świata w wielką ligę miłujących pokój lojalnych społeczeństw. Lecz wiara kierowników Francji różniła się niewiele od niewiary. Przedewszystkiem gwarancje, potem opieka Ligi— była to formuła francuska, z powodu której stoczono wiele zażartych bojów. W końcu Wilson, doprowadziwszy do cofnięcia żądania granicy Renu, ustąpił i statut został wzmocniony umową, która przy bliższem zbadaniu wydaje się przedsięwzięciem militarnem, jednostronnem przymierzem, polegającem na tem, że Anglja i Stany Zjednoczone zobowiązują się pośpieszyć z pomocą Francji, w razie gdyby na jej terytorjum wdarli się Niemcy. Przewidywany wypadek jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobny. Ekspansja Niemiec pójdzie, gdy wybije pomyślna godzina, zgoła odmienną drogą, przeciwko której armje, nawet jeżeli będą mogły być szybko zmobilizowane, niewiele będą mogły pomóc. Gdyby zaś użyto i siły, prawie z zupełną pewnością byłaby ona skierowana tam, gdzie opór byłby najsłabszy — przeciwko sprzymierzeńcowi Francji —

[1]) Prezydent Wilson powtórzył jeszcze podstawy swej decyzji. W mowie z 4 września 1919 r. stwierdził, że „Włochy żądały Fiume dla względów strategicznych, które Liga Narodów uczyni zbędnemi... *New York Herald* (wydanie paryskie), 7 września 1919 r. Ale Liga nie czyniła zbędnemi gwarancyj strategicznych dla Francji.

Polsce. Jest to jednak tylko uboczna uwaga. Włosi twierdzili, że ponieważ Liga Narodów okazała się bezsilną do sprawowania funkcyj, które mogą uczynić zbędnemi granice strategiczne, nie można dłużej liczyć na nią, jako na wystarczającą obronę przeciwko tym niebezpieczeństwom, których byłoby łatwo uniknąć przez oddanie im żądanych punktów na Adrjatyku. Albo Liga może bronić narodów, które oddały silnym wrogom swe punkty strategiczne, albo nie może. Jeżeli może — nacisk Francji na potrzebę konwencji militarnej jest szkodliwy i niemoralny; jeżeli nie — Włochy potrzebują gwarancji w tym samym stopniu, jak i sąsiad. Lecz mówcy stale operowali utartemi argumentami i byli pozbawieni wpływu, tymczasem wiara w skuteczność Ligi gasła nawet wśród tych ludzi, którzy jawnie starali się ją rozszerzać.

Prasa rzymska, turyńska i medjolańska wskazywała na lojalność narodu włoskiego, która ujawniała się jasno w niezadowoleniu, jakie spowodował wyłączny charakter wojennego trójprzymierza. Bliscy Francuzom, Włosi sądzili, że zostaną dopuszczeni do tego, by stać się razem z nimi partją wewnątrz Ligi. Jako lojalni sprzymierzeńcy Anglji i Francji pragnęli być przyjęci do przymierza. Wyłączono ich jednak. Zapewnienia prasy, że to nie było przymierze, tylko pewien rodzaj protektoratu, niewiele ich uspokoiło. Tłumaczono, że przymierze jest umową, za pomocą której dwie albo więcej stron zobowiązuje się do oddania usług jedna drugiej w pewnych okolicznościach, gdy tymczasem dana umowa jest jednostronnem zobowiązaniem ze strony Anglji i Stanów Zjednoczonych dla strony Francji w razie napaści, skoro sama jest niezdolna do skutecznej obrony samodzielnej. Jest to więc dobrodziejstwo. Lecz to objaśnienie nie znajdowało posłuchu. Naród czuł, że jest lekceważony—używano nawet silniejszych terminów—przez aljantów, których uratował może od zagłady.

Powoli uczucia narodu włoskiego uległy niepokojącej zmianie. Wszystkie partje i klasy jednozgodnie piętnowały zachowanie się aljantów słowami, na których przepuszczenie nawet wybitny poeta d'Annuzio nie mógł namówić cenzorów. „Traktat pokojowy", pisał najbardziej wpływowy dziennik Włoch, „stawia na najbliższą przyszłość kontynentalną hegemonję Francji, kontrasygnowaną przez przymierze anglo-amerykańskie" [1]). Inny szeroko rozpowszechniony i poważny organ opisywał politykę Ententy jako rozluźniającą budowę społeczną, twórczą w słowach, zgubną w czynach, „szkodliwą, jeżeli wogóle istnieje polityka szkodliwa. Budząc nadzieje i apetyty, nie zaspakaja ich; przeciwnie wywołuje zniechęcenie. W słowach:

[1]) *Corriere della Sera,* 11 maja 1919 r.

walka o wolność, o narody, o równość narodów i klas, o ogólny dobrobyt; w czynach,—pogwałcenie najelementarniejszej swobody konstytucyjnej, przewaga jednych narodów, oparta na upokorzeniu drugich, podział narodów na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, zaostrzenie różnic społecznych, zniszczenie zbiorowego bogactwa, nagromadzenie go w nielicznych, krwią zbrukanych rękach, ogólna nędza i głód" [1]).

Chociaż rozumiano dobrze, że porażka Włoch na Konfefencji jest głównie dziełem prezydenta Wilsona, niechęć narodu włoskiego wybrała sobie za przedmiot bezpośredni przedstawicieli Francji i Anglji. „Sojusznicy" amerykańscy byli cudzoziemcami, obecnymi dziś, a dalekimi jutro; lecz aljanci zostają i gdyby ich stosunek do Włoch był inny, ich lojalność rzeczywista uzyskałaby równomierne korzyści bez względu na to, coby powiedzieli lub uczynili amerykańscy mężowie stanu.

Prasa włoska wrzała oburzeniem na swego sprzymierzeńca francuskiego, który tak często na żądania Włoch na Konferencji odpowiadał nienawistnym wyrazem „niemożliwe". Nawet umiarkowane organy prasy bez zastrzeżeń oddawały swe szpalty krytykom polityki francuskiej i przewidywaniom jej skutków, które mąciły spokój umysłu europejskich mężów stanu. „Jest niemożliwe", pisał jeden z tych dzienników, „żeby Francja stała się despotyczną władcą Europy bez Włoch, tem bardziej przeciwko Włochom, co przewyższało próżność Richelieu'go, który był lwem i lisem, co było niedostępne dla Bonapartego, który był orłem i wężem, nie może być osiągnięte przez tygrysa Clemenceau w warunkach o wiele mniej pomyślnych, niż przed laty. Jesteśmy co prawda odosobnieni, ale Francja nie ma wielkich trudności w wyborze przyjaciół". Pokój przedstawiano jako „franko-słowiańskie panowanie z kwaterą główną w Pradze i filją w Zagrzebiu". Panu Clemenceau polecono otwarcie dążyć do hegemonji Francji na kontynencie przez oddzielenie Niemiec od Austrji i otoczenie ich pierścieniem państw słowiańskich: Polską, Jugosławją, Czechosławją i może nie-słowiańskiem królestwem Rumunji. Wszystkie te państwa będą prowadzone na pasku przez Rzeczpospolitę Francuską i Austrja będzie również połączona z nią, zmieniwszy swą postać. Pragnąc odrodzenia państwa Habsburgów pod nazwą „Federacji Naddunajskiej", Wilson poparł rozmyślne pogwałcenie swej własnej zasady samostanowienia i odmówił Austrji prawa wyboru ustroju, który jej odpowiadał. Krytycy uważali, że był to co najmniej dziwny kompromis dla idealisty w stylu Prezydenta, na którego każdy czyn polityczny cały świat zwracał wzrok badawczy. Nie można było tego wziąć za ofia-

[1]) *La Stampa*, 16 lipca 1919.

rę, zrobioną dla wyższego celu moralnego, — jednego z tych celów, który zgodnie z dawną maksymą uświęca środki. Wydawał się on jawną odpowiedzią na tajemne namowy czy wpływy, nie związane z żadną uznaną zasadą. Nawet organy socjalistyczne powiększyły chór oskarżycieli. *Avanti* pisał: „Jesteśmy socjalistami, jednak nie wierzyliśmy nigdy, by Prezydent Amerykański podjął w imię swych czternastu punktów wojnę o wyższe cele ludzkości i o prawa narodów; tem mniej wierzymy dziś, ażeby jego opozycja aspiracjom państwa Włoskiego co do Adrjatyku była natchniona wyższemi pobudkami idealizmu" [1]).

Los terytorjów spornych nad Adrjatykiem miał być wynikiem samostanowienia. Pretensje Polski miały być rozstrzygnięte przez samostanowienie ludności Śląska i Rusi. Rumunji powiedziano, że jej żądania muszą pozostać w zawieszeniu, dopóki nie zostaną wypróbowane przez tę samą zasadę, zastosowaną w formie plebiscytu. Samostanowienie było kamieniem węgielnym Ligi Narodów, jej najświętszym darem, za który postępowe narody świata przelewały krew w ciągu prawie pięciu lat. Ale kiedy Włochy odwołały się do samostanowienia, szybko im to wyperswadowano. Kiedy chciała się oprzeć na niem Austrja, spotkał ją ten sam los; ukoronowaniem zaś tego wszystkiego, było przekonanie, że czternaście punktów są uroczyście zastosowywane. To spaczenie zasad dla triumfu chwilowej zapobiegliwości praktycznej skłoniło wrażliwszych krytyków do przypisania go wpływom mniej szanownym, niż te, któremi mogło być tłumaczone.

Mocarstwa kierownicze były niezmiernie wrażliwe na często powtarzającą się konieczność mieszania się do wewnętrznych spraw innych narodów. Głosiły w sposób niezmordowany swój wstręt do interwencji. Pośród licznych faktów jednak którym nie można było zaprzeczyć, ani też pogodzić ich z takiemi przekonaniami, następujące były podane przez Włochów, którym szczególnie zależało na tem, by zwrócić na nie uwagę ogółu. Miało to związek z nieudaną próbą wprowadzenia monarchji Habsburskiej na Węgrzech, jako pierwszym krokiem do utworzenia federacji naddunajskiej. „Nie ulega wątpliwości", pisał główny dziennik włoski, „że zamach stanu arcyksięcia Józefa nie nastąpił; istotnie, wziąwszy pod uwagę stosunki istniejące w Budapeszcie, nie mógł nastąpić bez wiedzy Ententy. Komunikaty oficjalne z Budapesztu i Wiednia, datowane 9 sierpnia, podają w tym względzie dokładne szczegóły, którym nikt dotąd nie postarał się zaprzeczyć. Rząd Peidla był zaledwie trzy dni u władzy i dlatego nie był w stanie zasłużyć na za-

[1]) *Avanti*, 27 kwietnia 1919 r. Por. *Le Temps* z 28 kwietnia 1919 r.

ufanie lub niewiarę, kiedy kierownicy „organizacyj, miłujących ład" wysunęli dla usprawiedliwienia potrzeby nowego kryzysu skargi kierowników misji Ententy na anarchję, panującą na Węgrzech i na konieczność znalezienia „kogoś," coby ratował kraj od zguby. Wtedy komisja udała się do Alscuth i z łatwością namówiła Arcyksięcia na przybycie do Budapesztu, gdzie odwiedził odrazu kierowników misyj i spędził cały dzień na rokowaniach. „*Na skutek pertraktacyj z przedstawicielami Ententy, arcyksiążę Józef podjął się rozwiązania kryzysu*". Zwołał wtedy dawną policję państwową i armję ochotniczą, składającą się z 8,000 ludzi. Garnizon rumuński był w pogotowiu. Rząd Peidla nie stawiał żadnego oporu. O godz. 10 wieczór w dniu 7 sierpnia zebrały się wszystkie misje Ententy na posiedzenie, *na które zaproszono arcyksięcia Józefa i nowego premjera.* Przewodniczył generał Gorton. *Konferencja trwała dwie godziny i doszła do porozumienia we wszystkich kwestjach. Wszyscy kierownicy misyj zapewnili nowy rząd o swem najgorętszem poparciu*" [1]).

Innym przykładem niezagwarantowanej interwencji, który przyczynił się do rozgoryczenia Włochów, było narzucenie Austrji zobowiązania, by się wyrzekła swego żądania połączenia się z Niemcami. „Trudno wynaleźć w polityce Ententy w stosunku do Austrji coś bardziej szanownego, niż upór, połączony z głupotą", pisał ten sam dziennik. „Ale jest jeszcze coś gorszego. Niepodobna nie oburzać się na Koalicję, która po triumfach w imię wzniosłych zasad... traktuje Austrję Niemiecką nie lepiej, niż Święte Przymierze traktowało małe państewka Włoch. Kongres Wiedeński jednakże działał w zgodzie z zasadą legitymizmu, którą uznał i głosił, gdy tymczasem Konferencja Paryska gwałci bez skrupułów te prawa, które, jak twierdzi, nią kierują.

„Również nieodpowiedniem jest wmieszanie się Rady Najwyższej do spraw wewnętrznych Niemiec, jako państwa, które zgodnie z duchem i literą Traktatu Wersalskiego jest suwerenne i nie zostaje pod protektoratem. Konferencja była powołana do dyktowania warunków pokoju Niemcom, lecz przekracza granice swej kompetencji, jeżeli stawia nowe warunki i przyswaja sobie — na zasadzie naciągniętych i wątpliwych interpretacyj — prawo narzucania reform konstytucyjnych narodowi, który nie jest wrogiem z punktu widzenia militarnego i prawnego. Czy Niemcy gwałcą Traktat swą konstytucją, jest to kwestja, którą może rozwiązać tylko wyrok prawny Ligi Narodów" [2]).

[1]) *Corriere della Sera*, 9 sierpnia 1919 r.
[2]) *Corriere della Sera*, 3 września 1919 r.

Byłoby niepolitycznem zapoznawanie wpływu tego braku konsekwencji na stosunki Francji i Włoch. Opinja publiczna półwyspu charakteryzowała stosunek Francji do Włoch jako rozmyślnie wrogi. Włosi na Konferencji badali uważnie każdy czyn i słowo swych kolegów francuskich, szukając dowodów, które mogłyby wpłynąć na zmianę tego poglądu. Ale poszukiwania były, jak mówiono, nadaremne. Ujawniły one natomiast fakty, które, choć łatwe do wytłumaczenia, mogłyby niezwłocznie wzmocnić uczucie rozgoryczenia w stosunku do Francji, które zresztą szybko wzrastało. Orlando musiał uciec się do cenzury, by zapobiec w tym względzie niedyskrecji, ale intuicja mas odniosła zwycięstwo nad represjami i istniejące naprężenie stosunku zamieniało się na wyraźną niechęć. Włosi tłumaczyli sobie stanowisko Clemenceau w następujący sposób. Chociaż Włochy przestały być ważnym czynnikiem politycznym, którym były podczas trwania Trójprzymierza, są one dotąd silnem mocarstwem kontynentalnem, zdolnem do wystawienia na plac boju liczniejszej armji, niż ich republikańska siostra; ludność ich wzrasta stale w wysokim stopniu i w ciągu kilku lat wyprzedzi swą rywalkę. Francja również zatraciła te czynniki potęgi i wpływów, jakie jej dał sojusz z Rosją. Wreszcie dawny sprzymierzeniec słowiański, Rosja, może się jutro stać wrogiem. Z tych powodów Francja musi sobie znaleźć innych sprzymierzeńców na miejsce Rumunów i Włochów. Ponieważ może ich mieć w nowych państwach słowiańskich: Polsce, Czecho-Słowacji i Jugosławji, może więc nie ponosić dotkliwych ofiar w celu popierania Włoch.

Drobny wypadek, rzucający światło na usposobienie dwóch pokrewnych narodów, zdarzył się w St. Germain-en-Laye, gdzie mieszkali delegaci austrjaccy. Byli bardzo honorowani w Wiedniu przez przedstawiciela republiki francuskiej p. Allize, którego zadaniem było nie dopuszczać, żeby Austrja połączyła się z Rzeszą Niemiecką. Polityka Włoch była, przeciwnie, oparta na zasadzie samostanowienia i szła w kierunku pozwolenia Austrjakom robienia w tym względzie, co im się podoba. Pewien publicysta, będący gorącym rzecznikiem poglądów Francuzów—udał się do głównej siedziby Austrjaków w St. Germain, jak przypuszczano w celu omówienia sprawy. Ponieważ wszakże obcowanie osób prywatnych z delegatami wrogimi było surowo wzbronione, więc kiedy pan X. zjawił się na miejscu dyżurny oficer włoski zabronił mu wejścia. P. X. nalegał. Oficer był nieubłagany. Wreszcie pan X. wyjął pozwolenie na piśmie, podpisane przez sekretarza Konferencji p. Dutasta. Nie dowiedziano się, w jaki sposób i dlaczego zrobiono w tym wypadku wyjątek z prawa, które nie powinno dopuszczać żadnych wyjątków. Oficer włoski jednakże postąpił, jak należało: uznał,

że zakaz wojskowy nie może być cofnięty przez osobę cywilną i nie wpuścił gościa.

Ogólny kierunek polityki europejskiej Francji Włosi uważali na nienawistny. Widziały w nim wynik dobrze ułożonego planu w celu odgrywania przeważającej roli na kontynencie. To było ostatecznym celem poprostu przeciwko połączeniu się Austrji z Niemcami, umowy wojennej z Anglją i Stanami Zjednoczonemi, oraz innych kroków, szkodliwych dla Włoch. Austrja miała być zrekonstytuowana według planów federacyjnych arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i wzmocniona, żeby stała się przeciwwagą Włoch i była na zawołanie Francji. W ten sposób przyjaciółka, sprzymierzeniec, siostra wczorajsza stawała się na przyszłość potężnym wrogiem. To był motyw główny większości prasy włoskiej i nikt nie powtarzał go z takiem przejęciem, jak ci, którzy byli za wzięciem udziału w wojnie. Jeden z dzienników, organ konserwatywny Lombardji, pisał: „Do wczorajszego dnia mogliśmy zastanawiać się nad dwiema drogami, leżącemi przed nami: jedną—sojuszu z Francją, i drugą—polityki niezależnej. Lecz nie myślimy już w ten sposób. Proponować dziś naszą przyjaźń narodowi, który już wybrał swą drogę i zawarł związek z naszymi wrogami wczorajszymi i jutrzejszymi,—to nie jest zakreślaniem polityki, lecz niecnem poddaniem się. Równałoby się to powtórzeniu w drażliwszej formie sytuacji, w jakiej byliśmy, mając przymierze z Niemcami. Ponownie zostalibyśmy wciągnięci do związku w którym jeden ze wspólników jest istotnie naszym wrogiem. Francja zajęłaby miejsce Niemiec, Jugosławja miejsce Austrji i zostałoby odtworzone dawne Trójprzymierze, jeszcze gorsze nawet, gdyż pierwsze przynajmniej zabezpieczało nas od konfliktu, gdy tymczasem drugie związywałoby nam ręce wobec małego państewka bałkańskiego, które sami moglibyśmy z łatwością utrzymać na właściwem stanowisku.

„Mamy już dosyć polityki, która dotąd krępowała nas wszelkiemi ciężarami przymierza, nie dając żadnych korzyści, która przymuszała nas do popierania wszystkich narodów, jakich ekspansja odpowiadała planom Francji i do zwalczania lub lekceważenia innych, jakich wzmocnienie odpowiadałoby naszym interesom,—polityki, która nas prowadziła do popierania wielkiej Polski i wielkich Czech, a zwalczania Ukrainy, Węgier, Bułgarji, Rumunji, Hiszpanji, których losy są obojętne dla Francji, ale nie dla nas" [1]). Pewien dziennik boloński pisał o niesłychanej ofierze, "do której aljanci zmusili Włochy przez nacisk ekonomiczny i okrucieństwo, jakiem jest trzymanie bata w jednej ręce, a kawałka chleba w drugiej" [2]),

[1]) Cytowane w *La Stampa* 20 lipca 1919 r.
[2]) Tamże.

Ostre komentarze wywołały wysokie podatki, nałożone przez rząd francuski na cudzoziemców w Tunisie [1]), przeważnie Włochów, korzystających dotąd z tych samych praw, co Francuzi i krajowcy Tunisu. „Nagle", pisze główny dziennik włoski, „i właśnie wtedy, gdy miano nadzieję, że wspólnie poniesione ofiary zacieśniły węzły pomiędzy dwoma narodami, gubernator Tunisu wydał pewne rozporządzenia, zagrażające interesom cudzoziemców i ich skutki odczują głównie Włosi, których w Tunisie jest 120.000 [2]). Najpierw wydany został zakaz używania w szkołach innego języka, oprócz francuskiego. Obecnie, według prawa, o którem mówiono w Izbie Lordów, rząd Tunisu będzie mógł obciążać podatkami akty kupna i sprzedaży własności w Tunisie. Nowa stopa oprocentowania podatkowego, która zastąpi dawną, dochodzi do 59% dla wartości do 100,000 lir i 80%, jeżeli wartość przekracza 500.000 lir". Artykuł kończy się uwagą, że bojkot jest niezbyt odpowiedniem zakończeniem wojny, podjętej o wspólne cele i i ideały.

Te wynurzenia rozdrażniły Francuzów i zostały wzięte za oznakę odstępstwa Włoch. Napróżno niektórzy bardziej zrównoważeni ludzie wykazywali, że rząd francuski jest w znacznym stopniu sam odpowiedzialny za stan umysłów, na który się skarży. Pertinax pisał w *Echo de Paris*, że „przymierze by mogło trwać i kwitnąć, powinno byłoby zachować swój charakter Ligi Antyniemieckiej, gdy tymczasem wpadło ono w błąd maskowania się jako Związek Narodów i przyswoiło sobie prawo pociągania przed swój trybunał wszystkich sporów naszej planety [3])". Sprzymierzeńcy Włoch niewątpliwie uczynili wiele, by utracić ich sympatje i odwrócić je od Przymierza. Wykazywano, że kiedy wojska francuskie przybywały do Włoch, komunikaty Dowództwa Włoskiego, podnosiły niemal codziennie ich wysiłki, natomiast Dowództwo Francuskie skąpiło nawet wzmianek o czynach wojsk włoskich we Francji, a jednak w armji włoskiej na froncie francuskim poległo więcej ludzi, niż w armji francuskiej na froncie włoskim [4]). Na Konferencji Pokojowej, jak widzieliśmy, odłożono sprawy włoskie na tej zasadzie, jakoby nie było między niemi związku. Interesy aljantów, któremi zajmowano się podczas wojny jako całością, zostały po zawieszeniu broni rozdzielone na główne i drugorzędne i sprawy Włoch uznano za należące do tej ostatniej kategorji. Następnie Francja, Anglja i Stany Zjednoczone, bez współdziałania i wiadomości swych włoskich przyjaciół, zawar-

[1]) *Corriere d'Italia*, 29 czerwca r. 1919.
[2]) „Włochy współczesne", 12 lipca 1919 r. (str. 289).
[3]) *Echo de Paris*, 7 lipca 1919 r.
[4]) „Exposé włoskie" ogłoszone przez *Morning Post*, 6 lipca 1919 r.

ły przymierze, ale z niego wykluczono Włochy, niszcząc w ten sposób jedyne argumenty, które mogłyby przemawiać za podobną koalicją. Kiedy miano podpisać pokój, odwołały jednostronnie umowę, zawartą w Londynie, uważając że dla prawomocności aktu niezbędną jest zgoda aljantów i zawyrokowały, że protest Włoch nie ma znaczenia w tym razie. Gdy orędzie zostało ostatecznie podpisane, Wilson wrócił do Stanów Zjednoczonych, Lloyd George do Anglji, markiz Saionji do Japonji, bez rozwiązania któregokolwiek z zagadnień włoskich. Włochy, ich potrzeby, ich żądania i polityka wydawały się wielkim mocarstwom sprawami bez żadnego znaczenia. Jasnem jest wobec tego, że naród włoski czuł się zawiedzionym i pragnął szukać nowych przyjaciół, gdy go opuścili dawni.

Trudno byłoby przesadzić w ocenie skutków, jakie pociągnęło za sobą postępowanie aljantów w stosunku do Włoch dla ogólnej polityki Europejskiej. Najwybitniejszy mąż stanu Włoch Tittoni, który został następcą barona Sonnino, nie zważając na wszelkie udręczenia i niezręczne kroki, z wielkim taktem i nie bez powodzenia łatał szczerby w Przymierzu, łagodził niebezpieczne tarcia i nadawał stosunkom ton odpowiedni. Zrobił w tym względzie wszystko, co może się udać zdolnemu mężowi stanu. Lecz wstrzymanie działania praw psychologicznych leży poza granicami możności jednostki. By ocenić włoski punkt widzenia, nie trzeba koniecznie pochwalać przesadzonych żądań, wysuwanych przez prasę włoską na wiosnę 1919 r. Wystarczy zaznaczyć, że w świetle doktryny wilsonowskiej, tak samo trudno je było pogodzić z ową doktryną, jak pretensje zgłaszane przez inne mocarstwa, a uwzględnione przez Radę Najwyższą.

Jednem słowem, Włochy nabyły przeświadczenia, że związek ich z obecnymi sprzymierzeńcami zmusza ich jedynie do ofiary nie tylko w chwilach niedoli, ale i w godzinie triumfu. Były przekonane, że aljańci patrzą na te sprawy, które Włochom wydają się najniezbędniejsze, jako na niezwiązane z ich sprawami własnemi. I to właśnie było niepomyślnym wynikiem. Jeżeli w przyszłości przy pewnych doniosłego znaczenia konjunkturach sprzymierzeńcy ze swej strony będą mieli wrażenie, że Włochy dostosowują swoją politykę do swych spraw tak dalekich od interesów sprzymierzeńców, to będą musieli narzekać na siebie samych.

ROZDZIAŁ IX.

JAPONJA.

WŚRÓD rozwiązań kwestyj palących, które wywoływały pomysłowość i były próbą dobrej woli mocarstw kierowniczych na Konferencji Pokojowej, żadne nie było tak prędko załatwione, ani też ostrzej krytykowane z zewnątrz, niż to, które dotyczyło Japonji. Burza, która podniosła się z chwilą, gdy decyzja Rady Najwyższej w sprawie Szantungu stała się wiadomą, uciszyła się nie prędko; przeciwnie nawet, chwilami zdawało się, że przejdzie w prawdziwy huragan. To zagadnienie, jak większość tych, które były postawione przed forum Konferencji, może być rozpatrywane z dwóch różnych punktów widzenia: jednym z nich jest przyszły związek miłujących sprawiedliwość narodów, którego członkowie mają się wyrzec zdobyczy terytorjalnych, szczególnych przywilejów ekonomicznych i polityki na szkodę innych krajów; drugi zaś tradycyjny punkt widzenia, który zwykle panował w polityce międzynarodowej i którego nie można określić lepiej, niż dobrze znanem wyrażeniem Salandry „uświęcony egoizm". W oświetleniu pierwszego z tych punktów żądanie Szantungu przez Japonję jest niewątpliwie takim samym krokiem wstecz, jak utrzymanie doktryny Monroego przez Stany Zjednoczone lub pretensja Francji do zagłębia Saary. Ale ponieważ wielkie mocarstwa dały przykład, Japonja postanowiła od początku sprzeciwić się każdemu postanowieniu, któreby ją zepchnęło do kategorji drugo- i trzeciorzędnych narodów. Stan równorzędności, z jakiej jednakowo korzystały wielkie mocarstwa. nie rozciągał się na naród japoński w stosunku do innych narodów. Japońscy mężowie stanu jednakże nie chcieli uznać tej sztucznej niższości, jako powodu do zajmowania niższego szczebla w hierarchji międzynarodowej i powoływali się na zasadę, z której już skorzystała Anglja, Francja i Ameryka.

Rada Najwyższa, jak starożytny Janus, miała dwa oblicza: jedno altruistyczne, drugie egoistyczne, i trzymała, jak syn Apollina, w prawej ręce klucz, a w lewej wędkę. Stoso-

wała do różnych państw, zależnie od własnego interesu czy wygody, zasady starego lub nowego statutu i chętnie wywłaszczyłaby Japonję z owoców zwycięstwa i sprowadziła ją do roli pracujących bez wynagrodzenia w winnicy pańskiej, gdyby ta polityka nie była wykluczona ze względu na celowość jej w chwili obecnej, oraz ze względu na uprzednie zobowiązania. Wymagał tego zamiar Wilsona osiągnięcia przed powrotem do Waszyngtonu, pewnego rodzaju umowy, którą można określić jako konstytucję przyszłego związku narodów, a dojście jej do skutku, według jego mniemania niemożliwe było bez udziału Japonji, który zależał od zaspokojenia jej wymagań w sprawie Szantungu. Zobowiązania uprzednie były to tajne umowy zawarte przez Japonję z Anglją, Francją, Rosją i Włochami, zanim Stany Zjednoczone wmieszały się do wojny.

Ogół nie zdaje sobie należycie sprawy z roli Japonji w wojnie i okoliczności, które warunkowały tę rolę. Odsuwano myśl o nich celowo na drugi plan, pomimo że znajomość ich jest niezbędna dla tych, którzy pragną zrozumieć znaczenie sporu o Szantung, gdzie szło o międzynarodowe stanowisko Japonji. Zanim spróbujemy zanalizować te okoliczności, musimy zauważyć, że podczas kampanji prowadzonej przez prasę francuską w latach 1915—1916 w celu zmuszenia gabinetu w Tokjo do wzięcia udziału w działaniach wojennych w Europie, kwestja motywów była omawiana z brakiem taktu, który trudno usprawiedliwić. Twierdzono, naprzykład, że naród Mikada byłby nad wyraz szczęśliwy, gdyby rządy sprzymierzone dopuściły go do zaszszytu uczestniczenia w wielkim pochodzie cywilizacyjnym przeciwko mocarstwom centralnym. Głoszono, że przyznanie mu tego pozazdroszczenia godnego przywileju opłaci wszelką cenę ofiar w ludziach i pieniądzach. Drugim względem, wysuwanym przez publicystów Ententy dla wciągnięcia Japonji do akcji wojennej, było niebezpieczeństwo grożące ze strony Niemiec, jak gdyby Japonja potrzebowała od Europejczyków informacji, na czem polegają jej najżywotniejsze interesy, z której strony są zagrożone i w jaki sposób można je najskuteczniej obronić. Tyle w sprawie faktu i formy. Japonja nie przyjęła nigdy doktryny altruizmu w polityce, którą tak gorliwie głosili jej sprzymierzeńcy z Zachodu. Dopóki niema sposobów zastąpienia siły militarnej przez moralną w stosunkach państwa z państwem, jedyna przebudowa świata, w którą mogą uwierzyć Japończycy, musi być oparta na traktatach i zobowiązaniu słownem. Jest to zasada, którą się kierują polityka ogólna i obecne dążenia naszego sprzymierzeńca na Dalekim Wschodzie.

Jednym z najcharakterystyczniejszych rysów postępowania Japonji wobec sąsiadów jest lojalność i prawość. Jej stosunek

z Rosją przed i po kampanji mandżurskiej daje jaskrawy przykład wszelkich przymiotów, jakich można żądać od uczciwego sąsiada, tudzież poważnego i rycerskiego sprzymierzeńca. Miałem sposobność przyglądania się rozwojowi stosunków pomiędzy temi dwoma rządami przez wiele lat, zanim się pokłóciły, i później aż do roku 1914, i mogę stwierdzić, że pochwały, któremi ministrowie cara obsypywali swoich japońskich kolegów, były najzupełniej zasłużone. I dlatego nie ulega wątpliwości, że jakkolwiek się rozwinie obecna sytuacja, Japonja wypełni wszystkie swe zobowiązania z sumienną dokładnością, zarówno co do ich istoty, jak i co do formy,

Szczerze mówiąc, Japończyków możemy nazwać realistami. Ich polityka zagraniczna jest przejęta zasadami, któremi kierowały się wszystkie narody do roku 1914 i które dziś kierują prawie wszystkiemi niemi. W rzeczywistości jedynemi mocarstwami, które dotychczas całkowicie i stanowczo się ich wyrzekły, są dotąd tylko bolszewicka Rosja i w znacznym stopniu Stany Zjednoczone. W imię dawnego systemu, Japonja uczestniczyła w wojnie na wyraźne żądanie rządu angielskiego. W przededniu wystąpienia Anglji, ambasador angielski w Tokio, zapytał oficjalnie, czy rząd jego może liczyć na czynną pomoc ze strony wojsk Mikada w kampanji, która miała się rozpocząć. 4-go sierpnia baron Kato po uprzedniej naradzie z kolegami dał mu odpowiedź twierdzącą. W trzy dni później doszło do Tokio z Londynu zawiadomienie, żądające *natychmiastowego* współdziałania Japonji, co na drugi dzień zostało przyrzeczone. Powodem takiego pośpiechu była obawa Anglji, ażeby Niemcy nie oddały Kiao-Czau Chinom i nie zarezerwowały sobie w myśl artykułu V umowy z r. 1898 prawa otrzymania po wojnie „bardziej odpowiedniego terytorjum" w Cesarstwie czy Republice Środkowej. Poczem Japończycy rozpoczęli działania wojenne z początku na morzach chińskich, potem rozszerzyli je na Ocean Spokojny i Indyjski, a wreszcie i na morze Śródziemne. Jedynem zadaniem do wykonania na lądzie, które im przypadło w udziale, było zdobycie Kiao-Czau. Do czegokolwiek przyłożyli rękę, wypełnili to rzetelnie i ku zupełnemu zadowoleniu swych sprzymierzeńców europejskich.

Przez szereg lat naród japoński zbliżał się wolno, ale z niezmordowaną wytrwałością i nieomylnym instynktem do swego odległego celu, który bezstronny historyk oceni, jeżeli nie jako uprawniony, to przynajmniej godny uznania. Stosunek Japonji z Rosją był historją długotrwałych, uporczywych zabiegów w celu odnalezienia wspólnych interesów, któreby umożliwiły Japonji wypełnienie jej misji. Rosja była właśnie rodzajem partnera, którego współdziałanie było szczególniej pożądane, ze względu na to, że można było osiągnąć je bez przeszkód

i wymagań, niezbędnych przy porozumieniu się z większością pozostałych wielkich mocarstw. Rosjanie nie byli nigdy nietolerancyjni w kwestjach rasy, ani niebezpieczni w spółzawodnictwie handlowem. Żenili się swobodnie z tak zwanemi niższemi rasami i plemionami w Cesarstwie i stawiali je na równym stopniu wobec prawa. Dwadzieścia trzy lata temu odwiedzałem mego przyjaciela generała Tomicza gubernatora wojennego Karsu, i zasiadłem do stołu razem z burmistrzem miasta, którym był mahometanin. Rosjanin, jako jednostka, jest zwykle wolny od przesądów rasowych; nie czuje obawy „żółtego niebezpieczeństwa", ani przeszkód do przyjęcia Japończyka za towarzysza, kolegę lub zięcia.

Na propozycje, robione przez Ito i innych, zgodziliby się Witte i Lamsdorf, gdyby nie Car, zainteresowany w aferze Bezobrazowa, dotyczącej Yalu, nie podporządkował swej polityki tym interesom i nie zmusił Japonji do walki. Ideją naczelną polityki Ito, z którym miałem dwie ciekawe rozmowy na ten temat, było zawarcie ścisłej umowy przyjaznej z carat em, opartej na wspólności interesów i zapewnienie sobie pomocy Rosji w godzinie burzy, która mogła pewnego dnia wybuchnąć. Rząd Cara podzielał te pobudki. Przed ukończeniem wojny udałem się w sprawach Rosji do Londynu, by zaproponować rządowi japońskiemu w dodatku do traktatu pokojowego, który miał być omawiany w Portsmouth, sojusz zaczepno-odporny i zażądać, ażeby książę Ito był przysłany, jako pierwszy delegat, upełnomocniony do zawarcia podobnego traktatu.

Polityka Izwolskiego wobec Japonji, otwarta i godna męża stanu, miała za cel ostateczny właśnie sojusz zaczepno-odporny, a traktaty i umowy, które zawierał z wicehrabią Motono i w których projektowaniu odegrałem pewną skromną rolę, dążyły do tego samego celu. Car nie chciał robić ustępstw, któreby umożliwiały zawarcie tego porozumienia, co było ogromną przeszkodą, usuniętą dopiero wówczas, gdy minister zagroził podaniem się do dymisji. Energja i stanowczość Izwolskiego przyśpieszyła zawarcie traktatu przy utrzymaniu *status quo* w Mandżurji; a w razie potrzeby postanowiono działać zgodnie dla utrzymania tegoż *status quo*. Nie umawiano się już dłużej, jak to było poprzednio, że sposoby działania muszą być pokojowe. Obie strony wszakże były przygotowane na to, że pójdą dalej. Dziś mogę wyjawić, że traktat posiadał tajny paragraf, uprawniający do działań, na które później Rosja zdecydowała się w Mongolji.

Te działania mogą być uważane za zakończenie pierwszego aktu dramatu międzynarodowego, który się dotąd rozegrywa. Wskazują one, jeżeli same nie stanowią formy, w której jest odlany śpiżowy program polityki Japońskiej. Musiał się on

nieuchronnie różnić od wszelkiej innej polityki, choć opierał się na tych samych zasadach. Japonja stała się wielkiem mocarstwem po wojnie z Chinami i rozwijała się zwolna, by wystąpić pewnego dnia jako potęga światowa i żądać przyznania sobie tego stanowiska. W tym celu pragnęła sobie zjednać potężnego i godnego zaufania sprzymierzeńca i nie pominęła niczego, by zasłużyć na szczere poparcie Rosji. W historycznym roku 1914, na wiele miesięcy przed wybuchem wojny minister Suchomlinow przeniósł prawie wszystkie pułki z Syberji do Europy, w skutek zapewnień Japonji, która gwarantowała mu bezpieczeństwo po ogołoceniu z wojsk granic wschodnich. Podczas wojny, kiedy ofensywa rosyjska upadła i armje nieprzyjacielskie pędziły przed sobą wojska cara, niby stado owiec, Japonja pośpieszyła na pomoc sąsiadowi, ofiarując mu własne arsenały i liczne zakłady przemysłowe prywatne. Kiedy zaś gabinet Piotrogrodzki nie mógł dłużej podołać zaciągniętym zobowiązaniom finansowym, doradcy Mikada przedłożyli korzystną umowę na zasadach, które jeszcze bardziej zacieśniły węzły przyjaźni między obydwoma krajami.

Najbardziej wpływowy dziennik w Cesarstwie *Nowoje Wremia* pisał: „Wojna z Niemcami dostarczyła naszemu sąsiadowi azjatyckiemu sposobności przekonania nas o szczerości jego zapewnień przyjaźni. Zachowuje się on nie tylko jako dobry przyjaciel, ale jako gorliwy sprzymierzeniec wojenny.... W interesie przyszłego spokojnego rozwoju Japonji niezbędny jest bardziej czynny udział Japończyków w wojnie narodów przeciwko drapieżnej bestji świata. Sojusz z Rosją dla osiągnięcia tego celu byłby aktem ogromnej doniosłości historycznej“ [1]).

Od chwili, gdy Japonja stanęła w szeregu postępowych narodów, jej głównym celem i dążeniem było odegranie kierowniczej roli cywilizacyjnej na Dalekim Wschodzie, a w szczególności skłonienie Chin do pójścia tą samą drogą: przyjęcia metod zachodnich i zastosowania ich do interesów Dalekiego Wschodu. Mogło to się wydawać polityką słuszną i korzystną, a zadanie—równie szlachetnem, jak większość tych, którym świat zwykł oddawać najwyższe pochwały. Tem bardziej wydawało się to uprawnione, że mocarstwa europejskie, z wyjątkiem Rosji, odmawiały pełni praw politycznych swym żółtoskórym sprzymierzeńcom. Zaliczono ich do odrębnej kategorji — niższej klasy ludzkości.

„W Japonji, i jak dotąd jedynie w Japonji, znajdujemy Azjatę, przyjmującego chętnie kulturę europejską, która, jeżeli można oceniać drzewo po owocach, daje najlepsze perspektywy

[1]) *Nowoje Wremia*, 13/26 czerwca 1915 r.

dla ludzkiej wolności osobistej w odpowiedniem połączeniu z ograniczeniem prawa, odpowiadającem wymaganiom ogólnego dobra. W tej szczególnej odrębności charakteru, różniącej Japończyka od Azjaty kontynentalnego, widzimy może wpływ zamieszkiwania na wyspach, które sprzyjało rozwojowi silnej indywidualności narodowej; i w tych samych warunkach możemy dopatrzeć się zapowiedzi utrzymania i rozszerzenia swym przykładem wpływu pomiędzy bliskimi sobie nowej polityki, którą Japonja zastosowała z korzyścią; w ten sposób sama stać się może dla nich takim przykładem, jakim dla niej był rozwój narodów europejskich" [1]).

Do tego właśnie dążyła Japonja. Pragnęła przyczynić się do postępu umysłowego i moralnego Chińczyków i innych zacofanych narodów Dalekiego Wschodu w ten sam sposób, jak Francja pragnie pomóc Syryjczykom, a Wielka Brytanja — Persom. Co więcej, Japonja postanowiła utrzymać zasadę drzwi otwartych i uszanować naogół uprawnione interesy narodów europejskich na Dalekim Wschodzie.

Rasy białe miały jednak własne plany ekonomiczne w stosunku do Chin, a jednym z warunków wstępnych ich przeprowadzenia było poskromienie aspiracyj Japonji. Witte rozpoczął kampanję w kierunku podboju pokojowego, ale jego znaczne wysiłki były unieważnione przez jego własnego cara. Japończycy po kampanji mandżurskiej, której uniknąć chcieli przez możliwe ustępstwa, postanowili przeszkodzić posuwaniu się Rosjan na Dalekim Wschodzie. Walka była zażarta i mistrzowski sposób, w jaki została przeprowadzona, okrywa chwałą japońską mądrość stanu, uosobioną w wicehrabi Motono. Carat z potężnego wroga stał się gorliwym i silnym przyjacielem, na którego Japonja mogła, jak się jej zdawało, liczyć w razie przyszłej wojny. Rosja zajęła względem niej to samo stanowisko polityczne, jak względem Francji. Japońscy mężowie stanu oparli się na sojuszu z caratem, jak na mocnym i twardym postulacie swej polityki zagranicznej.

W tem nagle carat rozpadł się w gruzy, niby domek z kart, a cząstki, które się wyłoniły z ruin, nie posiadały ani woli, ani siły, by stanąć po stronie sąsiadów z Dalekiego Wschodu. Owoce dwunastoletniej pracy mężów stanu i ciężkich ofiar zmiotła rewolucja rosyjska, i położenie dyplomatyczne Japonji stało się o wiele gorsze, niż Rzeczypospolitej Francuskiej w lipcu r. 1917, gdyż tę ostatnią podtrzymywała Anglja i Stany Zjednoczone wszelkiemi środkami wojennemi i ekonomicznemi, zastępując przez to Rosję; Japonja zaś nie posiadała zastępcy na miejsce pokonanego sprzymierzeńca. Jest dotąd

[1]) A. T. Mahan, The Problem of Asia, str. 150-151.

samotną wśród mocarstw, z których jedne nie chcą uznać jej równości, inne gotowe są zwalczać jej politykę i przeszkadzać w osiągnięciu jej celów.

Japończycy wierzą mocno w prawo przyczynowości. Są pierwsi do siania tam, gdzie pragną zbierać plon. Walczą niezłomnie, jeżeli jeszcze jest czas do zmiany położenia, i nie żałują trudu, by przystosować środki do celów. W przeciwieństwie do ludów Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych, Japończyk żywi głęboki szacunek dla zasady autorytetu i nierówności i powierza najwyższe funkcje w państwie ludziom największych zdolności i czynu. Jest jednak faktem, że pojęcie zdolności indywidualnej rozwija się wśród ludu i wzrasta razem z wzrostem dobrobytu ekonomicznego i rozszerzaniem się wykształcenia ogólnego i technicznego. Chociaż jednocześnie z tem szybko wzrasta i socjalizm, skłonny jestem mniemać, że w Japonji wyższy stopień wykształcenia i rozwoju społecznego na nowożytnych zasadach będzie mógł się pogodzić z niezwykłą spoistością, której ta rasa zawdzięcza wyjątkowe położenie, jakie zajmuje wśród państw światowych. Dusza każdego Japończyka tkwi w atmosferze zbiorowości, która, pozostawiając nietkniętym jego umysł, opanowuje jego uczucia i zmienia charakter, czyniąc go wrażliwym na pobudki, mające na celu dobro rasy.

Japonja zaczerpnęła z obcych krajów wszystko, co jej kierownicy uznali za najlepsze. Zwrócili uwagę na postępy wojenne, polityczne i przemysłowe swych przyjaciół i wrogów; wyjaśnili je w odpowiedni sposób i wykorzystali. W szkole wpajane są pojęcia, które później państwo wciela w swe prawa i instytucje: co rozpoczyna szkoła elementarna, prowadzi dalej i udoskonala szkoła średnia, techniczna i wyższa, przy poparciu prasy, będącej pod wpływem rządu.

Ideał Japonji nie może być potępiony odrazu, jako niemoralny, zgubny czy bezprawny. Zwolennicy jego opierają się na tej samej zasadzie, którą sprzymierzeńcy ich stosowali do własnych celów i dążeń. Ludzie bardziej przenikliwi od tych, którzy kierują dziś losami Ententy, uznają, że Europejczycy wielkich zasad i krytycznego umysłu, gdyby się znaleźli w położeniu japońskich mężów stanu, użyliby również swej energji dla osiągnięcia tych samych celów.

Japończycy określają swoje stanowisko mniej więcej w następujący sposób:

„Jesteśmy zdecydowani pomóc Chinom stanąć na tej samej linji politycznej, na której my stoimy i uchronić je od anarchji. Nikt nam nie zaprzeczy posiadanych do tego kwalifikacyj. Mamy z nimi wiele cech wspólnych i rozumiemy je tak dobrze, jak nie może ich rozumieć anglo-saski lub jakikolwiek inny naród obcy. Z jednej strony nasze własne doświadczenie

z przeszłości przypomina Królestwo Środka, z drugiej strony, nasza metoda, przystosowania się do nowych warunków międzynarodowych wywołała niekłamany zachwyt świata, usposobionego raczej krytycznie. Traktaty, zawarte w Pekinie w maju 1915 r. pomiędzy Chinami i Japonją i sakramentalny tekst ich, zmieniony przed podpisaniem, pozwalają postronnemu badaczowi wytworzyć sobie dosyć dokładne zdanie o ekonomicznym i politycznym programie Japonji, który można nazwać doktryną Monroego dla Dalekiego Wschodu".

„Pragniemy osiągnąć na Dalekim Wschodzie to, co Mocarstwa Zachodnie zapewniły sobie na reszcie kuli ziemskiej: prawo przyczynienia się do moralnego i umysłowego postępu naszych zacofanych sąsiadów, oraz korzystania z rezultatów naszych wysiłków. Chiny potrzebują pomocy, którą my możemy im dać. Przeciwko misji naszej nie wysunięto żadnego przekonywającego protestu. Nie było gabinetu w Tokio, któryby kiedykolwiek patrzył na Królestwo Środka, jak na kolonję japońską. Przypuszczenie podobne jest niedorzeczne wobec przeludnienia Chin. Japonja przedewszystkiem potrzebuje źródeł, z których mogłaby czerpać węgiel i żelazo dla celów przemysłowych. Potrzebuje również bawełny i skóry".

W istocie możność zdobywania surowców ze źródła niezbyt oddalonego i niezależnego od potężnych wrogów jest niezbędną dla pomyślnego rozwoju Japonji. Tymczasem wszakże jest ona w zależności od narodów anglosaskich i zakaz wywożenia stali, wydany przez rząd Stanów Zjednoczonych podczas wojny, wywołał głębokie poruszenie w Japonji, gdyż liczba fabryk, budujących okręty z dziewięciu istniejących przed wojną wzrosła do dwunastu w r. 1917 i do dwudziestu ośmiu na początku r. 1918 ze 100 stoczniami, mogącemi wytwarzać 600.000 ton netto. Następstwem zakazu było zamknięcie 70 — 80% fabryk budowy okrętów w kraju i obawa zupełnego upadku tej gałęzi przemysłu, przynoszącej olbrzymie zyski.

Z temi faktami i celami Japonja stanęła przed Konferencją w Paryżu i zażądała nie tego, czego brak jej było dotąd, ale potwierdzenia tego, co już posiadała na zasadzie traktatu. Trzeba dodać, że zaszkodziła swej sprawie przez sposób, w jaki zdobyła traktat. Oczywistem było, że nastraszyła Chińczyków, zamiast ich pozyskać sobie przychylnością i namową. Upadek Tsingtao dał jej korzystną sposobność, której nie tylko użyła, ale i nadużyła w sposób, nie dający się usprawiedliwić. Żądania mogły być same w sobie przedmiotem dyskusji, a jeżeli zważymy wszystkie okoliczności, nie powinny być sądzone inaczej, niż naprzykład prawo mniejszości lub prawo przewozu, narzucone państwom mniejszym przez większe na Konferencji. Lecz sposób, w jaki nalegano na wypełnienie tych żądań, iry-

tował wrażliwych Chińczyków i w sprzeczności był z oświadczeniami złożonemi przez ministrów Mikada. Tajemność, którą gabinet w Tokio starał się je otoczyć, wywarła wpływ niepożądany. Yuan-Shi-Kai [1]) uważał sposób prowadzenia układów za śmiertelną obrazę dla siebie i dla kraju; okoliczność zaś, że rząd japoński nie przewidział, czy nie potrafił uniknąć tego zdumiewającego błędu psychologicznego, dostarczyła materjału tym, co wątpili o kwalifikacjach Japonji do wypełnienia misji, której się podjęła. Rana, zadana Chinom przez lekceważące postępowanie Japonji, nie zagoi się szybko. Jaki miało to wpływ, łatwo spostrzec, obserwując stałą i dobrze obmyślaną opozycję delegacji chińskiej na Konferencji.

Lecz to nie wszystko. W lecie 1916 r. wynikła walka między żołnierzami chińskimi i japońskimi w Cheng-Cha-tun, a przyczyny jej, jak zwykle w takich wypadkach, pozostały niejasne. Gabinet Okumy, przypuszczając, że wina była po stronie Chińczyków, skorzystał z tego wypadku i oparł na nim swe nowe żądania wobec Chin [2]), z których dwa były nadmiernie uciążliwe. Wydaje się w najwyższym stopniu prawdopodobnem, że dla rozwoju Chin kierownictwo Japonji byłoby niezmiernie korzystne, lecz żeby było skuteczne, powinno być przyjęte, a to może nastąpić jedynie jako wynik stosowania polityki, nacechowanej serdecznością, cierpliwością i szlachetnością, jaką radził stosować przyjaciel mój wicehrabia Motono [3]).

Polityka delegatów japońskich na Konferencji była jasno określona i konsekwentna. Można ją streścić w następujących słowach:

Delegacja japońska postanowiła okazać całkowite poparcie sprzymierzeńcom we wszystkich sprawach, dotyczących przyszłych stosunków z Niemcami i Rosją, Europą Zachodnią, Bałkanami i kolonjami afrykańskiemi, zarówno jak w sprawie odszkodowań. Losy Archipelagu samoańskiego powinny być zdecydowane w porozumieniu z W. Brytanją i Stanami Zjednoczonemi. Nowa Gwinea powinna być przyłączona do Australji. Wyspy Marszałkowskie, Karolińskie i Rozbójnicze, choć nie mają wielkiego znaczenia, ale że mogłyby być niebezpieczne w rękach Niemiec, powinny być oddane Japonji. Tsingtao i port Kiao Czau powinny należeć do Japonji, zarówno jak kolej Tainańska. Japonja będzie współdziałała ze sprzymierzeń-

[1]) Były prezydent rzeczypospolitej Chińskiej.

[2]) Żądania były następujące: 1) przeproszenie Japonji przez władze chińskie; 2) odszkodowanie za zabitych i rannych; 3) policja japońska w niektórych okręgach Mandżurji; 4) przyjęcie oficerów japońskich na instruktorów wojsk chińskich w Mandżurji.

[3]) Minister spraw zagranicznych, który potępiał politykę swego poprzednika.

cami w utrzymaniu porządku na Syberji, ale żadne mocarstwo nie powinno przyswajać sobie decydującego głosu w sprawach, dotyczących koncesyj lub innych interesów miejscowych. Wreszcie, zasada drzwi otwartych powinna być utrzymana w Chinach, dla zachowania pokoju na Dalekim Wschodzie, w czem Japonja, jako mocarstwo, najbardziej jest zainteresowana.

Na Konferencji, gdy przyszła pod obrady kwestja Kiao-Czau, zachowanie się Japończyków było, według ich kolegów anglosaskich i francuskich, spokojne i pełne godności, mowa— układna, argumenty — przytaczane z rozważnem umiarkowaniem, a postanowienie uzyskania żądanych praw — niezłomne. Sprawa ich była dosyć prosta i przy dawnym porządku rzeczy nie mogłaby napotkać przeszkód. Chodziło jedynie o to, czy może być zatwierdzona przy nowym układzie. Ponieważ wszakże Stany Zjednoczone uzyskały zatwierdzenie doktryny Monroego, W. Brytanja — panowanie nad morzami, Francja prawo okupacji zagłębia Saary i zawieszenie prawa samostanowienia narodów w sprawie Austrji; było jasnem, że i Japonja miała liczne i przekonywujące argumenty, na poparcie swych żądań, jako to: że terytorjum chińskie było we władaniu Niemiec, a z chwilą zdobycia go przez Japonję, formalnie zostało przyłączone do niej na zasadzie prawa podboju, oraz w myśl umów, zawartych z Chinami. Jednocześnie Japonja wyraźnie i samorzutnie wyparła się zamiaru zachowania tego terytorjum dla siebie. Baron Makino powiedział przy stole obrad pokojowych:

„Zdobywanie terytorjów, należących do obcego narodu jedynie w celu eksploatowania ich dla własnej korzyści, nie da się pogodzić z przyjaźnią i dobrą wolą". Japonja, chociaż prawem oręża dostała po Niemcach Kiao-Czau, nie zamierzała zatrzymać je stale, faktycznie nawet obiecała zwrócić je Chinom; twierdziła tylko, że warunki odstąpienia tego terytorjum powinny być przedmiotem ogólnej umowy między Tokjo a Pekinem".

Delegacja chińska, która pracowała intensywnie i niezmordowanie i uzyskała dla siebie silne poparcie, twierdziła, że Kiao-Czau przestało należeć do Niemiec w dniu, w którym Chiny wypowiedziały wojnę temu państwu, gdyż wszystkie umowy, włączając w to i dzierżawę Kiao-Czau, zostały unieważnione przez sam fakt wypowiedzenia wojny; każdy skrawek ziemi chińskiej, zajęty przez Niemcy, wracał w ten sposób według prawa do Chin i powinien był być zwrócony Chinom, nie zaś Japonji. Na te wywody baron Makino odpowiedział, że z poddaniem się Tsingtao Japonji w r. 1914 [1]) niemiecki protektorat nad Szantungiem przeszedł do Japonji, skoro Chiny po-

[1]) 8 listopada.

zostały neutralne. Wypowiedzenie wojny przez Chiny w r. 1917 nie zmieniło położenia prowincji, która już należała do Japonji prawem podboju. To zagarnięcie protektoratów przez Japończyków było szczególnie pożądane dla rządu angielskiego, który chciał nie dopuścić do odstąpienia ich przez rząd niemiecki Chinom. Ten akt oznaczał, że ani Chiny, ani Niemcy nie mogą pretendować do ziem, zajętych już przez Japonję. Zdobycz ta kosztowała wielkie sumy pieniędzy i dwa tysiące istnień ludzkich ze strony Japonji.

Ale to jeszcze nie wszystko. W roku 1915 [1]) Chiny podpisały umowę z Japonją, zobowiązując się do „uznania wszystkich postanowień rządów japońskiego i niemieckiego, dotyczących praw, interesów i koncesyj, które na zasadzie traktatów lub innej Niemcy posiadają w Chinach, w stosunku do prowincji Szantungu". Traktat ten, jak twierdzili delegaci chińscy, został wymuszony siłą. Japonja, starając się napróżno o potwierdzenie go przez pertraktacje, trwające prawie cztery miesiące, wystąpiła wreszcie z ultimatum [2]), pozostawiając Chinom czterdzieści osiem godzin czasu na jego przyjęcie. Chiny nie miały wyboru. Ale przynajmniej oznajmiły światu, że zostały przymuszone. Tego samego dnia, w którym traktat został podpisany, przedstawiciel japoński w Pekinie przesłał chińskiemu ministrowi spraw zagranicznych dobrowolne oświadczenie, obiecując zwrócić Chinom zajęte terytorja pod warunkiem otwarcia Kiao-Czau, jako portu handlowego, i uznania istniejących urządzeń Japonji, zarówno jak i urządzeń międzynarodowych, jeżeli mocarstwa będą sobie tego życzyły; żądał też, ażeby pomiędzy rządem japońskim a chińskim została zawarta umowa, dotycząca „rozporządzania niemieckiemi instytucjami publicznemi i ludnością stosownie do zmienionych warunków".

Japończycy powołali się na inną, późniejszą umowę, która, jak twierdzili, została podpisana przez Chińczyków bez wahania [3]). Ta ugoda, zawarta już po wzięciu przez Chiny udziału w wojnie, była równoznaczna z wyrzeczeniem się wszelkich praw, jakie Chiny mogły uzyskać wskutek swego wystąpienia. Niweczyła ona również, jak twierdzili Japończycy, przeświadczenie Chin, że owo terytorjum, o którem mowa, było dla nich niezbędne; w odpowiedzi na co Japonja podjęła się je zwrócić, chociaż to podlegało wątpliwości wobec odmowy Chin walczenia w obronie tych ziem w roku 1914. Ten ostatni argument został odparty przez Chińczyków w ten sposób, że byli gotowi

[1]) 15 maja 1915 r.
[2]) 6 maja 1815 r.
[3]) 24 września 1916 r.

wypowiedzieć wojnę Niemcom od początku, ale Ententa, a później Japonja, wyrzekła się ich współdziałania. Jestto prawdopodobne, jeżeli sobie przypomnimy gorliwość, z jaką rząd angielski nalegał na Japonję, żeby nie traciła czasu i współdziałała ze swymi sprzymierzeńcami, i jeżeli przypomnimy sobie wywody na ten temat ambasadora angielskiego [1]), przedłożone baronowi Kato, tudzież staranie zapobieżenia temu, ażeby rząd niemiecki nie ustąpił Szantungu Chinom.

Argumenty Chin i Japonji zostały ułożone w skrócony sposób przez delegatów obydwóch krajów w formie następujących pytań: „Czy Kiao-Czau, którego ludność jest wyłącznie chińska, tworzy, lub nie, część składową państwa chińskiego? Czy Kiao-Czau było zajęte, lub nie przez Kaisera siłą wbrew prawu i sprawiedliwości, tudzież w celu pogwałcenia pokoju na Dalekim Wschodzie, a może w całym świecie? Czy Japonja wmieszała się do wojny, z powodu agresywnego imperjalizmu Cesarstwa Niemieckiego i w celu zabezpieczenia stałego pokoju na Dalekim Wschodzie? Czy Kiao-Czau zostało zajęte przez wojska japońskie i angielskie w r. 1914 w jednym celu zniszczenia niebezpiecznej stacji morskiej? Czy współdziałanie Chin przeciwko Niemcom, które było proponowane przez prezydenta Yuan-Shi-Kai w sierpniu 1914 r., zostało odrzucone na życzenie Japonji?“ [2]).

Pytania Japonji brzmiały w sposób nąstępujący: „Czy Kiao-Czau było lub nie w posiadaniu Niemiec w r. 1914? Czy świat, nie wyłączając Stanów Zjednoczonych, zgadzał się na zajęcie tej prowincji przez Niemcy? Dlaczego Chiny, które dziś twierdzą, że ten port jest dla nich niezbędny, ustąpiły go Niemcom? Dlaczego nie zrobiły w r. 1914 żadnego wysiłku w celu oderwania go i pozostawiły to armji japońskiej? Dalej, kto może utrzymywać, że ostatnia wojna unieważniła pod względem prawnym *ipso facto* wszelkie poprzednie ustępstwa terytorjów? Turcja ustąpiła Cypr Wielkiej Brytanji. Czy należy unieważnić tę koncesję i Cypr powinien wrócić zaraz i nieodwołalnie do Turcji? Konferencja powtarzała nieustannie, że oparła swe stanowisko na sprawiedliwości i dobrobycie narodów. Właśnie w imię dobrobytu narodów, zarówno jak sprawiedliwości, żądamy prawa zajęcia Kiao-Czau. Żniwo zbiera ten, kto siał [3]).

Jeżeli dodamy do tych rozbieżnych danych fakt, że W. Brytanja, Francja i Rosja podjęły się [4]), poparcia żądań Japonji

---

[1]) 7 sierpnia 1914 r.
[2]) *Le Matin*, 25 kwietnia 1919 r.
[3]) *Le Matin*, 23 kwietnia 1919 r.
[4]) Rząd Jego Królewskiej Mości z przyjemnością czyni zadosyć życzeniu Rządu Japońskiego i będzie popierał żądanie Japonji przejęcia praw Niemiec w Szantungu i w posiadłościach, na wyspach, na

na Konferencji i że Włochy obiecały nie wszczynać protestu, możemy sobie wyrobić pojęcie o rozmaitości czynników sporu chińsko-japońskiego, jego wpływie na traktat Pokojowy i na zasady statutu. Był to jeden z licznych dowodów niezgodności Traktatu ze Statutem, których cele były zasadniczo rozbieżne i nie do pogodzenia różne. Rada Najwyższa mogła wyrokować o sprawie z punktu widzenia Traktatu albo Statutu; jako zwolenniczka zwykłego targu dawnych, wznawianych zasad, lub dając przykład zaparcia się siebie, odpowiadającego nowemu systemowi etycznemu. Większość Rady skłaniała się ku pierwszemu z tych poglądów i po wydaniu szeregu wyroków, sprzecznych z doktryną Statutu, a na korzyść własnych narodów, nie mogła dla względów zarówno logiki, jak polityki, robić wyjątku na szkodę Japonji.

Dotąd jest tajemnicą, co się działo w rzeczywistości przy stole obrad pokojowych, i prezydent Wilson twierdzi, że w interesie ludzkości leży, by tak pozostało! Nieliczne wiadomości, jakie posiadamy, pochodzą głównie z odpowiedzi sekretarza stanu Lansinga na pytania, postawione przez Komisję spraw zagranicznych Senatu. Drugi delegat Ameryki w odpowiedzi na pytania, które mu zadawano, twierdził, że „jedynie prezydent Wilson był przychylnie usposobiony dla Japonji w sprawie Szantungu, inni członkowie delegacji amerykańskiej nie protestowali, i tylko prezydent Wilson wie, czy Japonja zagwarantowała zwrot Szantungu Chinom[1]). Inny wybitny Amerykanin, który twierdził, że był obecny, kiedy decyzja prezydenta Wilsona była wyjaśniana oficjalnie delegatom chińskim, utrzymuje, że Prezydent, wyłożywszy im swe pobudki, tłumaczył się, że względy polityczne, groźba opuszczenia Konferencji przez Japonję, pogłoska, że nawet Anglja może się wycofać, zmusiły go do przyjęcia umowy w sprawie Szantungu dla uratowania Ligi[2]). Pogłoski zdawały się grać wygórowaną rolę na Konferencji, wpływając na sądy i decyzje Rady Najwyższej.

---

północ od równika położonych, w razie zebrania się Konferencji Pokojowej; z drugiej strony uważa się za pożądane, żeby Rząd Japoński w razie pokoju stanął na tem samem stanowisku wobec zajęcia przez W. Brytanję wysp niemieckich, leżących na południe od równika. (podp.) Conyngham Greene, ambasador W. Brytanji. Tokjo, 16 lutego 1916 r. Francja wydała podobne zapewnienie na piśmie 1 marca 1917 r a Rząd Rosyjski—podobną deklarację—20 lutego 1917 r.

[1]) W rzeczywistości cały świat wiedział i wie, że zobowiązała się do ustąpienia. Baron Makino oświadczył to na Konferencji. *The Times* (Londyn), 13 lutego 1919 r., również 5 maja 1919 r.; wicehrabia Uchida potwierdził to 17 maja 1919 r. Stwierdzone to było również w ultimatum Japonji Niemcom z 15 sierpnia 1914 r. i powtórzone przez wicehrabiego Uchida na początku sierpnia 1919 r.

[2]) P. Thomas Millard, którego listy były opublikowane w *New York Times*. Porówn. *Le Temps*, 29 lipca 1919 r.

Czytelnik przypomni sobie, że pogłoska o wydaniu przez rząd włoski dekretu, przyłączającego Fiume, przyśpieszyła kłótnię pomiędzy Wilsonem a pierwszą delegacją włoską. Należy zauważyć, że przytaczana groźba Japonji opuszczenia Konferencji, jeżeli jej żądania zostaną odrzucone, nie była przez sekretarza Lansinga brana poważnie. „Czy można byłoby uzyskać podpis Japonji w sprawie Ligi bez zadosyćuczynienia jej w kwestji Szantungu?“ zapytano go. „Tak mi się wydaje“, odpowiedział.

Decyzja wywołała ogromne podniecenie wśród Chińczyków i ich licznych przyjaciół. Z początku byli usposobieni sceptycznie i utrzymywali, że musi to być jakieś nieporozumienie, w końcu zaprotestowali i odmówili podpisania Traktatu. Jeden z dzienników amerykańskich, wydawanych w Paryżu, pisał: „Szantung był co najmniej eksplozją moralną. Rozwalił front świątyni i dziś każdy może widzieć, że poza frontem widać bardzo ruchliwy rynek. Moralność jest moralnością handlarza końmi. Jeżeli mułła stale, głośno przywoływał na modlitwę, to prawdopodobnie by zagłuszyć odgłosy targu na rynku. Naród nie jest już obowiązany do przyjęcia Statutu, jako dokumentu moralnego—gdyż on nim nie jest“ [1]).

Wszystko to może być słuszne, ale brzmi dziwnie, że odkrycie zostało zrobione dopiero wówczas, gdy pozwolono Japonji owładnąć Szantungiem, i potem gdy solennie przyrzekła zwrócić go Chinom. Statut był napewno przekroczony o wiele wcześniej i w sposób bardziej jaskrawy, niż przez poparcie prezydenta Wilsona dane żądaniom Japonji w sprawie Szantungu. Ale tamte wykroczenia nie oburzały nikogo. *Quod licet Jovi, non licet bovi.* Długi wdzięczności należało płacić na rachunek Statutu i ludzie zamykali oczy lub usta. Dopiero gdy Japończycy zażądali czegoś, co wszyscy ich sprzymierzeńcy europejscy uważali za słuszne, podniósł się krzyk i zaczęto powoływać się na zasady moralne.

Prasa japońska nie myślała triumfować z powodu postanowienia Rady Najwyższej. Dzienniki wszystkich partyj twierdziły, że kraj nie dostaje nic więcej ponad to, co mu już zagwarantowały Chiny, a ratyfikowali aljanci przed zebraniem się Konferencji Pokojowej, gdyż otrzymanie czegoś, zdobytego prawem oręża i na podstawie umów, nie daje pola do triumfu. Japonja żądała uznania jej za naród szczególniej zainteresowany w sprawach Chin, a stąd zasługujący na specjalne w Chinach względy. Innemi słowy, dążyła ona do utworzenia czegoś w rodzaju doktryny Monroego, zastosowanej do Dalekiego Wschodu. Ponieważ pierwszeństwo jej interesów było

[1]) *Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 20 sierpnia 1919 r.

uznane przez umowę Ischii-Lansing ze Stanami Zjednoczonemi, prasa japońska pragnęła włączenia paragrafu, któryby ochraniał „porozumienie miejscowe“ od obcej ingerencji.

Polityka ta jest jawna. Zasady, na których się opiera, uznawano stale i nigdy w tym stopniu jak od chwili, kiedy Konferencja Pokojowa skłoniła wielkie mocarstwa do kierowania państwami mniejszemi. Pozatem Japonja wie z doświadczenia, że Chiny były zawsze pokusą dla narodów zachodnich, które wysyłały swe wyprawy na walkę z Chinami i dzieliły ich terytorjum na strefy wpływów, choć Chiny nigdy nie zgrzeszyły czynnem wystąpieniem przeciwko nim, jak to uczyniły wobec Japonji. Kierował niemi głód ziemi i wszystko, co to pojęcie w sobie mieści, i gdyby Chiny zostały pozostawione samym sobie, niewątpliwie stałyby się zdobyczą swych opiekunów z Zachodu. W związku z tem przytaczają wypadek, który miał miejsce podczas Konferencji, kiedy p. Tittoni zapytał, czy Włochy otrzymają koncesję austrjacką w Tientsinie, która graniczyła z koncesją włoską, vicehrabia Uchida zaprotestował i żądanie zostało odrzucone.

Jednem słowem, zasada kierująca polityką japońską, według określenia jej przedstawicieli, polegała na stwierdzeniu, że podstawa przebudowy świata, stara czy nowa, powinna być stosowana sprawiedliwie i bezstronnie przynajmniej do wielkich mocarstw.

Każdy konflikt światowy oznaczał koniec jednej epoki i początek nowej. W kotle, nagrzewanym ogniem, który wzniecila wojna, warzyły się liczne doniosłe zagadnienia, z których nawet jedno wystarczyłoby do wywołania nowej konstelacji politycznej, ekonomicznej i społecznej. Postęp Japonji jest jedną z tych daleko sięgających zmian. Stała się ona wielkiem mocarstwem w wojnach przeciwko Chinom i Rosji, i chce dziś być potęgą światową, a jej mężowie stanu twierdzą, że dla osiągnięcia tego celu nie cofnie się przed żadną ofiarą z wyjątkiem ofiary z czci i prawdy.

ROZDZIAŁ X.

STOSUNEK DO ROSJI.

W stosunkach z Rosją główni delegaci używali stale haseł, maksym i metod, które były korzystne dla nich, jako dla polityków parlamentarnych. Poprawienie świata było ideą, zajmującą w ich umysłach specjalne miejsce, bez łączności z innemi ideami politycznemi, któremi zwykle operowali. Pełni altruizmu w słowach, zabezpieczyli naprzód interesy polityczne i ekonomiczne własnych krajów, ochraniając lub rozszerzając źródła ich potęgi, potem dopiero zaczęli próbować swych nowych doświadczeń nad państwami, które mogli zmusić do posłuszeństwa. Stąd niechęć i opozycja, na które się natknęli ze strony wszystkich narodów, przymuszanych do jarzma, szczególniej zaś ze strony Rosjan.

Opozycja ze strony Rosji, daleko idąca i głęboko zakorzeniona, jest naturalna i historja prawdopodobnie osądzi, że była usprawiedliwiona. Wynika ona z tej zasady, że Konferencja była zwołana dla zawarcia pokoju pomiędzy stronami toczącemi wojnę, i że jakiekolwiek zmiany terytorjalne mogą być robione tylko w granicach krajów pokonanych. Nietylko terytorja aljantów, ale i kraje neutralne miały być wyłączone od wszelkich „dezaneksyj". Odrzucić tę zasadę znaczyło uznać żądania Irlandji, Egiptu i Indyj na podstawie samostanowienia za niewzruszone. Żądania Belgji, dotyczące Limburga Holenderskiego i innych skrawków terytorjalnych, musiałyby być również zaspokojone. Argumentem przeciwko temu było, że Konferencja nie miała kompetencji co do zmian terytorjów, posiadanych przez państwa neutralne lub sprzymierzone. Irlandja, Egipt i Limburg Holenderski były to sprawy domowe, które nie obchodziły Konferencji.

Niezależnie od tej podstawowej zasady Rosja, były sprzymierzeniec, bez którego nadludzkich wysiłków i bohaterskich ofiar jego partnerzy zostaliby pobici na miazgę, była w sposób milczący zaliczona do kategorji narodów wrogich i pobitych, a liczne jej prowincje były odrywane despotycznie i nie-

odwołalnie. Przedstawiciele jej nie uczestniczyli w tych sprawach, ani się ich radzono, choć wszyscy, bolszewicy i antybolszewicy, byli zgodni ze sobą co do oporu przeciwko narzucanemu im obcemu kierownictwu.

Konferencja stale wypierała się wszelkich chęci mieszania się do spraw wewnętrznych innych państw, a kwestja irlandzka, egipska i kilka innych analogicznych zostały zgodnie z zamiarami Konferencji zaliczone do tej kategorji. Na jakiej zasadzie wyłączono z niej kwestje: fińską, łotewską, estońską, gruzińską i ukraińską? Trudno wyobrazić sobie większego pogwałcenia suwerenności państwa, niż oderwanie i rozdanie jego posiadłości terytorjalnych wbrew jego woli. Jestto akt otwarcie wrogi i jako taki był przez Konferencję słusznie stosowany wyłącznie do państw nieprzyjacielskich. Dlaczego więc stosowano go do eks-sprzymierzeńca? Czy nie jest jasne, że jeżeli odbudowana Rosja będzie uważała państwa sprzymierzone za wrogów i zawrze stosunek przyjazny z ich potężnymi przeciwnikami, będzie stosowała te same zasady do aljantów?

Żaden znawca prawa międzynarodowego, ani człowiek przeciętnie rozsądny nie może utrzymywać poważnie, że decyzje powzięte w Paryżu obowiązują Rosję w przyszłości. Żadne zagadnienie, dotyczące dwóch stron, nie może być sprawiedliwie rozstrzygnięte przez jedną z nich. Konferencja, która uznawała siebie za niekompetentną do zobowiązania Holandji, żeby odstąpiła Belgji mały pasek terytorjum na jednym z brzegów belgijskiej rzeki Skaldy, nie może być powołana do wydzielania obszernych prowincyj, które niegdyś należały do Rosji. W tym wypadku zasada samostanowienia narodów ma równie małe znaczenie, jak i w stosunku do Irlandji i Egiptu.

Prezydent Wilson i Lloyd George zapoczątkowali swą politykę wschodnio-europejską przez publiczne oświadczenie, że Rosja jest kluczem sytuacji wszechświatowej, że pokój nie byłby pokojem tak długo, dopóki jej sto pięćdziesiąt miljonów mieszkańców pozostają w chaotycznym bezładzie pod trującem działaniem bolszewizmu. Pokładali w swym wielkim eks-sprzymierzeńcu nadzieje skutecznej pomocy i rady. I tu się kończyło to, co można określić jako stronę twórczą ich koncepcji.

Nastąpiła potem działalność bezplanowa. Mowy, obietnice, manewry i kontr-manewry trwały nieustannie, ale systematycznej polityki nie było żadnej. W decyzjach delegatów i radach, przez nich wygłaszanych, brak było mądrości stanu w wyższem znaczeniu tego wyrazu. Grzeszyli również nietylko przez niedopatrzenie. Ich niezwalczony popęd do zawiłych metod, którym surowsi krytycy dają mniej dźwięczne miano, objawiał się *ad nauseam*. Opracowywali przebiegle projekciki, które było trudno odróżnić od intryg i które, gdyby nie były

zawczasu udaremnione, mogłyby tylko pogorszyć sprawę. Z początku rząd angielski był za wezwaniem delegatów bolszewickich na Konferencję. Nota tej treści była wysłana przez londyński urząd do spraw zagranicznych do rządów sprzymierzonych dwa tygodnie przedtem, zanim delegaci rozpoczęli swą pracę nad stworzeniem pokoju. Propozycja jednakże została cofnięta w myśl przekonania Francuzów, którzy wątpili, czy pomoc stałych burzycieli prawa może się przyczynić do zbudowania nowego związku posłusznych prawu narodów. Wkrótce potem powstał inny projekt, tym razem utworzenia komisji międzysprzymierzonej dla czuwania nad losami Rosji i służenia na rodzaj Opatrzności. Przedstawiciele rządów antybolszewickich gorzko odczuli ten zamiar. Zaznaczyli, że nie można wymagać od nich poszanowania dla decyzyj, narzuconych tak jakby byli zwyciężonymi wrogami, w rodzaju Niemców. Na poglądy delegatów angielskich i amerykańskich wpłynęły głównie twierdzenia, że cała Rosja centralna była pod władzą Lenina, że armja jego była potężna i posiadała doskonałą dyscyplinę, że mógł on trzymać ster rządu i popierać anarchję przez czas nieokreślony, gdy tymczasem tak zwane czynniki konstrukcyjne skłaniały ku reakcji.

Innemi słowy, delegaci przyjęli dwa rodzaje przesłanek, z których wyciągnęli dwa zupełnie odmienne rodzaje wniosków. Raz byli skłonni działać na zasadzie jednych, raz—drugich, ale nigdy nie mogli się zdecydować na definitywny wybór. Zgadzali się, że bolszewizm jest potężnym czynnikiem rozkładowym dla społeczeństwa, niosiącym zgubę wszystkim zorganizowanym związkom, jednak nie mogli się zdecydować na zgodną akcję w celu wytępienia go[1]). Uznali, że tak długo, jak trwa bolszewizm, niema nadziei na utworzenie związku narodów, ale wyrzekali się interwencji wojennej ze względów właściwej polityki wewnętrznej i dlatego, że przeczyłaby ona zasadzie samostanowienia. Przeczyła tej zasadzie jednak okoliczność, że wmieszali się już w sprawy rosyjskie w Archangielsku, na Murmanie, w Odessie i innych miejscach i że te działania zostały zakończone utworzeniem nowego państwa i Rządu w Rosji północno-zachodniej, przeciwko czemu protestowali gorąco Kołczak i Denikin.

Dla złagodzenia sądu należy wziąć pod uwagę olbrzymie trudności, które się przed nimi piętrzyły; nieznajomość kwestji rosyjskiej; potrzeba sprawdzianu dla nielicznej ilości

[1]) Z jakiegokolwiek punktu widzenia spojrzymy na sprawę rosyjską, polityka aljantów, jeżeli można ją uczcić tem mianem, wydaje się mieszaniną słabości, nieudolności i niezdecydowania. *Westminster Gazette*, 5 lipca 1919 r.

sprzecznych informacyj, któremi ich zasypywano; zasadniczy brak w nich odwagi cywilnej; wreszcie zaś okoliczność, że dążyli do pogodzenia sprzeczności. Odbywali dziwne i jałowe wędrówki bez żadnego planu i kierunku, począwszy od sprawy wysp Książęcych, a kończąc na egzaminie piśmiennym, któremu poddali Kołczaka, by zalegalizować stosunki międzynarodowe, których nie można było uznać ani za wojnę, ani za pokój. Ani przyczyny bolszewizmu w jego chorobliwych objawach, ani niesformułowane ideje, stanowiące jego podstawę, ani warunki, kierujące jego wolnym, ale widocznym postępem, nie stanowiły przedmiotu zainteresowania, tem mniej badań dla mężów stanu, którzy zabierali się wesoło do działania na niego tu siłą wojenną, tam naciskiem ekonomicznym, a od czasu do czasu drażniącą wyrozumiałością i radami dla jego kierowników, o ileby mieli być uznani.

Niepodobna igrać w tak bezładny sposób z losem społeczeństwa, składającego się ze 150 miljonów ludzi, którego członkowie są tylko luźnie połączeni ze sobą zapomocą niewielu luźnych węzłów społecznych — bez utracenia prawa do dania im należytego kierunku. Ślepiec jest złym przewodnikiem dla tych, którzy widzą. Tylko Amerykanie byli zaopatrzeni w pracowicie zestawione statystyki i ogromne ilości faktów, któremi sypali w takiej obfitości, jak węglarze, wysypujący do piwnicy zawartość swych worków. Nie było z nich wszakże praktycznego użytku. Gubiąc się w labiryncie szczegółów, nie umieli wyrobić sobie konsekwentnego poglądu na całość. Innym delegacjom brak było zarówno faktów, jak pojęć ogólnych; wszystkim zaś aljantom brakło potężnej armji na Wschodzie, a przez to sposobów umocnienia władzy, którą sobie przyswajali.

Wszyscy oni operowali w dziedzinie mglistej teorji i zwodniczych podobieństw, zwracając niewiele uwagi na wiecznie zmieniające się wymagania czasu, miejsca i narodów, i istotnie na jedyne warunki, w których można skutecznie stosować nowe zasady. Nawet przez nich samych wytworzone prawa były ograniczane i zmieniane w zależności od interesów ich krajów lub dla niewypowiadanych celów, bez szczególnych umów i wyjaśnień. Nie liczono się z potrzebami historycznemi, ani aspiracjami narodu, dla którego tworzono prawa, jak gdyby wszystkie narody były w równym stopniu dojrzałe, zdolne do osiągnięcia tego samego stopnia kultury i jednakowo wrażliwe na te same pobudki. Zdaje się, że nigdy nie przyszło im przez myśl, że rasy i narody, tak samo jak jednostki, mają duszę, i to, co jest pożywieniem dla jednego, może być trucizną dla drugiego.

Jeden z najbardziej ententofilskich i umiarkowanych organów prasy francuskiej, przedstawił sprawę w następujący

jasny i przekonywający sposób: „Rządy waszyngtoński i londyński są świadome tego, że jesteśmy niezmiennie złączeni z niemi sojuszem. Winniśmy im jednak wyznać prawdę. Nazbyt często wybierają nieodpowiednich agentów do zbierania potrzebnych im wiadomości i wykazują zawiele lekceważenia dla przyjaznych rad z wszelkich innych źródeł. W szczególności agenci amerykańscy cywilni, zarówno jak wojskowi, badają Europę w podobny sposób, jak poprzednicy ich oglądali Daleki Wschód i patrzą na najstarsze narody w Europie, jak na Irokezów, Komanczów lub Azteków. Są zdumieni, gdy znajdują, że na starym kontynencie nie jest wszystko takie same, jak w Nowym Yorku lub Chicago i starają się zreformować Europę zgodnie z prawami, panującemi w Oklahoma lub Colorado. Ośmielamy się zwrócić im uwagę, że metody powinny się różnić zależnie od krajów. W Stanach Zjednoczonych koloniści palą lasy, by oczyścić i użyznić ziemię. Niektórzy agenci amerykańscy proponują zastosowanie podobnego sposobu postępowania w kwestjach politycznych w Europie. Cieszą się z pożaru lasów rosyjskich i węgierskich. W Leninie, Trockim, Beli Kuhnie cenią użytecznych pionierów nowej cywilizacji. Chcemy, by nam pozwolili patrzeć na rzeczy z odmiennego punktu widzenia. W starej Europie niepodobna palić lasów, nie paląc jednocześnie wsi i miast" [1]).

Przed i po rozejmie byłem w stałym kontakcie ze wszystkiemi partjami rosyjskiemi w kraju i poza krajem i otrzymywałem szczegółowe sprawozdania o zmieniających się warunkach narodowych, które choć w wielu szczegółach sprzeczne, pozwoliły mi wytworzyć sobie dokładny obraz przebiegu rzeczy, oraz przewidzieć to, co miało nastąpić.

Pomiędzy różnemi informacjami, otrzymałem z Moskwy propozycje z prośbą przedłożenia ich jednemu z delegatów angielskich, który interesował się, a w każdym razie grał wybitną rolę w odbudowaniu Rosji mniej dla jej własnego dobra, niż na rzecz ogólnego pokoju. Tak wypadło jednak, że wybitny mąż stanu nie miał czasu na zapoznanie się z propozycją, której celem było ustalenie *modus vivendi* z Rosją, umożliwiającego jej zjednoczonym narodom normalny bieg życia bez dalszej zwłoki. Ponadto, przygodnie, mogła ta propozycja położyć koniec pewnym rozmowom, które wiodły do przyjaznego porozumienia pomiędzy Rosją a Niemcami. Mam powody twierdzić, że oddzieliłaby ideową grupę bolszewików od skrajnego, krwiożerczego odłamu, wywołałaby zupełny rozłam w partji i zabezpieczyła rozejm, któryby zapobiegł porażkom aljantów na Mur-

[1]) *Journal des Débats*, 13 sierpnia 1919 r., artykuł p. Augusta Gauvain.

manie, w Archangielsku i Odessie. W interesie prawdy dodać muszę, że te pożądane rezultaty, choć uważane za łatwe do osiągnięcia, były gwarantowane tylko przez nieoficjalną obietnicę ludzi, których dobra wola była notorycznie wątpliwa.

Przesłany mi dokument zasługuje na streszczenie. Zawierał on jasne, wielostronne i napozór trafne sprawozdanie o sytuacji rosyjskiej. Pomiędzy innemi rzeczami była to spowiedź z ogromu zbrodni, popełnionych przez obydwie strony, przypisywanych głównie brutalizującym skutkom wojny światowej, podjętej w niefortunnych warunkach, jakie nieznane są w innych krajach. Miljony źle uzbrojonych ludzi były wystawione podczas działań wojennych na rzeź, umierały w powolnej agonji tam, gdzie padły, albo zabijał je głód i choroba — dla triumfu sprawy, której nigdy nie rozumieli, ale o której mówiono im, że obchodziła kapitalistów zagranicznych. W demoralizacji, która stąd wyniknęła, rozluźniły się wszelkie węzły. Cała budowa społeczna od podstaw do szczytów rozpadła się, a społeczeństwo w konwulsyjnych drgawkach zwierzęcych namiętności szarpało na kawałki swe własne członki. Rosja poszła na dno w oczach narodów. Był to szczyt obłędu wojennego. Od tego czasu namiętności uspokoiły się widocznie i szereg ludzi dobrych intencyj, których uniósł prąd, szybko powracał do przytomności, gdy tymczasem inni już otrzeźwieli i, opierając się temu prądowi, oczekiwali moralnego poparcia z zewnątrz.

Exposé mówiło dalej, że z rewulucyjnego zamętu wyłaniały się pewne pomyślne zjawiska, zapowiadające nowego ducha. Istniały warunki pomyślne dla równości, choć prawdziwa równość była jeszcze dalekim ideałem. Ale w sferze społecznego, moralnego i politycznego życia Rosji zaczęły się już ujawniać wyraźne i znaczące zmiany w kierunku „rozsądnej demokracji". Próbowano licznych zdrowych reform i niektóre z nich po części zrealizowano, szczególniej w dziedzinie nauczania początkowego, które było rozpowszechniane niewątpliwie nieumiejętnie, ale na szeroką skalę i równomiernie, a przytem nauka była zupełnie bezpłatna [1]).

Inne tak zwane ulepszenia były wyliczone w tem partyjnem exposé, a potem następowała obrona kilku wybitnych jednostek, które uniesione przez potok rewolucyjny, chętnie wróciłyby na stały ląd i pomogły narodowi wydobyć się z bagna, w jakie się zapadał. Przyznawali się do części odpowiedzial-

[1]) Niewątpliwie rząd bolszewicki pod Łunaczarksim starał się popierać sztukę, naukę i nauczanie początkowe. Wszystkie sprawozdania podróżników obcych i wybitnych Rosjan — jednym z nich był mój kolega uniwersytecki, dziś sekretarz akademji — zgadzają się z tem, że była to jasna plama na ciemnej chmurze.

ności za puszczenie w ruch niszczącej maszyny, którą jednak zatrzymali i mieli nadzieję odkupienia popełnionych grzechów przyszłą gorliwością. Jednocześnie twierdzili, że to nie oni zdemoralizowali armję, znieśli karę śmierci i otworzyli wrota prądom anarchicznym. Wprost przeciwnie, uważali, że zreorganizowali siły narodowe, wprowadzili najsurowszą dyscyplinę, wyznaczyli doświadczonych oficerów i przywrócili karę śmierci. Dodawali, że winą ich poprzedników, nie ich własną, było zrujnowanie środków przewozowych kraju i doprowadzenie go do głodu.

Te jednostki chętnieby powitały pokój i byłyby chętnie weszły w przyjazne stosunki z Ententą, szczególniej zaś przychylnie przyjęłyby propozycję, pochodzącą od narodów anglosaskich, którym chętnie zaufałyby pod pewnemi prostemi warunkami. Konieczności tych warunków nie zaprzeczyłby rząd angielski i amerykański, gdyby sobie uprzytomnił własne traktowanie narodu rosyjskiego. W chwili obecnej żaden Rosjanin z jakiejkolwiek partji nie mógł patrzeć na aljantów bez uzasadnionych podejrzeń, gdyż, wypierając się mieszania się do spraw wewnętrznych, Francuzi, Amerykanie i Anglicy starali się wpływać na każdą partję w Rosji, a nawet pomawiano ich o chęci zaborcze względem niektórych prowincyj, jak np. Kaukaz i Syberja. Pozory prawdopodobieństwa tym podejrzeniom dawała okoliczność, że rządy sprzymierzone otwarcie przyczyniały się do ćwiartowania kraju, odrywając od głównego pnia nie rosyjskie, a nawet rosyjskie żywioły. W celu rozproszenia tych wątpliwości wypadało aljantom wydać oświadczenie o swej polityce w jasnych terminach, z wyrzeczeniem się zdobyczy terytorjalnych, wkraczania w sprawy domowe i udziału w próbach rozczłonkowania kraju. Rosja i jej sprawy powinny być pozostawione Rosjanom, którzy nie wymuszali koncesyj ekonomicznych, jako racjonalnego *quid pro quo*.

W dalszym ciągu propozycja nalegała, ażeby po ogłoszeniu zasad swej polityki wysłano niezwłocznie dwie lub trzy dobrze znane osobistości, znające Rosję i sprawy rosyjskie i cieszące się zaufaniem narodów europejskich, dla zbadania warunków kraju i zdania wyczerpującej relacji. Ta misja, dodawano, może nie być oficjalną i tylko polecona jednostkom, nie związanym z żadnym rządem.

Gdyby w ciągu dwóch tygodni nastąpiła odpowiedź na tę propozycję, rozejm i zawieszenie tajnych pertraktacyj z Niemcami byłyby, jak mi mówiono, pewne. Trudno byłoby twierdzić, że ten układ rozwiązałby zagadnienia rosyjskie, ale miałem pewne powody do uważania tego kroku za słuszny, a obietnic za pewne. Oszukaństwo nie było prawdopodobne, tembardziej, gdy dokument ujawniał dwa doniosłe fakty, wiadome w tym czasie je-

dynie rządowi bolszewickiemu, a mianowicie, że pomiędzy Berlinem a Moskwą prowadzą się tajne rokowania w celu doprowadzenia do porozumienia między obydwoma rządami i że wojska sprzymierzone w Odessie, Archangielsku i na Murmanie poniosły klęskę i potrzebują rozejmu bardziej, niż bolszewicy [1]).

Napomknąłem mimochodem o tej sprawie jednemu z delegatów, który ujawniał pewne zainteresowanie i obiecał pomówić o niej obszernie w celu zapoczątkowania akcji. Inny któremu mówiłem o niej później, myślał, że byłoby dobrze, gdybym w towarzystwie paru ludzi wyruszył do Moskwy, Piotrogrodu, Ekaterynodaru i innych miejsc i zorjentował się w sytuacji. Mijały jednak tygodnie i nic nie było zrobione [2]).

Miałem ciekawe rozmowy z niektórymi wpływowymi delegatami w przeddzień zaproszenia, wysłanego do wszystkich rządów *de facto* Rosji, by się zebrały w Prinkipo na rozmowę. Przyznawali się tedy szczerze, że nie mieli określonej polityki i błądzili w ciemności, a jeden z nich uważał, że nie można się spodziewać światła z zewnątrz. Miałem wrażenie, że pod powierzchnią surowej krytyki leżało przeświadczenie, że bolszewizm, pozbawiony swych obłędnych objawów, był już gotowym rządem, haniebnie oczernionym przez niesumiennych wrogów, może zbrodniczym w swych wybuchach, ale w swych osiągalnych celach odpowiednim do szczególnych potrzeb szczególnego narodu, i dlatego zasługującym na uznanie w równym stopniu, jak każdy rząd inny. Stwierdzano, że istniał już przez znaczny przeciąg czasu bez wywołania przeciwko sobie ruchu, zasługującego na uwagę; że historje, opowiadane o okrucieństwach, jakich się dopuszczał, były przesadzone; że wiele krwawych okropności należy przypisać obłąkanym jednostkom z obydwóch stron; że świadectwa przeciwko Leninowi były stronne i niewiarogodne; że należało bez zwłoki zrobić coś dla rozwiązania palącej kwestji i że Konferencja nie mogła wymyśleć nic lepszego, ani nie miała faktycznie innej alternatywy.

Główny projekt wydawał mi się niezręcznym błędem zarówno pod względem formy, jak i treści. Co do formy, dlatego że unicestwiał motywy, które skłaniały do dania pomocy Grekom, Polakom i Serbom, zachęcanym do zwalczania bolszewików, i odbierał aljantom podstawy do trzymania własnych wojsk w Archangielsku, Odessie i Rosji Północnej, które wstrzymywały pochód bolszewizmu. Niektóre rządy piętnowały bolszewików jawnie, jako rzezimieszków; obiecywano

[1]) Fakt ten niewątpliwie był wiadomy rządowi angielskiemu, który już w marcu odwołał swe wojska z Rosji Północnej.

[2]) Ogłosiłem te fakty w *Daily Telegraph*, 21 kwietnia i w *Public Ledger* w Filadelfji, 10 kwietnia 1919 r.

sobie, że się nigdy nie będzie miało z nimi stosunków, ale zaproszenie do Prinkipo zapowiadało zmianę opinji i kierunku, co się uważało za lepsze od dotychczasowej bierności. Plan był błędny w samej swej istocie i treści, gdyż polegał na nadziei pogodzenia walczących partyj. Ta nadzieja zaś od początku była skazana na martwotę.

Zgodnie z projektem co do Prinkipo, przypisywanym prezydentowi Wilsonowi [1]) zaproszenie miało być wysłane do wszystkich posiadających lub dążących do władzy politycznej i kontroli wojennej na Syberji i w Rosji Północnej, z żądaniem, aby wysłali przedstawicieli w celu porozumienia się z delegatami mocarstw sprzymierzonych i zaprzyjaźnionych, na Wyspach Książęcych. Trudno jest krytykować ten projekt poważnie. Mimowoli człowiek się czuje, jak ów członek małego narodu z dawnych czasów, o którym mówią, że radził się wyroczni, co ma robić, by się wstrzymać od śmiechu podczas niektórych obrad nad sprawami publicznemi.

Pomysłowi autorowie projektu narazili się na śmieszność w oczach całego świata i dla najmniej pojętnych stało się jasnem, że z tej strony w każdym razie naród rosyjski, jako całość, nie może oczekiwać ani światła, ani kierunku, ani inteligentnej oceny swej strasznej katastrofy. Istnieje w ludzkim umyśle dziedzina wpływu pomiędzy rozumem a wyobraźnią, której linje graniczne są mgliste. Ta dziedzina wydaje się źródłem, skąd dostają się najbardziej niezwykłe wyobrażenia do umysłu ludzi, co nagle dostali się do władzy, której sprostać nie byli zdolni — są to *nouveaux puissants* świata politycznego.

Na korzyść Rady Najwyższej zaznaczyć należy, że nie pozwalała nigdy obrażonej godności stanąć pomiędzy sobą a triumfem którejkolwiek z licznych spraw, jakiemi zajmowała się kolejno. Od czasu do czasu rząd bolszewicki zwracał się do niej w wyrażeniach najbardziej obraźliwych i oskarżał ją nietylko o ukrywanie korzyści politycznych pod szatą fałszywego idealizmu, ale o dawanie pierwszeństwa w życiu politycznem ciemnym interesom, na które był narzucony umiejętnie płaszczyk humanitaryzmu. Jeden oficjalny dokument rządu bolszewickiego, skierowany do prezydenta Wilsona, zasługuje na przytoczenie [2]). Pragnęlibyśmy dowiedzieć się w sposób bardziej dokładny, jak Pan rozumie Zrzeszenie Narodów? Jeżeli się żąda niepodległości Belgji, Serbji, Polski, oznacza to

[1]) Powiadają, że przy tej sposobności pułkownik House poróżnił się z Prezydentem.

[2]) Został wysłany w końcu października 1918 r. i, o ile mi wiadomo, nie był drukowany w całości.

niewątpliwie, że masy ludowe mają wziąć w swe ręce zarząd kraju. Ale wydaje się dziwnem, że nie żąda Pan również oswobodzenia Irlandji, Egiptu, Indyj i wysp Filipińskich...

Ponieważ zawarliśmy pokój z Cesarzem Niemieckim, dla którego nie mamy więcej względów, niż dla was, chcielibyśmy również zawrzeć pokój z wami. Oddajemy więc pod obrady Pańskie i pańskich sprzymierzeńców następujące pytania: 1) Czy rządy francuski i angielski gotowe są przestać żądać krwi narodu rosyjskiego, jeżeli ten naród gotów jest zapłacić im wykup i wynagrodzić ich w ten sposób? 2) Jeżeli odpowiedź będzie przychylna, jakiego okupu żądają aljanci (koncesje kolejowe, kopalnie złota czy terytorja?).

Oczekujemy również od Pana wiadomości, czy przyszły Związek Narodów ma być przedsiębiorstwem spółkowem dla eksploatacji Rosji, a w szczególności — jak tego żądają wasi sprzymierzeńcy Francuzi, dla zmuszenia Rosji do wypłacenia miljardów, których rządowi carskiemu dostarczyli ich bankierzy, czy też ów Związek Narodów ma być czemś zgoła odmiennem?

Natychmiast po uchwaleniu wniosku, dotyczącego Prinkipo, zostałem zawiadomiony telefonicznie i nie tracąc chwili czasu zakomunikowałem tę wiadomość oficjalnym przedstawicielom Rosji w Paryżu. Projekt wywołał ich zdumienie. Nie mogli zrozumieć, że Konferencja, porozumiewając się z antybolszewikami, rozpoczynała jednocześnie rokowania ze stronnikami Lenina, gdy tymczasem antagonizm między temi dwoma odłamami był nietylko polityczny, lecz także osobisty i tchnący zemstą, jak stosunek dwóch Albańczyków w krwawej walce rodzinnej. Radziłem odrazu wystąpić przeciwko projektowi i dlatego pragnąłem, żeby przedstawiciele czterech [1]) rządów czynnych w Rosji zakomunikowali mi swoją decyzję. Zgodnie z tem upoważniono mnie do oświadczenia światu, że kategorycznie odmawiają wysłania przedstawicieli na narady z zabójcami swych rodaków i niszczycielami kraju i że pod żadnemi warunkami nie zejdą z tego stanowiska. Otrzymawszy upoważnienie, zawiadomiłem Stany Zjednoczone i W. Brytanję, że projektowany zjazd nie może dojść do skutku z powodu odmowy ze strony wszystkich elementów konstrukcyjnych co do zawarcia jakiegokolwiek kompromisu z bolszewikami, i że według zdania przedstawicieli rosyjskich w Paryżu, ten krok delegatów jedynie wzmacnia ruch bolszewicki, uczyni wojnę cywilną jeszcze okrutniejszą, niż dotychczas, i wywoła wielkie trudności w utworzeniu Ligi Narodów.

[1]) Omsk, Ekaterynodar, Archangielsk i Krym. Ten ostatni wkrótce potem przestał istnieć.

Delegaci jednakże nie uważali sprawy za straconą. Ratując sytuację, zbliżyli się w sposób nieoficjalny do rosyjskich ministrów w Paryżu, do których nie raczyli się zwracać przed tem niepowodzeniem, i zaczęli namawiać ich przynajmniej na formalną zgodę na propozycję, coby ich do niczego nie zobowiązywało i pozwoliło im wycofać się bez uszczerbku dla swej godności. Starali się ułatwić im to, jak tylko mogli. Tłumaczyli, że ministrowie rządów faktycznych nie będą potrzebowali wchodzić w bezpośredni kontakt z zabójcami swych rodaków: zajmą oddzielne skrzydła w hotelu w Prinkipo i nigdy nie spotkają się ze swymi przeciwnikami. Delegaci postarają się o to. „Pocóż mamy tam jechać w takim razie, jeżeli dyskusja jest zbyteczna?" pytali Rosjanie. „Dlatego, że rządy sprzymierzone pragną się upewnić co do położenia Rosji i waszego sposobu pojmowania środków, które je mogą poprawić", była odpowiedź. „Wyspy Książęce nie są odpowiedniem miejscem do badania położenia Rosji; nie jest ani rozsądnem oczekiwać od nas, byśmy tam jechali, w celu powiedzenia subdelegatom, nie znającym naszego kraju, tego, co możemy powiedzieć im i ich pryncypałom w Paryżu z większemi szczegółami i potwierdzić przytem nasze słowa dokumentami. Następnie, delegaci, których wyznaczyliście, nie mają kwalifikacyj do wydawania sądu o upadku Rosji i środkach, jakie posiada. Nie znają ani kraju, ani jego języka, ani narodu i polityki, jednak chcecie, abyśmy jechali aż do Turcji, by im powiedzieć, co myślimy; niechaj wracają z Turcji do Paryża i zdadzą sprawę własnym ministrom z tego, co powiedzieliśmy, a co mogliśmy byli wyłożyć im bezpośrednio już dawno i co też gotowi jesteśmy uczynić dziś lub jutro.

Projekt jest dziecinny, a wasza taktyka zgubna. Ministrowie wasi potępili bolszewików, jako zbrodniarzy, a rząd francuski publicznie oświadczył, że nie wejdzie z nimi w stosunki. Pomimo to wszystkie rządy sprzymierzone gotowe są obecnie do wejścia z nimi w stosunki. Teraz panowie uznajecie, żeście popełnili błąd i obiecujecie naprawić go, z chwilą gdy się zgodzimy wam pomóc i pojedziemy do Prinkipo. Dla nas ta podróż byłaby wyrzeczeniem się zasad. Dlatego nie możemy jej odbyć".

Tak więc sprawa Prinkipo, która rozpoczęła się w dziedzinie wysokiej polityki, zakończyła się komedją. Pod adresem delegatów powstało kilka mniej lub więcej dowcipnych żartów, projekt oświetlony mocniejszem światłem, niż je mógł wytrzymać, nabrał kształtów groteskowych, a twórcy jego starali się, jak mogli najlepiej, żeby został jak najprędzej zapomniany. Sfinksowa jednak zagadka przyszłości Rosji pozostała nierozwiązana, a kary za nieudolne jej rozwiązywanie stawały się

coraz więcej zastraszające. Najwyżsi arbitrowie zdawali sobie z tego sprawę, a nawet twierdzili, że niemożliwe jest ustalenie trwałego pokoju lub utrzymanie stałej Ligi Narodów, dopóki Rosja zostaje pod władzą anarchistów. Lecz nawet wobec zysków i strat okazali się niezdolnymi do podjęcia polityki rozumnej. Ich wysiłki dorywcze i luźne albo trudne były do zrealizowania, albo szkodliwe. W ten sposób, powoli zdołali zniechęcić do Ententy wielki naród słowiański.

Czytelnik z łatwością zrozumie, że propozycje, robione bolszewikom, oburzyły Rosjan — patrjotów w kraju, którzy liczyli na ratunek narodów zachodnich i porobili wszelkie możliwe ofiary, żeby nań zasłużyć. Każdy obserwator mógł wyczuć echo tego uczucia w Paryżu, ja zaś otrzymywałem wyraźne dowody z Syberji. Przywódcy i ludność sama bez wahania zwrócili się o pomoc do Japonji. Były potemu poważne powody. Jedynym rządem, który przez czas wojny posiadał własne zdanie i prowadził zrozumiałą i konsekwentną politykę wobec Rosji, był rząd w Tokjo. Warto to zaznaczyć w chwili, gdy Japonja jest uważana za nawróconą na sposób Laodycei na ożywcze ideje narodów Zachodu, chociaż w gruncie rzeczy jest w stosunku do nich odstępcą i potężnym schizmatykiem. Oskarżano ją o popieranie własnego interesu, jako głównej sprężyny w stosunkach z innemi narodami. Oskarżenie jest słuszne. Tylko Kandyd mógłby się spodziewać, że będzie usposobiona do altruizmu i samowyrzeczenia się w towarzystwie, które karze za podobne cnoty. Wspólność interesów jest ogniwem, które wiąże Japonję z W. Brytanją. Podobne więzy istniały pomiędzy nią a carską Rosją. Pomagałem do ich zawiązania. Japońscy mężowie stanu, nie lubiący dźwięcznej frazeologji, nie uznali za konieczne nadania im bardziej modnej nazwy. Nie przeszkodziło to Japończykom, że w rycerski sposób pozostali lojalnymi dla swych sprzymierzeńców, bez względu na silne pokusy, i wiernymi duchowi i literze swych zobowiązań. Ale choć nie mieli pretensji do wzniosłych celów, ich maksymy polityczne nie różniły się niczem od pojęć wielkich państw europejskich, których interesy terytorjalne, ekonomiczne i wojenne zostały uroczyście zawarowane w Traktacie Wersalskim. W istocie, mężowie stanu z Tokjo wzdragali się łączyć z sobą dwie sprzeczności, związane wzajemnie uczuciowym sofizmatem. Ich niepopularność wśród Anglosasów była wynikiem obaw względem ich przyszłych zamiarów; innemi słowy, byli karani, tak samo, jak niektórzy delegaci na Konferencji chwaleni, nie za to, co zrobili, lecz za to, co, jak się zdawało, mieli zamiar zrobić. W stosunku do Rosji grali taką samą rolę, jak ich aljanci w Europie, tylko robili to w sposób bardziej szczery i stały. Stosowali dwie główne zasady, będące pod-

stawą współczesnej polityki międzynarodowej: *do ut des* i—że naród, zdolny do przewodniczenia innym, ma prawo i obowiązek takiego przewodnictwa. Wyrobili sobie cenną opinję ludzi, spełniających sumiennie swe zobowiązania. Japonja pomogłaby swym sąsiadom rosyjskim i wzamian za to miała nadzieję otrzymania od nich pomocy. Czy nie zmusili aljanci zapytywała Japonja, Polski, Czechosłowacji i Jugosławji do zapłacenia im gotówką za niepodległość?

Rosjanie, nie mający uprzedzeń do kolorowych ras, pozbawieni są ich również w stosunku do Japończyków i wzajemnie są przez nich lubiani. Jest więc naturalnym pociąg obydwóch narodów ku sobie i pod względem politycznym, a umowy ekonomiczne w przyszłości wydają się nieuniknione i słuszne. Jedna z podobnych umów miała być podpisana przez Japonję i antybolszewików z Omska, jako bezpośredni wynik źle pomyślanego zaproszenia aljantów, skierowanego do Lenina i Trockiego, żeby wysłali delegatów do Prinkipo. Mam powody do mniemania, że podobny układ był zaprojektowany i miał być podpisany; a wrogi wpływ, który nagle dał się odczuć i przeszkodził umowie, wyszedł nie z Rosji, lecz z Europy Zachodniej. Byłoby bezowocnem zatrzymywać się nad tą sprawą dłużej, poza zaznaczeniem przekonania wielu Rosjan, że gorliwość narodów anglosaskich o dobrobyt Syberji, gdzie zamierzają utrzymywać wojska po wycofaniu ich z Europy, jest krokiem skierowanym przeciwko pragnieniom Japonji, by nie mogła współdziałać razem z ludnością tego bogatego kraju. To twierdzenie może być bezpodstawne, ale zdziwi tylko tych, którzy nie dostrzegają, że często sztandar przekonań ukrywa poza sobą interesy ekonomiczne.

Delegaci nie byli wcale zniechęceni niepowodzeniem ich planu co do Prinkipo. Niektórzy z nich nie tracili nadziei co do możliwości takiego układu z bolszewikami, który pozwoliłby uznać kwestję rosyjską za chwilowo załatwioną. Prezydent Wilson wyprawił tajnych wysłańców do Moskwy dla zawarcia umowy z Leninem [1]), ale choć warunki, uzyskane przez p. Bullitta były uznane za zadawalające, cofnął się odrazu, jak się tylko na nie zgodzono. I nie wskazał przyczyny tej zmiany stanowiska. Czy sąd jego uległ zmianie pod wpływem jaśniejszych widoków dla Kołczaka i Denikina - – musi to pozostać nierozstrzygnięte. Zbytecznem będzie wykazywać raz jeszcze, że ta nagła improwizacja planów, które zostały znowu zaniechane w ostatniej chwili, obniżyła jeszcze bardziej niewysoką opinję pupilów narodów anglosaskich o kierownictwie moralnem ich samozwańczych opiekunów.

[1]) Patrz rozdział IV „Cenzura i tajemność", str. 89.

Gorący zwolennik narodów sprzymierzonych we Francji pisał: „Nie mieliśmy nigdy jednolitej polityki rosyjskiej. Robiliśmy syntezy ze sprzecznych pojęć. Jest to tak dalece prawdziwe, że można słusznie twierdzić, że patrjotyzm rosyjski był popierany przez nasze zachcianki w zakresie czynu, a rozkładowi Rosji pomagaliśmy przez zaniedbanie czynu. Można powiedzieć, że pomagaliśmy obydwóm obozom, a ponieważ przypadkowo nasza opieszałość wzięła górę nad czynem... nie robimy nic" [1]).

Stosunek Rady Najwyższej do Kołczaka i Denikina uległ znacznym zmianom. Powtarzano w Paryżu, że Admirał miał nieszczęście wywołać niezadowolenie dwóch szefów Konferencji przez swe zachowanie się, które zostało zrozumiane, jako dążenie do niezależności, a któremu oddalenie i pośrednictwo nadały pewien ton nieuszanowania. W każdym wypadku przywódca rosyjski był przez pewien czas w niełasce, co zaciemniało widoki sprawy. Co do Denikina, wydawał się jednemu z wielkich delegatów reklamującym się blagierem. Te podobizny duchowe zostały nieco upiększone, z chwilą, gdy szczęście wojenne zaczęło sprzyjać jednemu i drugiemu. W związku z tem zyskiwała i ich sprawa. Wpływy, działające w Londynie, przyczyniły się znacznie do tego polepszenia, gdyż prądy antybolszewickie, dające się odczuć w pewnych urzędach państwowych tej stolicy, gdzie istniało kilka sprzecznych polityk, były potężne i stałe. W maju Konferencja odwróciła się nawpół od Lenina i Trockiego ku Kołczakowi i Denikinowi, ale jej sposób pertraktowania nadawał szczególne piętno dyplomacji nowej ery „jawnych umów, jawnie zawieranych". Delegaci w Paryżu porozumieli się z dwoma przywódcami w Rosji „ponad głowami" i bez wiadomości ich uprawnionych przedstawicieli w Paryżu, podobnie, jak wydali ostateczne rozkazy „Rządowi rumuńskiemu w Bukareszcie" ponad głowami jego kierowników, przebywających w tym czasie w stolicy francuskiej.

Bezpośrednie motywy, które wywołały kilka ważnych postanowień Tajnej Rady, choć politycznie bez znaczenia, są w tym stopniu interesujące psychologicznie, że zasługują na wzmiankę. Rzucają one światło na konkretność, bezpośredniość i prostotę działań umysłów mężów stanu w chwili, gdy są zajęci załatwianiem interesów międzynarodowych. Naprzykład, chwila uznania nowych ugrupowań, jako państw, była wybierana w zależności od czysto zewnętrznych okoliczności. Naprzykład, rozdawca żywności lub sekretarz skarbu potrzebował pokwitowania od narodu, który korzystał z żywności lub pie-

[1]) Pertinax w *Echo de Paris*, 5 lipca 1919 r.

niędzy. Ponieważ dokument tego rodzaju przewiduje istnienie państwa i rządu, oficjalny dostarczyciel żywności czy pieniędzy mimowoli działał na korzyść narodu, który jeszcze nie był państwem, albo któremu brak było zorganizowanego rządu. W niektórych wypadkach Konferencja była zmuszona do tworzenia rządu i państwa pod naciskiem chwili. Dlatego Finlandja dostała od mocarstw zatwierdzenie swej niepodległości, gdyż rząd Stanów Zjednoczonych szlachetnie przygotowywał się do dania pomocy Finnom i pragnął otrzymać wzamian kwity, podpisane przez odpowiedzialne władze, reprezentujące państwo[1]). Gdyby nie było konieczności posiadania prawomocnych kwitów, akt uznania niepodległości mógłby być odłożony tak samo, jak odkładano wyznaczenie granic. Podobne względy prowadziły do podobnych wyników w innych wypadkach. Niepodległość Czechosłowacji została uznana formalnie z tego samego powodu, jak szczerze wyznał jeden z jej wpływowych ludzi.

Jedną z poważnych trosk szefów Konferencji w ich stosunkach z Rosją było to, że Rosja nie miała rządu, który byłby uprawiony do podpisywania kwitów na zaliczki pieniężne i amunicję. A ponieważ nie mogli się zdecydować na uznanie żadnej z istniejących administracyj, przyjęli drogę środkową, podnosząc antybolszewików do poziomu związku, wprawdzie nie suwerennego, ani niezależnego, ale zasługującogo na wszelki rodzaj pomocy, z wyjątkiem wysłania wojsk sprzymierzonych. Pomocy udzielono już hojnie, a odczuwano potrzebę jej usprawiedliwienia formalnego. I dwaj delegaci zabrali się do roboty, jak gdyby knuć mieli jakiś ciemny, zbrodniczy spisek. Wysyłając tajne pismo do admirała Kołczaka, zadali mu w niem szereg pytań, na które nie mógł odpowiedzieć bez poradzenia się swych oficjalnych doradców w Paryżu; lecz doradcy ci nie byli poinformowani przez Tajną Radę o tem, co się działo. Co gorsza, nawet francuskie ministerjum spraw zagranicznych nie było powiadomione o tem. Dowiedziałem się o całej sprawie zupełnie przypadkowo i ogłosiłem dokument oficjalny[2]). Wzywał on admirała Kołczaka, żeby zobowiązał się do zwołania konstytuanty zaraz po przybyciu do Moskwy; do urządzenia wyborów; do zupełnego usunięcia dawnego ustroju i wszystkich jego inowacyj; do uznania niepodległości Polski i Finlandji, których granice miała określić Liga Narodów; do usłuchania rad współdziałania z Ligą w sprawie porozumienia się z państwami

[1]) To prawo zostało udzielone wybitnemu członkowi ciała dyplomatycznego.

[2]) W *Daily Telegraph*, 19 czerwca 1919 r. i w *Public Ledger* w Filadelfji.

pogranicznemi; do przyjęcia decyzji Konferencji Pokojowej w sprawie przyszłego ustroju Besarabji. Odpowiedź Kołczaka była uznana za jasną i zrozumiałą; na korzyść jego należy zaznaczyć, że otwarcie odmówił przesądzania woli konstytuanty w sprawie państw sąsiednich, które zawdzięczały swą samoistną egzystencję inicjatywie zwycięskich rządów. Tajna Rada Konferencji przyjęła jego odpowiedź i na zasadzie jej stale z dotychczas dawaną pomocą śpieszyła.

O osobie Kołczaka trudno powiedzieć więcej ponad to, że jest on uczciwym obywatelem, energicznym i stanowczym patrjotą, jak Fabrycjusz, a bezinteresownym i skromnym, jak Cyncynnat. Na jego dobro należy również zapisać, że posiada cudotwórczą wiarę w siłę odrodzenia swego kraju, nawet w chwili jego najgorszego upadku. Z rozmachem i ufnością wziął się do dzieła ratowania swych rodaków, w chwili, kiedy to się wydawało równie beznadziejnem, jak sprawa Ksenofonta w Kunaksie. Z niczego stworzył armję, namową, perswazją i przykładem zachęcił swych ludzi, żeby strząsnęli z siebie jad braku dyscypliny i poświęcili swój indywidualny sąd i wolę dla dobra swych współtowarzyszów. Nie narzucał innym tego, czegoby sam nie był gotów zrobić, i niejednokrotnie narażał się na niebezpieczeństwa, dużo większe, niż to się zdarza dobrowolnie każdemu innemu generałowi. Zwycięży czy padnie w swem trudnem przedsięwzięciu, w każdym razie Kołczak przez swą nadludzką cierpliwość, energję i męstwo, ma wielkie zasługi wobec swej ojczyzny i może sobie pozwolić na lekceważenie krążących o nim legend, które go malują jaskrawemi kolorami, jako reakcjonistę, czemu przez pewien czas wierzyli nawet niektórzy ludzie, przejęci rosyjskiemi sprawami. Można się nie zgadzać z jego polityką, krytykować jego oficerów i zwolenników, ale niepodobna nie szczędzić pochwał otwarcie myślącemu żołnierzowi-patrjocie. Wadami Kołczaka — są jego przesadzone zalety. Jego wybitna ruchliwość bywa uważana za zmienność, jego energja bywa wybuchowa, a impulsywność przeszkadza czasami w pomyślnem wykonaniu planu, wymagającego uporczywej stałości. W sądzie swym o ludziach myli się czasami, ale nie zawahałby się nigdy powierzyć wysokie stanowisko każdemu człowiekowi, któryby na nie zasłużył.

Jest demokratą w potocznem znaczeniu tego wyrazu, lecz ani doktrynerem, ani manjakiem. Człowiek znający dyscyplinę, ale zarazem niezmiernie pociągający osobiście, czaruje ludzi z równą łatwością, jak rozkazuje żołnierzom. Jest dosyć uświadomiony, jak i wielcy zachodnio-europejscy reformatorzy świata w chwilach teoretyzowania, by potępiać tajemność i umowy,

zawierane w ciemnych zakątkach, a co jest jeszcze bardziej chwalebne, dosyć ma odwagi, żeby stosować swoje zasady w życiu.

Kiedy wybuchnęła rewolucja, Kołczak był w Sewastopolu. Telegram, zawierający sensacyjne wiadomości o wybuchu, został utajony przez wszystkich komendantów wojskowych z wyjątkiem niego samego. Bez wahania zebrał żołnierzy i marynarzy, zawiadomił ich o tem, co miało miejsce, wytłumaczył im istotne znaczenie gwałtownego przewrotu i wezwał ich do połączenia się z nim w bohaterskim wysiłku wpływania na bieg rzeczy w kierunku porządku i zjednoczenia. Osądził trafnie znaczenie rewolucji i niemożność zamknięcia jej w jakichkolwiek granicach politycznych, moralnych, czy geograficznych. Uważał jednak, że gromadka zdecydowanych patrjotów może wyrwać coś niecoś z rąk losu dla kraju. Z tego rodzaju wiarą i nadzieją wziął się do pracy i wkrótce jego waleczna armja, odzyskane prowincje i polepszenie widoków Rosji stało się wymownem świadectwem na jego korzyść, którego nie mogły osłabić legendarne opowieści, chętnie słuchane na Zachodzie.

Jak głęboko zakorzenioną była skłonność delegatów do tego, co dla braku stosowniejszego wyrażenia możemy nazwać konspiracyjnem i krętem postępowaniem, można widzieć ze sprawozdań o ich oficjalnych i nieoficjalnych rozmowach i czynach. Porozumiewając się z oficjalnymi agentami Kołczaka w Paryżu, stawiali twarde warunki, które określali jako niewzruszone; a jednak, pertraktując bezpośrednio z Admirałem, proponowali znacznie mniej uciążliwe, nieznane jego paryskim doradcom, w ten sposób mistyfikowali obie strony i przyczyniali się do niezgody między niemi. W wielu wypadkach kontrast pomiędzy dwoma szeregami wymagań wprowadzał zamieszanie, przyczyniał się do nieporozumień i powikłania stosunków pomiędzy Kołczakiem a jego agentami w Paryżu; on wszakże nadal ufał swym przedstawicielom, chociaż delegaci odmawiali im zaufania.

Byłoby wysoką niesprawiedliwością, gdybyśmy zechcieli przypisywać coś w rodzaju nieszczerości delegatom, zajętym sprawami ogromnej doniosłości, ale niefortunny zbieg okoliczności sprawił, że niektórzy członkowie Rady Rosyjskiej w Paryżu byli przez nich nielubiani i chętnie się z nimi nie liczono. Kiedy się zjawił projekt Nansena w sprawie żywienia ludności rosyjskiej, cierpiącej głód, ministrów Kołczaka w Paryżu zapoznano z tą sprawą i plan aljantów był im wyłożony tak niejasno i niekompletnie, jak gdyby chodziło o danie im wrażenia, że współdziałanie z rządem bolszewickim było częścią programu. Dano im również do zrozumienia, że podczas żywienia ludności będzie musiała nastąpić przerwa w wysyłaniu

amunicji i innych niezbędnych materjałów wojennych dla Kołczaka. Projekt z podobnemi zastrzeżeniami był oczywiście nie do przyjęcia przez przedstawicieli Kołczaka w Paryżu. Ale dziwnym trafem w oficjalnem zawiadomieniu, które delegaci wysłali drogą telegraficzną bezpośrednio do Admirała, nie było żadnego z tych szkodliwych dodatków i cała propozycja wyglądała zupełnie inaczej.

Innego przykładu szczególnej taktyki dostarczają ich pertraktacje z delegatami Admirała co do przyszłego położenia Finlandji, której pomocy żądano dla uwolnienia Piotrogrodu od bolszewickiego jarzma. Finnowie nalegali przedewszystkiem na uznanie ich zupełnej niezależności od Rosjan. Przedstawiciele Kołczaka wzdragali się przed ustępowaniem jakichkolwiek ziem, które należały do państwa, na własną odpowiedzialność. Ponieważ jednak kwestja była teoretycznie wszechstronnie rozważana, członkowie Rady Rosyjskiej w Paryżu zapragnęli dowiedzieć się od aljantów, czy Finnowie wyrzekli się przynajmiej swoich pretensyj do prowincji Karelji. Kierownicy Konferencji odpowiedzieli wymijająco, nie dając zapewnienia, że żądanie zostało uwzględnione. Z tego ci wywnioskowali, że Finnowie albo jeszcze trwali przy swych wymaganiach, a w każdym razie nie zmienili swej poprzedniej decyzji w tej sprawie i uznali za swój obowiązek poinformować o tem swego szefa. Tymczasem delegaci w piśmie o tej sprawie do Kołczaka, wysłanem prawie jednocześnie, zapewnili go, że o aneksji Karelji niema mowy i że Finnowie nie będą już ponownie wysuwali tego żądania. Trudno wiedzieć, co należy sądzić o podobnej taktyce. W swych rozmowach z delegatami niektórych państw ościennych, graniczących z Rosją, oficjalni przedstawiciele trzech mocarstw europejskich na Konferencji używali mowy, która wywoływała nieporozumienia, mogące mieć w przyszłości fatalne skutki. Chciałoby się wierzyć, że te nieporozumienia są tylko rezultatem niezręczności w mowie, które nie powinny być brane dosłownie przez tych, do których były skierowane; tymczasem stały się one nietylko źródłem wielkich, prawdopodobnie złudnych nadziei, ale i podstawą świadomej polityki.

Naprzykład ministrom estońskim i łotewskim dawano do zrozumienia, że będą mogli wysłać poselstwa dyplomatyczne do Piotrogrodu z chwilą, jak tylko Rosja zostanie odbudowana, co wskazywać się zdawało na zupełną niezależność tych państw. Jedno z wielkich mocarstw naszkicowało konstytucję dla Estonji, opartą na postulacie, że naród musi być sam panem u siebie. Z tego wynikało, że obydwa wspomniane narody mogły liczyć na zupełną niepodległość. A jeżeli takim był istotnie za-

miar wielkich mocarstw, nie można już nic więcej dodać w sprawie ich szczerości i dokładności. Ale ani w warunkach, przedłożonych Kołczakowi, ani w tych, na które się mieli zgodzić jego paryscy adepci, nie było wzmianki o niepodległości żadnego z tych krajów [1]).

To są może drobne pospolite szczegóły, ale pozwalają nam ocenić metody i zdolności organizacyjne mężów stanu, od których talentu i taktu w postępowaniu z ich współtowarzyszami zależała nowa synteza międzynarodowego życia i etyki, którą pragnęli zrealizować. Zbytecznem jest badać wrażenie, jakie na Rosjan, albo na inne narody reprezentowane w Paryżu, wywierały konspiracyjne narady i kręta procedura Tajnej Rady, będąca takiem silnem przeciwstawieniem „jawnych umów, jawnie zawieranych", które tak wysoko podnosili w swych mowach publicznych.

Głównem niebezpieczeństwem, którego obawiali się aljanci w razie niepowodzenia w przywróceniu spokoju w Rosji, było to, że może udać się ono Niemcom, które dzięki swym licznym przewagom będą mogły zapewnić sobie uprzywilejowane położenie w kraju i użyć go jako środka dojścia do bogactwa materjalnego, siły wojennej i wzrostu politycznego. Tego celu będą mogli dopiąć pomimo znacznych przeszkód. Osiągną go łatwo, jeżeli aljanci mimowoli im pomogą, jak to właśnie czynili.

Na nieszczęście rządy sprzymierzone miały niewiele nadziei na powodzenie. Choćby były zdolne do opracowania szerokiego planu, nie posiadały już środków do jego wykonania. Nie miały żadnych planów. „Faktem jest", zawołał jeden z kierowników Konferencji, „że nie mamy polityki wobec Rosji, brak nam też należytych danych na to, aby ją mieć".

Starali się wynagrodzić ten zasadniczy brak, wnosząc papierową ścianę pomiędzy Niemcami a jej wielkim sąsiadem słowiańskim. Plan był prosty. Teutonów zmuszano do tego, ażeby się przestali interesować sprawami Rosji, której losy były związane tak ściśle z ich własnemi. Wkrótce jednak zrozumieli, że podobny przedział jest równie bezużyteczny, jak wał, o który się obija podczas przypływu fala teutońska i że Niemcy są do tego przeznaczeni, żeby grać rolę rządców i opiekunów Rosji.

Jakże mogłoby być inaczej? Niemcy i Rosja są bliskimi sąsiadami. Ich stosunki ekonomiczne trwały od wieków,

[1]) W lipcu Pichon powiedział delegatom estońskim, że Francja uznała w zasadzie niepodległość ich kraju. Ale deklaracji tej nie wzięli na serjo ani Rosjanie, ani Francuzi

i aljanci uczynili je niezbędnemi na przyszłość; Rosja jest przeznaczona na najlepszą kolonję Niemiec. Oba narody stały się od siebie wzajemnie zależnemi. Teuton uzna Słowianina za sprzymierzeńca w życiu ekonomicznem i wyzyska go za to w polityce. Któż może dziś powstrzymać ten proces? Rosja musi żyć, dlatego musi sprzedawać i kupować, handlować i pertraktować. Czy traktat pergaminowy może przeszkodzić temu lub zniweczyć jej działalność? Czy może przeszkodzić unikaniu polityki w zarządzeniach handlowych, kiedy to są dwie strony jednej i tej samej czynności? Warto zaznaczyć, że nie poruszano sprawy głównej, dotyczącej sedna rzeczy; brzmi zaś ono w ten sposób, czy jest zasadniczym warunkiem przyszłego ustroju świata, żeby Niemcy nie grały żadnej roli w jego postępie? Czy można twierdzić, że zadowolą się nazawsze traktowaniem ich jako niepoprawnego wroga cywilizacji? Jeżeli zaś nie, to jakiż cel mieć mogą wszystkie podobne zastrzeżenia i zakazy?

W Rosji mieszkają miljony Niemców, obeznanych z językiem, prawami i obyczajami narodu. Niektórzy z nich osiedli tam od szeregu pokoleń. Są namiętnie przywiązani do swego narodu, ale ani nieprzyjaźni, ani bezużyteczni dla kraju, który sobie obrali za miejsce zamieszkania. Handel i przemysł prowincyj europejskich jest w znacznej mierze w ich rękach i w rękach ich poprzedników i pomocników—żydów. Rosyjsko-niemieccy i żydowscy pośrednicy kraju mają wzrok stale zwrócony ku vaterlandowi. Pragną tam sprzedawać i kupować. Mieli zawsze kredyt w Berlinie, Dreznie i Frankfurcie. Pracowali, jako agenci, komiwojażerowie, handlarze i bankierzy dla Rosjan i Niemców. Krążyli nieustannie pomiędzy temi dwoma krajami. Jak okiełznać te niezliczone rzesze ludzi na stałe i powstrzymać od urządzenia sobie życia w przyszłości według kierunku, zakreślonego przez konieczność albo interes przeszłości? Rosjanie ze swej strony muszą żyć, a więc kupować i sprzedawać. Czy Konferencja albo Liga ma prawo narzucać im osoby lub narody, z któremi wyłącznie mogą utrzymywać stosunki? Czy może zwęzić pole działalności politycznej Rosji? Niektórzy ludzie uważają, że może. W tym wypadku Liga Narodów musiałaby się zamienić na związek dla zniszczenia rasy germańskiej.

Niecny pokój w Brześciu Litewskim wywołał wśród wzniośle usposobionych aljantów uczucie gorącego oburzenia i potępienia moralnego. Gdyż te kpiny z pokoju, pochodzące od wroga przechodziły granice zemsty ludzkiej. Był on sprawiedliwie wyklinany przez wszystkie narody Ententy, jako nienawistny twór oszalałego narodu. Ale wkrótce potem rządy

sprzymierzone, gdy przyszła na nie kolej, utworzyły coś, co Rosjanie wszystkich partyj uważają za łataninę polityczną, pełną różnorodnych niesprawiedliwości, tem bardziej jeszcze wstrętną, że autorzy jej pragnęli być uważani za oddanych przyjaciół swych ofiar, oraz za bojowników prawa.

Gdy traktat brzeski projektował słowiańskie państwo federacyjne z sejmami dzielnicowemi i parlamentem związkowym, system, tworzony przez aljantów, polegał na wykrawaniu z Rosji coraz większej liczby państewek, których cały szereg nie może istnieć samodzielnie, na usuwaniu mieszkańców od głosu w tej sprawie, na tworzeniu stale pola do interwencji obcej, na zapoznawaniu praw Rosji do odszkodowań ze strony wspólnego wroga. Nie pytano się wcale Rosjan, choćby dla zdobycia informacji, co myślą lub czują wobec rzeczy, które się działy.

Ta lub owa prowincja była odrywana swobodnie, co mogliby zrobić tylko właściciele i przez mężów stanu, którzy pragnęli być uznani za bezstronnych rozdawców sprawiedliwości i siewców ziarna pokoju, ale nie znali warunków i unikali głębszych badań. Tu w każdym razie brakło zwykłych objawów wahania i zwłoki. Szybka decyzja i gruntowność cechowały tę czynność rozczłonkowywania, za pomocą której bezwiednie przygotowywano pole walki na przyszłość.

Nikt obeznany z psychologją rosyjską, nie będzie twierdził, że można zmienić uczucia wzniosłego narodu za pomocą darów w postaci żywności, pieniędzy lub amunicji, które dawano niektórym z ich rodaków. Jak mało skłonni są Rosjanie do tego, by móc handlować dobrami idealnemi wzamian za korzyści materjalne, można wywnioskować z wydarzenia. zasługującego na wzmiankę, które miało miejsce w miesiącach kwietniu i maju, kiedy oczekiwano przejścia stolicy do rąk anty-bolszewików.

W tym czasie jedyną rzeczą, niezbędną dla ich powodzenia przeciwko bolszewizmowi, było zdobycie Piotrogrodu. Gdyby to miasto, które pomimo swego kosmopolitycznego charakteru, dotąd zachowywało swe znaczenie ośrodka politycznego Rosji, mogło było być wydarte z mocnych szponów Lenina i Trockiego, upadek anarchicznych dyktatorów byłby, jak uważano, przesądzony. Przyjaciele Kołczaka poruszali wszelkie sprężyny, by zmusić całą machinę do wystąpienia przeciwko Piotrogrodowi. A ponieważ pośród wszystkich pomocników najskuteczniejszymi byli Finnowie i Estończycy, rozpoczęły się rozmowy z ich kierownikami. Byli oni gotowi do pomocy, ale wymagali hojnego wynagrodzenia. Gotowi byli maszerować na Piotrogród, ale za dobrą zapłatę. Głównym postawionym przez

nich warunkiem było ostateczne uznanie ich zupełnej niepodległości w obrębie granic, w opis których tu nie możemy się wdawać.

Rząd Kołczaka gotów był pertraktować z gabinetem fińskim, jako z rządem *de facto*, i uznać obecnie położenie Finlandji zgodnie z prawem międzynarodowem; ale ponieważ nie mogli rozdawać tego, czego nie posiadali, twierdzili, że ich uznanie musi być, tak jak ich władza, tymczasowe. Podobna odpowiedź była dana Estończykom; na tem się te narady zatrzymały. Rosjanie stali mocno przy swojem i pertraktacje upadły. Czy należy przypuszczać, że kiedy wrócą do dawnego położenia, będą podatniejszymi na umizgi aljantów, niż na ogromne łapówki, któremi migali im przed oczami Estończycy i Finnowie?

Jeżeli wszakże pośpieszne zarządzenia, zmierzające do rozczłonkowania Rosji, wydane przez wielkie mocarstwa podczas jej stanu kataleptycznego, zostaną poddane rewizji, co może nastąpić wówczas, gdy odzyska świadomość siebie i siłę,— jaką koleją potoczą się wtedy wypadki? Jeżeli zechce zagarnąć nanowo pod swe skrzydła niektóre z narodów, którym Liga Narodów tak chętnie przyrzekła niepodległość, czy odezwie się ona na ich wołanie i poleci im na pomoc? Rosja, której nie dano w tem udziału, nie będzie tak dalece związana postanowieniami Ligi; a nie trzeba być prorokiem, by przepowiedzieć niechęć armji zachodnich do nowej wojny w celu przeszkodzenia niektórym terytorjom, o których pewni delegaci mogli słyszeć równie mało, jak o Cieszynie, by się stały nanowo częścią składową państwa słowiańskiego. Europa może znowu zmienić oś polityczną, a horyzonty jej znów się zaciemnią. W ten sposób system równowagi, teoretycznie unieważniony za pomocą czternastu punktów, może być nanowo powołany do życia przez szereg zmian ekonomiczno-politycznych, które wywoła zmartwychwstanie Rosji.

Dziesięciolecie jest tylko chwilą w dziejach narodu. W ciągu kilku lat Rosja może być zjednoczona nanowo. Armja, która osiągnie ten cel, może stać się potężnem narzędziem w ręku państwa, które nią kieruje. Siła wojenna, jak wszystko, jest rzeczą względną, a ponieważ armje pozostałej Europy nie będą się rwały do walki na Wschodzie, będą znaczyły o wiele mniej, niż ich liczba, nie będzie więc istotnego niebezpieczeństwa inwazji.

Rosja jest krajem, do którego jest łatwo wejść, ale z którego trudno się wydostać; powodzenie wojenne przeciwko jej wojskom byłoby w rzeczywistości zwycięstwem bez sławy, aneksji, odszkodowań i innych cennych korzyści.

Trudno osądzić, czy wybitni mężowie stanu Konferencji brali te ewentualności całkowicie pod uwagę przed swemi staraniami w kierunku uformowania bezkształtnej Rosji według pojęć wiedzy politycznej, czy etyki międzynarodowej, czy wytłumaczymy ją jako szereg dobrze pomyślanych czynów, wskazanych przez logikę praktyczną chwilowej użyteczności, musimy wyznać, że jej utalentowani twórcy nie mieli jasnego poglądu na zmienne prądy ruchów narodowych i międzynarodowych; faktycznie dotknięci byli ślepotą polityczną i w tych ciężkich okolicznościach robili, co mogli.

ROZDZIAŁ XI.

BOLSZEWIZM.

Co to jest bolszewizm? Termin ogólny, zawierający w sobie szereg rzeczy, mało mających ze sobą nawzajem wspólnego, i zmieniający się zależnie od krajów, w których się zjawia. W Rosji jest to despotyzm zorganizowanej, nieuczciwej grupy ludzi w zdezorganizowanem społeczeństwie. Można go określić również jako szał kilku epileptyków, poruszających się w gromadzie paralityków. Jest to nie tyle doktryna polityczna, czy teorja socjalistyczna, co choroba umysłowa pewnego odłamu społeczeństwa, która nie może być wyleczona bez pozostawienia pewnych trwałych śladów, a może zmiany pewnych funkcyj organicznych dotkniętego nią społeczeństwa. Dla niektórych badaczów, którzy mu się przyglądają zdala, a nie liczą się z jego metodami, podobnie jak krytyk, dający ocenę przedstawienia Hamleta może nie brać pod uwagę roli królewicza duńskiego, jest to modyfikacja teorji Karola Marksa, najnowszy przyczynek do socjologji współczesnej. W Rosji, w każdym razie ogólne warunki społeczeństwa, z którego się wyłonił, dowodzą nie postępu nauki społecznej, lecz choroby fizycznej, której zarodki po stuletnim okresie wylęgania, rozwinęły się ostatecznie podczas wojny. W samym zarodku jest to zjawisko patologiczne.

Cztery i pół lata niebywałej wojny, która doprowadziła do wyczerpania finansowe i ekonomiczne zasoby wojujących państw europejskich, nadwyrężyły równowagę psychiczną szerokich odłamów ich ludności. Ludzie pobudzani głodem i chorobą do czynów bezprawnych, niewstrzymywani hamulcami prawa i zaporami moralności, szli za instynktem samozachowawczym aż do granic zbrodniczego bezprawia. Oswojenie się ze śmiercią i cierpieniem stłumiło strach przed ludzką karą, gdy jednocześnie stępienie poczucia moralnego zrobiło ich niewrażliwymi na mniej bezpośrednie hamulce natury religijnej. Podobne zjawiska towarzyszą często przewlekłym wojnom. Historja przytacza liczne przykłady żołnierzy, wracających do domu,

którzy zwracają broń, przeznaczoną do walki z obcym wrogiem, przeciwko partjom politycznym lub klasom społecznym we własnym kraju. W innych państwach europejskich istniała przez pewien czas tendencja do gwałtownej, głębokiej zmiany, ale ponieważ państwo utrzymało władzę nad armją, skończyło się na tendencji. W Rosji—kraju, gdzie państwo, więcej niż gdzieindziej było sztuczne, źle zrównoważone i w odpowiednim stopniu słabe: losy zapisały krwawą kartę czerwonego i białego teroru w latach 1906—1908. Choć doryczy, niezorganizowany i niedojrzały ten dziki wybuch, zwiastował jednakże grożącą katastrofę i był uznany jako jej zapowiedź przez autora niniejszych szkiców. W ciągu ubiegłej ćwierci wieku przyglądał się on z ciekawością „posiewowi smoczych zębów", z którego miało powstać pewnego dnia pokolenie uzbrojonych i oszalałych ludzi. Niewielu badaczów, nawet w Cesarstwie, oceniało siłę i przewidywało skutki agitacji anarchicznej, która była prowadzona stale, skutecznie, często bezwiednie, w pokoju dziecinnym, w szkole, kościele, uniwersytecie i z wybitnem powodzeniem w wojsku i w marynarce. Błędem jest więc szeroko rozpowszechnionym, że rewolucja rosyjska nie miała okresu przygotowawczego podobnego do okresu encyklopedystów we Francji.

W ostatnich czasach jednak publicyści wpadli w drugą ostateczność i zaczęli twierdzić, że Dostojewskij, Tołstoj, Gorkij, i wielu innych pisarzy rosyjskich byli apostołami zasad, które przyjęły nazwę bolszewizmu i że to właśnie oni przygotowali rewolucję rosyjską, tak jak autorowie „Encyklopedji" przygotowali Rewolucję Francuską. W tej pobieżnej formie twierdzenie to jest błędne. Literatura rosyjska za panowania trzech ostatnich carów, z małemi wyjątkami w rodzaju pism Leskowa, była bezsprzecznie narzędziem, rozpowszechniającem ideje rewolucyjne. Byłoby jednak wielką przesadą chcieć twierdzić, że dążyła świadomie do tej formy anarchji, która jest dziś znana pod nazwą bolszewizmu, lub wogóle do anarchji w jakiejkolwiek bądź formie. Tołstoja i Gorkiego można zaliczyć do poprzedników bolszewizmu, ale Dostojewskij, którego miałem zaszczyt znać osobiście, był jednym z jego najzawziętszych przeciwników. Nietylko walczył z anarchizmem, ale tak samo jak Leskow, był zawziętym wrogiem radykalizmu w polityce i my, jako studenci uniwersytetu, żywiliśmy za to do niego niechęć. W swej mistrzowskiej charakterystyce [1]) grupy „reformatorów", a w szczególności Werchowieńskiego, którego skłonności psychiczne, anarchja umysłowa i zbrodniczość w polityce utożsamiają z grupą bolszewików, przewidział koniec

[1]) W powieści „Biesy".

i śmierć polityczną zgubnych doktryn, które w jego czasach łączono z imieniem Bakunina. W latach 1905—1906, kiedy wybuch konfliktu pomiędzy caratem a rewolucją był jeszcze wątpliwy, hrabia Witte i ja często podziwialiśmy cudowną intuicję wielkiego powieściopisarza, którego galerja portretów w „Biesach" wydała się nam nagle powołaną do życia, konspirującą, strzelającą i rzucającą bomby na ulicach Moskwy, Petersburga, Odessy i Tyflisu. Ziarna rewolucji społecznej, zasiane przez powieściopisarzy, krytyków i fachowych kierowników narodu, zostały przez wojny 1904 i 1914 r. pobudzone do szybkiego kiełkowania.

Jeszcze w r. 1892 w pracy, wydanej pod pseudonimem, autor obecnej książki opisał rozkład caratu i poważył się przepowiedzieć jego szybki upadek [1]). Historyk francuski Michelet pisał z intuicją, zabarwioną nieco przesadą i goryczą: „Siła barbarzyńska, świat, nienawidzący prawa, Rosja wsysa i absorbuje całą truciznę z Europy i oddaje ją w większej ilości i w bardziej intensywnej postaci. Jeżeli uznajemy Rosję, uznajemy cholerę, zniszczenie, śmierć. To oznacza propaganda rosyjska. Wczoraj Rosja mówiła nam: „Ja to chrześcijaństwo". Jutro powie: „Ja to socjalizm". Jestto burząca idea demagogji, pozbawionej myśli, zasady, uczucia, idea narodu, który gotów jest iść na Zachód, jak ślepiec pozbawiony duszy i woli, zabijający bez celu, jakby potworny automat w rodzaju martwego ciała, które jeszcze może dogonić i zabić. Może ona wstrząsnąć Europą i zrosić ją krwią, ale to nie powstrzyma jej od rzucenia się w nicość przepastnej głębi ostatecznego zniszczenia".

Rosja, kierowana wówczas przez zamieszkałych w niej cudzoziemców bez ojczyzny, obracała się stale w kierunku wirów rewolucyjnych o wiele wcześniej, niż wybuchły działania wojenne. Postępy ich były stałe i znaczne Już w r. 1906 hrabia Witte i ja zgadywaliśmy, jaki okres czasu ma jeszcze do przeżycia naród przy równomiernym postępie aż do chwili, kiedy dosięgnie otchłani. Można to było zresztą tylko zgadywać, gdyż rozmaite możliwości, głównie szybkość rozwoju wypadków, mogły zawieść oczekiwania. W rzeczywistości wypadki szły w szybszem tempie, niż przypuszczaliśmy, i wojna światowa wraz z przeraźliwemi towarzyszącemi jej zjawiskami przyśpieszyła katastrofę.

Wypadki zrządziły, że niektóre warstwy narodów Europy środkowej ogarnął również duch rewolucyjny na schyłku wojny światowej. W tym wypadku głód, nędza, choroba i wstrząśnienie moralne były drogami, któremi szedł on w tym kierunku.

---

[1]) *Szkice rosyjskie*, przez E. B. Lanina (Eblanin — od Eblana Dublin).

Ten zbieg okoliczności wydał rezultaty bardziej efektowne, niż poważne. Rządy obydwóch tych wielkich narodów, były przez długi czas ostoją tradycji monarchicznej, dyscypliny wojennej i zasady władzy. Teutonowie stale dążąc do ideału, który leżał na biegunie przeciwległym anarchji, próbowali wszelkiego możliwego sposobu, żeby go zrealizować. Była nim hegemonja w świecie. Dążenie do niej przeistaczało ich, pochłaniało, zamieniało w fanatyków. Kultura teutońska stała się dla nich tem, czem jest islam dla mahometan każdej rasy, nawet kiedy pozbędą się religji. Nie pomijali żadnych środków, nawet niesprawiedliwych, jeżeli wydawało się im, że prowadzą do tego celu. Przestali być ludzkimi, by zmusić Europę do tego, żeby się stała germańską. Poświęcając elementarne zasady moralności na ołtarzu patrjotyzmu, rzucili wszystko na kartę szczęścia wojennego. Była to jakby gra z djabłem o duszę. Jednak wiara tych materjalistów stawała się bohaterską razem z ich ofiarnością. W gorącym porywie ich entuzjazmu twarde fakty konkretne rozwiewały się i bujały, jak złudzenia w otaczającej mgle. Pragnienia ich przybrały kształt wyobrażeń, a obawy rozpraszały się jak ułuda. Spostrzegali tylko to, czego pragnęli, a kiedy wreszcie spadli z zawrotnej wysokości swych zamków na zamgloną ziemię, cały ich świat, epoka i ideał — wszystko uległo wstrząśnieniu. Bezpłodne wyrzuty, bezsilna wściekłość, duchowe i fizyczne wyczerpanie dopełniło ich demoralizacji. Bardziej brutalni i bezwzględni z nich wpadli w szał. Zwróciwszy się z początku przeciwko swym kierownikom, potem wzajemnie przeciwko sobie, rozpoczęli wreszcie dzieło bezwzględnego zniszczenia bez żadnej idei twórczej. W tym okresie starali się podać dłoń swym niespokojnym wschodnim sąsiadom, a wyraz bolszewizm oznaczał wtedy rewolucyjną falę, przepływającą przez niektóre kraje słowiańskie i germańskie. Trwało to jednak krótko. Można utrzymywać stanowczo w formie twierdzenia ogólnego, że to samo przedsięwzięcie, jeżeli przyłożą do ni ego rękę Niemcy i Rosjanie staje się dwoma zupełnie odmiennemi przedsięwzięciami, tak, dalece odmiennemi są wyobrażenia i metody tych dwóch narodów. Niemcy wyłuskali z bolszewizmu prawie doszczętnie jego treść i pozostawili niewiele więcej, ponad pustą skorupę.

Porównania pomiędzy napadami zbiorowego obłędu, które towarzyszyły buntom rosyjskim, z jednej strony, a Rewolucji Francuskiej, z drugiej strony, są bezowocne, a często nawet mylne. Co prawda, z początku te wybuchy obłędu stały się w obydwóch wypadkach gwałtowną reakcją przeciwko nadużyciom które były prawie nie do zniesienia. Jest również faktem że rewolucjoniści czerpali swą nadludzką siłę z faktów histo-

rycznych, które albo ogałacały te nadużycia z opieki świeckiej albo dawały ich ofiarom cudotwórczą wiarę w możność zupełnego ich usunięcia. Lecz pozatem stadjum początkowem podobieństwo znika. Rewolucja Francuska, która zniszczyła feudalizm, jako system, a szlachtę, jako stan uprzywilejowany, szybko przestała działać w sposób niszczący. W późniejszych fazach przybrała charakter twórczy. Przygodnie stworzyła wiele rzeczy pożytecznych w swej treści, jeśli nie pięknych w formie, a od początku przyjęła doktrynę tak starą, jak chrześcijaństwo, choć nową w swem zastosowaniu do dziedziny politycznej. W ten sposób, choć wyrwała znaczną ilość przenicy razem z kąkolem, ogólnym wynikiem jej było przygotowanie gruntu do nowego żniwa. Miała cel wyraźnie społeczny, który został częściowo osiągnięty. Nie należy zapominać, że i w sferze duchowej rozpaliła przemijający wybuch pseudo-religijnego entuzjazmu pośród swych zwolenników, napełniła ich apostolską gorliwością, natchnęła cudownym duchem abnegacji względem samego siebie i pobudziła do sławnych czynów; i siły, które Rewolucja wyzwoliła, zmieniły wiele form świata europejskiego bez przekształcania go według wzorów ideału.

Czy niszcząca zaraza, zwana bolszewizmem, może zapisać na swe dobro choć jedną z tych twórczych cech? Zgodna opinja daje dotychczas stanowczo negatywną odpowiedź. Każdy kraj, przez który się przewinął bolszewizm, jest zawalony gromadą bezkształtnych ruin. Obniżył on wszystkie wartości moralne. Przeszedł, jak orkan, zużywając swe siły na niszczenie. Nawet pobłażliwi badacze z trudnością mogą doszukać się śladów pracy twórczej [1]). Można go upodobnić do tak zwanego opętania przez złego ducha, który zwykł używać ludzi za narzędzia dla słów szalonych i czynów nikczemnych. Bolszewizm działał niezmiennie jako gwałtowny środek, niszczący organizm społeczny. Bezwątpienia społeczeństwo europejskie w r. 1917 potrzebowało oczyszczenia za pomocą silnie działających środków, ale tylko fanatyk powiedziałby, że zasługiwało na unicestwienie.

Twierdzono z rozmaitych stron, że polityczny zaczyn z tych fermentów niszczących Europy Wschodniej i Centralnej był zdrowy. Mówiono, że Słowianie i Niemcy, dotknięci bankructwem ich systemów politycznych, postanowili zmienić je na podstawie głosowania powszechnego i jego wyników, ale zaszli dalej, niż mieli zamiar. Ten łagodny sąd jest oparty na bar-

[1]) Pomiędzy dziełami jego wymienione są reformy wychowawcze, przypisywane Łunaczarskiemu. Trzeba przyznać mu, że starał się rozpowszechniać nauczanie początkowe. Ale ta praca, oraz pomoc i zachęta, którą dawał niewątpliwie naukom i sztukom, wyczerpuje, zdaje się, listę pozycyj, które można zapisać na dobro ustroju bolszewickiego.

dzo stronnym poglądzie na rzeczy. Udoskonalenie, o którem mowa, było pracą nie bolszewików, ale ich przeciwników, umiarkowanych zwolenników reform. A ich dążenia polityczne nie miały organicznego związku z doktryną, która wykwitnęła z najniższych głębi, w jakie staczali się mściwi parjasi, wyrzutki społeczeństwa, ciemni nihiliści, zanim poczęli się dusić w bagnie anarchji. Nie można znaleźć ani cienia pokrewieństwa pomiędzy spartakowcami w rodzaju Eichorna a Leninem i umiarkowanymi zwolennikami reform, których reprezentantami są, naprzykład, Teodor Wolff i Borys Sawinkow. Te dwie pary są od siebie odległe w tym samym stopniu, jak społeczny i antyspołeczny instynkt. Jedni są brutalnymi burzycielami, drudzy pseudo-budowniczymi świata. To, że rosyjscy, a nawet niemieccy zwolennicy reform konstytucyjnych mieli złudzenie, że wówczas gdy zapadają się trony, a całokształt życia ulega gwałtownym wstrząśnieniom, kilka zmian w prawie wyborczem może przywrócić porządek i normalne warunki wśród ginących narodów, jest pouczającym przykładem osłabienia wzroku, tak charakterystycznego dla współczesnych mężów stanu.

Delegaci anglosascy na Konferencji ulegli podobnemu złudzeniu, skoro zapragnęli odrodzić świat szeregiem zmian politycznych.

Każdy, kto śledził uważnie pracę twórców konstytucji w Weimarze, musiał spostrzec ich gotowość przyjęcia i przyswojenia sobie pozytywnych elementów ruchu, który był w swojej istocie rozkładowym. W tym względzie wykazali znaczny stopień pojętności i umiejętności przyswajania. Byli żądni każdego zasiłku, zebranego z jakiegokolwiek źródła dla dobra odbudowy narodowej i zdawało się, że nawet w steutonizowanym bolszewizmie znajdowali pożyteczne wskazówkl dla współczesnych inowacyj.

Można śmiało wygłosić przepowiednię, że przystosowania, choć mogą się nie podobać, z pewnością rozpowszechnią się wśród narodów Zachodu, które zostaną wreszcie zmuszone do ich przyjęcia, i Niemcy mogą skończyć na tem, że się staną kierownikiem ekonomicznym Europy demokratycznej. Gdyby mężowie stanu Ententy liczyli się bardziej z prawem wymiany polityczno-społecznej i asymilacji, które leży na dnie tego zjawiska, pragnęliby może mniej gorąco widzieć organizm niemiecki, zarażony zarodkami zniszczenia. Co dziś Niemcy czerpią z bolszewizmu, jutro Europa Zachodnia będzie czerpała z Niemiec. A przedewszystkiem pomiędzy nowemi instytucjami, które rewolucja narzuci Europie, będzie instytucja sowietów, choć znacznie zmienionych w formie i ograniczonych w działaniu.

„W samem założeniu systemu sowietów", pisze najbardziej wpływowy organ żydowsko-niemiecki w Europie, „jest napewno coś, co zasługuje na zastosowanie, a więc należy. nam z tem się zapoznać. Psychologicznie polega to na odczuwanej przez pracującego człowieka potrzebie stania się czemś więcej, niż kółkiem w mechanizmie przemysłowym. Pierwszym krokiem jest oddanie komitetom robotniczym funkcyj prawnych, zgodnych z wymaganiami dzisiejszych czasów. Te funkcje rozszerzyłyby się daleko poza te, które pełniły dotychczas komitety robotnicze. Jak daleko mogą one zajść, bez uniemożliwienia przedsięwzięcia przemysłowego, jest to kwestją do zbadania... Nie jest to życzeniem żywiołów skrajnych; jest to wymaganiem psychologicznem i dlatego musi być ustanowiony ścisły związek pomiędzy prawodawstwem a życiem praktycznem, które, niestety, ma się stać tak skomplikowane. I potrzeba ta nie jest ograniczona do klasy robotniczej Dlatego to, co jest dobrem dla jednej, odpowiada też drugiej" [1]).

System sowietów przystosowany do życia współczesnego jest jednym,—prawdopodobnie jedynym—darem, który nowa epoka odziedziczy po bolszewizmie.

Podczas Konferencji Pokojowej bolszewizm grał znaczną rolę w sprawach świata. Niektórzy z wybitnych prawodawców bali się go, jak djabła; drudzy walczyli nim, jak bronią; inni używali go, jako pogróżki. Jeżeli kiedykolwiek jakiś delegat jednego z państw mniejszych czuł, że traci grunt pod nogami przy stole obrad pokojowych i że żądania kraju jego mają być okrojone, jako nadmierne, zaczynał wskazywać znacząco na pewne objawy, grożące jego ojczyznie wybuchem bolszewizmu, i określał je, jako nieuniknione skutki rozczarowania narodu. Dlatego przedstawiciel prawie każdego państwa, który miał program terytorjalny, oświadczał, że program musi być wprowadzony w życie, jeśli się pragnie uniknąć bolszewizmu. „To, albo bolszewizm" było zakończeniem exposé niejednego z delegatów. Groźniejszą, niż niezadowolenie polityczne, była działalność agitacyjna kierowników ruchu w Rosji.

Z dwóch filarów bolszewizmu jeden jest rosjaninem, drugi — żydem, pierwszy Uljanow (znany jako Lenin) to mózg; drugi Braunstein (zwany Trockim) to ramię sekty. Trocki jest bezwzględnym despotą, w którego żyłach płynie jad nienawiści. Okrucieństwo jest jego żywiołem, talentem—zdolności organizacyjne. Lenin jest utopistą, którego fanatyzm, choć rozległy, ma jasno określone granice. W pewnych kwestjach różni się głęboko z Trockim. Przypomina jakby proroka, który ze-

[1]) *Frankfurter Zeitung*, 28 lutego 1919 r.

brał naokoło siebie gromadę prawdziwych uczniów. Można go przyrównać do papieża z kolegjum międzynarodowych kardynałów. Ma on zwolenników wśród Francuzów, Anglików, Niemców, Austrjaków, Czechów, Włochów, Duńczyków, Szwedów, Japończyków, Indusów, Chińczyków, Burjatów i wielu innych, którzy kierują oddziałami agitacyjnemi, służącemi do rozpowszechniania ewangelji bolszewickiej po całej kuli ziemskiej i gorliwie pracującemi nad spełnianiem swych obowiązków. Jednak Lenin, niezadowolony z osiągniętych dotąd powodzeń, stale pobudza swych uczniów do bardziej wytężonego działania. Podziela on z innymi twórcami sekt, którzy odegrali rolę w historji świata, tę nieokreśloną właściwość pobudzania wrażliwości uczuciowej, jaka czyni zbliżających się do niego bardziej przystępnymi dla tych idej, które w pierwszej chwili budziły w nich odrazę. Mówią o Leninie, że nawrócił kilku swych przeciwników z Zachodu.

Delegaci w ciągu pierwszych czterech miesięcy zbliżali się do bolszewizmu z jednej strony, nie licząc się z wypadkami, które wywoływał, ani ze zmianami, którym ulegał. Brali go tylko ze strony jego przygodnego oddziaływania na jedyny cel, o który im chodziło, mianowicie o tymczasową i formalną reorganizację Europy, jaką mogli przedłożyć swym parlamentom, jako udane dzieło. Nie obchodziła ich tymczasem właściwa istota bolszewizmu, jego różnorodne skutki, dążenia do zmian w dziedzinie społecznej, politycznej i narodowej. Nie licząc się w najmniejszym stopniu z żadnym z tych względów, gotowi byli znaleźć dla niego miejsce w nowym systemie państwowym, którym mieli nadzieję świat obdarzyć. Niejednokrotnie byli skłonni do oficjalnego uznania go. Bez żadnych prób i badań ci empirycy, napotkawszy na swej drodze bolszewizm i nie rozporządzając łatwemi sposobami do usunięcia go lub przekształcenia, wyrazili gotowość uznania go na przystępnych warunkach i wcielenia, jako jednego ze składników, do nowego ustroju. Z popełnianemi na jego rachunek zbrodniami gotowi byli się nie liczyć. Barbarzyńskie metody, którym zawdzięczał samo istnienie swoje, gotowi byli oddać zapomnieniu. Tylko przypadek przeszkodził temu ucieleśnieniu despotyzmu, że się nie stało jednym z uznanych sposobów oddalenia świata od demokracji.

Politycy, stojący poza Konferencją, wnikając w sprawę głębiej, badali, czy było jakie ziarno słuszności w doktrynach Lenina lub korzyści społecznej czy politycznej w praktykach Braunsteina; lecz wnioski, do których doszli, były negatywne [1]).

[1]) Krótkie, ale interesujące studjum o tej kwestji zjawiło się w *Handelszeitung*, dodatku do *Berliner Tageblatt*, z 20 lipca 1918 r., podpisane przez dr. Feliksa Pinnera.

Lecz badania natury teoretycznej nie budziły zainteresowania wśród empiryków Rady Najwyższej. Dla nich bolszewizm nie oznaczał nic więcej, jak tylko grupę polityków, mniejsza o to z dodatnim czy ujemnym kierunkiem, ale w każdym razie reprezentujących masę narodu rosyjskiego, którzy zjednani i zebrani pod płaszczem Konferencji, mogliby ułatwić jej zadanie i świadczyć o jej triumfie. Ten wniosek wyprowadzony przez badawczych obserwatorów wielu krajów i partyj potwierdzają ciekawe ustępstwa i niedojrzałe czyny głównych delegatów. W swych łagodniejszych przejawach ze strony społecznej bolszewizm rosyjski przypomina komunizm i może być określony jako rewolucja społeczna, osiągnięta przez pozbawienie jednego odłamu narodu — klasy kierowniczej i inteligentnej — władzy, własności i praw cywilnych, oraz postawienie na jej miejsce innego, mniej uzdolnionego odłamu, i utrzymanie tej ciężkiej budowy za pomocą bezlitosnie stosowanej siły. Choć zmiana ta niewątpliwie sięga daleko, nie ma związku z marksizmem i podobnemi teorjami. Bezpośrednie przyczyny jej były liczne, jak naprzykład, upadek despotycznego systemu panowania, stan obdłużenia tak wielkiego, że pochłonęło ono całkowicie kapitał prywatny, deprecjacja pieniądza i odpowiednie do niej podwyższenie wartości pracy. Niewątpliwie podniesienie kosztów produkcji i chwilowa zamiana jednej klasy przez drugą określają rozmiary, do których siły polityczne zrewolucjonizowały budowę społeczną. Nie poszły one poza te granice. W wielu krajach i w Rosji było rozpowszechnione przekonanie, że rewolucja polityczna wprowadzi głęboko sięgające i trwałe zmiany w siłach rozwoju społecznego. Podzielał je Lenin, fanatyk w rodzaju Robespierre'a, ale o wiele przewyższający Robespierre'a siłą woli, przenikliwością, pomysłowością i szczerością, który, chwyciwszy ster władzy, wziął się do robienia eksperymentów.

Nie jest rzeczą łatwą zbadać politykę ekonomiczną Lenina z powodu mglistej zasłony, okrywającej współczesną historję rosyjską. Źródła nasze ograniczają się do mało wiarogodnych twierdzeń cenzurowanej prasy i opowiadań podróżników.

Wiadomem jest tylko powszechnie, że dyktator bolszewicki zarekwirował i „znacjonalizował" banki, zagarnął fabryki, warsztaty i narzędzia od właścicieli i oddał je robotnikom, odebrał właścicielom ziemskim ich majątki i pozwolił chłopom przywłaszczyć je sobie. Doświadczenie to jest najbardziej interesujące w dziedzinie przemysłu, wykazuje bowiem wartość praktyczną marksizmu, jako polityki, i zdolność bolszewików do rozwiązania zawiłych zagadnień społecznych. Historyczny dekret wydany przez rząd moskiewski w sprawie nacjonalizacji przemysłu zawiera dane, pozwalające stwierdzić, że Lenin sam uważał teorję Marksa za niemożliwą do zastosowania nawet w Rosji

i pozostawił ją tam, gdzie znalazł, pomiędzy ideałami najodleglejszej przyszłości. Dekret nakazywał stopniową nacjonalizację wszystkich fabryk prywatnych z kapitałem, nie mniejszym niż miljon rubli, ale zezwalał właścicielom na bezpłatne korzystanie z nich pod warunkiem, że będą je finansowali i prowadzili, jak poprzednio. A więc chociaż w teorji przedsiębiorstwo przechodziło na rzecz państwa, w rzeczywistości kapitalista zatrzymywał swe miejsce i zyski, jak przy dawnym ustroju. W ten sposób główne cele socjalizmu, do których należy rozdział zysków przedsiębiorstwa pomiędzy gminę i zatrzymanie pewnej nadwyżki dla państwa, pozostawały nie osiągnięte. W sposobie działania bolszewików państwo jest całkowicie usunięte poza podtrzymywaniem pewnej fikcji. Nie dostaje niczego od kapitalisty, nawet apanaży.

Słowianin jest marzycielem, którego poczucie rzeczywistości jest często pełne błędów. Gubi się on w mętnych ogólnikach i niedołężnych abstrakcjach. W ten sposób przed otwarciem szkoły będzie rozsnuwał teorję powszechnego nauczania, a potem lamentował nad swym brakiem środków do jej urzeczywistnienia.

Wprawdzie wielu kierowników tej sekty, — gdyż jest to niewątpliwie sekta, jeśli nie zbrodniczy spisek, a bardzo często — jedno i drugie — nie są Słowianami tylko żydami, którzy dla dobra swych współwyznawców odrzucili swe żydowskie nazwiska i przyjęli zamiast nich dźwięczne słowiańskie pseudonimy. Byli to najnieuczciwsi defraudanci niezdolni do zainteresowania się naukową stroną kwestji, otumanieni marzeniami o zyskach, do jakich nadarzała się sposobność. Trzeba tylko sobie przypomnieć brudne tranzakcje, w których grał czynną rolę dyktator semicki Węgier Kuhn, czy Cohen i Braunstein (Trocki) z Piotrogrodu. Ten pierwszy miał podobno zaofiarować na sprzedaż antykwarjuszowi z Monachium[1]) historyczną koronę węgierską św. Szczepana, która dla niego była zwykłą złotą czapką, ozdobioną drogiemi kamieniami i brylantowym krzyżem, a twierdząc uroczyście, że żyje tylko dla republiki sowieckiej i gotów jest za nią umrzeć, przeszmuglował z Węgier do Szwajcarji za pięćdziesiąt miljonów koron obligacyj, trzydzieści pięć kilogramów złota i trzydzieści pełnych skrzyń, przedmiotów wartościowych[2]). Grabież jego towarzysza Szamuelly'ego przeszła do historji.

Dla podobnych awanturników nauka nie jest towarem wartościowym. Są oni istotami pierwotnemi, wrażliwemi głównie na kon-

[1]) *Der Tag*, Wiedeń, 12 sierpnia 1919 r.; *Echo de Paris*, 15 sierpnia 1919 r.

[2]) *Bonsoir*, 29 lipca 1919 r. Cena nie była oznaczona, ale określono minimum; *wynosiło* ono 100,000 koron.

kretne pobudki najniższej kategorji. Zwolennicy Lenina byli ludźmi odmiennego typu. Wielu z nich wyobrażało sobie, że po wielkim przewrocie politycznym nastąpi nieodwołalnie równie wielkie i zbawienne odrodzenie społeczne. Przewidywania tego nie stwierdziły wypadki.

Ci fanatycy wpadli w inny błąd: zależało im na pośpiechu i pragnęliby wywołać wielką zmianę kiwnięciem laseczki czarodziejskiej. Zniecierpliwieni powolnem działaniem, wyrzekli się przejścia całej przestrzeni od punktu wyjścia aż do celu i chcąc wznieść niezwłocznie nową budowę społeczną, poczęli usuwać wszelkie przeszkody, nie bacząc na mogące wyniknąć stąd skutki.

W tym duchu absolutyzmu znieśli pożyczkę narodową, odrzucili pretensje wierzycieli Rosji do kapitału i procentu i oddali sklepy i fabryki urzędom pracy. Było to pierwsze głupstwo, które wspomniany wyżej dekret zamierzał poprawić; lecz było już zapóźno. Równowaga sił produkcji była ostatecznie zachwiana i nie mogła być wyrównana.

Jednym z zasadniczych postulatów korzystnej produkcji jest równowaga jej głównych czynników — jak płaca robotnika, koszt maszyn i materjału, administracja. Jeżeli wprowadzimy rozdźwięk w tę harmojnę — cała maszyna staje.

Robotnik rosyjski, który jest przeważnie chłopem - analfabetą z resztkami dawnego niewolnictwa, rzadko ma współczucie dla sąsiada, a żadnego — dla swego chlebodawcy. „Sam Bóg każe nam odbierać dobra panom — było to jedno z jego orzeczeń. Śpieszy się, by się wzbogacić, i nie dba o nic więcej; nie może zrozumieć, że obrabować sąsiadów — jest to samo, co zubożyć samego siebie. Dlatego bierze tylko, a nic nie daje; jako rolnik niszczy lasy, ścinając drzewa i nie sadząc nowych na ich miejsce, i wyzyskuje ziemię, nie dbając o jej żywienie. W podobny sposób zapragnął postąpić i z fabrykami, żądając ogromnych płac, które pochłaniają cały zysk i naiwnie spodziewając się, że właściciel zapłaci mu, jak gdyby był rozdawcą funduszu dla wzbogacenia chciwych.

Jedyną warstwą, która miała korzyści, zresztą przemijające, z tego systemu, byli pracujący fizycznie. Zdolni, inteligentni i wykształceni rzemieślnicy ulegali takiej samej pogardzie i ostracyzmowi albo byli zabijani, jak znienawidzona arystokracja. Jestto, jak słusznie zaznaczono [1]), bardzo dalekie od zasad Marksa. Doktryna Marksa pragnie udziału pracowników inteligentnych w rewolucji społecznej, gdy tymczasem eksperymentatorzy rosyjscy zaliczyli ich do tej samej kategorji,

[1]) Przez dr. F. Pinnera, H. Vorsta i innych.

co kapitalistów i arystokratów, i traktowali ich w podobny sposób. Inny postulat marksowski nierozumiany w Rosji żąda, by przed skutecznem dążeniem w kierunku nacjonalizacji kraj posiadał dobrze zorganizowany i sprawnie działający mechanizm przemysłowy. To zaś było możliwe jedynie w krajach, gdzie kapitalizm rozwijał się długo i z powodzeniem, nie zaś w wielkiem państwie słowiańskiem, złożonem z rolników.

Dekret Lenina, schlebiając tym niedorzecznościom, określił je jako środki tymczasowe i postawił sobie za cel przez stopniowy rozwój doprowadzić Rosję do wielkiej zmiany. Wrażenie wszakże, wywołane przez społeczną stronę działalności Lenina, było takie, że ona jest marksizmem, w taki sposób przez niego zrozumianym, czy też przetłumaczonym i przekręconym przez jego zwolenników; i w takiej formie wypróbowany, został uznany za niemożliwy po urzeczywistnienia. Można również stwierdzić, że ani utopiści, wiedzeni źle kierowanem dążeniem do poprawy stosunków społecznych, ani teoretycy, wyglądający nieustannie nowych, pobudzających idej, nie znajdowali w bolszewizmie rosyjskim innej strony, poza wyżej wspomnianą, któraby zasługiwała na ich poważne względy.

O wiele głębszy ślad pozostawiły w historji stulecia metody bolszewizmu.

W porównaniu z przerażającemi okropnościami, które się rozgrywały podczas bolszewickiego napadu szaleństwa, najgorsze okrucieństwa Rewolucji Francuskiej były tylko kaprysami litościwych istot ludzkich. W Rosji bolszewickiej okrucieństwo przybrało formy tak potworne, że współczesny człowiek Zachodu wzdryga się przed wytworzeniem sobie nikłego ich obrazu w swej wyobraźni. Dziesiątki, może setki tysięcy były uśmiercane w piekielny sposób na rozkazy mężczyzn i kobiet. Wyłupiano oczy, obcinano uszy, odrywano ręce i nogi w obecności żon i dzieci ofiar, które musiały patrzeć na to, czekając swej kolei. Mężczyzni, kobiety i dzieci byli żywcem paleni. Najmowano specjalnie katów Chińczyków dla wykonania strasznej tortury, zwanej „tysiącem kawałków“ [1]). Oficerom łamano członki i pozwalano godzinami konać. Liczne ofiary pogrzebano żywcem. Historja od najwcześniejszego świtu do dzisiejszych dni nie zanotowała nic równie głęboko oburzającego,

[1]) Skazaniec zostaje przywiązany do słupa lub krzyża, zatykają mu usta i egzekucja trwa kilka godzin. Zaczyna się zwykle od cięcia na czole i obdarcia skóry z twarzy w kierunku podbródka. Po pewnym czasie obcina się nos. Po przerwie obrzyna się ucho i w ten sposób idzie dalej djabelska praca, przerywana pauzami. Talent kata polega na przedłużaniu czasu, podczas którego ofiara pozostaje przy zmysłach.

jak niezliczone, niemożliwe do nazwania okrucieństwa, które roztaczali naokoło siebie ci wrogowie rodu ludzkiego. Pewien ponury obraz—jedna z mniej potwornych scen, które się rozegrały — będzie żył w historji narówni z topieliskami ludzi żywych w Nantes. Widziałem kilka przejmujących opisów jego w pismach rosyjskich. Następujące sprawozdanie jest pióra francuskiego oficera marynarki:

„Mamy dwa pancerne krążowniki pod Odessą. Parę tygodni temu, jeden z nich, chcąc zrobić wywiad, spuścił nurka. Po paru minutach usłyszano dzwonek alarmowy. Wyciągnięto go i rozebrano pośpiesznie. Nurek zemdlał. Kiedy przyszedł do siebie, dygotał, dzwonił zębami i jedyne artykułowane dźwięki, które można było od niego usłyszeć, były słowa: „To straszne, to okropne!“ Spuszczono drugiego nurka z tym samym rezultatem. Wreszcie wybrano trzeciego, tym razem silnego chłopca o żelaznych nerwach i spuszczono go na dno morza. Po upływie kilku minut zdarzyło się to samo i wciągnięto go z powrotem na statek tym razem już nie omdlałego. Przeciwnie, choć blady z przerażenia mógł opowiedzieć, że znalazł dno morskie zapełnione ciałami ludzkiemi, stojącemi prosto; ruch wody, jeszcze dosyć silny w tem płytkiem miejscu kołysał niemi łagodnie, tak, jak gdyby były potwornemi wodorostami, włosy ich stały prosto, ramiona były wzniesione ku powierzchni... Wszystkie te trupy, przybite do dna kamieniami, miały pozory straszliwego życia, przypominając jakby las drzew, poruszanych wiatrem i witających chętnie pomiędzy sobą nurka... Mówił, że byli między niemi starcy, niezliczone ilości dzieci, można ich było przyrównać tylko do drzew w lesie“ [1]).

Z ogłaszanych sprawozdań wiadomo, że zbóje bolszewiccy, znudzeni używaniem karabinu, mitraljezy, sznura i bagnetu, ułatwiali sobie zadanie, topiąc swoje ofiary setkami w morzu Czarnem, zatoce Finlandzkiej i wielkich rzekach. Te miejsca spoczynku wielu najszlachetniejszych synów i córek Rosji nazwano cmentarzami podwodnemi [2]). Te czyny rozpasanego niszczenia i wstrząsającego okrucieństwa, ściśle związane z bolszewizmem, nie znajdują podobnych sobie w Rewolucji Francuskiej; jedynie historja Chin, daje nam uderzające i ciekawe przykłady, przypominające system leninowski [3]). Około połowy

[1]) *Le Figaro*, 18 lutego 1919 r.

[2]) Nie chcę twierdzić, że zbrodnie te były popełniane z rozkazu Lenina. Ale nie można zaprzeczyć, że ani on, ani jego towarzysze nie karali masowych morderców, ani nawet protestowali przeciwko ich zbrodniom. Nie można twierdzić również, że morderstwa były ograniczone do jakiejkolwiek jednej partji.

[3]) Ten ruch przed-bolszewicki jest opisany w ciekawem studjum o ruchu socjalistycznym i programach aż do roku 1848 przez El. Luzatto. Por. *Der Bund*, 16 sierpnia 1918 r.

dziesiątego stulecia, kiedy cesarstwo było pogrążone w odmęcie bezładu, powstała sekta mistyczna w celu niszczenia siłą każdego śladu tradycyjnego porządku społecznego i wprowadzenia systemu zupełnej równości bez żadnej organizacji państwa, na sposób Lwa Tołstoja. Niektóre z twierdzeń tych sekciarzy miały zabarwienie wyraźnie bolszewickie. Naprzykład: „społeczeństwo opiera się na prawie, własności, religji i sile. Ale prawo jest niesprawiedliwością i szykaną, własność jest grabieżą i rabunkiem, religja jest kłamstwem, a siła — niesprawiedliwością". W tamtych czasach chińskie partje polityczne walczyły wzajemnie ze sobą, i żadna z nich nie gardziła środkami nawet brutalnemi, by zaszkodzić swym przeciwnikom, ale przez długi czas były podzielone i nie miały zdolnego kierownika.

Wreszcie partja socjalistyczna wydała nieoczekiwanie leadera Wang Ngan Shena, człowieka wybitnego, który posiadał dar pociągania za sobą mas i kierowania niemi. Miły z wyglądu, był pomysłowy i nie miał żadnych skrupułów; wkrótce stał się popularny, a nawet pozyskał sobie cesarza Shen Tsung'a, który go mianował ministrem. Wtedy wziął się do stosowania swych zasad i realizowauia marzeń. Wang Ngan Shen zaczął od zmonopolizowania handlu i przemysłu przez państwo, tak, jak to zrobił Lenin. „Żeby uchronić ubogich od pożarcia przez bogatych", jak tłumaczył. Państwo było ogłoszone za jedynego właściciela wszystkich bogactw ziemi; dozorcy rolni zostali rozesłani do wszystkich okręgów, by dzielić ziemię pomiędzy włościan, każdy z nich zaś dostawał tyle, ile mógł uprawić z pomocą swej rodziny. Chłop dostawał również nasiona, ale był obowiązany zwrócić je państwu po zebraniu plonu. Władza dozorcy szła dalej; określał, jakie zboże rolnik ma siać, i oznaczał z dnia na dzień ceny wszystkich towarów, które były do sprzedania w danym okręgu. Ponieważ państwo zachowywało sobie prawo wykupienia wszystkich produktów rolnych, było obowiązane wzamian za to oszczędzić część zysków na korzyść ludu w latach nieurodzaju, również i w innych czasach, do użycia, kiedy będzie niezbędne dla gminy. Wang Ngan Shen postanowił, że tylko bogaci mają płacić podatki, które miały być używane na zapomogi dla ubogich, starców i pozbawionych pracy. Teorja była łagodna i pociągająca.

W ciągu przeszło trzydziestu lat prawa te utrzymały się, przynajmniej na papierze. W jakim stopniu zostały wcielone w życie niewiadomo. Prawdopodobnie zaczęto je stosować podczas urzędowania Wanga; zamęt był jeszcze silniejszy, niż poprzednio, a nędza — większa i bardziej powszechna. Opozycja przeciwko temu ustrojowi rosła, rozszerzała się i wreszcie osiągnęła przewagę. Wang Ngan Shen został wygnany razem

z garstką zwolenników, którzy nie chcieli się poddać powracającemu do swych praw dawnemu systemowi rządów. Taki był, zdaje się, pierwszy występ bolszewizmu, jaki zanotowała historja.

Innem, nieco mniej kompletnem zjawiskiem, równoległem nie do teorji bolszewickiej, lecz do ruiny kraju, którą spowodował bolszewizm, jest bunt chiński, zorganizowany w r. 1850 przez chłopa, [1]) który, przyjąwszy chrześcijaństwo, wyobraził sobie, że Bóg go powołał do odrodzenia jego narodu. Zebrał dookoła siebie gromadę dzielnych ludzi, których zfanatyzował, wyćwiczył, i utworzył z nich jądro silnej armji, do której przyłączyli się później rozbójnicy, malkontenci i wyrzutki społeczeństwa z rozmaitych sfer. Ludzie ci wpadli do doliny Yangtse, zrabowali dwanaście najbogatszych prowincyj, zagarnęli sześćset miast i miasteczek i w ciągu dwunastu lat ogniem, mieczem i głodem uśmiercili dwadzieścia miljonów ludzi [2]). Tę krwawą ekspedycję Hung Sew Tseuen'a mistrz współczesnego eufemizmu, nazwał „Krucjatą Wielkiego Pokoju". Krucjata trwała dwanaście lat i mogłaby trwać o wiele dłużej, gdyby nie pomoc dana z zewnątrz. Wtedy zdobył swe wawrzyny „Chiński" Gordon i dokonał zbawiennego dzieła.

Mieliśmy na Konferencji polityków, którzy uważali, że Rosji, będącej w położeniu podobnem do położenia Chin w roku 1854, powinny pomóc wielkie mocarstwa. Tłumaczyli oni, że byłoby to w interesie tak Europy, jak i Rosji. Ale choć argumenty ich były przekonywające, napotykały nieprzezwyciężone przeszkody w obawie kierowników głównych rządów, żeby skrajne partje opozycyjne nie wystąpiły z radykalnym protestem i nie zmusiły ich do zrzeczenia się urzędów. Powoływali się na dobro sprawy, której byli przedstawicielami i dlatego nie chcieli się narażać na podobne ryzyko. Utrzymywano gorąco i nie bez słuszności, że gdyby wielkie mocarstwa interwenjowały od początku, mogłyby stosunkowo nieznacznemi siłami zgnieść bolszewizm i wprowadzić nanowo ład w Rosji. Z drugiej strony twierdzono, że najcięższe armaty nie są w stanie zabić idej, a główne ideje, które wywołały ruch rewolucyjny z taką siłą, są zbyt głęboko zakorzenione, by mogły być wyrwane nawet za pomocą najpotężniejszej armji cudzoziemskiej. Jestto słuszne. Lecz te ideje nie są właściwością wyłącznie bolszewizmu. Przeciwnie, są one z nim nie do pogodzenia: oddanie ziemi chłopom, sprawiedliwa reforma stosunku pomiędzy robotnikiem a pracodawcą, zniesienie zasady dziedziczenia, która daje nie-

[1]) Hung Sew Tseuen. Bunt trwał od r. 1850 do 1864.

[2]) Wtedy zostało zniszczone wspaniałe miasto Nankin z jego świątyniami i porcelanowemi wieżami.

sprawiedliwe przywileje jednostce lub klasie—nie są to z pewnością postulaty partji Lenina. Chwilowa pomoc wojenna mogłaby umożliwić konstrukcyjnym żywiołom w Rosji doprowadzić położenie do normalnego stanu, ale kierownicy rządów, którzy podjęli się tworzenia praw dla świata, nie myśleli nigdy o tem, żeby coś zrobić w porę. Nieznaną im była zasada, że mąż stanu, stosując swe środki, powinien nie spuszczać oczu z zegara, gdyż lekarstwo, które w pewnej chwili może uratować naród, w następnej może przyczynić się do jego zguby.

Środki i przeciwśrodki, do których uciekała się Konferencja w objawach swej walki z bolszewizmem, zawierały w sobie wiele niespodzianek dla wszystkich zainteresowanych i od czasu do czasu zakrawały na komedję, chociaż taka lekkomyślność i ignorancja ze strony delegatów pociągała za sobą śmierć i gorzej niż śmierć dziesiątków tysięcy ich protegowanych. W Rosji agenci ich gorliwie podniecali miłującą ład ludność, by powstała przeciwko bolszewikom i zaatakowała ich mocne pozycje i obiecywali im w razie powodzenia niezwłoczną pomoc wojenną. Kiedy wszakże wystąpienia dochodziły do skutku i pytano agentów, kiedy można oczekiwać obcych posiłków, ci w odpowiedzi nawoływali do cierpliwości. Po pewnym czasie bolszewicy napadali na chwilowych zwycięzców, zwykle pokonywali ich i skazywali na śmierć masy bezbronnych ludzi. Pożałowania godne wydarzenia podobne, które miały miejsce niejednokrotnie w ciągu wiosny 1919 r., poderwały zaufanie do aljantów i nieciły uczucie rozgoryczenia wśród wszystkich klas społeczeństwa rosyjskiego.

ROZDZIAŁ XII.

JAK POPARTO BOLSZEWIZM.

ALJANCI mogli byli rozwiązać kwestję bolszewizmu, zdecydowawszy się na jeden z dwóch rodzajów polityki — na wojnę przeciwko niemu, albo na tolerancję wobec niego i podjęcie odpowiednich kroków w stosownej chwili. Gdyby wzięli się zręcznie do rozplątania zamętu rosyjskiego i małą ofiarą, zrobioną w porę, opłacili wielką, mogliby byli zebrać obfite żniwo. Niestety, należeli do kategorji ludzi niezdecydowanych, którzy walczą nieustannie z brakiem wyrazu pośredniego pomiędzy tak i nie, by móc określić coś, co nie jest ani pozytywne, ani negatywne. Stracili odpowiednią chwilę. Nietylko wstrzymali chwilowo pomoc dla każdej ze stron, ale zastosowali wobec niektórych najbardziej lojalnych Rosjan w Europie Zachodniej prawa przymusowe w całej ich surowości. Szczuto na nich, jak na wrogów. Zamykano ich w klatki, jak gdyby byli wrogami — Teutonami. Otaczano ich drutem kolczastym. Wielu z nich było trzymanych o głodzie, pozbawionych całemi dniami środków, niezbędnych do życia, a w niektórych wypadkach niezadowoleni — a któż na ich miejscu nie byłby niezadowolonym? — byli zmuszeni szukać sobie pożywienia na śmietnikach, wśród śmieci i odpadków. Widziałem oficerów i żołnierzy we Francji, którzy z radością przelewali krew dla sprawy Ententy, a powoli skłaniali się ku bolszewizmowi wskutek prześladowań władz sprzymierzonych. W czyim interesie? Z jakim pożytkiem?

Przyglądałem się rozwojowi anty-ententyzmu wśród Rosjan z bolesnem zainteresowaniem i w okolicznościach pomyślnych dla obserwacji, i twierdzę bez wahania, że nienawiść do aljantów płonie równie silnie i gorąco wśród anty-bolszewików, jak i wśród ich przeciwników. — „Moja ojczyzna jest cała wrogo usposobiona dla swych byłych sprzymierzeńców" — mówił pewien wybitny Rosjanin, — „gdyż z chwilą, gdy oddała im nieocenione usługi kosztem własnej egzystencji politycznej, odwrócili się do niej plecami, jak gdyby ciężka jej klęska nie

obchodziła ich wcale. Dziś naród rozpadł się na części. Niezgoda i spory rozdarły go na strzępy; lecz pod jednym względem Rosja jest jeszcze zjednoczona: w zawziętości swych uczuć dla aljantów, którzy wytoczyli z niej krew, a potem pozostawili jej ciało na pastwę ptakom drapieżnym. Cząstka nienawiści mogłaby być ułagodzona, gdyby przedstawiciele rosyjskiego rządu tymczasowego zostali dopuszczeni na Konferencję. Prawdziwy mąż stanu postarałby się o otwarcie przynajmniej tej małej klapy bezpieczeństwa. Pomogłoby to, a nie wyrządziło szkody aljantom. Przywiązałoby do nich Rosjan, gdyż delegaci Rosji, wyznaczeni przez Kołczaka i jego towarzyszów, byliby przedstawicielami bezbronnego kraju, zawieszonego pomiędzy życiem a śmiercią. Mogliby i byliby poszli daleko w kierunku pogodzenia się z dyktatorami świata, i powstrzymaliby się może od stawiania niezłomnego oporu najprzykrzejszym dla nich decyzjom; zgoda zaś ich, choć prowizoryczna, mogłaby uwolnić aljantów od znacznej części ciężaru odpowiedzialności. Związałoby to również Rosjan może luźnie, ale w sposób widomy z mocarstwami Zachodu. Nadałoby zdecydowanie ententofilski kierunek polityce Kołczaka i udzieliłoby go narodowi. Krótko mówiąc, mogłoby rozproszyć pewne grożące burzą chmury, które się zbierają na Wschodzie Europy".

Aljanci wszakże, wierni swym zwyczajom, wyrzekli się wszelkiej zdecydowanej akcji i pozwolili wypadkom iść swą koleją, pozostawiając porządkowanie ich Niemcom. Nie było więc Rosjan na Konferencji i na żadnej z grup czy partyj politycznych w anarchicznem państwie słowiańskiem nie cięży żadne zobowiązanie wobec aljantów. Byłoby jednak mylnem wyobrażać sobie, że na białej karcie, na której kreślą linję swego postępowania, zapiszą imiona Francji i Anglji, i jako swych przyszłych przyjaciół. Są pełni gniewnej niechęci dla tych dwóch eks-sprzymierzeńców, szczególniej silnem jest to uczucie dla Francji [1]).

Jest rzeczą zbyteczną powtarzać w odmiennej formie to, co twierdzili często Lloyd George i Wilson, bez zdawania sobie sprawy widocznie z tego, co mówili, że pokój, który uważają za uwieńczenie ich życia, będzie miał tak wielką wartość, że Rosja przebudzona ze swego stanu kataleptycznego stanie się sprzymierzeńcem mocarstw, które ją rozczłonkowały. Jeśli ten postulat okaże się błędny, Niemcy mogą utworzyć ligę przeciwko sprzymierzeńcom z wielkiej ilości narodów, których tu

[1]) Słuszność nakazuje przyznać, że w ciągu miesięcy letnich znaczny odłam antybolszewików zmienił swój pogląd na politykę W. Brytanji i wyraził wdzięczność za pomoc okazaną Kołczakowi; Denikinowi i Judeniczowi, bez której armje ich zostałyby doszczętnie zniszczone.

niepodobna wyliczać. Jasnem jest jednak, że podobne rozwiązanie naraziłoby na niebezpieczeństwo Polskę, Czechosłowację i Jugosławję i zmiotłoby doszczętnie resztki organizacji pokoju. I choć byłoby przedwcześnie przepowiadać politykę, której się trzymać będzie nowa Rosja, zamykanie oczu na wyniki, do których prowadzą najświeższe wypadki, uchodziłoby niewątpliwie za błąd polityczny.

W kwietniu 1919 roku pewien rosyjski mąż stanu mówił do mnie: „Delegaci aljantów bezwiednie odrzucają od siebie jedyne środki, za pomocą których mogą osiągnąć trwały pokój i umożliwić przyjazny stosunek między narodami. Mimowoli wzmacniają siły bolszewizmu i podjudzają wrogów politycznych przeciwko samym sobie. Proszę zobaczyć, jak postępują z nami. W ostatnich dniach garstka jeńców rosyjskich umknęła z Niemiec do Holandji; przedstawiciele aljantów wysłali ich przemocą i wbrew ich woli do Gdańska, a stamtąd do Libawy, gdzie ich wzięto do bolszewickiej czerwonej armji. Ludzie ci mogliby być użyci w krajach sprzymierzonych, których sprawie byli oddani, ale przymusowe wysłanie do Libawy tak ich oburzyło, że wielu z nich postanowiło przystać do bolszewików. Nawet nasi przedstawiciele oficjalni są zaliczeni do kategorji podejrzanych. Naszemu ministrowi w Pekinie odmówiono prawa wysyłania cyfrowanych depesz, to samo wydarzyło się naszemu chargé d'affaires w jednej ze stolic europejskich, gdy tymczasem delegat bolszewicki korzysta z tego przywileju dyplomatycznego. Radcy ambasady w pewnym kraju sprzymierzonym odmówiono wizy paszportowej, dopóki nie oświadczył, że zwróci wysoki order za nadzwyczajne zasługi, który dostał od rządu, odmawiającego mu dziś wizy. W dniu święta narodowego w pewnym kraju sprzymierzonym rosyjski chargé d'affaires był jedynym członkiem ciała dyplomatycznego, który nie dostał oficjalnego zaproszenia".

Pewnego dnia, w styczniu, kiedy na Quai d'Orsay zebrał się tłum, przyglądający się delegatom z różnych krajów — Anglikom, Amerykanom, Włochom, Japończykom, Rumunom i t. d., którzy wchodzili do wspomnianego pałacu, by bronić interesów swych krajów i tworzyć nowe prawa dla rodu ludzkiego, przechodził także oficer rosyjski w towarzystwie żołnierza—analfabety, który służył pod wielkim księciem Mikołajem, a potem w rosyjskiej brygadzie we Francji. Żołnierz przyjrzał się uważnie pałacowi i zwróciwszy się do oficera, zapytał: „Czy i kogo z naszych tam wpuszczą?" Oficer odpowiedział wymijająco: „Namyślają się nad tem. Może i wpuszczą..." na to jego towarzysz odrzekł z gniewem: „Namyślają się! Nad czem tu myśleć? Czy nie biliśmy się za nich, aż nas skosili, jak trawę? Czy miljony ciał rosyjskich nie pokryły pól, dróg i obo-

zów? Czyśmy nie szli na wielkie armaty niemieckie z kijami i bagnetami? Czyśmy zamało dla nich zrobili? Co mogliśmy zrobić więcej, żeby nas puścili tu razem z innymi? Walczyłem od początku wojny i byłem dwa razy ranny. Moich pięciu braci powołano jednocześnie ze mną i wszyscy pięciu polegli, a teraz Rosjanie im są niepotrzebni! Zamykają nam drzwi przed nosem...

Prędzej czy później anarchja rosyjska, jak i chińska, dobiegnie do końca, a kierownicy, którym zostanie powierzone odbudowanie kraju, jeżeli będą ludźmi wiedzy, patrjotyzmu i charakteru, zastosują program, odpowiadający dobrobytowi narodu. W jakim stopniu, zapytać należy, można ten dobrobyt pogodzić z *status quo* w Europie Wschodniej, jaki aljanci, kierowani sprzecznemi wzajemnie zasadami i dorywczemi pobudkami, pozostawiali nietkniętym lub zmieniali i mieli nadzieję utrwalić za pomocą pergaminowego orędzia?

Gorliwość, z jaką władze francuskie wzięły się do pracy nad zapobieżeniem rozwojowi bolszewizmu w swym kraju, w szczególności zaś pomiędzy zamieszkałymi w nim Rosjanami, jest niewątpliwa. Niestety, okazała się jednak bezskuteczną. Istotnie nie będzie przesadą, jeżeli powiemy, że minęła się z celem i osiągnęła skutek wprost przeciwny. Uwaga była tak całkowicie skierowana ku celowi, że nie zważano na środki do osiągnięcia go. Kilka konkretnych przykładów wyjaśni rzecz czytelnikowi. Podane niżej opowieści pochodzą od wybitnego Rosjanina, usposobionego przychylnie dla aljantów.

We Francji były dziesiątki tysięcy wojsk rosyjskich. Większość ich walczyła dzielnie, inni nawpół chętnie, a nieliczni uchylali się zupełnie od walki. Zamiast uznać te różnice, władze francuskie, wiedzione instynktem samozachowawczym i pragnąc zapobiec możliwości złego, potraktowały ich wszystkich jednakowo. „Nazwij psa brzydko i powieś go", mówi przysłowie i sprawdziło się ono w stosunku do Rosjan, na których wkrótce zaczęto patrzeć, jak na *tertium quid* — coś pośredniego między wrogami ładu publicznego a podejrzanymi neutralnymi. Przestano im ufać. Oficerom odebrano władzę nad ich żołnierzami i oddano pod komendę doskonałych oficerów francuskich, których nie można ganić za niezrozumienie natury Słowian, ani za nieumiejętność obchodzenia się z nimi. Szeregowcy, widząc, że ich zwierzchnicy zostali zdegradowani, zadecydowali, że utracili przez to prawo do ich szacunku i zaczęli ich odpowiednio traktować. Było to ciosem śmiertelnym dla dyscypliny. Oficerowie, których większość była całą duszą oddana sprawie koalicji, łączonej przez nich z własną, podupadli na duchu. Po rozmaitych próbach powrotu do dawnego stanowiska zmienili radykalnie swój stosunek uczuciowy do

narodu, którego w żadnym razie nie można ganić za nadmierną gorliwość jego przedstawicieli publicznych. Rosnące oburzenie zniszczyło wszelkie przywiązanie, które mieli kiedykolwiek dla Francuzów, a w wielu wypadkach także i dla pozostałych aljantów; po powrocie zaś do domów, wywołali taką samą niechęć w swych rodakach. Żołnierze, których zaczęto maltretować tak, jak *boche'ów*, zerwali z wszelką dyscypliną i, widząc, że wszyscy są przeciwko nim, postanowili sami przeciwstawić się wszystkim. Były to początki procesu „bolszewizacji".

Nastrój antyrosyjski stawał się z biegiem czasu coraz wyraźniejszy. Tysiące żołnierzy rosyjskich wysyłano na roboty do pracodawców prywatnych na rozkaz nie ministerjum wojny, lecz ministerjum rolnictwa, któremu ich oddano do rozporządzenia. Żywiono ich i dawano płacę, która w normalnych warunkach zadowoliłaby ich, gdyż była większa, niż to, co dostawali w kraju przed wojną. Ale warunki nie były normalne. Obok nich pracowali Francuzi, z których wielu nie mogło dorównać fizycznie mocnym chłopom z Permu i Wiatki. A kiedy agitatorzy mówili im, że robotnik francuski dostawał o 100% więcej, zaczęli rozmyślać o nierówności i nazywali ją tak, jak im o niej mówiono. Wynagrodzenie za pracę ponad normę było jeszcze bardziej nierówne. Jednym ze skutków tej różnicy w traktowaniu było poróżnienie dwóch narodów, reprezentowanych w tym wypadku przez dwie klasy robotników i wzrost wzajemnego niezadowolenia. Ale miało to jeszcze inny skutek. Kiedy się dowiedzieli, z czasem, że pracodawca sprzedaje produkt ich pracy z zyskiem, wynoszącym czterysta do pięciuset procent, nie zawahali się powtarzać formuł, podpowiadanych im przez agitatorów socjalistycznych:„ Pracujemy dla wyzyskiwaczy; należy wytępić burżujów". W ten sposób powstało rozgoryczenie do aljantów i nienawiść do kapitalistów wśród dziesiątków tysięcy Rosjan, którzy jeszcze parę miesięcy temu byli prostymi, uczciwymi wieśniakami i karnymi żołnierzami. Wielu z nich po powrocie do kraju z wielkim zapałem wstąpiło do czerwonej gwardji bolszewickiej. Nie trzeba ich było do tego zmuszać.

Był tam między innymi młody oficer gwardji, nazwiskiem G.—, należący do dobrej rodziny i człowiek wyjątkowo kulturalny. Najmilszą rozrywką jego była muzyka i sam pięknie grał na skrzypcach. Podczas wojny wyróżnił się najpierw na rosyjskim, potem na francuskim froncie. Poniósł wielką ofiarę, gdy po ciężkiej ranie dostał paraliżu ręki i utracił na zawsze możność grania. Rząd francuski dał mu wysokie odznaczenie. Dla narodu angielskiego miał on wielkie uznanie i przywiązanie, w szczególności zaś poważał króla Jerzego, może z powodu

jego podobieństwa fizycznego do Cara. A kiedy król Jerzy miał przybyć do Paryża, cieszył się niezmiernie, że będzie miał możność zobaczenia go. Wydano rozkazy wojskom, by ustawiły się na głównych ulicach, przez które miał przejeżdżać monarcha. Francuzi dostali naturalnie najlepsze miejsca, a na Place de l' Etoile pozostawiono miejsce dla wojsk sprzymierzonych. G. — uradowany udał się do swego zwierzchnika z zapytaniem, w którem miejscu mieli stanąć Rosjanie. Generał nie wiedział, ale obiecał się dowiedzieć. Zapytał o to komendanta francuskiego, który odpowiedział: „Wojska rosyjskie? Niema tu miejsca dla żadnych wojsk rosyjskich". G.—ze łzami w oczach opowiadał ten epizod i dodał: „My którzy walczyliśmy i przelewaliśmy krew, ginęliśmy lub stawaliśmy się kalekami, musimy przełknąć to upokorzenie, gdy tymczasem Polacy i Czechosłowacy, świeżo przybyli z Ameryki w nowiutkich uniformach, którzy nie byli ani razu pod ogniem, mają swe miejsca wyznaczone na paradzie. Czy jest to sprawiedliwe względem wojsk, bez których czynów nie byłoby oficerów polskich, ani czechosłowackich, ani zwycięstwa Francji, ani triumfalnego wjazdu króla Jerzego V do Paryża?"

ROZDZIAŁ XIII.

RZUT OKA NA TRAKTAT.

Od chwili otwarcia Konferencji ujawniły się podstawowe różnice, które rozdzieliły delegatów na dwie główne partje: jedna z nich dbała przedewszystkiem o przebudowę świata i jego główną podporę, Ligę Narodów, druga — o zaspokojenie interesów narodowych, co, jak utrzymywano, było równie niezbędne dla trwałości pokoju. Ta ostatnia powitałaby Ligę przychylnie pod warunkiem, żeby można było zużytkować ją w służbie interesom narodowym, ale w żadnym razie wówczas, gdyby się im przeciwstawiła. Zbudować most ponad przepaścią, dzielącą te dwa odłamy — było to zadanie, którego mężnie podjął się prezydent Wilson. Na nieszczęście, ustąpił ze swej poprzedniej mocnej pozycji i oderwawszy się od jednego brzegu, nie zdołał przedostać się na drugi. Jego główna idea była godną kierownika świata i w istocie wyznawały ją i szerzyły pierwszorzędne umysły współczesne. Zamierzał on stworzyć warunki, w których można było w szerokim zakresie i na czas nieograniczony zabezpieczyć pokojowy rozwój świata. Ale, obznajmiony bardzo niedokładnie z konkretnemi warunkami narodów europejskich i azjatyckich—nie czuł przedtem nigdy tętna życia międzynarodowego—miał mgliste pojęcia o sposobach i środkach, a w przewidywaniach swoich nie liczył się ze wszystkiemi czynnikami zagadnienia. Wskutek tego, przy pozorach szerokich widnokręgów i szlachetnej ambicji, jego sposób ujęcia rzeczy nie był ani silny, ani dosyć rozległy, jak na takie rewolucyjne przedsięwzięcie. W żadnym razie nie mógłby posunąć sprawy naprzód bez dobrowolnego współdziałania samych narodów, które we własnym interesie mogłyby ponieść znaczne ofiary, odmawiane przez ich kierowników, uważanych przez niego za prawdziwych wyrazicieli ich woli. Ale odrzucał ideę parlamentu świata. Jeżeli kiedykolwiek, traktując poszczególną kwestję, nie jako niezależną w sobie, ale jako część składową szerszego zagadnienia, robił wzmiankę, dotyczącą ostatecznego celu, napotykał na stanowczy opór, przed którym często ustępował.

Na wstępie, od którego tak wiele zależało, narody odmienne naogół od swych rządów, sympatyzowały, zdawało się, z jego głównym celem i mogły może na wyraźne wezwanie dać mu swe szczere poparcie pod warunkiem, by wierny własnym zasadom, dał im najszersze zastosowanie i nie dopuścił do wzniecającego niechęć i zazdrość podziału na narody uprzywilejowane i nieuprzywilejowane. Pogląd ten potwierdza to, co słyszałem od ludzi wybitnych, przywódców robotników i trzech premjerów. Zapewniali mnie, że podobne wezwanie wywołałoby entuzjastyczny oddźwięk w ich krajach. W przekonaniu, że poglądy wyznawane przez Prezydenta w ciągu ostatnich okresów wojny zaszłyby daleko, by odpowiedzieć wymaganiom chwili, pisałem przy pewnej okazji, kiedy jedna partja nie chciała ustąpić drugiej: „Najmniej, co mógłby dziś zrobić p. Wilson, jeśli będzie trwał spór, jest ogłosić światu upragnione cele, do których dążą Stany Zjednoczone w sposób tak bezinteresowny, choć nie zawsze rozsądny — i pozostawić sąd o tem narodom zainteresowanym“ [1]).

Ale Wilson wyrzekł się tej próby. Może było już zapóźno. Według opinji wielu, jego zgoda na odrzucenie sprawy wolności mórz, choć nieunikniona, jako krok taktyczny, skazywała świat polityczny nanowo na dawne dni granic strategicznych, tajnych przymierzy, przygotowań wojennych, ciężarów finansowych i równowagi sił. W tym dniu wysunął mu się z ręki sztandar i upadł, by być podniesionym może w przyszłości przez narody, które pragnął prowadzić. Walki, na które odważył się po pierwszej porażce, miały niewiele widoków powodzenia, i wkrótce sprawa utraciła swą treść istotną. Mógł mieć nadzieję zdobycia tylko papierowego traktatu dla zabrania go z sobą do Waszyngtonu—co było zgoła czemś innem od prawdziwej umowy. Nie wymawiali mu tego jego koledzy. Działali oni w dziedzinie idej zgoła odmiennych i w innem usposobieniu umysłu. Cele ich, do których dążyli z nie mniejszą energją, a z większą wytrwałością, niż Wilson, były narodowe. Niektórzy z nich opierali się na mniemaniu, że Niemcy, które pogrążyły świat w wojnę, będą trwały przez czas nieokreślony przy swych niecnych machinacjach i dlatego w interesie powszechnego pokoju powinny być osłabione pod względem militarnym, finansowym, ekonomicznym i politycznym na tak długi czas, jak to będzie możliwe, gdy tymczasem ich potężni wrogowie powinni z tego samego powodu być wzmocnieni na ich koszt, i taki stan rzeczy powinien być utrzymany przy dobroczynnej pomocy Ligi Narodów.

Z powodu rozbieżności celów od początku opozycja była ciągła, a gdy brakło silnej jednostki o jasnym, przekony-

[1]) *The Daily Telegraph*, 28 marca 1919 r.

wającym sądzie, spór ciągnął się bez rezultatu. Całemi miesiącami zły duch braku decyzji i zwłoki ogarniał dusze głównych delegatów i unicestwiał głoszone przez nich dążenia do skutecznego załatwienia sprawy. Nawet wypadki nieprzewidziane prowadziły do niebezpiecznej zwłoki. Każdy przelotny epizod stawał się pretekstem do odłożenia ważnej decyzji, choć każdy dzień piętrzył trudności, stojące na przeszkodzie osiągnięciu głównego celu, którym było zawarcie pokoju. Naprzykład, komisja zajmująca się sprawą odszkodowań decydowała, że Niemcy muszą zapłacić pewną sumę, która wymaga stulecia wytężonego wysiłku, połączonego ze ścisłą oszczędnością i samowyrzeczeniem; gdy tymczasem komisja ekonomiczna postanowiła, że dostarczanie surowców dla Niemiec miało być ograniczone do tak małych rozmiarów, że wypłata odszkodowań stawała się wobec tego zupełną niemożliwością. Ta różnica zdań wymagała odłożenia całej sprawy. P. Hughes, premjer australijski, tłumacząc to niezdecydowanie, słusznie powiedział [1]):—„Umysły ludzkie są bardzo zaniepokojone. Długa zwłoka, połączona z obawą, że przyszły traktat pokojowy będzie wyrazem pokoju bezwartościowego, niestałego i niezadawalającego, przygnębiła głęboko ludzi. Mówią nam, że traktat pokojowy będzie gotów w przyszłym tygodniu, ale oglądamy się i widzimy, że połowa świata jest zajęta wojną lub przygotowaniami do wojny. Bolszewizm szerzy się z szybkością pożaru w prerjach. Aljanci zostali zmuszeni do usunięcia się z najżyzniejszych części Rosji Południowej, a wojska sprzymierzone, w większości angielskie, na Murmanie i w Archangielsku są w poważnem niebezpieczeństwie. A jednak mówią nam, że pokój już jest, że wolność i demokracja na świecie są pewne. Lecz świat nie potrzebuje pięknych frazesów o pokoju, wolności i bezpieczeństwie demokracji, tylko czynów. Narody krajów sprzymierzonych pragną słusznie uspokojenia prostemi, zrozumiałemi wyjaśnieniami, a nie rozwlekłych pertraktacyj i gęstej zasłony tajemności, którą są okryte".

Trzeba wysiłku, by uwierzyć, że przewlekanie sprawy podnosili do poziomu teorji ludzie, których doświadczenie w sprawach politycznych było uważane jako gwarancja rozwagi ich sądów. Jestto faktem nie do zaprzeczenia, że taktyka zwlekania była poważnie zalecana, jako polityka, na Konferencji. Utrzymywano, że nie narażając się na żadne ryzyko z powodu odwlekania decyzyj, narody Ententy mogły przeciwnie być pewne,

[1]) W mowie, wygłoszonej na obiedzie, wydanym w Paryżu 19 kwietnia 1919 r. przez *Commonwealth of Australia* dla żołnierzy australijskich.

że znajdą grunt lepiej przygotowany, im dalej zostanie odsunięty dzień porachunku.

Niemcy, jak utrzymywano, chwilowo pozbyły się febry bolszewizmu, ale polepszenie było przemijające. Proces rozkładu stawał się coraz bardziej intensywny, choć objawy jego były nie zawsze widoczne. Brak produkcji przemysłowej, handlu zagranicznego i zdrowych finansów trawił republikę Teutońską. Rosła armja bezrobotnych i niezadowolonych. Wkrótce niefortunne skutki zastoju poczęły przybierać formę zamieszek i buntów, a za niemi szedł rozkład. Ten stan rzeczy był pomyślny dla mocarstw Ententy, które mogły wtedy przedłożyć swoje warunki, postawić ograniczenia i urobić sobie Teutonów według własnego upodobania. Należało jeszcze zabronić Austrjakom niemieckim wstąpienia do Rzeszy w charakterze państwa związkowego. Jednem słowem, rządy sprzymierzone mogły tylko rozkazać, a Teutonowie usłuchaliby w jednej chwili. Wydaje się nieprawdopodobnem, by ludzie doświadczeni w polityce zagranicznej, budowali coś na równie niepewnych podstawach. Trzeba zaznaczyć, że Konferencja odrzuciła ten szczęśliwy program w teorji, choć bezwiednie wykonywała go w praktyce.

Choć każdy uważał, że zakończenie wojny światowej i powrót do normalnych warunków był rzeczą najpilniejszą, delegaci tak gorąco pragnęli przedewszystkiem zapobiec wojnom pomiędzy przyszłemi pokoleniami, że nie dostrzegali palących potrzeb współczesnych. Niebezpieczeństwo upadku jest największe na początku i przy końcu przedsięwzięcia i właśnie pierwsze kroki aljantów okazały się zgubnemi dla dalszych poczynań. Zdawało się, że Niemcy można pozbawić w całości wszystkiego, co było im odjęte sprawiedliwie i ostatecznie, niezależnie od tego, jakiem będzie ich los ostateczny. Pierwszą i najważniejszą operacją było oderwanie prowincyj, przyznanych innym narodom, rozdzielenie zaś ich mogło było być bezpiecznie zostawione na później. Nie mniej ważnem było wysłanie armji do Europy Wschodniej. Niemcy, złamane na duchu, z wojskami sprzymierzeńców na obydwóch frontach, ściśnięte z dwóch stron, nie mogłyby nie zgodzić się na warunki. Ale ta metoda była możliwa tylko przy planie, który na nieszczęście nie istniał. Wymagała ona, by warunki pokojowe były dobrze rozważone zawczasu, gdy tymczasem aljanci przygotowywali się do wojny podczas działań wojennych, a do pokoju podczas pertraktacyj. I szli dalej swym leniwym, powolnym krokiem, gdy głównym warunkiem powodzenia była szybkość.

Co się tyczy trwałego pokoju, polegającego na powszechnem rozbrojeniu, powinien był być opracowany według szerokiego

programu, którego nie mieli delegaci, i mógłby być wykonalny tylko wówczas, gdyby chęć zdobycia go wynikała z zasady, nie zaś z okoliczności. W żadnym wypadku nie mógłby być uzyskany bez wiedzy i współdziałania samych narodów, ani też w granicach czasu, zakreślonych dla prac Konferencji. Zakończenie wojny i utworzenie nowego ustroju, podobnie jak i postęp ludzkości, jest długim procesem. Można go zaczynać w rozmaity sposób, ale nie można być nigdy pewnym końca, gdyż wymaga to radykalnej zmiany w usposobieniu narodów, można powiedzieć, przekształcenia natury ludzkiej. Może on być wynikiem wielu przyczyn, głównie natury moralnej, działających przez długi okres czasu. Pokój z Niemcami dotyczył rządów zainteresowanych; zakończenia wojny mogły dokonać tylko narody. Jedno było zagadnieniem przeważnie politycznem, drugie — społecznem, ekonomicznem i moralnem.

P. Balfour optymistycznie twierdził [1]) że zawarcie pokoju z Niemcami jest rzeczą bardzo prostą. A jednakże Konferencja potrzebowała przeszło pięciu miesięcy na załatwienie tej sprawy. Praca Rady Najwyższej szła tak rozpaczliwie wolno, że na 213-ty dzień Konferencji Pokojowej [2]), w dwa miesiące po podpisaniu warunków przez Niemców, ani jeden traktat dodatkowy nie był wykończony, ani jeden nie był nawet gotów do podpisania. Delegat włoski, p. Tittoni, zwrócił się szczerze do swych kolegów w tej sprawie i zapytał ich, czy nie zaniedbują swego elementarnego obowiązku zawarcia umów z rozmaitymi wrogami, którzy przestali walczyć w listopadzie ubiegłego roku i czekali już przeszło dziewięć miesięcy na rozpoczęcie normalnego życia i czy delegaci mieli prawo sprawować władzę najwyższego urzędu dla rządzenia całą Europą. Wskazywał, że podobny stan nieładu i zastoju, wywoływanego przez zwłokę, dla nikogo nie jest korzystny: skutki ekonomiczne jego dadzą się odczuć wcześniej czy później w każdym kraju. Dodał, że koszty wojny były obliczane na każdy miesiąc, każdy tydzień, każdy dzień, i że ogólna suma wywarła na wszystkich wielkie wrażenie; ale, że nikt nie uważał za potrzebne wyliczać olbrzymich kosztów nieprawdopodobnie powolnego pokoju i marnowania bogactw, któreby powiększał każdy tydzień i miesiąc. Włochy, zaznaczał z żalem, ponoszą większą stratę, niż ich partnerzy, gdyż pokoju nie zawarły dotąd. Mówił, że zadanie rządzenia Europą, którem Konferencja zajmowała się przez szereg ubiegłych miesięcy, nie było tą pracą, dla której Konferencja została zwołana [3]).

[1]) W marcu 1919 r.
[2]) 19 sierpnia 1919 r.
[3]) *Corriere della Sera*, 20 sierpnia 1919 r.

Ta ostra i w porę wypowiedziana admonicja była wstępem do wniosku. Konferencja miała właśnie rozjechać się na „dobrze zasłużone wakacje", podczas których członkowie jej mieli pokrzepić sterane siły i wrócić w październiku dla zakończenia swych prac, gdy tymczasem narody w dalszym ciągu traciłyby mienie i przelewały krew. Delegat włoski sprzeciwiał się przerwie i wzywał kolegów do pozostania na miejscu. Dlaczego nieszczęsne Włochy, zapytywał, które tyle już poniosły bolesnych strat, mają być skazane na poświęcanie w dalszym ciągu olbrzymich sum, aby delegaci, którzy tracili czas na stawianie niemożliwych do zastosowania wniosków i starali się rządzić całą Europą, mogli wyjechać na odpoczynek? dlaczego mają przerwać narady przed zawarciem pokoju z Austrją, Węgrami, Bułgarją, Turcją i przed powrotem Włoch do życia normalnego? Dlaczego ma być dany czas i sposobność Turkom i Kurdom do mordowania Ormian, mężczyzn, kobiet i dzieci? Ta szczera wymówka miała, jak powiadają, otrzeźwiający wpływ na ruchliwych delegatów, stęsknionych do wakacyj. Położenie, które ją wywołało, zdziwi przeciętnego człowieka.

Trzeba zaznaczyć, że pomiędzy delegatami panowała taka atmosfera podejrzliwości, że pobudki do przyśpieszenia wakacyj były tłumaczone przez niektórych nie jako potrzeba odpoczynku, ale raczej jako niewypowiedziana chęć dania czasu Habsburgom na zdobycie na nowo korony Św. Szczepana, co byłoby pierwszym krokiem do owładnięcia Austrją [1]). Austrjacy żądali zwolnienia od płacenia odszkodowania i ogromnych podatków i jeden z delegatów, życzliwy im, nie był temu przeciwny. Ponieważ państwa, które powstały na ruinach monarchji Habsburskiej, nie były uważane przez Konferencję za wrogów, zaproponowano, żeby sama Austrja korzystała z tego wyróżnienia. Ale delegaci włoscy zaprotestowali i p. Tittoni zapytał: „Czy może zostanie stwierdzone, że nie istniał wróg, przeciwko któremu my Włosi walczyliśmy przez trzy i pół lat, tracąc pół miljona zabitych i robiąc osiemdziesiąt tysięcy miljonów długów?".

Dziennik francuski, omawiając kwestję austrjacką, pisał [2]): „Austro-Węgry zostały rozbite, a dziś Francja stara się przywołać je nanowo do życia. Lecz Włochy są usposobione wrogo przeciwko wszystkiemu, co może doprowadzić do porozumienia pomiędzy nowemi państwami, utworzonemi z dawnych posiadłości Habsburgów. Dlatego nasi sprzymierzeńcy zaalpejscy byli tak przychylni związkowi Austrji z Niemcami. Francja zaś, której myślą przewodnią jest doprowadzenie zwyciężonego wro-

[1]) *Corriere della Sera*, 20 sierpnia 1919 r.
[2]) *L'Humanité*, 21 maja 1919 r.

ga do zupełnej prawie bezsilności, Francja, która się boi, nie pozwoli na przyłączenie Austrji do Związku Niemieckiego". Tu zlekceważono zupełnie zasadę samostanowienia.

W pierwszym miesiącu obrad Konferencji osaczały ją narody, które spodziewały się wiele po jej umiłowaniu sprawiedliwości: Egipcjanie, Koreańczycy, Irlandczycy z Irlandji i Ameryki, Albańczycy, Francuzi z wyspy Maurycego i z Syrji, Mahometanie z Aderbeidżanu, Persowie, Tatarzy, Kirgizi i szereg innych, których można porównać do kalek pomiędzy narodami, czekających wokoło dyplomatycznej sadzawki Siloam na cud poruszenia wód, który nigdy nie nastąpił [1]).

Narody te słyszały, że pojawił się wielki i potężny reformator świata, którego powołaniem było naprawienie odwiecznych krzywd i zapewnienie wolności gnębionym narodom i plemionom i skierowali do niego swych wysłańców dla obrony swych praw. A ci błąkali się po ulicach Paryża, szukając pośrednictwa delegatów, ministrów i dziennikarzy, którzy mogliby wyjednać im audjencję u nowego Mesjasza lub jego apostołów. Ale wszystkie drzwi były dla nich zamknięte. Jeden z proszących, którego językiem rodowitym był angielski, zamierzając już otrząsnąć kurz Paryża ze swych trzewików, zauważył, cytując Sydneya Smith'a: „Oni również są faryzeuszami. Chcieliby udawać dobrego Samarytanina, ale bez oliwy i dwóch groszy. Jak to się stało, że Żydzi bez oficjalnego delegata, zażądali poparcia — bojowego poparcia — Rady Najwyższej, która nie zawahała się przed despotycznem traktowaniem Europy Wschodniej dla ich dobra?".

Mimowoli badacz dziejów politycznych przypomina sobie raport, pisany dla barona Hagera [2]) przez jednego z jego tajnych agentów podczas Kongresu Wiedeńskiego: „Opinja publiczna jest w dalszym ciągu nieprzychylna Kongresowi. Ze wszystkich stron słyszy się, że niema harmonji, że nie dba się już o zaprowadzenie nanowo ładu i sprawiedliwości, a wszyscy mocują się ze sobą wzajemnie, chcąc sobie wyrwać ile się da... Mówią, że Kongres się skończy, bo musi się skończyć, ale pozostawi sprawy jeszcze bardziej zawikłanemi, niż je zastał... Narody, które wskutek powodzeń, szczerości i szlachetności wspaniałej koalicji nabrały wielkiego uznania dla jej kierowników i przywiązały się do nich, dziś widzą, że zapomnieli oni o wszystkiem, co uroczyście obiecywali, o sprawiedliwości, ładzie, pokoju, opartym na równowadze, i prawnem posiadaniu—skończą na zobojętnieniu i braku zaufania do ich zasad i obietnic".

[1]) *The Nation*, 23 sierpnia 1919 r.

[2]) Szef policji austrjackiej na Kongresie Wiedeńskim w latach 1814—1815.

Te słowa z przed stu pięćdziesięciu lat mogłyby być powtarzane codziennie, poczynając od lutego 1919 r.

Głównym motywem polityki, prowadzonej przez Radę Najwyższą i ucieleśnionej w Traktacie, była systematyczna ochrona Francji przed Niemcami. Stąd utworzenie potężnych państw pogranicznych: Polski, Czechosłowacji, Jugosławji, Wielkiej Rumunji i Wielkiej Grecji. Nacjonaliści francuscy żądali dalszych, jeszcze rozleglejszych zabezpieczeń.

Opierali się na tem, że ponieważ ekonomiczny, strategiczny, finansowy i terytorjalny dobrobyt Francji ma być kamieniem węgielnym przyszłego gmachu europejskiego, każdy wniosek, proponowany Konferencji, natury narodowej czy ogólnej, powinien być rozpatrywany i kształtowany w zgodzie z powyższym postulatem, a wskutek tego nie należy dać Niemcom najmniejszej możliwości do podniesienia się po klęsce i zdobycia kierowniczego stanowiska, gdyż z chwilą gdyby wzrosły nanowo w jakiejkolwiek dziedzinie, Europa zostałaby wepchnięta ponownie w okropności wojen. Dlatego rozczłonkowanie Niemiec pod względem terytorjalnym było koniecznością; przyłączenie zagłębia Saary z 600.000 mieszkańców Niemców było niezbędne dla Francji, jak i aneksja lewego brzegu Renu, lub też utworzenie z niego osobnego państewka, okupowanego i administrowanego przez Francuzów, dopóki Niemcy nie zapłacą im ostatniego grosza odszkodowań. Dalej, Austrja powinna być pozbawiona prawa określenia swego sposobu bytowania i przymuszona do wyrzeczenia się zamiaru stania się jednem z państw związkowych republiki niemieckiej, i jeżeli to jest możliwe, Niemcy północne powinny być również oddzielone od Południowych. Aljanci powinni rozdzielić Teutonów, by móc nimi rządzić. Inne granice Niemiec powinny być wyznaczone w podobnym duchu. A jednocześnie dzieło łączenia ze sobą narodów i ludów Europy i tworzenie z nich przyjacielskiego związku ma być prowadzone dalej bez przerwy.

„Sprawa Renu jest dla nas kwestją życia i śmierci", pisał Maurycy Barres [1]), chcemy mieć Ren, jako naszą wojskową, a mam nadzieję, że i ekonomiczną granicę. Reszta przyjdzie sama we właściwym czasie. Przyszłość zapewni nam zgodę ludności nadreńskiej, która będzie żyła swobodnie pod opieką naszego oręża, ze wzrokiem zwróconym ku Paryżowi".

Pod względem finansowym proponowano, żeby zmusić Teutonów do zapłacenia Francji, Belgji i innym krajom odszkodowań za wyrządzone przez nich straty, zapłacenia całego kosztu

[1]) *Echo de Paris*, 2 marca 1919 r. Porówn. *The Daily Telegraph*, 4 marca.

wojny, zarówno jak emerytur dla wdów, sierot i inwalidów. A okupacja wojenna kraju miała być utrzymana aż do całkowitego wypłacenia tego olbrzymiego długu.

Organ nacjonalistów [1]) w jednym z artykułów wstępnych wyłożył krótko i jasno panujący pogląd na zobowiązania Niemiec. Jest tam ustęp charakterystyczny: „Są one bogate, mają zapasy z ubiegłych lat dawnej obfitości; mogą pracować, by produkować i naprawić wszystkie porobione przez siebie szkody, odbudować ruiny, odtworzyć bogactwa, które zniszczyły, jakkolwiek uciążliwym będzie ten ciężar".

Po omówieniu sprawozdania dr. Helffericha, drukowanego przed sześciu laty, artykuł kończy się w sposób następujący: „Niemcy muszą zapłacić; mają na to środki, gdyż są bogate; jeżeli odmówią, musimy je przymusić bez wahania i bez litości". Ponieważ nie można żądać od Francji, której miasta i wsi zostały zniszczone, by odbudowała je na własny rachunek i nałożyła na siebie tak olbrzymie podatki, jak jej sprzymierzeńcy, Amerykanie i Anglicy, pierwsze i główne prawo na otrzymanie udziału w odszkodowaniach, do niej należy. Twierdzono, że sprzymierzeńcy jej i sojusznicy powinni zgodnie odroczyć swoje pretensje pieniężne, dopóki jej żądania nie zostaną w całości zaspokojone. Dalej, ponieważ przyszłe wydatki Francji na armję okupacyjną, administrację jej kolonij i terytorjów przyległych będą musiały pochłonąć olbrzymie sumy, których trudno żądać od jej obywateli, a ponieważ jej długi wewnętrzne są już olbrzymie, byłoby ze wszechmiar sprawiedliwem, by jej bogatsi partnerzy ponieśli część jej długów wojennych i podzielili się swemi bogactwami finansowemi z nią i innymi sprzymierzeńcami. Uważano to za oczywistą konsekwencję przymierza wojennego. Pod względem ekonomicznym również, choć zezwolono Niemcom na podjęcie działalności przemysłowej w wystarczająco szerokim zakresie, żeby umożliwić ich istnienie i spłatę zobowiązań finansowych, powinno być jednak im zabronione starać się prześcignąć w tym względzie Francję, której rozwój materjalny jest rzekomo niezbędny dla utrzymania powszechnego pokoju i ustalenia nowego ustroju. W związku z tem, twierdzono dalej, że nasz rycerski sprzymierzeniec zasługiwał na specjalny wzgląd z powodu niskiej stopy urodzeń, co jest jedną z głównych przyczyn trudności do zwalczenia. Może Francja nie dozwolić ludności na wzrost ponad 40 miljonów, gdy tymczasem Niemcy w środku stulecia dojdą do imponującej cyfry 80 miljonów, a więc rywalizacja z niemi nie może być na stopie równości. Dlatego należy równo-

[1]) *Le Gaulois*, 8 marca 1919 r. Porówn. *The Daily Telegraph*, 10 marca.

ważyć warunki wpływem Konferencji, a potem Ligi. Stąd wypływa też konieczność różnicy w traktowaniu Francji; należy pozwolić na utrzymanie taryfy protekcyjnej, której potrzebuje niezmiernie w swym handlu zagranicznym, i to nie powinno być uważane za urazę aljantów. Nie mogą bowiem zaprzeczyć, że położenie jej wymaga specjalnego traktowania.

Niektórzy z delegatów anglo-saskich stanęli na innym gruncie, nie uważając za możliwe popieranie postulatu, skazującego rasę teutońską na wieczne wyklęcie. Liczyli się w swych przewidywaniach z przyszłością, kiedy warunki w Europie będą zupełnie odmienne od tego, czem są dzisiaj. Czuli, że rasa germańska, liczna i silna, nie może ani wymrzeć, ani być uciskana. Ponieważ jest nadto przedsiębiorcza i bogata, byłoby błędem uczynić ją na stałe wrogą aljantom przez przekraczanie granic sprawiedliwości, gdyż byłoby to ze szkodą zarówno interesów narodowych, jak i ogólnych. Uważali, że można przeszkodzić Niemcom w objęciu hegemonji nad światem, ale nie w tem, by się stały pierwszorzędnym czynnikiem rozwoju Europy. Jeżeli za trzydzieści lat ludność Niemiec dojdzie do 80 miljonów, czy stosunek ich i uczucia wobec sąsiadów nie staną się najdonioślejszym elementem spokoju w Europie, a kierunek ich nie będzie zależał w znacznym stopniu od wyników dzisiejszej polityki aljantów? Czas więc na to, by delegaci wyzbyli się wrogiej zjadliwości, nie wyrzekając się praw dla swych krajów, ale szanując prawa innych.

Było to rozumowanie tych, którzy uważali, że dążenia narodowe należy podporządkować dobru ogólnemu, a aspiracje sądzić w ścisłym związku z przyszłością całokształtu narodów. Uważali dalej, że choć Niemcy zasługiwały na pokutę za nienawistną zbrodnię rozkiełznania wojny i bezlitosnego jej prowadzenia, co przyznawali nawet przedstawiciele tego narodu, nie należy ich kaleczyć lub gnębić w nadziei, że się im odbierze siły nazawsze. Nadzieja ta jest próżna. Razem z rosnącą ich siłą, wzrośnie pragnienie zemsty, a razem z niem środki jej urzeczywistnienia. Mogą one również urobić Rosję w ten sposób, że stanie się skutecznem narzędziem zemsty, a dążenie do niej może się rozciągnąć i poza Rosję. Jednostronna reorganizacja Europy, pełna materjałów, wybuchowych podobnie nieobliczalnej siły, udaremniłaby nietylko najlepiej opracowane próby w kierunku stworzenia prawdziwej Ligi Narodów, ale choćby czegoś zbliżonego do niej, co dopiero z biegiem czasu i przy okolicznościach sprzyjających mogłoby się rozwinąć w pewny środek zapobiegający wojnom. Mniemali też, że Liga Narodów stanie się gorzej niż bezużyteczną, jeżeli się przemieni w oręż, którym jedna grupa narodów będzie walczyła

z drugą, albo stanie się sztucznym nakazem, który wyzwoli narody od słuchania praw naturalnych.

Jednocześnie wszystkie rządy aljantów jednoczyły się w szczerem pragnieniu zrobienia wszystkiego, co jest możliwe dla wykazania swego uznania Francji za jej bohaterstwo, rozległość jej ofiar i pragnęły odwdzięczyć się za jej zasługi wobec ludzkości. Wszyscy pragnęli w miarę możności przyczynić się do wynagrodzenia jej za straty, które były możliwe do naprawienia, i zabezpieczyć ją w przyszłości od podobnej próby, z której wyszła tak srodze okaleczoną. Jedyne granice, które zakreślali pracy odbudowy, stanowił według nich cel i środki jego osiągnięcia. A więc pp. Wilson i Lloyd George uważali, że wcielenie do odrodzonej Francji miljonów, a choćby setek tysięcy Niemców byłoby wprowadzeniem do organizmu politycznego zarodków strasznej choroby, i na tej zasadzie odmawiali stanowczo uznania granicy Renu, której Francuzi zostali zmuszeni w ten sposób się wyrzec. Delegaci francuscy przyznawali sami, że granica Renu wymagałaby silnych oddziałów wojsk międzynarodowych, będących na zawołanie Rzeczypospolitej, które musiałyby czujnie strzec brzegów Renu — bez widoków na jakikolwiek określony termin tej służby. Istotną przyczyną tej zależności od sił obcych jest dysproporcja pomiędzy ludnością Niemiec a Francji i pomiędzy bogactwami obydwóch narodów. Stosunek cyfry ludności jest obecnie sześć do czterech a zmienia się w kierunku siedmiu do czterech. Co do zdolności organizacyjnych w handlu i przemyśle jest on podobno jeszcze bardziej nierówny. Jeżeli więc Francja nie może dziś obejść się bez pomocy, tem mniej będzie mogła obejść się bez niej za dziesięć lub piętnaście lat, a konieczność tej pomocy w razie najazdu, biorąc pod uwagę, że naród niemiecki nie zgodzi się na stan przymusowej niższości, będzie wówczas jeszcze bardziej paląca, i mniej łatwa do urzeczywistnienia z biegiem czasu; gdyż, jak widzieliśmy, jest to głównie zależne od stopy urodzeń. A ponieważ ani naród angielski, ani amerykański, choć głęboko przywiązany do swych dzielnych towarzyszów broni, nie zgodziłby się na podobną umowę, która byłaby dla niego ciężarem, a dla Niemców nieustającą prowokacją: przedstawiciele ich musieli dojść do przekonania, że byłoby szaleństwem dać Teutonom odpowiednią sposobność do wojny dla odwetu. Twierdzili, że nie powinno być w tym celu ani aneksji terytorjów, ani przyłączania niechętnych obywateli niemieckich. Amerykanie uważali pozatem, że długotrwała okupacja terytorjum Niemiec przez liczne oddziały wojsk międzynarodowych mogłaby być bezpośrednią zachętą do militaryzmu.

Odszkodowania, które pragnęli zdobyć Francuzi i na które liczyli ich najwybitniejsi finansiści, były olbrzymie. Liczby,

któremi operowano, były w rodzaju liczb astronomicznych. Wybitni publicyści operowali setkami miljardów franków z łatwością, która zdumiewała świadków ginącej epoki budżetowej i radowała serca płacących podatki. Ale nietylko dziennikarze pisali, że potok bogactwa powinien skierowany być do tych krajów dla ożywienia przemysłu i handlu i wytrzymania naporu konkurencji. Odpowiedzialni ministrowie również dawali swą aprobatę tym przewidywaniom. Zanim szala szczęścia wojennego przechyliła się wyraźnie na stronę aljantów, finanse Francji były niezmierną troską dla ministra p. Klotza, o którym szef jego Clemenceau miał powiedzieć: — „Jestto jedyny Izraelita, jakiego kiedykolwiek znałem, który nie jest w swoim żywiole, kiedy się zajmuje kwestjami pieniężnemi". Przed rozejmem, p. Klotz, omawiając zawiły problemat i szkicując projekty, zawołał: — „Jeżeli wygramy wojnę, podejmuję się związać koniec z końcem, choć się wydają dalekie jeden od drugiego. Każę Niemcom zapłacić cały koszt wojny". Po rozejmie ponowił swą obietnicę i nie wystąpił z nowem opodatkowaniem.

W ten sposób, pomimo przemijających błysków idealizmu atmosfera paryskiego conclave stawała się coraz cięższa od nawału interesów, namiętności i ambicyj. Tylko ludzie zaślepieni nie widzieli faktu, że elastyczne formuły, stworzone i tłumaczone przez prezydenta Wilsona, były rozciągane do najwyższego stopnia dla przykrycia dwóch wzajemnie się wykluczających polityk. Przepaść, dzieląca jego projekty oryginalne i projekty jego zagranicznych kolegów była przez obie strony celowo ignorowana, a po pewnym czasie zgodzono się na *tertium quid* pomiędzy równowagą terytorjalną a wyjałowioną Ligą, okiełznaną za pomocą doktryny Monroego i przymierza wojennego. Ten złożony produkt zawierał w sobie skoncentrowane złe strony jednego z tych systemów i był pozbawiony dodatnich stron drugiego. Gdy ustosunkowanie interesów świata wymagało internacjonalizmu w najwznioślejszem znaczeniu tego wyrazu, delegaci powiększali i pomnażali liczbę narodów i państw, które pozbawiali suwerenności i oddawali pod kierunek ras rządzących. Ambicje narodowe poczęły panować nad szerszemi interesami; nienawiści rasowe doszły do wysokiego stopnia napięcia. Jednem słowem, system państwowy świata był sklecony tak dziwacznie, że tylko wyczerpanie ekonomiczne, po którem nastąpił szybki powrót do militaryzmu, mogło zapewnić mu pewną trwałość.

Samowystarczalność terytorjalna, siła militarna i korzystne przymierza były uważane powszechnie za podstawy nowego ustroju nawet przez tych, którzy jedynie w słowach oddawali należną dań ideałowi wilsonowskiemu. Sam ideał uległ podczas procesu wcielania zniekształcającej go zmianie. Włosi zapy-

tywali, jak można będzie pogodzić doktrynę Monroego z Ligą Narodów, zważywszy, że Liga będzie uprawniona do zajmowania się sprawami domowemi państw-członków, i jeżeli okaże się niezbędnem, będzie wysyłała wojska do utrzymania porządku w Niemczech, Włoszech i Polsce; gdy tymczasem jeżeliby Stany Zjednoczone zawiniły wobec Brazylji, Argentyny czy Meksyku, Liga, skrępowana doktryną Monroego, musiałaby przyglądać się temu bezczynnie. Niemcy widząc poważne braki w Statucie Wilsona, zastosowanym początkowo do zamiarów aljantów, przybyli do Paryża z projektem, który, należy sprawiedliwie przyznać, był znacznie wyższym od projektu ich przeciwników i bardziej obiecującym dla nich samych.

Zbytecznem jest dodawać, że pogląd kontynentalny uzyskał większość, ale Wilson wyobrażał sobie, że wyrzekając się swych zasad na korzyść Anglji, Francji i Bułgarji może doprowadzić do równowagi, stosując je surowo do Włoch i przekraczając je w sprawie Grecji. Wyłożył podstawy tego swego poglądu w orędziu drukowanem w Waszyngtonie [1]). Przymierze, uważano go za wroga wszelkich przymierzy wogóle — które zabezpiecza Francji pomoc wojenną, podpisał, jak mówił, przez wdzięczność dla tego kraju, gdyż wątpił poważnie, czy Republika Amerykańska zdobyłaby wolność w wojnie z W. Brytanją bez dzielnej i przyjaznej pomocy Francji. „Mieliśmy świeżo przywilej pomagania w wypędzaniu z jej ziemi wrogów, którzy są jednocześnie wrogami świata, ale nie spłaca to jeszcze naszego wobec niej długu. Podobny dług niczem nie może być spłacony". Krytycy jego zarzucali mu, że ten sam argument uczuciowy mógłby być z równą siłą podniesiony przez Francję i Anglję dla usprawiedliwienia ich obietnic wobec Włoch i Rumunji, jednak został odrzucony przez Wilsona w imię wyższej zasady.

Prezydent Stanów Zjednoczonych, twierdzono dalej, jest historykiem, a historyk mówi mu, że pomoc dana jego ojczyznie przeciwko Anglji nie pochodziła od narodu francuskiego, ani nie została wywołana sympatją dla sprawy amerykańskiej. Byłto akt zemsty jednego z tych królów, których działalność Wilson stara się unicestwić. Monarcha, który pomógł Amerykanom, korzystał tylko ze sprzyjającej sposobności, żeby z najmniejszym wysiłkiem pozbawić swego przeciwnika zyskownych posiadłości. Pozatem dług, który niczem nie może być spłacony, już się należał w latach 1914 — 1916, kiedy Francji groziło wielkie niebezpieczeństwo pobicia przez okrutnego wroga. Ale w tym czasie Wilson zawdzięczał swe ponowne wybory głównie swej odmowie ratowania jej z tego niebezpieczeństwa. Zamiast

[1]) *Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 21 sierpnia 1919 r.

przypomnieć sobie o długu, który nie może być nigdy spłacony, oznajmił, że nie jest w stanie zrozumieć o co walczą państwa, prowadzące wojny i że w każdym razie wdzięczny dłużnik Francyi jest zbyt dumny, by walczyć. Pobudka, która wreszcie wciągnęła Stany Zjednoczone do wojny światowej może być najszlachetniejszą z tych, jakie kiedykolwiek kierowały któremkolwiek państwem, ale żaden badacz historji nie przyzna, że Wilson określił ją trafnie.

Jest faktem, że delegaci francuscy i ich poplecznicy byli konsekwentni i, z wyjątkiem wymagań w sprawie granicy Renu, niezłomni. Zakreślili program i pilnowali, żeby był porządnie wykonany. Oświadczyli, że gotowi są przyjąć projekt Wilsona, pod warunkiem, żeby ich własny został również wykonany, niezależnie od tego, że obydwa te projekty nie były ze sobą wzajemnie do pogodzenia. I Wilson poczuł się zmuszony do przyjęcia ich stanowiska, jako własnego, inaczej nie zdobyłby Statutu, którego tak pragnął. A jednak powinien był wiedzieć, że zgoda na wymagania, postawione przez Clemenceau, obniży wartość praktyczną Statutu do wartości skrawka papieru.

Pewien dziennik amerykański, omawiając pracę Konferencji, wyraził poglądy, które, nie mając pretensji do wykwintnej frazeologji, są charakterystyczne dla sposobu, w jaki przeciętny człowiek myślał i mówił o Statucie w pojmowaniu Rady Najwyższej. „Jesteśmy przekonani", pisał ów dziennik, „że europejscy mężowie stanu dawnego typu, reprezentowanego przez Clemenceau, uważają go za blagę; Clemenceau nigdy jeszcze w życiu nie był tak znudzony, jak wówczas, kiedy musiał udawać respekt dla Statutu, gdyż potrzebował właściwie zatwierdzenia Trójprzymierza. Dostał to zatwierdzenie, które wraz z francuską wartą na Renie, Fracuzami w zagłębiu Saary i w Afryce, z pieniędzmi niemieckiemi, idącemi do francuskich kufrów, robi go dosyć pobłażliwym w stosunku do altruistycznie usposobionych retoryków.

Anglicy, inteligentni Anglicy, wiemy, że się wstrzymujecie od mówienia. Włosi są natrętnymi imperjalistami, a Japonja nie dba o to, co się dzieje z Ligą, ale za to mówi, co się ma dziać w Azji [1]).

Pokój wreszcie został podpisany, nie na zasadzie czternastu punktów, ani równowagi terytorjalnej, ale na zasadzie kompromisu, który nie mając zalet obydwóch zasad, łączył w sobie ich złe strony i inne, które powstały przy tem połączeniu, i założył fundamenty na piasku dla nowej budowy państwowej. Był to pogląd, któremu dały wyraz Włochy, Rumu-

[1]) *The Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 23 sierpnia 1919 r.

nja i Grecja, skarżąc się, że z ich żądaniami postąpiono według zasady samowyrzeczenia się, gdy tymczasem żądania Francji zaspokojono na tradycyjnej podstawie gwarancyj terytorjalnych i przymierzy wojennych.

Dalej Traktat nie potrafił przyłożyć siekiery do korzeni wojny, w rzeczywistości zwiększył ilość wojen, choć zamierzał je ukrócić. Zarodki przyszłych konfliktów nietylko pomiędzy państwami, które prowadziły ze sobą wojnę, ale i pomiędzy niedawnemi sprzymierzeńcami były w obfitości rozsiane po świecie i mogły z biegiem czasu zacząć kiełkować.

Prasa paryska wyraziła swe zadowolenie z owoców zwycięstwa, które przypadły w udziale Francji. Zastrzeżenia Traktatu bowiem szły tak daleko, jak wogóle mogłaby iść umowa polityczna w kierunku zahamowania przyrodzonej nierówności liczebnej, ekonomicznej, przemysłowej i finansowej pomiędzy narodami teutońskim i francuskim. Wielu to zadanie wydawało się nie do rozwiązania, gdyż rozwiązanie jego wymagałoby zawieszenia lub poprawienia prawa natury. Proszę wziąć dla przykładu statystykę urodzeń we Francji. Przed wojną ilość urodzeń zmniejszyła się w stopniu, który zaniepokoił myślących patrjotów francuskich, i zgodnie ze statystyką oficjalną, dziś spada jeszcze szybciej, gdy tymczasem wzrost jej w innych krajach jest większy, niż kiedykolwiek przedtem [1]). Gdy w roku 1911 w departamencie Sekwany było 73.599 urodzeń, w roku 1918 było ich 47.480. Znikają również mamki. W roku 1911 było ich na tym samym terenie 1.363, gdy tymczasem w r. 1918 tylko 65. Śmiertelność pośród podrzutków wzrosła z 5% przed wojną do 40% w roku 1918 [2]). P. Bertillon oblicza, że do tego, by ludność Francji wzrastała w tym samym stopniu, co innych narodów — nie dla odzyskania miejsca, które już utraciła, ale dla zachowania dziś posiadanego — potrzebna jest liczba urodzeń o 500.000 większa, niż rejestrowana obecnie. Tablica statystyczna, gdzie wykazał stopę urodzeń czterech narodów europejskich w ciągu ostatnich pięciu dziesięcioleci, zaczynając od roku 1861 jest bardzo niepocieszająca [3]) dla przyjaciół tego bohaterskiego i artystycznego narodu.

---

[1]) Sprawozdanie dr. Jakóba Bertillon. *L'Information*, 20-go stycznia 1919 r.

[2]) *Le Matin*, 13 sierpnia 1919 r.

[3]) Przewaga urodzeń nad zgonami (przeciętna roczna).—*L'Information*, 20 stycznia, 1919 r.

	Niemcy	W. Brytanja	Włochy	Francja
1861— 70	408.333	365.499	183.196	93.515
1871— 80	511.034	431.436	191.538	64.063
1881— 90	551.308	442.112	307.082	66.982
1891—1900	730.265	430.000	339.409	23.961
1901— 10	866.338	484.822	369.959	46.524

Francja licząca w zaokrąglonej liczbie 40 miljonów mieszkańców, powinnaby wzrastać rocznie o 500.000 ludzi. Przed wojną ogólna cyfra urodzeń w Niemczech była obliczana na 1.950,000, ale niewiele ponad 1 miljon dzieci było zdolnych do życia [1]). Wniosek ogólny, dający się wyprowadzić z tych liczb i z okoliczności, że zmniejszanie się ludności we Francji trwa nieustannie, jest niepokojącym dla tych, którzy pragnęliby, żeby piękna rasa francuska odgrywała w dalszym ciągu rolę kierowniczą w Europie kontynentalnej. Jeden z bystrzejszych badaczy współczesnych Niemiec — sam wybitny semita, w następujący sposób omawia ten ważny fakt [2]): „W ciągu dziesięciu lat Niemcy będą miały siedemdziesiąt miljonów mieszkańców i w potoku swej płodności zatopią anemiczną i wyczerpaną Francję... Naród francuski umiera z wyczerpania. Niema jednak powodów do niepokojów dla świata, gdyż zanim Francuzi znikną z powierzchni ziemi, inne rasy, męskie i zdrowe, przybędą do ich kraju, by zająć ich miejsce". Jestto co się dzieje faktycznie i co uderza podróżnika, zwiedzającego różne miasta francuskie, gdy widzi wielką ilość egzotycznych nazwisk wśród firm przemysłowych i handlowych.

Z tą potężną przeszkodą walczyli gorliwie trzej członkowie Rady Najwyższej, używając w najszerszych rozmiarach władzy zwycięzców nad pokonanymi. I rezultat ich pomysłów wywołał zupełną aprobatę licznych wrogów kultury teutońskiej, którzy uważają, że Niemcy są niezdolni do przyczynienia się do postępu ludzkości, o ile nie są kierowani przez jedną z ras wyższych.

Traktat przedstawia możliwą realizację marzeń Francji, dokonaną prawie cudem przez męża stanu, od którego Niemcy oczekiwali przeszkodzenia jej. Pobite, rozbrojone, niezdolne do oporu wojennego i pozbawione przyjaciół, Niemcy sądziły, że mogą zaczepić swą kotwicę zbawienia o ewangelję Wilsona, gdy tymczasem sam głosiciel tej ewangelji uważał zbawienie ich za trudniejsze, niż przejście wielbłąda przez ucho od igły. Zbrodnie, popełnione przez Teutonów są bezsprzecznie potworniejsze, niż je można wyrazić, i niema na nich kary, dozwolonej przez sumienie ludzkie, któraby była zbyt wielka. Jak długo powinna trwać podobna kara, czy należy jej poddać cały naród, równie jak jego kierowników, i w jakiej formie należy ją zastosować, były to pytania, które stanęły przed Radą Tajną i na które ona odpowiedziała w sposób, jaki widzieliśmy.

[1]) Profesor L. Marchand, La Démocratie Nouvelle, 26 kwietnia 1919 r.

[2]) Dr. Walter Rathenau w książce, zatytułowanej: „Śmierć Francji". Nie udało mi się dostać tej książki. Przytoczone wyjątki pochodzą ze sprawozdania p. Brudenne, drukowanego w *Matin* z 16 lutego 1919 r.

Ludzie, którzy uważają tę odpowiedź za słuszną i usprawiedliwioną, tłumaczą, że dąży ona do jednego celu: dania skutecznej pomocy Francji, jako wartownikowi cywilizacji przeciwko niepoprawnemu arcy-wrogowi. I w tem mogą mieć słuszność. Lecz jeżeli rozszerzymy zadanie, by objąć niem koleżeństwo moralne narodów, i jeżeli ono ma być zabezpieczeniem przyszłego pokoju i uczuć sąsiedzkich w świecie, wtedy wynik Traktatu nabiera odmiennego zabarwienia. Pomiędzy Francją a Niemcami tworzy on morze goryczy, której nie osłodzi wielki zachwyt dla nowego ustroju etycznego. Niemcy są uważane za trawione zgubną chorobą moralną, przeciwko której jednak lekarze Konferencji nie stosowali lekarstw moralnych, tylko środki przymusu, przeważnie mocno drażniące. Dzisiejszy stan Europy jest z tego powodu stanem ukrytej wojny pomiędzy dwiema grupami narodów, z których jedna jest tymczasem pokonana, a obydwie są naiwnie zachęcane do tego, by wzięły się za ręce i grały pożyteczną rolę w sielankowem zrzeszeniu narodów. Te nadzieje są radością dla cyników, a zmartwieniem dla poważnych reformatorów, którzy nie są zainteresowanymi politykami. Stąd najzawziętszymi optymistami w polityce byli rewolucjoniści. Ale prześcignęli ich odtąd paryscy reformatorzy świata, którzy kuszą Opatrzność, powołując ją do osiągnięcia za pomocą cudu, celu, jaki usilnie starali się uniemożliwić własnem postępowaniem. W ten sposób Statut psuje Traktat, a Traktat — Statut.

W Weimarze i Berlinie nazwano Traktat wyrokiem śmierci dla Niemiec, nietylko jako cesarstwa, ale jako niepodległego państwa politycznego. Odtąd ich wysiłki ekonomiczne poza pewną granicą będą bezpłodne, ich przemysł — powstrzymany, żeby nie przerastał lub nie wypierał przemysłu krajów sąsiednich, ich ludność zostanie w sposób pośredni wstrzymana w obrębie określonych granic, gdyż zamiast wywozu towarów będą zmuszone do eksportu istot ludzkich, których umysł i zdolności, zostaną zużytkowane przez tych rywali ich ojczyzny, którzy zechcą ich przyjąć. Już przed Konferencją rozpoczęła się emigracja na Wschód. A ci, którzy zostaną w kraju, nie będą panami we własnym domu, gdyż drzwi ich będą otwarte dla różnych obcych komisyj.

Twórcy Traktatu opierali się na przeświadczeniu, że okropności popełnione przez władze wojenne i cywilne niemieckie były dziełem całego narodu, od którego trudno spodziewać się zmiany w ciągu krótkiego czasu. Pogląd ten panował z małemi wyjątkami wśród klas kierowniczych narodów Ententy. Jeżeli jest on słuszny, wydaje się zbytecznem przymuszanie wroga do wejścia do ligi posłusznych prawu narodów, która ma się opierać jedynie na dobrowolnej przynależności

i rzetelnem umiłowaniu wolności, prawa i sprawiedliwości. Stąd Statut, włączony do Traktatu pokojowego, został związany z tem orędziem, oraz stał się możliwy do użycia, jako obrona przeciwko Niemcom. Ale i tu skuteczność jego wydaje się wątpliwą, gdyż w przeciwnym razie reformatorzy, którzy na początku postanowili znieść przymierza, jako stwierdzone przyczyny wojny, nie skończyliby na utworzeniu nowego Trójprzymierza, które wymaga zarządzeń wojennych, morskich i powietrznych i nieodłącznych od nich odpowiednich ciężarów finansowych. Przymierze tego rodzaju, cokolwiek można sądzić o jego stronie ekonomicznej i finansowej, przeczy duchowi Statutu, lecz jest oczywistym skutkiem stosunku aljantów, jak się on odbił w Traktacie, duch zaś traktatu niszczy literę Statutu, gdyż jeżeli świat jest podzielony na dwa obozy—wrogów i przyjaciół wolności, prawa i sprawiedliwości, to główne zadanie Ligi, ograniczone przez Traktat, winno polegać na przeszkadzaniu lub udaremnianiu machinacyj wrogów. Świadome ustępstwa, robione przez Konferencję podobnym wynikom dawnego ustroju, jak grupowanie dwóch czy trzech mocarstw w przymierza obronne, mogą z czasem być rozszerzone. Albowiem nacisk okoliczności może być silniejszy od woli człowieka. Przy takim ich biegu wynik może być gorszy od punktu wyjścia.

Położenie świata, zmodyfikowane w ten sposób formalnie, pozostało zasadniczo niezmienione i pozostanie takiem, dopóki nie zostaną wyzwolone inne siły. Liga Narodów utraciła pod naciskiem interesów narodowych swój charakter idealny i stała się zrzeszeniem zwycięzców przeciwko zwyciężonym. Przez włączenie Statutu do Traktatu, pierwszy stał się środkiem do wykonania drugiego, gdyż nawet Wilson, w zetknięciu z rzeczywistością i potrzebą wskazówek praktycznych, odrzucił wzniosłe projekty spekulatywne, w których był rozmiłowany podczas swych godzin kontemplacji. Choć delegaci niemieccy podpisali traktat, nikt nie może twierdzić, że będą go wykonywali dłużej, niż będzie trwał przymus, pomimo że zobowiązali się do tego uroczyście.

W organie najliczniejszej i najsilniejszej partji politycznej w Niemczech czytamy w artykule o Niemcach w Czechach, wcielonych do Czechosłowacji: „Z pewnością los ich nie będzie zdecydowany nazawsze przez Wersalski pokój gwałtu. Naród niemiecki powinien kochać swych uciśnionych braci, nawet gdy jest bezsilny i nie może im natychmiast dopomóc. Cóż więc uczynić może? Włochy dały nam cudowną lekcję polityki iredentyzmu, którą się kierowały w stosunku do Trentina i Trjestu" [1]).

[1]) *Germania*, 11 sierpnia 1919 r., *Le Temps*, 9 września, 1919 r.

Z podobnego traktatu Francja nacjonalistyczna naszego pokolenia miała powód być zadowolona. Jeden z jego twórców, zdolny przemysłowiec i polityk, wypowiedział publicznie powody zadowolenia [1]). Alzacja i Lotaryngja przyłączone nanowo do metropolji pomogą Francji materjalnie przez swą pracowitą ludność i olbrzymie skarby w postaci bogactw mineralnych i żyznej ziemi. Dawne kolonje Niemiec Kamerun i kraj Togo staną się własnością Francji i niewątpliwie będą obszernem i ponętnem polem dla ekspansji i dobrobytu ludności francuskiej. Marokko wolne od przedsięwzięć niemieckich, może odtąd rozwijać się przy pomocy wyłącznie francuskiej ludności bez żadnych przeszkód dla dobra krajowców i przy właściwem rozumieniu humanitarnych przepisów Wilsona. Zapasy potażu, którym rolnictwo niemieckie zawdzięczało w znacznej mierze swój rozkwit, będą odtąd zużytkowane na korzyść rolnictwa francuskiego. „Co do rudy żelaznej bogactwo Francji podwoiło się, a jej zdolność produkowania lanego żelaza i stali wzrosła ogromnie. Jej produkcja wyrobów tkackich jest o jedną trzecią większa, niż przed wojną" [2]). Jednem słowem, liczne narody na obszernej przestrzeni i naszej planety będą oczekiwały od narodu francuskiego wszystkiego, co ma wartość dla życia zbiorowego.

Jedyne postanowienie, które przez pewien czas wywoływało we Francji ogólne niezadowolenie, dotyczyło sum pieniężnych, które mieli zapłacić swym zwycięskim wrogom Niemcy. Opinje w tym względzie przeciętnego obywatela, tolerowane lub nawet popierane przez władze, były fantastyczne, jak niektóre z wymagań innych państw sprzymierzonych. Francuzi różnią się od swych sąsiadów pod wielu względami — a bardzo wyraźnie w sprawach, dotyczących pieniędzy. Wolą raczej poświęcić swe życie, niż dobra materjalne. Pozostawią dług narodowy do spłacenia swym dzieciom i dzieciom swych dzieci, zamiast pozbyć się go za pomocą śmiałego wysiłku lub zmniejszyć go przez amortyzację. W tym względzie różnią się od nich Anglicy, Amerykanie, zarówno jak i Niemcy. Te narody dobrowolnie opodatkowują się i ponoszą ciężkie ofiary dla spłacenia swych zobowiązań pieniężnych. Jest to właściwość wrodzona. Wprost przeciwny system stał się drugą naturą Francuzów, a niepodobna zmienić przyzwyczajeń narodu w ciągu jednego wieczoru. Wychowanie narodu mogło byłoby jednak być podjęte w czasie wojny ze znacznemi widokami na pomyślne rezultaty. Rząd

[1]) P. André Tardieu w mowie, wygłoszonej 17 sierpnia 1919 r. Dzienniki paryskie z dwóch dni następnych, a w szczególności *New York Herald*, 19 sierpnia.

[2]) Mowa, wygłoszona przez p. André Tardieu 17 sierpnia 1919 r

mógł był propagować konieczność wyrzeczenia się pewnego procentu zysków wojennych na korzyść państwa. Zrobiła to Anglja i Niemcy. Ilość pieniędzy, zarobionych przez jednostki podczas działań wojennych, była olbrzymia. Znaczny ich procent powinien był być zarekwirowany przez państwo, ze względu na potrzeby pokoju, oraz na ogromne obdłużenie, które było nieuniknione zarówno w razie zwycięstwa, jak porażki. Ale żaden minister nie miał dosyć odwagi, żeby wystąpić przeciwko masom i narazić przez to własną popularność. Pozwolono sprawom iść własną koleją. Ludzie byli przekonani, że zwycięstwo wynagrodzi ich wysiłki nietylko przez zyski terytorjalne, ale też przez uwolnienie ich od nowych zobowiązań finansowych.

Był to fatalny błąd. Naród francuski, gdyby został pokonany, zapłaciłby każdą żądaną sumę. Jest to prawie pewnikiem. Nie liczyłby na żadne względy. Ale — zwycięski, — pragnął, by wróg wyłożył za niego koszty wojny. Minister skarbu p. Klotz często oświadczał osobom prywatnym, że w razie zwycięstwa aljantów wszystkie nowe długi narodu powinien zapłacić wróg i zapewniał naród, że z Niemiec da się wyciągnąć wiele miljardów dla wyrównania rachunków Rzeczypospolitej. A ludzie, naturalnie, wierzyli fachowemu rzeczoznawcy. Stąd stało się pewnikiem, że państwo teutońskie pokryje wszystkie koszty wojny. W tem złudzeniu naród żył, pracował i swobodnie wydawał, a nawet trwonił pieniądze.

A jednak p. Klotz powinien był być lepiej poinformowany. Miał bowiem określone dane, na których mógł się był oprzeć. W październiku 1918 r. rząd francuski, mając wątpliwości co do znaczenia jednego z czternastu punktów, dotyczącego odszkodowań, poprosił oficjalnie o wytłumaczenie i dostał od p. Lansinga telegraficzną odpowiedź, wyjaśniającą, że wróg ma zapłacić wszystkie straty przyczynione bezpośrednio i bezprawnie osobom cywilnym, ale żadnych innych. Była to odpowiedź jasna, a zasada słuszna. Ale zgodnie z obyczajem tajemności, rozpowszechnionym wśród rządów sprzymierzonych europejskich, nie poinformowano narodu o tych ograniczeniach i pozwolono mu piastować niebezpieczne złudzenia.

Ale ministrowie wiedzieli o tem, a p. Klotz był ministrem. Jednak nietylko nie zdradził się z tem, że wiedział, ale postępował tak, jak gdyby ta wiadomość miała wprost przeciwne brzmienie i twierdził, że Niemcy powinny również zwrócić odszkodowania za wojnę 1870 r., licząc je jako procentujący kapitał do listopada 1918 r., co obliczał na sumę pięćdziesięciu miljardów franków. Można było oczekiwać innego sposobu postępowania od kierownika bohaterskiego narodu, dosyć mężnego, by móc stanąć śmiało wobec nieprzyjemnej rzeczywistości.

Niektórzy z wybitniejszych ludzi w kraju, pomimo intensywnej niechęci dla Niemiec, potępiali ten rodzaj buchalterji, ale p. Klotz nie zaniechał swej metody. Wystawił Teutonom rachunek na 1.086 miljardów franków.

Niemcy na Konferencji utrzymywali, że gdyby można było uruchomić bogactwa ich narodu, osiągniętoby sumę najwyżej czterystu miljardów, ale dla zrealizowania jej trzeba byłoby zabrać ludności wszystko: lasy, kopalnie, koleje, fabryki, bydło, domy, meble, gotówkę. Uskarżali się dalej, że klauzule Traktatu, dotyczące terytorjów, pozbawiały ich znacznych źródeł bogactw, co zmniejszy ich wypłacalność w znacznie większym stopniu, niż przypuszczali aljanci. Te klauzule wywłaszczały naród z 21% całego zbioru zboża i ziemniaków. Dalsze zmniejszenie się ilości produkowanej żywności wynikłoby z powodu ograniczeń wwozu surowców dla wyrobu nawozów sztucznych. Zabrano Niemcom około jednej trzeciej części ich węgla, trzy czwarte rudy żelaznej miały również zostać im zabrane; produkcja cynku miała zostać przeszło o trzy piąte zmniejszona. Proszę dodać do tego ogromne zmniejszenie tonażu, maszyn i siły ludzkiej, zupełną utratę kolonij, zmniejszenie ilości surowców i deprecjację marki.

Na Konferencji Amerykanie bronili swego poglądu. Powołując się na zasadę Wilsona, jasno sformułowaną przez Lansinga, utrzymywali, że należy żądać odszkodowań wyłącznie za straty, przyczynione bezpośrednio i bezprawnie osobom cywilnym. Po dłuższej wymianie zdań, koniecznej ze względu na zobowiązania europejskich mężów stanu wobec ich wyborców, postanowiono oprzeć się na tej zasadzie. Ale nawet i przy tem ograniczeniu żądane sumy były olbrzymie. Niemcy utrzymywali, że niektóre wymagania dochodziły do sum, przewyższających całe bogactwo narodowe kraju, który ich żądał. A ponieważ nie można było stworzyć formuły, któraby zadowoliła wszystkich zgłaszających pretensje, zdecydowano w zasadzie, że choć Niemcy są obowiązane tylko do pokrycia pewnej kategorji strat, Konferencja nie stawia ograniczeń co do sum, które podlegają wypłacie.

Wtedy p. Loucheur zaproponował, ażeby żądać od wroga sumy minimalnej, pozostawiając szczegóły co do jej ustalenia specjalnej komisji. Tę decyzję wreszcie przyjęto [1]). Przyjęto ją protestami i żalami, które zresztą wkrótce ustąpiły miejsca wzajemnym powinszowaniom, oficjalnym i prywatnym.

Francuski minister skarbu, naprzykład, odmalował w Izbie jasny obraz finansowej strony Traktatu w zakresie dotyczącym

[1]) W sprawie odszkodowań *Journal de Genève* umieścił w różnych czasach kilka interesujących artykułów, np. dnia 15 maja 1919 r.

Francji: · „W ciągu dwóch lat", oświadczył „niezależnie od taboru kolejowego, materjałów rolniczych i odszkodowań, otrzymujemy część, podlegającą jeszcze określeniu, wypłaty dwudziestu miljardów marek w złocie; inną część, również do określenia, w obligacjach na sumę czterdziestu miljardów marek złotych, przynoszących 2% trzecią część, jeszcze do określenia, w okrętach niemieckich; siedem miljonów ton węgla corocznie w ciągu dziesięciu lat, i zmniejszające się stopniowo ilości w latach następnych; zwrot wydatków okupacyjnych; prawo przejęcia części interesów Niemiec w Rosji, a w szczególności prawo otrzymania spłaty długów przedwojennych w walucie przedwojennej, również utrzymanie ważności tych kontraktów, które będziemy pragnęli utrzymać, oraz zwrot Alzacji i Lotaryngji bez żadnych ciężarów. Nie jest to jednak wszystko. W Marokko mamy prawo zlikwidowania własności niemieckiej, przeniesienia udziałów, reprezentujących interesy Niemiec do Banku Marokańskiego, a wreszcie mamy prawo przyłączenia części kolonij niemieckich, nie obciążonych żadnemi ciężarami... Otrzymamy czterysta sześćdziesiąt trzy miljardy franków, wypłacalnych w ciągu lat trzydziestu sześciu, nie licząc odszkodowań, które zostaną wypłacone. Nie należy również zapominać, że otrzymaliśmy już obligacyj na osiem miljardów, skradzionych właścicielom Francuzom. Proszę więc nie uważać Traktatu za niekorzystny dla Francji"[1]). Wkrótce po wybuchu radości, z którą świętowano zwycięstwo Francji, nagle chmury zasłoniły lazurowy błękit horyzontu politycznego i ciemne cienie poczęły się przesuwać nad krajami sprzymierzonemi. Narody drugiej i trzeciej klasy poczęły się kłócić z mocarstwami pierwszorzędnemi. Włochy, naprzykład, których ludność prawie równa się ludności ich siostry — Francji, zażądały kompensaty za rozległe powiększenie obszernych posiadłości Francji. Przytoczono wiele powodów. Kompensata była obiecana na zasadzie tajnej umowy. Konieczność jej stała się jeszcze bardziej oczywistą, gdy odrzucono wymagania Włoch w sprawie Adrjatyku. Naród włoski żądał, pragnął i zasługiwał na posiadanie odpowiedniego pola do uprawnionej ekspansji. Włosi są tak liczni, jak Francuzi, i mają wysoki roczny przyrost ludności, która musi rąbać drzewo i nosić wodę obcym narodom. Są przedsiębiorczymi, pracowitymi, oszczędnymi i wytrwałymi pracownikami. Kraj ich nie posiada niektórych niezbędnych warunków bogactwa materjalnego, jak naprzykład, węgla, żelaza i bawełny. Dlaczego nie miałyby dostać terytorjum, bogatego w którykolwiek z tych produktów? Dlaczego znaczny kon-

[1]) Mowa p. Klotza w Izbie 5 września 1919 r. *Echo de Paris* 6 września 1919 r.

tyngens ludności włoskiej ma szukać zarobku w kolonjach Hiszpanji, Francji, Anglji lub w republikach południowo-amerykańskich? Prasa włoska zapytywała, czy Rada Najwyższa pragnęła wypełnić słowa ewangelji: Kto ma, temu będzie dodane...?

Jedno z pierwszych żądań wysuniętych przez Włochy, odnosiło się do portu i miasta Djibouti, będącego w posiadaniu Francji. Zostało ono odrzucone prędko i stanowczo. Inne wymagania wywołały obszerne wywody tłumaczące, dlaczego nie można ich zaspokoić. Jednem słowem, Włochy potraktowano, jak ubogą i natrętną krewnę, i radzono im, żeby się pocieszyły świadomością, że pracowały w winnicy idealizmu. Próżno bronili sprawy swej ojczyzny wybitni publicyści w Rzymie, Turynie i Medjolanie.

Opierając się na zasadzie, stosowanej przez Wilsona do Francji i Anglji, Włosi twierdzili, że nawet przed wojną Francja z większą ludnością a mniejszemi posiadłościami wykazała, że jest niezdolna do wypełniania zadań, których się dobrowolnie podjęła. Tunis zawdzięczał swój rozwój i stan kwitnący emigrantom włoskim. Przy nowem rozszerzeniu terytorjum ludność Rzeczypospolitej nie podoła zadaniu w żadnym razie. Radzie Najwyższej wyraźnie nie dogadzał podobny sposób rozumowania; nie pomogli też sprawie Włosi, kiedy, chcąc poprzeć w sposób jaskrawy swe rozumowania, zacytowali w prasie zdanie wybitnego Francuza, p. d'Estournelle de Constanty, który pisał: „Francja ma już zawiele kolonij, o wiele więcej w Azji, Afryce, Ameryce i Australji, niż może ich wyzyskać. Unieruchamia przez to terytorja, lądy, narody, które zagarnia nominalnie. Jestto nierozsądne dzieciństwo brać je w jałowe posiadanie, gdy tymczasem inne państwa mogłyby zużytkować je dla dobra ogólnego. Postępując w ten sposób, Francja staje w sprzeczności z interesami świata i Ligi Narodów. Jestto sprawa poważna. Hiszpanja, Portugalja i Holandja znają jej doniosłość. Cokolwiek bądź, Francja nie była zdolna przed wojną do zużytkowania całej olbrzymiej przestrzeni swych kolonij... z powodu braku ludności. Będzie jeszcze mniej zdolną do tego po wojnie... [1])

Dyskusja stawała się niebezpiecznie ożywioną. W ciężko przeładowanej atmosferze krążyły cięte dowcipy. Zrobiono nietaktowne porównanie narodu francuskiego z sześćdziesięciopięcioletnim *bon vivant*, który pochlebia sobie, że może korzystać z uciech życia w tym samym stopniu, kiedy miał lat trzydzieści. Leciuchne strzały, zaprawione gryzącym kwasem, czę-

[1]) D'Estournelle de Constant, *Bulletin des Droits de l'Homme*, 15 maja 1919 r.

sto wywołują bardziej długotrwałe szkody, niż uderzenia ciężkiego młota. Wkrótce potem odległość między dwoma bratniemi narodami stawała się, niestety, coraz większa i prowadziła do wyraźnego rozdźwięku w ich polityce, co się wydawało brzemiennem w poważne skutki na przyszłość.

Dzisiejsze Włochy nie są Włochami z maja 1915 r. Dziś wiedzą dokładnie, jak stoją. Kiedy obnażały miecz przeciwko sprzymierzeńcom państwa, które uznało traktat za skrawek papieru, krzepiła je uroczysta obietnica, dana na piśmie przez ich towarzyszów broni. Ale gdy wypełniły swoją część umowy, dokument okazał się czemś nie o wiele ważniejszem od skrawka papieru. Politycy włoscy twierdzili, że było to jedną z dotkliwych złośliwości losu, że naród, który najgłośniej protestował przeciwko tej doktrynie, pośrednio przyczynił się do jej triumfu. Wilson, podkopujący nieświadomie wiarę ogółu w traktaty pisane, był na Konferencji jednym z wielu przykładów sprzeczności słów z czynami. Bezstronny historyk przyzna chętnie, że tajne traktaty były głęboko niemoralne z wilsonowskiego punktu widzenia, ale jedynym sposobem pozbycia się ich byłaby jasno określona i bezstronnie stosowana zasada ogólna. Tego jednakże nie poparłaby Rada Najwyższa.

Ze swym sprzymierzeńcem wielkobrytańskim Francja miała również niemiły spór w sprawach wschodnich, głównie Syrji i Persji. Było również żądanie ustąpienia przez W. Brytanję wyspy Maurycego, ale ani nie zostało wyrzeczone oficjalnie, ani też mogło być przedmiotem sporu między temi dwoma narodami. Pierwszą szczelinę w budowie wywołała detronizacja emira Faisala zgodnie z życzeniami ludności arabskiej. Prasa francuska uskarżała się, że ten poetyczny władca zbyt łatwo dostał się na Konferencję i ze zbyt wielkiem uszanowaniem był tam słuchany, gdy tymczasem delegacja perska włóczyła się miesiącami po ulicach Paryża, nie mogąc otrzymać posłuchania. Hedżas, niepodledły od niepamiętnych czasów, został formalnie uznany za odrębne królestwo podczas wojny, a wielki szeryf Mekki nagle został przez Francję i Anglję wyniesiony do godności królewskiej w europejskiem znaczeniu tego wyrazu. Od tej chwili został uznany formalnie przez pięć mocarstw. Jego przedstawiciele w Paryżu zażądali aneksji wszystkich krajów z językiem rodzimym arabskim, które były pod panowaniem Turcji. Zaliczono do nich nietylko Mezopotamję, ale również Syrję, na którą Francja oddawna spoglądała miłosnym wzrokiem i co do której istniało porozumienie pomiędzy nią i Anglją. Projektowane państwo reprezentowałoby federację pan-arabską z około jedenastu miljonami ludności, nad którą Francja nie miałaby protektoratu. A jednak umowa piśmienna nie została unieważniona. Palestyna miała

być wykluczona z tej federacji pan-arabskiej, a Syrji miano się zapytać o zdanie i zamiast oddać ją Francji, jak tego żądał Clemenceau, pozwolono jej wypowiedzieć pragnienia własne bez narzucania propozycji ze strony Konferencji. Mezopotamja uzyskiwała autonomję pod opieką Ligi Narodów, a król Hedżasu prosił o mandat do jedenastu miljonów mieszkańców.

Wywody prasy francuskiej na temat stanowiska Anglji pomimo rezerwy i konwencjonalnej frazeologji zawierały oskarżenie i oznaczały pewne oziębienie przyjaźni między dwoma narodami, i w przebiegu sporu wymówiono niefortunny wyraz „Faschoda". Argumenty francuskiego *Temps'a* były pokrótce następujące: Ludność żądała tak obszernego terytorjum, że suwerenność Hedżasu mogłaby być tylko nominalna i symboliczna. W rzeczywistości przestrzeń równa się połowie cesarstwa Tureckiego. Te rozmaite prowincje będą faktycznie pod panowaniem tego mocarstwa, które było prawdziwym twórcą nowego królestwa, i monarcha Hedżasu stanie się narzędziem w ręku W. Brytanji. Nie będzie to więc niepodległość, tylko maskowany protektorat, któremu w imię wyższych zasad należy zapobiec. Syrję należy oddać Francji bez pytania ludności. Zasoby finansowe Hedżasu są zupełnie niedostosowane do administrowania tak obszernem państwem, które zostało utworzone. Któż da potrzebne fundusze? Naturalnie Anglja, która dostarczała emirowi Faisalowi pieniędzy, zanim jego ojciec uzyskał koronę. Jeżeli to zjednoczenie polityczne zostanie dokonane, stanie się przyczyną nieustannych tarć pomiędzy Francją i Anglją, rozdzieli towarzyszów broni, uraduje czynnego wroga i zgwałci pisaną umowę, która powinna być święta. Z tych powodów należy je odrzucić, a Syrję oddać pod protektorat Francji.

Amerykanie wyszli z założenia, że zgodnie z wysokiemi zasadami moralnemi, które kierowały wszystkiemi pracami Konferencji, należy zaniechać wymieniania pomiędzy sobą cywilizowanych ludów, jakby były inwentarzem, a zapytać je o ich pragnienia. Jeżeli było prawdą, że Syryjczycy pragnęli stać się pupilami Francji, niema powodów, żeby delegaci francuscy sprzeciwiali się plebiscytowi; delegaci wszakże francuscy byli temu przeciwni, gdyż uważali życzenie Syrji, żeby była kierowana przez Francję, za fakt niewątpliwy.

Po długich debatach i gorącej opozycji ze strony delegatów francuskich komisja między-sprzymierzona pod kierownictwem p. Charles Crane'a została wysłana do spornych krajów dla zdania sprawy z życzeń ludności. Po zwiedzeniu czterdziestu miast i miasteczek i przeszło trzystu wsi i po przyjęciu przeszło 1.500 delegacyj krajowców komisja stwierdziła, że większość narodu „woli pozostać niepodległą", a nie sprzeciwia się systemowi mandatów na lat pięćdziesiąt, *z warunkiem, że mandat przyj-*

mą Stany Zjednoczone. „Syrja pragnie stać się królestwem suwerennem, i większość ludności popiera emira Faisala, jako króla". [1]). Komisja stwierdziła dalej, że Syryjczycy, którzy są szczególniej obznajmieni z polityką Stanów Zjednoczonych, powoływali się i opierali na franko-brytańskiem oświadczeniu politycznem [2]), szeroko rozpowszechnionem w kraju, „które obiecywało zupełne uwolnienie od Turków i zaprowadzenie swobodnych rządów wśród ludności miejscowej, tudzież uznanie tych rządów przez Francję i Anglję" [3]).

Rezultat badań Komisji między-sprzymierzonej przypomina historję o dwóch rybakach, co sprzeczali się, który z dwóch różnych sosów jest odpowiedni do pstrąga, złapanego przez jednego z nich. Ponieważ nie mogli się zgodzić, przedłożyli sprawę pstrągowi, który odpowiedział: „Panowie, nie chcę być zjedzony z żadnym sosem. Chcę żyć i być wolnym w swoim żywiole". „Ach, oddalasz się zupełnie od tematu", zawołali obaj i wkrótce potem zawarli kompromis w sprawie sosu.

Ton tego przewlekłego sporu, szczególniej w prasie, był wyraźnie sarkastyczny. Stał się niebezpiecznie ostry, kiedy francuski świat polityczny dowiedział się pewnego dnia o zawarciu traktatu między Anglją a Persją, jako wyniku tajnych petraktacyj pomiędzy Londynem a Teheranem. Podniecenie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy wkrótce potem stał się wiadomy autentyczny tekst tej umowy. Prasa we Francji, Włoszech, Niemczech, Rosji i Stanach Zjednoczonych oświadczała jednomyślnie, że położenie międzynarodowe Persji według nowego dokumentu dyplomatycznego może być określone najlepiej niemile brzmiącemi wyrazami „protektorat" i pogwałcenie systemu mandatów, przyjętego przez Konferencję.

Ten zdumiewający rezultat rzuca jaskrawe światło na nowy ustrój świata i jego stosunek do ewangelji Wilsona, powikłanej tajnemi porozumieniami, protektoratami bez mandatów i jednostronnie stosowanemi umowami.

Persja jest jednym z członków Ligi Narodów [4]) i jako taki była, jak twierdzili Francuzi, uprawniona do tego, żeby jej wysłuchano na Konferencji. Cierpiała krzywdy, które wołały o naprawę, jej neutralność została pogwałcona, wielu z jej poddanych zostało zabitych i jej prawa do kompensaty były niezaprzeczone. Ponieważ prezydent Wilson, pocieszyciel małych

[1]) *Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 24 sierpnia 1919 r.
[2]) Wydano je 9 listopada 1918 r.
[3]) Patrz *Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 30 sierpnia 1919 r.
[4]) Pewien senator amerykański nielitościwie podejrzywał, że otrzymała to zaszczytne odznaczenie, żeby dostarczyć dodatkowego głosu Anglikom.

państw i narodowości uciśnionych, głosił, że najsłabsze państwa będą traktowane równie życzliwie, jak największe, delegaci perscy udali się do Paryża w przekonaniu, te zostaną przyjęci życzliwie. Lecz spotkało ich rozczarowanie. Nie zostali wcale dopuszczeni. Czy gdyby zostali wysłuchani i poparci przez Radę Najwyższą, mogliby istnieć jako państwo niepodległe, jest to kwestja, o której nie możemy dyskutować w tem miejscu. Według Francuzów Konferencja była moralnie obowiązana do przyjęcia delegacji perskiej. Najwyższą rzeczą, którą osiągnęła, była prywatna rozmowa kierownika delegacji perskiego ministra spraw zagranicznych Momaleka z prezydentem Wilsonem, pułkownikiem House i p. Lansingiem. Ci mężowie stanu obiecali bez wahania pomóc Persji w zabezpieczeniu jej praw suwerennych, a w każdym razie umożliwić delegatom przedłożenie sprawy ich ojczyzny i założenie protestów przed Konferencją. Delegaci zostali pokrzepieni na duchu i czuli się pewnymi powodzenia swej misji. Oświadczyli delegatom amerykańskim, że Persja za tę pomoc będzie się uważała za dłużnika Stanów Zjednoczonych, że zaprosi finansistów amerykańskich do uporządkowania jej spraw pieniężnyeh, inżynierów amerykańskich do rozwoju przemysłu górniczego, oraz firmy naftowe amerykańskie do zbadania i wyzyskania jej zasobów naftowych [1]), Jednem słowem, Persja ma zostać zamerykanizowaną. To naiwne oświadczenie co do roli, zachowanej dla dobroczyńców amerykańskich w krainie Szacha mogło zrobić wrażenie na pewne sfery handlowe i finansowe w Stanach Zjednoczonych, ale było niezmiernie dalekie od jedynej pobudki, która byłaby powinna kierować delegatami amerykańskimi w popieraniu sprawy ich przyszłych pupilów. Obietnice robione przez pp. Wilsona, House'a i Lansinga, skończyły się na niczem. Przez całe miesiące wysłańcy perscy trwali w nadziei, podsycanej zapewnieniami ze strony różnych członków Konferencji, że interwencja Wilsona okaże się niezawodnie skuteczną. Ale wypadki zaprzeczyły tym przewidywaniom, poczem kierownik delegacji perskiej po kilku miesiącach próżnego oczekiwania opuścił Francję i udał się do Konstantynopola, a położenie jego kraju wśród innych narodów zostało określone szczegółowo w nowej umowie.

Położenie to niewątpliwie przypomina stan Egiptu przed wybuchem wojny światowej. Taki stan trudno nazwać niepodległością. Odtąd Wielka Brytanja zyskiwała silny wpływ na politykę celną perską, kontrolę nad kolejami i drogami wodnemi, prawo budowy kolei, kopalnie nafty—te już dawniej

[1]) Interwjew z urzędnikiem perskim, drukowany w wydaniu paryskiem *Chicago Tribune*, 19 sierpnia 1919 r.

należały do nas — prawo organizowania armji i kierowania polityką zagraniczną królestwa. I można słusznie twierdzić, że to urządzenie będzie dla Persów większem błogosławieństwem, niż realizacja ich własnych ambicyj. Jestto w każdym razie moje przekonanie osobiste, które miałem i wypowiadałem je w ciągu szeregu lat. Przeczy ono wszakże literze i duchowi wilsonizmu, który dziś jest ścianą stanowiącą przeszkodę dla państw — karzełków, ale łatwą do przesadzenia jednym susem dla olbrzymów.

Politycy francuscy obruszyli się na to pogwałcenie nowej doktryny humanitarnej. Jaskrawość przekroczenia oburzyła ich, wzruszyła — klęska Persów i przejęli się niezmiernie prawem samostanowienia. Czyż nie głównie dla zdobycia tego prawa ponosiły wszystkie narody sprzymierzone niesłychane ofiary w ciągu lat pięciu? Coby się stało z Ligą Narodów, gdyby zaczęto pobłażać podobnym, tajnym i egoistycznym krokom? Jednem słowem, sympatja francuzów dla ofiar hegemonji brytańskiej rosła w równie silnym stopniu, jak i współczucie W. Brytanji dla Syryjczyków, broniących się przed wciągnieniem ich w orbitę Francji. Te ostre protesty i poważne wezwania, jak to warto zaznaczyć, były głównemi, może jedynemi objawami tkliwości dla bezbronnych ludów, wywołanej przez wielki ruch etyczny, któremu przodowała Konferencja.

Francuzi wykazywali dalej, że system mandatów został specjalnie wytworzony dla krajów tak zacofanych i bezbronnych, jak Persja, i że jedynem ciałem, uprawnionem do stosowania go, była Rada Najwyższa lub Liga Narodów. Prasa angielska odpowiedziała, że co do narodu Szacha nie wydano podobnie upokarzającego wyroku, że ministerstwo spraw zagranicznych wyraźnie zaprzeczyło temu, jakoby miało zamiar objęcia protektoratu nad Persją, która jest i pozostanie państwem suwerennem i niepodległem. Ale te wyjaśnienia nie zdołały przekonać naszych oburzonych sprzymierzeńców. Tłumaczyli z doświadczenia, że nie należy ufać zapewnieniom oficjalnym i entuzjastycznym frazesom, którym zwykle przeczą następujące po nich czyny [1]). Użalali się dalej, że długie, tajne pertraktacje, odbywające się w Teheranie, w tym czasie gdy delegacja perska długo i napróżno czekała w Paryżu, żeby jej pozwolono bronić sprawy ojczyzny przed wielkimi dyktatorami świata, nie były dobrym przykładem lojalności wobec nowego prawodawstwa światowego. Czy Wilson nie głosił, że narodów

[1]) „Niestety p. Lloyd George, który odebrał ministerstwu spraw zagranicznych istotną władzę, często dawał podobne zapewnienia, a czyny jego zwykle im przeczyły. Za przykład może posłużyć jego ostatni interwjew z Clemenceau." *Echo de Paris*, 15 sierpnia 1919 r., artykuł Pertinaxa.

nie wolno już będzie wymieniać wzajem, jak inwentarz. Tu odezwali się Włosi i Rumuni, przypominając swym rodakom, że to byli ci sami Amerykanie, którzy w warunkach pokojowych, przedłożonych początkowo hrabiemu Brockdorff - Rantzau, oddawali ludność niemiecką zagłębia Saary Francji na lat piętnaście, jako ekwiwalent za sumy pieniężne, podlegające wypłacie w złocie i że Francja w każdym razie nie wystąpiła z protestem przeciwko wymianie, ani zasadzie, na której ją opierano. Uważali oni, że jeżeli stosuje się zasadę w jednym wypadku, należy się również zastosować ją i w drugim i że jedynie te osoby lub państwa mogły słusznie kwestjonować umowę anglo-perską, które same nie zawierały podobnych tranzakcyj.

Wreszcie prasa paryska, przywiązując odpowiednią wagę do przymierza z W. Brytanją, uderzyła w inny ton. „Zdaje się, że ostatnie pertraktacje perskie dają temat do rozmów między naszym rządem a rządem sprzymierzonych", pisał pewien wpływowy dziennik [1]). Przyjazną umowę podchwyciła prasa angielska. Powstała myśl połączenia tranzakcyj syryjskich z perskiemi i uczynienia koncesyj francuskich w jednym z krajów równoważnych z koncesjami angielskiemi w drugim. Ten kompromis uspokoiłby brzydką kłótnię i ułożył wszystko ku lepszemu. Gdyż zamiary Francji wobec narodu syryjskiego były, jak zapewniano ze źródeł wiarogodnych, równie szlachetne i bezinteresowne, jak interesy Anglji wobec Persji, i o ile Syryjczycy woleli, żeby ich mentorem był raczej naród o języku rodzimym angielskim, niż Francuzi, o tyle jest równie prawdziwem, że Persowie woleli raczej Amerykan, niż Anglików dla dozoru i przyśpieszenia swych postępów w cywilizacji. Ale zamiast dawać posłuch życzeniom tylko jednego z tych narodów, lepiej nie zwracać uwagi na żadne z nich. Za pomocą tego rozważnego kompromisu mogłyby być zupełnie zaspokojone wymagania prawa i sprawiedliwości, pilnie przestrzegane przez obydwa rządy.

Nasi sprzymierzeńcy amerykańscy uspokoili się nie tak łatwo. W rzeczywistości nie pominięto niczego, żeby ich uspokoić. Prasa ich potępiała „protektorat", jako przekroczenie Statutu. Sekretarz Lansing oznajmił [2]), że delegacja Stanów Zjednoczonych starała się uzyskać posłuchanie dla Persów na Konferencji, ale „przegrała bitwę". Pewien Pers, dowiedziawszy się o tem oświadczeniu, powiedział: „Kiedy delegacja Stanów Zjednoczonych starała się przeszkodzić Włochom w aneksji Fiume i uzyskaniu terytorjów, obiecanych im przez traktat tajny, osiągnęła swój cel, gdyż postanowiła nie ustępować.

[1]) *Le Journal des Débats*, 15 sierpnia 1919 r.
[2]) W Waszyngtonie d. 16 sierpnia 1919 r.

Wtedy postarali się, by im się udało. Kiedy podjęła się obrony interesów Żydów i narzuciła pół-państwo żydowskie Rumunji i Polsce, była mocna, jak skała z granitu, i ani opozycja, ani grożące w przyszłości niebezpieczeństwa nie wywarły wpływu na jej wolę. Postarali się nie przegrać bitwy, ale w sprawie Persji ją przegrali choć logika, poczucie ludzkości, sprawiedliwość i prawa uroczyście przyjęte przez wielkie mocarstwa były po jej stronie".

...Jeden z organów prasy amerykańskiej określił umowę anglo-perską jako większy cios dla czternastu punktów Wilsona, niż nim było przyznanie Szantungu Japonji, gdyż całą Persję poddaje pod protektorat W. Brytanji [1]).

Ogólnie biorąc, przykłady, ilustrujące znaczenie niemieszania się do spraw wewnętrznych innych narodów, były liczne i nieco niepokojące. Gdyby nie to, że Wilson przyjechał do Europy specjalnie w celu wyjaśnienia i wprowadzenia w życie swej doktryny, można byłoby twierdzić, że Rada Najwyższa często robiła z niej parodję. Ale ponieważ Prezydent był sam jednym z głównych członków tej Rady, której decyzje były jednomyślnie, najwyżej można twierdzić, że starał się narzucić swe zasady swym nieprzejednanym kolegom i „przegrał bitwę".

Mamy inny uderzający przykład tego, co przeciętnemu człowiekowi wydawałoby się wmieszaniem się do polityki wewnętrznej innego narodu — w dobrych zamiarach i może dobroczynnem w skutkach — gdyby nie to, że najwyższy autorytet nas upewnia, że nie jest to niczem podobnem. Został on zalecony przez anty-bolszewików, jako środek do zdobycia pomocy z zewnątrz dla zajęcia Piotrogrodu. Cel był dobry, a środki wydawały się skuteczne tym, którzy je stosowali. Przypuszczano, że partja Kołczaka-Denikina objęłaby tę stolicę już dawno, gdyby uzyskała pomoc wojenną ze strony Estończyków. Ale żądaną za to ceną było uznanie ich zupełnej niezależności przez rząd antybolszewicki w imieniu całej Rosji. Kołczak odmówił zapłacenia tej ceny, rozumiejąc, że przekracza to jego władzę i że tylko dyktator mógłby odstąpić terytorjum, nadużywając w ten sposób zagarniętej władzy. W związku z tem zamierzany atak na Piotrogród nie doszedł do skutku. Odmowa admirała była usprawiedliwiona okolicznością, że był on przedstawicielem tylko znacznego odłamu narodu rosyjskiego, i że przed podjęciem podobnej akcji należałoby było zasięgnąć opinji poważnego zgromadzenia przedstawicieli narodu. Stagnacja wojenna trwała miesiącami. Pewnego dnia prasa przyniosła wiadomości, że trudność została szczęśliwie pokonana. Wiadomość została udzielona światu w następującej formie: „Pułkownik Marsh z armji w. brytańskiej, reprezentujący generała

[1]) *Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 19 sierpnia 1919 r.

Gough, dnia 12 sierpnia zorganizował na północo-wschodzie Rosji, w Rewlu, nową republikę *w ciągu czterdziestu pięciu minut.*

Generał Judenicz został mianowany kierownikiem nowego rządu, połączonego z rządem Kołczaka: Północno - wschodnia Rosja przeciwstawia się rządowi estońskiemu tylko w zasadzie, ponieważ potrzebuje gwarancji, że Estończycy nie będą tylko środkiem, za pomocą którego jakieś wielkie mocarstwo, w rodzaju Niemiec, będzie kontrolowało wyjście Rosji na Bałtyk. Jeżeli Estończycy dadzą odpowiednie gwarancje, północno-wschodni Rosjanie są gotowi pozwolić im na utworzenie państwa niezależnego“ [1]).

Był więc „pułkownik wielko-brytański“, który poza swemi obowiązkami wojskowemi chciał i potrafił, według tego sprawozdania, utworzyć republikę niezależną bez pomocy ze strony Rady Najwyższej, gdy tymczasem fachowi dyplomaci wojskowi innych narodów miesiącami starali się stworzyć republikę nadreńską pod Dortenem i nie udało im się. Jeżeli sprawozdanie dziennika jest ścisłe, nie zużył nawet wiele czasu na tę sprawę. Od początku aż do chwili, gdy na północo-wschodzie Rosji powstało państwo niepodległe, ogłaszające i wykonywujące doniosłe decyzje w zakresie polityki międzynarodowej, upłynęło, jak mówią, czterdzieści pięć minut.

Czterdzieści pięć minut na zegarze. Był to czyn prawie równie szybki, jak ułożenie Statutu Narodów. Dalej, pomysłowy twórca państw ukuł republikę, która była uprawniona do oddania suwerennych posiadłości rosyjskich, nieuznanym państwom bez zasięgnięcia opinji w tej sprawie narodu, i bez upoważnienia od kogokolwiek. Jeszcze bardziej niezwykłą, niż inne szczegóły, była okoliczność, że wykonał swoją pracę tak dobrze, że nie doszło wcale do interwencji. [2])

Nie należy się dziwić, jeżeli rozróżnienie pomiędzy tem zdumiewającem dziełem dyplomatyczno-militarnego sztukmistrzostwa a mieszaniem się do spraw wewnętrznych innego narodu wyda się zbyt subtelnem dla pojętności przeciętnej jednostki, nie będącej politykiem. Praktyki tego rodzaju określają ostatecznie wartość traktatów i statutu, który tak chętnie zabierał ze sobą do Waszyngtonu Wilson, jako ostateczny wyraz tego, co było najwspanialszem dziełem człowieka historycznego. Z nowych zasad etycznych, ze szlachetnego wyrzeczenia się przywilejów, z naprawy odwiecznych krzywd, ze względów,

[1]) *Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 24 sierpnia 1912.

[2]) Kiedy powyższy ustęp został napisany, dziennik francuski *Echo de Paris* z 19 września 1919 r. pisał, że generał Marsh oświadcza, że agenci jego działali bez jego wskazówek, co nie przeszkadza jednak czynieniu go odpowiedzialnym za tę politykę w sprawie Bałtyku.

które należy okazywać słabym i które zacieśniłyby związek narodów w jedną zgodną, jeśli nie szczęśliwą rodzinę, pozostało tylko wspomnienie. Równie gorzkiej porcji rozczarowania nie przełknęły narody, odkąd istnieje na świecie historja polityczna. Liczne, pięknie brzmiące frazesy, które niegdyś zwiastowały nową erę pokoju, prawa i sprawiedliwości zostały nietylko pozbawione swej treści, ale zaczęły oznaczać pojęcia wprost przeciwne. Wolność mórz stała się panowaniem nad morzami, które może doprowadzić do błogosławionych rezultatów, ale nie powinno byłoby być przemycane pod tą wprowadzającą w błąd nazwą. Rozbrojenie oznacza, jak mówili swym współobywatelom generałowie i admirałowie angielscy, amerykańscy i francuscy, rzetelne przygotowania do następnej wojny, które nie ograniczają się do tak zwanych dotąd państw wojennych, ale mają rozszerzyć się na cały świat anglosaski [1]). „Jawne umowy jawnie zawierane" oznaczają tajne conclave i konspiracyjne narady prowadzone z nieprzeniknioną tajemnością, której nie mogą się wyzbyć nawet wtedy, kiedy cała sprawa przeszła do historji [2]).

Samostanowienie narodów znajduje ograniczenia w prawach każdego mocarstwa trzymania w karbach narodów sobie podległych na tej zasadzie, że ich stosunki wzajemne dotyczą polityki wewnętrznej państwa. Oznacza ono dalej przywilej tych, co posiadają większą siłę, poddawania uciskowi tych, którzy są słabi, a dźwignia, trzymana przez nich w tym celu, znana jest pod ponętną nazwą opieki nad mniejszościami. Powstrzymanie się od wtrącania się w sprawy wewnętrzne państwa sąsiedniego oznacza najprzykrzejszy i najbardziej upokarzający sposób mieszania się do spraw, nie mających związku z prawem międzynarodowem, gdyż gdyby miały, należałoby zastosować to prawo do wszystkich narodów. Narody mniejsze muszą słuchać wskazówek państw większych w sprawach, dotyczących traktowania przez nich obcych przybyszów w ich pań-

[1]) Marszałek Douglas Haig, lord French, pacyfista amerykański Sydney Baker, senator Chamberlain, delegat Kahn i cały szereg innych wypowiedzieli się za powszechnem wykształceniem wojskowem. Prasa również z nieznacznemi wyjątkami popiera ten ruch. „Potrzebujemy zdemokratyzowanej armji, która reprezentuje cały naród i może być uzyskana tylko przez służbę powszechną. Służba powszechna „jest naszą najlepszą gwarancją pokoju". *The Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 22 sierpnia 1919 r.

[2]) Prezydent Wilson, zapytany w końcu swej konferencji z komisją spraw zagranicznych Senatu — w Białym Domu — jak głosowały Stany Zjednoczone w sprawie rezolucji Japonji w obronie równości ras, odpowiedział: „Nie jestem pewien, czy wolno mi odpowiedzieć na to pytanie, gdyż dotyka ono wielu punktów, dyskutowanych w Paryżu i w interesie harmonji międzynarodowej myślę, że będzie lepiej, jeżeli nie odpowiem". *Daily Mail* (wydanie paryskie), 22 sierpnia 1919 r.

stwach i poddawać się kontroli ciał obco-państwowych, nieobeznanych z położeniem i jego wymaganiami. Nie dosyć, że państwa te powinny udzielić obywatelom rasy semickiej i innych wszystkich praw, z których korzystają ich właśni obywatele— powinni pójść dalej i zaopatrzyć ich w przywileje specjalne, a dla tego celu mają się wyrzec części swej suwerenności. Powinny również pozwolić swym silniejszym aljantom dyktować sobie prawodawstwo w sprawie przewozu towarów i handlu zagranicznego [1]). Dla wielkich mocarstw nie napisano jednak tego prawa mniejszości. Są one ponad prawem. Ich obroną jest siła. Jednem słowem, siła jest takim samym atutem w grze politycznej przyszłości, jakim była w przeszłości. I napomnienie p. Clemenceau, wypowiedziane małym państewkom na początku Konferencji, że przedstawiciele dwunastu miljonów żołnierzy są panami sytuacji, było zupełnie na miejscu. W ten sposób wojna wywołana przez zamianę uroczystego traktatu na skrawek papieru, została zakończona utworzeniem dwóch skrawków papieru: Traktatu i Statutu, dla odrodzenia moralnego świata.

[1]) W myśl artykułu 60 Traktatu z Austrją.

ROZDZIAŁ XIV.

TRAKTAT Z NIEMCAMI.

SZCZEGÓŁOWE omówienie warunków pokoju, które po wielu miesiącach bezładnych rozmów zostały wreszcie przedłożone hrabiemu Brockdorff-Rantzau, przekroczyłoby rozmiary tej książki. Jak każdy inny akt Rady Najwyższej, mogą być sądzone z dwóch odległych jeden od drugiego punktów widzenia: jednego—sprawowania władzy przez państwo zwycięskie nad zwyciężonym wrogiem, i z drugiego—jako środka, za pomocą którego ma być zaprowadzony na świecie i ustalony na przyszłość pokój. I z żadnego z tych punktów widzenia warunki pokojowe nie mogą zyskać uznania u bezstronnych badaczów politycznych. Przedewszystkiem Niemcy i nietylko sami Niemcy spodziewali się, że warunki zostaną oparte na czternastu punktach, gdy tymczasem większość aljantów uważała za pewnik, że będą ułożone z zamiarem złamania na zawsze potęgi teutońskiej. Dla każdego z tych przypuszczeń istniały wystarczające podstawy formalne.

Jedynym uprawnionym motywem dla połączenia Statutu z Traktatem było dążenie do uznania tego ostatniego za rodzaj wyniku Statutu i do poskromienia żądzy zemsty przez poparcie interesów wyższych. Na tej zasadzie zwolennicy daleko sięgającej reformy podtrzymywali Wilsona w jego żądaniu, żeby obydwa dokumenty były ściśle związane ze sobą. Odszkodowanie za straty, przyczynione przez pogwałcenie prawa międzynarodowego i pewne gwarancje przeciwko powtórzeniu ich jest zasadniczą treścią każdego traktatu pokojowego, który następuje po decydującem zwycięstwie. Lecz odszkodowanie jest rzadko tem i niczem więcej. Niższe instynkty natury ludzkiej, panując podczas krwawej wojny i w godzinę zwycięstwa zwykle biorą górę nad względami nietylko prawa, ale i oświeconego egoizmu, pozwalając sprawiedliwości utonąć w uczuciu zemsty. Owocem zaś tego jest ukryta nienawiść i tajne postanowienie ze strony pokonanego, żeby przy pierwszej sposobności, oddać zwycięzcy wet za wet. Pobity na wojnie dziś dąży do tego,

żeby stać się zwycięzcą jutro. Podobny zaś stan umysłu nie da się pogodzić z usposobieniem, niezbędnem dla ery przyjaźni duchowej, którą zamierzał zapoczątkować Wilson. Z tego powodu traktat pokojowy, niezmieniony przez zasady podstawowe Statutu, jest zaprzeczeniem głównych możliwości związku narodów, opartego na prawie i decydującym argumentem przeciwko łączeniu ze sobą tych dwóch dokumentów.

Inny rodzaj pokoju, który miał na myśli Wilson, polegał nietylko na zlikwidowaniu wojny, ale na wykorzenieniu stałych jej przyczyn, na wyrzeczeniu się przez narody krwawych konfliktów, jako sposobów rozstrzygania sporów, i na pokojowem przekształceniu stosunków międzynarodowych, które byłoby zdolne powstrzymać spory, żeby się nie zmieniały w niebezpieczne kłótnie. Sprawiedliwość lub coś, co jest jej najbliższe, a możliwe do osiągnięcia, zajęłaby wtedy miejsce gwałtu, przez co gwarancje militarne stałyby się nietylko zbytecznemi, ale nawet sprzecznemi z duchem głównego celu Ligi. Każdy naród miałby wtedy równie pomyślne warunki w granicach, zakreślonych przez naturę i rozszerzonych przez jego własne zdolności umysłowe i moralne. W ten sposób odmówienie licznemu, rosnącemu i terytorjalnie skurczonemu narodowi posiadania kolonij zamorskich dla nadwyżki jego ludności, a jednocześnie obciążanie innych posiadłościami, których nie są w stanie zużytkować, byłoby zaprzeczeniem jednej z podstawowych zasad nowego ustroju.

To były przyczyny, które, jak się zdawało, stwierdzały przekonanie, że Traktat byłby nietylko formalnie, ale w istocie swej i z ducha częścią składową ogólnego układu, opartego na czternastu punktach.

To przewidywanie okazało się jednak złudzeniem. Wilsonizm stał się systemem zgoła odmiennym od czternastu punktów, a autor jego odegrał rolę nietylko tłumacza swych zasad, ale rodzaju papieża politycznego, jedynego, który posiada władzę unieważniania praw, obowiązujących wszystkich tych, którym powinien odmówić zwolnienia od stosowania się do nich. Miał do czynienia z patrjotycznie usposobionymi politykami, przesiąkniętymi dawnemi poglądami, pragnącymi przez warunki pokoju zabezpieczyć się na wypadek przyszłej wojny i dążącymi do osiągnięcia *maximum* przywilejów nad przypuszczalnym wrogiem przez rozczłonkowanie jego terytorjum, pozbawienie go kolonij, uzależnienie go od innych w dostawach surowców i sztuczne powstrzymywanie jego naturalnego rozwoju. Prawie wszyscy z nich mieli racje, które mogli przytoczyć na usprawiedliwienie swych żądań, niektórzy zaś nie mieli nic więcej. I te skłonności Wilson pragnął połączyć z ideałami etycznemi, by je wcielić w Związek Narodów.

Była to synteza niemożliwa. Duch uczciwości był dobrze reprezentowany na Konferencji — miał zatonąć i zatracić się w wylewie wspaniałomyślnym; ostrożności wobec znienawidzonego wroga miały być połączone z ufnością w jego szlachetność; okupacja wojenna zabezpieczyłaby przeciwko nagłym napadom, a przeprowadzenie rozbrojenia świadczyłoby o braku podejrzliwości. W ten sposób Polska sprawowałaby obowiązek sprzymierzeńca Francji przeciwko Teutonom na Wschodzie, a granice jej pozostawiły ją niedostatecznie zabezpieczoną od ich przyszłych napaści z Zachodu. Niemcy były rozczłonkowane, jednak tak dalece ufano w ich szlachetność i charakter, że postarano się zahartować je przeciwko pokusie skorzystania z okoliczności, żeby połączyć nanowo to, co rozdzieliła Francja. Liga Narodów miała być oparta na wzajemnem zaufaniu i przyjaźni, jednak jednemu z najpotężniejszych jej członków nie ufano do tego stopnia, że uznano go nazawsze za niegodnego posiadania jakichkolwiek kolonij zamorskich. Terytorjum niemieckie w zagłębiu Saary jest niewątpliwie zamieszkałe przez Niemców, jednak w ciągu piętnastu lat ma być pod obcą administracją, a w końcu tego terminu ludność ma być zapytana, czy pragnie rozciąć więzy, łączące ją z własnem państwem i przejść pod panowanie francuskie; oprócz tego postanowiono dawać premje emigrantom francuskim do zagłębia Saary.

Oto jest kilka następstw pomieszania dwóch niemożliwych do pogodzenia z sobą zasad.

Nie można zaprzeczyć, że Niemcy sprawiedliwie zasługiwałyby na karę. Zbrodnia ich nie miała sobie równej. Niektóre z jej gorszych skutków są nie do naprawienia. Całe odłamy narodu niemieckiego nie mają dotąd nietylko świadomości rozmiarów, ale i świadomości kryminalnego charakteru swych występków. Pomimo tego o przyszłości myśleć należy, i jednym z najpewniejszych środków byłoby usunąć chęć do złego w potężnym wrogu, jeżeli niepodobna unieruchomić jego potęgi. Tego zaniedbał Traktat.

Niemcy, dowiedziawszy się o warunkach, gniewnie spierali się o nie, wreszcie odmówili podpisania dokumentu. Zastrzeżenia finansowe zostały przez nich napiętnowane, jako ukryte niewolnictwo. Prasa tłumaczyła, że podczas wojny Niemcy zajęli mniej niż jedną dziesiątą terytorjum Francji i tylko część zajętej przestrzeni była w pasie walk. Całkowite bogactwo Francji było ocenione przed wojną na 350 do 400 miljardów franków, w związku z tem jako odszkodowanie za zniszczone prowincje można byłoby słusznie żądać jednej dwudziestej tej sumy, gdy tymczasem żądane pretensje były bez porównania większe. Protestowali przeciwko utracie kolonij, gdyż podane uzasadnienie — że nie są zdolni do administrowania niemi, ja-

koby wskutek poprzednich okrucieństw w stosunku do krajowców, — było bezpodstawne, jak to przyznali sami aljanci, dając im prawo pierwoskupu w sprawie portugalskich i innych posiadłości zamorskich w przededniu wojny.

Ale najwymowniejsze protesty dotyczyły artykułów w sprawie zagłębia Saary. Ludność ich była w całości niemiecka, jednak twórcy traktatu postanowili poddać ją okupacji francuskiej na przeciąg lat piętnastu i oddać Francji po upływie tego terminu, o ile rząd niemiecki nie będzie mógł zapłacić pewnej sumy w złocie, za kopalnie węgla, które są w zagłębiu. Jeżeli suma ta nie zostanie wypłacona, ludność i okrąg przejdzie na zawsze w posiadanie Francji, nawet gdyby głosowała jednomyślnie za połączeniem się z Niemcami. Hrabia Brockdorff-Rantzau zrobił w swej nocie o Traktacie następującą uwagę: „w historji nowszych czasów niema drugiego przykładu, żeby mocarstwo cywilizowane zmuszało inne państwo do oddania jego narodu pod obce panowanie, jako równoważnik za mającą być wypłaconą sumę pieniężną". Jeden z najbardziej wpływowych dzienników skarżył się, że Traktat „wymieniał niemieckich mężczyzn, kobiety i dzieci na węgiel; poddawał niektóre okręgi o rdzennie niemieckiej ludności przymusowemu plebiscytowi [1]) pod stronnym nadzorem, inne zaś bez pytania odrywał od ich ojczyzny; oddawał zdobycze przemysłu niemieckiego pożądliwości kapitalistów obcych na czas nieograniczony... pokrywał kraj cały siecią cudzoziemskich komisyj, które ma opłacić naród niemiecki; wyłączał rzeki, koleje, żeglugę powietrzną, liczne zakłady przemysłowe, cały system ekonomiczny z pod władzy suwerennej państwa niemieckiego za pomocą umiędzynarodowienia albo kontroli finansowej; dawał obcym inspektorom prawa, które sprawowali tylko satrapi monarchów absolutnych w dawnych czasach; jednem słowem, kładł kres istnieniu narodu niemieckiego, jako takiego. Niemcy stałyby się kolonją białych niewolników..." [2]).

Na szczęście dla aljantów zarzut wymiany istot ludzkich na węgiel wydał się ich kierownikom tak krzywdzący, że zmienili nienawistny paragraf, dotyczący tej sprawy. Nawet głosy przyjaźnie usposobionej prasy neutralnej były niezwykle sarkastyczne.

Znajdowano błędy w traktacie, których niestety nie można było usprawiedliwić. „Nie trzeba ukrywać", pisze jeden z po-

[1]) Jeden z trzech okręgów Szlezwigu. Ciekawy objaw gorliwej dbałości Rady Najwyższej o interesy Danji, jeśli go porównamy z odmową Danji skorzystania z niego. Bojownicy samostanowienia namawiają Duńczyków, żeby żądali okręgu, jako duńskiego, o którym Duńczycy wiedzą, że jest niemiecki.

[2]) *Das Berliner Tageblatt*, 4 czerwca 1919 r.

ważnych dzienników, „że ten pokój nie jest tem, czego oczekiwaliśmy. Usuwa on dawne niebezpieczeństwo, ale stwarza nowe. Alzacja i Lotaryngja nie są już co prawda w niemieckiem ręku, lecz... iredentyzm przeszedł tylko do innego obozu. W r. 1914 Niemcy dufały w siłę, gdyż władały nią same; lecz uginające się pod pokojem, gwałcącym dawane im obietnice, pokojem, którego w głębi serca nigdy nie przyjmą, zwrócą się ku sile nanowo. Wielkim błędem Traktatu, pozostanie to, że splamił zwycięstwo skazą moralną i przyczynił się do wykrzywienia dróg rewolucji niemieckiej... Zasadniczy błąd aktu polega na tem, że jest on kompromisem pomiędzy dwoma rozbieżnemi systemami poglądów. Byłoby możliwem przywrócić pokój Europie przez ostateczne pokonanie Niemiec; ale żeby to osiągnąć, trzeba byłoby zniszczyć naród siedemdziesięciomiljonowy i uczynić go niezdolnym do powstania nanowo. Pokój mógłby być również osiągnięty wyłącznie za pomocą siły prawa, ale w tym wypadku należało Niemcy potraktować tak oględnie, żeby nie miały powodu do szemrania. P. Clemenceau przeszkodził p. Wilsonowi w należytem zahamowaniu szlachetności i wyrozumiałości dla stworzenia pokoju moralnego, a p. Wilson ze swej strony powstrzymał p. Clemenceau od zbytniej surowości dla zapewnienia pokoju materjalnego; rezultatem zaś jest to, co było łatwe do przewidzenia: ustrój pozbawiony istotnych gwarancyj trwałości" [1]).

Sąd syndykalistów francuskich był jeszcze surowszy. „Pokój Wersalski", woła p. Verfeuil, „jest gorszy od pokoju w Brześciu Litewskim... aneksje, ciężary ekonomiczne, olbrzymie odszkodowania i karykatura związku narodów — oto co stanowi bilans nowej polityki [2]). Deputowany Marcel Cachin powiedział: „Armje sprzymierzone wojowały, żeby uczynić tę wojnę ostatnią. Walczyły o sprawiedliwy i trwały pokój, ale nie uzyskaliśmy żadnego z tych dóbr. Stoimy wobec niepowodzenia polityki jedynego człowieka, któremu zaufało nasze stronnictwo—prezydenta Wilsona. Warunki pokojowe są niemożliwe do przyjęcia z różnych względów: finansowych, terytorjalnych, ekonomicznych, społecznych i ludzkich" [3]).

W Traktacie o wiele wyraźniej, niż w Statucie zarysowały się zasady, którym od początku sprzyjał Wilson. Co prawda, po każdem ustępstwie, zrobionem podczas Konferencji, powoływał się na Statut i jego realizację konkretną—Ligę Narodów, jako korektywę, która na przyszłość wszystkiemu zaradzi. Lecz nie należy tracić z oczu faktu, że Traktat i skutki jego wywrą

[1]) *Le Journal de Genéve*, 24 czerwca 1919 r.
[2]) *L'Echo de Paris*, 12 maja 1919 r.
[3]) *L'Echo de Paris*, 12 maja 1919 r.

swój wpływ na Statut, nie zaś odwrotnie. Pewien wybitny profesor szwajcarski zauważył: „Żadna Liga Narodów nie przeszkodziłaby narodowi belgijskiemu w oderwaniu się od Holandji w roku 1830. Czyż przyszła Liga Narodów przeszkodzi Niemcom w odbudowaniu swej jednostki geograficznej?". Czy przeszkodzi Niemcom w Czechach w walce z Czechami? Czy nie pozwoli rozproszonym dziś Węgrom pracować dla swego zjednoczenia?"[1]).

Ten silny zamęt pełen jest niebezpieczeństw dla Francji. Czy gdyby wybuchnęła wojna w Europie Wschodniej, należy przypuszczać, że Stany Zjednoczone, kolonje angielskie, a nawet sama Anglja wyśle wojska, żeby w niej uczestniczyć? Trudno to przypuszczać. Wyobraźmy sobie, naprzykład, że Austrjacy, pragnący gorąco zlania się z Niemcami, ogłoszą, że przystępują do związku z nimi, czy przypuszcza jakikolwiek mąż stanu, że demokratyczna Ameryka wyśle wojska, żeby ich zmusić do posłuszeństwa? Jeżeli Niemcy w Czechach oderwą się od Czechosłowaków, albo Kroaci od Serbów, czy armja angielska przepłynie przez morze, żeby podtrzymać związek, którego wyrzekają się te narody? W imię którego z czternastu punktów podejmą się te zadania? Czy samostanowienia? Podobne zmiany zaszkodzą interesom Francji i tylko jej jednej. I Francja będzie musiała walczyć sama. O co?

Rzecz ciekawa, w jaki sposób oceniło warunki postawione Niemcom wpływowe grono zwolenników amerykańskich Wilsona, pełnych wiary w jego czternaście punktów. Pogląd ich wyraża ich organ w sposób następujący:[2]). „Francja pozostaje jako najsilniejsze państwo na Kontynencie. Z nietkniętemi zasobami militarnemi staje wobec Niemiec, które są bez sztabu generalnego, bez poboru, bez powszechnego wykształcenia wojskowego, z ściśle ograniczoną ilością lekkiej artylerji, bez środków żeglugi powietrznej, bez floty, bez surowców dla przemysłu wojennego, z całą granicą zachodnią o pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Renu, ogołoconą z obrony wojennej. W dodatku Francja ma szereg przymierzy wojennych z nowemi państwami, które graniczą z Niemcami. Pozatem ma zapewnione stałe przedstawicielstwo w Radzie Ligi, z której Niemcy są wykluczone. Nie dość na tem, warunki ekonomiczne, niemożliwe do wypełnienia, niszczą życie przemysłowe jej sąsiada. Z podobnym bilansem sił Francja żąda jeszcze dla siebie formy opieki, której nie zapewniono ani Belgji, ani Polsce, ani Czechosłowacji, ani Włochom".

[1]) W monografji, zatytułowanej „Plus Jamais".
[2]) *The New Republic*, 13 sierpnia 1919 r., str. 43.

ROZDZIAŁ XV.

TRAKTAT Z BUŁGARJĄ.

WŚRÓD dziwnych objawów wielostronnych wybuchów działalności rekonstrukcyjnej głównych delegatów rzuca się w oczy śmiałemi konturami traktat z Bułgarją. Jest on najwyższym stopniem owych tajemnych, nieuchwytnych a decydujących wpływów, które kierowały wielu tajemniczemi decyzjami, jakie zapadły na Konferencji. Ponieważ Bułgarja dysponowała obfitem źródłem tych wpływów, ukaranie jej nabiera poniekąd cech nagrody. Nietylko, że nie została ukarana, jako wróg zdradziecki, którym była istotnie, lecz wyszła z próby z daleko większym zyskiem, niż niektóre z państw zwycięskich. W przeciwstawieniu do Serbji, Rumunji, Francji i Belgji, uniknęła okropności obcej inwazji, posiadała natomiast i powiększyła wszystkie swe bogactwa aż do dnia zawarcia rozejmu. Jej ludność rolnicza ciągnęła podczas wojny olbrzymie zyski, gdy jej armje rabowały Serbję, Rumunje i Macedonję Grecką i wysyłały do domu olbrzymią zdobycz. Jednem słowem, jest bogatszą i szczęśliwszą, niż była, zanim wystąpiła przeciwko swym protektorom i dawnym sprzymierzeńcom.

Dzięki wstawiennictwu swych potężnych przyjaciół, była traktowana z pobłażliwością, która, choć zrozumiała dla wtajemniczonych w *arcana* „jawnej dyplomacji" oburzała ludzi, pragnących zachowania choć pozoru sprawiedliwości. Niemcy zostały zmuszone do podpisania czeku in blanco, który pewnego dnia wypełnią ich wrogowie. Austrja została sprowadzona do roli pasorzyta, żyjącego z łaski wielkich mocarstw, i pozbawiona prawa samostanowienia. Nawet Francja, wyczerpana pięcioletniemi nadludzkiemi wysiłkami, uzależnia z niepokojem swą przyszłość finansową całkowicie od zdolności lub niezdolności Niemiec do zapłacenia odszkodowań, na które zostały skazane.

Ale Prusy półwyspu Bałkańskiego, dzięki wstawiennictwu potężnych bezimiennych przyjaciół, nie ponoszą podobnie smutnych konsekwencyj. Bułgarja chociaż zaciągnęła poważne długi u Niemców, została zwolniona od trudu płacenia ich. Jej zo-

bowiązania finansowe zostały z początku przeniesione [1]) na aljantów, następnie zostały wspaniałomyślnie przez nich przekreślone, poczem ograniczono jej udział w odszkodowaniach do dwóch i ćwierci miljarda franków. Komisja międzysprzymierzona w Sofji ma odebrać zagrabioną zdobycz i zwrócić ją prawym posiadaczom, ale nie będzie żądała odszkodowania za spowodowane zniszczenia. Do składu jej nie będą należeli przedstawiciele państw, których Bułgarzy obrabowali z własności. Serbja nie dostanie żadnych indeminizacyj. Ma dostać pewną część, której Traktat zaniedbał określić, z owych dwóch i ćwierci miljarda franków, w terminie również nieokreślonym. Nie dostanie z powrotem nawet stad bydła, z których ją obrabowali Bułgarzy. Prawodawcy w Paryżu uważali, że sprawiedliwości stanie się zadosyć, jeżeli się zobowiąże Bułgarów do zwrócenia 28.000 sztuk bydła zamiast 3.200.000 zabranych, i gdyby nieszczęśni Serbowie rozpoznali choćby miljon więcej sztuk zabranych, nie mieliby prawa żądać ich zwrotu [2]).

Nie jest to jedyny niepokojący szczegół traktatu. Rada Najwyższa, sankcjonująca okupację wojenną Niemiec, jako gwarancję wypełnienia warunków pokojowych, zwalnia Bułgarję od podobnie uciążliwych warunków. Dobra wola Bułgarji wydawała się wystarczającą politykom, którzy układali to orędzie. „Z przyczyn, których nie odważamy się poruszyć", pisze wybitny publicysta francuski [3]) „kilka mocarstw, stanowiących znakomity aeropag świata, liczy na przyszłe współpracownictwo Bułgarji. Wzdragamy się z obrzydzeniem wobec perspektywy, która w ten sposób otwiera się przed naszym wzrokiem" [4]).

Zmiany terytorjalne, na które zostały skazane Prusy półwyspu Bałkańskiego, nie były ani bardzo znaczne, ani niesprawiedliwe. Rumunja nie dostaje żadnego z terytorjów bułgarskich, granice z r. 1913 pozostają niezmienione, Serbja dostaje niektóre terytorja na zasadzie, której niepodobna kwestjonować; znaczna część Tracji, zamieszkała nie przez Bułgarów, ale głównie przez Greków i Turków, zostaje odłączona od Bułgarji, lecz nie przyłączona do żadnego z państw. Ukoronowaniem traktatu przez większość wybitnych polityków na kontynencie Europy, było postawienie Bułgarji, której okrucieństwa i namiętności niszczycielskie, według sprawozdań oficjalnych i nieoficjalnych, z niczem się nie dały porównać, w położeniu wyż-

[1]) W czerwcu 1919 r.

[2]) Komentarze, dotyczące tych warunków, ogłoszone przez p. Gauvain w *Journal des Débats* (20 września 1919 r.) są niezmiernie warte tego, ażeby je poznać.

[3]) Auguste Gauvain.

[4]) *Journal des Débats*, 20 września 1919 r.

szości ekonomicznej ponad Serbję, Grecję i Rumunję. I w komisji międzysojuszniczej Bułgarja ma przedstawiciela, gdy tymczasem Serbja, Grecja i Rumunja, którym własność skradzioną komisja ma wynagrodzić, nie mają ani jednego delegata.

Porównanie pomiędzy pobłażliwością dla Bułgarji a surowością wobec Rumunji, może zadziwić najgorliwszych przyjaciół Rady Najwyższej. Rząd rumuński w pełnej godności nocie, skierowanej do Konferencji, tłumaczył swą odmowę podpisania traktatu z Austrją, wyliczeniem szeregu faktów, prowadzących do ostrego potępienia pracy Rady Najwyższej. Z jednej strony, Rada broniła umów, zawartych pomiędzy Japonją a jej europejskimi sprzymierzeńcami, jako wystarczającego motywu do oddania Szantungu Japonji, gdyż traktaty powinny być uszanowane. I argument jest słuszny. Z drugiej strony, była zobowiązana na mocy podobnego traktatu [1]) do oddania Rumunji całego Banatu, rumuńskich okręgów Węgier i Bukowiny aż do Prutu. Ale na Konferencji wyparła się tej umowy. W r. 1916 delegaci zgodzili się na to, że o ile Rumunja weźmie udział w wojnie, będą współdziałali z nią przy pomocy licznych sił wojennych. Nie dotrzymali tej obietnicy. Dalej, postanowili, że „Rumunja będzie miała te same prawa, co aljanci w preliminarzach i pertraktacjach pokojowych, jakoteż w dyskusjach nad projektami, przedkładanemi Konferencji Pokojowej do rozstrzygnięcia". Jednak, jak widzieliśmy, odmówiono jej tych praw, delegatów jej nie informowano o przedmiotach dyskusji, ani pozwolono przejrzeć warunków pokoju, będących w rękach wrogów, i wogóle tylko dwukrotnie dopuszczono ich przed oblicze Rady Najwyższej.

Prasa sprzymierzona i neutralna w różnych krajach zauważyła, że niema zasadniczej różnicy, pomiędzy niemieckim poglądem na świętość traktatów a poglądem Rady Najwyższej [2]). Uwagi tego rodzaju są tem przykrzejsze, że nie można ich odrzucić, jako oszczerczych. Nie można również zaprzeczyć, że Rumunja oddała nieocenione usługi aljantom. Poświęciła dla ich sprawy 300,000 swych synów. Kraj jej został najechany, własność rozkradziona lub zniszczona. Jednak część jej suwerenności odebrali jej aljanci, którym dała pomoc. Rada Najwyższa, nie zadowolona z prawa rumuńskiego, przyznającego równe prawa wszystkim obywatelom niezależnie od rasy i wyznania, kazała Rumunji poddać się kierownictwu obcego urzędu we wszystkiem, co dotyczy mniejszości i zażądała od niej zawczasu posłuszeństwa przyszłym postanowieniom, dotyczącym

[1]) Zawartego w r. 1916.
[2]) *Daily Mail* (wydanie paryskie), 21 września 1919 r.

polityki Rady w sprawie handlu międzynarodowego i przewozu. Te umowy są znacznem okrojeniem suwerenności Rumunji.

Gdyby jakiekolwiek grono działaczy publicznych, z zewnętrznych pobudek, w równym stopniu pogwałciło zasady sprawiedliwości, bezstronności i dobrej woli: byłoby to nieszczęściem w każdych okolicznościach; lecz w warunkach obecnych, gdy się to wydarzyło ludziom, którzy stanęli, jako kierownicy moralni rodu ludzkiego a mieli możność rozluźnienia budowy społecznej, było to istotnie straszną katastrofą.

ROZDZIAŁ XVI.

STATUT LIGI I MNIEJSZOŚCI.

W projekcie Wilsona utworzenia związku narodów nie było nic nowego poza uroczystą obietnicą wprowadzenia go w życie. Obietnica miała być spełniona w warunkach, które on sam uczynił jeszcze bardziej niekorzystnemi, niż były. Sama idea od wieków bujająca w atmosferze politycznej—zaczęła się od czasów Kanta wydawać mniej niejasną i mniej niedoścignioną. Kierownicy państw, którzy starali się wcielić ją w instytucje, zanim podjął się tego prezydent Wilson, nietylko zrobili zawód narodom, które w nich wierzyły, ale podkopali wiarę w samą ideę.

Można sobie wyobrazić w teorji, że podobna organizacja mechaniczna, jak ją, zdaje się, pojmował amerykański mąż stanu, utworzona z polityków parlamentarnych, obradujących tajemnie, mogłaby połączyć narody i ludy węzłami duchowej przyjaźni. Jeżeli wszakże zwrócimy się ku rzeczywistości, zrozumiemy, że w tym kierunku niepodobna wytworzyć nic trwałego bez radykalnej zmiany w pojęciach, aspiracjach i usposobieniu kierowników, którzy dziś przemawiają w imieniu narodów, oraz w pojęciach znacznych odłamów samych narodów. Reorganizacja społeczeństwa na tych niezwykłych podstawach wymaga zmiany niektórych bardzo głęboko zakorzenionych instynktów natury ludzkiej. Taka zmiana nie może nastąpić w ciągu jednego wieczoru, ani nawet w ciągu trzydziestu godzin, które wystarczyły na napisanie Statutu. Może nie trzeba byłoby przekonywać całej ludzkości, ale całe klasy musiałyby być przedtem wychowane, a w niektórych krajach wychowane nanowo, co jest jeszcze może trudniejsze. Wychowanie umysłowe i moralne powinno dopełniać się i wzmacniać wzajemnie i każda jednostka polityczna powinna zrozumieć, że interesy szerszej zbiorowości mają pierwszeństwo przed interesami jakiejkolwiek jej części. Potrzeba czasu, żeby wpoić te nowe poglądy narodom świata.

Niezbędnym warunkiem powodzenia jest, żeby umowa wiążąca członków, została przyjęta przez narody, nie zaś wyłącznie przez ich rządy, gdyż ciężary wojny obarczają najbardziej masy. Ogół ludności dostarcza żołnierzy, pieniędzy i pracy państwom, wiodącym wojnę, ponosi też trudy i niezbędne ofiary. Dlatego przedewszzstkiem narody są zainteresowane w usunięciu dawnego ustroju i wprowadzeniu nowego.

Pozatem ponieważ współczesne wojny były prowadzone z wyzyskaniem wszelkich środków przez narody wojujące i ponieważ posiadanie niektórych z tych środków jest często przyczyną konfliktu i powodem napaści, wynika z tego, że żadne prawa polityczne nie odpowiedzą współczesnym wymaganiom. Związek narodów, wyrzekając się miecza, jako środka rozstrzygania sporów, powinien również zmniejszyć, o ile się da, powierzchnię, na której są możliwe starcia między sąsiadami. Dziś większą częścią tej powierzchni są interesy ekonomiczne. Posiadanie surowców jest silniejszą atrakcją, niż rozszerzenie granic. To ostatnie jest upragnione głównie, jako sposób zdobycia lub zabezpieczenia źródeł surowców. Z tej i innych przyczyn, w układzie statutu zrzeszenia narodów wzgląd polityczny powinien grać tylko pomocniczą rolę. W Paryżu był to wzgląd, którego nie brano w rachubę. Parlament narodów jest to jedyny organ, który mógłby nadać żywotność zrzeszeniu narodów, godnemu tej nazwy. Połączywszy Statut z Traktatem Pokojowym i zamieniwszy go w narzędzie wykonania Traktatu, i w ten sposób podporządkowawszy ideał względom egoistycznym, Wilson pozbawił swój plan jego jedynej racji bytu i na pewien czas całkowicie go pogrzebał. Filozof Lichtenberg [1]) pisał: „Jeden człowiek tworzy ideę, drugi trzyma ją do chrztu, trzeci ma z nią potomstwo, czwarty staje przy jej łożu śmierci, a piąty ją grzebie".

Wilson sprawował czynności grabarza idei pokojowego zrzeszenia narodów, podobnie jak Lenin zrobił to z systemem Marksa, z tą tylko różnicą, że marksizm jest już martwy, gdy tymczasem związek narodów powstać może nanowo.

Przed trzema głównymi delegatami stała otwarta droga zapewnienia światu pokoju środkami moralnemi lub siłą. Wyrzekłszy się pierwszego sposobu przez przyjęcie doktryny Monroego, wyrzeczenie się wolności mórz, udzielenie Francji granic strategicznych i innych przywilejów natury militarnej mogliby rozszerzyć i usystematyzować te ustępstwa, zrobione ze względów celowości, ukuć przymierze z trzech lub dwóch państw i podjąć się utrzymania pokoju na ziemi wbrew wszel-

[1]) Żył w czasach Goethego. Dzieła jego zostały wydane ponownie przez Herzoga w r. 1907.

kim staraniom naruszenia go przez innych. Pisałem kiedyś: „Delegaci zaczynają mieć świadomość istnienia gotowej Ligi Narodów w postaci państw anglosaskich, które razem z Francją mogą przeszkodzić wojnom, szerzyć dobre stosunki sąsiedzkie, zmieniać losy ludzkie; cieszą się, że istnieją trwałe podstawy, na których z biegiem czasu zostanie wzniesiony wspaniały gmach, zostaną stworzone trybunały z prawem rozsądzania sporów; państwom, korzystającym z nich, będą robione ułatwienia, a nawet zwracanie się do tych trybunałów stanie się obowiązkiem. Całokształt tych reform będzie we współczesnych kronikach znanych pod nazwą początkującej Ligi Narodów. Delegaci dziś już twierdzą skromnie, że nie zamierzają zrealizować ideału we wszystkich jego szczegółach. Musi to być pozostawione przyszłym pokoleniom; ze względu na wyczerpanie narodów, ich niechęć do działań wojennych i na przeszkody materjalne, stojące na drodze ich wznowieniu, można się spodziewać, że pokój nie prędko zostanie zakłócony. Czy Konferencja dojdzie do większych rezultatów, nikt nie może przewidzieć“ [1]).

Ten sposób, nawet rozważnie obmyślany i umiejętnie wykonany, nie rozwiązałby należycie komplikacyj światowych, i nie mógłby też być zalecany wszystkim państwom zainteresowanym; ale byłby przynajmniej środkiem tymczasowym, możliwym do przekształcenia przy sprzyjających okolicznościach w coś mniej materjalnego i trwalszego. Dyletanccy reformatorzy świata nie mogli jednak zdecydować się na żadną z dwóch alternatyw, i rezultatem tego było jedno z najrozpaczliwszych niepowodzeń, jakie historja ludzkości kiedykolwiek zanotowała.

Wypowiedziałem wówczas mój pogląd tak otwarcie, jak na to pozwoliła istniejąca wtedy cenzura. Pisałem: „Każdy delegat ze zdrowym instynktem politycznym zapyta, czy Liga Narodów zapobiegnie wojnom w przyszłości, a jeżeli nie będzie się czuł obowiązanym do przyjęcia innych pewniejszych środków w celu ich uniknięcia, jako to: przymierzy, granic strategicznych i obezwładnienia wroga. Reorganizacja musi być podjęta w jednym z tych dwóch kierunków. Łączyć je byłoby zgubnem. Jakie może mieć znaczenie praktyczne Liga Narodów, pozbawiona władzy nad narodami, gdy się jej przeciwstawi liczebna, silna i zjednoczona rasa, świadoma wyrządzanej jej niesprawiedliwości, spragniona warunków rozwoju, których jej odmówiono, ale je przyznano narodom, lekceważonym przez nią, jako niższe? Czy Liga Narodów wystąpi jako siła zbrojna przeciwko powolnym inwazjom lub nagłemu napadowi tego

[1]) *Daily Telegraph*, 28 stycznia 1919 r.

mocarstwa na słabszych sąsiadów? Nikt nie jest uprawniony do dania na to pytanie twierdzącej odpowiedzi. Dziś mocarstwa nie mogą się zgodzić na interwencję przeciwko bolszewizmowi, który uważają za plagę świata, ani nie są zdecydowane go tolerować.

Jakie w tych warunkach można przedłożyć przekonywające argumenty delegatom, których się prosi o wyrzeczenie się granic strategicznych i oparcie się dla obrony o Ligę Narodów? Proszę wziąć dla przykładu widoki na przyszłość Francji. Po zawarciu pokoju znajdzie się wobec odwiecznego wroga, który liczy siedemdziesiąt kilka miljonów przy jej czterdziestu pięciu. W ciągu dziesięciu lat dysproporcja się powiększy. Niezadowolona Rosja z pewnością zostanie podtrzymana przez Niemcy, zreorganizowana, wyzyskana i zaliczona do sprzymierzeńców“ [1]).

Świadomy tych niebezpieczeństw rząd francuski, który z początku lekceważył projekt Wilsona, zrozumiał, że może zrobić z niego użytek, jako ze środka obrony wojennej i zapragnął przekształcić go w tym kierunku. „Francuzi“, pisał frankofilski dziennik angielski, wychodzący w Paryżu, „chcieliby, żeby Liga utrzymywała to, co można nazwać stałym generalnym sztabem wojennym. Obowiązkiem tej organizacji byłoby czujne baczenie na wykroczenia popełnione lub grożące ze strony jakiegokolwiek państwa lub grupy państw, oraz powoływanie do natychmiastowego działania wielkich międzynarodowych sił wojskowych w celu udaremnienia lub stłumienia niepożądanych wystąpień. Francuzi uprzytomniają sobie możliwość, że zatwardziałe i nieodrodzone Niemcy są groźbą nietylko dla bezpieczeństwa Francji, ale wogóle dla pokoju świata“ [2]).

Inne państwa żywiły podobne nadzieje. Duch prawa i sprawiedliwości miał być wywołany, jak duch, który służył Aladynowi, i zmuszony do służenia nacjonalizmowi i militaryzmowi, oraz do spełniania zadań armji.

Państwa większe mówiły o ofiarach z suwerenności, których będzie wymagało należenie do Ligi, ale same wyrzekały się składania tych ofiar. Rząd Stanów Zjednoczonych utrzymał doktrynę Monroego dla Ameryki, a nawet poszedł dalej i ujednostajnił interesy jej z doktryną Hay'a dla Dalekiego Wschodu [3]).

---

[1]) *Daily Telegraph*, 31 stycznia 1919 r.
[2]) *Daily Mail* (wydanie paryskie), 13 lutego 1919 r.
[3]) Sekretarz Stanu Hay wysłał we wrześniu 1899 r. notę do mocarstw, określającą stosunek Ameryki do Chin. Znany on jest pod nazwą zasady „drzwi otwartych“. W następnej nocie (3 lipca 1900 r.) rozszerzył jej zakres i popierał nietykalność Chin. Rosja zlekceważyła to i wywiesiła swoją flagę nad komorą celną chińską w Newchwang. W danym wypadku Japonja obroniła powyższą zasadę bez pomocy z zewnątrz.

Postanowił on zbudować potężną flotę dla obrony tych wymagań politycznych i udzielenie młodzieży w kraju wychowania pół-wojskowego [1]). Obrona przypuszcza możebność napaści. Więc wojna nie zostaje wykluczona, jest nawet uznana przez reformatorów świata, a przygotowania do niej są niezbędne. Podobnie się dzieje z ciężarami opodatkowania. Jeżeli wszakże swoboda obrony ma być prawem dwóch czy trzech mocarstw, na jakiej zasadzie jest ona im przyznana, a odjęta innym? Dlaczego inne państwa mają z musu pozostać bezbronne wobec możliwości napadu? Napewno również zasługują na to, żeby żyć, rozwijać się i korzystać z okoliczności. Gdybyśmy zaś zamiast tak zwanej Ligi Narodów mieli urząd anglosaski dla lepszego rządzenia światem, nierówne miary i sposoby byłyby zrozumiałe na tej zasadzie, że szczególne zobowiązania i odpowiedzialności pociągają za sobą szczególne prawa. Ale niepodobna stosować przywilejów w organizacji, która uważa siebie za związek wolnych narodów. Jedyną prawdą w tem są słowa, powiedziane przez Clemenceau delegatom państw mniejszych na otwarciu Konferencji, że trzy wielkie państwa, prowadzące wojnę, reprezentują dwanaście miljonów żołnierzy i że stąd płynie ich wyższa władza. Rolą innych narodów jest posłuszeństwo rozkazom swych opiekunów, które mają przyjmować i wypełniać bez szemrania. Siła pozostaje źródłem prawa.

Należy przyznać, że odsłonięcie prawdziwej podstawy nowego ustroju, wyrażonej przez Clemenceau na tem historycznem posiedzeniu, wywołało nie mało zdziwienia wśród wtajemniczonych. Nie było bowiem powodu do przypuszczania, żeby on sam lub wogóle większość kontynentalnych mężów stanu była wyznawcą doktryny, z której jej własny apostoł uznawał tylko te fragmenty, które odpowiadały jego krajowi lub partji. Czyż premjer francuski nie kpił z Ligi publicznie i prywatnie? Czy nie powiedział w izbie: „Nie sądzę, żeby Związek Narodów był niezbędnem zakończeniem obecnej wojny. Podam panom eden z moich powodów. Jest on następujący: „jeżeli jutro panowie zaproponujecie mi, żeby Niemcy weszły do tego związku, ja się na to nie zgodzę“ [2]).

„Jestem pewien“, pisał jeden z najbardziej zdolnych i gorliwych zwolenników Ligi we Francji, senator d'Estournelles de Constant, „jestem pewien, że zrobił on (Clemenceau) wysiłek przeciwko samemu sobie, przeciwko całej swej przeszłości, ca-

[1]) Generał March oświadczył przed Komisją Wojskową parlamentu, że prezydent Wilson wypowiedział się za powszechnem wykształceniem, popierając program Departamentu Wojny *(New York Herald,* wydanie paryskie).

[2]) *Journal Officiel,* 21 listopada 1917 r.

łemu życiu, wszystkim swym przekonaniom, by służyć Lidze Narodów. A jego minister spraw zagranicznych poszedł za nim" [1]). Słusznie. Podobnie jak z Clemenceau, działo się z większością europejskich mężów stanu; robili usilne i, dodać można, skuteczne wysiłki przeciwko własnym przekonaniom. I rezultat był nieunikniony.

„Rządy", czytamy w organie syndykalistów, którzy popierali Wilsona, dopóki wierzyli w spełnienie przez niego jego obietnic, „zgodziły się na czternaście punktów... Hipokryzja. Każdy z nich robił w myśli pewne zastrzeżenia. Głoszono cnotę, a praktykowano występek. Tchórz sławił bohaterstwo; imperjalista wychwalał ducha sprawiedliwości. W ubiegłym miesiącu zastanawialiśmy się nad wartością dodatków do czternastu punktów, i nigdy przedtem nie grano równie wstrętnej i nienawistnej komedji. Podnoszono jedne po drugich żądania terytorjalne; pogarda dla praw narodów — jedyne prawo, które możemy uznać — była wyrażona w sposób uderzający; znikły ostatnie skrupuły; maski opadły" [2]).

Z każdego kraju w Europie dochodził ten sam sąd, nastrojony na różne tony. Prasa włoska potępiała postępowanie Konferencji językiem równie dosadnym, jak pisma niemieckie i austrjackie. *Stampa* twierdziła, że ci, którzy, jak Bissolati, byli na początku za zaufaniem dla jednego z dwóch odłamów, na Konferencji popełnili błąd fatalny. „Błąd polegał na wierze w dążenia idealne jednej partji i na oburzeniu, z jakiem patrzano na chciwość drugiej, gdy tymczasem obydwie walczyły o... interesy własne. W rzeczywistości Francja nie była mniejszą militarystką, ani absolutystką, niż Niemcy, ani Anglja mniej od nich pożądliwa; dowód zaś tego mamy w traktatach pokojowych, które osłoniły rezultaty ich zwycięstw. *Wersal jest to Brześć Litewski*, gorszy tylko w tym samym stosunku, w jakim zwycięstwo Ententy nad Niemcami było pełniejsze od zwycięstwa Niemiec nad Rosją. Chciwość nie zmienia swej istoty, nawet wówczas, kiedy woli ukryć się pod czapką frygijską, zamiast pod hełmem" [3]).

Wstępne oświadczenie Clemenceau o dwunastu miljonach żołnierzy i nieograniczone prawo, które te potężne armje dawały posiadaczom ich do zasiadania w sądzie nad narodami i plemionami świata, było zasadniczą nutą Konferencji. Poczem główni mężowie stanu sporządzili okręt, chwycili za wiosła i popłynęli prosto ku absolutyzmowi.

---

[1]) *Bulletin des Droits de l'Homme*, 15 maja 1919 r.
[2]) *Le populaire*, 10 lutego 1919 r.
[3]) *La Stampa*, 11 czerwca 1919 r., *L'Humanité*, 13 czerwca 1919 r.

Wpływ podobnych oświadczeń i czynów na umysły narodów jest wyraźnie szkodliwy; niszczą bowiem poczucie prawa ogólnego, będącego główną podstawą obcowania międzynarodowego narodów postępowych.

A było ono już nieco nadwerężone i osłabione przez wojny ubiegłych lat pięćdziesięciu, w szczególności zaś przez ostatnią wojnę. W stosunkach narodu do narodu były pewne zasady—pochodne od etyki, rozcieńczone maksymami celowości,— które powstrzymywały rozmaite rządy od zbyt jaskrawego wiarołomstwa. Te zasady zastępowały moralność w polityce. Najwyższą ich władzę streszczał wyraz europeizm, oznaczający uczucie solidarności pomiędzy narodami starego kontynentu i pewien szacunek dla traktatów, na których się opierał system państwowy. Istniał on wszakże głównie wśród narodów pobitych, które obawiały się osamotnienia lub kary ze strony zwycięzców. Pomimo tego idea ta oznaczała pewien krok naprzód w kierunku więzów moralnych związku.

To poczucie wszakże, będące dopiero w zarodku, wraz z szacunkiem dla obowiązującej naród wierności, zostało przytłumione demoralizującym wpływem wojen z ostatnich pięćdziesięciu lat. Jedną więc z pierwszych i pilniejszych potrzeb świata było ożywienie tych uczuć. Można było je osiągnąć jedynie przez zbliżenie wzajemne do siebie narodów nietylko Europy, ale i świata całego, wszczepiając im poczucie ścisłej solidarności, i przejmując koniecznością podjęcia wspólnie jedynej walki, którą warto jest podjąć, mianowicie przeciwstawienia się siłom, skierowanym przeciwko dobrobytowi i postępowi ludzkości. Było rozpowszechnione mniemanie, że osiągnąć to można z pomocą pewnej formy internacjonalizmu, przez rozszerzenie, pogłębienie i pobudzenie tego, co stanowi europeizm, przez skoordynowanie energji zbiorowej wszystkich narodów postępowych i skierowanie ich ku wspólnemu, godnemu celowi. Dla klas pracujących koncepcja ta w pewnej określonej formie posiada oddawna silny urok. To, do czego dążyli, jednak było niewiele więcej, ponad powszechność pracy. Wyobrażali sobie, że po przejściu fali niszczycielskiej grunt został oczyszczony z przeszkód, któremi był zawalony, i że bezpośrednio po tem rozpocznie się postęp.

Nie wzięli jednak należycie pod uwagę tego, co można nazwać *vis inertiae*, przeżytku dawnego ducha wśród warstw kierujących, których członkowie żyli i poruszali się w atmosferze dawnych obyczajów i ducha nienawiści i goryczy, przenikającego wszystkie klasy polityczne, którego zniszczenie — byłoby zadaniem godnem Herkulesa. Wilson powierzył wyłącznie przedstawicielom tych klas realizację abstrakcyjnej idei związku narodów, który mógł sobie z początku wyobrażać jako

obszerną rodzinę, świadomą wspólnych interesów, pragnącą moralnego i materjalnego udoskonalenia, oraz uniknięcia tych przywilejów partyjnych, które mogą powstrzymać lub opóźnić postęp ogólny. Sądząc wszakże z zajętego przez niego stanowiska i działalności, można zauważyć, że nie miał gruntownej znajomości materjałów, potrzebnych do budowy, nie wiedział, jakie napotka trudności, ani też nie miat siły, żeby wystąpić przeciwko nim i przezwyciężyć je. Pierwszy krok jego odrazu zdecydował o niepowodzeniu projektu.

W rzeczywistości Wilson przybył na Konferencję z gotowym projektem Ligi Narodów, która zgodnie ze świadectwem p. Lansinga „nie była nigdy wmuszana". Sekretarz Stanu dodał, że „obecny Statut Ligi jest lepszy od planu amerykańskiego". A co do czternastu punktów, „Nie były one nawet dyskutowane na Konferencji" [1]). Przypuszczając to, wtedy pisałem: [2]) „Prezydent nie jest zwolennikiem żadnego konkretnego planu. Jego metoda jest eklektyczna: wybiera, co jest pożyteczne i korzystne w projektach innych i stara się wydobyć od niezgadzających się z nim zrzeczenie się idej, związanych z dawnemi prądami narodowemi, a przyjęcie doktryn, które uważa za zbawienne. Dziś jednak staje się jasnem, że najwyższym ideałem do osiągnięcia w obecnej chwili jest nie Liga Narodów, jak ją pojmują masy, która usunie wojny i położy kres kosztownym przygotowaniom do nich, lecz tylko koalicja narodów zwycięskich, która może mieć nadzieję, że z powodu zarządzeń ekonomicznych i innych przeszkód dosyć długo jeszcze będzie mogła nie prowadzić wojny z wrogiemi narodami. Skłonny jestem myśleć, że według mocarstw kontynentalnych Ententy podobny Statut w najmniejszym stopniu nie jest w stanie zastąpić pewnych zmian terytorjalnych, uważanych przez nie za jedyne zabezpieczenie przeciwko nagłej napaści.

Czy podobne warunki uniemożliwią wojny na przyszłość— jest to pytanie, na które może odpowiedzieć tylko doświadczenie. Osobiście jestem głęboko przekonany, razem z p. Taftem, że prawdziwa Liga Narodów musi się opierać na siłach nadnarodowych, nie zaś międzynarodowych. W tych uwagach nie poruszam szerszej kwestji, mianowicie, czy masy, dla których dobra poniesiono ogromne ofiary z czasu, energji i pomysłowości, przyjmą koalicję zwycięskich rządów przeciwko nieodrodzonym narodom wzamian za Związek narodów w jego pierwszej koncepcji".

Przewidywanym celem Ligi było zastąpienie siły prawem, żeby każde poszczególne państwo wyrzekło się używania gwałtu

[1]) *The Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 27 siespnia 1919 r.
[2]) *W Daily Telegraph*, 8 lutego 1919 r.

wobec innych, a uciekało się do sądów rozjemczych, jako sposobu załatwienia sporów. Pociąga to za sobą odmówienie prawa wypowiadania wojny, oraz przygotowywania się do niej, a jako wynik tego — system środków odstraszających i kar za bunt ze strony państwa. W wypadkach lekceważenia prawa, należy posiadać skuteczne środki, zmuszające do stosowania się do niego; ale czy presja ekonomiczna wystarczy we wszystkich wypadkach, wydaje się to wątpliwe. Ja sądzę, że bez istnienia nad-narodowej armji, będącej pod bezpośredniemi rozkazami Ligi, wykonanie decyzji trybunału mogłoby w pewnych warunkach stać się niemożliwe; z drugiej zaś strony, istnienie podobnej siły wojennej obok armij narodowych skazałoby projekt na upadek.

Szczegółowa krytyka Statutu leży poza granicami mego zadania, ale nie zaszkodzi może wskazać w nim kilka poważnych braków. Jednym z głównych organów Ligi ma być Zgromadzenie i Rada. To pierwsze ciało, bardzo liczne i przeważnie polityczne, nie będzie z natury rzeczy miało bliższego związku z narodami, ich potrzebami i aspiracjami. Będzie się zbierało najwyżej trzy czy cztery razy do roku. Członkowie obydwóch ciał będą niewątpliwie wyznaczeni przez rządy [1]), które zapewne nie zechcą się wyrzec swej suwerenności w sprawie tak blisko ich dotyczącej. Podobny system może być rozumnym i odpowiednim do najwyższych celów, ale niepodobna go nazwać demokratycznym. Mocarstwa wojenne, dysponujące dwunastu miljonami żołnierzy, będą posiadały większość w Radzie [2]). Tylko sekretarjat będzie stale czynny i oczywiście mianować go będą wielkie mocarstwa.

Zamiast ogłosić niedopuszczalność wojen, Konferencja orzekła, że to przekracza możność ludzką. Rozbrojenie, które miało być jednem z głównych zadań, zostało usunięte ze Statutu. Ponieważ po tej wojnie, która miała być ostatnią, przypuszczalnie nastąpią inne, delegaci wielkich mocarstw pracowali sumiennie, jak przystało na patrjotycznych mężów stanu, nad zdobyciem zawczasu wszelkich możliwych korzyści dla swych krajów przez przygotowanie ich do tego. Nowy ustrój, w teorji opierający się na prawie, sprawiedliwości i współdziałaniu moralnem, w rzeczywistości zależy od potężnej armji i floty. Francja musi pozostać pod bronią, żeby trzymać straż nad Renem; Anglja i Stany Zjednoczone muszą w dalszym ciągu budować statki wojenne i aeroplany, oraz kształcić swą młodzież dla wodza, który się zjawi. Paragraf statutu wykładający, że „członkowie Ligi uznają, że utrzymanie pokoju wymaga

[1]) Statut nie określa bliżej sposobu przeprowadzenia wyborów.
[2]) Paragraf IV.

zmniejszenia armji narodowych do najniższego poziomu, jakiego wymaga bezpieczeństwo narodowe" [1]), jest, że użyjemy rosyjskiego wyrażenia, pisany widłami na wodzie. Anglja, Francja i Stany Zjednoczone już się zgodziły, że się połączą dla odparcia niesprowokowanego najazdu ze strony Niemiec. Oznacza to wyraźnie, że będą się trzymały w pogotowiu do walki i dlatego muszą zarządzić odpowiednie przygotowania. Ta umowa ma zastąpić armję nad-narodową, jak gdyby uprzedzenie złego nie było lepszem od jego naprawy; niewielu sądzi, że okaże się ona skuteczną na dłuższą metę. Pewien spostrzegawczy Francuz pisze: „Bezsilność organizacji, uplanowanej przez Konferencję, zmusza Francję do życia w stałej i rosnącej niepewności z powodu zmniejszania się jej ludności [2]). I dodaje: „Z tego niedojrzałego projektu wynika, — jeśli to ma ostatecznie nastąpić — że każdy członek-państwo powinien sam się bronić albo wejść w stosunki z silniejszymi od siebie, jak to było dawniej. Stoimy więc wobec utrzymania militaryzmu i systemu zbrojenia się" [3]). Autor idzie dalej i obwinia Wilsona, że działał na rękę Anglji. „Prezydent Wilson", twierdzi on, „poniekąd zrobił ofiarę rządowi angielskiemu ze związku narodów i ze sprawy armij, kolonij i wolności mórz..." [4]). Jestto jednak przesada; amerykański mąż stanu wyrzekł się tak wielu rzeczy nie dla Anglji, ale dla tego żeby uratować cokolwiek ze Statutu. Było to w stylu sir Boyle Roche'a, który był tak przywiązany do konstytucji angielskiej, że dla uratowania części jej gotów był poświęcić całość.

Jeden z paragrafów Statutu [5]) przewiduje sądy rozjemcze w razie sporów, ale partje mogą wszcząć wojnę w trzy miesiące potem ze spokojnem sumieniem i z odwołaniem się do prawa, sprawiedliwości, samostanowienia i innych, zwykłych rzeczowników abstrakcyjnych.

Jednem słowem, kierownicy Konferencji rozwijali swą wiedzę polityczną drogami autohipnozy, gdzie nie jest w stanie podążyć za nimi zdrowy rozsądek. Byli również pomiędzy delegatami ludzie, którzy myśleli i mówili rozsądnie i logicznie, ale głosy ich nie wywoływały echa. Jeden z nich wypowiedział swą krytykę w następujący sposób:

„Podczas wojny nasze zasady demokratyczne były wygłaszane z zapałem we wszystkich kierunkach. Walczyliśmy za narody świata, szczególnie za te, które nie mogły walczyć sku-

[1]) Paragraf VIII.
[2]) D' Estournelles de Constant. *Bulletin des Droits de l'Homme* 15 maja 1919 r., str. 450.
[3]) Tamże.
[4]) Tamże.
[5]) Artykuł XII.

tecznie same za siebie. Wszystkie narody, wielkie i małe były nawoływane do robienia najcięższych ofiar, żeby umożliwić swym rządom pokonanie wroga. Nieoczekiwanie uśmiechnęło się do nas zwycięstwo i narody poprosiły o spełnienie obietnic. Naturalnie, nadzieje rosły. I cóż się stało? Oto rządy dają odpowiedź: „Będziemy bronili waszych interesów, ale bez waszego współdziałania i zgody. Zrobimy niezbędne zarządzenia w tajemnicy przy zamkniętych drzwiach. Projektujemy organizację państw, a nie ludów. Żądamy od was tylko zaufania. Skarżycie się na naszą działalność poprzednią. Macie po temu powody. Mówicie, że ci sami ludzie mają budować waszą przyszłość. Znowu macie słuszność. Lecz jeżeli twierdzicie, że z pewnością popełnimy te same błędy, mylicie się, dajemy wam na to słowo. Skarżycie się, że jesteśmy politykami, którzy czują wagę pewnych nakazów i kajdanów przeżytych tradycyj, od których nie możemy się uwolnić; że obchodzi nas głównie ochrona i popieranie interesów naszych krajów i że jest niemożliwe, żebyśmy tworzyli organizację, sięgającą wyżej i poza te interesy. Zapytujemy was, czy chcecie więc pozostawić dziedzictwo waszych ojców cudzoziemcowi?

Że uciśnione narody w Austrji i Niemczech zostały uwolnione — jest to triumf moralny. Ale dlatego zbawienna zasada, która, jak mówiono, natchnęła czyn, została ograniczona w jej stosowaniu? Dlatego miano robić doświadczenia tylko w krajach wrogich? Albo czy wszystko jest w porządku gdzieindziej? Czy niema niesprawiedliwości w innych częściach kuli ziemskiej? Czy niema skarg? A jeżeli są, dlaczego na nie się nie zważa? Czy dlatego, że ucisk poza krajami wrogiemi ma trwać wiecznie? Jaki będzie los Irlandji i kilkunastu innych krajów i narodów? Czy to są szkielety, których nie wolno dotknąć?

Wyłączając masy od udziału w ogromnym projekcie, którego powodzenie zależy od ich zgody, rządy popierały pośrednio, ale wyraźnie tajną opozycję, a w pewnych wypadkach bolszewizm. Masy nie lubią, żeby je traktowano, jak dzieci, gdy przedtem zwracano się do nich, jako arbitrów i ratowników. Przez cztery i pół lat ponosiły ciężary wojny, poświęcały swych synów i mienie. W przyszłości państwa również oczekują od nich dalszych ofiar z krwi i bogactw, niezbędnych w walkach, które są przewidywane. Niektórzy z nich zawczasu odmawiają tych ofiar. Kwestjonują prawo rządów do wypowiadania wojny i zawierania pokoju. Tę władzę pragną pochwycić w własne ręce i kierować nią na swój sposób, a przynajmniej mieć wpływ na jej sprawowanie. Dla zdobycia go pewne odłamy narodów porozumiewają się z rewolucjonistami socjalistycznymi, gdy tymczasem inne skłaniają się ku bolszewizmowi. Jest to poważne

niebezpieczeństwo. Agitacja, prowadzona dziś wśród ludu, zaczyna się od stwierdzenia krzywdy. Lecz masy mają wiele innych krzywd ponad te przeżytki czasów feodalnych, przywileje klasowe i nierówności. Jądro, utworzone z nich, jest tym czynnikiem prawdy i sprawiedliwości, który nadaje siłę wszystkim tym ruchom podziemnym, pozwala im trwać i rozwijać się. Błąd nie jest nigdy niebezpieczny sam w sobie, tylko przy domieszcze prawdy nabiera potęgi zła. Wydaje się niezmiernie pożałowania godnem, że rządy, których interesy, zarówno jak i społeczeństw, przez nie rządzonych, są narażone na niebezpieczeństwo, schodzą z drogi, przygotowując materjały wybuchowe dla bolszewizmu i jego mniej szkodliwych odmian".

Liga była uważana za żywy organizm, zanim zaczęła istnieć. Wszystkie zagadnienia, które Radcy Najwyżsi uważali za nierozwiązalne, były pozostawione jej do rozstrzygnięcia. Przeznaczono jej trudne czynności, zanim miała jeszcze organy do ich wykonania, zanim znaleziono środki do ich wypełniania. Jest to instytucja tak nieuchwytna i tak giętka, że Francuzi patrzą na nią, jako na narzędzie poskromienia Teutonów, którzy ze swej strony widzą w niej środek odzyskania nanowo swego miejsca w świecie; Japończycy mają nadzieję, że może stać się mostem, prowadzącym do równości ras, a rządy, które ją utworzyły, skłonne są do użycia jej jako dźwigni dla własnych celów polityczno-ekonomicznych, identyfikowanych przez nie z postępem rodu ludzkiego. Jak będą na nią patrzyły ludy, pokaże przyszłość.

Im mniej się powie o doktrynie Monroego w związku z Ligą Narodów, tem lepiej. Lecz trudno powiedzieć mniej, niż to, co następuje: każdy istotny związek narodów, jak go zaprojektował i polecał Wilson, jest nie do pogodzenia z „porozumieniami dzielnicowemi w rodzaju doktryny Monroego", tak samo jak utrzymanie armij narodowych i wymiana ludności. Mniejsza o to, czy się wywnioskuje, że z tego powodu Związek Narodów jest w obecnych warunkach niemożliwością, czy też wszystkie przeżytki dawnego systemu państwowego stały się bezużyteczne i powinny być usunięte. Obie te rzeczy są bezsprzecznie nie do pogodzenia.

Błędnem byłoby wnioskować z jednomyślności, z jaką przyjęto ostatecznie Statut Wilsona, że wyrażał on własne poglądy, czy uczucia delegatów. Pan Bullitt, jeden z rzeczoznawców przy amerykańskiej delegacji pokojowej oświadczył przed Komisją Senatu w Waszyngtonie, że sekretarz stanu Lansing powiedział mu: „Uważam Ligę Narodów obecnie za zupełnie bezużyteczną. Wielkie mocarstwa poprostu wyprzedziły inne i urządziły świat według własnych potrzeb. W szczególności Anglja i Francja zdobyły w Traktacie wszystko, czego pragnę-

ły. Liga Narodów nie może zrobić nic w kierunku zmiany niektórych niesprawiedliwych paragrafów Traktatu, bez jednomyślnej zgody wszystkich swych członków. Wielkie mocarstwa nie zgodzą się nigdy na zmiany w interesie słabszych narodów“ [1]).

Pogląd ten, przypisywany przez Bullitta Lansingowi był, o ile wiem, poglądem wielu przedstawicieli narodów na Konferencji. Spotkałem pomiędzy nimi niewielu, którzyby mieli coś dobrego do powiedzenia o projekcie, a z tych niewielu jeden przyczynił się do sformułowania go, drugi zaś mu pomagał, niepochlebne zaś sądy reszty zostały wypowiedziane już po podpisaniu Statutu.

Jeden z tych kierowników, w rozmowie z kilku innymi delegatami i ze mną zawołał: „Liga Narodów! Co za głupstwo. Kto z ludzi myślących wierzy w jej urzeczywistnienie?“ „Ja“ odezwał się jego sąsiad, „ale, jak w djabła, wierzę i drżę. Uważam, że jestto trucizna rozkładowa, która niszczy to, co jest dobre, a pomaga rozwijać się złemu“. Pewien mąż stanu, który nie był delegatem, zawahał się. „W mojem przekonaniu“, rzekł, „jest to odpowiedź na potrzebę, wyrażoną przez narody świata i z powodu tego jej pochodzenia, może z niej wyniknąć coś dobrego. Niewątpliwie posiada ona wiele braków, ale z biegiem czasu być może, powinna zmienić się na lepsze“. Pierwszy mówca odpowiedział: „Jeżeli Pan sądzi, że Liga pomoże narodom kontynentalnym, jest pan według mego przekonania w błędzie. Stany Zjednoczone namyślały się przez trzy lata, zanim się zdecydowały pomóc Anglji i Francji. Jak długo, sądzi Pan, będzie Liga mobilizowała i wysyłała wojska na pomoc Polsce, Rumunji i Czechosłowacji? Znam opinję publiczną w koloniach wielkobrytańskich i uczucia ich często źle rozumiane przez cudzoziemców: i mogę Panu powiedzieć, że są źle tłumaczone przez tych, co sobie wyobrażają, że podjęłyby one podobną akcję. Jeżeli Anglja powie kolonjom, że potrzebuje ich pomocy, przyjdą z pomocą, ponieważ ludność ich jest krwią z jej krwi i kością z jej kości, a również dlatego, że bezpieczeństwo ich zależy od jej floty i że gdyby ta zginęła musiałyby zginąć i one. Ale narody kontynentalne nie mogą wymagać czegoś podobnego od kolonij angielskich, które nie pośpieszyłyby ze składaniem ofiar dla zaspokojenia apetytów czy namiętności tych narodów“.

Drugi mówca wtedy rzekł: „Jest to możliwe, ale w żadnym razie nie pewne, że przyszła Liga pomoże w załatwianiu sporów, które mogliby rozstrzygnąć zawodowi dyplomaci i w dawny sposób; nie dotknie ona jednak tych, które są istotną przyczyną wojen. Jeżeli jakiś naród uzna, że jego „istotny

[1]) *New York Herald* (wydanie paryskie), 14 września 1919 r.

interes" wymaga zerwania pokoju, Liga nie powstrzyma go od tego. Jak mogłaby to zrobić? Nie posiada potemu środków. Nie będzie miała gotowej armji. Będzie musiała ją stworzyć. Nawet dziś, gdy wielka i zwycięska armja jest w polu, Liga — gdyż Rada Najwyższa jest nią i więcej nawet — nie może doczekać się wykonania swych rozkazów. Jakże będą traktowane jej rozkazy, jeżeli nie będzie miała wojsk w pogotowiu? Rada Najwyższa przerysowuje nanowo mapę Europy Centralnej i Wschodniej i jest bardzo zadowolona ze swej pracy. Ale, o ile wiemy, narody tych krajów patrzą na mapę, jak na arkusz papieru, pokryty linjami i kolorowemi plamami, którym nie odpowiada żadna rzeczywistość".

Ustawa Ligi była nazwana przez p. Wilsona wyrazem *Covenant*, przypominającym czasy biblijne i purytańskie, odpowiadującym motywom, które skłoniły go do wyboru Genewy zamiast Brukseli, jako siedziby Ligi, i przyjęcia innych środków przypuszczalnie natury politycznej. Pierwszy szkic dokumentu był rzucony, jak widzieliśmy, w ciągu nieprawdopodobnie krótkiego czasu, jakichś trzydziestu godzin, żeby prezydent Wilson mógł go zabrać ze sobą do Waszyngtonu. Jak zauważyło ententofilskie *Echo de Paris*: „Na wskazany termin towar miał być dostarczony na pokład *George'a Washington'a*" [1]).

Dyskusje, które miały miejsce po powrocie Prezydenta ze Stanów Zjednoczonych, były ożywione, ciekawe i znamienne. W kwietniu Komisja odbyła kilka posiedzeń, na których proponowano różne poprawki i zmiany; jedne z nich, gruntownie zmieniały istotę stosunków międzynarodowych, inne były bardziej powierzchowne i dawały powód do zabawnych wybuchów wesołości.

Pewnego dnia wystąpiono z propozycją, żeby każdy członek—państwo miał prawo ustąpić za dwuletniem wymówieniem. P. Larnaude, który patrzył na należenie do Ligi, jako na coś uroczyście nietykalnego, wydał się oburzony, jak gdyby ta propozycja była rodzajem świętokradztwa, i uważał, że nie znajdzie się rząd, któryby się na podobny krok odważył. P. Orlando był odmiennego zdania. „Jakkolwiek należenie do Ligi może być cennym przywilejem", zauważył, „byłoby jednak ulgą, gdyby można było się z niej stosownie do własnej woli wycofać. Pracuję przez cały dzień zamknięty w swym pokoju. Nie wychodzę na powietrze częściej, niż więzień; lecz pocieszam się myślą, że mogę wyjść, kiedykolwiek mi się będzie chciało. Jestem pewien, że podobna myśl dla członka Ligi byłaby równie kojącą. Jestem za wnioskiem".

[1]) *L' Echo de Paris* (7 lutego 1919 r.).

Wielkie zainteresowanie podczas układania Statutu wywołał paragraf, mówiący o równości wyznań, który Wilson pragnął przeprowadzić za wszelką cenę, jeśli nie w tej, to w innej formie. Jest to jedyny wypadek, w którym się ujawniła nić religijna, wpleciona w większą część jego osobistej pracy na Konferencji. Jestto bowiem faktem, nienależycie jasnym dla samych delegatów, że wyraźnie religijne motywy natchnęły znaczną część tego, czego dokonała Konferencja w dziedzinie politycznej i społecznej. Strategja, zastosowana przez wybitnego męża stanu, żeby zmusić do przyjęcia jego projektu, szła w tym wypadku raczej drogą humanitarnego postanowienia, w celu położenia tamy krwawym wojnom, niż tą, którą wskazałby przeciętny reformator, dążący do postępu kultury. Ten prosty, jednak niepokojący temat stał się realnym wskutek konkretnej propozycji, zrobionej pewnego dnia przez Prezydenta. Jak powiadają, oświadczył on, co następuje: „Ponieważ sprawa wyznań religijnych była w przeszłości, a może być i w przyszłości, przyczyną krwawych wojen, wydaje się pożądanem, żeby wstawić do Statutu artykuł, ustanawiający zupełną swobodę wierzeń i wyznań". „Na czem opiera pan, panie prezydencie", zapytał pierwszy delegat polski, „swe twierdzenie, że wojny są dotąd wywoływane przez różnice w traktowaniu wyznań? Czy potwierdza to historja współczesna? A jeżeli nie, jakie jest prawdopobieństwo, że różność religijna wywoła w przyszłości krwawe wojny?". Na to pytanie Wilson miał dać charakterystyczną odpowiedź, że uważał za celowe stwierdzenie pewnego związku pomiędzy różnością religijną a wojną, jako pewny sposób posunięcia sprawy naprzód. Dodał, że gdyby szedł po innej linji, podniesionoby niewątpliwie słuszny i silny zarzut, że Konferencja wchodzi w sprawy wewnętrzne państw suwerennych. Ponieważ zarzut taki zaszkodziłby sprawie, należy go zawczasu odeprzeć, i w tym celu uznał za rozsądne poruszyć kwestję z tej strony, którą wskazał.

Odpowiedź ta została wysłuchana w milczeniu i była komentowana nieprzychylnie. Wspomniany stosunek pomiędzy tą nierównością traktowania wyznań, które miało przetrwać aż do dwudziestego wieku, i wojnami dziś prowadzonemi jest tak oczywiście niezgodny z rzeczywistością, że trudno zrozumieć drogę rozumowania, która doprowadziła do podobnego twierdzenia. Niepodobna również pojąć wrażenia, jakie ta fikcja miała wywrzeć na umysły tych prawodawców, którzy mogli sprzeciwiać się projektowi na tej podstawie, jakoby prowadził do wtrącania się w sprawy wewnętrzne państw suwerennych. Wniosek został odesłany do Komisji, która w odpowiednim czasie złożyła sprawozdanie. Wilson był nieobecny podczas dyskusji nad sprawozdaniem i zastępował go pułkownik House.

Atmosfera była chłodna; zaledwie paru było delegatów skłonnych do popierania artykułu. Przedstawiciel Rumunji p. Diamandi był jednym z nich; drugim był baron Makino, którego pomocy pułkownik House chętnieby się wyrzekł, tak trudne do przyjęcia były warunki, na jakich ją ofiarowywał.

Baron Makino powiedział, że zgadza się zupełnie z pułkownikiem House i delegatami amerykańskimi. Równość wyznań religijnych była nietylko pożądana, ale niezbędna dla sprawnego działania Związku Narodów, który miano stworzyć. Uważał jednak, że należy ją rozszerzyć i na rasy, a rozszerzenie to powinno być wynikiem zasady, na której został oparty nowy ustrój międzynarodowy. Pragnąłby więc zrobić poprawkę do artykułu, włączając doń równość ras i religij. Na to pułkownik House zamyślił się. Prawie wszystkie inne poglądy były przeciwne wnioskowi pułkownika House'a.

Argumenty, przytaczane przez każdego z niezgadzających się prawodawców, były ciekawe: Lord Robert Cecil zadziwił wielu swych kolegów informacją, że w Anglji katolicy, zresztą dobrze traktowani, nie mogą być postawieni na stopniu zupełnej równości ze swemi współobywatelami protestantami, gdyż zabrania tego konstytucja. Nie można żądać od narodu angielskiego, żeby zmienił swą konstytucję. Dał też przykłady takiej nierówności, stosowanej obecnie, naprzykład fakt, że żaden katolik nie może zasiąść na tronie, jako monarcha, ani nie może zostać lordem-kanclerzem w Izbie Lordów.

P. Larnaude, przemawiając w imieniu Francji, stwierdził, że kraj jego przeszedł przez szereg trudności, wywołanych przez prawodawstwo, dotyczące stosunku katolików do państwa i że wprowadzenie artykułu, mówiącego o zupełnej równości, może nanowo wywołać spory, które na szczęście tracą już swój ostry charakter. Uważał więc za niepożądane dotykanie tej drażliwej kwestji przez włączenie proponowanego oświadczenia do Statutu. Pierwszy delegat Belgji, p. Hymans, zaznaczył, że opozycja jego rządu polega na innych, równie ważnych danych.

Były powody do przypuszczania, że Flamandowie mogą skorzystać z tego paragrafu dla poruszania kwestyj niedogodnych i siać w ten sposób ziarna niezgody; z tej przyczyny pragnąłby, żeby propozycja została odrzucona. P. Orlando przypomniał swym kolegom pół-żartem, pół-serjo, że żaden z ich krajów nie miał, jak jego kraj, papieża w swej stolicy. Rząd włoski musi więc postępować w sprawach religijnych z ogromną ostrożnością i nie powinien zbyt łatwo przystawać na żadne środki, któremi można byłoby manipulować na szkodę publicznego dobra. Dlatego nie mógł udzielić wnioskowi swego poparcia. Wreszcie zaproponowano, żeby cofnąć obydwie pro-

pozycje. Na to pułkownik House się zawahał, gdyż nieobecny prezydent Wilson przywiązywał bardzo wielką wagę do tej deklaracji, która, jak się spodziewał, spotka się z przychylnemi względami delegatów. Jeden z członków wstał wtedy i powiedział: „W takim razie odłóżmy lepiej głosowanie, do chwili, gdy p. Wilson będzie mógł być obecny". Propozycję przyjęto. Kiedy sprawa weszła pod obrady na następnem posiedzeniu Japończycy zastąpili wyraz „rasy" wyrazem „narody".

Tymczasem, poza obrębem Konferencji poczęto używać wszelkich możliwych sposobów parlamentarnych, ażeby namówić Japończyków do zupełnego wycofania swego wniosku. Mówiono im, że przyjęcie lub odrzucenie go byłoby ze szkodą dla sprawy przyszłej Ligi, nie przyniosłoby zaś żadnej korzyści. Lecz markiz Saionji i baron Makino nie chcieli ani na włos odstąpić od swego zdania. W nadziei dojścia do kompromisu urządzono rozmowę z jednej strony między premjerem Australji, z drugiej—baronem Makino i wice-hrabią Chinda, gdyż p. Hughes'a uważano na leadera tych, co sprzeciwiali się wszelkiemu potwierdzeniu równości ras. Japońscy mężowie stanu pokazali mu swą poprawkę i zapytali, czy mógłby doradzać zmianę, która zadowoliłaby jego i ich. Odpowiedź była przecząca. Na argumenty delegatów japońskich, premjer australijski miał odpowiedzieć: „Chętnie uznam równość Japończyków, jako narodu, oraz jednostek—człowieka wobec człowieka; ale nie uznam wynikającego stąd wniosku, że mamy otworzyć przed nimi nasz kraj. Nie dlatego, że uważamy ich za niższych od siebie, ale że ich poprostu nie potrzebujemy. Ekonomicznie są czynnikiem, wprowadzającym zamieszanie, gdyż przyjmują płacę o wiele niższą od minimalnej, za którą chcą pracować nasi ludzie. Łączenie ich z naszym ludem też nie jest korzystne. Dlatego nie chcielibyśmy, żeby się żenili z naszemi kobietami. To są moje powody. Nie chcemy ich obrazić. Nasze ograniczenia w prawodawstwie nie są skierowane specjalnie przeciwko Japończykom. Dotyczą one w tym samym stopniu poddanych wielko-brytańskich w Indjach. Jest rzeczą niemożliwą, żebyśmy mogli sformułować inaczej waszą poprawkę, gdyż niema możliwej do przyjęcia redakcji, któraby zadowoliła obie strony.

Delegaci japońscy powiedzieli, że pragną podtrzymać wniosek i nie podpiszą traktatu, o ile ten wniosek nie przejdzie. P. Hughes odrzekł, że nie podpisze traktatu, o ile wniosek przejdzie. Wreszcie premjer australijski zapytał barona Makino, czy byłby zadowolony z następującego zastrzeżenia: „Zasada równości nie ma być zastosowywana w sprawach emigracji i nacjonalizacji". Baron Makino i wice-hrabia Chinda odpowiedzieli obydwaj przecząco i wyszli.

Ostatni akt [1]) opisują naoczni świadkowie w sposób następujący. Zgodnie z porządkiem dziennym prezydent Wilson postawił wniosek, żeby wybrać Genewę, jako stolicę przyszłej Ligi; większość była za nim, oznajmił więc, że wniosek przeszedł.

Potem przyszła kolej na palącą kwestję równości narodów [2]). Delegat polski wstał i zaprotestował z powodu formalnego, że nic nie może być przedmiotem wstępnego uzasadnienia, co nie jest omawiane w samym Statucie; byłoby to bowiem luźną teorją, pozbawioną organicznego związku z całością. Delegaci japońscy wygłosili z wielką swadą mowy pełne przekonywających argumentów. Baron Makino, zrobił doniosłą sprawę z równości narodów.

Następnem było cięte przemówienie wicehrabiego Chinda, które sobie zyskało wielkie uznanie u słuchaczy; prawie wszyscy stwierdzili słuszność żądania Japonji. Delegaci japońscy nie dali się omamić tą okolicznością, że Japonja miała być reprezentowana w Radzie Wykonawczej, jako jedno z pięciu wielkich mocarstw, i że odrzucenie proponowanej poprawki nie powinno być uważane, jako poniżenie jej znaczenia i wpływów. Twierdził, że wzgląd ten nie miał nic wspólnego z kwestją, czy narody mają, lub nie, być uznane za równe. Zakończyli odmową cofnięcia swej zmodyfikowanej poprawki i zażądali głosowania. Rezultatem była większość głosów za poprawką. Wilson oświadczył, że większość jest jeszcze niewystarczająca do jej przyjęcia, a konieczną jest pełna jednomyślność. Na to jeden z delegatów odezwał się: „Panie Wilson, przed chwilą uznał Pan większość za wystarczającą w sprawie swego wniosku, dotyczącego Genewy; czy mogę zapytać, na jakiej zasadzie Pan nie chce uznać jej w sprawie głosowania nad poprawką delegacji japońskiej? „To są dwie różne sprawy—była odpowiedź—w sprawie siedziby Ligi jednomyślność jest nie do osiągnięcia". W ten sposób została zamknięta dyskusja oficjalna.

Po upływie pewnego czasu, jak twierdzą, zwrócono się do Rumunów, którzy poparli wniosek Wilsona w sprawie równości wyznań i oznajmiono im, że amerykańcy delegaci byliby radzi, gdyby pierwotna propozycja została wznowiona. Dodano, że podobny wniosek mógłby wyjść od Rumunów, którzy w osobie p. Diamandiego wypowiedzieli się za nim z początku.

Delegaci rumuńscy zawahali się wobec nieugiętej opozycji Japończyków. Zapewniono ich jednak, że Japończycy nie bę-

[1]) 11 kwietnia 1919 r.

[2]) Tekst ostatecznej poprawki japońskiej był następujący: „Przez uznanie zasady równości narodów i sprawiedliwe traktowanie ich narodowości".

dą się dłużej opierali. Przedłożono potem sprawę lordowi Robertowi Cecilowi, ale ten ze swą zwykłą ostrożnością odpowiedział, że była to trudna do załatwienia kwestja szczególniej po świeżem doświadczeniu. Co do niego samego, wolałby pozostawić inicjatywę innym. Czy delegaci rumuńscy nie mogliby pomówić z pułkownikiem House, który wziął poprawkę tak bardzo do serca? Usłuchano rady i zwrócono się do pułkownika House. Ten zaś oświadczył, że sprawa jest doniosła i zawiła i dlatego najlepiej byłoby zwrócić się do kierownika delegacji amerykańskiej. Prezydent Wilson był autorem poprawki, jest więc osobą najodpowiedniejszą do podjęcia bezpośredniej akcji. Mówią dalej, że wzywano Prezydenta, żeby podniósł kwestję nanowo, lecz nie chciał ryzykować powtórnego głosowania i sprawa została ostatecznie w tej formie zaniechana.

Oznajmiono później publicznie, że Japończycy postanowili zgodzić się na odrzucenie ich poprawki i podpisać Statut, jako wynik targu w sprawie sporu o Szantung. Twierdzenie to obaliła jednak delegacja japońska, która wykazała, że wprowadzenie artykułu w sprawie ras i narodów było postanowione, zanim delegaci opuścili Japonję i kiedy nie przewidywano trudności w sprawie żądania Japonji, żeby Niemcy ustąpiły jej tę prowincję i że dyskusja na temat poprawki była zakończona 11 kwietnia, to jest, zanim była wzięta pod obrady sprawa Kiao-Czau. Istotnie Japończycy ogłosili publicznie o swym zamiarze przystąpienia do Ligi Narodów na dwa dni [1]) przed tem, nim powzięto decyzję w sprawie Kiao-Czau. Głosowanie przeciwko ulubionemu projektowi Wilsona, żeby ogłosić równość wyznań, jako sposób zapobieżenia krwawym wojnom, wzmocniło reakcję Konferencji przeciwko temu, co było uważane za systematyczne dążenie do ustalenia panowania ludów anglo-saskich nad światem. Pogląd, że wojny mogą być wywoływane przez różność wyznań, która do dziś dnia trwa, był tak nierealny, że wzniecił podejrzenia w umysłach wielu kolegów Wilsona. Wielu z nich sądziło, że szukano w ten sposób pretekstu, żeby mocarstwa kierownicze mogły się mieszać do spraw domowych wszystkich innych państw, trzymać je mocno w ręku i używać jako środków do własnych celów. A cele te były dalekie od tego, żeby mogły być uznane za bezinteresowne. Na nieszczęście to przeświadczenie zostało jeszcze wzmocnione przez niektóre postanowienia Rady Najwyższej, zapadłe w czasie między kwietniem a zamknięciem Konferencji. Wątpliwości innych delegatów odnosiły się do kwestji, która na pierwszy rzut oka może się wydać tak daleką od wszystkich pilnych dezyderatów dwudziestego wieku, że można ją uznać za fikcyjną. Obawiali

[1]) 28 kwietnia 1919 r.

się oni, czy ostatecznym wynikiem polityki Wilsona nie był religijny — inni nazwaliby go rasowym — przesąd. Może się to wydać czytelnikom dziwnem, ale jednakże jest faktem, że pokaźna liczba delegatów uważała, że istotnemi wpływami, działającemi poza interesami narodów anglo-saskich — były wpływy żydowskie.

Zestawiali oni propozycję Prezydenta w sprawie nierówności wyznań, a w szczególności dziwny jej motyw, ze środkami obrony mniejszości, które narzucał państwom mniejszym, a których źródłem było zadowolenie elementów żydowskich w Europie Wschodniej. Z tego wnioskowali, że szereg projektów w tym kierunku został inspirowany przez Żydów, zgromadzonych w Paryżu dla zrealizowania swego starannie obmyślanego programu, który udało im się w znacznej mierze wykonać. Czy ci delegaci mieli słuszność, czy też mylili się, ignorowanie ich poglądów byłoby niebezpiecznym błędem, gdyż były one stałemi czynnikami położenia ogólnego. Polityka ta została ujęta przez członków Konferencji, których krajów dotyczyła i którzy uważali ją za zgubną dla pokoju w Europie Wschodniej, w następującą formułę: „Odtąd świat będzie kierowany przez narody anglo-saskie, które znowu będą rządzone przez elementy żydowskie".

Trudno oddać dokładnie temperaturę uczuć—chciałoby się nazwać to prawie ogniem namiętności — którą wywołało to odkrycie. Zastosowanie tej teorji do wielu zagadek przeszłości było szerokie i pomysłowe. Przykłady sposobów, jakiemi prowadzono tę politykę, pochlebstwo i pogróżki, używane dla zapewnienia jej powodzenia, odnosiły się do całej historji Konferencji i przedstawiały ją w nowem i skażonem świetle. Chorobliwe podejrzenia mogłyby być naturalną skłonnością ludzi, którzy spędzili znaczną część życia wśród ostrych walk rasowych; ale zgodnie z ogólnem zdaniem, umacniał je na Konferencji brak umiarkowania i rezerwy ze strony niektórych obrońców mniejszości, którym brakło poczucia miary. Delegaci ze Wschodu odzywali się w sposób następujący: „Prąd w waszych krajach płynie gwałtownie na korzyść Żydów. Wszystkie rządy wschodnie, które dotąd traktowały ich niesprawiedliwie, wołają *mea culpa* i obiecały uroczyście zmienić swe postępowanie. Już to nawet uczyniły. My, naprzykład, zmieniliśmy swoje prawodawstwo, żeby zaspokoić uprawnione życzenia Konferencji i gwałtowne wymagania Żydów. Zrobiliśmy dosyć, żeby przeszkodzić postanowieniom, które mogłyby zmniejszyć naszą suwerenność lub nasze wpływy. Polska i Rumunja wydały prawa, wprowadzające zupełne zrównanie Żydów w prawach z ich własnymi obywatelami. Zaprzestano robienia różnic. Żydzi — emigranci z Rosji otrzymali pełne prawa obywatelskie

i zostali powołani do sprawowania wszelkich urzędów w państwie. Jednem słowem, dawny brak praw został usunięty i rządy wschodnio-europejskie wyraziły gorące życzenia, żeby żydowscy obywatele ich krajów poczęli stopniowo asymilować się i stawać patrjotycznymi obywatelami państwa, jak jego rodowici obywatele. Był to nowy ideał. Dawano Żydom wszystko, czego pragnęli. Miało to im dać sposobność dowieść, jak to uczynili Żydzi francuscy, włoscy i belgijscy, że są użytecznymi obywatelami przybranej ojczyzny.

W zachwycie triumfu Żydzi, a raczej przedstawiciele ich na Konferencji, nie byli zadowoleni z równości. Zaczęli żądać nierówności na szkodę narodów, z których gościnności korzystali i na własną korzyść. Mieli dostać te same prawa, co Rumuni, Polacy i inne narody, pomiędzy któremi mieszkali, ale mieli mieć również o wiele więcej. Ich autonomja wyznaniowa została oddana pod opiekę obcego ciała Ligi, będącej tylko inną nazwą dla mocarstw, które zachowały dla siebie rządy świata. Zasadą stało się—zmusić każde z państw mniejszych do dania mniejszości tych samych praw, z których korzysta większość, oraz dać im ponadto pewne przywileje. Dokumentem, wkładającym to zobowiązanie, jest traktat formalny z wielkiemi mocarstwami, który kazano podpisać Polakom, Rumunom i innym państwom mniejszym. Zawiera on dwadzieścia jeden paragrafów. Pierwsza część dokumentu mówi o mniejszościach wogóle, ostatnia o elementach żydowskich. Artykuł drugi traktatu polskiego ustanawia, że każda jednostka, należąca w dniu 1 sierpnia 1914 r. do stałych mieszkańców Polski, staje się przez to jej obywatelem. Jest to proste. Czy jest to słuszne? Wielu Francuzów i Polaków wątpi o tem tak, jak i my. W dniu 1 sierpnia mieszkało w Polsce stale wielu niemieckich i austrjackich agentów i szpiegów, wielu z nich żydów. Nie dość na tem, obce elementy żydowskie, przybyłe z Rosji, utraciwszy nadzieję — jak i inni przed wojną — w odbudowanie niepodległej Polski, związali swe losy z jej wrogami. Dać w ręce podobnych wrogów broń konstytucyjną jest już ofiarą i ryzykiem. Żydzi w Wilnie głosowali świeżo zgodnie przeciwko przyłączeniu tego miasta do Polski [1]). Czy należy uważać ich za lojalnych obywateli polskich? Ustąpiliśmy na tym punkcie bez zastrzeżeń. Ale dawać im autonomję, ponadto tworzyć państwo w państwie, pozwolić swym poddanym uciekać się w każdej chwili do państw obcych przeciwko prawnie ukon-

[1]) Związek żydowski w Wilnie pomieścił w swym programie przyłączenie Wilna do Rosji... Przeważająca większość była za oddaniem go Polsce. *Le Temps*, 14 września 1919 r. Wybory odbywały się 7 września.

stytuowanym władzom — jest to sposób, którego nie można polecić narodom świeżo usamowolnionym.

Premjer rumuński Bratiano, którego wybitne usługi, oddane sprawie sprzymierzeńców, uprawniły do korzystania z powszechnego szacunku, wygłosił wielką mowę [1]) przed delegatami, zebranymi na posiedzeniu plenarnem, w sprawie opieki nad mniejszościami narodowemi i religijnemi. Poruszył grunt, nietknięty przez twórców traktatów specjalnych, a szczery jego ton dodawał powagi jego argumentom. Wychodząc z założenia, że siła państw współczesnych zależy od szerokiego udziału wszystkich żywiołów ludności w rządach kraju, podkreślił pilną potrzebę zniesienia siejących niezgodę różnic pomiędzy różnemi elementami ludności — narodowemi czy religijnemi. W tej mierze zgadzał się z przedstawicielami wielkich mocarstw. Rumunja już osiągnęła to za pomocą prawa, pozwalającego Żydom na zdobycie pełnego obywatelstwa przez wyrażenie życzenia według prostej formuły. Akt ten daje pełne prawa obywateli rumuńskich około 800 tysiącom Żydów. Prasa żydowska w Bukareszcie wyraziła już swe zupełne zadowolenie. Jeżeli jednak Żydzi mają być zaliczeni do specjalnej kategorji, oddzielonej i trzymanej zdala od swych współobywateli przez instytucje autonomiczne, utrzymanie niemiecko-żydowskiego dialektu, ożywczego niemieckiego anty-rumuńskiego ducha i będzie im wolno patrzeć na państwo rumuńskie, jako na niższy trybunał, od którego można zawsze apelować do ciała zagranicznego — rządu wielkich mocarstw — będzie to budzące niechęć i zazdrość wyróżnienie, obliczone na to, żeby zupełnie uniemożliwić asymilację mówiących żargonem Żydów z ich współobywatelami rumuńskimi.

Większość i mniejszość będą stale stawały się sobie coraz bardziej obce; pod tym wpływem żywiołowe instynkty mas mogą nagle przybrać niepożądane formy, którym traktat, o ile zostanie ratyfikowany, nie będzie mógł zapobiec. Choć szkodliwa dla ludności, opieka obca jest nieporównanie gorszą dla państwa, gdyż dąży do osłabienia cementu, wiążącego rząd i naród i statecznie prowadzi do rozkładu. Klasycznym przykładem tego procesu rozkładowego jest szlachetnie pomyślana opieka Rosji nad chrześcijanami prześladowanymi w Turcji. W tym wypadku pobudka była wzniosła, konieczność niezbędna, a rezultatem było rozczłonkowanie Turcji i inne zmiany; o niektórych z nich chciałoby się zapomnieć.

Delegaci Czecho-Słowacji, Jugosławji i Polski poparli objekcje Bratiano w krótkich, dosadnych przemówieniach. Przydługa odpowiedź prezydenta Wilsona, wypowiedziana z większą,

[1]) W sobotę, 31 maja 1919 r.

niż zwykle słodyczą, odrzuciła porównanie p. Bratiano projektowanej interwencji aljantów z opieką Rosjan nad chrześcijanami w Turcji i komentowała ten projekt, jako wynikający wyłącznie z dobroci. Powiedział, że wielkie mocarstwa dają obecnie istnienie narodowe lub rozległe terytorja państwom interesowanym, zabezpieczając ich granice, a więc stają się odpowiedzialne za stały spokój wewnątrz nich. Ale traktowanie mniejszości, o ile nie będzie sprawiedliwe i względne, może wywołać poważne zamieszki, a nawet wywołać wojny. Dlatego spada na mocarstwa obowiązek zapewnienia w interesie zarówno całej Europy, jak i każdego z jej pojedynczych członków stosunków zgodnych, a w każdym razie usunięcia wszelkich widocznych przeszkód ku temu. „Gwarantujemy wasze granice i terytorja. To znaczy, że wyślemy broń, okręty i żołnierzy w razie potrzeby. Dlatego posiadamy prawo i uznajemy za swój obowiązek usunięcie przeżytku tych smutnych warunków, które czynią interwencję nieuniknioną". Na to rozumowanie p. Bratiano odpowiedział, że wszystkie zbawienne zasady dobrego rządu są stosowane powszechnie, jeżeli więc opieka nad mniejszościami istotnie jest niezbędna lub pożądana, nie należy ograniczać jej do krajów Europy Wschodniej. ale rozszerzyć na całą Europę, bez żadnego wyjątku. Jest niedopuszczalne sztuczne tworzenie dwóch kategoryj państw, jednej o pełnej suwerenności, a drugiej — państw półsuwerennych. Podobny ustrój zniweczyłby równość, będącą podstawą prawdziwej Ligi Narodów.

Wielkie mocarstwa były nieustępne i opierającym się rządom narzucono traktaty specjalne. Poczem premjer rumuński usunął się z Konferencji i ani jego gabinet, ani też Jugosłowiański nie podpisał traktatu z Austrją w St. Germain.

To, co się stało później, należy do historji.

Niewielu polityków ocenia należycie doniosłość sprawy, ukrytej w frazeologji dyplomatycznej szkodliwych traktatów, ani niebezpieczeństwa, na jakie przeprowadzenie jej naraziłoby mniejszości, któremi chciano się opiekować, i kraje, które dały gościnę Żydom, i może i inne kraje, które wydają się dziś napozór wolnemi od niebezpiecznych kwestyj rasowych. Obliczalne czynniki kwestji—nie mówiąc już nic o niestwierdzonych—mogą skłonić odpowiedzialnych mężów stanu do zadowolenia się rzeczami, które są do osiągnięcia. Elementy żydowskie w Europie, haniebnie uciskane w ciągu całych wieków, słusznie skorzystały ze sposobności, nadarzającej się przy przebudowie świata, ażeby zapewnić sobie równość praw. I trzeba przyznać, że organizacja ich była wspaniała. Przez lata całe broniłem ich sprawy w Rosji i odpowiadałem za to pod rządami Aleksan-

dra II i III.[1]) Każdy bezstronny człowiek, do jakiejkolwiek należałby rasy czy religji, musi mieć współczucie dla rasy czy narodu poniewieranego, jakim byli nieszczęśliwi Żydzi w Rosji od czasu rozbiorów Polski. Ale zdawałoby się, że dla wyrównania krzywdy wystarczy równość, pełna równość bez żadnych zastrzeżeń. Było to zdanie wielu Żydów w Polsce i Rumunji, z których niektórzy odwiedzali mnie w Paryżu i prosili o wypowiedzenie publicznie ich nadziei co do uzyskania na Konferencji zupełnej równości i ich obawy co do skutków wprowadzenia stanu uprzywilejowanego. Dlaczego to położenie ma istnieć tylko w Europie Wschodniej i nigdzieindziej, dlaczego ma się nie odnosić do innych narodów, posiadających w swoich krajach liczebniejsze mniejszości—są to pytania, na które zadawalającą odpowiedź mogłyby dać tylko sięgające daleko i doniosłe zmiany w prawodawstwie świata.

Jeden z mężów stanu Europy Wschodniej wzywał w przekonywający sposób do cofnięcia artykułów, dotyczących mniejszości. Oparł się na tem, że głównym celem przyznania pełnych praw mieszkającym wśród nas Żydom jest usunięcie przeszkód, które im nie pozwalają stać się dobrymi i lojalnymi obywatelami państwa, jakimi są ich współwyznawcy we Francji, Włoszech, Anglji i innych krajach. „Jeżeli jest słusznem", mówił, „żeby żądali wszystkich praw, jakie posiadają ich rumuńscy i polscy współobywatele, byłoby również sprawiedliwem, żeby przyjęli i wypełnili związane z temi prawami obowiązki, jak to czyni reszta ludności, skoro stopniowa asymilacja wszystkich elementów etnicznych społeczeństwa jest naszym ideałem, tak samo, jak jest ideałem państwa francuskiego, angielskiego, włoskiego i innych.

Izolacja i partykularyzm jest zaprzeczeniem tego ideału i działa tak, jak kawałek żelaza lub drewna w ciele ludzkiem, który wywołuje owrzodzenie i gangrenę. Wszystkie nasze instytucje powinny więc być tak obmyślane, żeby popierać asymilację. Jeżeli przyjmiemy przeciwną politykę, niechybnie oddalimy uprzywilejowane odłamy społeczeństwa od nieuprzywilejowanych, wytworzymy pomiędzy niemi wrogi stosunek, spowodujemy nieskończone trudności w administracji i wreszcie udaremnimy zawczasu nasze najlepiej pomyślane zabiegi o zlanie różnych składników etnicznych narodu w jedną, jednolitą całość.

Ten wzgląd stosuje się w zupełności tak do wszystkich innych odłamów narodowościowych wśród nas, jak i do Żydów.

[1]) Drukowałem kilka seryj artykułów w *Daily Telegraph, Fortnightly Review* i innych pismach zarówno angielskich, jak amerykańskich, oraz długi rozdział w mej książce, mającej tytuł: „Szkice rosyjskie".

Jasnem jest, że jedynym pewnym rezultatem artykułu o mniejszościach będzie narzucanie państwu wrogów domowych, a to może być zalecane jedynie przez tych, którzy uznają zasadę *divide et impera;* pociąga on za sobą również znaczne zmniejszenie suwerenności państwa. Mamy być wydani przed obcy trybunał, kiedykolwiek która z naszych mniejszości zechce wystąpić ze skargą przeciwko nam [1]).

Prąd opinji kontynentalnej był zdecydowanie przeciwny tej polityce stałej kontroli i interwencyj perjodycznych. Zbytecznem jest przytaczać ostre krytyki, dotyczące położenia murzynów w Stanach Zjednoczonych [2]). Ale nie będzie nie na miejscu zacytowanie poglądów dwóch umiarkowanych polityków francuskich, którzy należeli do najgorętszych zwolenników sprawy sprzymierzonych. Wywody ich dotyczą jednego z artykułów [3]) specjalnego Traktatu o mniejszościach, który Polska miała podpisać. Brzmi on jak następuje: „Żydzi nie powinni być zmuszani do wykonywania żadnych czynności, związanych z naruszeniem przepisów sabatu, ani nie powinni być pociągani do odpowiedzialności z powodu odmowy stawania przed sądem lub wykonywania pracy w dzień sabatu. To zastrzeżenie jednak nie wyłącza żydów od udziału w powinnościach, obowiązujących innych obywateli polskich w zakresie niezbędnych zadań służby wojskowej, obrony narodowej lub zachowania porządku publicznego.

Polska oświadcza gotowość powstrzymania się od urządzania lub zezwalania na urządzanie wyborów ogólnych lub miejscowych w sobotę, ani też rejestracja dla celów wyborczych i innych nie ma być przymusowo dokonywana w sobotę".

P. Gauvain pisze: „Można zadać pytanie, dlaczego szacunek dla sabatu jest narzucany tak bezwzględnie, kiedy niektóre mocarstwa sprzymierzone nie uznają niedzieli. We Francji chrześcijanie nie są zwolnieni od stawania w niedzielę przed sądem. Polska zostaje zobowiązana do nieurządzania i niezezwalania na wybory w sobotę. Skądże te zabiegi na korzyść religji żydowskiej wobec porównania z prawodawstwem wielu państw sprzymierzonych, w których nie istnieją podobne przepisy na korzyść katolicyzmu! Czy te same środki będą stoso-

[1]) Polska zgadza się na to, żeby każdy członek Rady Ligi Narodów miał prawo zwrócić uwagę Rady na każde przekroczenie lub *niebezpieczeństwo przekroczenia* każdego z tych zobowiązań i że Rada może podjąć taką akcję i dać takie wskazówki, jakie mogą się wydać odpowiednie i skuteczne w tych warunkach". Artykuł XII Traktatu specjalnego z Polską.

[2]) *La Gazette de Lausanne,* 24 kwietnia 1919 r.

[3]) Paragraf XI Traktatu specjalnego. L'Etoile Belge, 17 sierpnia 1919 roku.

wane i wobec mahometan? Czy zwrócimy uwagę na muzułman z Indyj, tak w porę wydobytych z cienia przez p. Montagu, żądając włączenia klauzuli o opiece nad Islamem? Czy sjoniści będą zmuszali do swych dogmatów w Palestynie? Czy życie narodu ma być zawieszone na dwa, trzy, cztery dni w tygodniu z powodu wypełniania obowiązków religijnych? Katolicyzm przystosował się w praktyce do prawodastwa świeckiego i wymagań współczesnego życia. Wydaje się, że mógłby uczynić to samo judaizm w Polsce. W Rumunji Żydzi nie napotykali przeszkód w wyznawaniu swej religji. Nawet udało im się w miejscowościach na północ od Mołdawji, gdzie tworzyli większość narzucić swe obyczaje reszcie ludności. Stróże żydzi na mostach, gdzie za przejazd pobierano opłatę, nie pozwalali na przejazd przez te mosty w soboty, gdyż z jednej strony religja broniła im przyjmowania w ten dzień pieniędzy, z drugiej zaś strony nie mogli pozwolić na przejazd bez opłaty. Wielcy Czterej mogliby skierować swą uwagę ku sprawom pożyteczniejszym i pilniejszym, niż zmuszanie do obchodzenia sabatu.

Jest zrozumiałem, że p. Bratiano musiał zawczasu odmówić przyjęcia warunków, które Czterej czy Pięciu mogli dyktować na korzyść mniejszości narodowych i religijnych. Rumunja była przed wojną wolnym krajem, rządzonym zgodnie z najbardziej współczesnemi zasadami. Zastrzeżenia, które robiła w stosunku do cudzoziemców wogóle i które zamierzała cofnąć, nie przekraczały tych, jakie z wielką uporczywością stosują dotąd Stany Zjednoczone i Australja. Dlaczego gabinety londyński i waszyngtoński biorą tak bardzo do serca los mniejszości narodowych i religijnych w niektórych krajach europejskich, gdy sami odmawiają uznania w statucie Związku Narodów zasady równości ras? Postępowanie ich budzi wśród państw, „których interesy są ograniczone" przekonanie, że są one ofiarami despotycznej polityki. I to nie jest pozbawione niebezpieczeństwa" [1]).

Inny wybitny Francuz p. Denis Cochin, do niedawna minister, pisał: „Konferencja przez narzucenie praw w obronie mniejszości niepotrzebnie i niesprawiedliwie obraziła naszych sprzymierzeńców. Prawa te zmuszają ich do uszanowania obyczajów Żydów, do utrzymywania dla nich szkół... Przez długi czas mej karjery żądałem dla katolików francuskich właśnie tego, co Konferencja narzuca gdzieindziej. Katolicy płacą podatki pieniężne i niosą daninę krwi, jednak niema budżetu dla szkół, w których uczą ich religji, ani wolności dla tych nauczycieli, którzy noszą suknie duchowne. Widziałem uczonego

[1]) *Le Journal des Débats*, 7 lipca 1919 r.

doktora, członka uniwersytetu, wydalonego z kursu za to, że był marjaninem i nie chciał wyrzec się powołania, które czuł w młodości. Umarł on ze zgryzoty. Widziałem młodych księży po długiem i pracowitem przygotowaniu się do konkursu uniwersyteckiego, usuwanych w ostatniej chwili od udziału w konkursie tylko dlatego, że nosili strój duchowny. Jednak w rok potem byli żołnierzami. Widziałem księdza Schella, przedstawionego jednomyślnie przez Instytut i ciało profesorskie na katedrę w Collège de France, któremu minister odmówił nominacji. Jednak twierdzę, że gdyby cudzoziemcy, będący nawet sprzymierzeńcami i przyjaciółmi, mieli wmieszać się w to i narzucać nam zniesienie tych niesprawiedliwych praw, podniósłbym przeciwko nim protest razem z p. Combes [1]). Zawołałbym, jak żona Sganarelle'a: „A co, jeśli ja chcę, żeby mnie bito?" Uważam tyranję za rzecz straszną, ale obcą interwencję za jeszcze straszniejszą. Zwalczajmy złe prawa z całej siły, ale pomiędzy sobą [2]).

Traktaty w sprawie mniejszości dążą do przekonania każdego z państw, którym są narzucone w minjaturowe Bałkany, do trzymania Europy w stanie stałego zamętu, oraz do tłumienia wzrostu nowych i twórczych idej, od których jedynie można oczekiwać połączenia energji zbiorowej z wolnością indywidualną, niezbędną dla pokoju i postępu. Historja współczesna nie dostarcza bardziej uderzającego przykładu przewagi skłonności abstrakcyjnych nad nauką doświadczenia, niż to dyletanckie prawodawstwo, rozsiewające po Europie ziarna niesprawiedliwości i niezgody.

Rzucając ostatnie spojrzenie na rezultaty Konferencji, niepodobna nie podkreślić, jako cennej zdobyczy, zniszczenia militaryzmu pruskiego, którego koniec zawdzięczamy raczej bohaterstwu armij, niż przenikliwości prawodawców w Paryżu. Odbudowanie Państwa Polskiego i stworzenie lub rozszerzenie innych państw wolnych na rachunek mocarstw centralnych są to zmiany niezmiernie pożądane, które nie powinny być jednak skażone przez rozkładowe działanie prawodawstwa o mniejszościach. I dalej, choć Liga jest młynem, którego koła próżno się kręcą, gdyż niema zboża do mielenia, sam fakt, że konieczność internacjonalizmu została uroczyście ogłoszona, jako idea główna nowego ustroju, i że zrobiony został słaby wysiłek, żeby ją wcielić w formie statutu społecznego i moralnego koleżeństwa, jest oznaką postępu, którego się wyrzec nie można.

---

[1]) P. Combes był autorem praw, na mocy których wypędzono z Francji kongregacje religijne.

[2]) *Le Figaro*, 21 sierpnia 1919 r.; *Echo de Paris*, 22 sierpnia 1919 roku.

Przez to stała się aktualną naczelna idea polityki współczesnej, zanim narody same nie wcielą jej w żywotne instytucje. Delegaci nie potrafili zrozumieć, że program Ligi nie jest jeszcze Ligą.

Do przewinień można dodać jeszcze więcej, niż było powiedziane. Głównym faktem, o którym należy pamiętać, choć sam przez się nie jest godzien ani pochwały, ani nagany—jest ten, że parlament świata był w zasadzie zgromadzeniem anglosaskiem, którego język, pojęcia polityczne, szacunek dla samego siebie i pogarda dla wszystkiego co cudzoziemskie była z gruntu angielska. Mówiąc, delegaci główni patrzyli w przyszłość; czyniąc, oglądali się ku przeszłości. Jak pisze poważny dziennik angielski, mając na myśli Ligę Narodów: „Oddaliśmy szacunek temu porywającemu ideałowi przez włączenie Statutu do Traktatu. Pozostaje tam, jako drogowskaz, wskazujący drogę do nowego nieba na ziemi. Ale widzimy też, że sam Traktat jest starem, zacnem dziełem osiemnastego stulecia, czerpiącem swe natchnienia ze względów oświatowych i praktycznych i uznającem o wiele głębiej, niż samemi słowami zasadę równowagi sił" [1]).

Jest to sprawiedliwa ocena pracy, wykonanej przez delegatów. Zgrzeszyli wszakże w sposobie jej prowadzenia. Gdyby dążyli jawnie i świadomie do tych rezultatów i nie kazali światu oczekiwać innych, większa część krytyk, na które się narazili, utraciłaby swe znaczenie. Lecz budzili nadzieje, których nie chcieli spełnić, osłabili, jeżeli nie zniszczyli, wiarę w traktaty publiczne, wzmocnili nieufność i nienawiść rasową na całym świecie, rozrzucili silne środki wybuchowe po wszystkich państwach kontynentu europejskiego, podniecili dzikie namiętności w Rosji, wreszcie pozostawili jej nieszczęsny naród na pastwę niesłychanej anarchji. Jednem słowem, zebrali szeroko rozrzucone materjały wybuchowe imperjalizmu, nacjonalizmu i internacjonalizmu i, wzmocniwszy ich działanie niszczycielskie, podali je narodom świata w postaci Ligi Narodów. Niektórzy z nich z żalem mówili o ciężkiem położeniu narodów, w jakiem się znalazły, nie widząc jednak przyczynowego związku pomiędzy niem a własnemi czynami.

Generał Smuts przed odjazdem z Paryża do Afryki Południowej szczerze przyznawał, że traktat pokojowy nie da nam prawdziwego pokoju, którego oczekiwały narody i że działalność pokojowa nie rozpocznie się aż po podpisaniu Traktatu. *Echo de Paris* pisało: „Co do nas, nie wierzyliśmy nigdy w Ligę Narodów" [2]). I dalej: „Liga Narodów jest dziś tylko ułudą

[1]) *Morning Post*, 21 lipca 1919 r.
[2]) *Echo de Paris*, 29 kwietnia 1919 r.

i nikt nie odważyłby się widzieć w niej światło kierownicze" [1]). Dyktator bolszewicki Lenin nazwał ją „organizacją do rabowania świata" [2]).

Aljanci sami byli wielce skonsternowani. Francuzi nie mieli zaufania do Anglików; znaczny odłam narodu amerykańskiego jest głęboko niezadowolony z roli, odgrywanej przez Anglików i Francuzów na Konferencji; Włochy są dotknięte do żywego traktowaniem ich przez Francję, Anglję i Stany Zjednoczone; Rumunja przeklina imiona tych, dla których wszystko postawiła na kartę i tyle poświęciła; w Polsce i Belgji Anglicy utracili względy, któremi cieszyli się przed Konferencją; Grecy są wściekli na delegatów amerykańskich; większość Rosjan literalnie nienawidzi swych eks-sprzymierzeńców i zwraca się ku Niemcom i Japończykom.

„Przebudowa Europy Centralnej" pisze dziennik amerykański, „dokonywa się nie w imię wyzwoleńczych zasad, lecz w interesie wielkich mocarstw, wśród których Francja jest partnerem czynnym, a Ameryka i Anglja — partnerami biernymi. W Niemczech celem jej jest stałe wyeliminowanie narodu niemieckiego, jako czynnika polityki europejskiej... Nie możemy zbawić Europy, prowadząc tak zgubną grę, jak w obecnej chwili. Niema w niej pokoju, porządku, bezpieczeństwa... Może ona tylko powiększyć zło i wzmocnić odstępstwa".

Wybitny Amerykanin, będący stałym przyjacielem Anglji [3]), twierdził w jednym z artykułów, że proponowana Liga Narodów powoli podminowuje porozumienie anglo-amerykańskie. „W Ameryce rośnie rozdrażnienie z powodu wplątania jej nazawsze w pajęczynę polityki europejskiej"... I jeżeli senat w przewidywanym interesie pokoju zaratyfikuje Ligę, to, dodaje on, „według mego zdania nie może wyniknąć większej szkody z jedności anglo-amerykańskiej, niż z tej niechętnej zgody" [4]).

Niektórzy z rodaków Wilsona, którzy go popierali całkowicie wówczas, gdy budował ustrój prawa i sprawiedliwości, ujmują w sposób następujący rezultaty prac jego w Paryżu [5]): „Jego uroczysta przestroga przed przymierzami specjalnemi znalazła wyraz w specjalnym przymierzu z Anglją i Francją. Jego niejednokrotne potępienie tajnych traktatów kończy się wyznaniem, że „trudno je odrzucić", nawet choćby były sprzeczne z równie krępującemi zobowiązaniami publicznemi, przyję-

[1]) *Echo de Paris,* 14 kwietnia 1919 r.
[2]) *Chicago Tribune* (wydanie paryskie), 17 września 1919 r.
[3]) P. James B. Beck.
[4]) *The North American Rewiew,* czerwiec 1919 r.
[5]) *The New Republic,* 6 sierpnia 1919 r. str. 56.

temi po ich napisaniu. Jawnie zawierane umowy nie są zawierane jawnie. Daleko idące usunięcie wszelkich przeszkód ekonomicznych było zastosowane do ograniczeń niemieckich, a towarzyszyła mu blokada narodu, z którym nigdy nie wojowaliśmy. Sprawiedliwe gwarancje do wymiany w stosunku do sił wojennych były wzięte od Niemiec i nie dane nikomu. „Niekrępowana sposobność niezależnego określenia własnego rozwoju politycznego," obiecana Rosji i określona jako ostra próba, została opracowana przez Wilsona i innych w ten sposób, że taki ostrożny człowiek, jak p. Asquith mówi, że przygląda się jej ze „zdumieniem i lękiem". Naprawienie krzywd zrobionych w r. 1871 kończy się ukrytą aneksją granic z roku 1814. „Jasne do rozpoznania zasady narodowościowe", z których miały skorzystać Włochy, doprowadziły do aneksyj, które skłoniły do protestu wicehrabiego Bryce. „Najswobodniejsza możliwość rozwoju autonomicznego," obiecana narodom Austro-Węgier, oznaczała odmowę uznania Austrjaków za naród"...

Jakąkolwiek miarą będziemy mierzyli pracę Konferencji— etyczną, społeczną, czy polityczną — przedstawi się nam, jako czynnik obliczony na podkopanie wyższych interesów, osłabienie poczucia moralnego obecnego pokolenia, rozpalenie nienawiści narodowych i rasowych, wykopanie przepaści pomiędzy klasami i masami i szerokie otwarcie wrót falom międzynarodowego anarchizmu. Prawda, sprawiedliwość, równość i wolność zostały skręcone i ściśnięte w służbie dla celów ekonomiczno-politycznych. W Stanach Zjednoczonych ludzie, szczycący się swą wzniosłością, zaczęli już zwalczać interesy europejskie. W Europie każdy naród podniósł rękę przeciwko swym sąsiadom, a każdy lud—przeciwko swej klasie rządzącej. Każdy rząd przystosowuje swą politykę do potrzeb przyszłej wojny, która jest uważana powszechnie za nieunikniony wynik pokoju Wersalskiego. Imperjalizm i militaryzm zapuszczają korzenie na gruncie, gdzie były dotąd nieznane. Jednem słowem, ideał pruski, zamiast być zniszczonym, został przyjęty otwarcie przez jego pozornych wrogów, a niezmierne ofiary, poniesione przez bohaterskie armje większości narodów, zostały użyte na to, żeby jednej połowie świata dać słuszny powód do powstania przeciwko połowie drugiej.

SKOROWIDZ.[1])

Achilles, 111.
Aderbejdżan, 4 284.
Administracji nadużycia i wady, 24 26—28.
Adrjatyckie morze, 40 121 187 189 198 199 208 210 212 299.
Afryka, 5 291 300 348.
Aharoman A. H., *75.
Agadir, 47.
Ajenci nieurzędowi, 7 8.
Aladyn, 324.
Albanja, 58 59.
Aleksander I ces. ros., 11 12 65 73 99.
„ II „ 343 344.
„ III „ 5 344.
Allize min. fran., 214.
Alscuth, 213.
Alzacja, 135 296 299 315.
Ameryka, 5 53 76 *106 108 121 144 156 195 197 218 277 300 316 324 349.
Ameryki Północnej Stany Zjednoczone, 4 8 13 23 25 41 — 44 46 47 51 58 65 81 82 91 96 *97 108 114 116 125 126 148 *154 159 171 173 188 195 198 *208 217—220 224—226 229 237 242 247279 290 291 303 304 306 329 330 333 334 345—347 349 350.
Anarchizm, 350.
Anderson Marja, *75.
Angielska ekspansja na Bałtyku, 176 176.
Anglo-saskich narodów przewaga, 185 186 195 245 340.
d'Annunzio, 210.
Antwerpja, 132 133.
Apollo, 218.
Archangielsk, 235 238 240 *242 280.
Argentyna, 290.
Arjadna, 73.
Armenja, 4 57 100 156.
Asquith min. ang., 350.
Atlantyk, 75.
Australja, 226 *280 300 346.
Austrja, 14 32 40 47 62 99 106 122 135 138 141 143 145 150 187 191 —193 204 211—213 215 283—285 *301 317 319 331 343 350.
Azja, 53 291 300.
„ Mniejsza, 102 206.
„ Środkowa, 128.
Babel wieża, 74.
Babimost, 174.
Baker D., *75.
„ Sydney, *309.
Bakunin, 258.
Balfour J. A., 21 46 101 *154 180 282.
Bałkany, 226 317 318 347.
Bałtyk, 181 308.
Banat, 88 106 109 142 160 161 319.
Barres Maurycy, 285.
Bawarja, 15 100.
Bazylea, 33.
Beck D. Jakób, *349.
Belgja, 8 15 29 55 131 132 135 137 143 *169 173 233 234 241 285 316 317 336 349.
Benelli dramaturg, 187 192.
Benesz dr., 56 57 170.
Berlin, 20 53 240 252 294.
Bern szwajcarski, 62 208.
v. Bernstorff Eliza, 15.
Bertillon Jakób, 292.
Bessarabja, 73 144 248.
Bezobrazow, 221.
Białoruś, *169 175 *182.
Bissolati, 326.
Bliss gen., *149,
Boghos Nubar pasza, 57 *75.

[1]) Gwiazdka przed liczbą znaczy, że dane nazwisko wspomniane jest na stronnicy wskazanej w odnośnikach. Nazwy Anglja, Francja, Wilson nie zostały włączone do skorowidza, gdyż mowa o nich niemal na każdej stronnicy.

Bolszewizm (agitacja, geneza, metody, zbrodnie), 8 26 *62 88 107 — 109, 130 146 150 164 182 203 204—236 240—250 256—277 280 324 331; i komitety robotnicze, 262; nacjonalizacja banków i fabryk, 264—267; rada komisarzy ludowych, 109; rada gospodarstwa narodowego, 108; system sowietów, 261 262; bolszewickie reformy w Chinach, 268—270.
Bonar Law, 90.
Borghese Liwjusz książę, *150.
Borisow A. A. malarz, 108.
Botha gen., 164—167.
Botzen, 100.
Bratiano K., 55 *75 76 141—149 156 158 *189 342 343 346.
Braunstein, *patrz*: Trockij.
Brazylja, 195 290.
Brenner, 99.
Brest, 100.
Bristol admirał, *122.
Brockdorff-Rantzau hr., 1 43 306 311 314.
Bruck, *150.
Brudenne publicysta, *293.
Bruksella, 133 134 334.
Bryce wicehr., 350.
Brześć Litewski (traktat), 129 182 252 315 326.
Buchanan Jerzy, min., ang., 180.
Buchara, 4.
Bucquet minister, *74.
Budapeszt, 104 145—151 156 160 212.
Bukareszt, 56 138 147 148 154 156 —158 162 189 246.
Bukowina, 319.
Bullitt del. amer., 89 245 332 333.
Bułgarja, 6 50 117—119 121 125 283 290 317 — 320.
Bunke dr., *106 176.
Burgas, 118.
Bülow książę, kancl. niem., 47.
Cambon Juljusz, 70 71 140.
Cachin Marceli, 315.
Carlyle Tomasz, 162.
Carp min. rumuński, *189.
Castlereagh lord, 16.
Cecil Robert, 90 336 339.
Chamberlain lord, *309.
du Châtelet markiza, 2.
Chatham lord, 66.
Cheng-Cha-tun, 226.
Chicago, 237.
Chinda wicehr., 337 338.
Chili, 195.
Chiny, 34 35 52 111 195 220 222 — 232 268—270 *324.
Cieszyn, 71 115 129 163 170 254.
Cisa, 146 149 151.
Clemenceau Jerzy, 15 28 44—48 51 55 57 66 67 81 87—89 94 101 — 103 111 112 114 122 136 — 138 141 142 146 148 158 163 *172 184 190 199 201 208 209 214 289 291 302 *305 310 315 325—327.
Clerk Jerzy, *157.
Cochin Denis, 346.
Cognac, 24.
Colonder min. szwajc., *74.
Colorado, 237.
Combes premjer franc., 347.
Conyngham Greene, min. ang., *230.
Coromilas M. L., *75.
Costa Alfons, min. port., *75 *115.
Crane Karol, 302.
Crespi min. włoski, 204.
Cudzoziemcy bez ojczyzny, *patrz*: Żydzi.
Cunningham Tomasz, *150.
Cylicja, 57 69.
Cyncynnat, 248.
Cypr, 229.
Czarne morze, 4 57 118 268.
Czechosłowacja, 56 102 149 161 211 214 245 247 274 285 295 316 333 342.
Czechy, 215 316.
Dalmacja, 57 69 *74 129 189 194 197 199 207 209.
Danja, *133 *134.
Danton, 66.
Dąbrowa, 130.
Dedeagacz, *117.
Dejoces król Medów, 64.
Denikin generał, 235 245 246 307.
Derby lord, 21.
Deschanel prezydent izby posłów, 89.
Deshayes, *83.
Diamandi min. rumuń., 156 336 338.
Dillon E. J. (E. B. Lanin), autor niniejszej książki: uczestnictwo jego w pertraktacjach dyplomatycznych, stosunki z działaczami politycznymi, wyznania osobiste), 3—10 18 21 25 48 52 *70 *72 *73 77 105 106 108 110 *132 137 138 *143 *145 147 162 166 171 180 199 200 220 221 237 *238 239 240 242 244 247 257 258 274 279 323 328 333 343 344.
Djibouti, 300.

Dmowski Roman, delegat polski, 52 — 54 76 106 110 137 143 166 167 170 171 174 181 183 335 338 342 344.
Dobrudża, 144.
Dorten prezes republ. nadreń., 308.
Dostojewskij, 257.
Dreyfuss Adolf, 44.
Drezno, 252.
Drożyzna, głód, wyzysk, paskarstwo, 10 17 18 20—26 29 33 70 130 131 168 249.
Dublin, *258.
Dutasta sekretarz Konferencji, 163 164 175 214.
Dżingis-chan, 156.
Egejskie morze, 118 125.
Egipt, 126 195 223 234 242 304.
Egiz Monas, min. portug., *115.
Eichhorn spartakowiec, 261.
Ekaterynodar, 240 *242.
v. Ense Varhagen, *14.
Erzberger, 104.
Erzerum, 5.
Essad-pasza, 5 58 59.
Estonja, 106 127 169 250.
d'Estournelles de Constant, 300 325 *330.
Eupen 135.
Europa, 6 8 13 15 16 28 52 53 56 63 76 77 98 105 113 123 135 137 141 149 150 159—161 173 176 178 179 182—184 206 219 222 224 237 244 245 258 259 261—263 270 282 283 285 287 293 294 307 318 326 327 343 347 349 350.
Europa Centralna, 150 260 334 349.
Europa Wschodnia, *9 45 65 73 103 110 125 130 145 149 150 154 155 159 162 164 166 168 160 171 173 179 183 260 275 281 284 316 334 340 343 344.
Europa Zachodnia, 261 272.
Eynard G. J., *16.
Fabrycjusz, 248.
Faissal emir, 110 111 301—303.
Faszoda, 302.
Ferri Henryk, *193 *206 *208.
Ferries dr., 62.
Filadelfja, *88 *101 *105 *247.
Filipińskie wyspy, 242.
Finanse międzynarodowe, *patrz*: Żydzi.
Finlandja, 127 247 250 254.
Finlandzka zatoka, 268.
Fiume, 57 69 106 117 121 129 135 189 190 194—198 200 202 208—209 231.
Foch marszałek, 82 83 *149 165.
Franciszek Ferdynand arcyksiążę, 215.
„ Józef cesarz, 87.
Francuska Rewolucja, 257 — 260 267 268.
Frankfurt n. M., 252.
French lord, *309.
Friuli, *193 194.
Fryderyk II pruski, 70.
Fryzja, *133.
Galicja Wschodnia, 52 163 164 168 169; konstytucja dla niej, 171 172.
Gandawa, 133.
de la Garde hr., 14 17.
Gauvain August, *156 *237 *318 345.
Gdańsk, 70 84 86 103 106 118 129 163 166 176 274.
Genewa, 1 132—134 334 338.
v. Gentz Fryderyk, *15 16.
St. Germain-en-Laye, 214 343.
Ghelderland, *133.
Giolitti min. włoski, 51.
Gladbach, *34.
Goethe, 170 *322.
Goldsmith Oliwer, 68.
Gorkij, 257.
Gorton gen., 156 213.
Gorycja, *193 194.
Gough gen., 208.
Granice strategiczne, 76 209 210 279 323 324.
Gomi, 146.
Grecja, 8 15 50 56 102 117—119 121 186 205 285 290 292 319; Grecka Rzeczpospolita, 4.
Gruzja, 127.
Gwinea Nowa, 226.
Habsburgowie, 212 213 283; Habsburska monarchja, 139.
Haga, 73; Haska konferencja, 99.
Hager baron, 284.
Hagopian Des. A., *75.
Haig Douglas marszałek, *309.
Haller Józef gen., 167.
Hamlet, 256.
Hannewig Edward, 108 109.
Hanower, 26.
Harbord gen., 100.
Hawasa agencja, 90 95.
Hawr, 22.
Hay sekr. stanu, 324.
Hedżas, 4 110 301 302.
Helfferich dr., 286.
Henrys gen., 151.
Herkules, 327.

Huston 23.
Herron Jerzy, 109.
Herzog wydawca, *322.
von den Heuvel, del. belg., 55.
Hiszpanja, 115 116 131 185 300.
Hoare Samuel, 89.
Hoersing rządca Śląska, 130.
v. Hoetzendorff Konrad, 189.
Holandja, 1 8 132 133 *169 234 274 300 316.
Hoover pułk., *75 101.
House pułk., 89 *241 304 335—337 339.
Howard Esmè, 112.
Huerta prez. Meksyku, 59.
Hughes del. St. Zjedn., 52 280 337.
Hugo Wiktor, 20.
Hung Sew Tseuen, *270.
Hymans, min. belg., 55 136 336.
Ichii del. jap., 232.
Imperiali markiz, 200.
Imperjalizm, 159 206 350.
Indje Wschodnie, 4 195 233 242 346.
Indyjski ocean, 220.
Internacjonalizm, 116 327 347.
Ipol rzeka, 158.
Irlandja, 126 195 233 234 242 331.
Irredentyzm, 179 315.
Isabey malarz, 16.
Istrja, 189 * 193 194 199.
Ito margrabia, 221.
Izwolskij min. rosyjski, 221.
Janus, 218.
Japonja, 4 51 52 111 117 122 148 195 207 217 — 232 244 245 291 307 *309 319 *324 338 339.
Jarnac, 24.
Jaurès Jan, 33.
Jerzy V, król ang., 276 277.
Joffre marszałek, 44.
Jonescu min. rumuń., 55 56.
Józef arcyksiążę, 212 213.
Judenicz gen., 142 308.
Jugosławja, 56 118 137 149 185 186 191 194 211 214 215 245 274 285 342.
Kahn delegat, *309.
Kalkutta, 27.
Kalwin Jan, 134.
Kamerun, 296.
Kanada, 23.
Kant Emanuel, 321.
Karelja, 250.
Karol I cesarz, 87.
„ król rumuń., *189.
Karolińskie wyspy, 226.
Karolyi hr., 150.
Kars, 221.
Kato baron, 220 229.
Kaukaz, 5 100 106 128 239.
Kerasund, 4.
Kernan gen., 112.
Kerr Filip, 89.
Kiao-Czau, 220 226 227 229 339.
Kierenskij min. ros., 32.
Kinematograficzne zdjęcia, 17.
Kipri-Keni, 5.
Klagenfurt, 106 163 176.
Klotz min. franc., *80 289 297—299.
Knox Jan, 134.
Kolonja, 26.
Kołczak adm., 52 76 235 236 245 — 248 250 251 254 273 307 308.
Komisja finansowa i ekonomiczna, 142 143.
Komunizm, 151 264.
Konstantynopol, 3 100 119 304; Robert College, *75 119.
Korea, 4 6.
Korsyka, 73 74.
Kościoł katolicki, 110.
„ prawosławny, *75.
„ wschodni, 8.
Kotlass, 108.
Kraków, *182.
Kramarz dr., 128.
Kreta, 50.
Krezus, 3.
Kroacja, 189 196.
Krym, *242.
Ksenofont, 248 249.
Książęce wyspy, 109 236 241 243.
Kuhn (Cohn) Bela (Moryc), 32 88 104 *108 137 145 — 147 149 150 156 158 160—162 237 652.
Kunaks, 248.
Kurdystan, 4.
Labrador, min. portug., 14.
Lamsdorf, min. ros., 221.
Lanin E. B. (E. J. Dillon), *258.
Lansing, min. amer., 82 88 113 114 123 230 — 232 297 297 304 306 328 232 333.
Larnaude del. fran., 334 336.
Law Bonar, 181.
Lenin, 7 32 89 90 107·235 237 240 242 245 246 253 261 — 264 266 —269 271 322 349.
Leskow, 257.
Libawa, 176 274.
Lichtenberg filozof, 322.
Lida, 182.
Liga narodów (pojęcie, statut, zasady, zastosowanie ich), 13 16 39 40 45 46 49 50 56 64 65 82 86 90—98 105 110 114 118 122 —

129 131 — 140 144 156 173 178 179 195 198 202 209 210 212 213 216 230 241 242 247 252 254 278 279 287 290 291 294 295 300 302 303 305 308 310 — 313 315 316 324 — 249.
de Ligne książę, 14 16 21.
Limburg, 132 233.
Lion, 23.
Litwa, 174 175.
Lloyd-George Dawid, 6 16 21 40 —44 51 54 66 67 71 81 — 85 89 90 93 94 97 101 111 — 113 115 129 130 148 168 170—172 174 199—201 217 234 273 288 *305; Lloyd-George syn, 21.
Lodge sen. amer., 114.
Lombardja, 215.
Londyn, 16 20 26 49 56 64 97 106 108 134 180 192 220 221 246 303.
Lotaryngja, 135 296 299 315.
Loucheur min. franc., 298.
Louvain, 68.
Lozanna, 1.
Lublin, *182.
Ludwik XIV, 119.
Lueger burmistrz Wiednia, 151.
Lukullus, 2 3.
Luter Marcin, 134.
Luzatto El., *268.
Lwów, *182.
Lysis ekonomista, *107.
Łotwa, 127.
Łowczen, 5.
Łunaczarskij, *238 *260.
M. B. francuz, 73.
Macedonja, *119 317.
Machin nauczycielka tańca, 21.
Mackensen marszałek, 145 152.
Mahan T. A., *223.
Makino baron, 51 76 *172 227 *230 336—338.
Makłakow, 175.
Malmedy, 135.
Man wyspa, 74.
Mandżurja, 221 *226.
Mantoux Paweł, 86 87 102 103.
Marchand L., *293.
Marja Teresa cesarzowa, 11.
Marks Karol, 256 264 266 267 322.
Marlborough gen., 66.
Marokko, 86 296 299.
Marsh gen., 307 *308 *325.
Marsylja, 23 26.
Marszałkowskie wyspy, 226.
Maudel Jerzy, 44.
św. Maurycego wyspa, 284 301.
Medjolan, 300.
Mekka, 301.
Meksyk, 31 59 116 290.
Melville Stone, 41.
Meran, 100.
Metkowicz port, 190.
Metternich, 12.
Meunier Paweł, *83.
Mezopotamja, 102 301 302.
Michelet, 258.
Mikołaj II cesarz, 73 99 221 223 277.
„ w. książę, 274.
Militaryzm, 137 165 324 330 350.
Millard Tomasz, *230.
Milukow, 180.
Mińsk, 182.
Mirko królewicz, 5 6.
Mishu del. rumuń., 56 143 158.
Misicz woj. serbski, 151.
Mniejszości narodowościowych i wyznaniowych prawa i traktaty co do nich, 144 340—348.
Mojżesz, 61 65.
Mołdawja, 346.
Momalek min. perski, 304.
Monachjum, *12 *34 45 265.
Mongolja, 221.
Monroego doktryna, 114 195 218 225 227 231 289 290 322 324 332.
Montagu delegat, 346.
Monte Carlo, 133.
Montgelas Maksymiljan, *14 15.
Moratorja, 25 29.
Morawja, 100.
Morgan bankier, 121.
Moskwa, 7 108 237 240 245 2472 58
Motono vicehr., 223 226.
Mount Vernon, 196.
Moza rzeka, 133.
Muehlon, 62.
Murman, 235 237 238 240 280.
Naddunajska Federacja, 48 211 212.
Nankin, *270.
Nansen, 249.
Nantes, 268.
Napoleon I, 16 20 32 74 110 211.
Nastroje i poglądy różnych sfer społeczeństwa, 17—22 26 30 — 32 35—37.
Neobolszewizm, 149.
Nestor, 59.
Neuville-sur-Margival, 18.
Newchwang, *324.
Newton P., *75.
New-York, *96 237.
Niemcy—*passim;* niemieckie kolonje, 128 135; niemiecka kultura,

dążności, stosunek do Rosji i bolszewizmu, 251—253 259 261.
Nikita król czarnogórski, 5.
v. Nostitz Karol hr., 15 16.
Noulens amb. fran., 112.
Ob rzeka, 108.
Odessa, 6 104 235 238 240 258 260.
Oklahoma, 237.
Okuma premjer japoń., 226.
Olimp, 63 154.
Omsk, *242 245.
Orlando min. włoski, 50 51 67 76 101 157 192 203 208 214 334 336.
Ormiańska rzeczpospolita, 5.
Orpen Wiljam malarz, 16 17.
Ouchy, 1.
Oxenstjerna hr., 7.
Paderewski Ignacy, delegat polski, 54 141 168 169 173 174.
Paes Sidonio, 7.
Painlevé min. franc., 84.
Palestyna, 8 125 301 346.
Papieża stanowisko, 336.
Paryż — *passim;* hotele: Grillon 59, Majestic, 6 21; Vendôme, 5; przedmieścia i ulice: Faubourg St. Germain, 2, Mogador, 21, quai d'Orsay, 11 22 112 274; Panteon, *40.
Pasicz min. serb., *75.
Paweł św., 5.
Peidl min. węgier., 212 213.
Pekin, 225 227 228 274.
Penelopa, 86.
Perm, 276.
Persja, 4 301 303 305 307.
Pertinax publicysta, *122 *123 216 *246 *305.
Pessoa Epistacio, prez. portug., 143.
Pétain marszałek, 45.
Petersburg (Piotrogród), 156 180 240 250 253 258 265 307.
Petit ajent, 89.
Piave rzeka, 193.
Pichon min. franc., 47 94 101 113 *127 *251.
Piłsudski Józef, naczelnik Państwa Polskiego, 168 175.
Pinner Feliks, *263 *266.
Pius IX, 101.
Poincaré Rajmund, 89.
Pola, *193 194.
Policja obyczajowa, *34.
Polk z misji ameryk., 122.
Polska, jej sprawy, stanowisko, położenie, zadania, cele i nadzieje, 8 12 14—16 53 56 70 71 102 106 115 118 125 129 162—183 186 210 — 215 241 245 247 274 285 290 307 313 316 333 340—342 344 345 349; charakterystyka Polaków z pod trzech zaborów, 181—182; rozejm między Polakami a Rusinami, 104 151 163 164 166 167; umowa między Polską a Niemcami, 104; uznanie niepodległości Polski przez Rosję, 180—181.
Portsmouth, 221.
Portugalja, 6 300.
Poznański uniwersytet, *182.
Praga Czeska, 211.
Prinkipo, 52 107 240—243 245.
Prusy, 14
Prut, 319.
Prypeć, 182.
Przymierze Święte, 14 65 213.
Quillard poeta, 44.
Rada Najwyższa (delegaci-premjerzy Mocarstw Sprzymierzonych): obrady, sposób postępowania i załatwiania spraw, tłumaczenia pertraktacyj i rozmów, 85—87 102—105 111—112 121 127—134—147 *153 155 157—167 202 204 213 246 — 251 280 281 307 309326 331 348 349; mandaty udzielane przez nią, 128 176 303; misje wysyłane do różnych krajów, 89 100—102 154 156 302 303; misja Noulensa do Polski, 111—112; komisja do granic Polski, 140; koncesjepod egidą Rady Najwyższej, 106 108 144 152 159—162 176 227 228 242 pertraktacje z delegatami polskimi, 164 —168 172 — 174 335.
Rada Wyższa Ekonomiczna, 202.
Raguza, 190.
Rathenau Walter, *293.
Ren, 46 *74 126 133 184 209 285 188 391 316 329.
Renaudel, *83.
Renkin del. belg., 135.
Rewel, 176.
Richards Bernard, *8.
Richelieu, 211.
Roberts H. G., 21.
Robespierre, 264.
Roche Boyle, 330.
Romanelli pułk., *150 154.
Roosevelt Teodor, 108.
Rosenfeld Henryk, *9.
Rosja, 4 8 11 14 32 52 55 64 89 92

101 106 143 126 — 128 161 163 169 175 — 181 188 214 219—223 226 229 232 — 258 262 264 266 267 270 — 274 280 287 299 303 307 308 324 340 342 343 348 350; Rosyjska Rada w Paryżu, 249 250.
Rotterdam, 133.
Rousseau J. J., 134.
Rozbójnicze wyspy, 226.
Rozbrojenie, 140 281 309 329.
Równość wyznań i narodów, 335—340.
Równowaga polityczna, 76 104 131 140 254 279 284.
Rumunja, 8 42 52 55 56 118 131 137 142 — 154 157 — 164 169 170 176 186 211 212 215 285 290 291 307 317 — 320 333 336 340 344 346 349.
Ruś, 212.
Ryga, 176.
Rzym, 5 20 26 67 *75 112 192 193 198 201 201 300; Wenecki pałac w Rzymie, 205 206.
Saary zagłębie, 98 148 184 202 218 227 285 291 306 313 314.
Saionji markiz, 51 217 337.
Salandra premjer włoski, 189 208 218.
Saloniki, 59.
Samarkanda, 4.
Samoa, 226.
Samostanowienie narodów, 75 135 161 194 204 207 212 214 227 233 234 284 309 317.
Samsun, 4.
San Giuliano min. włoski, 51.
San Marino, *74.
Saratów, 6.
Saroka, 108.
Sawinkow Borys, 261.
Schell ksiądz, 347.
Schneiderman Róża, *75.
Sekwany departament, 292.
Serbja, 57 102 143 161 196 241 317—319.
Sewastopol, 249.
Shen-Tsung, 269.
Siedmiogród, 42 144.
Siloam sadzawka, 284.
Skalda rzeka, 132 133 234.
Śląsk, 69 129 130 141 172 212.
Sławonja, 190.
Słowacja, 87.
Smith Sydney, 284.
Smuts gen., 104.
Smyrna, *122.
Sofja, 318.
Sokrates, 71.
Soll Karol, *14 *15.
Sonnino baron, 50 51 157 *172 192 193 197 198 201 205 208 217.
Spalato, *189 190.
Spitzberg, 86.
Spokojny ocean, 220.
Śródziemne morze, 57 220.
Stanisławów, 169.
Stavro albańczyk, 59.
Steffens ajent, 89.
Strajki, 18 28 130 154 208.
Stryj, 169.
Suchomlinow gen., 222.
Swanka, 108.
Syberja, 106 222 227 239 241 244 245.
Syrja, 102 284 301 302.
Szamuelly, 265.
Szantung, 121 148 185 207 218 219 227 — 231 307 319 339.
św. Szczepana korona, 265 283.
Szlezwig, 133 *314.
Szwajcarja, 1 27 58 133 134 *208 265.
Szwecja, 131.
Taft prez. amer., 95 328.
Tainańska kolej, 226.
Talleyrand, 14 15.
Tardieu Andrzej, 46 — 48 296.
Tarnopol, 169.
Tatarja, 4.
Teheran, 303 305.
Terneuzen kanał, 133.
Tersytes, 159.
Thurheim Lulu hr., 12.
Tientsin, 232.
Tillain Raul, 33.
Tittoni min. włoski, 48 51 142 217 232 282 283.
Togo kolonja niemiecka, 296.
Tokjo, 219 220 225 227 *230 244.
Tołstoj Lew, 257 269.
Tomicz gub. rosyjsk., 221.
Towarów przewóz przez państwa drugiego rzędu, 143 153 167 310.
Tracja, 40 50 117 119 121 138.
Trebizonda, 4.
Trentino, 295.
Triest, *193 194 195.
Tripolis, 4.
Trockij (Braunstein), 32 107 216 237 245 246 253 262 263 265.
Trumbicz del. jugosł., 57 192.
Trydent, 187.
Tsingtao, 225 — 227.

Turchan pasza, 4 58.
Tunis, 300.
Turcja, 1 6 40 122 123 128 229 243 283 301 342 343.
Turyn, 300.
Tyflis, 258.
Tyrol, 100.
Uchida vicehr., *230 232.
Ukraina, 8 76 106 161 181 215; Ukraińskie Państwo, 127.
Umowy jawne zawierane jawnie, 75 80 85 89 251 309 350.
Vandame, *83.
Vandervelde del. belg., 55.
Varnhagen von Ense, *14.
Vaughan, 44.
Venizelos del. grecki, 49 50 76 117—119 170 205.
Verfeuil publicysta, 315.
de Viti de Varche markiz, 207.
Vittorio Venete, 195.
de Vogué markiz, *74.
Vorst H., *266.
Walsh Frank, *75
Wang Ngan Shen, 269 270.
Warna, 118.
Warszawa, 169 171 *182.
Waszyngton miasto, 44 *60 67 78 82 114 115 117 124 129 134 219 279 290 *306 308 322 334.
Watykański sobór, 101.
Weimar, 261 294.
Wellington Koo, *74.
Welti socjalista, 33.
Werchowienskij (typ Dostojewskiego), 257.
Wersalska Rada Wojenna, 142; Wersalski traktat, 1 83 *151 202 *204 326 350.
Wesnicz del. jugosł., 57.
Węgry, 32 88 130 131 137 142 145 148 150 152 153 212 215 283 319.
Wiatka, 276.
Wiedeń, 2 5 10 11 17 62 65 100 *150 151 169 212 214 *265; Wiedeński kongres r. 1815, 10 — 17 21 65 73 99 213 284.
Wilhelm II, 97 229 242.
Wilno, 175 341.
Wilson, *passim*; charakterystyka jego osobistości, 57 — 66 278 279; Wilsonowskie 14 artykułów, 72 77 113 120 122 126 128 131 184 186 194 195 197 212 254 291 297 307 316 326 328.
Witte Juljusz hr., 221 223 258.
Włochy, 1 5 14 24 48 50 52 57 59 61 65 67 85 92 121 122 129 142 148 *150 *154 157 184 — 217 219 230 232 282 283 290 291 *292 295 299 300 301 303 316 344 349 350.
Wolff Teodor, 261.
Wolter, 2.
Wschód Daleki, 53 219 222 223 225 227 229 231 237 324.
Yalu rzeka, 221.
Yangtse, 270.
Yuan-Shi-Kai prez. chiń., 226 229.
Zagrzeb, 211.
Zurych, 27.
Żydzi (interesy, pretensje, dążenia, wpływy), 8 9 53 107 *109 125 120 151 159 161 170 175 178 179 182 186 252 258 262 265 284 307 310 340 — 346; Żydowski kongres amerykański, *8.

SPIS RZECZY.

Rozd.		Str.
	Słowo wstępne autora	I
I.	Miejsce Konferencji	1
II.	Oznaki czasu	30
III.	Delegaci	38
IV.	Cenzura i tajemność	79
V.	Cele i metody	92
VI.	Mniejsze państwa	125
VII.	Przyszłość Polski	178
VIII.	Włochy	184
IX.	Japonja	218
X.	Stosunek do Rosji	233
XI.	Bolszewizm	256
XII.	Jak poparto bolszewizm	272
XIII.	Rzut oka na traktat	278
XIV.	Traktat z Niemcami	311
XV.	Traktat z Bułgarją	317
XVI.	Statut Ligi i mniejszości	321
	Skorowidz	351

OMYŁKI DRUKU.

str.	wiersz:	wydrukowano:	ma być:
9	10 od dołu	1910	1919
12	4 „	zsposób	sposób
18	22 „	lości	ilości
„	„ „	wstrzymywane	wstrzymane
31	8 „	od bolszewizmu	do bolszewizmu
75	22 od góry	myśli zamierzeń	myśli i zamierzeń
97	7 od dołu	ustąpił	ustąpić
„	6 „	pozwolić	pozwolił
104	12 „	w wytrawnymi	z wytrawnymi
106	1 od góry	donosza	donoszą
113	18 od dołu	Fzancją	Francją
117	2 od góry	przepisywanych	przypisywanych
120	6 od dołu	Inn oskarżeniz	Inne oskarżenie
180	4 „	pośrednikam	pośrednikami
„	3 „	jes	jest
247	5 „	współdziałania	i współdziałania
267	6 „	do słu p	do słupa lub krzyża, zatykają
280	11 „	załony	zasłony
300	21 „	Constanty	Constant
317	17 od góry	Rumunje	Rumunję
325	5 od dołu	March	Marsh
„	12 „	eden	jeden
328	7 od góry	miat	miał
„	16 „	zwolennłkiem	zwolennikiem

BIBLIOTEKA NAUKOWA WDP
39853/I